



Paul J.  
McAuley

# Ogrody Stońca

Paul McAuley

# OGRODY SŁOŃCA

Przełożył  
Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2014

Tytuł oryginału: *Gardens of the Sun*

Copyright © 2009 by Paul McAuley

Copyright for the Polish translation © 2014 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Elwira Wyszyńska

Ilustracja i projekt okładki: Tomasz Maroński

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wydanie I

ISBN 978-83-7480-438-7

Warszawa 2014

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
tel. 227213000  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Druk i oprawa: [drukarnia@dd-w.pl](mailto:drukarnia@dd-w.pl)

*Stephenowi Baxterowi i Georginie, encore, toujours*

# CZEŚĆ I

Straty wojenne

# ROZDZIAŁ 1

Wokół Saturna krążyło po nieskończonych orbitach sto zamordowanych statków. Smukłe frachtowce i krępe holowniki. Wahadłowce, niegdyś kreślące ciągle zmieniające się kursy między zamieszkanymi księżycami. Pająkowate promy latające z powierzchni na orbitę. Złoty półksiężyc klipra, zbudowanego przez spółdzielnię zaledwie dwa lata temu, żeby kursować między Saturnem i Jowiszem, spadający niczym zgubiony księżyc z bajki ponad przepięknym łukiem pierścieni. Ofiary niedawno zakończonej wojny. Większość była tylko z pozoru nietknięta, została bowiem beznadziejnie okaleczona - AI obłąkane od demonów podrzuconych przez brazylijskich szpiegów, silniki termojądrowe, układy sterowania i podtrzymywania życia spalone przez impulsy mikrofalowe lub miny elektromagnetyczne. W gorączkowych godzinach po uszkodzeniu statków, ocalałe załogi i pasażerowie próbowali je naprawiać, wzywać pomoc laserami wyprutymi z nieżywych układów łącznościowych albo poddawali się, w różnym stopniu, rozpacz, gniewowi i rezygnacji, pisząc listy pożegnalne do rodzin i przyjaciół. Poetka Lexis Parrander, w chłodzie wnęki sypialnej na pokładzie frachtowca sunącego wzdłuż kajmakowych pasm saturnowego równika, napisała krwią na niedziałającym ekranie swojego tabletu: „Jesteśmy umarli”.

Bo byli umarli. Na wołania o pomoc wycelowane w zamieszkane księżyce albo statki wroga nikt nie reagował. Niektórzy zapinali się we wnękach sypialnych i przedawkowywali leki, podcinali sobie żyły, albo nasadzali na głowę plastikowe torby. Inni, licząc, że przetrwają do przybycia pomocy, wkładali skafandry próżniowe i zapadali w głęboki, powolny sen hibernacji. Na którymś ze statków pobili się i pozabijali nawzajem, bo skafandrów nie wystarczyłoby dla wszystkich. W innym kulili się wokół opornościowego grzejnika skleconego z przewodów i ogniwi paliwowych w daremnej próbie przetrwania nieubłaganego zimna.

Wiele z tych statków, zniszczonych, kiedy uciekały w stronę Urana, planowało zyskać szybkość manewrem asysty grawitacyjnej wokół Saturna. Teraz orbitowały po samotnych ścieżkach, z jednej strony zbliżających je mocno do gazowego olbrzyma, z drugiej wyrzucających je wysoko ponad układ pierścieni i orbity wewnętrznych księżyców - tam osiągały apogeum i spadały z powrotem. Parę krążyło jeszcze dalej, poza orbitami Tytana,

Hyperiona, nawet Japeta.

A oto czarny grot strzały, brazylijski jednoosobowy okręt, solówka, zbliżający się do najdalszego punktu swojej elipsy, mocno nachylonej wobec równika, wynoszącej go na przeszło dwadzieścia milionów kilometrów ponad Saturna, w samotny świat, gdzie po długich, mimośrodowych orbitach krążą rozproszone maleńkie księżyce. W jego smukłym kadłubie, niewielki prąd z litowo-jonowego ogniwa ciągle utrzymywał temperaturę  $4^{\circ}\text{C}$  w podobnym do trumny systemie podtrzymywania życia, w środku zaś poza zasięgiem jakichkolwiek snów spał śmiertelnie ranny pilot.

Za rufą solówki w rozgwieżdżonej czerni błysnęła iskra termojądrowego płomienia. Zbliżał się statek, automatyczny holownik, składający się głównie ze zbiornika paliwa i silnika. Podeszedł blisko, krótkimi jak fajerwerki salwami silniczków korekcyjnych dopasował się do mimośrodowych obrotów osiowych uszkodzonej solówki, póki oba statki nie zaczęły wirować synchronicznie, jak komicznie nieprzystający do siebie wzrostem, ale idealnie zgrani łyżwiarze figurowi. Przynurzył się jeszcze bliżej i nawiązał kontakt, dokując do zaczepów pośrodku płaskiego brzucha solówki. Wykonał serię testów diagnostycznych, po czym wyhamował obrót swojego ładunku, przekręcił go o sto osiemdziesiąt stopni i uruchomił potężny termojądrowy silnik. Białoniebieski płomień wylotowy ciągnął się za spiętymi statkami na całe kilometry, zmieniając ich deltę  $v$  i wysoką, zamaszystą orbitę, spychając ich w stronę Dione i okrętu flagowego floty Wielkiej Brazylii.

## ROZDZIAŁ 2

Sri Hong-Owen była na Janusie i wchodziła na zewnętrzne zbocze wielkiego krateru odcisniętego w odsaturnowej półkuli tego księżyca, kiedy skontaktował się z nią generał Arvam Peixoto.

- Wracaj jak najszybciej na *Dumę Gai* - powiedział. - Mam drobne zadanko, które idealnie pasuje do twojego specyficznego doświadczenia.

- Mam tu dużo pracy. Ważnej - odpowiedziała Sri, ale mówiła w próżnię. Generał już się rozłączył. Wiedziała, że jeśli spróbuje oddzwonić, nie przebije się przez jego aroganckich adiutantów, wiedziała także, że nie może zaryzykować konsekwencji nieusłuchania go; tutaj, po Cichej Wojnie, słowo Arvama Peixoto było prawem. Przełączyła więc na wspólny kanał i powiedziała trojgu ludzi ze swojej ekipy, że ją wzywają.

- Rzucić wszystko i pakować się. Wylatujemy za godzinę.

- Już zaczęliśmy, szefowo - odparł Vander Reece. - Też dostaliśmy wiadomość.

- Tak myślałam - powiedziała Sri i wyłączyła odbiornik.

Mimo obciążenia skafandrem, w śladowym ciężeniu maleńkiego księżyca przybierała pozę niczym baletnica, przypięta do liny bezpieczeństwa, wzdłuż której szła po jasnym stoku. W dole rozciągał się płaski teren obsadzony organizmami próżniowymi, kojarzącymi się trochę z olbrzymimi, srebrnymi słonecznikami, nachylonymi w stronę bliskiego horyzontu. Ponad nią, od czarnego nieba odcinała się ząbkowana krawędź skalnego grzbietu, w miejscu gdzie wisiał orbitalny wspólnik Janusa, Epimeteusz, przypominający krzywy ścinok paznokcia. Dwa księżycy gonili się po tej samej drodze tuż za zewnętrzną krawędzią Pierścienia A, jeden zawsze trochę leciał trochę niżej i szybciej od drugiego. Mniej więcej co cztery lata szybszy księżyc doganiał swojego wolniejszego kolegę. Kiedy zbliżył się do niego na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów, wzajemne przyciąganie wrzucało szybszy księżyc na wolniejszą, wyższą orbitę, wolniejszy zaś spadał na szybszą, ciaśniejszą - i wyścig zaczynał się od nowa, bez końca. Kosmiczny odpowiednik jakiegoś jałowego cyklu metabolicznego. Brutalnie szczerza metafora życia Sri po Cichej Wojnie.

Był to jej drugi samotny wypad na powierzchnię Janusa, długa wycieczka do chaotycznych ogrodów zawierających kilkadziesiąt różnorodnych gatunków organizmów próżniowych, pokrywających wewnętrzne stoki i



dno krateru. Wszystko to dawno zostało naniesione na mapy przez drony, Sri chciała jednak przejść się pomiędzy nimi, zebrać próbki, poszukać czegoś, co da jej lepszy wgląd w myśli ich stwórczym, wielkiej guru genetycznej Avernus. No cóż, trudno. Arvam Peixoto szarpnął za smycz, i ona musi teraz do niego przybiec jak dobry piesek i dowiedzieć się, czego chce pan. Przeknęła więc żal i niechęć, złożyła długi teleskopowy szpikulec, przypięła go do pasa skafandra i zbiegła w dół po stoku, idąc wzdłuż liny pomiędzy rzędami słonecznikopodobnych organizmów próżniowych.

Górowały nad nią czarne łądygi, zwieńczone srebrzystymi talerzami skupiającymi słabe światło Słońca - około jednej setnej ziemskiego nasłonecznienia - na bulwach pośrodku, zawierających wymiennik ciepła. Ciekły metan ogrzewał się w nim i był przepompowywany z powrotem do labiryntu przerastających regolit, przypominających grzybnie nici. Wchłaniały z niego związki węgla oraz metale ziem rzadkich, odkładające się potem w łuskach u podstawy łądyg, gotowe do zebrania i dalszego przetwarzania. Słoneczniki tłoczyły się jeden przy drugim, tworząc zakrywające większość nieba sklepienie, wbite korzeniami pomiędzy warstwy opadłych łusek i bryły skał wylewnych. Mimo szczątkowego ciśnienia, ciężko się było poruszać po styksowym podziemiu tego karłowatego lasu. Sri pocila się obficie pod skafandrem, a gdy w końcu wydostała się stamtąd i ruszyła wydeptaną ścieżką do holownika stojącego na lądowisku tuż obok kopuły ciśnieniowej, poczuła w barkach i łydkach drzenie zmęczonych mięśni.

Pod przezroczystą bańką kopuły, światła o wiele jaśniejsze od skurczonego Słońca doświetlały zielony, przypominający dżunglę ogród - kolejny ze sprytnych, drobnych cudów Avernus. Wstępne badania wykazały, że krzewy, pnącza, trawy i rozłożyste drzewa tej dżungli mają identyczny genom - są różnymi fenotypowymi ekspresjami tego samego, sztucznego gatunku, tworzącymi ściśle powiązany zależnością, samoregulujący się biom. Dawny mentor Sri, Oscar Finnegan Ramos, uznałby tę fenotypową dżunglę za jałowe i głupie ćwiczenie, marnotrawstwo wielkiego talentu. I myliłby się, tak jak mylił się w wielu innych sprawach. Sri, badając ogrody Avernus, uczyła się mnóstwa nowych sztuczek i technik, znajdowała natchnienie do własnych prac, zaczynała orientować się w imponującej rozległością przestrzeni umysłu wielkiej genetyczki.

Zasady i narzędzia do budowy ekosystemów, opracowane i rozwinięte przez Avernus, pozwoliły Zewnętrznyim pobudować stabilne i silne biomy w miastach, habitatach-ogrodach i oazach na księżycach Jowisza i Saturna; zaprojektowane przez nią organizmy próżniowe - skupiska komórkowych nanomaszyn zdolne do wzrostu i rozmnażania na zimnych, pozbawionych powietrza księżycowych powierzchniach, stanowiły niezawodne źródło związków węgla, wodoru, tlenu i azotu, metali, kompozytów fullerenowych

i wszelkich złożonych substancji organicznych. Avernus nie oczekiwała za swoją pracę żadnej lub prawie żadnej nagrody; niczym pełen rezerwy geniusz, chroniony przez mały krąg przybocznych, niemal od niechcenia wyczarowywała jeden cud za drugim. Jednakże, mimo wieloletniego wygnania, na które udała się z własnej woli, wiedziała, że ludzkość znalazła się na kluczowym rozstaju dróg. Sto lat temu, kiedy Ziemia spróbowała przejąć nad nimi kontrolę, pionierskie pokolenie Zewnętrznych uciekło z Księżyca na Marsa i drugiego co do wielkości satelitę Jowisza, Kallisto. Zaraz potem Chińska Republika Demokratyczna obrzuciła bombami wodorowymi powstające kolonie na Marsie. Za to kolonia na Kallisto przetrwała i rozkwitła, rozszerzając się na inne księżycy Jowisza i Saturna, budując miasta i osiedla, eksperymentując z nowymi formami naukowej utopii. Dotychczasowe próby zasypania przepaści między Ziemią i Zewnętrznymi skończyły się fiaskiem, nie miało to jednak większego znaczenia. Ziemię zaprzętała naprawa szkód wyrządzonych przez katastrofalne zmiany klimatyczne, Zewnętrzni zaś skupiali się głównie na sobie, pochłonięci tworzeniem dzieł sztuki albo badaniami naukowymi o żadnej lub znikomej wartości praktycznej. Tej równowadze zaczynały jednak zagrażać ekspansjonistyczne dążenia młodego pokolenia Zewnętrznych, Avernus pozwoliła więc sobie stanąć na czele ruchu na rzecz pokoju i pojednania, trwoniąc ogromne zasoby własnych kudosów na wspólne przedsięwzięcia, mające wzmocnić więź pomiędzy obiema gałęziami ludzkości.

Wszystkie te zabiegi na rzecz pokoju padły ofiarą sabotażu. Wywiązała się krótka wojna. Zewnętrzni polegli na wszystkich frontach. Siły ekspedycyjne trzech wielkich ziemskich mocarstw przejęły kontrolę nad wszystkimi miastami i osadami na księżycach Jowisza i Saturna. Garstce Zewnętrznych udało się uciec na ciemniejsze rubieże Układu; natomiast Avernus rozplynęła się w lodowych labiryntach Tytana.

Sri nie była w stanie przekonać Arvama Peixoto, żeby zorganizował zakrojone na wielką skalę poszukiwania wielkiej genetyczki. Podlegający mu ludzie mieli ważniejsze zadania - zabezpieczenie miast i głównych osad na Minusie, Enceladusie, Tetydzie i Dione, zarządzanie i opiekę nad ich ludnością, naprawę uszkodzonej podczas wojny infrastruktury, organizację nowych władz. Sri miała tylko mało konkretną obietnicę, że w bliżej nieokreślonej przyszłości otrzyma pomoc. Mogła także skorzystać z roju autonomicznych dronów, zajadłych i inteligentnych myśliwych, umięjących syntetyzować sobie paliwo z węglowodorów w atmosferze Tytana, ale w żaden sposób nienadających się do zadania polegającego na znalezieniu jednej osoby kryjącej się w jakiejś norze na spowitym smogiem księżycu o powierzchni ponad 83 milionów kilometrów kwadratowych. Wypuściła je jednak, nie licząc na wiele, a sama skupiła się na wyszukiwaniu i badaniu kolejnych ogrodów Avernus, rozsianych po zamieszka-  
nych i niezamieszka-

nych księżycach - eleganckich połączeń fantazji z teorią, na których skatalogowanie, przeanalizowanie i zrozumienie należałoby poświęcić wiele lat ciężkiej pracy.

Tajemnice ogrodów Janusa będą musiały poczekać. Sri pomogła ekipie spakować sprzęt i próbki, załadować je do komór małego holownika, po czym po kolei przepompowali się przez służę do ciasnej kabiny, w której gnieździł się przez ostatni tydzień. Sri przypięła się do leżanki przeciążeniowej obok Vandera Reece'a, który uruchomił silnik i Janus uleciał spod nich, szybko ginąc w blasku pierścieni. Sześć godzin później holownik wszedł na orbitę wokół Dione i spotkał się z okrętem flagowym generała Arvama Peixoto, *Dumą Gai*. Holownik dostosował deltę  $v$  do wielkiego okrętu, wystrzelił linę z harpunem, podciągnął się do masztu cumowniczego, a ten zwinął się niczym język kameleona i wetknął holownik do ładowni.

Sri dała ekipie dokładne wskazówki, jak transportować i przechowywać zebrane próbki, a potem poszła poszukać syna. Po dziesięciu dniach w szczątkowym ciężeniu Janusa, 0,05 g, które dawał ruch wirowy okrętu, czuła w kościach jak ołów. Gorące, stęchłe powietrze śmierdziało ozonem i starym potem, jak przebieralnia na miejskim basenie; w korytarzach i na schodniach roilo się od żołnierzy i cywilów. W czasie, gdy pracowała na Janusie, z Ziemi przybył statek pełen doradców i urzędników; w boksie Berry'ego, w zawieszonych na ścianach kokonach spało dwóch nieznanymi facetów. Cofnęła się, zadzwoniła do kwatermistrza i dowiedziała się, że Berry'ego już nie ma na pokładzie - przeniesiono go do habitatu należącego kiedyś do klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff, na powierzchni Dione.

Sri nie musiała pytać, kto tak zdecydował ani dlaczego jej o tym nie powiadomiono. Wcześniej Arvam Peixoto nie pozwalał Berry'emu opuścić *Dumy Gai* - trzymał go jako zakładnika gwarantującego absolutną, bezwarunkową lojalność Sri; teraz, nie pytając jej o nic, wysłał go do jakiegoś namiotowego habitatu na księżycu, który nie był jeszcze kompletnie spacyfikowany. W piersi zapłonęła jej zimna gwiazda niepokoju i oburzenia - przebiegła głównym korytarzem statku i przebiła się identyfikatorem przez komandosa pilnującego wejścia do pomieszczenia, które było oficerską mesą, zanim przywłaszczył je sobie sztab generała.

Ściany i sufit obite czerwoną skórą; przykręcone do podłogi kanapy i niskie stoliki; generał z kilkoma oficerami i urzędnikami w jednym rogu, pochylony nad arkuszami kalkulacyjnymi w wielkiej memoprzestrzeni. Nikt jej nie zauważył, a ona miała dość rozsądku, żeby nie przerywać. Arvam Peixoto lubił znęcać się nad ludźmi, wykorzystując ich słabości - jeśli się z nim otwarcie skonfrontuje, wykorzysta jej złość przeciwko niej samej. A po drugie, nie ma sensu wdawać się w walkę, której nie można wygrać. Nie: musi być spokojna, chłodna i silna. Dla dobra Berry'ego. Dla dobra własnej pracy. Złapała więc banieczkę kawy, rozparła się w hamaku i zajęła

przeoglądaniem i porządkowaniem ostatnich zebranych na Janusie danych. Niezbędne do tego skupienie uspokoiło ją; prawie zdążyła odzyskać równowagę, gdy w końcu jeden z adiutantów generała podpłynął do niej z drugiego końca sali i powiedział, że teraz generał może poświęcić jej parę minut.

- No, wreszcie jesteś. Już myślałem, że o mnie zapomniałeś - powiedział Arvam Peixoto.

Był przystojnym, energicznym mężczyzną po sześćdziesiątce, ubranym jak zawsze w kombinezon lotniczy z mnóstwem kieszeni. Odkąd się ostatni raz widzieli, ściął włosy - zlikwidował kucyk, a resztę przystrzygł na krótkiego śnieżnobiałego jeża. Na biodrze miał pistolet - ten sam, którym kiedyś, dawno temu, zabił człowieka na oczach Sri.

- Może zapomniałeś, że pracuję na Janusie.

- Tam chyba jeszcze nie byłem. Czy byłem? - zapytał Arvam.

- Nie, panie generale - odpowiedział któryś z adiutantów.

- Ja mam tam jeszcze dużo do zrobienia. A mogę zapytać - dodała, starając się zachować lekki i przyjacielski ton - czemu wysłałeś Berry'ego na Dione?

- Okręt to nie miejsce dla dzieciaka. Za duży tu tłok, a on nie ma tu nic do roboty, tylko pakować się w kłopoty. Tam, gdzie go wysłałem, urządzają teraz moją kwaterę główną. Wszystko jest dokładnie sprawdzone, jest bardzo bezpiecznie. Wielki ogród, trawa, pola, drzewa, jeziora. W sam raz dla zdrowego, aktywnego chłopaka, nie?

- Chciałabym na to zerknąć. Twój ludzie mogli coś przeoczyć.

- Jutro po kolacji wszystko ci powiem. A teraz: przyjeżdża z wizytą rzecznik ambasady Pacyfików i z jakiegoś powodu bardzo chce się z tobą spotkać. Możesz mu opowiedzieć o swoich ogrodach, a jemu może się wymknie jakaś przydatna informacja o sytuacji na Japecie.

- To po to przerwałeś mi pracę? Żebyś sobie pogadała z jakimś urzędnikiem Pacyfików?

- Były dwa powody. To jeden, a po drugie, mam dla ciebie nowe zadanie - powiedział Arvam. - Bardzo ważne. Pozwól ze mną.

Razem z kometarnym warkoczem adiutantów przeszła za generałem do szpitala pokładowego, a w nim do oddzielonej kotarą wnęki na końcu, w której na pochyłym łóżku leżał młody człowiek. Do pasa był zakryty napiętym jak struna prześcieradłem, pierś opinał czarny pas sztucznego płucoserca. Głowę miał ogoloną, obandażowaną, powieki zaklejone taśmą, rurki w nosie, a do ręki wpiętą kroplówkę zawieszoną obok na grodzi. Worek z płynem co chwila nerwowo pulsował, jak spłoszona, powolna meduza.

Arvam powiedział Sri, że ten młody człowiek to porucznik Cash Baker, pilot solówki i bohater wojenny.

- Został ranny na wojnie. Ma uszkodzony mózg. Masz go naprawić.

- Czuję się zaszczycona, ale co ja takiego potrafię, czego nie umie twój znakomity i doświadczony personel medyczny?

- W ramach programu testowego J-2 przerabiałś mu układ nerwowy. A po drugie, to przez ciebie zginął.

Po krótkim wahaniu Sri zrozumiała, o co generałowi chodzi.

- Pilotował solówkę, która zaatakowała statek Avernus.

- No właśnie. Ale może mi się jeszcze przydać, więc będziesz musiała mu jakoś to wybaczyć.

\*\*\*

Na samym początku wojny, porucznik Cash Baker pilotował jedną z solówek, których zadaniem było przechwycenie i zniszczenie odłamka lodowego wystrzelonego w stronę tymczasowej bazy Wspólnoty Pacyficznej na Febe. Jego statek został uszkodzony przez automatyczne systemy obronne tego lodu, zdołał się jednak częściowo naprawić, po czym, spadając w stronę Saturna, wziął na cel uciekający z Dione holownik Zewnętrznych. Holownik wiozł Avernus, a Sri Hong-Owen goiła ją swoim statkiem. Gdy Cash Baker zignorował bezpośredni rozkaz nakazujący przerwanie ataku, nie było wyjścia: dowództwo uaktywniło wbudowany w układy sterowania solówki program samobójczy. W rezultacie statek wleciał w płaszczyznę pierścieni, a okrucieństwo poruszający się z prędkością większą niż jakikolwiek pocisk przeszył jego kadłub i rozbił się na tysiące odłamków. Jeden z tych odłamków przestrzelił układ podtrzymywania życia, przebił Cashowi szybę hełmu, czaszkę i mózg. Układ podtrzymywania życia zahibernował go, ratując mu życie, solówkę odnaleziono i odholowano, teraz generał Arvam Peixoto chciał, żeby Sri pomogła zespołowi lekarzy wyleczyć uszkodzenia mózgu.

- Tacy bohaterowie są nam potrzebni na Ziemi, żeby zyskiwać poparcie poruszającymi opowieściami o niezwykłych, odważnych czynach. Ten tutaj to znakomity kandydat.

- To dureń, który o mało co nie zamordował Avernus.

- Jego historią ja się zajmę, pani profesor. Ty masz go nareperować. Od szyi w dół może się nie ruszać, to mnie nie interesuje, ale ma gadać pełnymi zdaniem i nie ślinić się przy tym. Myślisz, że dasz radę?

Lekarz prowadzący powiedział Sri, że okrucieństwo bazaltu trafiło pilota tuż nad lewym okiem, wypalił tunel w korze czołowej, ciele modzelowatym, zaważił o dolny skraj kory wzrokowej i wyszedł z drugiej strony. Miał ledwie paręset mikronów średnicy, ale poruszał się bardzo szybko - fala uderzeniowa zniszczyła wszystko w obrębie walca o średnio siedmiomilimetrowej średnicy. Uszkodzenia kory czołowej i wzrokowej były banalne - dadzą się łatwo naprawić wszczepieniem komórek glejowych i onnipotencjalnych

komórek macierzystych. Nastąpi częściowa utrata pamięci, ale bez poważnych skutków ubocznych. Większym problemem były uszkodzenia ciała modelowego. Tor odłamka przeciął wielką liczbę połączeń pomiędzy półkulami mózgowymi. Lekarz twierdził, że jeśli się tego nie naprawi, prawa strona mózgu pilota zostanie odcięta od dominującej lewej strony i stanie się oddzielnym umysłem z własnym postrzeganiem, zdolnościami poznawczymi, wolą, mechanizmami uczenia się i pamięcią, ale pozbawioną umiejętności mowy, potrafiącą wyrażać się tylko niewerbalnymi reakcjami. Pacjent nie będzie w stanie zintegrować prawej i lewej strony pola widzenia, może też wykształcić „zespół obcej ręki” i inne zaburzenia dysocjacyjne.

Przejrawszy szczegółowe tomograficzne obrazy uszkodzeń, Sri zaproponowała radykalne rozwiązanie. Kiedyś pomagała zaprojektować sztuczny wegetatywny układ nerwowy, który pozwalał pilotom solówek wpinać się bezpośrednio do układu sterowania statkiem oraz na chwilę przyspieszać przetwarzanie neuronowe podczas walki - teraz uznała, że da się go wykorzystać do zastąpienia połączeń pomiędzy dwiema półkulami mózgu pilota i na nowo scalić mu umysł.

Miała oczywiście dużo innych spraw na głowie. Chciała odwiedzić ów habitat-ogród, który generał zarekwirował na swoją kwaterę, sprawdzić, czy jej syn jest cały i bezpieczny. Chciała wrócić na Janusa i dokończyć badania monofenotypowej dżungli, słoneczników i innych organizmów próznych, zebrać dane, dokładnie je przeanalizować i porównać ze zbiorami pochodzącymi z wizyt w innych ogrodach. Potem powinna polecieć do kolejnego ogrodu, i następnego...

Nie, nigdy nie wystarczy jej czasu na wszystko, co chciałaby zrobić. Mimo to, choć Arvam Peixoto zastraszył ją i zmusił do przyjęcia tego zadania, choć nie było ono w ogóle na liście jej priorytetów, dyskusje o przeprojektowaniu ulepszonego układu nerwowego Casha Bakera z lekarzem prowadzącym podobały się jej. Doktor miał ogromne doświadczenie w rekonstrukcji mózgu i nerwów, oboje czuli silną jednoczącą umysły więź intelektualną. Kiedy przyszedł któryś z adiutantów generała i przypomniał o oficjalnej kolacji, w jej duszy na moment zaiskrzyła niechęć.

Adiutant odprowadził ją do kajuty oficerskiej, poczekał na zewnątrz, gdy brała prysznic, wkładała galowy mundur i kapcie, po czym zaprowadził ją do mesy, gdzie za długim stołem zasiadli już wyżsi oficerowie, cywilni dygnitarze i goście ze Wspólnoty Pacyficznej. Gdy sadowiła się pomiędzy kapitanem okrętu i rzecznikiem Pacyfików, Arvam Peixoto rzucił jej surowe spojrzenie zza dekoracji z lilii i róż pośrodku stołu - pewnie przywieziono je promem z jakiegoś ogrodu na Dione, może nawet z tego habitatu, gdzie mieszka teraz Berry.

Sri większość imprez towarzyskich wydawała się męcząca. Banalna gadanina, dusząca etykieta, a pod spodem prymitywna demonstracja statusu.

Osobowości alfa, jak generał, przeżyły się i popisywały; cała reszta zasypywała go pochlebstwami, umacniając swoją pozycję w tej durnej hierarchii i wypatrując potencjalnych błędów i przewinień u innych. Zachowania małych człekokształtnych. Sri nie umiała w to grać. Brakowało jej wszystkich cech energicznego, nastawionego konfrontacyjnie i siłowo charakteru typowego samca alfa, nie była także typową samicą alfa - podstępna, otoczoną potężną siatką społeczną i zastępami lojalnych zwolenników, utrzymywanych w ryzach karami i nagrodami, jak w klatce Skinnera. Choć sama dzięki reputacji cieszyła się sporym prestiżem, takie przyjęcia zawsze przypominały jej, że nie należy do towarzystwa, że jest tolerowana tylko dopóki okazuje się użyteczna. A żeby być użyteczną, musiała pracować, nie tracąc czasu na gadki i pozerstwo.

Poza tym, była jeszcze kwestia polityczna. Niecałe dziesięć lat temu, pomiędzy Wspólnotą Pacyficzną i Wielką Brazylią omal nie wybuchła wojna o Hawaje. Oba sojusze odstąpiły od zbrojnej konfrontacji i stopniowo przywróciły kontakty dyplomatyczne, pozostały jednak silna antypatia i podejrzliwość. I choć ostatnio Pacyficzni współpracowali z Brazylią i Unią podczas krótkiej wojny z Zewnętrznymi, ich udział był niewielki, spóźniony, a intencje nadal niejasne. Arvam Peixoto chciał, żeby Sri wydobyla z rzecznika Pacyfików jakieś strzępy użytecznych informacji. Lubiła tego typu gry jeszcze mniej niż normalne towarzyskie rozmowy, ale dla dobra syna i swojego musiała tańczyć, jak jej zagrają.

Na szczęście, rzecznik, Tommy Tabagee, okazał się wystarczająco inteligentny i dowcipny, by móc ją zabawić przez cały długi i oficjalny bankiet. Drobny, szczupły facet o skórze czarnej jak węgiel, z przypominającą Meduzę szopą dredów, był bardzo dumny z aborygeńskiego pochodzenia i fanatycznie oddany odbudowie i uzdrowieniu swojego ojczystego kontynentu. Opowiadał Sri o, jak to nazwał, swoim skromnym wkładzie w burzenie miast oraz usuwanie wszelkich śladów występków epoki przemysłu - wielkie dzieło, którego ukończenie zajmie stulecia.

- Oczywiście już nigdy nie będzie tak samo - mówił. - Po pierwsze, klimat ciągle jest schrzaniiony. Są miejsca, gdzie od stu lat nie padało. Ale musimy pozwolić Ziemi odnaleźć własny kierunek. To najważniejsze. I odnieśliśmy już drobne sukcesy. Zanim oddelegowali mnie tutaj, miałem zaszczyt pracować w Darwin z zespołem odbudowującym część Wielkiej Rafy Koralowej. Zastępowaliśmy sztuczne koralowce naturalnymi. Rafa nigdy już nie będzie taka piękna jak kiedyś, ale jeśli będzie funkcjonować choć w połowie tak dobrze, jak twierdzą, to już ma pewien potencjał.

Sri wypytywała Tommy'ego Tabagee o sztuczne koralowce, zaskakując go kilkoma przemyśleniami i pomysłami. Inni goście dookoła jedli, pili i gawędzili, marines w białych mundurach roznosili tace z jedzeniem, zabierali puste talerze i dostawiali kieliszki. Tommy Tabagee pił tylko wodę, a

jadł szybko i sprawnie, jak uzupełniająca paliwo maszyna, opowiadając jednocześnie Sri, jak rozpaczliwie potrzeba na Ziemi takich ludzi jak ona i jaka to szkoda, że marnuje czas tutaj.

- Ja bym nie nazwała poznawania techniki Zewnętrznych „marnowaniem czasu” - odparła Sri. - Codziennie dowiaduję się czegoś nowego i przydatnego.

Tommy Tabagee nie złapał się na przynętę - zamiast tego opowiedział jej, że sam także nauczył się paru nowych rzeczy podczas krótkiej wizyty w układzie Saturna.

- Najważniejsze było dla mnie odkrycie, że te księżycy mają własne pieśni drogi - powiedział i wyjaśnił, że pieśni drogi były kluczowe dla przetrwania cywilizacji jego przodków. - Dawno temu, mój lud mieszkał w kraju, który składał się głównie z pustyni i pustynnej roślinności, a deszcze były rzadkie i nieprzewidywalne. Dlatego prowadzili wędrowne życie - od źródła wody do źródła wody. Te małe stawy dostarczały im nie tylko wodę i nie tylko pożywienie. Sąsiadujące plemiona spotykały się wokół nich na obrzędy i handel. Swoją drogą, mieli systemy wymiany barterowej, podobny do Giełdy, która przed wojną regulowała gospodarkę Zewnętrznych. Te zbiorniki wodne były więc niezwykle ważne. Łączyły je szlaki opisywane przez pieśni drogi, które były głównym przedmiotem handlu. Każde plemię miało swoje i handlowało zwrotkami z innymi. Obrót innymi dobrami był niczym w porównaniu z tym. I rozumiesz, te pieśni definiowały ziemię, przez którą się szło.

- To były mapy - stwierdziła Sri.

Myślała o sieci lin bezpieczeństwa porozciąganych przez jej zespół po księżycowym krajobrazie wokół kopuły z fenotypową dżunglą, o ogrodach, których jeszcze nie zdołała odwiedzić.

- Zgadza się. Człowiek był w stanie przejść setki kilometrów przez pustynię, pierwszy raz w życiu, wykorzystując pieśni, których nauczył się od innych plemion. Tylko że on oczywiście by tego tak nie widział. Powiedziałby, że kiedy śpiewał, wyśnił tę ziemię, przedtem jej nie było. I dlatego musiał pieśń pamiętać idealnie dokładnie. Owszem, tutaj ziemia jest jeszcze bardziej nieprzyjazna. Nie ma wody, nie ma jedzenia. Nie ma nawet powietrza! Ale Zewnętrzni rozsiadli po księżycach swoje oazy i schroniska, tak że moim zdaniem można drogi między nimi postrzegać jako takie pieśni. Z przyjemnością dodam, że Zewnętrzni z Japeta są bardzo otwarci na tę ideę. Świetnie znają swój teren i chodzą po nim na punkty orientacyjne, dokładnie tak, jak moi przodkowie.

- I to dlatego tu przyjechałeś? Żeby poznać pieśni Japeta i innych księżyców?

Tabagee ukazał w figlarnym uśmiechu przerwę między przednimi zębami.



- Mam nadzieję, pani profesor, że nie nabija się pani z mojego dziedzictwa kulturowego.

- Nie miałam zamiaru - odparła Sri. Wszystkie te bajki o pieśniach i „wyśniwaniu” świata były belkotem mitologizującym prostą strategię przetrwania, sądziła jednak, że na swój sposób ujawniają coś ciekawego o planach Wspólnoty Pacyficznej dla okupowanych przez nią terenów.

- Słyszałem, że interesujesz się guru genetyczną Avernus. - Tommy Tabagee sprytnie zmienił temat. - Wiesz, że na Japecie znaleźliśmy jeden z jej ogrodów?

Powiedział, że jest to mała, przykryta namiotem oaza na odsaturnowej półkuli Japeta, blisko grzbietu górskiego opasującego księżyc wzdłuż równika. W środku rośnie coś przypominającego bambus - wysokie, czarne pędy, kołyszące się sztywno w losowych podmuchach generowanych przez klimatyzatory. Co trzydzieści dni z pędów wyrastają proporce we wszystkich możliwych kolorach i wzorach, po czym pędy wszystkie jednocześnie więdną i uwalniają proporce w powietrze. Te kłębią się i unoszą w podmuchach wiatru. Pasujące do siebie proporce owijają się wokół siebie, wymieniają materiał genetyczny i tworzą chimerę, która rozpada się na dwie półowki i spada w żyzną ściółkę z rozkładających się lodyg. Wyrastają nowe pędy i cykl się powtarza. Nieskończony cykl wzrostu i rozrodu, przelotnie generujący wzory pełne losowego i niepowtarzalnego piękna.

- Może ty mi powiesz, co to znaczy - zapytał. - Bo ja za cholerę nie rozumiem.

- Ja myślę, że to nie znaczy nic konkretnego. Poza tym, co widać na pierwszy rzut oka.

- Czyli to dzieło sztuki, tak?

- Avernus lubi zabawy. A jej zabawy są jednocześnie wesołe i poważne. Są wyrazem psotnej natury jej talentu, ale przy okazji badają spektrum możliwych ekspresji, jakie można uzyskać z ograniczonej liczby sztucznych i naturalnych genów, jakie mamy teraz do dyspozycji. Ewolucja robi to na Ziemi od ponad czterech miliardów lat, nieco krócej w oceanie na Europie. Udało jej się wytworzyć wiele misternych i przepięknych cudów natury, ale to tylko kropla w morzu wobec nieskończonej przestrzeni wszystkich możliwych postaci życia. I te ogrody Avernus to według mnie wyprawy poza mapę dzisiejszego stanu sztucznej genetyki. Tworzy nowe obszary, tak jak ci twoi przodkowie, którzy wierzyli, że śpiew tworzy teren, przez który idą.

Tommy Tabagee zastanowił się nad tym, po czym zapytał:

- Lubisz ją, prawda?

- Ja ją podziwiam.

Poczuła drobne ukłucie nieufności, zaczęła się zastanawiać, czy ten drobny, żwawy facecik, wie, jak paskudnie Avernus ją upokorzyła, kiedy się

ten jeden jedyny raz spotkały.

On jednak zaczął pytać o ogrody, które odkryła i zbadała - i tak rozmawiali sobie miło aż do chwili, gdy komandosi w białych mundurach zaczęli serwować kawę, a Arvam Peixoto wstał, żeby wygłosić krótkie przemówienie o konieczności współpracy trzech ziemskich potęg. Kiedy skończył, Tommy Tabagee powiedział Sri, że teraz on musi zapracować śpiewem na swoją kolację. Wstał i elegancko odpowiedział generałowi. I tak zakończył się bankiet, choć Tommy zdążył przed wyjściem powiedzieć jeszcze Sri, że kiedyś poznał jej zielonego świętego.

- To znaczy, Oscara Finnegana Ramosa. Świetny gość. Przykro mi było słyszeć o jego śmierci.

Tym razem Sri znacznie bardziej się wzdrygnęła. Ostro, jakby igła trafiła ją w serce. Według oficjalnych informacji Oscar zmarł na nagłą niewydolność wielonarządową, co jest typowe dla osób utrzymywanych przy życiu przez kuracje odmładzające. Do niedawna Sri sądziła, że prawdę zna tylko ona i Arvam, ale parę dni przed wylotem na Janusa znalazła na składanym stoliku w kabinie napisany odręcznie liścik.

„Zaimponował mi twój odważny ruch. Gdybyś potrzebowała pomocy, skontaktuj się ze mną”.

Od razu rozpoznała okrągłe, dziecinne pismo - należało do Euclidesa Peixoto, kuzyna i rywala Arvama, któremu przed wojną oddano nadzór nad pewnym jej projektem. Zebrała z kartki próbkę, nie znalazła żadnego DNA i zniszczyła ją. Nie powiedziała o tym Arvamowi, choć oznaczało to, że na pokładzie flagowca znalazł się jakiś agent Euclidesa - już kiedyś się sparzyła na wewnętrznej polityce rodu Peixoto i nie miała zamiaru więcej mieszać się w ich intrygi. Teraz jednak dręczyła ją nieprzyjemna myśl, że Euclides może rozsiewać plotki o śmierci Oscara, żeby osłabić pozycję Arvama. Ciekawe, czy Tommy Tabagee wiedział, lub podejrzewał, że zabiła Oscara po to, żeby uciec przed płątaniną intryg, grożącą jej wciągnięciem, i żeby oddać się bez reszty Arvamowi Peixoto i działaniom wojennym.

Powiedziała sekretarzowi Pacyfików, że śmierć Oscara była wielką, przedwczesną stratą, tak dla niej, jak dla rodziny Peixoto i świata nauki; jeśli nawet zauważył, że twarz zeszytniała jej w maskę, to niczego nie dał po sobie poznać. Dodał tylko, że Oscar był wybitnym człowiekiem, a jego wkład w realizację szczytnych celów - ogromny.

- Jeśli ma pani choćby połowę jego skrupułów i ćwierć jego talentu, to dla mnie jest pani kimś.

Kiedy Tommy Tabagee i reszta delegacji Wspólnoty Pacyficznej wrócili na swój statek, Arvam Peixoto przechwycił Sri i zapytał, o czym rozmawiali z sekretarzem.

- Gadaliście sobie jak najlepsi kumple.

- A nie o to ci właśnie chodziło? Powiedział mi, że na Japecie znaleźli

kolejny ogród Avernus. W zasadzie zaprosił mnie, żebym go odwiedziła.

- Nie widzę tego - powiedział Arvam.
- Mogłabym dowiedzieć się czegoś ciekawego o planach Pacyfików.
- Nakarmię cię mieszanką neutralnych informacji i propagandy, a przy okazji dyskretnie powyciągają z ciebie przydatne informacje. Poza tym, jesteś zbyt cennym zasobem - odparł Arvam. - Wyszedłbym na kretyna, gdybym pozwolił ci tam pojechać, a ty byś zdezerterowała.

Sri nie umiała powiedzieć, żartuje, czy mówi poważnie.

- Trochę mi przykro, że uważasz, że jestem zbyt naiwna, żeby mi zaufać.

- Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam. Tylko w ogóle nie znasz się na ludziach. Mój adiutant przygotowuje podsumowanie twojej randki z panem Tommym Tabagee. Sprawdzisz je, dopiszesz, co uznasz za stosowne i podpiszesz. Jutro rano ma być na moim biurku. Aha, i jeszcze opowiedz mi, jak planujesz nareperować naszego pilota-bohatera. Najwyższa pora, żebyś zaczęła jakoś zarabiać na swoje utrzymanie.

## ROZDZIAŁ 3

Po mniej więcej pięćdziesięciu dniach od dezercji, szpiegowi udało się wreszcie dotrzeć do Paryża na Dione.

Podróż nie była łatwa. Spadł z orbity w wykradzonej kapsule ewakuacyjnej, prześlizgując się przez dziurę w brazylijskim monitoringu satelitarzym, wylądował daleko na północy przysaturnowej półkuli Dione i szedł przez zamrożoną, łagodnie pofalowaną równinę. Miał mało powietrza i prądu, musiał jak najszybciej dotrzeć do jakiejś oazy lub schroniska, wiedział, że jego dawni mocodawcy już go szukają i że w razie schwytania czeka go hańba i egzekucja, a mimo to przez pierwsze godziny wolności serce kipiało mu radością. Wszędzie dookoła poza skorupką skafandra próżniowego, cały czas intymnie cykającego i mrużącego, poza własnym cyklicznym oddechem i dudnieniem tętna, rozciągał się milczący i nieruchomy księżycowy krajobraz, aż piękny w swojej pustce. Zapyłona ziemia połyskiwała złotobrazowo w blasku niskiego Słońca. Opuchnięta kula Saturna majaczyła, w połowie w cieniu nad zakrzywionym horyzontem, przecięta dymnymi kajmakowymi i brzoskwiniowymi pasmami, które rozpały się ogniem, gdy wystrzelały poza krawędź gazowego olbrzyma, w stronę małego półkola któregoś z wewnętrznych księżyców. Czuł się władcą wszystkiego, na co patrzył. Jedyнным świadkiem tego czystego, niesamowitego piękna. I po raz pierwszy w swoim krótkim i dziwnym życiu, także panem własnego losu.

Ukształtowano go jeszcze przed urodzeniem, wytresowano, wyszkolono i zindoktrynowano podczas krótkiego dzieciństwa i przed rozpoczęciem wojny wysłano na Dione z zadaniem zinfiltrowania Paryża, dokonania sabotażu na jego infrastrukturze, żeby zmiekczyć miasto przed szturmem brazylijskich sił. Zadanie wykonał na miarę swoich sporych umiejętności, jednak pobyt pomiędzy Zewnętrznymi odmienił go. Zakochał się, zaczął rozumieć, co to znaczy być naprawdę człowiekiem, a potem dla dobra swojej misji zdradził ukochaną kobietę. Natomiast teraz był wolny od wszelkich zobowiązań i służby Bogu, Gai i Wielkiej Brazylii. Był wolny i mógł robić, co zechce. Czyli znaleźć Zi Lei i uratować ją przed następstwami wojny.

I dlatego sadził teraz energicznymi kangurzymi susami, goniąc po równinie swój długi cień. Kilka razy źle wymierzył i wylądowawszy, przeokoziółkował w pyle, urażając uszkodzony bark. Nie miało to znaczenia.

Zrywał się na nogi i skakał dalej, pełen zapału i zadowolony. Późnym popołudniem dotarł do schroniska, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od miejsca lądowania.

Po powierzchniach wszystkich zamieszkałych księżyców rozsiane były setki tych małych, bezludnych stacji - tylko zakopana w lodzie fullerenowa kopułka, otoczona polem wysokich, srebrzystych kwiatów, zamieniających energię słoneczną na elektryczną. Zapewniały spartańskie warunki przetrwania, wędrowcy i inni podróżnicy mogli się w nich zatrzymać na noc. Szpieg zjadł w pośpiechu posiłek, nakarmił odrobiną rozpuszczonego cukru półżywy bandaż zakrywający ranę postrzałową w ramieniu, po czym wymienił swój brazylijski wojskowy skafander na znajdujący się w schronisku zapasowy - lepiej pasował na jego szczupłą sylwetkę, a system podtrzymywania życia wystarczał w nim na dłużej - napełnił torbę na ramię zapasami i ruszył w stronę widocznej na horyzoncie krawędzi krateru. Wszedł po łagodnym zboczu zerodowanego grzbietu i prawie na samej górze znalazł świetną kryjówkę, w głębokiej rozpadlinie pomiędzy dwoma blokami skalnymi wielkości domów, rozbitymi wiele stuleci temu potężnym uderzeniem. Rozwinął termoizolacyjny kokon, wszedł do niego i zapadł w głęboki sen bez marzeń. Przespał sześćdziesiąt godzin - całą długą noc na Dione i większość następnego dnia, wstał, ruszył do kolejnego schroniska, gdzie wziął prysznic, zjadł, naładował baterie w skafandrze, uzupełnił zapas powietrza i poszedł dalej.

Wędrował tak przez ponad czterdzieści dni.

Grunt opadał ciągiem szerokich, płaskich tarasów ku Latium Chasma, długiemu, prostemu wąwozowi wyrzeźbionemu przez katastrofalny wylew wody amoniakalnej, dawno temu, w czasach, gdy jądro małego księżyca jeszcze nie było zamrożone. Szpieg szedł szerokim, równym dnem rozpadliny, przeskakując ze schroniska do schroniska, nocując w płytkich szczelinach albo w cieniu głębokich wcięć w stromej, pofałdowanej wschodniej ścianie wąwozu. Był przekonany, że nadal go ścigają. Jednakże Dione, choć jej promień wynosił tylko nieco ponad tysiąc kilometrów, miała powierzchnię czterech milionów kilometrów kwadratowych - jak pół Australii - a brazylijskie siły były nieliczne i skoncentrowane głównie wokół Paryża. I tak od czasu do czasu zauważał na czarnym niebie szybko poruszające się z zachodu na wschód jasne punkciki i czuł się odsłonięty, jak robak na szkiełku mikroskopu.

Codziennie ryzykował podłączenie się na parę minut do wojskowego pasma, żeby posłuchać rozmów i próbować z nich wywnioskować, jak rozwija się okupacja Dione. Brazylijski okręt flagowy ciągle tkwił na orbicie wokół księżyca, a komandosi poruszali się swobodnie po powierzchni, atakowani tylko w kilku ostatnich ogniskach oporu, pozbawionych przyszłości i eliminowanych jedno po drugim. Paryż, samozwańczy ośrodek oporu,

został ciężko uszkodzony - przebito mu namiot, otwierając większość miasta na mroźną próżnię. Ponad połowa ludności zginęła, reszta uciekła lub trafiła do niewoli. Teraz Brazylijczycy wylapywali Zewnętrznych z oaz i habitatów rozrzuconych po powierzchni Dione, przewożąc ich do tymczasowych obozów więziennych wokół zniszczonego miasta.

Pomyślał, że jeśli ma znaleźć Zi Lei, musi przedostać się do Paryża. Tam będzie miał największe szanse na jej znalezienie, dopiero jeśli tam jej nie będzie, poszuka gdzie indziej.

Któregoś dnia wspiał się na krawędź przecinającego rozpadlinę wielkiego krateru i zobaczył stamtąd, daleko po drugiej stronie wielkiego koła krateru, stromą piramidę z płyt z budowlanego diamentu i fullerenowych dźwigarów, oświetloną i pełną wysokich drzew. Innego dnia dotarł na skraj pól organizmów próżniowych, wyglądających jak stronice z bladej ziemi zadrukowane splątanymi ciemnymi znakami.

Rana mu się zagoiła, półzywy bandaż zwinął się i schował.

Wreszcie wschodnia ściana wąwozu opadła, a dno podniosło się, spękane w odłamki i drobne rysy. Dotarł do południowego końca szczeliny. Obszedł prawie ćwierć tego małego księżycyca.

Chaotyczny krajobraz ktoś przeciął drogą. Szpieg ruszył nią. Prowadziła po wierzchołkach skalnych brył, a brzegi szczelin spinała eleganckimi przesłami z fullerenowego kompozytu. Zszedł nierównym szerokim zboczem na skraju małego krateru i przedostał się przez naturalny wał piargowy na falującą, porytą kraterami równinę.

Dotarłszy do następnego schronu, stwierdził, że ktoś go opróżnił i otworzył na próżnię. Na gruncie wokół było pełno śladów butów i opon, a pola organizmów próżniowych zostały wycięte. Przekonany, że za te zniszczenia odpowiedzialne są brazylijskie siły okupacyjne, ruszył dalej, czując się samotny i ścigany. Nie miał wyboru.

Cztery godziny później podchodził do oazy, której ukośny namiot stał na łagodnym zboczu mniej więcej pięciokilometrowego krateru. W środku nie było światła, trzy pary drzwi głównej służby stały otworem, a wewnętrzny ogród był ciemny, i zamrożony. Szpieg uznał, że i to miejsce jakiś czas temu najechali i wyczyścili brazylijscy okupanci - choć brakowało mu już powietrza i prądu, dobrą godzinę poświęcił na obserwację terenu, zanim zdecydował się tam wejść.

Zapasowe baterie i powietrze znalazł w służbie jednej z zewnętrznych farm rurowych. Ale najlepsze było to, że na skraju sporego pola splątanych czarnych kołców znalazł rolligon, ukryty w płytkim wykopie, pod maskującą płachtą. Dłuższy czas wypytywał AI pojazdu, ale nie dowiedział się od niej niczego pożytecznego. Zdrzemnął się więc, póki całego księżycowego krajobrazu nie pokryły cienie, a potem uruchomił pojazd i wyjechał po łagodnej pochylni na jednym końcu wykopu.

W słabym saturnowym świetle, niewiele silniejszym od blasku gwiazd, szpieg udał się na południe, mając po zachodniej stronie podwyższające horyzont wały krateru Eumelus. Korzystanie z rolligonu było bardzo ryzykowne, ale nie aż tak bardzo, jak uzależnienie od zapasów ze schronisk i kryjówek, które wzięło sobie teraz na cel okupacyjne wojsko. W końcu wybrał drogę prowadzącą prostą linią w stronę równika, typową tutejszą konstrukcję z lodowego gruzu wzmocnionego fullerenową siatką, o trzydziestometrowej szerokości, idealnie równą i z transponderami wzdłuż jednej krawędzi, żeby można było oddać stery rolligonu jego sztucznej inteligencji. Zrobił parę ćwiczeń rozciągających i izometrycznych żeby rozluźnić zeszywniałe barki, zszedł do kuchenki, wrzucił do kubka torebkę cytrynowej herbaty, po czym wrócił na fotel kierowcy i dostrzegł na horyzoncie połyskującą linię.

Były to tory kolejki opasującej Dione wzdłuż równika, o jednym ułożonym na pylonach torze, przypominającym linę linoskoczka spinającą wschodni i zachodni horyzont. Zbudowały ją, podobnie jak drogę, cierpliwe i niestrudzone zastępy robotów budowlanych. Szpieg przejął sterowanie rolligonem i zatrzymał się w niewielkiej odległości od uniesionego toru, znów rozglądając się nieufnie na wszystkie strony. Kolejka była ważna. Mogła być celem. Coś mogło ją obserwować.

Po wschodniej stronie, daleko, lśniło słabe światelko. Gwiazda umieszczona dokładnie w punkcie zbiegu narysowanych od linijki szyn. Szpieg użył zoomu na monitorze rolligonu. Gwiazda pociemniała, powiększając się. Pokazały się szczegóły. Był to wagonik o opływowym kształcie, z tyłu zakryta przestrzeń ładunkowa, z przodu diamentowa kopułka hermetycznej kabiny. Jechał kiedyś na zachód, od strony Paryża. Teraz stał nieruchomo na nadprzewodzącym magnetycznym torze, z otwartymi na oścież drzwiami kabiny.

Szpieg popijał cytrynową herbatę i zastanawiał się. Wyłączono zasilanie, wagon został unieruchomiony, pasażerowie wysiedli. To było oczywiste. Ale gdzie byli teraz? I kto to był, Brazylijczyk czy Zewnętrzni? Wreszcie, gdy do świtu została niecała godzina, szpieg chwycił kierownicę rolligonu, zeskoczył nim z drogi i ruszył po zapyłonym terenie wzdłuż estakady kolejki, w stronę wagonika. Mrowiły go kark i dłonie, ale nie mógł się nie przyjrzeć. Miał nadzieję, że cudze nieszczęście przyniesie mu to, czego potrzebuje.

Wokół najbliższego wagonikowi słupa podpierającego tory dostrzegł płataninę śladów, zatrzymał rolligon, naciągnął skafander próżniowy, wysiadł i rozejrzał się dookoła. Ślady butów układały się w ścieżkę prowadzącą wzdłuż toru na wschód, w stronę, z której przyjechał wagonik. Pięć par butów po obu stronach czegoś, co zostawiało w lodowym pyle szeroką brudę.

Wywołał mapę, uświadomił sobie, że pasażerowie kolejki musieli zmierzać do najbliższej stacji, około pięćdziesięciu kilometrów stąd, na krawędzi Krateru Mnesteusza. Spojrzał w stronę horyzontu, ale nic się tam nie ruszało. Wszystko było ciche i nieruchome jak zawsze.

Wspiął się po stopniach na boku słupa i podszedł wzdłuż torów do wagonika. Zajrzał przez otwarte drzwi. Brakowało jednej z płyt podłogowych, a w innym miejscu podłogi i na wielkich poduszkach siedzeń widać było krew, zamrożoną i czarną w lodowatej próżni.

Czyli ktoś tu został ranny, a jego koledzy wyjęli z podłogi płytę i położyli go na niej. Szpieg zastanawiał się, ile mieli powietrza i czy ich ranny towarzysz przeżył tę podróż.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Uruchomił rolligon i ruszył równoległe do kolejki; po paru minutach znad horyzontu dokładnie przed nim wyskoczyło Słońce, tak samo jasne i ostre jak w południe, bo jego światła nie rozpraszała i nie tłumiła tutaj żadna atmosfera. Kolej ciągnęła się idealnie prosto, pylony omijały drobne krateru uderzeniowe i stawały się wyższe, przechodząc przez szerokie, płytkie obniżenie terenu. Kiedy ślady pasażerów wagonika skrzyły na północ, wzdłuż zewnętrznego skraju któregoś krateru, szpieg na moment stracił je z oczu. Cofnął się, wypatrzył wyrzuconą przez kogoś jaskrawożółtą puszkę, podjął ślad i poszedł nim dalej.

Po paru kilometrach ślady butów i wlezionej płyty znów skrzyły na północ i przeskoczyły przez niską krawędź średniej wielkości krateru. Szpieg zatrzymał rolligon i rozejrzał się wokół, za jego plecami horyzont obramowywała estakada kolejki, reszta księżycowego krajobrazu była pusta i martwa. Zatrzasnął hełm na głowie, zsiadł i poszedł tropem na szczyt krateru, gdzie na płytkim kopcu z lodowego gruzu stała płaska płyta fullerenowego kompozytu - brakująca część podłogi wagonika. Rozkopał gruz u podnóża płyty i odsłonił hełm o całkiem zaszczonej szybie.

Skafter był zamrożony, ciało w środku zamrożone na kość. Po dłuższej walce udało mu się zdjąć z niego hełm. Poczul wielką falę ulgi, gdy okazało się, że trup jest płci męskiej, a twarz ma białą i twardą jak marmur. Rozebrał go do piersi, podłączył kabelek swojego skafandra do portu serwisowego tamtego i zajrzał w akta osobiste w jego pamięci. Zmarły nazywał się Felice Gottschalk, urodzony w habitacie-ogrodzie zwanym Pagórek Dvoskina, obecnie mieszkaniec Paryża. Architekt-stażysta i artysta dźwiękowy, dwadzieścia trzy lata, bezdzietny. Idealny.

Ani przez moment nie myślał o zmarłym, ani o ciągnących go ludziach, którzy pochowali go tutaj w nadziei, że wrócą po niego sami lub powiedzą innym. Nie zaprzętał sobie głowy tym, czy dotarli do bezpiecznej stacji, czy też skończyło im się powietrze lub prąd i zginęli gdzieś na jałowej równinie. Jego ciekawość była ściśle praktyczna. Z wyjątkiem Zi Lei, ludzie intereso-



wali go tylko, jeśli byli dlań niebezpieczni lub użyteczni.

Dłatego bez ceregieli i skrupułów zawlókł trupa do rolligonu, wcisnął do zewnętrznego bagażnika i ruszył na południowy wschód. Kolej za jego plecami schowała się za horyzontem. Kiedy zobaczył przed sobą długi rozbłysk lodowego urwiska, skręcił w jego stronę.

Urwisko, pęknięcie tektoniczne powstałe, kiedy Dione stygła, a lodowa skorupa się kurczyła, miało ponad sto metrów wysokości. Częściowo się pozawałało, tworząc małą, płytką nieckę. Szpieg zjechał po płatowatej pochyłości ze zbitego lodowego gruzu, zaparkował w cieniu lodowej ściany i zakopał trupa Felice'a Gottschalka głęboko wśród odłamków, w miejscu gdzie nikt go nigdy nie znajdzie.

Podgrzał w mikrofalówce i zjadł porcję ryżu, czarnej fasoli i grzybków shiitake, a potem zabrał się do pracy. Połączył swój profil biometryczny i genetyczny z danymi biograficznymi z akt Felice'a Gottschalka, zapisując to wszystko na chipie identyfikacyjnym swojego skafandra. Taka fałszywa tożsamość była w stanie przejść pobieżne sprawdzanie przez wojska okupacyjne - kiedy uda mu się dotrzeć do którejś z kryjówek, które pozakładał w mieście, kiedy w nim mieszkał, zmieni sobie wygląd i odciski palców za pomocą zastrzyków z półżywego kolagenu. Zdrzemnął się do zmiernych na fotelu kierowcy, rozkoszując się jałowymi, ale przyjemnymi marzeniami o Zi Lei. Później podjechał bliżej Paryża.

Był pewien, że tam ją znajdzie. Jeśli podczas wojny udało się jej uciec z bezpośredniego sąsiedztwa miasta, teraz już na pewno schwytały ją patrole sił okupacyjnych i przeniosły do któregoś z obozów więziennych. Jeśli nawet udało jej się dotąd uniknąć schwywania, jeśli ukrywa się w jakiejś dalekiej oazie czy schronisku, tam też ją znajdzie. Znajdzie, choćby miał poświęcić na to resztę swojego życia.

\*\*\*

Szpieg wreszcie dotarł do martwego miasta.

Podjechał tak blisko krateru Romulusa, na ile wystarczyło mu odwagi, i przeszedł przez jego krawędź około trzydziestu kilometrów od Paryża, trafiając na jedną z kryjówek-składów, jakie pozakładał przed wojną. Zrobił sobie parę drobnych kosmetycznych modyfikacji, odpowiednio zmienił dokumenty tożsamości, zabrał igłę z danymi zawierającą kopie zapasowe szpiegowskich demonów i kiedy zapadła noc, przekradł się przez przedwieczne lawiniska i wachlarzowate gruzowiska do punktu obserwacyjnego znajdującego się niecałe dwa kilometry od miasta.

Podłużny namiot stał ukośnie na wewnętrznym zboczach krateru i zbiegał na płaskie dno poniżej niego. W środku było widać słabo oświetlone budynki. Farmy rurowe były ciemne, podobnie jak teren wokół nich, z wyjąt-

kiem portu, zalanego światłem setek reflektorów. Na lądowiskach stały trzy brazylijskie promy. Obok nich ekipa robotów budowlanych pracowała nad szkieletem nowego namiotu.

Szpieg przespał się, póki na horyzoncie nie pojawił się mały krążek Słońca, a krajobrazu nie poprzecinał labirynt cieni. Rozejrzał się, czujny i przytomny, dostrzegając na północnym wschodzie słabą iskierkę. To była kopuła mieszcząca ośrodek naukowy, w którym więziono Zi Lei i innych członków ruchu pokojowego. Zaswedziała go zagojona rana na barku. Ciało pamięta.

Zi Lei przyszła do niego po pomoc, kiedy w mieście ogłoszono stan wojenny, a strażnicy zaczęli zamykać co ważniejszych członków Nieustającej Debaty Pokojowej. Oszołomił ją narkotykiem, zmusił do połknięcia nadajnika i wydał miejskim strażnikom, bo musiał się dowiedzieć, gdzie trzymają tych wszystkich pacyfistów - miał rozkaz zlokalizowania guru genetycznej Avernus i zdrabcy Macy Minnot, które obie mocno wspierały ruch na rzecz pokoju. Choć podczas ucieczki z miasta na samym początku wojny został ranny, udało mu się dotrzeć do zaimprovizowanego więzienia, zsabotować jego zabezpieczenia i rozprawić się ze strażnikami... ale potem wszystko wzięło w łeb. Ktoś obezwładnił go strzałką usypiającą i zostawił tam, podczas gdy reszta więźniów, w tym Zi Lei, uciekła. Miał niewyraźne wspomnienie, że kiedy tracił przytomność, Zi Lei nachyliła się nad nim i szepnęła, że wie, że jest dobrym człowiekiem. Miał nadzieję, że to prawda. Miał nadzieję, że wybaczy mu, kiedy ją odnajdzie.

Obserwował podjeżdżające do farm rurowych wokół miasta wojskowe pojazdy. Wysiadły z nich postacie w niebieskich skafandrach - brazylijscy żołnierze. Podchodzili do śluz na końcach rur. Po chwili ukazywali się ludzie w skafandrach Zewnętrznych, żołnierze ustawiali ich w kolumny, niektóre z nich odmaszerowywały na pola organizmów próżniowych na równinie dookoła miasta, inne szły przez place przeładunkowe do wielkich śluz na wschodnim krańcu miasta.

Kiedy wszystko się uspokoiło, szpieg podczołgał się bliżej i znalazł kryjówkę w małej szczelinie blisko drogi, pomiędzy miastem a polami organizmów próżniowych. Przespał się parę godzin, a potem całkiem oprzytomniał, gdy drogą przeszły szeregi więźniów poganianych przed strażników na trójkołowcach o pękatych oponach. Gdy minęła go ostatnia kolumna, wstał i dołączył do niej, idąc razem ze wszystkimi w stronę farm rurowych. Nikt nikogo nie liczył, nikt nie sprawdzał tożsamości. Kiedy wszedł razem z innymi Zewnętrznymi do śluzy, drzwi zatrzasnęły się jak gilotyna. Wrócił tam, gdzie było jego miejsce.

## ROZDZIAŁ 4

Cash Baker odzyskiwał przytomność stopniowo. Wynurzał się w chaos światła i hałasów, opadał z powrotem i wynurzał po raz kolejny. Wiedział, że został ciężko ranny i że nadal jest poważnie chory, ale nie pamiętał, co się stało. Lekarz odpowiedzialny za jego rekonwalescencję i rehabilitację, doktor Jésus McCaffery, powiedział mu, że jego solówka została zaatakowana przez drony Zewnętrznych. Jeden z nich eksplodował blisko statku, a odłamek przebił kadłub i jego głowę. Statek ocalił mu życie, hibernując go; po akcji ratowniczej doktor Jésus i jego zespół utrzymywali go w śpiączce farmakologicznej, wyleczyli uszkodzenia, na nowo wyhodowując części jego mózgu i modyfikując sztuczny układ nerwowy pozwalający mu na pilotowanie solówek, a potem przywrócili go do świadomości w kolejnych starannie zaplanowanych krokach.

Doktor Jésus albo któryś z jego pomocników musiał mu to tłumaczyć kilka razy. Cash usypiał, budził się i na próżno starał się przypomnieć sobie, co się z nim działo. Spał, nie śniąc, a kiedy się budził, czuł się jak w sennym koszmarze, z którego nie da się uciec. Nie miał pojęcia, czemu jest przywiązany do łóżka na szpitalnym oddziale, brakowało mu sporych fragmentów życia. Według lekarzy, cierpiał na amnezję wsteczną. Wspomnienia nadal tkwiły gdzieś w głowie, ale gdzieś się zgubiły kody dające do nich dostęp. Doktor Jésus twierdził, że w miarę dochodzenia do siebie część pamięci wróci, lecz nie potrafił - lub nie chciał - powiedzieć, ile z nich przepadnie na zawsze.

Cash dużo spał, a większość czasu na jawie spędzał na walce z podstawową obsługą własnego ciała. Pielęgniarki chwalili go, gdy udało mu się wypróżnić, albo donieść do ust łyżkę, nie rozlewając więcej niż połowy zawartości. Zasypywali go pochwałami, gdy zapamiętywał krótkie serie niezwiązanych ze sobą rzeczowników, albo gdy doliczył od stu do zera krokami po trzy lub po siedem. Każdą z tych trudności pokonywał z tym samym zdecydowaniem i zapałem, co podstawowe szkolenie pilotów, szkołę pilotów-oblatywaczy oraz program testowy J-2. Do formy powracał zdumiewająco szybko. Zaledwie parę dni po odzyskaniu pełnej świadomości zaczął wstawać z łóżka i próbować chodzić prosto. Kulał, wykręcało mu nogi i miał skłonność do skręcania w prawo, zacisnął jednak zęby i poradził sobie z tym w niecałe dwie godziny, po czym padł i spał całą dobę.

Odwiedził go oficer wywiadu, powiedział mu, że jest bohaterem, i pokazał dwa nagrania, zgrabnie zmontowane i przesyczone ostentacyjnym patriotycznym zadęciem. Pierwszy dokumentował zejście dwóch solówek, jednej podobno pilotowanej przez niego samego, w atmosferę Saturna. Operacja Głęboka Sonda. Pokaz możliwości brazylijskich statków J-2, który skończył się zapierającą dech ucieczką w ostatniej chwili, z zastawionej przez Zewnętrznych podstępnej pułapki. Drugi śledził kurs bryły lodu, którą banda Zewnętrznych wycelowała w bazę Wspólnoty Pacyficznej na Febe, największym z zewnętrznych księżyców gazowego olbrzyma. Casha i dwójkę innych pilotów rzucono w pościg. Kiedy dogonili morderczą bryłę lodu, wywiązała się krótka, choć zaciepła walka z automatycznymi systemami obronnymi. Solówka Casha została uszkodzona, a on sam ciężko ranny. Według nagrania, ta bohaterska ofiara pozwoliła jego towarzyszom podłożyć bombę atomową, która rozbiła lód na nieszkodliwe odłamki. On zaś został uratowany i dzięki interwencji doświadczonych chirurgów oraz najnowszej technologii wyszedł cało z obrażeń i teraz dochodzi do siebie jako prawdziwy bohater Cichej Wojny. Nagranie kończyło się ujęciem generała Arvama Peixoto, głównodowodzącego połączonych sił ekspedycyjnych i operacyjnego szefa Rządu Trzech Mocarstw. Generał nachylał się troskliwie nad Cashem, leżącym w łóżku tak samo jak teraz, i pytał go, jak się czuje. Cash skrzywił się, widząc swój asymetryczny uśmiech, wyraźny wysiłek, z jakim unosił rękę, i sztywny, drżący kciuk.

Nie przypominał sobie wizyty generała, ataku na bryłę lodu ani zejścia w atmosferę Saturna. Nie poznawał części ludzi, którzy przychodzili go odwiedzić, choć oni ewidentnie dobrze go znali. Pamiętał oczywiście swojego najlepszego kumpla, Luiza Schwarcz, Caetano Cavalcantiego i paru innych gości z programu testowego J-2, innych za to nic a nic - nawet groźnej i pięknej blondynki, pani pułkownik Very Flamilion Jackson, która podobno brała razem z nim udział w tych dwóch misjach.

Kiedy zapytał Luiza Schwarcz o kumpla z koi obok, Colly'ego Blanco, ten zrobił kwaśną minę i powiedział, że Colly zginął. Poleciał na misję ratunkową i go zestrzelili. Pierwsza ofiara Cichej Wojny.

Cash także był ofiarą wojny. Sprawność fizyczną odzyskiwał z każdym dniem, za to z głową nadal było coś nie tak. Męczyły go gwałtowne bóle głowy, często się wściekał, płakał, albo wpadał w depresję pozbawiającą wszystko wokół barwy i znaczenia. A tymczasem wykonywał ćwiczenia fizyczne i robił co mógł, żeby wypadać jak najlepiej na testach pamięci i myślenia, aplikowanych mu przez zespół doktora Jésusa. Oraz spał.

Luiz Schwarcz zaglądał do małego boksu Casha, kiedy tylko mógł. Przynosił mu zakazane przysmaki: trochę cachaçy w woreczku, kostki czekolady, świeżą brzoskwinie. A także, na prośbę Casha, lusterko. Wprawdzie miał już okazję obejrzeć siebie na szpitalnym łóżku, pod koniec

drugiego nagrania, sądził więc, że jest przygotowany na to, co zobaczy w lusterku. Ale nie był. Film musiał być poprawiony. Przeedytowany kosmetycznie. Już na nim wyglądał kiepsko, w lusterku było jednak jeszcze gorzej. Wyglądał jak własny ojciec. Jak własny, kurna, ojciec, na łożu śmierci, umierający na galopujący nowotwór, który zamienił mu płuca w czarną maź.

- No, wyglądasz jak człowiek, który miał w głowie dziurę na wylot. A jak masz wyglądać? - powiedział Luiz. Siedział na brzegu łóżka Casha, bo nie było gdzie usiąść; żyłasty facet o skórze koloru kawy, z cieniutkim wąsikiem, schludny i elegancki w wyprasowanym niebieskim kombinezonie. - Nie znam nikogo, kto byłby na tyle uparty, żeby to przeżyć.

- Nie wiem, czy przeżyłem. Rozumiesz, nie jestem tym samym człowiekiem, co kiedyś.

- No co ty, bohater z ciebie i tyle. Certyfikowany, poświęcony, pozłaczony bohater. Pierwszy gatunek - powiedział Luiz.

- Raczej gnojek, który wszystko spierdzielił.

- Parszywa była ta misja. A ty podszedłeś blisko i zdjąłeś obronę. Działa elektromagnetyczne i drony. Gdybyś tego nie zrobił, nie byłibyśmy w stanie wetknąć tam tej atomówki, która rozwalila w proch cały ten lód. A skoro już mowa o tym, kto co spierdzielił, to raczej trzeba mówić o mnie i Verze. Bo nie mogliśmy cię uratować, kiedy rozwalila ci się solówka.

- Ja tam nic do was nie mam. Musieliście wykonać zadanie - powiedział Cash.

- I wykonaliśmy. A potem powinniśmy wrócić po ciebie...

- Zrobiliście, co do was należało - warknął Cash, płynąc na rozpalonej fali złości. - Musieliście mnie zostawić. Wielkie mi co. Daj sobie z tym spokój. Bo już mi się rzygać chce od tego, kurwa, przeproszenia.

- Zmęczony jesteś - odparł Luiz. - Przyjdę później.

- A pewnie, spierdalaj. - Cash wiedział, że to, co robi, nie ma sensu, ale nie potrafił się powstrzymać. Słyszał własny głos: - Tylko do tego się, kurwa, nadajesz. Palant.

Jakby coś go opętało. Jak u tych bab w domu, co padały na ziemię, kiedy kaznodzieja przytykał im dłoń do czoła, co wiły się na podłodze i mówiły językami.

Gdy następnego dnia Luiz wrócił, Cash przeprosił go. Kumpel machnął ręką.

- *Não é nada.*

- Nie takie znowu nic - zaprotestował Cash. - Muszę sobie z tym poradzić. Wyjść z tego.

- Wyjdiesz, wyjdiesz - powiedział Luiz, choć łagodnym, smutnym spojrzeniem sam sobie przeczył.

Potem rozmawiali o wojnie. Według Luiza, zaczęła się na długo przed-

tem, zanim banda Zewnętrznych, nazywająca siebie Duchami, wycełowała tę lodową bryłę w Febe. A same operacje wojskowe, ataki na miasta, osady i statki Zewnętrznych były naprawdę tylko ostatnią fazą sprytniej i misternie zaplanowanej kampanii. Jeszcze zanim do układu Saturna przybyła wspólna brazylijsko-europejska ekspedycja, misje dyplomatyczne i handlowe przekonały niektóre miasta Zewnętrznych, by pozostały neutralne. Żeby się poddały bez jednego strzału. Do pozostałych natomiast przeniknęli szpiegdy, którzy dokonali sabotażu na kluczowych elementach ich infrastruktury. Rośliny upakowane w ciepłarnianych farmach zaczynały usychać, pozbawiając miasta nie tylko zapasów żywności, ale i tlenu; wodę zanieczyszczają środki psychotropowe, a powietrze wirusy grypy; do sieci informatycznych wpuszczano demony blokujące usługi albo zamulające je propagandowymi wiadomościami; sieci energetyczne stały się niepewne. Kiedy zaczynała się wojskowa faza wojny, ludność miast była już zniechęcona, chora i wyczerpana nieustanną walką z psującymi się systemami podtrzymywania życia. Większość poddała się od razu. Jakikolwiek opór stawiał tylko Paryż na Dione. A i on padł w jeden dzień.

Luiz powiedział Cashowi, że razem z resztą eskadry solówek spędzali czas na polowaniu na statki Zewnętrznych próbujące uciec z układu Saturna. Większość z nich była nieuzbrojona, a pozostałe też nie mogły się mierzyć z solówkami. Mimo to ponad połowie uchodźców udało się uciec. Teraz ukrywają się na Uranie. I nikt nie miał pojęcia, ilu ich tam jest ani co teraz knują.

- A czemu nie wylecieliście?

- Nie wylecieliście?

- No, za nimi.

- Za dużo mamy roboty tutaj - odparł Luiz. - Dobrzy jesteśmy w rozwalaniu różnych rzeczy. Tego nas uczyli. Ale żeby poskładać je z powrotem, to już nie bardzo. A naprawianie uszkodzeń tych miast to jest pikus w porównaniu z kontaktami z Zewnętrznymi.

Opowiedział Cashowi, że teraz kazali mu robić za taksówkarza, wożącego komandosów, cywili i sprzęt pomiędzy różnymi księżycami. Władzę nad układem Saturna sprawuje Rząd Trzech Mocarstw. Wspólnota Pacyficzna założyła małą bazę na Febe i kontroluje rozproszone osiedla na Japecie, Europejczycy dostali w zarząd Reę, a Wielka Brazylia kontroluje resztę. Wszystkie te małe i przeważnie niezamieszkane księżyce oraz Mima, Enceladusa, Tetydę, Dione i Tytana.

- No i jeszcze kłócimy się z Pacyfikami, kto rządzi Hyperionem - dodał.

- Nikt tam nie mieszka, ale robią o to aferę.

- Pieprzona polityka.

- Pamiętajsz, jak o mało co nie było wojny z nimi o Hawaje?

- Aż tak mnie nie rozpierdziło, żebym nie pamiętał.

- Nie przylecieli tu, żeby nam pomagać. I nie potrzeba nam było. Przyszli po swoją działkę. Pytanie brzmi: co oni zrobią z tym, co mają? I czego jeszcze chcą?

- Jak ma być znowu jakaś łojna, znaczy wojna, to muszą jeszcze pięchę potrenować - odpowiedział Cash i udał, że nie zauważył, że Luizowi drgnęła twarz.

\*\*\*

Pewnego dnia Casha odwiedził generał Arvam Peixoto. Wręczył mu medal i dystynkcje kapitana - wtedy właśnie się dowiedział, że dostał awans i wraca na Ziemię. Generał powiedział, że ludzie w domu muszą wiedzieć, jak wygraliśmy tę wojnę. Chciał, żeby Cash został emisariuszem albo ambasadorem ekspedycji. Żeby wytłumaczył wszystkim, jakich bohater-skich czynów tu dokonują, oraz posłużył przykładem własnej historii.

- Na razie nie za bardzo ją pamiętam - odpowiedział Cash.

- Tym się nie przejmuj. Mam ludzi, którzy mogą ci pomóc. To będzie bardzo przyjemne zadanie. Jesteś bohaterem i tak też cię będą traktować. Będziesz jeździć po wielkich miastach, gadać z VIP-ami na imprezach i bankietach, co wieczór pić dobre wino i jeść steki. No i kobiety, panie kapitanie, chyba nie muszą mówić, że lecą na bohaterów, co? Parę razy będziesz musiał coś powiedzieć, odpowiedzieć na parę pytań i tyle. Te mowy napiszą moi ludzie, i to oni będą zadawać te pytania, więc zawsze będziesz znał odpowiedzi. Przyjemne zadanie, prawda? I w dodatku w zupełności na nie zasłużyłeś. No to jak?

## ROZDZIAŁ 5

Brazylijczycy codziennie sprowadzali do upadłego miasta coraz więcej ludzi. Patrole poszukiwawcze rozeszły się po całej Dione, opanowując i zabezpieczając każdy habitat-ogród, oazę czy schronisko, wywożąc z niego mieszkańców i przerzucając ich do Paryża do obróbki: krótkie przesłuchanie, kontrola tożsamości, wszczęcie podskórnego nadajnika. Proces jak przemysłowy, mało elastyczny, ale wydajny. Miejska sieć i wszystkie kopie zawartych w niej danych podczas wojny zniszczono lub uszkodzono, Brazylijczykom udało się jednak sporządzić listę wicherzycieli przez przeszukanie biuletynów informacyjnych, publicznych for i prywatnych grup dyskusyjnych lub skrzynek pocztowych, a także rejestrów w sieciach miast, które przetrwały wojnę bez szwanku. Każdego, kto był kiedykolwiek członkiem dowolnej miejskiej instytucji, był radnym lub należał do jakiegokolwiek komisji, albo choćby publicznie lub prywatnie wypowiedział się przeciwko pojednaniu z Ziemią, przewożono do więzienia o maksymalnym rygorze, dawnego miejskiego zakładu poprawczego, obecnie potężnie rozbudowanego. Z pozostałych, kobiety w ciąży oraz osoby opiekujące się dziećmi odsyłano do obozu macierzyńskiego, a reszcie powiedziano, że mogą albo współpracować z Rządem Trzech Mocarstw albo spędzić resztę życia w obozie więziennym.

Prawie połowa więźniów wyznawała doktrynę pokojowego oporu i odmawiała pracy. Z początku Brazylijczycy usiłowali ich złamać. Otkazników poddawano publicznym rewizjom osobistym, losowo wybranych bito, zamykano w karcerach, albo nawet, na początku, urządzano egzekucje. Strażnicy kazali więźniom ustawić się w szeregu, po czym wyciągali z niego dwóch albo trzech, prowadzili do śluzy i wyrzucali na próżnię, musieli jednak zaprzestać tej praktyki, kiedy więźniowie zaczęli gremialnie chodzić za nimi i domagać się, żeby zabili wszystkich. Jeśli któregoś pozbawiono racji żywnościowych, reszta baraku solidarnie głodowała. Jeśli któregoś wybrano do pobicia, inni zgłaszali się na ochotnika na jego miejsce. I tak dalej. W końcu Brazylijczykom odechciało się nawracania otkazników i zostawili ich samym sobie, zamkniętych na kwarantannie, zaopatrywanych tylko w minimalne racje żywnościowe i oddechowe.

Szpieg postanowił pracować. Wyznawcy pokojowego oporu może i byli honorowi, odważni i nieugięci, ale także niespełna rozumu. W barakach



osłabną i umrą, a razem z nimi umrą ich zasady. Zresztą, on i tak nie ma z tym nic wspólnego. Nie jest ani Zewnętrznym, ani Brazylijczykiem. Ani więźniem, ani okupantem. Jest wolnym człowiekiem. Oddał się Brazylijczykom z własnej woli, bo to zapewniało mu największe szanse na znalezienie Zi Lei. Zdawał sobie sprawę, że to absurdalnie niebezpieczna eskapada, ale dzięki niej miał w swoim nowym życiu cel i sens. Od urodzenia szkolono go do roli kogoś innego, do noszenia przybranej tożsamości, infiltrowania ludności nieprzyjaciela i wykonywania tajnych misji. To właśnie robił przed wojną - jako Ken Shintaro sabotował infrastrukturę Paryża. I to właśnie robił teraz. Mimo niedożywienia, strachu i ciężkiej pracy, w duchu bardzo się cieszył.

Przez pierwsze tygodnie szpieg i jego towarzysze z więzienia, co do jednego samotni i bezdzietni mężczyźni, pracowali dwanaście godzin dziennie w ruinach miasta, pod minimalnym nadzorem. A kiedy nie pracowali, pozostawiano ich samym sobie - sami organizowali się w brygady do wykonywania rozmaitych prac gospodarczych: na zmianę gotowali, prali, wykonywali drobne zadania konserwacyjne, opiekowali się rannymi w bitwie o Paryż i późniejszych działaniach, zbierali do recyklingu mocz i odchody, pielęgowali krzewy owocowe, którymi wypełniona była zamieszkiwana przez nich farma rurowa, oraz dzielili się zebranych owocami, uzupełniającymi syntetyczną dietę.

Brygada szybko szpiega zaakceptowała. Zewnętrzni nie byli naiwni ani łatwowierni, ale naturalnie gościnni - dotąd nie nauczyli się podejrzliwie i nieufnie podchodzić do nieznanym. Poza tym, na pierwszy rzut oka było widać, że jego wydłużona budowa ciała, chwytnie duże palce u stóp oraz pomocnicze serca w tętnicach udowych i podobojczykowych oznaczają, że jest jednym z nich. Opowieść o poszukiwaniu ukochanej Zi Lei współgrała z ich romantyzmem. Powiedział im, że przed wojną aresztowali ją i wsadzili do więzienia, że bezskutecznie próbował ją znaleźć podczas ataku na miasto, kiedy powstał chaos, kiedy z nieba spadli żołnierze i roboty, szybko rozprawiając się z umocnieniami dookoła miasta - i że odtąd cały czas jej szuka.

Nikt w farmie rurowej nie znał przed wojną Zi Lei, nikt nie wiedział, czy ją przeżyła. Brazylijczycy trzymali kobiety i mężczyzn oddzielnie, nie było więc sposobu, by odkryć, czy jest w więzieniu, w którejś brygadzie robotników, albo, co najbardziej prawdopodobne, wśród otkazników. Szpieg nie śpieszył się. Nauczono go cierpliwości. Nie był jednak w stanie nie zastanawiać się ciągle, gdzie ona jest i czy jest bezpieczna. Podejrzewał, że ta łagodna i bezradna tęsknota oznacza, że jest zakochany.

Brygada szpiega dostała zadanie zebrania zwłok obywateli, którzy zginęli, kiedy Brazylijczycy zdobywali Paryż. Wdarli się do miasta na obu końcach namiotu i posuwali ku jego środkowi wśród zacieklej walk ulicz-

nych o każdą przecznicę. W ostatnim rozpaczliwym ruchu obrońcy miasta wysadzili i podpalili publiczne budynki, a potem zdehermetyzowano namiot i z miasta uciekło powietrze. Zginęła połowa mieszkańców, około dziesięć tysięcy ludzi.

Pracowali w dolnej części miasta, wśród fabryk, warsztatów i starego typu bloków mieszkalnych. Tam właśnie przed wojną mieszkał szpieg, jako Ken Shintaro. Dziwnie się poczuł, wracając tam teraz. Przywrócono już zasilanie, ale miasto wciąż było pod próżnią, zamrożone w temperaturze minus 200 stopni. Huragan wybuchowej dekompresji obdarł drzewa z liści i gałęzi; stały teraz gołe i zamrożone na kość wzdłuż szerokich alej. Zamarzała także półżywa trawa wyściełająca aleje, rośliny w parkach i ogródkach, wszystko powoli blakło w ostrym świetle żyrandoli.

Podczas walk uszkodzono większość budynków, mało który pozostał nienaruszony. Wszędzie było pełno trupów, w mieszkaniach, na dziedzińcach bloków, w piwnicach. Padli tam, gdzie zastała ich próżnia, na otwartej przestrzeni, stłoczeni wokół drzwi, we wnękach sypialnych, w słuzach. Najłatwiej było poradzić sobie z tymi, co zginęli ubrani w skafandry próżniowe. Reszta była jak posągi przymarzniałe do podłogi albo do siebie nawzajem. Ręce i głowy opuchnięte i poczerniałe od zmiany ciśnienia, twarze zalane krwią z oczu, uszu, ust i nosa, oczy przerażone, wysunięte obrzmiałe języki. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Niemowlęta.

Brygada pobierała z nich próbki DNA do analizy, dokumentowała i zbierała wszystkie osobiste przedmioty, a potem za pomocą łomów i klinów odkuwała przymarzniałe zwłoki i ładowała na sanie, wyjeżdżające z miasta słuzami, których potrójne drzwi były na stałe otwarte na oścież. Roboty budowlane wykopały długie rowy w lodowym regolicie tuż za wschodnim brzegiem pól organizmów próżniowych, ciała wrzucano do nich bez ceregieli i przysypywano lodowym żwirem. Całkiem jakby Brazylijczycy chcieli jak najszybciej pozbyć się śladów własnego okrucieństwa.

Po usunięciu wszystkich trupów z miejsc publicznych, praca czyścicieli zmieniła się w poszukiwanie makabrycznych ukrytych skarbów. Przeszukiwali bloki mieszkalne pokój za pokojem. Zaglądali do piwnic i tuneli technicznych. Do pakamer i szaf, w których ludzie chowali się lub szukali ostatnich haustów powietrza. Wszyscy pracowali otumanieni z wyczerpania. Odwracali wzrok od twarzy zmarłych, podważając ich łomami, kując i tnąc. Przeklinali sztywne i nieustępliwe trupy, siadali i płakali, zaganiani z powrotem do pracy przez brazylijskich strażników.

Krażyły okropne historie o znajdowaniu ukochanych, partnerek, rodziców, dzieci - a praca i bez tego była jednym pasmem makabry. Wielu ludzi z brygad czyszczących popełniało samobójstwa. Niektórzy dramatyczne - zdejmowali hełm albo rzucali się pod gaśnice robotów budowlanych burzących poważnie uszkodzone budynki - większość jednak znajdowała

jakąś kryjówkę i uszkadzała sobie absorber oczyszczający powietrze. Mówiło się, że to nie jest takie straszne. Podnosi się dwutlenek węgla, robisz się senny, zapadasz w miłosierny sen.

Samobójców wrzucano do tych samych rowów.

Któregoś dnia szpieg stał w szeregu z resztą brygady, koło jednej z wielkich śluz. Wszyscy chwalili się ze zmęczenia w skorupach skafandrów, czekając, aż zbrojna eskorta odprowadzi ich z powrotem do farmy rurowej, w której mieszkali. Nagle przejechały sanie pełne trupów. Coś przykuło jego wzrok: na stercie ciał leżała kobieta o gładkiej twarzy, bladej i twardej jak u marmurowej rzeźby, chorągiew sztywnych czarnych włosów, drobne fałdki w kącikach oczu, zadarty nos. To była ona. To była Zi Lei. Wyskoczył z szeregu, pobiegł za saniami i dogonił je. Z ogromną ulgą zobaczył, że martwa kobieta jednak nie była Zi Lei. Zaraz rzuciło się na niego dwóch strażników. Przewrócili go na ziemię, zaciągnęli do bloku karnego, rozebrali ze skafandra, od niechcienia trochę pobili, wsadzili do celi i zostawili na całą noc bez jedzenia i wody. A rano wręczyli mu skafander i wysłali go z powrotem do pracy.

Nikt z brygady nawet się nie zająknął o jego chwilowym szaleństwie.

Szpieg był już w mieście od ponad sześćdziesięciu dni i nadal nie miał cienia informacji o Zi Lei. Między więźniami zaczęło działać coś w rodzaju telegrafu. Przy większych przedsięwzięciach czasami łączono brygady - więźniowie mogli wtedy wymieniać się informacjami przy użyciu języka migowego, porozumiewając się niemal na oczach strażników. Wszyscy rozpytywali o wszystkich. Ustaliło się coś w rodzaju listy obecności żywych, martwych i zaginionych. Zi Lei była wśród zaginionych. Nikt o niej nie słyszał. Jakby zniknęła ze świata.

Może i tak było.

Któregoś dnia szpieg poszukiwał trupów przez cały dzień i znalazł tylko jednego. Przez kolejne trzy dni - żadnego. I nagle, bez ostrzeżenia, wszystkich ich wysłano do pracy na polach organizmów próżniowych.

Podczas wojny zniszczono większość miejskich farm rurowych oraz hodowli mikroglonów i drożdży spożywczych, a zasiane w nowych lub wyremontowanych farmach rurowych rośliny nie dały jeszcze plonów, zaczęto więc kosić zagony organizmów próżniowych na południe i wschód od miasta, żeby zapewnić automatom dietetycznym produkującym racje dla więźniów zapasy pierwiastków CHON. Któregoś dnia dzięki tej pracy brygada szpiega znalazła się blisko kopułki stacji badawczej, w której więziono Zi Lei i innych członków ruchu pokojowego. Poszedł tam wtedy, żeby ją uratować; wtedy właśnie widział ją ostatni raz. I oto był znowu w tym samym miejscu. Pomagał zeskrobywać narośle porostów z zapyłonego lodu, a kopuła stała sobie na płaskim wzniesieniu nieopodal, świecąc na tle czarnego nieba. Przypominał sobie, co się tam stało, kiedy był zupełnie kimś innym.

Do tego czasu uszkodzenia miejskiego namiotu zostały naprawione i trwało napełnianie go na nowo przez wytwornice atmosfery, które rozkładały wodę na wodór i tlen, wodór magazynowały jako paliwo, a tlen mieszały z azotem i dwutlenkiem węgla ze zbiorników. Na początku dwutlenek węgla opadał jako śnieg, choć w miarę jak miasto się ogrzewało, zaczynał sublimować z powrotem - a potem temperatura przekroczyła punkt topnienia wody i wszystko zaczęło rozmarzać. Całe miasto zmieniło się z mroźnej kostnicy w buzujące rozkładem cmentarzysko. Drzewa, tając od środka, traciły korę i gałęzie. Rośliny więdły i rozkładały się w czarną maź. Szaleńczo mnożyły się bakterie i grzyby, których przetrwalniki zniosły lodową próżnię. Namiot wypełnił potworny smród zgnilizny i pleśni. Drony z czujnikami metanu wyszukiwały niewykryte zwłoki. Brygada szpiega powróciła na parę tygodni do poprzedniego ponurego zajęcia, a potem zapędzono ich do remontowania nawierzchni dróg rozbitych wybuchami podczas zaciekłych walk i sprzątania gruzu z wyburzonych budynków.

Od upadku Paryża minęło 150 dni. Ciśnienie pod namiotem osiągnęło 400 hPa, niewiele, ale już wystarczająco do oddychania. W większości dzielnic był prąd. Rzeka popłynęła na nowo, zasilana wodospadem na górze miasta spływała skalistym korytem pomiędzy stokami pełnymi uschniętych drzew i martwym parkiem w pochyłej części miasta, przez centrum jego płaskiej, zabudowanej części, na koniec znikając w rurociągu, który recyrkułował ją z powrotem na górę. Prace przy odbudowie nabrały tempa - z peryferii Dione zwożono do miasta coraz więcej więźniów. Brygady remontowe wywoziły gruz i ścinały uschnięte drzewa. Wyremontowały stację kolejową na szczycie miasta i wielki zespół śluz na samym dole. Połatały budynki mieszkalne.

Brygadę szpiega przesiedlili do jednego ze starych, kwadratowych bloków mieszkalnych na skraju dzielnicy przemysłowej, bardzo podobnego do bloku, w którym mieszkał, gdy pierwszy raz przeniknął do miasta. I w którym poznał Zi Lei. Do sąsiednich bloków wprowadziły się inne brygady. Z początku tylko mężczyźni, potem kobiety i dzieci. Rodziny i przyjaciele padali sobie w ramiona. Powoli ożyła cała dzielnica. Przedsiębiorczy ludzie porozstawiali na ulicach prowizoryczne kawiarnie z herbatą i przekąskami, zaczęli uprawiać na małych grządkach zioła i warzywa. Zbudowano stragany, gdzie kwitł handel wymienny. Powstał nieformalny rejestr kudosów. Wzdłuż brzegów rzeki ludzie upamiętniali zmarłych bliskich, budując małe ogródki skalne z gruzu i szkła, przyklejając do nabrzeża tabliczki albo wbijając w ziemię druciane maszty z malowanymi flagami i proporcami, powiewającymi w zmiennych wiatrach wentylacji. Na podziurawionych kulami murach pojawiły się murale. Modne było ozdabianie mankietów identycznych kombinezonów maleńkimi, misternymi abstrakcyjnymi haftami. Zaczęły się recitale poezji, festiwale piosenek, naukowe i filozo-

ficzne grupy dyskusyjne.

Większość miasta jednak nadal wyglądała fatalnie, jak pobojojwisko. Półżywa trawa wyściełająca ulice uschła i kruszyła się na pył; parki i ogrody pozostały nieobsadzone; wiele poważniej uszkodzonych budynków nie nadawało się do użytku. Okupant bezwzględnie pilnował godziny policyjnej i innych zakazów, od dziesiątej do szóstej rano odcinając prąd w blokach. Brazylijskie drony bezustannie krążyły w połowie wysokości między sklepieniem namiotu a płaskimi dachami budynków starej dzielnicy. Śmiercionośne, błyszczące maszyny, buczące leniwie i migające stroboskopowo światłkami. W nocy puste ulice przeszywały czerwone nitki ich śledzących laserów. A czasem brazylijskie patrole robiły nocne naloty na bloki. Budziły wszystkich, robiły w pokojach rewizje, konfiskowały różne przedmioty, spędzały wszystkich na dziedziniec, zdeptywały drogie rośliny i dokonywały przypadkowych aresztowań. Większość ludzi wracała po dwóch czy trzech dniach, nieprzytomna z braku snu i od leków na prawdomówność. Niektórzy nie wracali.

Do miasta wprowadzili się także Brazylijczycy, odgradzając cały obszar na zachód od wypalonych ruin Giełdy i Senatu. Zamienili centralną część miasta i spadzisty park powyżej w coś w rodzaju twierdzy lub strefy zakazanej, chronionej ciężkimi murami i zwojami inteligentnego drutu. Nakryty namiotem i zachowany dość dobrze blok mieszkalny, który zachował hermetyczność po przebiciu miejskiego namiotu, zaadaptowali na siedzibę nowych władz układu Saturna. Regularne kursy holowników i gigów woziły urzędników i oficerów na orbitę i z powrotem - a z portu pośpiesznie przerzucano ich do tej, jak to się teraz nazywało, Zielonej Strefy.

Kiedy zaczęli rekrutować Zewnętrznych do prostych prac w Zielonej Strefie, szpieg zaczął wkradać się w łaski swoich strażników. W odróżnieniu od większości Zewnętrznych mówił płynnie po portugalsku, zaczął więc oprócz normalnej pracy załatwiać strażnikom różne sprawy - i udawał, że nie przeszkadza mu, że robią mu debilne kawały. W końcu zasłużył sobie na krótką rozmowę z oficerem bezpieczeństwa i dostał pracę w Biurze Ewidencji Strat Cywilnych - sprawdzał tłumaczenia plików odzyskanych ze speksów i tabletek Zewnętrznych, którzy zginęli.

Przy pierwszej okazji wpuścił do brazylijskiej sieci swoją menażerię demonów, w tym agenta poszukującego, który szybko wrócił z wynikami przeszukiwania wielkich rejestrów żywych i umarłych. Nazwiska Zi Lei wśród umarłych nie było, ale nie znalazła się także na listach otkazników i robotników przymusowych. I choć demon przedstawił mu zdjęcia znacznej liczby dwudziestotrzyletnich kobiet zebranych z akt i kamer monitoringu, wszystkie tylko minimalnie przypominały Zi Lei. Mało prawdopodobne zatem, żeby żyła pod zmienioną tożsamością. Trochę więcej czasu i dwóch kolejnych demonów było potrzeba, żeby włamać się do chronionych i

mocno zaszyfrowanych systemów łącznościowych i wysłać poszukiwacza do władz innych okupowanych przez Brazylijczyków księżyców. Zi Lei nie było w rejestrach na Mimasie, Enceladusie, Tetydzie ani Tytanie.

Szpieg nie przyjmował do wiadomości, że mogła być na pokładzie któregoś z orbitujących wciąż wokół Saturna martwych statków. Nie, ona żyje. Musi. Może uciekła statkiem, któremu udało się przedostać na Urana. Może uciekła na Reę albo Japeta.

Reę kontrolowała Unia Europejska, Japeta - Wspólnota Pacyficzna. Z ich sieciami nie miał bezpośredniego połączenia. A może nadal była na Dione i należała do aktywnego ruchu oporu, którego członkowie ukrywali się w mieście lub schronach dotąd niewykrytych przez siły okupacyjne. Szpieg wstawił do brazylijskiej sieci demona i kazał mu analizować każdy kadr ze wszystkich kamer monitoringu pod kątem twarzy Zi Lei, a potem zabrał się za nawiązywanie kontaktów z ruchem oporu.

Codziennie krążyły nowe plotki o sabotażach, o nękanii wojsk okupacyjnych. Plutony przeszukujące odległe schroniska trafiały w zasadzki; pod drogami podkładano ładunki wybuchowe; w Zielonej Strefie zdalnie sterowana bomba zabiła kilku cywilnych doradców. Wybuch nastąpił niedaleko budynku, w którym pracował. Ogłuszający huk wyrzucił go z fotela; kiedy się pozbierał, zobaczył buchający pod strop namiotu słup czarnego dymu. W niecałą godzinę żołnierze przeczesali wszystkie biura. Tak jak reszta Zewnętrznych został aresztowany, pobity i pobieżnie przesłuchany. Fałszywa tożsamość wytrzymała - dwa dni później z powrotem pozwolili im pracować, choć przejście przez wzmożone kontrole na bramkach zajmowało teraz ponad godzinę, a wszyscy obcy przebywający w Zielonej Strefie musieli ciągle przechodzić losowe zatrzymania i przeszukania.

Z początku jego ostrożne pytania o ruch oporu spotykały się tylko z milczeniem lub zaprzeczeniami. Parę osób z życzliwością powiedziało mu, że zrobią, co się da, żeby poszukać Zi Lei, ale więcej się nie odezwali. Któregoś dnia, kiedy wracał z domu do pracy, zaskoczyło go dwóch mężczyzn. Obaj mieli na głowach kominiarki, z dziurami na oczy i usta. Jeden przytknął mu nóż do gardła, a drugi, dużo starszy, powiedział, że robi za dużo szumu w sprawach, którymi nie powinien się interesować. Mógłby ich obu obezwładnić albo zabić w niecałe trzydzieści sekund, udał jednak, że jest przerażony i wstrząśnięty. Odpowiedział, że rozpaczliwie chce znaleźć kobietę, którą kocha, że ma pracę w Zielonej Strefie i może im się przydać. Ma dostęp do przydatnych informacji, robi, co tylko zechcą. Wystarczy poprosić.

Starszy pokręcił głową.

- Właśnie dlatego nie możemy ci ufać. Bo pracujesz dla nich. Nie pchaj się w nasze sprawy. Znajdź sobie tę kobietę, ale bez nas.

Szpieg pozwolił im odejść, zapamiętując ich ruchy. I właśnie po nich

parę dni później poznał młodszego. Zaczął go śledzić, gdy szedł do domu, dowiedział się, jak się nazywa. Ciągłe go obserwował, licząc, że doprowadzi go do innych członków ruchu oporu, kiedy Brazylijczycy aresztowali trzy kobiety i obwieścili, że to one podłożyły bombę w Zielonej Strefie. Odbył się pokazowy proces, oskarżone uznano za winne i następnego dnia wszystkim robotnikom przymusowym kazano zgromadzić się na uschniętym trawniku największego miejskiego parku na egzekucję.

Szpieg trzymał się z tyłu tego tłumu, śledząc młodego mężczyznę, planując, że po wszystkim za nim pójdzie. Brazylijscy strażnicy, poruszający się z delikatną niezdarnością kogoś nieprzyzwyczajonego do słabego ciężenia Dione, wprowadzili na scenę trójkę skazanych, bosych i ubranych w nowe, niebieskie kombinezony. Oficer odczytał krótkie obwieszczenie, ostrzegając, że kolejne akty zdrady lub sabotażu, zakłócające odbudowę miasta i przywrócenie ładu, spotkają się z bardzo ostrą reakcją. Szpieg nie słuchał. Nawet nie zareagował, gdy trzy kobiety, jedną po drugiej, zabito strzałem w tył głowy. Zobaczył kogoś po drugiej stronie wielkiego tłumu - Keiko Sasaki, przed wojną przyjaciółkę Zi Lei. Kobietę, która się nią opiekowała.

Niemożliwe. Przekopał brazylijskie akta pod kątem wszystkich znajomych Zi Lei. Nazwisko Keiko Sasaki było na liście zmarłych. A tu proszę.

Gdy trochę się uspokoił, uświadomił sobie, że może być tylko jeden powód, dla którego ona jest na liście zmarłych, a żyje w mieście pod przybranym nazwiskiem - należy do ruchu oporu. Mimo ryzyka, natychmiast postanowił, że musi jak najszybciej z nią porozmawiać.

Ustalenie, że pracuje w miejskim szpitalu i mieszka w tym samym bloku, co dziewczyna śledzonego faceta, zajęło mu niecałe dwadzieścia cztery godziny. Wątpił, żeby to był zbieg okoliczności, i uznał, że konfrontować się z nią tam będzie zbyt niebezpiecznie. Zrobił coś innego: trzy dni po egzekucji podkrał się do niej w szpitalu, nalepił na kark plasterek z narkotykiem, chwycił ją, kiedy padała, i zaciągnął do pakamery.

Gdy odzyskała przytomność, przez chwilę szarpała się z plastikowymi złączkami, którymi przywiązał do regału jej kostki nóg i przeguby rozpostartych rąk. Zaczęła coś mruzczyć pod półżywym bandażem, którym zakleił jej usta.

Pokazał jej nóż, który zmajstrował z odłamka fullereny, powiedział kim jest i dodał, że zabije ją, jeśli krzyknie po zdjęciu knebla.

- Nie powiem Brazylijczykowi, że jesteś w ruchu oporu. To mnie nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko Zi Lei. Kiwnij głową, jeśli będziesz rozmawiać.

Keiko Sasaki machnęła głową w górę i w dół. Szczupła kobieta sprawiała wrażenie, że odkąd szpieg ostatni raz ją widział, postarzała się o dziesięć lat. Twarz miała zapadniętą, oczy opuchnięte, ale spojrzenie wściekle i bystre.

Nawet się nie skrzywiła, gdy zdarł jej z ust półżywy bandaż.

- Słyszałam, Ken, że zginąłeś.
- A ja słyszałem, że ty zginęłaś. A tu proszę. Gdzie ona jest?
- Co zrobiłeś z twarzą?
- Gdzie ona jest?

Keiko Sasaki wzdrygnęła się, gdy przycisnął czubek zaimprovizowanego ostrza tuż pod jej lewym okiem. Szybko odpowiedziała:

- Nie wiem, gdzie jest. Miała rodzinę na Japecie. Słyszałam, że jak uciekła z więzienia, próbowała się dostać na któryś statek wylatujący z Dione. Nie wiem, czy doleciał, może to był jeden z tych, które miały pecha. Ale wiem, że jeśli dotarła na Japeta, jeśli przeżyła, to tam nic jej z twojej strony nie grozi.

- Nic mi nie powiedziała, że przyleciała tu z Japeta.

- Ty w ogóle za dużo o niej nie wiesz, co? Póki ci nie powiedziałam, nawet nie miałeś pojęcia, że choruje na schizofrenię. W ogóle cię nie interesowała jako osoba. Tylko jako przedmiot twojej obsesji. Ubzdurałeś sobie, że jesteś jej przyjacielem, że się kochacie. A naprawdę byliście dwiema samotnymi i dezorientowanymi osobami, które los zderzył ze sobą w trakcie kryzysu, kiedy szaleją emocje.

- Próbujesz mnie zranić. Nie uda ci się.

- Próbuję powiedzieć ci prawdę.

- Chcę jej pomóc.

- Obojętne gdzie ona jest, żyje czy nie żyje, nie możesz jej pomóc. Ale wiesz co? Możesz pomóc nam. Przyłączyć się do nas. Jak widać, umiesz zakładać fałszywe tożsamości. Musiałeś, bo jesteś na brazylijskiej liście do odstrzału. To znaczy, że możesz nam się przydać. Potrzeba nam takich ludzi, Ken. Zaradnych. Takich, którzy potrafią przetrwać.

- Ken zginął na wojnie. Jestem Felice Gottschalk. A kiedy stąd wyjdę, będę jeszcze kimś innym. Twój przyjaciele nigdy mnie nie znajdą.

- Jeśli nam pomożesz, to może z czasem uda się znaleźć Zi Lei. Ty nam pomożesz, my pomożemy tobie.

- Nic się nie bój. Nie zabiję cię. Raz zabiłem człowieka i więcej tego nie zrobię - powiedział szpieg i ruchem szybkim jak myśl nalepił jej na czoło kolejny plaster. Złapał ją, kiedy osuwała się na bok.

Wyszedł z pakamery jako brazylijski komandos, Ari Hunter. Była to tylko skórka, parę wpisów w aktach brazylijskiej armii, ale powiązanych z jego twarzą, odciskami palców, wzorcami siatkówki i metabolizmu. Oraz jego DNA. Co prawda nadal wyglądał jak Zewnętrzny, ale nie miało to znaczenia. I tak będzie gadał tylko z AI i robotami pilnującymi bramek i garaży. A one wiedziały, że Ari Hunter potrzebuje rolligonu, bo przydzielono mu zadanie zbadania podejrzanego sygnału dobiegającego z północnego skraju Latium Chasma.



Tym razem mógł sobie spokojnie jechać po powierzchni małego księżycy, nie przejmując się wykryciem przez Brazylijczyków. Jego zadanie miało wszystkie papiery w porządku - choć oczywiście z powrotem wracać nie zamierzał. Planował odzyskać kapsułę, uzupełnić w niej paliwo i uciec z Dione. Nie był to idealny statek, ale niczego większego odważyłby się ukraść - za duże ryzyko. Kapsuła miała ciąg w sam raz, żeby osiągnąć prędkość ucieczki. Potem polecą spiralnym kursem na Japeta, zamaszczą, leniwą orbitą. Zabierze mu to ponad sto dni. Ale nie szkodzi. Żywności, wody i powietrza miał aż nadto, zresztą większość czasu spędzi w hibernacji. A kiedy się obudzi, znowu wyruszy na poszukiwanie ukochanej kobiety. To święta misja. Nikt go nie powstrzyma.

## ROZDZIAŁ 6

Loc Ifrahim zasługiwał na własny księżyc. A dostał śmietnik pełen zdechłych statków.

Kiedy wybuchła wojna, większość statków w układzie Saturna poległa w starciu z solówkami, dronami lub minami. Teraz automatyczne holowniki znajdowały je i przechwytywały, ściągając z wydłużonych, mimośrodowych orbit wokół Saturna i popychając w kierunku Dione. Tam parkowały je na orbicie równikowej, żeby czekały, aż zajmie się nimi ekipa odzyskowa.

Kilkanaście instytucji powołanych i luźno nadzorowanych przez Rząd Trzech Mocarstw próbowało odbudować w układzie Saturna zniszczoną infrastrukturę, znaleźć pożyteczne zajęcia dla dziesiątków tysięcy wysiedlonych Zewnętrznych, ustanowić kolaboracyjne władze i policję, wykorzystać umiejętności zewnętrznych guru genetycznych, inżynierów, naukowców i matematyków, oraz puścić gospodarkę z powrotem w ruch, tym razem w scentralizowanym, ściśle kontrolowanym modelu. Wszystko to wymagało regularnej sieci transportowej. Budowa statków od zera byłaby zbyt kosztowna, zatem naprawa i remont powojennych wraków stały się istotnymi elementami powojennej odbudowy. Loc Ifrahim pełnił cywilny nadzór nad operacją odzyskiwania, podlegał bezpośrednio Komitetowi Ekonomicznemu RTM. Odgrywał kluczową rolę w operacji kluczowej dla sukcesu okupacji. Mimo to czuł się wykorzystany i oszukany.

Przed wojną, jako członek brazylijskiego personelu dyplomatycznego, pełnił służbę w większości głównych miast w układach Jowisza i Saturna. Należał do komisji, która opracowała zastosowaną na wojnie taktykę; pomagał w przygotowaniu układu, dzięki któremu Camelot na Mimasie pozostał neutralny. A oprócz oficjalnych zadań wykonywał tajne misje dla generała Arvama Peixoto. I nie tylko zdobył dla generała kluczowe informacje, ale parę razy musiał pobrudzić sobie ręce. I był też prawdziwym bohaterem wojennym. Zewnętrzni porwali go i trzymali jako zakładnika w więzieniu pod Paryżem na Dione, kiedy wybuchła wojna, udało mu się uciec, dotrzeć do brazylijskiego flagowca i przynieść ważne informacje o losach guru genetycznej Avernus. To nie była jego wina, że Avernus z córką i świętą udało się uciec - a jednak był przekonany, że go za to ukarano.

Kiedy skończyła się wojna, mógł zdecydować, że wraca na Ziemię - przyjmąc skromny awans w korpusie dyplomatycznym albo zwolnić się i

zostać konsultantem którejś z firm składających oferty na prace budowlane w Układzie Zewnętrzny. On jednak wybrał bardziej ryzykowny, ale i potencjalnie bardziej zyskowny ruch - przyjął propozycję generała i został jego doradcą specjalnym. Płaca była przyzwoita, Loc jednak szybko uświadomił sobie, że generał tak naprawdę nie ma dla niego żadnych planów - po prostu chce go mieć blisko siebie. Bo za dużo wie. Bo jest zasobem, który kiedyś w przyszłości może się przydać. Trochę czasu poświęcał na komisje doradcze lub wywiadowcze, lecz jego główne zadanie - nadzór nad odzyskiem statków - wymagał od niego tylko przerzucania papierów tam i z powrotem, uczestniczenia w niekończących się dyskusjach na temat nieistotnych spraw i spędzania mnóstwa czasu na orbicie w zatłoczonej małej stacji, obsadzonej przez Zewnętrznych i kontrolowanej przez brazylijskie Siły Powietrzne. Powinien zarządzać dużym miastem albo którąś z instytucji od odbudowy czy pomocy. A przyszło mu wisieć nad głową nadzorowanych Zewnętrznych i oficerów lotnictwa oraz zbierać ciągi za obsuwy w harmonogramach, opóźnienia dostaw i byle jaką robotę.

W skrócie: robota była męcząca i trudna, ale nie dawała żadnych wpływów ani żadnej władzy, nie oferowała też okazji do zarobienia prawdziwych pieniędzy. Statki wypełniali ludzie uciekający przed wojną, ale ich rzeczy osobiste nie miały zbyt dużej wartości. Dotychczasowa gospodarka Zewnętrznych opierała się na użyteczności, nie na niedoborze, więc nade wszystko cenili wiedzę i doświadczenie oraz tak zwane kudosy - osobiste punkty w systemie handlu barterowego, przyznawane za przysługi, dobre uczynki i drobne uprzejmości. Jedyne, co było wartościowe na pokładzie martwych statków, to dzieła sztuki - te jednak na ogół wyprzedawano za bezcen jako pamiątki. Loc, który wiedział o sztuce Zewnętrznych tyle, by mieć świadomość, że wie bardzo niewiele, przyswoił sobie parę co lepszych dzieł, ale nie był w stanie sprzedać ich za tyle, ile były warte - ludzie z Ziemi przeważnie nie mieli pojęcia o tradycjach artystycznych i estetyce Zewnętrznych, na razie nie było więc rynku na ich sztukę.

A tymczasem, na stanowiska, które należały się Locowi, przywożono w teczkach młode pistolety z wielkich rodów, ze skromnym lub zerowym doświadczeniem i wiedzą o Jowiszu i Saturnie. Dla szarego człowieka jedynym sposobem, żeby się z nimi równać, było małżeństwo lub adopcja, Loc jednak, który urodził się w slumsach Caracas i wspiał się po szczeblach służby dyplomatycznej dzięki sprytowi, podstępom i bezwzględnej ambicji, spędzał o wiele za dużo czasu w Układzie Zewnętrzny, a nie na koktajlach w Brasilii. Wiedział, że nie będzie w stanie poderwać i zdobyć sobie kobiety o choćby minimalnym pokrewieństwie, jeśli nie zrezygnuje z ambicji dorobienia się na łupach wojennych i nie wróci na Ziemię. A na to nie był gotowy, nie po latach ciężkiej pracy, znoszenia upokorzeń i niebezpieczeństw. Musiał więc przelknąć zniechęć, jaką było obecne stanowisko, i

liczyć, że w swoim czasie zostanie należycie wynagrodzony za wszystko, co zrobił dla Arvama Peixoto, albo odkryje jakąś nieodkrytą okazję i wydoi ją do ostatka.

- Kiedyś się musi poprawić, wszystkim - powiedział jego kumpel i współpracownik Yota McDonald po tym, jak Loc długo i namiętnie wyładowywał się po swoim ostatnim upokorzeniu na Komisji Gospodarczej.

- Wcześniejsza rządowa emerytura mnie nie interesuje - odrzekł Loc. - Chcę dostać uznanie i awans, które mi się należą.

Siedzieli na tarasie kawiarni z widokiem na jedwabistą kurtynę półkolistego wodospadu, lądującego w niecce pełnej mokrych kamieni, paproci i poduszek olbrzymich mchów. Z niecki wypływała rzeczka, spływająca pomiędzy świeżo nasadzonymi drzewkami ku Zielonej Strefie, pośrodku Paryża. Taras, ze stylowymi drewnianymi stołami i białymi parasolami, doniczkami z drzewiastymi paprociami i czarnym bambusem, z girlandami lampek, był domeną wyższych urzędników cywilnych, dyplomatów i oficerów. Jedzenie było znakomite - krewetki i ryby hodowane na miejscu, homary i steki sprowadzane ogromnym kosztem z Ziemi. W rogu gitarzysta i flecista grali delikatną muzykę choro, unoszoną przez łagodną, chłodną bryzę, ożywioną żelazistym zapachem spadającej wody. Było to jedno z najprzyjemniejszych miejsc w mieście, ociekające luksusem, którego Loc tak pragnął - mimo to siedział ponuro w leżaku, szczupły, śniady mężczyzna ubrany w szyty na miarę kanarkowy garnitur i rozpiętą do pępka różową koszulę; wybrylantynowane czarne włosy spięte w kucyk z krótkich warkoczyków, zakończonych ceramicznymi koralikami. Dandys, którego przystojną twarz brukał wyraz zblazowanego cynizmu: już nie chciało mu się go ukrywać.

Jego towarzysz, Yota McDonald, był wytwornym, trochę pulchnym młodym człowiekiem. Przed wojną razem z Lokiem pracował w komisji analizującej informacje o miastach i najważniejszych politycznych graczach w układach Jowisza i Saturna. To ta komisja opracowała strategię asymetrycznej, „cichej” wojny, które okazały się tak skuteczne w walce z Zewnętrznyimi. Yota, jak Loc, lubił plotkować o błędach swoich przełożonych, ale nie dostawało mu ambicji Loca. Zadowalała go obecna pozycja, pośrodku hierarchii korpusu dyplomatycznego, cieszył się, że za parę lat wróci do Wielkiej Brazylii i wykorzysta premie, które skrzętnie odkładał, żeby się ożenić, a nawiązane kontakty - żeby załatwić sobie lukratywną posadę doradcy w sektorze prywatnym.

- Jesteś bystry i cwany, ale myślisz, że musisz dostać wszystko od razu - powiedział Locowi. - Dla odmiany spróbowałbyś cierpliwości.

- Chcę dostać, na co zasługuję, zanim umrę - odparł Loc.

- Pewnie, że tak. Ale szkoderie sobie, żeby to zdobyć, też nie ma sensu.

- Może ja już sobie zaszkodziłem na początku. Oddałem zdrowie i perspektywę małżeństwa w służbie Bogu, Gai i Wielkiej Brazylii. Dlatego zostały mi już tylko sława i bogactwo. Tylko to trzyma mnie przy życiu. Ale na każdym kroku frustrują mnie ludzie, którzy wzbogacili się moim kosztem. Nic nie wiedzą, nic nie umieją, nic nie przecierpieli. Durnie, których jedyną zasługą jest to, że urodzili się w odpowiedniej rodzinie. Plemnik-szczęściarz. Wystarczy im wyciągnąć rękę i zrywać złote jabłka, które wiszą im przed nosem. A nawet to przeważnie zlecają komuś innemu.

- My też jesteśmy szczęściarzami, zważywszy, skąd pochodzimy. I tak daleko zasłaliśmy. Zobacz tylko!

- No tak. Ale to wszystko jeszcze za mało.

Yota zrećcznie zmienił temat, opowiadając Locowi o niedawnej kłótni między generałem Arvame Peixoto a ambasadorem Fontaine'em, na temat traktowania Zewnętrznych więźniów.

- Nasz ambasador cały czas z trudem tłumaczy generałowi i jego wesołej bandzie, co to takiego „normalizacja”. Słyszałeś, że on chce wysłać ekspedycję karną na Urana?

- Naczelne dowództwo i Senat mu to zawetowali, a on grozi, że i tak to zrobi - powiedział Loc. - I wiesz co? Ma rację. Wszyscy wiemy, że tam się czają wszyscy możliwi Zewnętrzni malkontenci. W każdy dzień, kiedy dajemy im spokój, rosną w siłę i odwagę. Trzeba się rozprawić z nimi teraz, zanim postanowią, że rozprawią się z nami.

- Tylko żeby nikt z bezpieczeństwa tego nie usłyszał - stwierdził Yota. - To defetyzm.

- To prawda.

Yota wzruszył ramionami.

- I za prawdę mogą cię odesłać na Ziemię.

- Nikt mnie nie może odesłać na Ziemię. Dla mnie to wystarczająca kara, że jestem tutaj.

- Znowu wychodzą z ciebie te kwasy - powiedział życzliwie Yota.

- Musi się dać coś zrobić, Yota. Zasłużyłeś na więcej. A większość ludzi, którzy tu awansują, w ogóle na nic nie zasłużyła.

Miał na myśli pułkownika Jamesa Lo Barretta, dowodzącego złomowiskiem. Leniwego, lubiącego się wyżywać na podwładnych faceta, niezwracającego uwagi na terminy ani drobne szczegóły, dzięki którym projekt działał, ale za to niezatapialnego, bo w jednej trzydziestej drugiej spokrewnionego z rodem Nabuco. Ostatni poślizg prace zawdzięczały wyłącznie jego leseferyzmowi, ale to Loc musiał się ze wszystkiego tłumaczyć przed podkomisją.

Yota pociągnął łyk brandy z wielkiego kieliszka i powiedział:

- A ja mam coś, co cię może ucieszyć. Wygląda na to, że pani profesor Sri Hong-Owen coraz bardziej wypada z łask generała. Za dużo czasu spęd-

dza w terenie, w tych egzotycznych ogrodach, a powinna dawać generałowi techniczne cuda, z których może skorzystać.

Loc już o tym słyszał, ale dobrze było mieć potwierdzenie z innego źródła. W jego mniemaniu, liczył się nie tylko własny sukces - ważne było też, żeby wrogowie przegrali. A profesor Sri Hong-Owen ponosiła według niego znaczną część odpowiedzialności za jego obecną marną sytuację, to ona bowiem szeptała generałowi do ucha złe rzeczy na jego temat, kiedy Avernus uciekła. Pościg za Avernus był jej obsesją - co za przepiękny paradoks, że ta obsesja, połączona z samolubną arogancją, przyczyni się jeszcze do jej upadku.

Powiedział to wszystko Yocie, rzucając aluzję, że odegrał pewną drobną rolę w sprowadzeniu jej do parteru, ale uśmiechnął się i pokręcił głową, kiedy Yota poprosił o szczegóły. Lubił sekrety; lubił też sprawiać wrażenie, że o wszystkim wie coś, czego nie wiedzą inni.

- Mam sprzymierzeńców w niespodziewanych miejscach - powiedział.  
- Może któregoś dnia będę w stanie powiedzieć ci więcej. Ale jeszcze nie teraz. Yota, nie chodzi o to, że ci nie ufam. Ale nie chcę cię na nic narażać.

- No tak, oczywiście - odparł Yota, ewidentnie sądząc, że to kolejna Locowa fantazja o zemście.

Tak i nie. Po mianowaniu na to upokarzające stanowisko, Loc skontaktował się z kuzynem i rywalem Arvama Peixoto. Poznał go kiedyś przed wojną, kiedy obaj brali udział w jednym z projektów w ramach owego nieudanego programu pojednania i rozwoju, którego klęski prawie nikt nie żałował. Projekt miał wzmocnić wymianę handlową, kulturalną i przyczynić się do wzajemnego zrozumienia Wielkiej Brazylii i Zewnętrznych. Zakończył się klęską; Loc, pracując potajemnie dla Arvama Peixoto, w pewnym stopniu przyłożył do tego rękę. Gdy jednak stało się jasne, że za wszystko, czego dokonał, nie zostanie należycie wynagrodzony, zaczął robić nieśmiało podchody w stronę konkurenta Arvama: podrzucał mu drobne skrawki informacji, na przykład prawdę o pilocie-bohaterze, który promował wojnę w Wielkiej Brazylii, wykonywał dla niego drobne przysługi. Na razie nic szczególnego, choć jedno zadanko było zabawne - musiał podrzucić Sri Hong-Owen ręcznie napisany liścik, sugerujący, że we własnym interesie powinna sobie poszukać nowego sponsora. Na szczęście, menda nie pojęła aluzji. Loc liczył, że będzie się trzymał Arvama Peixoto aż do sądnego dnia - bardzo chciał przyczynić się do jej klęski, choć nie widział, żeby miał cokolwiek na tym zyskać.

A tymczasem tkwił w swojej nudnej, pozbawionej perspektyw pracy, latając stale między Paryżem i orbitalnym złomowiskiem. Elegancka stocznia na Dione, koronkowa siateczka przetykana warsztatami i dokami, uległa zniszczeniu w czasie wojny. Zastąpiono ją ponurą, funkcjonalną konstrukcją skleconą z walcowych kontenerów, z hałaśliwą klimatyzacją, wiecznym

smrodem stęchłego jedzenia, chemicznymi toaletami i całkowitym brakiem prywatności. Loc musiał spać we własnym, maleńkim gabinecie, gdzie po drugiej stronie niepalnej krzemionkowej kotary chrapał jego asystent; do jedzenia były wojskowe racje żywnościowe; woda z odzysku śmierdziała chlorem, a prysznice były ograniczone do dwóch minut co trzy dni. Pułkownikowi Barrettowi, żołnierzom z ochrony i ekipom złomowym Zewnętrznym te parszywe warunki na oko nie przeszkadzały, Loc natomiast nienawidził tego miejsca i bywałby tam jak najrzadziej, gdyby nie musiał robić wszystkiego za nieudolnego pułkownika Barretta.

Stocznia remontowa wisiała pośrodku Morza Sargassowego zniszczonych statków. Było ich teraz ponad sześćdziesiąt, a co tydzień przybywał jeden lub dwa, choć od końca wojny minął już rok z kawałkiem. Ich kształty odcinały się ostro na tle mglistej kuli Saturna, błyskając jak spadające gwiazdy podczas powolnego koziołkowania w czarnej próżni. Te, które nie nadawały się do remontu, szły do rozbiórki - wymontowywano z nich wszystko co przydatne, silniki termojądrowe, silniczki korekcyjne, a resztę - systemy podtrzymywania życia, kadłuby, szkielety - cięto na złom metalowy, kompozyt fullerenowy i diament budowlany. Większość jedna była pozbawiona zasilania i zamrożona, ale poza tym nienaruszona - impulsy mikrofalowe albo miny elektromagnetyczne spaliły im cybernetyczny układ nerwowy. Odzysk takich bezmózgich statków był stosunkowo prosty, jeśli nie liczyć tego, że trzeba z nich było wynosić trupy.

Generał Arvam Peixoto odmówił zorganizowania operacji ratującej załogi i pasażerów zniszczonych statków. Było ich zbyt wiele na zbyt wielu orbitach i istniało zbyt duże ryzyko, że ci, co przetrwali, zaatakują ekipy ratunkowe. Każdy statek był więc jak grobowiec, bo ludzie uwięzieni na pokładzie bez zasilania i podtrzymywania życia popełniali samobójstwa, dusili się albo zamarzali. Przed rozpoczęciem remontu, zmarłych lokalizowano, dokumentowano i usuwano, razem ze wszystkimi rzeczami osobistymi; czarne skrzynki z danymi nawigacyjnymi przekazywano oficerom wywiadu do analizy, a ładunek inwentaryzowano i wyładowywano. Potem kadłub holowano do doku, w którym zespoły ludzi i robotów wymieniały mu AI i układy sterowania, naprawiały i ożywiały system podtrzymywania życia, sprawdzały silniczki korekcyjne i robiły próbę statyczną głównego napędu. Potem statek sprawdzali technicy-oblatywacze, wystawiano mu certyfikat i przekazywano do skrzydła transportowego Rządu Trzech Mo-carstw.

Praca szła wolno, bo brakowało specjalizujących się w statkach Zewnętrznym, a Siły Obrony Powietrznej twierdziły, że mają wolnych tylko dwóch techników - tych dwóch ponurych gości zajmujących się wystawianiem certyfikatów. Znienawidzone przez Loca zajęcie miało trwać co najmniej dwa lata. Może więcej. Lecz nagle z pustego czarnego nieba spadła

mu okazja, by się zrehabilitować.

\*\*\*

Był w Paryżu i dochodził do siebie po kolejnym bolesnym spotkaniu z podkomisją Komitetu Ekonomicznego, kiedy zadzwonił do niego asystent i powiedział, że ekipy remontowe znalazły żywego człowieka.

Był późny wieczór. Loc zjadł kolację z Yotą McDonalodem. Osuszyli butelkę drogiego importowanego wina i właśnie pracowali nad drugim kieliszkiem brandy, Loc zareagował więc trochę tępo, pytając:

- Żywego czego?
- Pasażera. Jedna ekipa znalazła żywego pasażera.

Ekipa pracowała na wahadłowcu, który przeszedł za blisko miny elektromagnetycznej. Układ sterowania i AI były martwe jak kamień, za to reszta, nie licząc jakiegoś szybko rosnącego organizmu próżniowego, który obrósł prawie całą obudowę silnika termojądrowego, była nieuszkodzona. Ekipa wyniosła ciała z kabiny, wyładowała towar z ładowni i właśnie zdzierała czarną skorupę organizmu próżniowego z kadłuba, kiedy zauważyli łatkę na powłoce jednego z zaizolowanych zbiorników na substancję roboczą dla silniczków korekcyjnych. Pośrodku łąty był okrągły otwór, zamknięty wyciętym elementem i uszczelniony od środka grubą warstwą kleju. Gdy ekipa go otworzyła, odkryli, że zbiornik został opróżniony. Pomiędzy dwiema przegrodami przelewowymi, w plastikowym bąblu wypełnionym aerozelem pod ciśnieniem 100 hPa, spała dziewczyna w skafandrze próżniowym.

Temperatura jej ciała odpowiadała wewnętrznej temperaturze skafandra, 16°C; puls i oddech miała powolne, ale stabilne. Szybki skan ultradźwiękowy pokazał, że jej krew przechodzi przez filtr kaskadowy podłączony do tętnicy udowej na lewej nodze. Drugie małe urządzenie znajdowało się u podstawy czaszki, a rurka podłączona do żyły w lewym ramieniu przechodziła przez port w plecaku skafandra i łączyła się z płataniną rurek, pomp, woreczków przejrzystych i mętnych płynów - w przerobionym wytworniku żywności rosła kultura drożdży spożywczych, zasilana niewielkim prądem z ogniwa paliwowego. Ogniwo łączył nadprzewodzący kabelek z organizmem próżniowym, absorbującym światło i wytwarzającym skromną ilość energii elektrycznej.

Asystent powiedział Locowi, że kiedy ją znaleźli, dziewczyna budziła się z pogłębionego snu.

- Ożywianie włączył chyba jakiś czujnik reagujący na zmianę delty  $v$ , kiedy zdejmowali statek z orbity. Ktoś na promie musiał ją tam położyć, z nadzieją, że się uratuje.

- Od razu tam lecę - powiedział Loc. - Powiedz Barrettowi, żeby jej nie



ruszali. Nie budzili. Dzieciaki Zewnętrznych są bystre i pomysłowe. Tak samo niebezpieczne jak dorośli.

Podniecenie i interesowność rozprawiły się z alkoholowym otępieniem. Zachodził w głowę, czemu ktoś ukrył dziewczynę w zbiorniku. Skoro ją zahibernowali, licząc że zostanie uratowana, czemu nie zostawili jej na widoku?

- Ale jej już tu nie ma - odpowiedział asystent. - Pułkownik Barrett stwierdził, że nie mamy możliwości technicznych, żeby się nią zająć, i wysłał ją do szpitala w Paryżu. Przykro mi, panie Ifrahim, ale mnie też nie powiedział. Dowiedziałem się dopiero, kiedy ekipa złożyła raport.

- Dawno to było?

- Poleciała na dół gigiem trzy godziny temu. Jak mówiłem, dowiedziałem się dopiero, kiedy...

- Porozmawiaj z nimi. Z każdym osobno, wyciągnij z nich wszystkie szczegóły, co dokładnie znaleźli. Udokumentuj tę kulturę drożdżową i jej skafander. Wszystko. - Loc już miał się rozłączać, gdy coś jeszcze przyszło mu do głowy: - A masz jej zdjęcie?

- Barrett nie...

- Na wszystkich skafandrach są kamery monitoringu. Pogrzeb w zapiskach, znajdź ładne zdjęcie twarzy i wyślij prosto do mnie. I to już - powiedział Loc. Zdjął speksy, machnął na kelnera i zamówił podwójne espresso.

Yota zapytał, czy może jakoś pomóc.

- Zamów mi transport. Powinienem już być na drugim końcu miasta - odparł Loc i zadzwonił do szpitala.

\*\*\*

Główny miejski szpital, poważnie uszkodzony przez pożar w czasie wojny, nie został jeszcze wyremontowany, opiekę medyczną przeniesiono więc do zaadaptowanego magazynu na wschodnim skraju miasta, tuż obok placów przeładunkowych. Gdy przyjechali tam z Yotą, na miejscu się kotłowało. Po telefonie Loca ordynator sprawdził kapsułę, w której leżała dziewczyna. Zniknęła, na podłodze leżała nieprzytomna pielęgniarka, ktoś wyłączył szpitalny system monitoringu. Żołnierze i drony otoczyli wszystko kordonem i szli kapsuła za kapsułą, sala za salą. Loc odnalazł dowodzącą operacją panią kapitan i powiedział, że dziewczyna jest bardzo niebezpieczna, ale pod żadnym pozorem nie wolno jej zabić.

Asystent Loca zdążył już przesłać nagranie wideo z naramiennej kamery kogoś z ekipy złomowej. Przez szybką skafandra było wyraźnie widać twarz. Loc rozpoznał ją od razu. Córka Avernus, Yuli.

Pani kapitan była krępa, kompetentną młodą kobietą. Wysłuchała spokojnie wyjaśnień Loca, kim jest dziewczyna i skąd pochodzi.

- Może być teraz gdziekolwiek w mieście - powiedział. - Proszę mnie połączyć ze swoim przełożonym. Trzeba natychmiast wprowadzić godzinę policyjną, zablokować wszystkie wyjścia i obstawić dronami.

- Wyłączyła system w szpitalu, ale na ulicach wszystko działało - zauważyła pani kapitan. - Kazałam AI przejrzeć nagrania. Nie było śladu.

- To wyszła kanałami serwisowymi. Pod miastem jest cały labirynt.

Kapitan pokręciła głową.

- Tam też jest dobry monitoring. Odkąd znaleźliśmy bandę rebeliantów w przepompowni, wszędzie są kamery, boty i drony autonomiczne. Nic jej nie wykryło. Ona jest cały czas w szpitalu. Proszę zachować cierpliwość.

- Ewakuować pacjentów i personel. Wszystko uszczelnić, puścić do wentylacji gaz usypiający, potem posłać drony, żeby jej szukały.

- Spokojnie, znajdziemy ją.

- Pani kapitan, to nie jest zwyczajna dziewczyna. To potwór.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu kapitan powiedziała:

- Muszę mieć zgodę przełożonego.

- Ja tu dowodzę - odparł Loc. - Jeśli coś pójdzie nie tak, moja odpowiedzialność.

Jak się spieszy, znajdzie się w kłopotach bez dna, ale nie przejmował się tym. Ten łup był mu bardzo, bardzo potrzebny.

Pani kapitan Bethany Neves była młoda, ale nie dała się zastraszyć i upierała się, że przed rozpoczęciem ewakuacji musi mieć zgodę swojego dowódcy. Jej żołnierze uszczelnili budynek, po kolei wyprowadzili przez główne wejście wszystkich pacjentów i personel, pod okiem dronów i uzbrojonych komandosów. Zajęło to ponad godzinę. Przyjechał podpułkownik dowodzący służbami bezpieczeństwa i próbował przejąć dowodzenie - jednak do tego czasu Loc już zdążył chwilę pogadać z Arvammem Peixoto, a generał postawił go na czele operacji. Powiedział:

- Znajdź ją i przyprowadź do mnie. Żywą albo wcale.

Wreszcie skończyła się ewakuacja. Drzwi uszczelniono, do wentylacji wpuszczono gaz usypiający. Loc przeżył ciężkie chwile, wyobrażając sobie, jak dziewczyna spokojnie zakłada maskę i podłącza ją do butli z tlenem. Powiedział o tym kapitan Neves. Odparła, że gaz działa bardzo szybko.

- Jeden wdech i się pada. Nie zdąży się zorientować, co się dzieje, a co dopiero coś zrobić.

- Mogła się domyślić, co planujemy.

- Spokojnie, znajdziemy ją i wyciągniemy żywą - oznajmiła kapitan Neves.

Potrzeba było trzydziestu minut, żeby gaz przeniknął do wszystkich części zaadaptowanego magazynu. Drony obleciały wszystkie pomieszczenia i korytarze. Znalazły ciepły punkt w kanale technicznym tuż koło wejścia.

Loc uparł się, że wejdzie tam razem z kapitan Neves, oddziałem

komandosów i sanitariuszem. Nie chciał, ale wiedział, że musi, inaczej straci cały autorytet. Wysuszony alkoholem, kofeiną i adrenaliną, skradając się za innymi, zaczął dygotać. Wszyscy mieli na sobie maski oddechowe i białe nylonowe kombinezony. Trzech komandosów wycelowało w kanał karabiny impulsowe, czwarty zaczął ciąć go elektryczną piłą. Odciał wielką płytę plastiku, odsłaniając skuloną, nieprzytomną dziewczynę pośród butelek z wodą i pakietów racji żywnościowych. Ewidentnie planowała przeczekać poszukiwania, a potem się wymknąć. Sanitariusz przylepił jej na czole plaster uspokajający, założył na twarz maskę, po czym jeden z komandosów wziął ją na ręce.

Szczupłe ciało dyndające bezwładnie w ramionach żołnierza. Zdobycz Loca. Jego bilet do lepszego świata. Na powrót.

## ROZDZIAŁ 7

Sri Hong-Owen nie dowiedziała się o tym, póki wiadomość nie trafiła do sieci - krótkie obwieszczenie, że po wspólnej akcji cywilnych władz Dione oraz wojska ujęto córkę Avernus, Yuli, nałożone na wideo przedstawiające wysoką młodą dziewczynę ubraną w pomarańczowy kombinezon, siedzącą za stołem w pustym pokoju, z dwoma potężnymi komandosami za plecami. Propaganda miała zniechęcać do oporu. Żadnych szczegółów, gdzie i jak ją złapano, albo czy powiedziała cokolwiek użytecznego o swojej matce. Sri spróbowała się skontaktować z Arvamem Peixoto, ale nie była w stanie przebić się przez adiutanta, który nawet na grubo zaszyfrowanej linii odmówił podania szczegółów, zasłaniając się „oczywistymi względami bezpieczeństwa”.

Sri była na Tytanie, gdzie badała kolejny ogród Avernus. Któryś autonomiczny dron znalazł go zaledwie sześć tygodni temu - mały namiot zakrywający szyb wywiercony w stożku wulkanicznym na zachód od Hotei Arcus, będący wejściem do ogromnych zbiorników wody amoniakalnej, w których kłębił się zawiły ekosystem półżywych prokariotów. Zignorowała rady Vandera Reece'a, powiedziała mu, że ma dowodzić ekipą do jej powrotu, i poleciała jednym ze sterowców na północ, do Tank Town.

Było to około siedmiu tysięcy kilometrów, podróż zajęła nieco ponad dwa dni. Leciała pod mętnym pomarańczowym niebem, nad gigantyczną pustynią pełną stukilometrowych wydm, uczesanych w równiutkie rzędy, a złożonych z odłamków zamrożonej benzyny; taki kształt nadały im dominujące wiatry, erodujące i rzeźbiące stronę nawietrzną i tworzące strome osuwiska po stronie zawietrznej. Słońce, blade światelko powiększone i rozmyte przez gęstą atmosferę i otoczone welonem rozproszonego światła, sunęło przez gęsty pomarańczowy smog przesłaniający niebo, opadając ku zachodniemu horyzontowi przez długie, długie tytanowe popołudnie. W końcu z mgły wyłonił się łańcuch niskich wzgórz, pierwsze zwiastuny gór północy, kraina pofałdowanego lodu amoniakalnego, poprzecinanego błyskawicami suchych rzecznych koryt i upstrzonego tysiącami jezior, od małych stawków po zbiorniki wielkości amerykańskich Wielkich Jezior. Był środek zimy. Metan zebrany podczas letnich deszczy parował z jezior, zostawiając etan z domieszką benzenu i bardziej złożonych węglowodorów. Wielkie jeziora kurczyły się w swoich nieckach, co mniej-

sze wysychały całkowicie. Wyszły przypominające warkocze koryta rzek. Ciemny, surowy krajobraz ciągnący się pod wszechobecną pomarańczową mgiełką, szczyty grzbietów skalnych i niskie wzgórza ledwie lśniły - ich lód amoniakalny został całkowicie pozbawiony warstwy materii organicznej; wymyły ją wiatry i metanowo-etanowe deszcze.

Tank Town kuliło się na brzegu jednego z większych jezior, Morza Lunine'a. Brazylijska baza stała kilka kilometrów na północ. Jej segmentowa konstrukcja powstała z pustych kontenerów, uniesionych na grubych wspornikach i owiniętych srebrnymi, pikowanymi warstwami izolacji. Znad reaktora unosiła się biała smużka pary, wygięta przez niezmienny wiatr. Kontroler ruchu odmówił przyznania jej specjalnego kursu promu, Sri tkwiła więc w mieście, wściekła i sfrustrowana jak osa w butelce, póki nie przyleciała kolejna dostawa. Próbowwała bezskutecznie uzyskać jakieś informacje o schwyтaniu córki Avernus, uporządkowała zapiski z badań i złożyła wizytę burmistrzowi Tank Town, Gunterowi Lasky'emu. Starzec należał do pokolenia pionierów, którzy uciekli z Księżycy do Układu Zewnętrznego, i to on pierwszy założył stałą bazę na Tytanie. Miał sto trzydzieści osiem lat, przeżył trzy żony, a jego dzieci, wnuki i prawnuki stanowiły znaczący procent mieszkańców Tank Town. Był próżny i chełpliwy, jak stary herszt piratów, snujący mity o swoim sprycie, idealizmie, harcie ducha i kiszek, mimo to w miejscowej mikropolityce wciąż bardzo się z nim liczone. Wraz z dwoma synami podpisali z Komisją Trzech Mocarstw pakt o neutralności. Twierdził też, że nikt w układach Jowisza i Saturna nie wie o Avernus tyle, co on. Powiedział jednak Sri, że o Yuli właściwie nie ma pojęcia, i że dziewczynka nigdy nie odwiedziła Tytana.

- Nie jest tak młoda, jak wygląda, tyle ci powiem. Widziałaś się z nią kiedyś?

- Raz - odparła Sri. - Z odległości.

Było to dwa lata przed wojną, na uroczystym otwarciu biomu w Tęczowym Moście na Kallisto. Sri zaprojektowała jego ekosystemy i cieszyła się z okazji do zademonstrowania ich Avernus, która pomogła sfinansować budowę. Wtedy nagle nad główne jezioro biomu wleciały drony niosące na linkach ciało zamordowanego człowieka. Ceremonię przerwano, powstało zamieszanie, Avernus z córką zniknęły. Sri gnała za nimi na Europę, ale odwołano ją z powrotem, nim zdołała nawiązać kontakt. To wspomnienie wciąż kłuło, stanowiąc znaczącą część jej przebogatego zbioru frustracji. Myślała czasem, że uganiania się za Avernus przez pół życia.

- I na ile wyglądała? Na osiem lat? Dziewięć? - pytał Gunter Lasky. - Założę się, że teraz wcale nie będzie starsza, choć Avernus wyciągnęła ją z ektogenetycznego zbiornika ponad dwadzieścia lat temu. Wychowała ją w którymś z tych jej ogrodów, jakby były rozbitkami na bezludnej wyspie. Już wtedy lubiła na długo zniknąć. Zanim włączyła się w ruch pokojowy, wróciła

na publiczny widok i zamieszkała w Paryżu, była odludkiem. Pustelnicą. Rzadko się pokazywała. Komunikowała się głównie przez swoją tak zwaną świtę, choć oni też jej za często nie widywali. Nawet nie chodzi o to, że ona nie wytrzymuje pomiędzy ludźmi albo ich nie lubi. Ona ludzi po prostu nie potrzebuje. Ale podejrzewam, że musiała jednak czuć się trochę samotna, skoro zrobiła sobie córkę...

Starzec umilkł. Zatopił się w jakichś odległych wspomnieniach, wpa-  
trzony w zaświatowy krajobraz za wielkim diamentowym oknem, gdzie  
pomiędzy soczyscie zielonymi rurami farm stały na szczydłach walcowate  
dwu- lub trzypiętrowe habitaty zwieńczone ostrymi, stożkowatymi dachami.  
Za tym małym osiedlem, ku suchemu brzegowi Morza Lunine'a ciągnęły się  
pola czarnych pancerzy, kolców i olbrzymich płetw. Gunter Lasky i Sri  
leżeli obok siebie, rozparci na górach poduszek pod wielkimi liśćmi  
tropikalnych roślin i pnączami wyrastającymi ze żwirowych grządek w  
podłodze. Sri ze szklanką miętowej herbaty, Gunter z kieliszkiem wina z  
winogron, które sam wyhodował - jedynych winogron na Tytanie. Był chu-  
dym, bladym starym satyrem z szopą siwych włosów i obfitą siwą brodą z  
powplatanymi kolorowymi sznurkami, ubranym tylko w szorty wycięte z  
ocieplacza do skafandra. Na piersi miał wytatuowaną czarną farbą wirową  
mandale, wokół uszu pętle kolczyków i łańcuszek przeciągnięty między  
kolczykiem w górnej wardze a brwią.

- „Zrobiła sobie córkę”? Masz na myśli, że Yuli jest klonem? - Sri  
usiłowała pociągnąć go za język.

- Hm. Wszyscy tak mówią, ale ja w to nie wierzę. Jej wyznawcy to sami  
młodzi ludzie, a im do głowy nie przyjdzie, że ktoś tak stary jak ona może  
uprawiać seks. Tylko że my kiedyś byliśmy kochankami, dawno, dawno  
temu. Opowiadałem ci o tym?

- Mówiłeś, że znasz ją od bardzo dawna - odparła Sri. To niespodzie-  
wane objawienie podekscytowało ją i zaintrygowało, ale też nabrała  
nieufności. To mogła być kolejna szumna opowieść starego satyra, zręcznie  
mieszająca fakty z dezinformacją, żeby odwrócić jej uwagę od ważnej  
prawdy.

- Nasz mały romansik miał miejsce ponad osiemdziesiąt lat temu -  
powiedział Gunter Lasky. - Na długo przed tym, jak się ustatkowałem i  
ożeniłem po raz pierwszy. Ale pamiętam to, jakby było wczoraj. Jedną porę  
roku, może dwie, kiedy ten świat był w zasadzie niezbadany, a Tank Town to  
było tylko lądowisko i jedna kopułka - tyle czasu byliśmy kochankami i  
współpracownikami jednocześnie. Ja ją uczyłem, jak się kochać, ona mnie -  
jak projektować organizmy próżniowe. Nie jest więc wykluczone, że Aver-  
nus zaszła w ciążę w normalny sposób, choć wyobrażam sobie, że tego  
nieszczęsnego faceta potraktowała raczej jak dawcę spermy, nic poza tym.  
Pod tym względem to zimna suka. Chociaż w trakcie była gorąca - dodał sta-

ruch, lubieżnie puszczać do niej oko. - Ale potem zawsze chowała się we własnej głowie, nie było nawet sensu pytać, co tam sobie myśli. Jasne, była genialna. Pełna życia i dowcipna, jeśli miała na to ochotę. Przeważnie jednak była humorzysta i nieobecna, tak że nie dawało się z nią żyć. Chociaż jakiś czas żyliśmy, pracowaliśmy razem, budowaliśmy sobie dom w nowym świecie. Świecie, który razem badaliśmy, ręka w rękę, że tak powiem, i urządziliśmy go po swojemu. Ale ją gnało do innych zainteresowań. Nikt na świecie nie zatrzyma jej na długo, a co dopiero jeden facet. Choćby i ja. Wiem, że to rozumiesz. Sama trochę ją przypominasz.

- Mówiła ci kiedyś o swojej córce?

- Odkąd się urodziła, widziałem Avernus tylko parę razy. A po drugie, może cię to zdziwi, ale zawsze szanowałem jej prywatność. Nie wtykałem nosa, gdzie nie trzeba. Jasne, różne historie słyszałem. Że Yuli jest klonem, o, to ciągle. Że skroiła ją na nieśmiertelnego nadczłowieka. I inne bzdury, jedna gorsza od drugiej. Ja ci powiem tyle: Avernus na starość zdziwaczała. Pewnie, zawsze roztaczała aurę tajemnicy. Rzucała aluzje i niedokończone pomysły, których zrozumienie zajmowało zwykłym śmiertelnikom całe lata. Zmuszała do porządnego zastanowienia nad każdym swoim słowem. Wtedy tego nie doceniałem, teraz dotarło do mnie, że to jest dobre ćwiczenie. W końcu to dzięki myśleniu jesteśmy ludźmi, prawda? A ona stała się, no... niezupełnie kimś mniej niż człowiekiem, ale na pewno kimś innym. Dlatego młodzi, z tymi ich cudacznymi pomysłami, żeby skierować ewolucję człowieka we wszystkie możliwe strony, tak ją czczą. Myślę, że ta Yuli musiała mieć dziwne dzieciństwo. Tak dorastać, tylko z matką. Zresztą, trudno mi sobie wyobrazić Avernus jako matkę... Wiesz oczywiście, jaki paradoks tkwi w jej przybranym imieniu? Avernus, tak się nazywał wulkan we Włoszech, który wydzielał trujące opary, od których ptaki padały martwe w locie. Avernus - bez ptaków. Bez życia. I ona, osoba, która zaszczenia życie w miejscach z trującą atmosferą albo w ogóle bez atmosfery, wybrała sobie taki pseudonim, rozumiesz? Bo przemienia trujące opary w życie. Inteligentna kobieta, genialna, bez dwóch zdań genialna. Ale dziwna. Żyje pod prąd wszystkim. We własnym świecie, rządzi się własnymi zasadami i prawami.

Sri podejrzewała, że Gunter wie o Yuli więcej, niż przyznaje, ale nie była w stanie przebić się przez jego monolog. Opowiedział jej o niej jeszcze parę historii, zasłyszanych z innych źródeł, sam zadawał pytania. Jak ją schwytano? Gdzie ją trzymają i w jakich warunkach?

- Na pewno traktują ją humanitarnie. Zewnętrzni mogą sobie myśleć co chcą, ale Brazylijczycy to nie barbarzyńcy.

- Tylko nie liczcie, że wam powie, gdzie ukrywa się jej matka. Sama pewnie nie wie. A nawet jeśli wie, to wam nie powie. Choćbyście nie wiadomo co jej zrobili.

- Ja i tak znajdę Avernus, wcześniej czy później - odparła Sri. - Z pomocą jej córki albo bez.

Gunter parsknął śmiechem.

- Taka jesteś poważna i taka pewna siebie! Zupełnie tak jak Avernus!

- Za to wiem na pewno, że jeśli moje poszukiwania będą się przedłużały, waszym ludziom nie wyjdzie to na dobre. Już parę razy rozmawialiśmy o tym, dlaczego.

Sri wiedziała, że starzec zataja całą masę kluczowych informacji. Kochali się kiedyś z Avernus, razem badali Tytana, a Avernus od czasu do czasu odwiedzała ten księżyc. Od ponad stu lat. Pożyczała od mieszkańców Tank Town sterowce i roboty budowlane, Gunter musiał się orientować w jej wyprawach, pewnie nawet sam się z nią wiele razy gdzieś wybrał. Tak, musiał wiedzieć o niej i jej córce więcej, niż przyznawał, był jednak uparty i sprytny, tak że i groźbą niewiele by się wskórało. Dla niego Brazylijczycy nie byli okupantami, lecz gośćmi. Gośćmi, którym należy wybaczyć ich typową arogancję, traktować grzecznie i gościnnie. Powie Sri tylko to, co zechce - ani mniej, ani więcej.

Teraz mówił:

- Ty, tak jak Avernus, nic a nic nie znasz się na ludziach. Pozwól więc, że dam ci drobną radę. Nie możesz się doczekać, żeby się dowiedzieć, co wie Yuli, nie tylko dlatego, że dowiesz się dużo o Avernus, ale także dlatego, że twój generał już zaczyna się niecierpliwić. Bo za dużo czasu poświęcasz na badanie ogrodów Avernus, zamiast zajmować się tym, czym ci kazał. Myślisz, że rozmową z Yuli mu pomożesz. Ale ona nie będzie gadać. Ani z jego ludźmi, ani z tobą. Nigdy jej nie spotkałem, ale dobrze wiem. Bo jest nieodrodną córką swojej matki. Dlatego powinnaś być cierpliwa. Niech generał poniesie klęskę, ale bez ciebie. Niech twoja ambicja, zapal i niepokój nie sprawią, że staniesz się częścią jego przegranej.

- Ja nie przegram - odparła Sri.

- No cóż, powodzenia to ci nie mogę życzyć - odpowiedział Gunter Lasky. - Ale na pewno mogę powiedzieć, że mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Jego uśmiech, czuły, delikatny i smutny, dotknął na moment tej części jaźni Sri, którą kochała - nadal - swego zamordowanego mentora. Nie było jednak czasu na sentymenty. Tyle było do zrobienia.

\*\*\*

Wreszcie przyleciał prom. Sri wzbija się nim ponad pomarańczową mgłę nieba i opadła ku Saturnowi. Lodowy półksiężyc Dione wisiał mały i ostry tuż za zewnętrznym łukiem pierścieni. Po jednym okrążeniu małego księżyca prom opadł do portu kosmicznego pod Paryżem, skąd Sri podjechała



równikową kolejką na wschód, przesiadła się do rolligonu i ruszyła nową, czteropasmowa autostradą do nakrytego namiotem krateru, byłej własności klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff, skonfiskowanej przez generała Arvama Peixoto i zaadaptowanej na jego kwaterę główną.

Sri pomyślała, że to typowy objaw teatralnej buty generała - urządzić sobie oficjalną rezydencję na księżycu, którego główne miasto było najważniejszym ośrodkiem oporu przeciwko inwazji Ziemiaków na układ Saturna, w dodatku w miejscu o trudnym dojeździe i podatnym na atak. Był to jednoznaczny sygnał, że planuje tu zostać, demonstrując Zewnętrznym, że Komisja Trzech Mocarstw może skonfiskować, co tylko zechce - a także gest o zręcznej symbolice. Głowa klanu, Abbie Jones, cieszyła się niesamowitą ilością kudosów dzięki swoim wyczynom na dalekich rubieżach Układu Słonecznego, i to u nich ażyl znalazła po dezercji osławiona zdrajczyni, Macy Minnot.

Obszar wokół habitatu właśnie przechodził potężną przemianę. Dziesięć kilometrów na północny wschód budowano wojskowy port; czteropasmowa szosa łącząca go z habitatem szła pomiędzy bunkrami, polami anten satelitarnych i masztów, mijając lodowe grzbiety, z których Zewnętrzny porzeźbili fantastyczne zwierzęta, herosów i zamki, teraz w większości porozbijane jako cele do ćwiczeń strzeleckich. Potem na widoku pojawiła się kopuła namiotu, schludnie wpasowana w kolisty krater uderzeniowy. Wysoko pomiędzy olbrzymimi diamentowymi szybami i wspornikami z fullerenowego kompozytu wisiały żyrandole, płonące jaśniej od słońca na pustym czarnym niebie; zielone pasmo rosnącego na krawędzi lasu było na tle popielatej księżycowej pustyni jaskrawe jak halucynacja. Habitat był piękny, ale paskudnie delikatny i podatny na atak - jeden pocisk lub inteligentny odłamek był w stanie przebić kopułę i zabić wszystkie żywe istoty w środku, jeśli nie falą uderzeniową, to nagłą dehermetyzacją.

Arvam ze sztabem zajmował rezydencję pośrodku ogrodów, sadów, stawów i łąk. Chaotyczna budowla wyglądała, jakby rosła stopniowo; składała się z posklejanych beztrzesko wież, skrzydeł i kopuł w kilkunastu kłócących się ze sobą stylach, połączonych labiryntem tyrolek, galeryjek i korytarzyków. Gabinet generała mieścił się w wielkiej, okrągłej, białej sali, zastawionej sprzętem do ćwiczeń, w tym stojakiem ze sztangielkami i bieżnią, kilkoma memoprzestrzeniami, sfatygowanym stołem zawalonym wszelkiej maści pistoletami i karabinami oraz podłużną, niską klatką, w której tam i z powrotem, bezszelestnie chodził karłowaty tygrys z żółtymi oczyma płonącymi jak lampy, waląc o pręty ogonem i obnażając zęby na widok każdego sekretarza czy adiutanta, który podszedł odrobinę zbyt blisko. Pośrodku tego zorganizowanego chaosu leżał na ławeczce rozebrany do pasa generał Arvam Peixoto, a masażysta wcierał mu olejek w ramiona. Z uwagi na znikome ciążenie, Arvam był do ławeczki przypięty pasem, a

masażysta miał stopy wsunięte w przymocowane do podłogi pętle.

Generał był w dobrym humorze, zawołał głośno do Sri, kiedy weszła, pytając ją, czy nie potrzebuje się czymś pokrzepić po podróży.

- W oazie paręset kilometrów na południe znaleźliśmy właśnie piwniczkę znakomitego białego wina. Kieliszek dobrze by ci zrobił.

- Gdzie ona jest? Mogę ją zobaczyć?

Arvam uśmiechnął się do Sri, podbródek miał oparty na złożonych przedramionach, wzrok zimny i bystry.

- Zawsze konkretna, zawsze od razu do rzeczy. Miesiącami nie dajesz znaku życia. Nie da się nawiązać żadnego kontaktu. I nagle się pojawiaasz i od razu czegoś chcesz.

- Przyleciałam ci pomóc.

- Jeśli wiesz coś, czego my nie wiemy, powinnaś sporządzić notatkę. Zapewniam cię, że ludzie, którym powierzyłem tę sprawę, zapoznają się z nią z należytą uwagą.

- Wiem o jej matce więcej niż ktokolwiek. Wiem, że ona może być dużo starsza, niż wygląda. Wiem, że nie jest człowiekiem. I wiem, że twoi ludzie nic nie wskórają.

Generał zamknął oczy, gdy masażysta rozmasowywał mu mięśnie barków. Wreszcie odparł:

- Tu nie chodzi o twoje donkiszotowskie poszukiwanie Avernus, pani profesor. To ważna kwestia bezpieczeństwa.

- Którą podałeś do publicznej wiadomości.

- Żeby pokazać tym modyfikantom, że nikt się przed nami nie ukryje.

- Ale jeśli ona nic nie powie, to nic ci z tego nie przyjdzie. A nie mówi, prawda?

- Moi ludzie znają się na rzeczy. U nich nawet kamień śpiewa aż miło. - Arvam stęknął, gdy masażysta wbił mu łokieć w mięśnie między łopatkami.

- Ale skoro już tu jesteś, możesz coś dla mnie zrobić. Pogadaj z zespołem, który badał jej kryjówkę, i z tym, który pracuje nad jej genomem. Przetłumacz to, co znaleźli, na ludzki język i mi zamelduj.

- A potem?

- A potem zobaczymy, czy się jeszcze na coś przydasz. Ale zanim się zabierzesz do pracy, powinnaś zrobić jeszcze jedno - dodał, unosząc głowę i mierząc Sri spokojnym, leciutko zezowatym spojrzeniem. - Zobaczyć się z synem.

\*\*\*

Podczas spotkania Sri czuła się niezręcznie. Nie widziała Berry'ego od sześciu miesięcy. Była zbyt zajęta rozpracowywaniem tajemnic fenotypowej dżungli na Janusie i rozmaitych ogrodów odkrytych na Tytanie. Guwer-

nantka Berry'ego, szczupła, młoda wojskowa, musiała go namawiać, żeby poszedł do matki, a gdy Sri wzięła go w ramiona, był cały sztywny z nieśmiałości i niechęci. Na pytania odpowiadał monosylabami i wzruszeniami ramion. Urósł trzy centymetry, poszerzyły mu się barki i pierś. Trochę chłopak, trochę mężczyzna, z szoną czarnych włosów i bladą twarzą. Zerkał na Sri i odwracał wzrok. Ukradkiem i nieśmiało.

Sri odprawiła guwernantkę i wzięła Berry'ego na spacer po lesie okalającym krawędź habitatu. Wszędzie były porozpinane liny bezpieczeństwa, choć Berry przystosował się doskonale do znikomego ciężenia Dione - jednej szóstej tytanowego, jednej trzydziestej ziemskiego - i skakał przed nią niczym gazela. Pokazał jej stado włochatych miniaturowych krówek, pasących się w wysokiej trawie w zagajniku kasztanów jadalnych, pawia-albinosa, gromadkę idących za matką młodych przepiórek i zarośnięty szuwarami staw, w którym na wystających z wody pniach wylegiwały się żółwie słodkowodne, a nad pofalowaną powierzchnią wody śmigwały olbrzymie ważki.

Sri pomyślała, że cały ten starannie zaplanowany i zaaranżowany las zalatuje nostalgią za Ziemią i aż bije z niego ubóstwo wyobraźni, choć przez wzgląd na syna udawała zachwyty tą maleńką, nieskomplikowaną sielanką, karłowatymi zwierzątkami skrojonymi dla urody i łagodności, sztywnymi ogrodami i fałszywą dziczą. Berry był kapryśny i męczący jak zawsze. Ganiał za krowami wielkości psów, rozpędzając je po całym terenie, w pawia rzucał kamieniami, gdyby Sri go nie powstrzymała, rozdeptałby parę młodych przepiórek, musiała też wejść za nim w wodę, gdy wskoczył do stawu, żeby złapać żółwia.

Powstrzymała się jednak od upominania go. Później rozmówi się ostro z guwernantką. Berry wymagał dyscypliny i ustalonego, wypełnionego planu dnia, a tu było widać, że młoda kobieta jest leniwa i pobłażliwa. Na razie pozwoliła synowi poprowadzić się długą ścieżką pomiędzy dęby burgundzkie i wejmutki, aż na siodło wzgórza, z którego roztaczał się piękny widok na cały habitat. Pokazał jej drewnianą skocznnię, wystającą ze stromego urwiska ponad koronę lasu, i powiedział, że latał stamtąd. „To łatwe”, powiedział. „Przypinasz się do takiego jakby latawca i biegniesz, a powietrze wynosi cię w górę”.

- Robiłeś to? Naprawdę latałeś?

Berry kiwnął głową i powiedział Sri, że inni mają takie ubrania ze skrzydłami sięgającymi od nadgarstków do kostek i latają jak ptaki. Dodał, że strasznie chciałby też tak spróbować, ale generał powiedział, że musi jeszcze poczekać.

- Ale ja nie chcę czekać! Ja chcę być ptakiem! - wykrzyknął i zaczął skakać z rozpostartymi ramionami tam i z powrotem, wydając dźwięki jak wojskowy samolot ostrzeliwujący ziemię.

Sri uspokoiła go, zeszli na dół, zjedli kolację i popluskali się razem w ciepłym basenie, po czym pozwoliła guwernantce położyć go spać. Zaraz potem udzieliła młodej kobiecie surowej reprimendy za to, że pozwoliła jej synowi narażać życie. Dodała, że odtąd wszelkie latanie jest zabronione.

Młoda wojskowa uniosła buntowniczo głowę i odparła:

- Będzie pani musiała porozmawiać o tym z generałem. To on nadzoruje wychowanie Berry'ego.

Niestety, generał wyleciał z Dione do Xamby na Rei, gdzie spotykał się z burmistrzem miasta i dowódcą sił europejskich w sprawie problemów z biernym i pokojowym oporem mieszkańców wobec sił okupacyjnych. Sri odłożyła więc złość na później i zabrała się za przydzielone jej zadanie.

Przeczytała raport opisujący odnalezienie kryjówki Yuli na jednym z uszkodzonych statków Zewnętrznych, sprzęt pozwalający jej przetrwać ponad rok hibernacji w pustym zbiorniku na paliwo i to, jak Loc Ifrahim - akurat on - udaremnił jej próbę ucieczki ze szpitala, w którym ją ożywiono. Zbiornik, w którym się ukryła, żołnierze odczepili od wahadłowca i ściągnęli na powierzchnię Dione. Leżał teraz pod plandeką na chronionym terenie wojskowego portu na zachód od habitatu. Był sześciometrową kulą, w połowie zarośniętą czarnym liszajem próżniowego porostu, podpartą rusztowaniem jak gigantyczna bombka choinkowa. Pokazali Sri wycięty w powłoce właz i gniazdko, które uwiła sobie Yuli, idealnie wpasowane pomiędzy dwie przegrody przelewowe przecinające wnętrze jak plastry miodu. Organizm próżniowy porastający powłokę zbiornika miał smoliście czarną barwę, w niektórych miejscach błyszczał jak rozlana farba, w innych unosił się sztywnymi płatami i kielichami niczym zmutowane nagrobne kwiaty. Technik, który zsekwencjonował jego pseudo-DNA, powiedział Sri, że to szybko rosnąca odmiana pospolitego rodzaju, pochłaniającego światło i wytwarzającego napięcie elektryczne.

- Cała ta powierzchnia - coś około zero sześć wata. Nie za dużo, ale dosyć, żeby podładowywać baterię, na której chodził sprzęt dziewczyny. No i oczywiście to jeszcze rosło. Pewnie za jakiś rok obrosłoby cały ten wahadłowiec - dodał.

- Z wykorzystaniem węgla i innych substancji z jego kadłuba.

- No tak, proszę pani. Ale jego strzępki nie przenikają bardzo głęboko, konstrukcji by to nie naruszyło.

- Planowała spać bardzo długo - zauważyła Sri.

- Myślmy, że co najmniej z dziesięć lat by w tym przetrwała.

- A proces ożywiania się zaczął, kiedy statek zmienił deltę v przy podejmowaniu go.

- Tak, proszę pani. Prosty czujnik przyśpieszenia. Na szczęście, znaleźliśmy ją, zanim się obudziła.

- Dobrze się ukryła. Nie została w statku. Musiała wiedzieć, że statek

przechwyć wrogowie, nie swoi - powiedziała Sri.

Próbowała sobie wyobrazić przezorność i zimną krew, z jaką dziewczyna z pomocą pozostałych pasażerów statku zapewniła sobie warunki do długoterminowego przetrwania. Robiło to wrażenie, podobnie jak ofiarność reszty członków świty Avernus - wszystkich ich znaleziono na promie martwych i zamrzniętych. Obejrzała filtry, pompy i kulturę drożdży, utrzymujące Yuli przy życiu, a potem odbyła długą i zajmującą dyskusję z zespołem analizującym genom i proteom dziewczyny.

Wyglądało na to, że Yuli jest biologiczną córką Avernus, nie klonem. Ponadto miała sporo intrygujących i nowatorskich modyfikacji w genach sterujących rozwojem mózgu i układu nerwowego. Hipokamp większy od średniej; dużo liczniejsze połączenia synaptyczne w tworze siatkowatym, korze wzrokowej i korze nowej, zwłaszcza w ośrodku Wernickego, odpowiadającym za analizę języka i mowę; a także delikatne zmiany w osłonkach mielinowych wokół aksonów nerwów ruchowych i zmysłowych. W skrócie: w porównaniu ze zwykłym człowiekiem miała podkręconą szybkość reakcji nerwowych, przetwarzania informacji i podejmowania decyzji. Ale były i inne modyfikacje. Niektóre typowe dla większości Zewnętrznych - fizjologiczne przystosowania do niskiego ciśnienia, zmiany w siatkówce, by lepiej widzieć przy słabym świetle, i tak dalej. Miała również zmiany w budowie włókien mięśniowych, produkcji i magazynowaniu ATP przez mitochondria, zwiększoną pojemność tlenową hemoglobiny. Oprócz tego dość znacznie przerobiony metabolizm. Potrafiła na przykład syntetyzować wszystkie niezbędne aminokwasy, także te egzogenne u normalnego człowieka. Sri omówiła wszystko z zespołem, zaproponowała dwie różne metody ustalenia prawdziwego wieku dziewczyny i spisała podsumowanie dla Arvama Peixoto.

Nie powiedziała mu o jednej rzeczy, którą sprawdziła - prostym krzyżowym porównaniu DNA Yuli z próbką, którą przywozła z Tytana. Dowiedła, że dziewczyna jest istotnie córką Avernus i Guntera Lasky'ego. Pomyślała sobie, że jeśli stary pirat nie kłamał w kwestii swojego związku z Avernus i jeśli nie wie, że jest ojcem jej córki, ta informacja może się jej kiedyś przydać. A jeśli dziewczyna też nie wie, kto jest jej ojcem, może uda się to wykorzystać jako kartę przetargową albo kupić odrobinę jej zaufania.

Udało jej się umówić spotkanie z Arvamek Peixoto natychmiast po jego powrocie do habitatu. Zaczęli od rozmowy o Berrym. Arvam wzruszył ramionami na zarzut, że pozwolił chłopcu na latanie - odparł, że jest to stuprocentowo bezpieczne i należy mu pozwalać na podejmowanie takiego drobnego ryzyka.

- Sam mam trzech synów - powiedział. - Mieli zdrowe i aktywne dzieciństwo. Większość czasu spędzali na dworze. Wędrówki, polowania, jazda konna, żagle... I tak, lotnie też. Było z tego pewnie parę siniaków i

zadrapań, ale to ważne, żeby dzieci były w stanie sprawdzić własne ograniczenia. Musisz się dowiedzieć, na co możesz sobie pozwolić, a na co nie, na tym między innymi polega dorastanie.

- Ale Berry nie jest zdrowy i silny - zaprotestowała Sri. - Czasami trochę niezdarny. Ma skłonność do wypadków.

- Zdrowe ćwiczenia fizyczne go wzmocnią i podniosą mu samoocenę. A to miejsce nadaje się jak mało które. Bezpieczne i zamknięte. Poza tym, ta swoboda dobrze wpływa na jego zachowanie. A w tej dziedzinie ma sporo do poprawienia.

- Potrzebuje stymulacji intelektualnej - powiedziała Sri. - Tutaj ma jej za mało.

Oboje doskonale wiedzieli, że nie chodzi o zagrożenia dla Berry'ego, ale o władzę. Byli jak rozwiedzeni rodzice, którzy walczą o prawo do opieki.

- Trochę mnie to ciekawi, że w ogóle go nie skroiłaś, żeby usunąć te jego drobne... niedostatki.

- To nielegalne. Antyewolucyjne.

- Ale w majstrowaniu przy genomie drugiego syna ci to nie przeszkadzało.

Sri poczuła w żołądku lodowaty supeł. Dotąd myślała, że nikt nie wie, że popracowała nad Alderem. Jego genom zedytowała bardzo uważnie, pilnując, żeby uroda, wdzięk i charyzma nie wykraczały poza ludzką normę. I zniszczyła wszelkie dowody.

- Nie przejmuj się - powiedział Arvam. - Nikomu nie zdradzę. A poza tym, gdyby do czegoś takiego doszło, to odpowiadałabyś za gorsze przestępstwa niż jakaś tam genetyczna kosmetyka. Więc powiedz mi prawdę: czemu Berry'emu nic podobnego nie dałaś?

- Zostawiłam go w stanie naturalnym przez szacunek dla jego ojca.

- A, no tak. Biedny Stamount. Widzę, że ciąglenosisz jego pierścien.

Sri nosiła go na środkowym palcu lewej ręki. Ażurowy pierścień z kości wyhodowany z osteoblastów Stamounta Horne'a, po tym jak zginął w walkach z bandytami w Andach. Sri właściwie go nie kochała, ale podziwiała i szanowała. Świetnie do siebie pasowali i gdyby żył, dokonaliby razem wielkich rzeczy. Bywał kapryśny i okrutny jak Arvam Peixoto, ale to jego okrucieństwo zawsze miało sens - to nie była prymitywna maczuga Arvama, ale wyostrzony skalpel, którym operował po mistrzowsku.

- Stamount to był wielki człowiek i jestem przekonany, że jego syn też wyrośnie na nie byle kogo - dodał Arvam. - Jeśli skończyły ci się skargi i wnioski, pozwolę, byś teraz zerknęła na moją więźniarkę. Obiecałem w końcu.

- Czyli nie gada.

- Gada, gada. Ale jak na razie nic ważnego. Wszystkiego się dowiesz od zespołu, który ją przesłuchuje. Właściwie to ich szefowa już czeka na

ciebie na bloku przesłuchań.

\*\*\*

Pomieszczenie, w którym przesłuchiowano Yuli, było jasne i sterylne niczym sala operacyjna. Białe ściany, biała podłoga, sufit, w którym płonęły silne i bezcieniowe białe lampy. Nigdzie ani śladu cienia. Wszystko dokładnie oświetlone. Dziewczyna tkwiła w urządzeniu podobnym do trumny lub niegdysiejszego żelaznego płuca. Wystawała jej tylko głowa, na której miała czepek do rezonansu magnetycznego. Cera biała i gładka jak porcelana. Oczy wielkie i zielone. Powieki zamocowane taśmą, po bokach delikatne urządzenia kapiące sztucznymi łzami do oczu, żeby nie wyschły jej rogówki, głowa unieruchomiona tak, by musiała patrzeć w memoprzestrzeń nad sobą, wyświetlającą teraz powoli slajdy z twarzami, podczas gdy śpiewny głos prosił o ich rozpoznawanie. Nie odzywała się. Zęby miała zaciśnięte, w policzku cały czas drgał mięsień. Tylko po tym można było poznać, że cierpi ogromne, rozdzierające, rozpalone do białości męczarnie. Maszyna grała na jej układzie nerwowym jak koncertowy pianista, delikatnymi, ciągle zmieniającymi się wariacjami i arpeggiami, żeby nie mogła się do tego bólu przyzwyczaić.

Z przyległego pomieszczenia obserwowała ją przez spolaryzowaną ścianę kapitan-doktor Aster Gavilán, szefowa zespołu przesłuchań. Powiedziała Sri, że dziewczyna od dwunastu godzin wytrzymuje ból i nadal nie wykazuje woli współpracy.

- Zaczęliśmy oczywiście od środków, ale nie zadziałały. Ona ma inny metabolizm i zupełnie zmieniony układ nerwowy. Więc teraz używamy bólu, tylko że ona wytrzymuje więcej niż ktokolwiek w historii testowany w tym urządzeniu. Czuje go. Wiemy, że czuje, ma podniesiony poziom histamin we krwi, ma bodźce w układzie nerwowym i wydzielania wewnętrznego, widać na rezonansie mózgu... Ona nie blokuje bólu na żadnym poziomie. Ale dotąd nie pękła. Niesamowita.

- Ja bym tak tego nie nazwała - stwierdziła Sri.

Kapitan-doktor Gavilán miała ciemną karnację i obfity biust. Przypatrywała się jej przez chwilę, przekrzywiając głowę, po czym powiedziała:

- Jeśli jest pani rozczarowana naszymi postępami, zapewniam, że mamy jeszcze inne środki. Na przykład, okaleczanie. Ludzie, niby zorientowani, gadają głupoty o rozdziale ciała i umysłu. Moje doświadczenia wskazują, że nawet obiekty, które wytrzymują znaczny ból, pękają, gdy tylko zacznie się piętnowanie i cięcie.

Sri zrobiło się niedobrze, gdy zobaczyła ten błysk zapału w jej oku.

- Tak, jestem rozczarowana pani postępami. A pani metody budzą we mnie obrzydzenie.

- Ta dziewczyna to żywy dowód knowań Zewnętrznych. Chcą przyśpieszyć ewolucję człowieka i pchnąć ją w niedopuszczalnych kierunkach. Zrobili z niej potwora. Zbrodnię przeciwko Bogu i Gai. Przyszliśmy tu, żeby położyć kres tym występkom. To święty cel i nie wolno nam się wahać ani okazywać skrupułów. Proszę ją traktować jako materiał - powiedziała kapitan-doktor tonem słodkim jak zatruty miód. - Klucz do znalezienia Avernus.

Sri spojrzała na szczupłą dziewczynę zamkniętą w błyszczącej trumnie, przyjrzała się drgającemu w kąciку ust mięśniowi.

- Na torturach rzadko uzyskuje się przydatne informacje - stwierdziła.
- Generał sądzi, że ona będzie współpracować.
- Generał się myli - odparła Sri.

Zadzwoiła do Arvama Peixoto, wyjaśniła, co chce zrobić, i dodała, że może to zrobić tylko na swoich warunkach i że nikt inny ma się w to nie wtrącać.

- To brzmi jak żądanie - odpowiedział Arvam. - Uważaj.  
- Potrzebujesz mojej pomocy. Kapitan-doktor Gavilán to idiotka i fanatyczka. A jej metody są bez sensu. Nie posunęła się ani o krok, bo nie rozumie natury obiektu.

- A ty możesz zagwarantować, że twoje metody odniosą skutek?  
- Mogę zagwarantować, że zrobię co w mojej mocy. Jeśli to się nie sprawdzi, już o nic więcej cię nie poproszę. Pójdę sobie, a ty wpuścisz z powrotem Gavilán i jej królów bólu, niech robią co najgorsze.

\*\*\*

Arvam Peixoto dał Sri siedem dni. Yuli zabrano z sali przesłuchań, zakwaterowano w paru pokojach i poddano mało intensywnym sesjom przesłuchaniowym dwójki psychologów. Tymczasem Sri dała ekipie analizującej jej genom nowe zadanie - zidentyfikować i zsyntetyzować feromon, który w odróżnieniu od standardowych leków hipnotycznych i zmuszających do prawdomówności, będzie miał jakieś przełożenie na zmieniony metabolizm dziewczyny i sprawi, że będzie uległa i podatna na sugestie.

Na szczęście, miała już model, który wymagał tylko przystosowania - mieszaninę subtelnie działających substancji wydzielanych przez gruczoły potowe jej starszego syna. Razem z zespołem sporządzili wirtualną replikę receptorów węchowych Yuli i przetestowali na nich miriadę wariantów feromonów Aldera, tu zamieniając atom azotu na atom siarki, tam dodając grupę acetylową albo usuwając jakieś wiązanie podwójne, i tak dalej, i tak dalej. Najbardziej prawdopodobne próbki testowano na samej Yuli, wprowadzając śladowe ilości do powietrza w jej pokoju, podczas gdy była



przesłuchiwana przez psychologów i monitorując jej reakcje na poszczególne pytania, a także ogólne reakcje fizjologiczne, jak rozszerzenie źrenic, temperaturę ciała, oporność skóry.

Sri cisnęła swoich ludzi jak mogła. Pracowali 24 godziny na dobę przez cztery dni, napędzani koktajlami białkowymi, kofeiną i robionymi na miarę środkami, aż uzyskali pojedynczego kandydata, który, choć w zestandaryzowanych testach na awersję i antagonizm wykazywał tylko nieznaczną redukcję i podobnie minimalne zwiększenie kooperatywności i życzliwości, był i tak najlepszym, co mogła osiągnąć w tak niemożliwie krótkim czasie. Przespała się sześć godzin, a potem, po intensywnym seansie szkoleniowym z psychologami, po raz pierwszy weszła do pokojów Yuli.

Pomieszczenia były małe i łagodnie oświetlone, pomalowane na uspokajające zielenie i błękity. Kwiaty w doniczkach, zmiękczający podłogę soczyscie zielony półżywy dywan, śpiew ptaków w głośnikach. Dziewczyna leżała na brzuchu na wielkim worze, ubrana w czysty biały kombinezon. Czytała starożytną powieść, *Moby Dicka*, szybko i miarowo przeklikując kolejne strony na tablecie. Nie uniosła wzroku, kiedy weszła Sri, i wzruszyła ramionami, gdy Sri zapytała, czy może usiąść.

Sri przysiadła na krawędzi leżaka i splótła dłonie na kolanach.

- Chciałabym cię przeprosić za to, co ci zrobili. To był błąd. Oni cię nie rozumieli.

- Za to ty rozumiesz.

- Oczywiście, że nie. Ale chciałabym spróbować zrozumieć.

- Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, bo chcesz się dobrać do mojej głowy.

A to po to, żeby poznać tajemnice mojej matki. Wiem, kim jesteś. Profesor Sri Hong-Owen. Współpracowałaś z matką przy biomie dla Tęczowego Mostu. Byłaś na tej barce w dniu, kiedy miało być ożywione jezioro. Taka byłaś spragniona spotkania z nią, że aż cała dygotałaś. Drgałaś. Teraz też trochę dygoczesz w środku, co? Nie dlatego, że się mnie boisz, chociaż się boisz, ale dlatego, że myślisz, że mogę cię doprowadzić krok bliżej do tego, czego pragniesz najbardziej na świecie.

Mówiła lekkim i rozbawionym tonem. Spojrzenie zielonych oczu, niemal dokładnie barwy chlorofilu, miała wciąż utkwione w tablecie. Zaczynały jej odrastać włosy, na czaszce widać było delikatny czarny meszek. Wokół szyi miała ciasną plastikową obrozę, mającą porazić ją brutalnym paraliżującym impulsem, gdyby spróbowała zaatakować Sri lub zrobić cokolwiek niewłaściwego w oczach monitorujących ją żołnierzy.

Sri powiedziała:

- Bardzo wyraźnie widzisz innych ludzi. Użyj tego talentu, żeby przyrzec się swojej sytuacji. Zastanów się, jak mogę ci pomóc. I twojej matce.

- Wtedy po wodzie przyszedł trup. I cała śmieszna uroczystość od razu zamieniła się w chaos. Ta warstewka tak zwanego kulturalnego zachowania

jest strasznie krucha i cienka, prawda? O, siedzimy sobie, zachowujemy się kulturalnie. Tak się zastanawiam, co by mogło to zburzyć?

- Yuli, ja nie jestem taka jak oni. Nie należę do tych militarnych struktur, które tu mają. Jestem naukowcem, jak twoja matka.

Dziewczyna ziewnęła, ukazując drobne, oddzielne zęby w jasnoróżowych dziąsłach.

- Moja matka nie jest żadnym naukowcem. Jest guru genetyczną. Jeśli nie rozumiesz, czym to się różni, to wszystko na nic.

- Ale nauka to jedno z jej narzędzi. Podobnie jak wyobraźnia i talent do patrzenia na świat pod zupełnie niespotykanym kątem. Nauka to najważniejszy fundament jej pracy. Yuli, ja podziwiam jej dzieła i chciała-bym je zrozumieć. I ją zrozumieć.

- Ja nie jestem taka, jak moja matka - odparła Yuli. - Nawet nie jestem naukowcem, a co dopiero guru genetycznym. Czyli nie mogę ci pomóc. Przykro mi, ale tak jest. Myślisz, że kłamię. Myślisz, że jestem kluczem do spełnienia twoich marzeń. Ale tak nie jest. I nic, co powiesz, tego nie zmieni. Możesz nie strzępić sobie języka na darmo i oddać mnie z powrotem tym wojskowym.

- Masz z matką co najmniej jedną wspólną cechę - zauważyła Sri. - Też widzisz świat pod osobliwym kątem.

Yuli nieoczekiwanie gwałtownym ruchem przewróciła się na plecy, wyprostowała nogi w powietrzu i splotła długie, chwytnie palce stóp. Po chwili spojrzała na Sri i zapytała:

- Ona się ukrywa, nie?

- Tak.

- Gdzie?

- Dogoniłam ją na Tytanie. Ale mi uciekła.

- Podczas wojny.

- Tak.

- Po tym, jak uciekłyśmy z tego parszywego więzienia, od tych durnych ludzi.

- No tak, po jej wylocie z Dione.

- Z kim była?

- Kiedy się z nią spotkałam, była sama, ale sądzę, że dotrzeć na Tytana pomogła jej dwójka ludzi, Macy Minnot i Newton Jones.

Yuli rozplotła i splotła z powrotem palce.

- A gdzie się podziała ta dwójka bohaterów, kiedy dopadłaś matkę?

- Kiedy przyleciałam, wyglądało na to, że odlatują z Tytana.

Sri zawahała się. Całej prawdy nie powiedziała nigdy nikomu, nawet Arvamowi Peixoto. Miała jednak wrażenie, że powinna być teraz szczerą; Yuli na pewno pozna, gdyby zaczęła coś kręcić, a zresztą, szczerłość to fundament zaufania. Streściła więc pokrótce, jak jej próba schwymania

Avernus w jednym z jej ogrodów zakończyła się dla niej upokorzeniem. Jak dała się złapać w pułapkę zbudowaną z wytworów Avernus.

- Kiedy twoja matka mnie załatwiła, widziałam, że niedaleko wylądowała aerokapsuła. Pewnie lecieli nią Macy Minnot i Newton Jones. Wrócili, żeby ją uratować. Ale ona nie potrzebowała ratunku. Wystartował mały samolot, zaraz potem odleciała kapsuła.

- Matka pilotowała ten samolot.

- Tak mi się wydaje. Chcę ją znaleźć, bo chcę jej pomóc. I dlatego, że myślę, że razem stworzyłybyśmy wspaniałe rzeczy.

- Masz dzieci? - zapytała Yuli.

- Tak. Dwóch synów.

- Modyfikowałaś ich?

- Starszemu dałam parę... zalet - odpowiedziała Sri.

- On tu jest?

- Zarządza ośrodkiem badawczym na Antarktydzie.

- Szkoda. Z nim to mam coś wspólnego.

- Ale mieszka tu mój drugi syn, Berry. Może dałoby się zorganizować, żebyś się z nim spotkała.

- Moja matka mnie stworzyła - powiedziała Yuli. - Ona nie wykazuje żadnych, jak to się mówi, umiejętności międzyludzkich. Właściwie w ogóle nie rozumie ludzi. Sama siebie przez większość czasu nie rozumie. Ale kiedy dziesięć lat temu Wielka Brazylia zaczęła zabiegać o względy Układu Zewnętrznego, uwierzyła, że po raz pierwszy od stu lat pojawiła się możliwość prawdziwej i trwałej zgody z Ziemią. I postanowiła się w to zaangażować. Zrobić coś pożytecznego, na przykład biomasę w Tęczowym Moście. A ponieważ nie chciała zaprzętać sobie głowy politycznymi manewrami, zebrała zespół doradców i zrobiła mnie - zrobiła mnie taką właśnie - żebym jej tłumaczyła, co ludzie od niej chcą i jak z nimi postępować. I teraz najdziwniejsze. W ogóle nie brała pod uwagę tego, co mówiłam. Dawałam jej rady, ona słuchała uważnie, a potem zupełnie je ignorowała. Robiła wszystko tak samo jak zawsze. Kiedy do układu Saturna przyleciała ta tak zwana wspólna ekspedycja i zaczęła się bardzo prowokacyjnie zachowywać, powiedziałam jej, żeby zapomniała o pokoju z Ziemią. I jeszcze, żeby trzymała się z daleka od ludzi, którzy wbrew wszelkim dowodom dalej myślą, że wojny da się uniknąć. Ale nie usłuchała. Przeciwnie, stała się ich twarzą i poświęciła swoją wolność na ołtarzu ich zasad. I moją wolność też poświęciła. Mówiłam jej, żeby trzymała się Macy Minnot, która może nie jest najbystrzejsza na świecie, ale udowodniła, że wie, jak przeżyć. A ona znowu: nie. Znowu wiedziała lepiej i poleciała gdzieś sama. Pewnie, żeby siedzieć tam i prowadzić ponure rozmyślania. Lizać rany i zastanawiać się, w którym miejscu popełniła błąd.

- Moje rady też często przechodzą bez echa - zauważyła Sri. - Wiem, ja-

kie to frustrujące.

Próbowała się do niej zbliżyć, podkreślając podobieństwa i wspólnotę uczuć, tak jak radzili dwaj psychologowie. Yuli jednak parsknęła śmiechem i burknęła pogardliwie:

- Naprawdę, serio myślisz, że jesteśmy choć trochę podobne? No, może trochę przypominasz moją matkę, tylko trochę. Ze mną nie masz absolutnie nic wspólnego. Jak chcesz, to powiem ci, dlaczego.

- Poproszę - odparła Sri, najspokojniej jak umiała.

- Mam nadzieję, że swojego syna za wiele nie pozmieniałaś. Dla twojego własnego dobra. Że nie zrobiłaś z niego prawdziwego nadczłowieka, potwora, z tych, których boją się tacy ludzie, jak twój generał. I słusznie. Bo jeśli zrobiłaś z niego potwora, to on cię zniszczy. Potwory tak mają. Nie będą wdzięczne za tak zwane dary, które im dano. Mogą je lubić, bo dzięki nim są ponad ludzkie stado, albo nienawidzić, z tego samego powodu, ale nigdy nie będą wdzięczne. Dlaczego? Bo te dary odróżniają ich od wszystkich, także od stwórców. Ta sama stara historia co zawsze, Frankenstein i jego potwór i miliard innych banalnych seriali i sag. Tylko że to jest ciągły motyw właśnie dlatego, że w środku tkwi fundamentalna prawda - potwory zawsze są samotne, bo nie mogą nawiązać żadnego normalnego kontaktu z normalnymi ludźmi. Ludzie się ich boją i prześladują je, bo są inne, a potwory ludźmi pogardzają i znęcają się nad nimi, bo ludzie, mimo swoich słabości, mimo niższości, mają coś, czego potwory nie dostaną nigdy - wspólnotę stada. Potwory nabierają do nich pogardy, pogarda zamienia się w nienawiść, nienawiść w furię, no i zaczyna się: bieżanina, wrzaski, trupy i zniszczenie. A ja coś o tym wiem - Yuli napięła grzbiet i zerwała się na nogi - bo sama ewidentnie jestem potworem!

Sri odskoczyła, nie mogła się powstrzymać - a Yuli natychmiast padła na plecy, wygięta w łuk i zaryczała jak dzikie zwierzę. Po chwili do Sri dotarło, że któryś z obserwujących włączył jej obrozę.

\*\*\*

Mimo tego nagłego zakończenia sesji, psychologowie uznali, że wszystko poszło świetnie.

- Feromon wywarł tylko nieznaczny wpływ, ale według mnie znaczący - powiedział jeden. - Była otwarta i zycziwa. Wdała się w rozmowę, okazała ciekawość, mówiła szczerze o sobie. To znakomity początek.

- Próbowała zaznaczyć swoją tożsamość - dodał drugi. - Skrywa ogromną urazę wobec matki, to było widać od razu. I chyba wini ją za swoje obecne położenie. Trzeba znaleźć sposób na solidaryzowanie się z tym i z tego zbudować most albo parę.

- Mnie nie interesuje zaprzyjaźnianie się z nią - powiedziała Sri. - Ani

jej - ze mną. Myślałam, że to jasne.

- Ale była przyjacielska - stwierdził pierwszy psycholog. - Musi pani się dowiedzieć, czego ona chce. Wtedy może się otworzy i da pani to, czego chce pani.

- Ona chce wolności - odparła Sri. - A tego jej dać nie mogę. Poza tym, już odmówiła, kiedy jej to zaproponowaliśmy w zamian o informacje o matce. Powiedzcie mi, ona naprawdę nienawidzi Avernus? Gdyby tak było, to czy dawno by jej nie zdradziła?

- Jest w konflikcie - powiedział pierwszy psycholog. - Wini matkę za swoją sytuację, ale także jest wobec niej lojalna.

- Poza tym wie, że obwiniając matkę, sama wymiguje się od odpowiedzialności - dodał drugi. - Jeśli pani jej w tym pomoże, zacznie pani zdobywać jej zaufanie.

Dla Sri brzmiało to zbyt prymitywnie, kojarzyło jej się z uzasadnianymi „bo tak” opowieściami biologów ewolucyjnych, prostackimi próbami racjonalizowania osobliwości ludzkiego zaufania przez sugestie, że wszystkie są wdrukowanymi na sztywno relikdami dawnych strategii przetrwania. Mimo to, pozwoliła psychologom przeprowadzić się przez parę scenariuszy i wróciła do Yuli rano następnego dnia. Przedtem była spokojna i pewna siebie, teraz czuła ostre ukłucie nieufności.

Yuli czekała na nią, siedząc po turecku na wielkiej poduszce, spokojna i obojętna. Sri przyniosła tablet i pokazała jej nagrania badanego przez siebie ogrodu na Tytanie - postrzępione płachty łopocące w nurcie wody amoniakalnej w wulkanicznym stożku, menażerię najrozmaitszych mikroorganizmów, wszystko będące ekspresją jednego kompletu genów.

Yuli ziewnęła i powiedziała, że nie ma pojęcia o ogrodach matki.

- Pobudowała je przed moim urodzeniem. A potem była zbyt zajęta, żeby robić następne.

- Ale kilka musiałaś widzieć.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czemu je stworzyła, zapytaj roślinę, czemu rodzi kwiaty. Albo pszczołę, czemu robi miód. Robi, bo tak ma. - Zawahała się, potem dokończyła: - Ty je kolekcjonujesz, prawda?

- Staram się je zrozumieć, bo myślę, że to mi pomoże zrozumieć, jak pracuje twoja matka. I jak myśli. A dzięki temu może sama się czegoś nauczyć. Czekał, pokażę ci coś jeszcze - odpowiedziała Sri, wyświetliła listę zmian w genomie Yuli, z wyróżnionymi tymi, które modyfikowały konstrukcję jej mózgu.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie zrozumiesz kogoś, robiąc katalog jego genów.

- Nie staram się ciebie zrozumieć. Nawet bym nie śmiała. Chcę tylko zrozumieć pracę twojej matki. Zmieniła cię, bo „tak ma”. Napędzał ją ten sam impuls, który pchał ją do budowania ogrodów. To dokładnie to samo.

- Ja nie wiem, gdzie ona jest - powiedziała Yuli.
- Wierzę ci.
- Jeśli się ukrywa, to na pewno w takim ogrodzie, o którym nikomu nie powiedziała. Nawet mnie.

Sri pokazała Yuli kolejne filmy, skrótowo i precyzyjnie podsumowując, co odkryła w dotąd zbadanych ogrodach. Yuli słuchała i oglądała w milczeniu. Na koniec zapytała:

- Tylko tyle ich znasz?
- Oprócz tego jeszcze jeden na Japecie, gdzie jeszcze nie byłam.
- Jest ich dużo, dużo więcej - stwierdziła Yuli z idealnie udaną beztroską. - Jeden pod waszym nosem, na Dione. Jak chcesz, to cię do niego zaprowadzę.

\*\*\*

Arvam Peixoto nie zgodził się nawet na wypuszczenie Yuli z pokoju, a co dopiero na podróż w jakieś odległe zakamarki Dione. Poza tym, propozycja pokazania Sri jakiegoś ukrytego ogrodu Avernus to nic innego, tylko próba stworzenia okazji do ucieczki. Nie znajdzie tam nic, tylko pył i lód, albo wręcz jakąś pułapkę. Sri powiedziała, że Yuli jest dużo bardziej wyrafinowana. Dodała, że przecież nosi obrożę, którą można ją w każdej chwili obezwładnić, i zaproponowała parę innych sposobów kontrolowania jej. Jednak Arvam już zdecydował.

Gdy Sri powiedziała Yuli o decyzji generała, dziewczyna wzruszyła ramionami i powiedziała, że sama myślałaby dokładnie tak samo, gdyby się zamienili miejscami.

- Bo chętnie bym się zamieniła.

Podczas poprzednich spotkań zachowywała się, jakby otoczyła się kręgiem, mroźną zimową twierdzą chronioną kolcami sarkazmu i wałami gorzkiego dowcipu. Teraz wydawało się, że otworzyła bramę twierdzy i wyszła przed mury. Jakby przez noc zima zamieniła się w wiosnę. Wydawała się autentycznie rozluźniona, utrzymywała ze Sri kontakt wzrokowy, zaśmiała się z jej drobnego żartu.

- Przykro mi, ale już nic więcej nie załatwię - powiedziała szczerze Sri.
- Niech ci nie będzie przykro. I tak ci powiem, gdzie on jest. Niech to będzie prezent. - Yuli wyrecytowała parę współrzędnych i dodała: - To oczywiście jest próba.

- A co sprawdzasz?
- Ciebie. Chcę sprawdzić, jak szybko zrozumiesz ten drobny żarcik mojej matki.
- A jeśli mi się uda? Bo oczywiście mi się uda.
- To będziemy rozmawiać dalej.

Współrzędne doprowadziły ją na jasną krawędź tektonicznego uskoku na wschód od Palatine Chasmata. Korytarz wycięty między dwiema fałdami lodu schodził do hermetycznej, zaizolowanej butlowatej komory o długości około pięciuset metrów. Sri płonęła frustracją, gdy oddział komandosów zmarnował pół dnia na badanie komory i jej okolic dronami i penetrującym radarem. Potraktowali ją jak niewybuch albo siedlisko zarazy, choć w końcu stwierdzili, że jest bezpieczna, pozwolili jej tam wejść i zabrać się do pracy.

Szybko uświadomiła sobie, że to kolejny fenotypowy ogród podobny do dżungli na Janusie albo mikroorganicznego biomu w wulkanie na Tytanie. Zdaje się, że to był ulubiony motyw Avernus. Tutaj podstawową formą było coś w rodzaju mchu o ogromnej różnorodności postaci, od grubych poduch, przez płataninę włókien, aż po proste pędy, niczym pokryte łuskami metrowe pręty, przybierające wszystkie odcienie zieleni i oranżu, a wszystko to połączone nitkami grzybni, niczym rysunek wykonany bez odrywania ołówka od papieru. Ten ogród mchów wypełniał dno komory od końca do końca, przetykany bryłami czarnych krzemionek, pochodzących według analizy spektrograficznej i izotopowej z ciemnego pierścienia okalającego Reę. Światło było słabe i czerwone, powietrze zimne i wilgotne. Ze źródeł przy wejściu wydobywała się z bulgotem woda, zasilająca grube, powolne, typowe dla słabego ciśnienia strumienie, płynące meandrami przez mech i spływające do głębokich stawów na drugim końcu.

Miejscami z mszystego podłoża wyrastały bezpośrednio paprocie, trawy lub bambusy. Wszystko tu miało ten sam genotyp, nawet motyle wylęgające się z torebek u nasady łądyg, latające w powietrzu, zdychające i rozsiewające nowe strzępki mchu, trochę jak ten cykl trawa-proporzec-trawa, o którym opowiedział kiedyś Sri rzecznik Pacyfików, Tommy Tabagee.

Po jednym dniu Sri opracowała uproszczony opis ogrodu. Analiza wszystkich zakodowanych w jego genomie form potencjalnych oraz sterujących ich ekspresją sekwencji genów homeotycznych i kaskad transkrypcyjnych będzie musiała poczekać, spodziewała się jednak, że będą to warianty jednego podstawowego motywu. Wróciwszy do habitatu, zdała Arvamowi Peixoto skrótową relację ze swoich odkryć i dodała, że ogród jest ascetyczny i elegancki jak dawne japońskie ogrody mchu. Generał odparł, że to tylko pokrętny żart, kompletnie bez wartości. Był w złym nastroju. Kilku jego żołnierzy zginęło albo zostało rannych, gdy w Paryżu zawałił się zsabotowany budynek - jakiś półżywy katalizator przeżarł mu szkielet, zamieniając fullerenowe elementy w sadzę.

Sri zapewniła go, że fenotypowe ogrody mają ogromny potencjał gospodarczy.

- Przeszczepianie genów z organizmu do organizmu, żeby zaczął wykazywać nowe właściwości, to banał. Kiedy zrozumie, jak reguluje się tę z pozoru przypadkową ekspresję fenotypu, będę w stanie stworzyć odmiany

jednej, wszechmogącej rośliny, która będzie miała ogromne możliwości adaptacji i będzie mogła rodić, zależnie od potrzeby, najrozmaitsze owoce. Jabłka, kukurydzę, pomidory, wszystko na jednej roślinie. Albo na zmianę, w jednym sezonie jabłka, w drugim pomidory.

Gadała dłuższą chwilę, lecz Arvam nie wydawał się przekonany.

- No, ale chociaż przeszłaś próbę tego małego potwora. Co dalej?
- Dalej porozmawiamy, liczę, że trochę bardziej otwarcie.
- Rzuciła ci smakołyk, a ty merdasz ogonem jak szczeniak. Kto tu kim rządzi?
- Niech sobie myśli, że mnie testuje. Mnie to odpowiada. Dzięki temu wierzy, że ma nade mną trochę władzy. 'To nas zbliża.
- Psychologowie myślą, że ona cię rozgrywa.
- Oczywiście, że tak. Nie chce być torturowana. Chce być lepiej traktowana. Coś za coś. Proste.
- Jeśli chce być lepiej traktowana, to niech lepiej zacznie sypać twardymi informacjami - stwierdził Arvam.
- Już dała mi ten ogród. Z czasem da mi dużo więcej.
- Daję ci kolejne siedem dni - powiedział Arvam. - I nie interesują mnie żadne następne ogrody.

Psychologowie ostrzegli Sri, żeby się za szybko nie spoufalała z Yuli, i zasugerowali, że dziewczyna rozmawiała by bardziej szczerze i chętniej zdradzała użyteczne informacje, gdyby nie spotykała się z nią codziennie. Sri zignorowała to. Po pierwsze, ich plan był prymitywnym wariantem tresury na wzmocnienie, tak jakby dawać myszy granulki pokarmu w losowych odstępach czasu po wykonaniu zadania, bo dzięki temu stara się bardziej niż gdyby dostawała je za każdym razem. Ale ludzie to nie myszy, a Yuli nie była nawet jak większość ludzi - natychmiast przejrzałaby ten sztyt grubymi nićmi podstęp. Po drugie, wiedziała, że dany przez Arvama termin jest nieprzekraczalny, musiała więc spędzać z Yuli jak najwięcej czasu, nawet jeśli to oznaczało porzucenie Berry'ego i własnej pracy.

Porozmawiała z dziewczyną o cudownych, misternych szczegółach ogrodów Avernus, opowiedziała parę historii z dzieciństwa: jak dorastała jako nieśmiała, trudna dziewczyna, samotna w prowincjonalnym miasteczku, gdzie nikt więcej nie interesował się nauką; jak ciężko pracowała, żeby się stamtąd wydostać, choć przez niskie urodzenie udało jej się zdobyć jedynie posadę w ośrodku badań rolnych w São Luis; jak jej praca zwróciła uwagę zielonego świętego Oscara Finnegana Ramosa, który przyznał jej swoje słynne stypendium. Mówiła o swoim pierwszym olśnieniu, objawieniu, dzięki któremu rozwiązała uparty problem kluczowy dla opracowania nowatorskiego, sztucznego systemu fotosyntezy. Opowiadała o dwóch synach, o ośrodku badawczym, który zbudowała na Półwyspie Antarktycznym, stworzonym tam biomie, o innych biomach, w tym owym feralnym



przedsięwzięciu w Tęczowym Moście na Kallisto.

Otworzyła przed Yuli serce. Pokazała swoje życie. Powiedziała rzeczy, których nie zdradziła nikomu innemu. Chciała nawiązać kontakt. Znaleźć wspólną płaszczyznę. O zamordowaniu własnego mentora nie wspomniała, próbowała jednak wytłumaczyć ambicję i frustrację, która pchnęła ją do postawienia wszystkiego na jedną kartę, wylotu do układu Saturna. Pozostawienia jednego syna na Ziemi i wzięcia drugiego ze sobą w charakterze zakładnika.

- Jestem samotna - powiedziała. - Większość naprawdę inteligentnych ludzi jest samotna, przynajmniej od czasu do czasu. I choć nie jestem tak bystra jak twoja matka, to jednak bystrzejsza niż większość ludzi. Czasem jednak to mnie uwiera. Gdyby nie to, miałabym o wiele łatwiejsze życie, żyłabym sobie zwyczajnie i miała normalne, ludzkie ambicje.

Yuli zastanowiła się nad tym, po czym stwierdziła:

- A ja potrafię przejrzeć wszystkie maski, jakie ludzie noszą publicznie, myślę szybciej od nich i przez większość czasu właściwie zgaduję, co sobie myślą. Przez to trudno mi ich polubić i dlatego jestem samotna. Dlatego mam wrażenie, że jestem jedynym prawdziwym człowiekiem w świecie zabawek, który jest za mały, żeby mnie pomieścić. Tak się czujesz?

- Czasami.

- A ja przez cały czas. Ze wszystkimi.

- Z matką też?

Wydawało się przez chwilę, że Yuli się otworzy, ta jednak wzruszyła ramionami i stwierdziła:

- Mojej matki nie rozumie nikt. Nawet ona sama.

I tak cały czas. Sri godzinami starała się znaleźć z Yuli płaszczyznę porozumienia, a kiedy wyglądało że już-już nawiązała jakąś wątłą empatyczną więź, dziewczyna wycofywała się do swojej zimowej twierdzy. Po trzech takich dniach Sri poszła do pułkownika odpowiedzialnego w habitacie za bezpieczeństwo i powiedziała mu, czego chce. Wojskowy był ostrożny i nieufny, ale nie mógł skonsultować się z generałem, bo ten akurat przebywał w Bagdadzie na Enceladusie, a Sri przysłała ze stanowczym uzasadnieniem i wzięła na siebie wszelką odpowiedzialność.

Następnego dnia spotkała się z Yuli na skraju obrzeżającego habitat lasu. Nad ich głowami unosiły się jak jastrzębie dwa drony. Dziewczyna miała skute z przodu ręce, a za nią stała falanga uzbrojonych strażników w pełnym pancerzu. Wydawała się skromna, opanowana i bardzo mała.

- Pomyślałam, że chętnie się przejdiesz.

- Czemu nie? - odparła lekceważąco Yuli.

Strażnicy i drony śledzili je, kiedy szły przez zielony cień drzew. Yuli powiedziała Sri, że parę razy tu była - jej matka przyjaźniła się z Abbie Jones, głową klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff.

- Teraz chyba tu nie mieszka - dodała.
- O ile wiem, zabrali ją do Paryża.

Abbie Jones była więźniem politycznym, jednym z setek internowanych bez procesu.

- Cieszę się, że nie zginęła. Lubiłam ją. Była prawie tak samo sławna jak matka, ale się z tą sławą nie obnosiła.

Rozmawiały o badaniu peryferii Układu Słonecznego, które przyniosły Abbie Jones takie uznanie wśród Zewnętrznych. Rozmawiały o wizytach Avernus w habitacie, o przywożonych przez nią drobnych upominkach dla klanu - karłowatych krowach, które teraz chodziły po lesie; paru nowatorskich gatunkach kwiatów, rosnących teraz we francuskich ogrodach wokół rezydencji; przeprojektowaniu systemu gospodarowania ściekami. Siadły w cieniu wielkiego dębu korkowego i napiły się razem soku z granatów z lodem, zagryzając przygotowanymi przez osobistego kucharza generała *pão de queijos*\* i innymi pikantnymi przysmakami.

\* *Pão de queijos* - popularne w Brazylii małe serowe bułeczki (przyp. tłum.).

- Wszystko to bardzo fajnie - stwierdziła w pewnym momencie Yuli - ale jeszcze lepiej byłoby, gdybym nie była skuta jak zwierzę i gdyby nie pilnowali mnie uzbrojeni ludzie i maszyny. Ta obroża to za mało? Jak spróbuję zrobić coś głupiego, da mi popalić. Zresztą obiecuję, że nic takiego nie zrobię.

- Wojskowi się ciebie boją - powiedziała Sri.

- A ty? Ty też się mnie boisz?

- Powiedzmy, że uważam na ciebie, bo jeszcze nie do końca wiem, co potrafisz.

- To prawda, nie wiesz - odparła Yuli z zadowoloną miną.

Sri ustaliła, że jutro spotkają się w tym samym miejscu, ale kiedy przyszła, zastała tam nie tylko Yuli i strażników, ale także Arvama Peixoto i Berry'ego.

Arvam wyszczerzył do niej zęby i powiedział:

- Tak pomyślałem, że może się razem przejdziemy. Niech się dzieciaki poznają.

- Dobrze wiesz, że ona nie jest dzieckiem - warknęła Sri. Była zła i przestraszona. Zła, że Arvam pozwolił sobie bez żadnych wstępów i przygotowań narazić jej syna na niebezpieczeństwo; przestraszona, że zrobił to, żeby ją ukarać za wymuszenie na szefie ochrony wypuszczenie Yuli z zamknięcia.

- Wszystko jedno, kim jest, my nad nią panujemy - odpowiedział Arvam i pokazał Sri trzymanego w ręku pilota. - Może przyda się mała pokazówka. O właśnie. Tak na wszelki wypadek.

- Nie - powiedziała Sri.

Arvam odwrócił się i wycelował pilota w Yuli, która wygięta z bólu padła

na ziemię.

- Powinienem pozakładać takie mojemu sztabowi - powiedział Arvam.  
- Dopiero by byli czujni.

- Pasuje do ciebie każda definicja durnia - oburzyła się Sri.

Podeszła do Yuli i pomogła jej wstać. Po raz pierwszy dotknęła dziewczyny. Skórę miała suchą i rozpaloną jak w gorączce, żar buchał przez papierowy kombinezon. Przeguby miała spięte plastikowymi kajdankami z krótkim sznurkiem.

- To nie był mój pomysł.

- Mnie ból nie przeszkadza. Dzięki niemu jestem silniejsza. Dzięki niemu wiem, jak bardzo on się mnie boi - odparła Yuli. Była prawie dokładnie wzrostu Sri. W spokojnych zielonych oczach błyskały złote iskierki. - A poza tym, warto, bo mam okazję pogadać z twoim synem. Może dowiem się od niego czegoś o tobie, tak jak ty się dowiedziałeś o mojej matce ode mnie.

- Nie ma sprawy - powiedziała Sri. Z trudem się opanowywała, czuła się tak, jakby połknęła chmurę motyli.

Arvam zwrócił się do Berry'ego:

- Chcesz pokazać nowej koleżance żółwie, co?

Berry uważnie przyjrzał się Yuli i Sri, po czym wzruszył ramionami.

- Pewnie, że chcesz - stwierdził Arvam.

Berry podniósł gałąź i, idąc, siekł nią wysokie trawy po obu stronach ścieżki. Yuli płynęła obok niego, pogodna i spokojna, zadając proste, na oko niegroźne pytania dotyczące habitatu, podczas gdy Arvam, Sri i strażnicy szli tuż za nimi. Berry wzruszał ramionami albo odpowiadał monosylabami, a kiedy weszli do owalnego zielonego zagajnika wokół oczka wodnego, nagle puścił się wielkimi susami, wbiegł z chłupotem pomiędzy szuwary i zaczął rzucać pecynami błota w siedzące na kłodzie żółwie. Gdy Yuli podeszła do niego, Arvam chwycił Sri za rękę i powiedział, że ma pozwolić dzieciom pogadać.

- Może twój syn ją skłoni, żeby powiedziała coś pożytecznego, co?

- Jak chcesz mnie ukarać, to mnie ukar. Ale nie mieszaj do tego mojego syna, nigdy w życiu.

- A czego pani się tak boi, pani profesor? Myślałem, żeście się z dziewczyną zaprzyjaźniły.

- Doszliśmy do porozumienia. Ale nigdy nie zapominam, że ona jest potworem - odparła Sri, wyrwała się z uścisku Arvama. Lepiej odsunąć się od niego, zanim wymknie jej się coś, czego będzie żałować.

Berry i Yuli kucali nad brzegiem wody. Rozmawiali cicho, z głową przy głowie. Gdy Sri poprosiła strażnika, żeby puścił jej dźwięk z któregoś drona, żeby mogła ich słyszeć, Berry nagle się zerwał i pchnął Yuli. Ta go złapała, oboje chlupnęli do płytkiej wody i zaczęli się szamotać. Ktoś przebiegł obok

Sri. To Arvam, wskoczył do wody, podniósł Berry'ego za rękę i nogę, ode-rwał od Yuli i rzucił brutalnie na brzег. Potem pochylił się, żeby pomóc jej się podnieść, i zachwiał się, przyciskając ręce do twarzy, z krwią płynącą między palcami, a Yuli wystrzeliła ponad wodę długim baletowym skokiem, który przeniósł ją nad całym stawem. Do Arvama podbiegło dwóch strażni-ków; reszta popędziła za Yuli, omijając staw z obu stron. Berry podniósł się, cały zapłakany, Sri podeszła do niego, krzycząc do strażników:

- Nie strzelać! Włączyć obrożę! Nie strzelać!

Yuli biegła dalej, szybka i zwinna jak sarna, skręcając to tu, to tam, i zniknęła między drzewami. Nad głowami strażników błysnęły dwa drony. Rozległ się trzask, potem kolejny. Znad lasu wzbila się w czyste powietrze skłębiona chmara splotzonych gołębi.

Yuli ułamała koniec kija Berry'ego i dźgnęła nim generała w prawe oko, przebijając gałkę oczną i kość z tyłu oczodołu. Gdyby wbiła go centymetr głębiej, zrobiłaby mu lobotomie. Natychmiast trafił na salę operacyjną, ale oka nie dało się uratować.

Sri długo rozmawiała z Berryem, ten jednak zamknął się w sobie, uparty, nadąsany i przerażony. Nie chciał wyjawic, co takiego powiedziała Yuli, że tak się wściekł. Sri spodziewała się, że Arvam obwini ją za to fiasko, choć pomysł przedstawienia Yuli Berry'ego wyszedł od niego, ale generał, z czarną przepaską na krwawym oczodole, powiedział jej, że ma o całym wypadku zapomniec.

- Pracuj nad ogrodami Avernus. Znajdź coś, co mnie do niej doprowadzi. Znajdź coś, co mnie przekona, że na coś się przydasz.

- A co z Berryem?

- Oczywiście zostanie tutaj.

Sri zaczęła mówić, że to, co się stało, nie jest pod żadnym względem winą Berry'ego, Arvam jednak jej przerwał.

- Ty naprawdę nie znasz się na ludziach, co? Ja nic złego mu nie zrobię. Kocham go jak własnego syna. Idźże już, pożegnaj się z nim i wracaj do pracy.

Zatem to była jej kara. Uciekając z Ziemi, straciła Aldera. Teraz straciła także Berry'ego.

Kiedy opuszczała rezydencję, przez gęsty tłum wojskowych na zadaszo-nym wewnętrznym dziedzińcu przebił się ku niej Loc Ifrahim.

- Właściwie powinienem się domyślić, że skoro wszystko tak się spierdoliło, to pani brała w tym udział.

Sri spojrzała mu w płonące goryczą oczy i odparła:

- Gratuluję, że ją schwytałeś. Jesteś autentycznym bohaterem. Tego przynajmniej ci nie odbiorą.

- Skoro pani tak myśli, to widać, że nie zna pani generała. Właśnie idę do niego, żeby się dowiedzieć, jaką karę wyznaczysz mi za katastrofę, z którą

nie miałem nic wspólnego. Ja dostanę po dupie, a pani sobie wróci na Tytana do superważnej misji. Jak to jest, być ponad normalne ludzkie problemy? Naprawdę chętnie bym się dowiedział.

- Powinieneś wracać do domu, Loc. Tu jesteś wyraźnie nieszczęśliwy, a po drugie, już wystarczająco zaszкодziłeś Zewnętrznemu Układowi i jego ludziom. Wracaj na Ziemię i zajmij się własnym życiem.

Na moment zza przystojnej maski Loca Ifrahima wyrzała nieskrywana pogarda. Potem uśmiechnął się i powiedział:

- Życzę pani powodzenia w pracy. Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego szuka. Naprawdę. Ale jeśli jeszcze raz wejdzie mi pani w drogę i wtrąci się w moje sprawy, rozprawię się z panią.

- Obiecuję, że zrobię co w mojej mocy, żeby trzymać się od pana z daleka. - Sri była zbyt zmęczona i podenerwowana, żeby zareagować złością. Poza tym, to głupek, co za sens dawać mu jakąkolwiek nauczkę? Odwróciła się do kobiety, która stała u jego boku, młodej dziewczyny o pospolitej urodzie, z czarnym jeżem na głowie i dystynkcjami kapitana na piersi niebieskiego kombinezonu, i poradziła jej, żeby trzymała się od pana Ifrahima z daleka. - Jego pech ma skłonność do przenoszenia się na wszystkich naokoło - powiedziała i poszła.

Loc Ifrahim coś za nią zawołał - musiał w końcu mieć ostatnie słowo - nie odwróciła się jednak.

\*\*\*

Dwa dni później, na promie na Tytana, Sri cały czas zastanawiała się nad niezłomną determinacją Yuli. Dziewczyna o mało co nie dotarła do awaryjnej służy, kiedy dopadły ją drony. Elektryczna obroża działała bez zarzutu, ale kiedy strażnik ją włączył, jej udało się jakoś zablokować ból. Co oznaczało, że mogła go blokować także podczas przesłuchań - jednak tomogramy mózgu i analizy krwi kapitan-doktor Gavilán wskazywały, że go czuła. Wytrzymała zadawane jej przez wiele dni niewiarygodne tortury, żeby oprawcy uwierzyli, że mogą ją kontrolować za pomocą bólu. A do tego co najmniej dwa razy pozwoliła się potraktować prądem, zanim zemściła się na człowieku, który zarządzał torturą, i podjęła próbę ucieczki. Jasne, była potworem, ale rany, co to był za potwór!

Sri nie powiedziała Yuli, że odkryła, kto jest jej ojcem. Nie miały okazji do rozmowy w cztery oczy, a nie chciała, żeby Arvam wiedział to, co ona. Jednakże ktoś jeszcze zasługiwał, by się tego dowiedzieć - kiedy prom wylądował na płycie obok brazylijskiej bazy na dalekiej północy Tytana, pojechała prosto do Tank Town.

Gunter Lasky wysłuchał historii o próbie ucieczki Yuli i jej śmierci, ani razu nie przerywając. Gdy Sri skończyła, starzec zapytał:

- Bardzo cierpiała?
- Zginęła od razu.

Nie było potrzeby mówić mu o torturach, które znosiła wcześniej. Byłoby to bezsensowne okrucieństwo, a także mocny argument dla ruchu oporu.

- Czemu mi o tym powiedziałaś? Teraz to i tak nic nie zmienia.
- Zaslugujesz, by wiedzieć. Nie przyszedł tu, żeby węszyć.
- To i tak nic nie zmienia - powtórzył starzec z większym naciskiem. -

Nie zmieni mojego nastawienia wobec ciebie ani wobec Avernus. Wleźliście z butami w nasze życie, rozdeptując wszystko, co zbudowaliśmy, całe stulecie historii, której nie rozumiecie. Której w życiu nie zrozumiecie. I dlatego przegracie tę wojnę, wiesz? Bo nas nie rozumiecie.

I znów cisza. Oboje patrzyli przez wielkie diamentowe okno na czarne pola organizmów próżniowych, oddalające się i ginące w ponurej pomarańczowej mgłę, ale do Sri po raz pierwszy dotarło, że wcale nie widzą tego samego obrazu. Że musi się jeszcze wiele dowiedzieć o Tytanie i innych księżycach, na których Avernus pourządzała swe ogrody.

- Ale ja chcę zrozumieć. Po to tu jestem - powiedziała.
- Ostatnim razem, jak się spotkaliśmy, stwierdziłem, że trochę ją przypominasz. Chyba się myliłem.
- Chciałabym być lepsza od niej.
- Na pewno jesteś od niej bardziej ludzka. I wiesz, to ma być komplement - zauważył Gunter Lasky. - Ale ty raczej tego tak nie odbierzesz.

Sri zostawiła starego człowieka oplakującego córkę, której nigdy nie poznał, i obleciała pół Tytana, wracając do wulkanicznego stożka i ogrodu, cały czas badanego przez jej ekipę. Miała tu mnóstwo pracy. Końca nie było widać... Ale dowiadywała się tylu nowych rzeczy. Starzec powiedział, że nigdy nie zrozumie Zewnętrznych, a co dopiero Avernus. Mylił się jednak. Nie doceniał jej. Udowodni, że jest równa Avernus, tworząc własne arcydzieło.

Pracując razem z ekipą nad tajemnicami podziemnego królestwa polimorficznych prokariontów, Sri długo i intensywnie rozmyślała o Avernus i Yuli. Zaczęła nakreślać pierwsze szkice tego arcydzieła.

# CZEŚĆ II

Ławica wśród nocy

# ROZDZIAŁ 1

Oś obrotu Urana jest nachylona i znajduje się prawie w płaszczyźnie jego orbity - podczas gdy pozostałe planety wirują wokół Słońca jak bąki, on toczy się wokół niego jak beczka. Kiedy przybyli nań uchodźcy z Cichej Wojny, południowy biegun Urana był wycelowany w Słońce, a orszak orbitujących wokół jego równika księżyców kreślił tory przypominające tarczę łuczniczą, w której zielononiebieski lodowy olbrzym i jego cienkie, grafitowe pierścienie stanowiły dziesiątkę. Chaotyczna procesja statków opadała ku niemu jeden po drugim, okrążając któryś z pięciu największych księżyców spiralą wynoszącą je ponad perycentrum i trafiając na wspólną równikową orbitę. Bałaganiarskie, znerwicowane stadko wygnańców, tułających się w mroźnym mroku, gadających do siebie, próbujących ustalić, co dalej, gdzie zbudować sobie dom, jak długo tu zostać.

Był to gorzki paradoks: Cicha Wojna zagnała ich w miejsce, w którym od dawna chcieli założyć nowe osady i odkryć nowe sposoby na życie - trzy główne ziemskie bloki polityczne poszły na wojnę z Zewnętrznymi właśnie dlatego, że oni zaczęli oddalać się ewolucyjnie od tak zwanego standardowego ludzkiego planu, rozchodząc się w nieprzewidywalnych kierunkach, grożąc ekspansją we wszystkie zakamarki Układu Słonecznego i stworzeniem chaotycznej, niewyobrażalnej różnorodności postludzkich gatunków, wobec której Ziemia stałaby się bezwartościową i zapyziałą błotną kałużą. Cicha Wojna była wojną przeciwko ewolucji, próbą wzięcia pod obcas wszystkich odłamów społeczności Zewnętrznych, położenia kresu niekontrolowanej eksploracji i rozwojowi oraz narzucenia całemu Układowi Słonecznemu ziemskiej hegemonii.

Uchodźcom udało się przed tym wszystkim uciec, wiedzieli jednak, że to tylko chwilowe wytchnienie. Rok. Może dwa. Byli nie tylko solą w oku Ziemi, żadnej władzy i porządku; oprócz tego posiadali wykradzione informacje o nowym, szybkim napędzie termojądrowym, który, opracowany w Wielkiej Brytanii, pozwolił Ziemianom wygrać Cichą Wojnę. Uran znajdował się dwa razy dalej od Słońca niż Saturn, ale nie dość daleko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Tymczasem ich statkom brakowało paliwa, a zaopatrzeni byli kiepsko - brakowało wielu rzeczy niezbędnych do dłuższego przetrwania. Musieli przemyśleć własne położenie, uzupełnić zapasy i opracować jakieś sposoby



ochrony przez atakiem.

Największy księżyc Urana, Tyrania, dwadzieścia pięć lat temu był przez chwilę zamieszkały. Społeczność rozpadła się jednak, nękana izolacją i wewnętrznymi napięciami, jej członkowie wrócili do układu Saturna, ale pozostawiona na miejscu AI habitatu utrzymała w działaniu torowy reaktor dający prąd i podstawowe układy środowiskowe. Nie trzeba było dużo pracy, żeby z powrotem się tam wygodnie urządzić, ale miejsce było oczywistym celem. Znajdowało się na mapach, w podręcznikach historii, a poza tym tkwiło na środku wielkiej równiny, w połowie oduranowej półkuli Tytanu. Uchodźcy wymontowali więc z osiedla wszystko, co przydatne, rozładowali flotę drobnych, rozrzuconych po całej powierzchni automatycznych statków zaopatrzeniowych, które wysyłali tu nieregularnie, odkąd stało się oczywiste, że wojna z Ziemią jest nieunikniona, i zawieźli to na Mirandę.

Większość z ponad trzydziestki księżyców Urana była małymi okruciami lodu lub substancji węglowych. Jedna ich grupa orbitowała tuż za krawędzią pierścieni; inna zajmowała odległe, nieregularne orbity - była kosmicznymi wędrowcami przechwyconymi przez pole grawitacyjne planety. A pomiędzy tymi dwiema ławicami malutkich księżyców krążyło pięć na tyle dużych, by osiągnąć równowagę hydrostatyczną i pod naporem własnego ciężenia przybrać kształt kuli. Cztery były bardzo podobne do siebie - kule z brudnego lodu otaczającego krzemionkowe jądra, usiane kraterami uderzeniowymi, zapyłone ciemnym materiałem powstałym ze zderzeń, z których utworzył się też układ pierścieni, w różnym stopniu popękane od niegdysiejszej aktywności geologicznej. Natomiast Miranda, najmniejsza z tych dużych księżyców, była nie tylko najdziwniejszym z satelitów Urana, ale i jednym z najosobliwszych w całym Układzie Słonecznym - płataniną ostrych formacji terenu, stromych górskich łańcuchów i monstualnych kanionów mających do dwudziestu kilometrów głębokości - jakby wykuł ją z kawałków kilkunastu różnych ciał jakiś nieudolny bóg, który potem w napadzie furii rąbał i siekał swoje nieudane dzieło. Pierwsze teorie przypuszczały, że została parę razy rozbita w zderzeniach z wielkimi ciałami, a potem przypadkowo poskładała się z powrotem, w niektórych miejscach odsłaniając jądro, w innych pierwotną powierzchnię. Późniejsze badania wykazały jednak, że jej ostra rzeźba była wynikiem intensywnej aktywności geologicznej napędzanej przez nagrzewanie pływowe, w dalekiej przyszłości, kiedy miała o wiele bardziej mimośrodową orbitę.

Wtedy Miranda, rozciągana i ściskana za każdym przelotem blisko Urana, pęczniała, pokrywała się bąblami i pękała jak śnieżna kula kryjąca w środku rozpalony węgiel. Erupcje lodowej magmy zalewały starsze tereny, tworząc gładkie równiny. Nad wypiętrzeniami ciepłego lodu, przenikają-

cego i odkształcającego górne warstwy, wyrastały korony\*, gigantyczne kopuły poprzecinane koncentrycznymi kręgami zrębów i rowów. Kiedy ustaliła się jej obecna orbita, ostygła i zamarzała w stu procentach. Powierzchnia skurczyła się i przez aktywność tektoniczną pozapadała się w głębokie grabeny, a naprężenia pochodzące ze ściskania jednocześnie powypiętrzały układy grzbietów i dolin, tworząc wielokilometrowej wysokości skarpy.

\* Korona - w geologii planetarnej, owalna wypukłość wyniesiona przez podgrzaną magmę; znane są korony na Wenus i Mirandzie (przyp. tłum.).

Ta brutalna geologiczna przeszłość doprowadziła do powstania urozmaiconego i chaotycznego krajobrazu - niezwykle zróżnicowany teren, poprzecinany szczelinami, grzbietami, pełen stref przejściowych, gigantycznych skarp i rowów tektonicznych, stanowił bogactwo kryjówek. Uchodźcy zdecydowali osiedlić się w głębokiej, wąskiej rozpadlinie daleko na północy. Rzucili do pracy dwie ekipy przywiezionych robotów budowlanych.

Choć księżycy Urana były nieco zimniejsze od księżyców Jowisza i Saturna, ich powierzchnia miała podobny skład - uchodźcy mogli więc czerpać z bogatego zasobu technik budowy w niskich temperaturach i tworzenia biomów, rozwiniętych w czasie kolonizacji tamtych układów. Namierzyli i wydobyli pierwsze złoża substancji węglowych, uruchomili reaktory zamieniające smolisty materiał w diament budowlany, kompozyt fullerenowy i wszelkie możliwe plastiki. Zespoły robotów, potężnych, uniwersalnych maszyn, zdolnych zaledwie w parę tygodni zrealizować przedsięwzięcia, które ludziom zajęłyby dziesiątki lat, wykopały metodą odkrywkową szereg tuneli przy samej ścianie szczeliny, pod wydętą przewieszką, osłaniającą budowę przed pobieżnym skanowaniem optycznym, radarowym czy mikrofalowym. Torowy reaktor ze starego habitatu na Tytanu zapewniał aż nadto mocy, tunele były dobrze zaizolowane, a pozostałości ciepła wydostającego się przez ich wielowarstwowe ściany łapała nadprzewodząca siatka i transportowała do miejsca parę kilometrów od krawędzi szczeliny - powstało tam ukryte głęboko podziemne jezioro, które nie tylko zaopatrywało ich w wodę pitną, ale można ją było także elektrolizować, produkując tlen.

Podobnie jak reszta księżyców Urana, Miranda orbitowała obecnie pod kątem prostym do ekliptyki, tak że południowy biegun wskazywał Słońce i wewnętrzne planety, północny zaś to, co było na zewnątrz Układu. Zatem nowy dom uchodźców był nie tylko ukryty przed okiem całego wewnętrznego Układu, od którego dzieliła go cała objętość księżycy, ale i zatopiony głęboko w permanentnym mroku zimy, która nie miała ustąpić, dopóki Uran nie pokona połowy swojej orbity i nie odwróci się drugim biegunem - i osią obrotu wszystkich księżyców - w stronę Słońca. To miało jednak nastąpić

dopiero za czterdzieści lat, a przyszłość była na razie nieznaną. Uchodźcy, nazywający siebie teraz Wolnymi Zewnętrznymi, osiedlili się w nowym domu i zaczęli odbudowywać życie oraz snuć nieśmiałe plany.

Na razie żywili się głównie drożdżami spożywczymi oraz jedzeniem syntetyzowanym z pierwiastków CHON zebranych z pól organizmów próżniowych na Tytanu. Przekształcano je w pożywienie na wiele kreatywnych sposobów, tak że do zaspokojenia fizjologicznych potrzeb wystarczyło to aż nadto, jednak, jak wszyscy Zewnętrzni, uważali, że hodowanie własnego prowiantu jest psychologiczną i duchową koniecznością. Dowodem przewagi życia nad materią. Bezpośrednim połączeniem z siecią życiowych relacji, które opuścili. Tunele zostały więc w całości przeznaczone na hydroponiczne farmy, ludzie zaś spali w namiotach i wigwamach pomiędzy gęstymi uprawami pszenicy i kukurydzy, ryżu, ziemniaków i jamów, pomidorów, sałaty i szpinaku, kilkudziesięciu odmian fasoli, krzewów owocowych, mchów herbacianych i kawowych oraz najrozmaitszych ziół. Na początku pojawiały się oczywiście typowe problemy z zaopatrzeniem, ale po sześciu miesiącach ciężkiej pracy ekosystem podziemnej osady zaczął działać w miarę stabilnie.

Wolni Zewnętrzni zachowali w eksploatacji tylko parę statków, resztę ukryli w dołach wykopanych w dnie sąsiednich wąwozów i dolin, zakrywając je sztywnymi fullerenowymi osłonami i zasypując grubo lodowym gruzem. Ponieważ rozpaczliwie brakowało im paliwa, sklecieli ławicę automatycznych sond wyposażonych w sita, tzw. ramscoopy, i przemierzających jak planktonożerne długoszpary środkowe warstwy atmosfery Urana. W godzinę przesiewały tony wodoru, odcedzając z nich tryt i deuter i zbierając je w zbiornikach, które po napełnieniu oddziaływały się od ich kadłubów i uruchamiały chemiczne silniki, nadające im prędkość ucieczki akurat wystarczającą, żeby wzniosły się spiralą ku Mirandzie, gdzie przechwytywały je holowniki.

Na południowych biegunach Ariela, Umbriela i Tytanu ustawili małe automatyczne obserwatoria - te księżyce były bardziej zewnętrzne od Mirandy - na niebie jej północnej półkuli, poza krótkimi okresami, był zawsze widoczny przynajmniej jeden z nich. Obrazy wewnętrznego Układu Słonecznego oraz surowe, niefiltrowane transmisje radiowe z zamieszkałych księżyców Jowisza i Saturna zbierała z nich w czasie rzeczywistym stacja monitorująca w bunkrze kilkaset kilometrów na północ od systemu tuneli - AI zapisywała wszystko i katalogowała, a żywy operator nadzorował ją przez całą dobę, odsiewając z beładnej gadaniny strzępy użytecznych informacji. Niewielka liczba tajnych rejestratorów w nieregularnych odstępach czasu przysyłała w paśmie 10 MHz skompresowane pakiety informacyjne, rozpakowujące się do wiadomości tekstowych i wideo. Zapewniało im to informację o działaniach sił okupacyjnych, o przylotach i wylotach

statków, aktualne listy ofiar, osób aresztowanych i osadzonych w obozach pracy, dostawali tą drogą także listy od rodzin i przyjaciół. Było to ważne źródło łączności z miastami, osiedlami i ludźmi, których pozostawili Wolni Zewnętrzni, choć większość informacji była niesamowicie ponura. Rząd Trzech Mocarstw, wspierany przez kolaborujące z nim władze, zaciskał żelazną pięść. Burmistrz Paryża, głównego ośrodka oporu przeciwko inwazji Ziemian, zginął podczas obrony swojego miasta. Zabito wielu jego zwolenników, większość pozostałych przy życiu siedziała w więzieniu. Sporadyczne akcje sabotażowe karano egzekucjami po ekspresowych, pokazowych procesach. Zawieszono swobody obywatelskie, na przykład zasadę *habeas corpus*\*, we wszystkich miastach i większych osiedlach wprowadzono stan wojenny, a mniejsze przymusowo ewakuowano. Guru genetycznych i innych specjalistów zmuszono do współpracy w systematycznym plądrowaniu wielkich archiwów wiedzy technicznej i naukowej. Mrok zapadł nad całym stuleciem oświecenia, utopianizmu i eksperymentów ze wszelkiej maści demokracją.

\* *Habeas corpus* - w prawie anglosaskim zasada zabraniająca aresztowania obywateli bez nakazu sądowego oraz przetrzymywania ich bez procesu (przyp. tłum.).

Wolni Zewnętrzni nie byli w stanie pomóc tym, którzy zostali - Sojusz Trzech Mocarstw miał nad nimi ogromną przewagę liczebną i militarną. Nie mogli nawet odpowiadać na wiadomości od rodzin i przyjaciół - zbyt wielkie było ryzyko, że RTM przechwytuje wszystko, co nadano przez radio. Mały radioteleskop zainstalowany przez nich na północnym biegunie Mirandy niestety nie odbierał żadnych sygnałów wysyłanych na Neptuna i karłowate planety na skraju Układu Słonecznego - Plutona, Enkiego, Sednę i tak dalej - czyli miejsca, gdzie być może osiedli inni uchodźcy. Wszystko wskazywało na to, że tylko oni przetrwali, żeby zachować pamięć. Obciążeni tą odpowiedzialnością, obowiązkiem zachowania wyniesionej z domu wiedzy i tradycji, podtrzymania migocącego w ciemności kaganka demokracji, garbili się, kryli, nieustannie wypatrywali wrogich statków lub sond i prowadzili intensywne dyskusje nad przyszłością.

Wielu chciało zostać, gdzie są. Siedzieć cicho. Nie rzucać się w oczy. RTM na razie po nich nie przyszła, może wcale nie przyjdzie - to przecież jasne, że wygranie pokoju okazuje się o wiele trudniejsze od wygrania wojny. Jednakże głośna mniejszość sprzeciwiała się - nie zamierzała kryć się po norach przez resztę życia, w nieustannym strachu, że nagle z rozgwieźdzonego nieba spadnie wróg. Poza tym, większość Wolnych Zewnętrznych stanowili dwudziesto- i trzydziestolatkowie, chcący na ogół zakładać rodziny. Już na Mirandzie urodziło się kilkoro dzieci, kolejne były w drodze. Niedługo okaże się konieczna rozbudowa ich schronienia albo budowa nowych osad - a to zwiększy ryzyko wykrycia. Nie, nie mogą liczyć na to, że na zawsze pozostaną w ukryciu; powinni więc jak najszybciej

rozproszyć się po najdalszych rubieżach Układu Słonecznego. Osiąść na Neptunie, którego największy księżyc, Tryton, miał wokół płaszczą ocean płynnej wody. Albo na Plutonie i jego trzech księżycach, z których jeden, Charon, także miał pod powierzchnią ciekłą wodę. Czy nawet jeszcze dalej, na licznych karłowatych planetach prawdziwego Układu Zewnętrzznego i Pasa Kuipera. W miejscach, których RTM nie będzie w stanie zaatakować, bo linie zaopatrzeniowe byłyby zbyt długie i zbyt wątle, żeby pozwolić na prowadzenie dłuższych kampanii.

Prym w tej grupie wodził Newton Jones. Pilotował holownik i posiadał znaczny zasób kudosów, bo razem ze swoją partnerką, Macy Minnot, nie tylko pomogli uciec Avernus, ale także wykradli dane techniczne brazylijskiego napędu termojądrowego. Poza tym był synem Abbie Jones, sławnej odkrywczym, która jako jedna z pierwszych zbadała układ Neptuna, wylądowała na Enkim i wyruszyła w samotną ekspedycję na skraj strefy kometarnej, zawędrowawszy od Słońca dalej niż jakikolwiek człowiek. Po owych wyczynach w czarnej pustce została jedną z założycielek wspólnoty, która na chwilę skolonizowała Tytanię - tam urodził się Newt - a po rozpadzie tej wspólnoty pomagała zbudować habitat-ogród dla klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff. Przed Cichą Wojną była starszą klanu, potężną matroną, a teraz słynnym więźniem politycznym.

Oponenci Newta twierdzili, że przez całe życie próbuje uciec ze studni grawitacyjnej sławy matki - że ambicja każe mu udowadniać, że jest w stanie jej dorównać albo wręcz ją przewyższyć. Przed wojną był kimś w rodzaju nieustraszonego kupca-przemytnika, nieustannie wdającego się w utarczki i podejrzone afery. Choć zasłużył się podczas Cichej Wojny, a teraz został optymistycznym i energicznym przywódcą zespołu, który zaproponował i zbudował statki-sita odsiewające z atmosfery Urana deuter i tryt na paliwo do statków, wielu podejrzewało, że jego zapał do eksploracji Neptuna i wewnętrznego skraju Pasa Kuipera wynika nie z obaw o bezpieczeństwo i troski o przyszłość, ale z jego dobrze znanej żądzy przygody i autoreklamy.

Wielu Zewnętrznych nie ufało także jego partnerce, Macy Minnot. Przecież pochodziła z Ziemi, a zdezerterowała w podejrzanym okolicznościach - zabójstwo, sabotaż, nagłe przerwanie wspólnego projektu Wielkiej Brazylii i miasta Tęczowy Most na Kallisto. Przed wojną krążyły plotki, że jest kimś w rodzaju podwójnej agentki, że swoim dobitnym poparciem dla ruchu pokojowego uniemożliwiła ludziom z układów Jowisza i Saturna przygotowanie jakiegokolwiek sensownej obrony przed połączonymi siłami trzech ziemskich mocarstw. Ta łątka cały czas się jej trzymała, mimo że odegrała kluczową rolę w uratowaniu Avernus i wykradzeniu schematów silnika termojądrowego. Mimo że razem z nimi cierpiała wszystkie trudności i pracowała równie ciężko jak inni nad urządzeniem w tunelach bezpiecznego i przyjemnego do życia habitatu.

Macy wiedziała, że ludzie, którzy sprzeciwiają się organizacji wyprawy badawczej, żywią także głębokie, niezachwiane podejrzenia w stosunku do niej, i starała się jak mogła tym nie przejmować. Sama nie wiedziała, co myśleć o planach Newta. Oczywiście popierała go i zamierzała polecieć z nim, gdyby plan się udał. Bez dwóch zdań. Ale oznaczało to, że oddali się jeszcze bardziej od Ziemi i słonecznego ciepła - a już i tak zapuściła się dalej niż większość Zewnętrznych. Z Ziemi na Jowisza, gdzie została zmuszona do dezercji. Potem z Jowisza na Saturna, gdy stało się jasne, że jeśli wróci na Ziemię, aresztują ją za zdradę. I wreszcie z Saturna na Urana. Była jednak pewna, że RTM zaraz, raczej wcześniej niż później, zabierze się za Wolnych Zewnętrznych, a im nie uda się zmontować sensownej obrony przeciwko świetnie wyszkolonym siłom, mającym po swojej stronie doświadczenie w boju i potężną przewagę zasobową. Cicha Wojna była tego świetnym dowodem - nieliczne siły ekspedycyjne z Ziemi przechrztyły i pokonały Zewnętrznych na ich własnym terenie. Wolni Zewnętrzni, którzy uważali, że dałoby się zorganizować partyzantkę albo sklecić na podstawie potężnych zasobów Publicznej Biblioteki jakąś niesamowicie potężną broń, powtarzali tylko uspokajające bajeczki, w których sensu było tyle, co materii w warkoczu komety. W najlepszym razie udałoby im się zorganizować coś w rodzaju Termopil, tylko że byłaby to bezsensowna ofiara. Nie, od teraz trzeba im będzie żyć zgodnie ze starą maksymą każdego uchodźcy: cisza, wygnanie i spryt.

A Macy była podwójnym uchodźcą. Najpierw z Ziemi, teraz z przybranego domu na Dione. I chociaż przed Cichą Wojną mieszkała u Zewnętrznych od dwóch lat, a teraz spędziła ponad rok na Mirandzie, wciąż nie pogodziła się z perspektywą spędzenia reszty życia pod jakimś namiotem, kopułą albo w tunelu. No i tęskniła za Ziemią. Czasami wyświetlała sobie widok Układu Wewnętrznego przesłany przez któreś z obserwatoriów na południowych biegunach Ariela, Umbriela czy Tytanu. Merkury zatracał się w blasku Słońca, ale wyraźnie było widać trzy pozostałe skaliste planety. Jasną Wenus, rdzawoczerwonego Marsa i błękitny krąg Ziemi, wiszący pośród czerni razem z jej bladą siostrą. Przy maksymalnym powiększeniu była w stanie rozróżnić lądy i oceany, nawet co większe układy pogodowe, na przykład wirujące nad Oceanem Spokojnym tropikalne burze. Myślała o deszczu siekającym wzburzone morze, sięgające od horyzontu po horyzont, o grzmotach i porywistych wiatrach, o snopach mocnego słonecznego światła przebijających się przez burzowe chmury... Te obrazy rysowały się jej w głowie mocne i klarowne, budzące ostre, przeszywające serce ukłucie nostalgii i żalu.

Jeśli zacznie myśleć o wszystkim, za czym tęskni, to nigdy nie będzie w stanie przestać. Śnieg skrzypiący pod butami i mroźny wiatr szczypiący w twarz, kiedy maszerowała z innymi członkami Zespołu Rekultywacji i

Odbudowy do pracy przy rozbiórce ruin Chicago. Słońce zachodzące nad Jeziorem Górnym, opadające pod piętrowe, cienkie warstwy chmur, barwiących się na różowo na tle ciemniejszego nieba, a wszystko idealnie wiernie odbite w lustrze spokojnej wody. Miedziane zachody słońca nad dachami Pittsburgha. Powolne, majestatyczne zachody nad równinami Nebraski, gwiazdne imperia na jej nocnym niebie. Żar słońca na twarzy, czerwień pod zamkniętymi powiekami. Deszcz. Burzowe fale spieniające się na skalistym brzegu. Ćwierkanie świerszczy w suchej letniej trawie. Monumentalne lasy. Eksplozja białych róż na ciemnej polanie. Tłumy nieznanymi ludźmi na zatłoczonych ulicach.

Brakowało jej mięsa. Zewnętrzni byli wegetarianami z nawyku zrodzonego z konieczności, a przygotowywane przez dietetyków namiastki w niczym nie przypominały prawdziwego mięsa. Macy marzyło się hodowanie w ogrodach habitatu gromadki kur. Wolni Zewnętrzni mieli sprzęt i wiedzę, jak ożywiać rośliny i zwierzęta na podstawie map genetycznych z Biblioteki Publicznej, zawierającej tysiące gatunków. Pewnie nie wolno by jej było takiej kury zabić i przyrzucić - potwierdziłaby tym tylko najgorsze opinie Zewnętrznych o sobie - ale przynajmniej miałyby jajka...

W tym momencie, około czterystu dni po osiedleniu się Wolnych Zewnętrznych na Mirandzie, Ziemia i Uran były bardzo blisko siebie, prawie tak blisko jak to możliwe - choć i tak dzieliła je niewyobrazalna odległość 4,4 miliarda kilometrów. Macy ledwie była w stanie zwizualizować sobie odległość pomiędzy silosem raketowym i polem przyczep kempingowych w Nebrasce, gdzie dorastała pod czułą opieką Kościoła Bożej Regresji, a Pittsburghiem, gdzie zamieszkała po ucieczce. A było to głupie dwa tysiące kilometrów - odległość między Ziemią i Uranem była dwa miliony razy większa. Dotarcie do Pittsburgha, autostopem i pieszo, zajęło jej trzy tygodnie; przy takiej prędkości dotarcie stąd na Ziemię trwałoby 115 tysięcy lat. Nawet gdyby ukradła któryś statek - zakładając do tego, że byłaby w stanie nauczyć się go pilotować i że miałby dość paliwa - podróż i tak potrwałaby co najmniej 24 tygodnie. Tak, Ziemia była bardzo daleko stąd. Ale większość małych światków poza orbitą Urana była jeszcze dalej od siebie, w bezkresnym, zimnym mroku, przez który drobne istotki Wolnych Zewnętrznych mogły spadać i spadać wiecznie, kurcząc się do rozmiaru pyłków kurzu i jeszcze bardziej. Wydawało się jej niewyobrazalne, by budować sobie jakiegokolwiek życie tak daleko od Słońca, a jednak to właśnie planował Newt z jego ekipą świrów.

Podczas gdy reszta Wolnych Zewnętrznych urządzała sobie w wrytych odkrywkowo tunelach wygodny dom, zespół Newta projektował i konstruował pierwszy funkcjonalny prototyp silnika termojądrowego według brazylijskiego projektu. Przed Cichą Wojną bardzo wielu Wolnych Zewnętrznych pracowało w transporcie. Byli właścicielami statków albo

pilotowali statki należące do spółdzielni. Byli ekspertami od ich budowy i konserwacji. Ale ekipa od napędu składała się z prawdziwych technicznych magików, młodych, pełnych zapału i przerażająco skupionych. Swoją i tak imponującą inteligencją, zdolności koncentracji i możliwości pracy przez 24 godziny na dobę wspierali całą baterią psychotropów. Przekopali się przez wszystkie pliki z wykradzionymi danymi technicznymi i przywłaszczyli sobie większość posiadanej przez Wolnych Zewnętrznych memoprzestrzeni, żeby skonstruować wirtualny model silnika, dokładny aż do poziomu poszczególnych atomów. Rozebrali dwa statki, żeby pozyskać części i metale ziem rzadkich, z pomocą drukarek wytworzyli elementy napędu i cząsteczka za cząsteczką wyhodowali ceramiczną komorę reaktora. Brazylijski napęd do zainicjowania szybkiej syntezy termojądrowej wymagał antyprotonów. Na początku rozważali pozyskanie antyprotonów wytwarzanych w zewnętrznej atmosferze Urana przez promieniowanie kosmiczne, ale było ich za mało i były zbyt rzadkie. Kazali więc robotom budowlanym wykopać okrągły kilometrowy tunel i zbudowali w nim liniowy akcelerator cząstek, wykorzystujący wariant powielacza napięcia Cochrouta-Waltona z kwantową dyfrakcją do strzelania gołymi kwarkami w zawieszono w laserowej pułapce atomy wodoru. Wymagało to prądu z atomowych generatorów wymontowanych z trzech statków i około trzystu dni ciężkiej pracy, na koniec jednak uzyskali dość paliwa na pierwszą próbę silnika.

Konstruktorzy wykopali otwór na lodowej równinie kilkaset kilometrów na północ od osiedla, wypełnili go siatkowym fullerenowym szkieletem, wstawili do środka silnik dyszą do góry, podłączyli do źródła paliwa i tony sprzętu monitorującego. I wycofali się za horyzont do bunkra ze sterowaniem - byli prawie pewni, że ewentualne przebicie obudowy bezpieczeństwa spowoduje co najwyżej wytopienie dziury w podobnym do diamentu lodzie, ale woleli nie ryzykować - i przygotowali się na decydujący moment.

Gorący, zagracony bunkier śmierdział napięciem nerwowym i niedomymi ciałami o czwartej nad ranem. Konstrukcja prototypu pochłonęła dużo czasu i mnóstwo cennych, niezastępowalnych zasobów. Wszyscy wiedzieli, że jeśli próba się nie uda, reszta Wolnych Zewnętrznych prawie na pewno zagłusze przeciwko dalszym pracom. Młodzi ludzie siedzieli jedno przy drugim na podłodze, ze speksami na twarzach, śmigając palcami po tabletach albo rysując rękoma w powietrzu jak cała armia ślepców badających słońca. Newt Jones i Macy Minnot tłoczyli się w rogu. Ktoś skombinował wielki czerwony przycisk i podłączył go do AI sterującej próbnym silnikiem. Teraz, gdy do t została zaledwie minuta, Newt podał plastikową skrzynekę z przyciskiem Macy i zapytał, czy zgodzi się na ten zaszczyt.

- To twoje dzieło. Ty powinienesz to zrobić - powiedziała Macy.
- Twoje tak samo. A ja jestem tak zdenerwowany, że na pewno coś spieprzę, bo ręce mi się trzęsą - odparł Newt.



- Po prostu nie chcesz, żeby było na ciebie, jak coś pójdzie nie tak - stwierdziła Macy, choć wzięła skrzyneczkę do ręki, gdy jeden z magików zaczął odliczanie, do którego przyłączyli się wszyscy, radośnie skandując liczby od dziesięciu w dół.

Na zero Macy wcisnęła oboma kciukami guzik. Na wielu ekranach złożonych w mozaikę w memoprzestrzeni pośrodku ciasnego pomieszczeniach w czarne niebo wystrzelił wąski słup światła, tak jasnego, że pozbawiał jasne równiny wokół wszelkich szczegółów. Wszyscy zaczęli wiwatować, obejmować się nawzajem i poklepywać po plecach. Newt pocałował Macy, Macy pocałowała jego, a bunkier zaczął się trząść i wibrować, gdy dotarły do niego drgania lodowego regolitu. Dwie sekundy później AI zaczęła wygaszać silnik - reflektor zbladł i zgasł. Uspokoili się drgania. W bunkrze na moment zapadła cisza, ale zaraz wszyscy zaczęli gadać jeden przez drugiego, spierając się o dane telemetryczne, rzucając na ekrany i poprawiając parametry ciągu i zużycia paliwa, prędkość wylotową i skuteczność...

Nastąpiły kolejne testy, a potem następne i następne, i trwały całe dni. Konstruktorzy zintensyfikowali produkcję antyprotonów i zaczęli składać drugi silnik. Wymontowali prototyp z hamowni i zainstalowali w holowniku Newta i Macy, a Newt wyprawił się w lot próbny, pętlę wokół najbardziej zewnętrznego księżycy Urana, Ferdynanda. Ponad czterdzieści milionów kilometrów tam i z powrotem, w niecały dzień.

Po tym triumfie Newt i ekipa poddali pod głosowanie zgromadzenia wspólnoty plan prawdziwej ekspedycji poza układ Urana. Newt wygłosił żarliwą przemowę, wykorzystując całe pokłady swojej charyzmy i elokwencji; główny magik od technologii, Zift Larzer, wyjaśnił, że większość ekipy i tak zostanie na ten czas na miejscu, będzie składać kolejne silniki i instalować je na statkach. Musieli jednak zmierzyć się z licznymi zastrzeżeniami, głównie od grupy, na której czele stała Mary Jeanrenaud - nie tylko najstarsza osoba wśród Wolnych Zewnętrznych, ale także przed wojną przywódczyni ruchu na rzecz pokoju i pojednania. Darzono ją ogromnym szacunkiem. Mówiła z sensem, o potrzebie oszczędzania zasobów. Ekspansja, tak, ale dopiero po zbudowaniu porządnym fundamentów.

- Tych fundamentów jeszcze nie mamy. Niewiele już nam brakuje, to prawda, ale, by osiągnąć ten cel, musimy pracować razem. Rozumiem, że niektórzy się niecierpliwią i trudno im utrzymać stały kurs. Ale nie możemy przerwać, choć może się to wydawać trudne. Inaczej grozi nam, że rozproszymy naszą energię na różne, nieskoordynowane cele, rozbiegniemy się w różnych kierunkach, goniąc za różnymi marzeniami. A to nas podzieli, osłabi i wystawi na atak.

Mary Jeanrenaud zdobyła sobie tymi słowami burzliwe oklaski, a kiedy ucichły, wstał Idriss Barr i zszedł na dno trawiastej niecki. Nie był przywódcą demokratycznej wspólnoty Wolnych Zewnętrznych, ale zaliczał się

do ludzi słuchających argumentów każdej ze stron, rozsądzających drobne spory i ogólnie jednoczących grupę. Wysoki, gibki, pełen wigoru, miał przyrodzony autorytet, którego nie nadużywał, choć nie wahał się go użyć, żeby coś dobitnie wykazać, albo skierować dyskusję w stronę, którą uważał za pożądaną. Teraz zaczął mówić o ich przyszłości. Dzisiaj podejmą decyzję, a kiedy to zrobią, będą musieli się zjednoczyć w jej sprawie i wykorzystać wszystkie możliwości, które im przyniesie.

- Zaledwie w rok udało nam się tyle dokonać. To zdumiewają ce. I dalej będziemy zdumiewać samych siebie - powiedział. - Pokazaliśmy, że umiemy zbudować sobie dom gdzie tylko zechcemy. Nie powinniśmy obawiać się nowych wyzwań, bo dobrze wiemy, że mamy wolę i umiejętności, żeby dać sobie z nimi radę. Tutaj, na Uranie, na Neptunie, na Plutonie, czy gdziekolwiek w Układzie Słonecznym.

Macy była zdumiona. Dotąd Idriss Barr popierał prace ekipy od napędu, ale pod jednym warunkiem: powinni mieć tylko jeden cel - wyposażyc w nowy silnik wszystkie statki, żeby w razie konieczności nie dały się dogonić pościgowi. A tu proszę, wzywał do eksploracji i ekspansji.

- On zmienił zdanie, a ty o tym wiedziałeś - powiedziała do Newta, siedzącego obok niej na szczycie trawiastej niecki. - Dlatego byłeś taki spokojny. Przez cały czas miałeś smoka w zanadru.

- Idriss to porządny człowiek, chce dobrze dla wszystkich. Lubi rządzić z tylnego fotela i da się go przekonać do zmiany zdania, jeśli mu się pokaże, co myślą inni - powiedział Newt. - Zebraliśmy opinie wszystkich ludzi, którzy nam sprzyjają, pokazaliśmy mu wyniki. Mary i jej towarzysze mają masę kudosów, ale tutaj kudosy nie znaczą wiele. A większość nas chce badać świat i rozprzestrzeniać się po nim. Zawsze tak mieliśmy. Dlatego tu jesteście.

- Mój kochany polityk.

- To nie jest polityka. To zdrowy rozsądek. Wychodzi na to, że niczym się to nie różni od wymyślania, jaką cenę zaśpiewać za ładownię mchu herbacianego.

Każdy po kolei wstał, podszedł do środka kręgu, podniósł małą, białą plastikową kulkę i wrzucił ją do jednego z dwóch szklanych walców, czerwonego na nie, zielonego na tak. Propozycja zorganizowania ekspedycji badawczej na Plutona i Neptuna szybko zdobyła sobie wyraźną większość. Kiedy nadeszła kolej Macy, która wrzuciła kulkę do zielonego walca, ten był już prawie pełen.

Idriss Barr zapytał, czy naprawdę ma liczyć głosy, powodując tym wybuch śmiechu zebranych wkoło ludzi. Decyzja zatem zapadła, a ponieważ zespół Newta już przygotował szczegółowe plany obejmujące wszelkie aspekty wyprawy, wylot miał nastąpić za dwadzieścia dni. Ludzie przynieśli jedzenie i napoje, paru innych zaczęło grać na instrumentach perkusyjnych i

głosowanie zamieniło się w imprezę, która trwała do późna w nocy.  
Już byli w drodze.

## ROZDZIAŁ 2

Szpieg poświęcił na szukanie Zi Lei na Japecie ponad czterysta dni. A miało być łatwo. Księżyc miał tylko dziesięć tysięcy rdzennych mieszkańców, do tego paręset osób, które uciekły na niego skądinąd albo zostały na nim uwięzione przez wojnę. W dodatku wiedział, gdzie ona się urodziła - na farmie w kraterze Grandoyne, która nadal należała do jej rodziny. To było pierwsze miejsce, jakie odwiedził.

Rodzina Zi Lei przyjęła go ciepło: był w końcu jej przyjacielem z czasów, gdy mieszkała w Paryżu na Dione, kimś, kto mógł im opowiedzieć, co robiła tam przed wojną i jak uciekła z więzienia, kiedy wojna wybuchła. Utrzymywali jednak, że nie wiedzą, gdzie ona teraz jest, że stracili z nią kontakt, kiedy ponad pięć lat temu wyjechała z Japeta.

- Przestała brać leki - powiedziała matka Zi Lei.
- Uwierzyła, że ma misję do spełnienia - dodał ojciec.

Oboje mieli, tak jak córka, oliwkową cerę i czarne włosy, z tą samą fałdą w kąciakach ciemnobrązowych oczu. Powiedzieli, że Zi Lei wyjechała, nic nie mówiąc. Długo zajęło im wysledzenie, że wsiadła na holownik, który wracał do Xamby na Rei po wymianie towarów z miejscowymi farmami i oazami. Matka poleciała do Xamby, żeby z nią porozmawiać, lecz Zi tymczasem wyjechała do Paryża na Dione i odtąd nie reagowała na jakiegokolwiek próby kontaktu.

Szpieg powiedział rodzicom Zi, że w Paryżu miała przyjaciół, którzy namawiali ją, żeby brała leki uspokajające i łagodzące urojenia, choć nie zawsze słuchała ich rad.

- A byliście razem szczęśliwi? - zapytała matka Zi.
- Staralem się jak najlepiej nią opiekować.
- Ale byliście szczęśliwi?
- W stopniu, w jakim to było możliwe - odparł szpieg. - Wielu rzeczy mnie nauczyła.

Mówiąc o własnych uczuciach do Zi Lei, poczuł się nieprzyzwoicie nagi. Nagi i bezbronny, choć jednocześnie dziwnie szczęśliwy. Całkiem jakby jego świat i jego cel nagle się ze sobą zharmonizowały - każdy kwant energii wiedział i wyśpiewywał, że jest zakochany w Zi Lei, a jego zadaniem jest ją odnaleźć. Oczywiście, kiedy przekradał się do Paryża przed wojną, też miał zadanie. Tym razem jednak nie motywowały go lojalność i poczucie obo-

wiązku, lecz miłość. Miłość, którą miał za czystą i bezinteresowną. Przez całe życie ćwiczone go, by wykonał zadanie albo zginął na posterunku. Nie ustanie w swoich poszukiwaniach, dopóki jej nie znajdzie, albo nie dowie się, co się z nią stało.

- Nie zawsze łatwo ją kochać - stwierdziła matka Zi. Uśmiech miała niesamowity. Identyczny jak córka.

- To prawda.

- Ale i tak tu przyleciałeś - dodał ojciec. - Może moja córka nie będzie ci za to wdzięczna, ale my jesteśmy.

Obiecali, że zrobią, co się da, żeby mu pomóc, szpieg jednak nie do końca im ufał: spędził w ich habitacie dziesięć dni, dyskretnie przeszukując ogrody i pola pod fałdowanym namiotem oraz rozległe uprawy organizmów próżniowych pokrywające czarne jak węgiel dno krateru. W końcu był pewien, że Zi Lei się u nich nie ukrywa, ani nie jest ukrywana. No dobra. Trzeba jej będzie poszukać gdzie indziej.

Japetus, mający nieco ponad półtora tysiąca kilometrów średnicy, był trzecim co do wielkości księżycem w układzie Saturna, zaludniony był jednak słabo, bez większych skupisk mieszkańców. Występowały na nim jedynie z rzadka rozrzucone farmy, małe habitaty-ogrody i niewielkie oazy. W większości skupiały się w pasie równikowym, pomiędzy trzydziestym równoleżnikiem północnym i południowym, przy czym zamieszkała była przede wszystkim jasna część, Roncevaux Terra, a ciemna, Cassini Regio - znacznie rzadziej. Teren do poszukiwań był więc ogromny. Na szczęście, siły okupacyjne Wspólnoty Pacyficznej kontrolujące teraz księżyc pozwalały mieszkańcom poruszać się swobodnie, z wyłączeniem okolic krateru Othona na północ od równika na półkuli przysaturnowej, gdzie budowali sporą bazę. Dzięki temu szpieg mógł szukać Zi Lei niepokojony i niezatrzymywany przez nikogo.

Podróżował w skórze Kena Shintaro. Była to dawna tożsamość, z którą przed wojną prowadził swoje podwójne życie w Paryżu; z takim mianem kojarzyła go Zi Lei. Jeśli usłyszysz, że szuka jej Ken Shintaro, na pewno też zacznie go szukać.

Na początku podróżował samotnie, jeżdżąc autostopem z miejsca na miejsce i podejmując się rozmaitych dorywczych prac, żeby zarobić na swoje utrzymanie. Potem jednak podwiózł go wędrowny poszukiwacz surowców, Karyl Mezhidov, który, wysłuchawszy opowieści o poszukiwaniu ukochanej i utraconej miłości, zaproponował, że zawiezie go do wszystkich dotąd nieodwiedzonych osad. Szpieg spędził zatem z Karylem ponad dwieście dni, objeżdżając obie półkule wzdłuż równika po obu stronach.

Najbardziej znaną cechą charakterystyczną Japeta były jego dwa kolory - jedna połowa była pokryta wodnym lodem, druga natomiast czarną lub

czerwonobrazową warstwą, głównie odwodornionych tholin\*. Pyły składające się z tej ciemnej organicznej materii znajdowano także na Dione, Hyperionie czy Epimeteuszu oraz w Pierścieniu F, na Japecie jednak tworzyła ona warstwy wielometrowej grubości. Najbardziej aktualna teoria głosiła, że pył został wyrzucony na orbitę okołosaturnową wskutek gwałtownego zniszczenia ciała, którego szczątki, dość znacznie zmienione przez kolejne kolizje, utworzyły nieregularnego, podziurawionego Hyperiona. Jednakże większość z nich, w formie drobnego, naładowanego elektrostatycznie pyłu, przechwycił najbliższy niego księżyc - Japet. Pył spłynął na dna kraterów i pod wpływem słonecznego ultrafioletu, promieni kosmicznych i naładowanych cząstek z magnetosfery Saturna zmienił się w smolistą skorupę. Farmerzy z Japeta uprawiali ponad sto gatunków organizmów próżniowych, które rosły na tym podłożu i wytwarzały z niego wszelkie możliwe związki organiczne, od żywności z pierwiastków CHON, po skomplikowane łańcuchy syntetycznego DNA używane w układach AI.

\* Tholin - polimery powstające z prostych substancji organicznych, jak metan czy etan, pod wpływem promieniowania słonecznego. Występują pospolicie na powierzchni lodowych ciał Układu Słonecznego (przyt. tłum.).

Japet, nawet gdyby nie dzielił się na jasną i ciemną połowę, i tak byłby niezwykle, z uwagi na potężny, biegnący wzdłuż równika masyw, którego grzbiety i odosobnione szczyty wznosiły się miejscami na ponad dwadzieścia kilometrów ponad otaczającą równinę, przecinając tysiãczystukilometrowym łańcuchem jego ciemną półkulę, niemal dokładnie wzdłuż równika. Ten olbrzymi łańcuch górski był pamiątką po dawnym, spłaszczonym kształcie tego księżyca. Kiedy powstawał poprzez akrecję z pierścienia drobnych ciał wokół proto-Saturna, wirował tak szybko, że litosfera, wciąż plastyczna, bo podgrzewana rozpadem nukleotydów, głównie glinu-26, odkształciła się, wybrzusząc się wzdłuż równika. Glin-26 ma jednak krótki okres połowicznego rozpadu: Japet, znajdujący się zbyt daleko od Saturna, by rozciągały go i ścisnęły siły pływowe, szybko po powstaniu zdołał się ustabilizować i ostygnąć - dlatego ocalała równikowa wypukłość, przypominająca szew pomiędzy połówkami orzecha włoskiego.

Ogromny ciężar tego grzbieta ścisnął i powodował naprężenia w powierzchni po obu jego stronach. Spowodowane tym ostre uskoki odwrócone objawiały się na powierzchni jako skarpy i wypiętrzenia, a podczas cieplnego rozszerzania lodowej litosfery, wcześniej w historii Japeta, woda amoniakalna wytopiona z jego wnętrza wydostała się przez te szczeliny, zamarzając w gładkie równiny pokryte gęsto kraterami z czasów ciężkich bombardowań, kiedy duże ciała niebieskie w rodzaju Japeta przedzierały się przez gęsty kosmiczny gruz. Na przedniej półkuli Japeta było widać sporo potężnych niecek uderzeniowych, jedna mierzyła sobie nawet ponad pięćset kilometrów średnicy. Potem ciało macierzyste Hyperiona zderzyło się z

czymś, zasypując cały układ ciemnym pyłem, który spadł na przednią półkulę Japeta niczym gęsty, krwawy śnieg, pokrywając i łagodząc rzeźbę na połowie jego powierzchni. Ta gruba warstwa skrywała przed wzrokiem satelitów wtrącenia i wulkaniczne złoża minerałów, szczególnie obfite w pobliżu równikowego wypiętrzenia. Nie wyczerpano ich przez sto lat eksploracji, więc wędrowni poszukiwacze w rodzaju Karyla Mezhidova nadal mogli tu niezłe zarobić.

Karyl był tylko kilka lat starszy od szpiega, który twierdził, że ma 24 lata. Łagodny, chudy jak patyk, jasne włosy zaczesywał do tyłu znad twarzy o ostrych rysach, splatając je w warkocz przetykany cienkimi, kolorowymi kabełkami. Kiedy prowadził, warkocz zwisał mu wzdłuż pleców, a przed włożeniem skafandra związał go i upinał. Powiedział, że ma partnerkę, która mieszka na jego rodzinnej farmie. Dzieci na razie nie mają; planują założyć rodzinę, wtedy osiadzie gdzieś na stałe, zbuduje sobie małą kopułę i będzie w niej hodował najrozmaitsze krzewy owocowe. Na razie jednak musi nzbierać kredytów i kudosów, żeby móc sobie na to pozwolić - dlatego bada pustkowiec po obu stronach równikowego grzbieta, znajduje pozostałości po kamiennych lub żelaznych meteorach, złoża fosforanów, siarczanów i azotanów pozostawionych przez dawne erupcje kriowulkaniczne. Praca była samotnicza i często frustrująca - nieraz zdarzały mu się długie okresy posuchy, gdy jeden odwiert za drugim w obiecującej okolicy nie wykrywał niczego pożytecznego. Karyl uwielbiał jednak wolność i nieprzewidywalność. Był urodzonym hazardzistą, jak każdy poszukiwacz - w bezludny, trudny teren pchała go perspektywa znalezienia wielkiej żyły cennych minerałów lub metali - zresztą od czasu do czasu mu się to udawało.

Podczas jazdy miał zwyczaj puszczać muzykę. XX-wieczne kompozycje serialistyczne; antyfonalną muzykę kościelną z XVI wieku; religijne śpiewy a cappella; polifoniczne pieśni heroiczne i dzikie tańce z Północnego Kaukazu, skąd pochodzili jego przodkowie. Zwykle też jechał na jednym lub kilku własnoręcznie zmajstrowanych psychotropach. W kabinie rolligona miał małe, automatyczne laboratorium i nieustannie kombinował z endorfinami, chcąc osiągnąć idealny, oceaniczny stan jedności ze światem. Powiedział szpiegowi, że w najlepsze dni stapia się i jednoczy z księżycowym krajobrazem, a wtedy osiąga błogą jasność umysłu i widzi wszystkie potencjalnie obiecujące uskoki, złoża i rafy jasno, jakby były podświetlone od dołu.

Szpieg grzecznie odmawiał, gdy Karyl częstował go środkami z potężnej psychotropowej biblioteki. Już sama muzyka i nieludzka skala księżycowych krajobrazów budziły w nim dziwne emocje, zagrażające jego kruchemu poczuciu tożsamości - obawiał się, że jeśli połknie tabletkę albo przyklei sobie któryś z plasterków Karyla, całkiem straci kontrolę, roztopi się, rozplynie i zniknie.

Objechali Japeta dwukrotnie, najpierw w kierunku wschodnim, na północ od równikowego grzbietu, potem wrócili w kierunku zachodnim, na południe od niego. Przejechali ciemne równiny, wielkie szczeliny i wąwozy, przejechali pod strzelistymi urwiskami i klifami, pokonali gęsto upstrzone kraterami zbocza wznoszące się ku łagodnym szczytom, czasem obciętych lub obgryzionym przez krateru uderzeniowe na samym wierzchołku, przez co kojarzyły się z wulkanicznymi kalderami. Ta rzeźba terenu liczyła sobie ponad cztery miliardy lat, potem przeżyła wielkie bombardowanie podczas burzliwego dzieciństwa Układu Słonecznego, a po nim nieustanny deszcz drobnych meteorytów. Rolligon mógł cały dzień pełznąć po dnie talerzowego krateru, po drugiej stronie wjechać na stromy stok, z którego szczytu roztaczał się widok na siodłową dolinę, prowadzącą do olbrzymiej kopuły szczytu, ciągnącego się od horyzontu po horyzont i strzelającego na dziesięć kilometrów w czarne niebo, całego usianego kraterami o wszelkich rozmiarach, z wierzchołkiem rozplaszczonym przez jakieś potężne uderzenie. A wszystko to pokrywała ciemna substancja tworząca albo gładką skorupę, albo bruk z wielkich, nieregularnych wielokątów, albo pyłowe bagna, które należało omijać z daleka, bo mogły pochłonąć rolligon w całości.

Karyl ze szpiegiem przeważnie trzymali się spękanych i pokrytych kraterami równin na skraju wielkiego grzbietu - jego gładka serpentyna wylaniała się zza bliskiego horyzontu, czasem na tle czarnego nieba unosiły się pojedyncze szczyty, niczym księżycy na uwięzi. Karyl kluczył pomiędzy stożkami, skarpami, antyklinowymi fałdami kompresyjnymi, rowami tektonicznymi zalany przedwiecznymi wylewami kriowulkanicznymi, szukał na fartuchach materiału wyrzuconego pod kraterami, albo robił wiercenia w ich wnętrzach. Za pomocą obrazowania radarowego i dźwiękowego robił mapy terenu do głębokości pół kilometra albo wypuszczał małe robociki, podskakujące na trzech lub czterech parach przegubowych nóg, które przysiadły tu i tam na powierzchni, przewiercały się przez zmrożoną smołę regolitu i pobierały próbki lodu pod spodem. Jeśli był tylko odrobinę zanieczyszczony mineralnymi intruzjami, Karyl obsiewał grunt nasionami organizmów próżniowych, akumulujących pochłonięte metale w swoich pseudostrzępkach. Rzadsze żyły i złoża odsłaniał od razu, przekopywał i ładował na przyczepę, których za rolligonem miał cały mały pociąg; meteoryty wydobywał za pomocą wybuchów albo wpuszczanych pod ziemię serpentynowych robotów, które zgryzały kamienne lub metalowe bolidy diamentowymi zębami, a odłamki wypluwały perystaltycznymi rurami na powierzchnię. Zatrzymywał się też na polach organizmów próżniowych, które wysiał na poprzednich wyprawach. Wbijali się ze szpiegiem w skafandry i ręcznie zbierali opadnięte z nich łuski bogate we wchłonięte z regolitu minerały. Była to ciężka, ale satysfakcjonująca praca, w absolutnej ciszy i martwocie księżycowego krajobrazu.



Więcej czasu niż na poszukiwania poświęcali jednak na jazdę - przeważnie spali w rolligonie, czasem zatrzymywali się na dzień, dwa na farmach lub w oazach; wtedy szpieg opowiadał swoją historię i pytał, czy nie słyszeli o Zi Lei, Karyl zaś siadał z gospodarzami, popijał herbatę, podjadał słodkie i słone ciasteczka, oliwki, plastry arbuza, targując się jednocześnie o ceny fosforanów, azotanów, brekcji i metali, które zebrał, plotkując o drobnych skandalach, ślubach, dzieciach i zmarłych oraz spekulując aa temat planów Pacyfików. Nawet jeśli nie udało mu się sprzedać niczego poza przetrawionymi odchodami z toalety rolligonu, farmerzy i osadnicy obdarowywali go nadwyżką świeżych owoców lub warzyw, w zamian za podrzucenie tych towarów któremuś i sąsiadów, albo i za samą obietnicę, że następnym razem wpadnie z jakimiś minerałami czy surowcami.

Siły okupacyjne Wspólnoty Pacyficznej rządziły nieco mniej twardą ręką niż Brazylijczycy lub Europejczycy. Podczas wszystkich swoich podróży szpieg z Karylem tylko raz spotkali przedstawicieli okupanta - czterech uprzejmych żołnierzy w ciemnozielonych mundurach, inwentaryzujących sprzęt i plony na farmie. Żołnierze Pacyfików konfiskowali jedną trzecią zbiorów farm i oaz, wszyscy musieli więc uzupełniać swoją dietę żywnością z pierwiastków CHON albo drożdży spożywczych. Zarekwirowali także wszystkie roboty budowlane - ich baza była już wielkości małego miasta, a rozrastała się dalej, tworząc siatkę segmentowanych rur przysypanych lodowym gruzem, bardzo przypominających pierwsze osady na księżycach Jowisza i Saturna - a pomiędzy układem Saturna i Ziemią statki kursowały regularnie, przywożąc żołnierzy i sprzęt. Powstała też wielka stocznia, na oko produkująca holowniki podobne do modeli używanych przez Zewnętrznych.

Poza konfiskatą zbiorów i sprzętu oraz wyłączeniem księżycowej sieci i innych systemów łączności, wpływ okupacji na codzienne życie mieszkańców był na Japecie minimalny. Mimo to zmieniło się wszystko i nic już nie miało być takie samo. Hołubione od wieków przekonanie, że Zewnętrznym udało się zbudować utopijną bańkę, wznieść się ponad barbarzyństwo ludzkiej historii, bańkę, w której można swobodnie prowadzić najróżniejsze poszukiwania artystyczne i naukowe, w której współpracują ze sobą rozmaite ustroje polityczne i gospodarcze, tworzą bogatą i pokojową mozaikę, okazało się mrzonką. Byli jak biom, który wyewoluował w izolacji na samotnej wyspie, a potem podbiły go energiczniejsze i agresywniejsze siły ze świata zewnętrznego. Nawet jeśli Zewnętrzni kiedykolwiek odzyskają wolność, nic już nie będzie jak dawniej. Odtąd będą musieli zachować nieustanną czujność i gotowość do obrony - ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Gdziekolwiek ruszyli się Karyl ze szpiegiem, wszędzie mówiło się o oporze i rewolucji, krążyły świeże plotki o okrucieństwach okupanta na innych

księżycach, fantazjowało się o ucieczce w mrok peryferii Układu Słonecznego. Nigdzie jednak nie było ani śladu Zi Lei - z jednym wyjątkiem: raz szpieg zagadał z człowiekiem, który spotkał się z nią podczas jej krótkiego pobytu w Xambie na Rei. Wyglądało na to, że jej rodzice mówili prawdę w tej kwestii - możliwe więc, że nie kłamali także, mówiąc, że ani przed wojną, ani w trakcie nie mieli z nią żadnego kontaktu.

Misja szpiega pozostała nieudana, on jednak wcale się tym nie martwił. Był przekonany, że wcześniej czy później ją znajdzie, a tymczasem dobrze się czuł w skórze Kena Shintaro. Uczył się być człowiekiem, na całe dni zapominał o emocjonalnym chłdzie i nieustannej ostrożności, którą wykazywał podczas tajnej misji w Paryżu - tej ciągle tłącej się z tyłu głowy paranoi, że ktoś go śledzi albo obserwuje, że jest pionkiem w potężnej grze, nie znając ani jej zasad, ani pozostałych graczy. Tam był wiecznie czujny, wiecznie zastanawiał się, czy jego działania nie odbiegają od normy, wiecznie obserwował i osądzał wszystkich ludzi wokół i siebie. Teraz natomiast czuł się swobodnie w towarzystwie Karyla - a trzeba by się było bardzo postarać, żeby przesympatycznego poszukiwacza znieubić - innych Zewnętrznych, a przede wszystkim w swoim własnym.

Szpieg urodził się na Księżycu i tam go wyszkolono, żeby walczyć za Boga, Gaję i Wielką Brazylię. Nigdy nie był na Ziemi, choć nieustannie śnił o jej łagodnie zielonych krajobrazach i bezkresnych oceanach, rozciągających się pod przytulnym i pięknym błękitem nieba. Idealne przybliżenie raju. Teraz jednak, w trakcie długiej podróży dookoła Japeta, nauczył się także doceniać i zachwycać się jego pustym i nagim księżycowym krajobrazem. Nauczył się odczytywać z form terenu procesy, które je ukształtowały; widział, jak gwałtowną przeszłość złagodziła warstwa ciemnego opadu, miliardy lat powolnej sublimacji i ostrzału mikroskopijnymi meteorytami, które zmiękczały i zaokrąślały każdą krawędź. Wielkie dzieło czasu, pracującego w skali nie do ogarnięcia ludzkim umysłem.

Mimo nieubłaganej niegościnnosci księżycy, Zewnętrzni nauczyli się, jak z niego żyć. Wydobywali przedwieczny, twardy jak granit lód, roztopiali go, otrzymując wodę, a wodę elektrolizowali, żeby uzyskać tlen. Pokolenia podobnych do Karyla wędrowców poobsiewały ciemne równiny Cassini Regio organizmami próżniowymi wykorzystującymi energię Słońca i ciemne podłoże do produkcji wszelkiej maści fullerenów i organicznych polimerów oraz ziół prostych związków organicznych, z których można było w wytworniku żywności zainstalowanym w rolligonie przyrządzić proste pożywienie. Inne odmiany chłoneły słabe światło i zamieniały je w energię elektryczną, magazynowaną w strukturach podobnych do mięśni węgorzy elektrycznych. Po podłączeniu się do nich, można było niewielkim prądem podładować akumulatory rolligona.

Organizmy próżniowe, cuda nanotechnologii będące samoorganizują-

cym się rojem lub kolonią najróżniejszych typów samopowielających się, mikroskopijnych maszyn, modyfikujących siebie i swoje zachowanie zgodnie z prostymi regułami, rosły i mnożyły się w świetle Słońca, stukrotnie słabszym niż na Ziemi i temperaturach poniżej  $-200^{\circ}\text{C}$ , tworząc struktury przypominające kwiaty, bezlistne drzewa albo strzępki i plechy podobne do olbrzymich porostów. Ascetyczne, proste formy harmonijnie odzwierciedlały oszczędne, brutalne piękno krajobrazu, w którym wyrastały. Kiedy przejeżdżali grzbietem wału zarośniętym splotami czarnego drutu albo wspinali się na zbocze pod koniec długiego, japetowego popołudnia i widzieli przed sobą szeroki, rozpostarty wachlarz zaokrąglonych gór na tle ciemnej ziemi, z błyszczącymi srebrzyście grzbietami i krawędziami dalekich kraterów, z pastelowym półksiężycem Saturna przekrzywionym wysoko na czarnym niebie, otoczonym świetlistym łukiem pierścieni - płaszczyzna orbity Japeta, w odróżnieniu od innych wewnętrznych księżyców, leżała pod kątem do równika Saturna - szpiega wypełniał zachwyty; serce mu rosło i zalewała go fala szczęścia. A Karyl zerkał na niego, uśmiechał się po swojemu, łagodnie, trochę głupkowato, i mówił:

- To jest, kurna, to, nie?

I tak jechali, jechali i jechali. Na trzydzieści dni zatrzymali się na farmie u rodziców partnerki Karyla, Tamty. Karyl i Tamta, atrakcyjna, chuda i rozmarzona kobieta, oddalili się do jakiejś oazy około dwudziestu kilometrów od głównego namiotu, żeby, jak to ujął Karyl, odnowić swoją przysięgę. Szpieg zgłosił się na ochotnika do prostych prac w tunelach farmy, siał, przycinał i zbierał, nauczył się także piec chleb. Rodzice Tamty byli osadnikami w drugim pokoleniu; zbliżali się do setki i mieli trzech synów, cztery córki i całe plemię wnuków i prawnuków. Tamte urodzili późno, dopiero kiedy najmłodsze z ich dzieci zginęło w wypadku na polach organizmów próżniowych. Była więc młodsza od niektórych swoich siostrzeńców i siostrzenic, ale uważała, że to normalne.

W końcu Karyl i Tamta wykluli się ze swojego małego, wilgotnego rajy i przyszła pora ruszać dalej w drogę. Któregoś dnia szpieg uświadomił sobie, że miejsce, w którym porzucił swoją kapsułę, jest tuż za horyzontem, ledwo parę kilometrów stąd. Gdy parkowali na noc, wrzucił Karylowi do białej herbaty środek usypiający, zmajstrowany w wytworniku żywności, któremu zainfekował prosty mózdzek jednym ze swoich demonów. Karyl usnął, nawet nie dopiwszy herbaty, a szpieg położył go w pozycji bocznej ustalonej i z wielkim smutkiem pożegnał się z nim - spędził w jego towarzystwie prawie rok, poznawszy dobrze i jego, i wszystkich jego braci.

Ruszył ciemną, gładką równiną, ciągnąc sanie wyładowane butlami z powietrzem i kanistrami hydrazyny. Karyl będzie w stanie pójść jego śladem i odzyskać sanie, ale dług powietrza i paliwa będzie mu musiał umorzyć, pomyślał szpieg i uświadomił sobie, że już myśli jak Zewnętrzny. Czuje się

winny, bo wziął coś, nie dogadując się wcześniej. To tylko drobne przestępstwo, w dodatku konieczne. Był niemal stuprocentowo pewny, że Zi Lei nie ma na Japecie. Trzeba było wyruszyć w kolejny etap misji.

Na uruchomienie i zatankowanie kapsuły desantowej wystarczyła mu niespełna godzina. Większość kradzionej hydrazyny poszła na osiągnięcie prędkości ucieczki i wejście na najoszczędniejszą orbitę, kreślącą spiralę we wnętrzu układu i w końcu spotykającą się z Reą. Jeśli Zi Lei tam nie będzie, szpieg polecą dalej. Przeszuka wszystkie księżycy w układzie Saturna, a gdy jej nie znajdzie, będzie musiał skądś wykopać listę uchodźców, którzy uciekli na księżycy Urana. Jeśli trzeba, będzie szukać Zi Lei do końca życia.

## ROZDZIAŁ 3

Pluton zbliżał się właśnie do peryhelium. Jego orbita, mocno wydłużona elipsa, nie dość, że zaniósła go wewnątrz orbity Neptuna, to jeszcze maksymalnie zbliżyła się do Urana - w tej chwili lodowego olbrzyma i karłowatą planetę dzieliły od siebie niecałe dwa miliardy kilometrów. Dla Wolnych Zewnętrznych już nigdy nie będzie lepszej okazji, żeby złożyć tam wizytę.

Wyprawa składała się z dwóch statków wyposażonych w silniki termojądrowe na szybkiej fuzji - holownika *Słoń* Newta Jonesa i Macy Minnot, oraz wahadłowca *Wygnanie z raju* wiozącego dwadzieścia cztery osoby, w tym sześcioro dzieci. Obecność dzieci była dla Macy kolejnym przypomnieniem, że kosmos jest dla Zewnętrznych naturalnym środowiskiem, że to nie coś, co trzeba przetrwać lub przeżyć, ale miejsce, w którym się mieszka - stąd nie mieli żadnego problemu, żeby zabrać dzieci w podróż w nieznaną w statkach napędzanych nie do końca przetestowanym napędem. Starsze dzieci oczywiście znały się na statkach i księżycach o wiele lepiej niż Macy i w sytuacji awaryjnej pewnie poradziłyby sobie lepiej niż ona. Zresztą, układ Plutona też nie był kompletną terra incognita: od dwustu lat odwiedzały go automatyczne sondy, a także żywi badacze, pobierający próbki i opracowujący mapy. Mimo to, karłowate planety na ciemnych rubieżach Układu były osobliwe i nie do końca rozpoznane, a gdyby coś poszło nie tak, z powrotem był kawał drogi. Macy podziwiała więc odwagę i optymizm Zewnętrznych, nie wątpiła w ich kompetencje techniczne, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest to niedzielny spacer.

*Słoń* przez większość podróży jechał na grzbiecie *Wygania z raju*. Wahadłowiec był wystarczająco duży, żeby zapewnić każdemu chętnemu złudzenie intymności. Dodatkowo, jego załoga zbudowała na podstawie wykopanego z Biblioteki Publicznej projektu kulę z włókna fullerenowego, zapewniającą dodatkową przestrzeń mieszkalną - przezroczysty, dwustumetrowy bąbel przyczepiony do brzucha promu niczym ooteka. Powstała przestronna arena, w której podróżnicy mogli uprawiać sporty, grać w gry, spożywać wspólnie posiłki, mając widok na jasne gwiazdy wokół. Śmieli się przy tym i żartowali, jakby to było stuprocentowo naturalne, jakby tuż za cienką skórką bąbla nie było morderczego mrozu i próżni. Macy nie była w stanie się do tego przyzwyczaić, ciągle czuła się zagrożona,

a jej wrodzony lęk przed lataniem wzmagał się, gdy tylko któreś dziecko bawiące się w berka lub w dwa ognie odbijało się od napiętego polimeru.

Newt oczywiście to zauważył i trochę się o to poprztykali. Powiedział, że Macy denerwuje się bez sensu, tylko dlatego, że nie wierzy w kompetencję i rozsądek jego przyjaciół. Ona odparła, że to po prostu kolejny przykład, że Newt lekceważy jej problemy z przystosowaniem się do życia jak Zewnętrzna.

- Ty się tu urodziłeś - powiedziała. - Tylko tyle znasz. Ale ja muszę myśleć o wszystkim, o czym ty nie potrzebujesz. Coś jakbym przez cały czas musiała pamiętać, żeby oddychać. Albo żeby serce mi biło, bo stanie, jeśli nie pomyślę.

- Wiem, wiem. Ja chcę ci tylko pomóc. Żebyś sobie z tym poradziła.

- Tu nie chodzi o „radzenie sobie”. Ani o to, że pewnie będę musiała spędzić większość życia schowana w jakimś tunelu, albo w takiej klitce jak ta - dodała Macy, obejmując gestem ciasną kabinę *Słonia*. - Chodzi o te wszystkie wytwornice powietrza, osłony jonowe, te sprawy. Wszystko, co chroni nas przed zimnem, próżnią i promieniowaniem. Cały czas mam świadomość, że zepsuje się tylko jeden drobiazg i wszyscy zginieją. Gdybyś wiedział, kto to „linoskoczek”, powiedziałabym, że to jakby całe życie chodzić po linie nad stukilometrową przepaścią. Pewnie, cały czas o tej przepaści nie myślę. Czasem o niej zapominam. Na całe dni. Rozglądam się, podziwiam widoki. Ale potem trochę się poślizgnę, trochę się zachwieję i znów ją widzę pod nogami. Czeka, żeby mnie pochłonąć.

Newt przyjrzał się jej, poważny jak doktor, który musi przekazać pacjentowi nieprzyjemną diagnozę. Jej dziwny, błyśnięty, długonogi i długoręki ukochany. Twarz o ostrych rysach, piękne błękitne oczy. Rozczochrane czarne włosy.

- Tęsknisz za domem - powiedział w końcu.

Macy musiała parsknąć śmiechem, bo on kompletnie nic nie rozumiał. Tyle razy już o tym rozmawiali, a on ciągle myślał - bo wychował się w kulturze wierzącej, że wszystko jest wytłumaczalne, a wszystkie problemy można rozwiązać - że to jakiś tymczasowy lęk, objaw czegoś innego, czegoś, co dałoby się naprawić. Rozmawiała o tym i z innymi Zewnętrznymi, próbowała im tłumaczyć, że nawet zachwycając się dziwną i surową urodą krajobrazu Mirandy - tak jak wtedy, gdy poszła na wycieczkę, wdrapała się na samotny blok skalny i z jego szczytu ujrzała ostro wykrojone tarasy opadające ponad dziesięć kilometrów w dół, ku równinie lśniącej gładko jak zamrożone morze, sięgające aż po horyzont, gdzie na czarnym niebie wisiał Uran, gruby i błękitny jak Ziemia - nawet kiedy zapomniiała się w obliczu czegoś tak nieziemsko pięknego, nagle szcęknięcie zaworu albo zmiana tonu wentylatora nawiewającego powietrze do hełmu przypominało jej, że gdyby nie była zamknięta w skafandrze, zginęłaby w niecałą minutę, w

wyścigu między uduszeniem i zamrożeniem na kamień... Pewnie, wiedziała, że skafander, że wszystkie te mechanizmy utrzymujące ją przy życiu są pewne, niezawodne i prawie stuprocentowo odporne na głupotę użytkownika. Nie chodziło jednak o to, że im nie dowierzała, miała problem z tym, że jej życie całkowicie od nich zależy. „To kwestia tyłomózgowia” - powiedział któryś z jej kolegów. „Problem z przystosowaniem”, twierdził inny. Proponowali środki zaradcze - programowanie neuronalne, robione na miarę psychotropu i tak dalej. Nic nie pomagało. No, od psychotropów przyjemnie szumiało w głowie, jak po drugim piwie po ciężkiej pracy w upale, ale nie chciała być cały czas pod takim wpływem.

Zatem nikt z Zewnętrznych naprawdę nie rozumiał, jak ona się czuje - nawet Newt - więc w końcu poddała się, jak to miała w zwyczaju. Nie było sensu przedłużać kłótni dla samej kłótni. Powiedziała, że tak, może faktycznie trochę tęskni za domem.

- Ja czasem tęsknię za habitatem na Dione - powiedział Newt.
- Ja też. I wszyscy.
- No - potwierdził Newt po krótkiej chwili.
- Przepraszam - powiedziała ze skrucą Macy.

Newt niezbyt często wspominał matkę czy resztę rodziny i przyjaciół, ale wiadomo było, że strata nadal go boli. Przecież właśnie dlatego przez tyle lat starał się odkleić od reputacji matki, że pod wieloma względami byli bardzo do siebie podobni.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się po swojemu, nieśmiało.

- Ale gdybyśmy tam zostali, też by nas wsadzili do więzienia. Nic by to nie zmieniło.

- I tak przepraszam.

- A my polecieliśmy szukać nowego domu. Miejsca, które razem sobie oswoimy.

- To mi się zaczyna podobać.

- I tak właśnie zrobimy. Trochę to potrwa, zanim znajdziemy miejsce, w którym będziemy mogli być naprawdę wolni, ale uda się nam. Będziemy w końcu żyć bardzo długo. Wszystko będzie możliwe. Nawet powrót na Ziemię.

- Faktycznie musielibyśmy żyć bardzo długo, żeby czegoś takiego doczekać - powiedziała Macy.

Reszta podróżników traktowała natomiast podróż jak miłe spędzenie czasu. Przez czterdzieści dwa dni, kiedy statki spadały pomiędzy światami, mogli cieszyć się niczym nieograniczoną wolnością, a kiedy wreszcie trafili na orbitę wokół Plutona, dla większości z nich było to rozczarowanie.

Pluton jest wielkości mniej więcej połowy ziemskiego Księżyca i jednocześnie dwukrotnie większy od swojego największego księżyca, Charona. Razem tworzą praktycznie układ podwójny, wirując wokół wspólnego

środku masy, co wśród ciał Pasa Kuipera nie jest niczym niespotykanym. Wokół tej pary krążą dwa mniejsze, ciemne ciała, Hydra i Nix, a pomiędzy nimi ledwie widoczny układ rzadkich pierścieni, stworzonych z materiału wybitego z tych małych satelitów wskutek zderzeń z ciałami z Pasa Kuipera. Taka zabawka, miniaturka układu planetarnego, zwarta i kompletna niczym tellurium.

Macy Pluton przypominał trochę Marsa - ochrowy glob w bladej żółtej plamki, potężne czapy polarne, skąpa rzeźba terenu upstrzona kraterami, poprzecinana wiekowymi rozpadlinami, zeszlifowanymi termodynamiczną erozją na szerokie, płytkie doliny. Podobnie jak Mars, posiadał rzadką atmosferę. Gdy zbliżał się do Słońca, zmiana nasłonecznienia powodowała, że cienka warstwa szronu - azotu ze śladowymi ilościami tlenu węgla i metanu - sublimowała. Metan w owej tymczasowej atmosferze absorbował promieniowanie podczerwone, ten efekt cieplarniany, do spółki z chłodzącym wpływem sublimacji na powierzchni, tworzył odwrotny gradient temperatury. Temperatura w atmosferze rosła wraz z wysokością, cząsteczki w górnych warstwach nabierały dość energii, żeby uciec ze słabej studni grawitacyjnej, i wylewały się w przestrzeń kosmiczną jak warkocz komety. A po przejściu Plutona przez peryhelium, gdy zaczynał się oddalać po swojej wydłużonej orbicie, nadchodziła zima: tymczasowa atmosfera zamarzała i opadała na powierzchnię jako szron. Jeden cykl zmian pór roku trwał prawie 250 lat.

Po krótkiej naradzie, Newt z dwoma ochotnikami zeszedł *Słoniem* z orbity i wylądowali w pobliżu równika. Newt wyszedł na powierzchnię, jako piąty człowiek w historii, który postawił stopę na Plutonie. Powiedział nonszalancko:

- No to jesteśmy.

Cała trójka skakała po powierzchni przez godzinę, wypuściła na powierzchnię parę robotów badawczych, a potem wystartowała i dogoniła *Wygnanie z rajy*, które właśnie wchodziło na orbitę wokół Charona.

Ciemna powierzchnia mniejszego składnika podwójnego układu była częściowo poprzecinana pajęczynowymi pęknięciami, częściowo pobrużdżona niczym skórka melona, a wszystko to zamalowane szerokimi, zamaszystymi krechami krystalicznego wodnego lodu, i oproszone zamarznętym wodorotlenkiem amonu w cieniach kraterów; głęboko pod powierzchnią Charona znajdował się płytki ocean wody amoniakalnej, która tu i ówdzie wydostawała się do podpowierzchniowych szczelin, tryskała kriogeizerami i krzepła w przypominające pręgi tygrysa pasy szronu na ciemnym tle.

Wolni Zewnętrzni zgodzili się, że na Charonie mogliby żyć ludzie: zadaszyć sobie parę rowów i wąwozów, wwiercić się w grunt do strefy płynnej wody. Wszyscy na zmianę lądowali na powierzchni. Macy zeszyła z



Newtem, poszła za nim przez pokrytą drobnymi kraterami równinę - skakali wielkimi susami w specjalnie docieplonych skafandrach, szukając miejsca, gdzie około ośmiu lat temu wylądowała na Charonie pierwsza sonda. Platforma z przyrządami badawczymi wisiała pomiędzy trzema parami grubych, siatkowych opon, na końcu meandrującej ścieżki, w miejscu, gdzie małemu reaktorkowi skończyło się paliwo. Została rozbitkiem pośrodku czarnej jak węgiel pustyni, wśród drobnych kraterów, w których na dnie skrzył się błady szron. Bliski, ciasny horyzont. Słońce - jasna gwiazda, która nawet tutaj, w odległości 5,5 miliarda kilometrów, tak wielkiej, że światło pokonuje ją ponad pięć godzin, dawała tyle blasku, co Księżyc w pełni na Ziemi. Na rozgwieżdżonym czarnym niebie wisiał półkolista Pluton, niewyraźny i szary w słabym świetle, z białymi czapami na biegunach. Dwie karłowate planetki, krążąc wokół wspólnego środka masy, obracały się synchronicznie; Pluton przez sześć dni oscylował od pełni do kwadry i z powrotem.

Macy powiedziała Newtowi, że widok jest wspaniały, ale nie wyobraża sobie, że mogłaby tu mieszkać.

- Zimą musi być potwornie zimno i ciemno. I ciężko jest gdziekolwiek dolecieć.

- Na tym nowym silniku będzie dużo łatwiej niż kiedyś - odparł Newt. - Zresztą, środek zimy wypada dopiero za ponad sto lat. A jeśli pobudujemy tu habitaty, w środku zawsze będzie lato.

- Ale stąd jest tak wszędzie daleko. Tylko te dwie lodowe kule, które kręcą się wokół siebie, i parę małych kawałków smolistego lodu do towarzystwa naokoło...

- To jest ta twoja nostalgia?

- To coś innego. Czuję się, jakbym była duchem w domu obcych.

- Bo na razie w sumie tak jest - powiedział Newt. - Pusto, bez śladów ludzi. Ale tak samo było na księżycach Saturna, kiedy przylecieli pionierzy.

- „Pionierzy” - powtórzyła Macy. - Jaka samotność w tym małym słówku.

- Chcesz czy nie, my też jesteśmy pionierami.

Ekspedycja badała Charona przez dziesięć dni. Odkryli pasma węglowych substancji pochodzących ze zderzeń z innymi ciałami z Pasa Kuipera i obsiali je organizmami próżniowymi. Wypuścili satelitę, który z czasem zapewni szczegółowe mapy topograficzne i geologiczne. A potem rozpoczęli długą podróż z powrotem na Urana. Wspólne doświadczenie mocno związało wszystkich ze sobą: nawet Macy czuła, że jest teraz integralną częścią małej kompanii podróżników. Nigdy nie zapomni o Ziemi, nigdy też nie będzie w stanie myśleć o lodowatym, martwym księżycowym krajobrazie jak o domu. Ale nie jest już obcą osobą w mroku zewnętrznego Układu.

## ROZDZIAŁ 4

Szpieg budził się powoli i boleśnie, uwięziony w sztywnej skorupie skafandra, a razem z nią w ciasnej jak trumna kabinie kapsuły desantowej. Czuł się tak, jakby pobili go ludzie znajdujący się na rzeczy, a potem zostawili w palącym słońcu na jakiejś ziemskiej pustyni. Posiniaczony do kości, stawy sztywne i opuchnięte. Ból głowy pulsujący czarno, jak jadowity pająk w rzadkiej galarecie mózgu. Język jak zeschnięty trup przyklejony do posadzki parszywego grobu. Łyknął przez rurkę pozbawionej smaku recyklowanej wody i skrzywiwszy się, podłączył się do krótkowzrocznego sensorium kapsuły desantowej. Przespał 72 dni: Reę miał teraz tuż przed nosem - jasny, dziobaty glob wiszący tuż za szerokim kręgiem pierścieni i wydętym równikiem Saturna.

Kapsuła nie zarejestrowała żadnych prób namierzania radarem czy nawiązania kontaktu: malutka trumienka prześlizgnęła się spiralnym kursem do wewnątrz układu, niezauważona przez kontrolę lotów. Szpieg rozwinął AI nawigacyjną, przejrzał ograniczone opcje, jakie oferowała, wybrał kompromisową, będącą najmniejszym złem. Silniczki korekcyjne kaszlnęły i zadygotały, Rea z Saturnem okręciły się na czarnym niebie, potem z tęnym hukiem zaskoczył główny silnik - na krótki impuls, mający zrzucić go z orbity w punkt nieco na południe od równika Rei, na przysaturnowej półkuli.

Rea to drugi co do wielkości księżyc Saturna, wielka kula wodnego lodu wokół krzemionkowego jądra, na przedniej półkuli ma charakterystyczny, olbrzymi, wielopierścieniowy krater, na ciemnej półkuli tylnej długie ciągi jasnych urwisk. Ponad sto lat temu, gdy do układu Saturna przybyli pionierzy Zewnętrznych, osiedlili się właśnie na Rei, kopiąc sobie tunele i grotty w twardym jak skała wodnym lodzie, w wewnętrznym stoku krateru Xamba. Powstała prymitywna nora, z której później wyrosło pierwsze miasto w układzie Saturna. Teraz niewidoczna dla radarów kapsuła ze szpiegiem spadała tam łagodnym, powolnym łukiem kończącym się w nierównym terenie nieco na wschód od zewnętrznego stoku tego krateru.

Był środek dnia. Rea przechodziła przez cień Saturna. Pod jego osłoną szpieg przedostał się do najbliższego schroniska. Planował odpocząć jeden dzień, wziąć prysznic, zjeść ciepły posiłek lub dwa, podładować baterie skafandra, uzupełnić zapas tlenu i wody. Jednakże kiedy dotarł do schroniska, odkrył, że pole słoneczników wokół zostało wycięte, wewnętrzne i

zewnątrzne drzwi maleńkiej śluzy stoją otworem, a w środku jest zimno i ciemno. AI była martwa, zbiorniki z tlenem zostały opróżnione, zbiornik z wodą zamarzyły na kamień, a drukarkę i wytwornik żywności zabrano. Napis wymalowany od szablonu nad wnęką sypialną głosił, po angielsku, francusku i rosyjsku, że schronisko zostało zamknięte na mocy decyzji RTM, a każdy potrzebujący pomocy powinien skontaktować się z koordynatorem na kanale 9. I pewnie dać się aresztować jako szpieg lub sabotażysta, pomyślał kwaśno szpieg. Przeszukał ciemną grotę i zdeptany obszar wokół wjazdu, na wypadek gdyby pozostawili tam jakiś podsłuch czy podgląd do szpiegowania ewentualnych włamywaczy, potem ruszył w stronę łagodnych zboczy krateru.

Nawet w śladowym ciężeniu Rei była to długa wędrówka. W ostrym świetle diamentowej kropki Słońca, wiszącej wysoko na czarnym niebie, tuż za półksiężycem Saturna, czuł się beznadziejnie odsłonięty. Przedostał się pomiędzy jasnymi urwiskami na szczycie wału, zszedł długą doliną po wewnętrznej stronie, wyszedł na pełne drobnych kraterów dno.

Po wszystkich stronach płyt i namiotów portu kosmicznego ciągnęły się żałobne pola organizmów próżniowych. Wały jasnych lodowych odłamków, bez wątpienia przykrywających dachy budynków Europejczyków, odchodziły pod prostym kątem od torów kolei łączącej port z miastem, skrytym w stoku krateru. Stało tam w równych szeregach kilkaset rolligonów i innych pojazdów. Oraz rozgwiezda farm tunelowych, każdy tunel ponadkilometrowej długości, z szybami spolaryzowanymi na ciemno.

Szpieg poświęcił godzinę na staranne rozpoznanie terenu wokół tuneli, zanim włamał się do śluzy technicznej farmy położonej najbardziej na północ. Zdjął skafander i pozbył się półżywego ocieplacza, śmierdzącego starym potem i pełnego martwiczych plam, obmył się najlepiej jak potrafił zwilżonymi papierowymi ręcznikami, opatrzył bolesne otarcia i odparzenia na bokach i w pachwinach, włożył papierowy kombinezon i powędrował między długimi rządkami fasoli i pomidorów, jakby był tu u siebie.

Dzień na Rei miał nieco ponad sto osiem godzin, mieszkający tu Zewnętrzni trzymali się jednak dwudziestoczegogodzinnego ziemskiego cyklu - choć był środek długiego przedpołudnia, w mieście i farmach była druga w nocy. Szpieg znalazł memoprzestrzeń i wgrał do niej małą ekipę demonów, a kiedy zabrały się do pracy, wpełzł do schowka, gdzie garażowały ogrodnicze roboty, powoli zjadł trzy dojrzałe pomidory, pierwsze stałe jedzenie, odkąd dawno temu odleciał z Japeta, i poszedł spać. Maszyny nie będą go niepokoić, a mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek zajrzał do ich schowka.

Przespał całą dobę. Obudziwszy się, stwierdził, że demony wykryły boczne wejście do sieci kontrolowanej przez europejskie siły okupacyjne. Unia Europejska, podobnie jak jej brazylijscy sojusznicy na Dione, wysiedliła wszystkich z rozrzuconych po Rei habitatów i oaz i przeniosła do

jedynego miasta. Proste wyszukiwanie już po paru sekundach zwróciło akta Zi Lei. Była uchodźcą wysiedloną z oazy pod nazwą Kłątwa Pattersona niecałe dwa lata temu, zaraz po zakończeniu Cichej Wojny. Mieszkała wspólnie z innymi uchodźcami, pracowała w jadłodajni, nie miała w papierach żadnego naruszenia przepisów. Szpieg przeczytał krótkie akta kilka razy. Był spokojny i czujny, ale niezbyt podekscytowany. Już planował, co musi zrobić dalej.

Cały czas miał w lewej kości ramieniowej znacznik, który dostał w Paryżu, kiedy zaczynał roboty w mieście. Jeden z demonów przekopiował zawarte w nim dane biometryczne do bazy danych Europejczyków i stworzył z nich fałszywy wpis, mówiący, że Felice Gottschalk jest prawowitym mieszkańcem Xamby.

Dostanie się do miasta nie stanowiło problemu. Wszystkie farmy były połączone tunelami z centralnym węzłem, z którego odchodziła krótka linia kolejki do północnej komory Xamby. Szpieg dotarł na stację kolejki o szóstej rano; pilnujący jej żołnierze właśnie mieli zmianę. Wyjaśnił im, że wezwano go do naprawy agregatu klimatyzacyjnego w jednej z farm; sprawdzili spreparowany przez demona wpis w dzienniku, sugerujący, że wyszedł z miasta trzy godziny wcześniej, i wpuścili go.

Pięć potężnych komór tworzących miasto tkwiło obok siebie we wschodnim zboczu krateru Xamba. Łączyły je tunele dla pieszych i system kanałów. Żeby przejść długim tunelem, Felice Gottschalk musiał kolejny raz wylegitymować się dwójce żołnierzy. Podłoga tunelu była wyłożona półżywą trawą, a zaokrąglone ściany pokryto żartobliwie heroicznymi graffiti, przedstawiającymi hordy postaci w staroświeckich, podobnych do skorupiaków skafandrach, budujące namioty i olbrzymie statki kosmiczne, walczące z fantastycznymi potworami, albo latające na lotniach wśród saturnowych burz. Prowadził do sąsiedniej komory, w której mieszkała Zi Lei.

Na stromych, tarasowych wzgórzach po obu stronach grotty piętrzyły się mieszkania, sklepy, kawiarnie, warsztaty i ogrody, wznosząc się ponad parkiem, całym zastawionym namiotami zamieszkanymi przez ogromną populację uchodźców. Środek parku przecinało wąskie jezioro. Na tłustych, powolnych falach kołysały się łodzie o wysokich burtach. Żyrandole nadal były przyćmione, na ulicach znalazło się tylko paru rannych ptaszków. Grupa pracowników otwierała jadłodajnię na drugim końcu jeziora. Na pomoście grupa starszych ludzi przechodziła z jednej pozycji tai chi do drugiej.

Mieszkanie Zi Lei znajdowało się na wysokim tarasie, tuż przy wielkiej, przezroczystej, zamykającej komorę ścianie, dającej widok na krater Xamba. Na zewnątrz panowała noc, w płytach z przezroczystego diamentu budowanego niewyraźnie odbijały się stłoczone tarasowo budyneczki.

Szpieg siadł pod rozłożystym figowcem rosnącym pod ścianą na przeciwnym końcu tarasu, skąd miał świetny widok na drzwi do mieszkania Zi Lei i mógł obserwować, kto wchodzi i wychodzi. Siedział tam długo, nieruchomo, po turecku, nie zwracając uwagi na spojrzenia przechodniów. Nie mógł wysłać jej wiadomości, bo AI sił okupacyjnych monitorowały wszystkie rozmowy i wiadomości. Pukać do drzwi też nie chciał, bo mieszkała z sześcioma innymi osobami. Kiedy do siebie wróca - tak o tym teraz myślał - będzie chciał porozmawiać z nią w cztery oczy. Ciekawe, czy pozna go po operacjach plastycznych; ciekawe, czy rzuci się ku niemu z radosnym okrzykiem. Przygotowywał słowa, które chciał powiedzieć, wyobrażał sobie, co powie ona...

Karyl Mezhidov zapytał kiedyś, czy kocha Zi Lei, czy jest w niej zakochany. Wtedy nie rozumiał tego rozróżnienia. Dopiero teraz.

Z mieszkania wyszło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Serce zabiło mu w piersi, ale po chwili zauważył, że kobieta to nie Zi Lei.

Postanowił, że za dziesięć minut kończy z czekaniem i puka do drzwi; dziesięć minut później - że da jej kolejne dziesięć minut. I tak mijał czas, póki z mieszkania nie wyszła kobieta i nie przeszła przez taras do kolejki linowej łączącej go z niższymi piętrami. To nie ona. To ona. Wiedział, że to ona. Zi Lei, szczupła jak trzcina, w żółtej tunice i białych spodniach. Zapuściła włosy, miała je splecione w lśniący czarny warkocz sięgający aż do krzyża. Niosła coś w nosidełku, pomiędzy piersiami. Niemowlę. Czule przytrzymując mu główkę, weszła na małą platformę kolejki, zjechała i zniknęła mu z oczu.

W jej aktach nie było nic o żadnym dziecku - na pewno należy do któregoś współmieszkańca.

Szpieg zjechał za nią na dół grotu. Gdy skręciła do jadłodajni, poszedł prosto, przeszedł przez mostek nad jeziorem, wszedł piętro wyżej i stanął na krawędzi tarasu, z którego miał przez wodę świetny widok na jadłodajnię. Zi Lei siedziała przy długim stole z mężczyzną i kobietą, którzy wcześniej wyszli z mieszkania. Rozpięła tunikę, wyjęła dziecko z nosidełka i podtrzymywała je zgiętą lewą ręką. Niemowlę łapczywie ssało jej pierś.

- Piękny obraz normalnego ludzkiego życia - rozległ się męski głos za plecami szpiega.

Odwrócił się.

Człowiek uśmiechnął się i powiedział:

- Cześć, Dave.

\*\*\*

Zanim wysłano go z zadaniem do Paryża na Dione, w skórze Kena Shintaro, szpieg nazywał się Dave. I wszyscy jego bracia też mieli na imię

Dave. On był Dave #8. Facet, który się do niego uśmiechał to Dave #27. Najinteligentniejszy z nich wszystkich i najlepszy przyjaciel Dave'a #8. Powiedział teraz:

- Trochę ci to zajęło, żeby ją znaleźć. Już zaczynałem myśleć, że zginąłeś.

- Byłem w Paryżu - odparł szpieg. - A potem na Japecie.

- Szukaliśmy cię oczywiście w Paryżu. Całkiem sprawnie się przed nami ukrywałeś.

- Bo byłem zmarłym.

- Byłeś Felice'em Gottschalkiem. I wyglądem sobie zmieniłeś - zauważył Dave #27. - W sam raz tyle, żeby nas zmylić.

- Poszczęściło mi się. W czasie wojny w mieście skasowała się większość dokumentów.

- No tak. A teraz szczęście ci się skończyło.

Obaj byli bladzi i chudzi, dokładnie tego samego wzrostu, ale Dave #27 miał włosy jasne, a szpieg czarne, zmienione przez retrowirusa, który przyciemnił mu także tęczówki. Miał okrągłą twarz, a nos szerszy i bardziej płaski.

- Gdybyś chciał mnie zabić, to już bym nie żył - stwierdził szpieg. - Pewnie chcesz, żebym wrócił. Nie mam zamiaru.

- Już zaczynaliśmy myśleć, że zginąłeś - powtórzył Dave #27. - Ale potem aresztowaliśmy kobietę nazwiskiem Keiko Sasaki. Należała do ruchu oporu. Na przesłuchaniu sypnęła nazwiskami, pojawiło się i twoje. Czy raczej Felice'a Gottschalka. Powiedziała nam, że tak naprawdę to Ken Shintaro i że szuka kobiety nazywającej się Zi Lei. Więc oczywiście przewróciliśmy cały Paryż do góry nogami. I porównaliśmy wszystkie DNA z aktami biometrycznymi. Masa roboty. Znaleźliśmy fałszywe wpisy, które podrzuciłeś do bazy, ale ciebie nie mogliśmy znaleźć. Szukaliśmy w innych miastach, które kontrolujemy, potem tutaj. Zi Lei znaleźliśmy, ale ciebie nadal nie. Bo przez cały ten czas byłeś na Japecie, w jedynym miejscu, którego nie byliśmy w stanie przeszukać. Wspólnota Pacyficzna to niby nasi sojusznicy, ale w ogóle nie mieli zamiaru pomóc nam szukać zagubionej duszy, która lekkomyślnie zdezerterowała ze swojej szczytnej misji. Robiliśmy, co mogliśmy, ale władze Pacyfików są aroganckie i niedbałe. Rejestry mają niekompletne, a w dodatku mieszkańcy Japeta ciągle są rozproszeni... Pozostało nam zastawić tutaj pułapkę - musiałeś się w końcu dowiedzieć, gdzie mieszka twoja kobieta, i przyjść do niej.

Szpieg się nie odezwał. Kątem oka starał się ustalić, czy ktoś ich obserwuje. Było mu niedobrze, był podniecony i przerażony jednocześnie. Nadaktywny. Wszystko wokół nabrało nowej jaskrawości.

- Nic się nie bój - powiedział Dave #27. - Jestem sam. Wysłali mnie tutaj, żebym monitorował ogólną sytuację w Xambie. Wczoraj mój demon

zauważył twoje operacje w sieci Europejczyków. Rzuciłem wszystko, żeby cię obserwować. No i mam.

- Unia wie, że tu jesteś?

- Jeśli pytasz, czy jestem oficjalnie, to nie. Myślą, że jestem uchodźcą. Przykro mi to mówić, ale przyjechałeś trochę za późno. Zi Lei, kiedy się tu pojawiła, posiedziała trochę w szpitalu. Nie brała leków na swoją chorobę, znaczy, schizofrenię. Usiłowała się zabić. Nie udało się, a w szpitalu zakończyła się w innym pacjencie. W zeszłym roku się pobrali. No i mają córkę, jak widzisz. Tylko pięć tygodni.

Szpieg zrozumiał teraz, czemu w aktach Zi Lei nie było ani słowa o dziecku. Wykasowali to, żeby go nie spłoszyć. Żeby nic nie wiedział i wszedł prosto w zastawioną przez brata pułapkę.

- Cieszę się, że jest bezpieczna.

Dave #27 uśmiechnął się i pokręcił głową.

- To niczego nie zmienia - powiedział szpieg. - Mam swoje życie.

- Wyzaczyłeś sobie zadanie: odnaleźć ją. A teraz ją znalazłeś i koniec misji, prawda?

- Zdezerterowałem. Nie mogę wrócić.

- Nic tutaj po tobie. Jest związana z innym facetem, mają dziecko. Zresztą, cokolwiek ci się wydaje, że do niej czujesz, to jest część fałszywej tożsamości, jaką miałeś przed wojną. A nie twojej prawdziwej.

- Tej prawdziwej tu ja jeszcze szukam.

- Nie możesz mieć tej kobiety. Co jeszcze masz tu do roboty?

Jak miał mu wytłumaczyć, że odmieniły go przymusowe roboty w Paryżu, serdeczne dni spędzone na jeździe razem z Karylem Mezhidovem przez ciemne równiny Japeta, wspólne jedzenie, praca i długie rozmowy o niczym z nieznanymi? Jak miał wyjaśnić, że nie może wrócić do domu, bo nie jest już tym samym człowiekiem co przed wojną?

Każdy inny przegapiłby drgnięcie mięśni Dave'a #27, szpieg jednak trenował z nim wszelkie rodzaje walki wręcz przez prawie trzy tysiące dni. Zawsze był odrobinę szybszy i silniejszy. Uniósł lewą rękę, zbijając wycelowany w szyję cios, a kantem prawej uderzył Dave'a #27 w łokieć. Dave #27 upuścił ukrytą w dłoni jednorazową strzykawkę, zrobił obrót i kopnął szpiega w biodro.

Zaczęli walczyć na serio, z niesamowitą szybkością parując ciosy, próbując znaleźć słabość w gardzie przeciwnika. Szpieg, zepchnięty na krawędź tarasu, wskoczył na balustradę, kopnął Dave'a #27 w pierś i skoczył saltem w tył, lądując lekko w jednej z zacumowanych na brzegu łodzi. Odskoczył jak konik polny, gdy Dave #27 poszybował za nim, puścił się pędem po łodziach, a brat deptał mu po piętach. Łodzie prawie nie zanurzały się w wodzie i kołysały szaleńczo pod ich nogami. Thuste, niskograwitacyjne fale biegly do przeciwnego brzegu, gdzie zgromadzili się ludzie. Patrzyli,

klaskali, ewidentnie przekonani, że to spektakl ulicznego teatru.

Szpieg odbił się od rufy ostatniej łodzi długą, wysoką parabolą wycelowaną w taras. Przerzucił się bokiem nad balustradą, zrobił pięć potężnych susów, chwycił się łuskowatego pnia palmy sabałowej, okręcił wokół niej i zobaczył brata stojącego zaledwie parę metrów od niego. Szpieg odłamał kawałek brzegu wielkiej plastikowej donicy, w której rosła palma, uniósł go jak nóż i powiedział bratu, żeby nie podchodził...

- Wyjadę stąd - powiedział. - Od razu.

- Wyjedziesz. Razem ze mną.

- Sam. Wyjadę sam. Z tego miasta. Z tego księżycyca. Powiesz im, że mnie tu nie było.

Obaj ciężko dyszeli. Dołem tarasu podchodziło do nich dwóch ludzi w eleganckich niebieskich mundurach europejskiej armii. Dave #27 także zobaczył żołnierzy.

- Jak chcesz przeżyć, chodź ze mną - rzucił.

Szpieg cofnął się, gotowy odwrócić się i uciekać. Brat rzucił się na niego, szpieg uderzył go mocno odłamkiem plastiku. Wyrwało mu go z dłoni, gdy Dave #27 się zachwiał. Spomiędzy zaciśniętych na szyi palców trysnęła krew. Szpieg zobaczył w oczach brata szok i przypomniał sobie jedynego człowieka, którego zabił. Swojego lektora. Ojca Solomona. Dostał taki rozkaz, ale nigdy nie zapomniał wstydu i pogardy dla samego siebie, które czuł długo potem. Nie zapomniał, że odróżniało go to od reszty braci. Wszystko to przemknęło mu przez głowę, kiedy Dave #27 zachwiał się, a potem ostrożnie i powoli usiadł.

Kiedy europejski żołnierz zrobił krok naprzód i poraził go paralizatorem, szpieg usiłował zatamować krew tryskającą z tętnicy na szyi brata. Oprzytomniał na chwilę, gdy go wywozili, przypiętego w wyprostowanej pozycji do czegoś w rodzaju noszy na kółkach. Spróbował przekręcić głowę, unieruchomioną paskiem przez czoło, wypatrzeć Zi Lei w tłumie, który się zebrał. I cieszył się, bardzo się cieszył, że jej tam nie widzi.



## ROZDZIAŁ 5

Ekipa od silnika opracowała szczegółowe plany eksploracji Neptuna oraz paru planet karłowatych na skraju Pasa Kuipera, ale kiedy ekspedycja wróciła z układu Plutona na Mirandę, Wolni Zewnętrzni zagłosowali przeciwko kolejnym wyprawom. Oczywiście, największy księżyc Neptuna, Tryton, był bardzo obiecującą lokalizacją, został jednak dokładnie zbadany przez ludzi i automatyczne sondy, a sam Neptun znajdował się obecnie po przeciwnej stronie Układu Słonecznego. Nie było pilnej potrzeby, żeby tam lecieć, a po drugie, byłoby to marnotrawstwo zasobów i czasu, które można wykorzystać na rozbudowę osiedla na Mirandzie i wyposażenie reszty niewielkiej floty Wolnych Zewnętrznych w silniki termojądrowe.

Newta Jonesa nie zraziło, że został przegłosowany: przeciwnie, porażka dodała mu energii i przekonała, że wcześniej czy później przyznają mu rację. Całymi dniami pracował nad przebudową statków i omawiał poprawki do napędu ze swoim zespołem technicznych magików. Macy Minnot wróciła do pracy nad biometem - zabrała się za ulepszanie, rozbudowywanie i wzbogacanie ekosystemu habitatu. I nagle, zaledwie sześćdziesiąt dni po powrocie ekspedycji, wszystko się zmieniło.

Wszyscy Wolni Zewnętrzni lubili spędzać czas na powierzchni Mirandy. Uciekali przed ciasnotą habitatu. Podziwiali niesamowicie urozmaicone krajobrazy, chodząc na wycieczki samotnie, z przyjaciółmi lub całymi rodzinami. Poznawali to, co było nieznanne. Wytuczali trasy poprzez gęsto pobrużdżone kraterami równiny i przez te gładzsze, młodsze, oraz przez zasypane piargami dna dolin w równoległych rowach na skraju koron. Schodzili głęboko w gigantyczne grabeny przecinające wszystkie możliwe typy terenu, pomiędzy wystrzępione klify pnące się w czarne, gęste od gwiazd niebo na dziesięć do dwudziestu kilometrów, w miejsca, gdzie ich rozszerzające się dna tworzyły tarasy, które spokojnie mogłyby pomieścić niewielkie miasta. Orientowali się w terenie za pomocą satelitów nawigacyjnych i zostawiali po sobie bardzo niewiele śladów - powbijane w lodowe zbocza haki, kleksy farby znakujące szlaki wzdłuż stromych grzbietów, przecinających się nawzajem wzgórz i chaotycznych piargowych pól; niewielka liczba starannie poukrywanych schronisk.

Większość powierzchni Mirandy stanowił wodny lód, lecz wcześniej w jej historii nastąpiły, zwane diapirami, migracje lżejszych, cieplejszych i

rzadszych lodów ku powierzchni. To one wypiętrzyły gigantyczne wieńce i pociągnęły ze sobą znaczą ilość materiału z płaszczu planetarnego. Ekipa geologiczna zlokalizowała kilka złóż palagonitowych krzemionek, rud bogatych w magnez i glin oraz żył cennych fosforanów i azotanów. Newt z Macy wyprawili się parę razy do przedwiecznego, pełnego kraterów Bohemia Regio, gdzie odkryto bogate w amoniak ily smektytowe, oraz na północną krawędź wieńca Arden, gdzie roboty wydobywały krzemionkę. Rośliny uprawne i zioła hodowali wprawdzie hydroponicznie, a wielkie wspólne pomieszczenie habitatu było wyłożone półżywą murawą, ale ekipa od biomu płatkowała utworzyć kieszonkowe parczki, z zagajnikami i kwitnącymi krzewami. Macy nie miała stołów pedonowych ani innego sprzętu niezbędnego do wyprodukowania porządnej gleby, mającej odpowiednie warstwy, profile i skomplikowaną siatkę zależności pomiędzy różnymi mikroorganizmami. Jednakże ił z Bohemia Regio, z natury silnie alkaliczny i brylasty, po zmodyfikowaniu w reaktorze i zmieszaniu z humusem z kompostowników odpadów, tworzył przyzwoity i kruchy kompost. Świetny przykład na to, że nawet na tym z pozoru niegościnnym księżycu da się pozyskać surowce podtrzymujące życie z jego nieskończoną różnorodnością. Natomiast skały krzemionkowe nadawały się wyłącznie do celów ozdobnych.

W dniu, kiedy wszystko się zmieniło, Macy i Newt przelecieli jedną czwartą drogi wokół Mirandy do wieńca Arden, była to już rutynowa wycieczka na odległość około czterystu kilometrów. Polecili *Słoniem*. Newt pilotował holownik z nonszalancką zręcznością, śmigając nisko nad jasnymi, łagodnymi równinami upstrzonymi drobnymi kraterami, nagle podrywając się w strefie przejściowej, gdzie księżycowy krajobraz zapadał się i unosił poplątaną siatką wzgórz i dolin - potężnym, zamrożonym osuwiskiem, przekrzywionym w stronę dna ponadkilometrowego uskoku. Jego zbocze przecinały potężne pionowe pęknięcia, wyrte przez tarcie, gdy potężne siły tektoniczne spowodowane stygnięciem księżycza wyniosły cały ten blok do góry.

Newt przez ponad dwadzieścia kilometrów leciał równolegle do porytej powierzchni skarpy, aż opadła ku potężnemu cyrkowi powstałemu od zderzenia z olbrzymim meteorytem. Na powierzchnię wydobyły się wtedy miliardy ton brudnego wodnego lodu, część odparowała, reszta spadła z powrotem na powierzchnię Mirandy, albo wyrwała się z wątego uchwytu jej ciężenia i trafiła na orbitę wokół Urana. Newt spowolnił spadek *Słonia* silnikami hamującymi. Kiedy opadał na dno cyrku, Macy dostrzegła pędzące po jasnym gruncie w dole czarne zwierzę: cień holownika, coraz większy, w miarę jak się do niego zbliżali, pykając silnikami korekcyjnymi, aż po idealne lądowanie w półkolu cyrku.

Uszczelnili skafandry, precyzyjnie się kolejno przez służę, wypakowali

sanie i pojechali nimi przez zbocza zapyłonego lodu, pod czarnym niebem, na którym na boku leżał bladoniebieski półksiężyc Urana. Wokół wiły się urwiska, falując jak zamrożone kotary z podstawami pogrążonymi w stożkach piargowych. Wspięli się serpentyną po jednym z tych stożków, docierając na przymocowaną do zbocza platformę, gdzie robot górniczy wielkości samochodu cierpliwie wgrzyzał się w intruzję krzemionkową, wycinając z niej blok za blokiem i układając je w schludne piramidki. Słońce świeciło na Mirandzie czterysta razy słabiej niż na Ziemi, jaśniej niż Księżyc, ale nie na tyle, żeby Macy mogła odróżniać kolory. Zatem i zapyłona wypukłość platformy i piętrzące się nad nią urwiska przybierały odcienie szarości, ożywianej ostrymi czarnymi cieniami i jasnymi jak sól odbłyskami odsłoniętych powierzchni wodnego lodu. A cegły wydobytej krzemionki przypominały jej żużel hutniczy. Dopiero kiedy zapaliła czołówkę na helmie, bloczki krzemionki zmieniły się w lśniące kostki chropowatego onyksu, poprzerastane delikatnymi żółtymi i czarnymi jak węgiel żyłkami. Doskonały materiał na bruk i niskie, kręte murki planowanych w habitacie parków.

Razem z Newtem załadowali je na sanie, przywieźli do *Slonia* i ułożyli w zewnętrznej ładowni holownika. Po czterech kursach ładownie były pełne, praca zakończona. Wybrali się więc na spacer po dnie cyrku, goniąc się wielkimi, powolnymi susami pod czarnym niebem. Jasny okruch Słońca zbliżał się do horyzontu: cienie rozciągały się i kurczyły, rozciągały i kurczyły, gdy skakali jedno za drugim, tańcząc w eterycznym ciężeniu, upojeni nawzajem własnym zachwytem. Podgrzali sobie jedzenie w wytworniku żywności, zjedli, wypili trochę domowego wina, pokochali się i leżeli w rozciągniętym w kabinie hamaku, obejmując się. Macy tuliła się do Newta, opierając głowę o chłodną pierś. Słyszała, jak bije mu serce, czuła też puls mikroserca w nadgarstku, gdy gładził ją po włosach. Krótka szczecina ostro szeleściła pod palcami.

- Nie musimy wracać - powiedział.
- Mmm.
- Możemy tutaj zbudować sobie ogród. Rozbić wielki namiot, wypełnić go dzunglą.
- I kurami.
- Czemu nie? Od czasu do czasu nawet bym ci pozwolił jedną zabić i zjeść.
- Nie wiem, jak ty wytrzymujesz z takim niewyewoluowanym dzikussem.
- E, ja też kiedyś jadłem mięso - odparł Newt. - W wolnej strefie Sparty na Tetydzie jest taka sekta. Hodują klonowane mięso krów, mielő je i jedzą na surowo. W ramach seksu. I krew też piją. Parę kropelek ludzkiej krwi.
- To jedna z tych twoich historyjek?

Newt miał całe pokłady nieprawdopodobnych opowieści z czasów, kiedy był kupcem-korsarzem. Macy podejrzewała, że mniej więcej połowa z nich zawiera ziarno prawdy, a jedna czy dwie są nawet z grubsza autentyczne.

- Może któregoś dnia będę mógł cię tam zabrać - powiedział. - Chociaż muszę przyznać, że wziąłem tylko minimalny kawałek, a i tak o mało co się nie porzygałem.

- Surowe mięso, to dopiero jest barbarzyństwo. My też sobie sklonujemy mięso z krowy i pokażę ci, jak się robi porządne hamburgery. Albo smaży steki.

- O tak, tak, będziesz mnie rozpieszczać po ziemsku. Zbudujemy sobie tu ogród i będziemy hodować kury. I mieć dzieci. W sumie to, mniejsza z kurami, ale nie wydaje ci się, że najwyższa pora, żeby coś postanowić w kwestii dzieci?

Już parę razy rozmawiali o założeniu rodziny, lecz teraz temat pojawił się ni stąd, ni zowąd. Macy uniosła głowę i popatrzyła na Newta. Jego twarz, z ostrymi kośćmi policzkowymi i wąskim nosem, w słabym, przyćmionym świetle składała się z rozbłysków i cieni. Trudno było odgadnąć, jaką ma minę.

- O tym się nie żartuje - napomniała go.

- Nie żartuję. Wszyscy naokoło rodzą dzieci. Czwórkę, odkąd przyłecieliliśmy, jeszcze sześcioro w drodze. Nie mówiąc już o tych wszystkich, które zabraliśmy. No tak, wiem, co powiesz. To za wcześnie, jak przyleci po nas RTM, trzeba się będzie zabierać. Ale tak rozumując, to ciągle będzie za wcześnie, aż będzie za późno.

Tym razem był poważny. Rzadko mu się to zdarzało, co znaczyło, że Macy musiała serio potraktować jego propozycję. Odpowiedziała, że też tego chce, oczywiście, ale nie jest pewna, czy jest na to gotowa - zaczęli więc dyskutować, przerzucając się argumentami za i przeciw, aż w końcu zasnęli wtuleni w siebie w głębokim hamaku.

\*\*\*

Macy obudziła się, gdy Newt zerwał się na równe nogi, sięgnął poza nią i przyciągnął coś do siebie - speksy. Delikatnie popiskiwały. Przestały, kiedy założył je na nos.

- Co się stało? - zapytała Macy, czując dreszcze na nagiej skórze. Jak wszyscy w terenie, zachowywali ścisłą ciszę radiową. Skoro ktoś wysyłał im wiadomość, oznaczało to jakieś kłopoty.

Newt po chwili zdjął speksy i podał jej.

Włożyła je na nos. Po szarym tle przed jej oczyma wędrowały czarne li-  
tery:

„Możliwy kontakt. Natychmiast wracajcie. Możliwy kontakt. Natych-

miast wracajcie. Możliwy kontakt. Natychmiast wracajcie”.

- Musieli to odbić od obserwatorium na Tytanu - zauważył Newt. - Tylko ona jest teraz nad horyzontem.

Macy chwyciła się brzegu hamaka, kiedy zeskakiwał.

- Możliwy kontakt. Znaczy, że nie są pewni - powiedziała.

- Chyba i tak musimy wracać i się przekonać. Jakkolwiek na to patrzeć, to zła wiadomość.

- Ale jeszcze nie najgorsza. Jeszcze nie.

- No tak, jeszcze nie.

Obserwatoria na Oberonie, Tytanu i Arielu miały wysokorozdzielcze teleskopy wycelowane we fragmenty nieba, przez które musiałyby przelecieć statki z Saturna, Jowisza lub Ziemi, gdyby kierowały się na orbitę Urana. Po dwóch latach bez śladu statków lub podstępnych miniaturowych dronów wlatujących do układu Urana, Wolni Zewnętrzni zaczęli myśleć, że są bezpieczni. Że według RTM nie opłaca się ich ścigać. Jowisz był teraz po przeciwnej stronie Słońca, a Saturn oddalał się od Urana - był właściwie dalej od niego niż Ziemia. Te ogromne odległości stanowiły fosę oddzielającą ich od reszty ludzkości. Jak na kwarantannie. Nagle jednak poklatkowe porównanie kadrów zarejestrowanych przez teleskop na Oberonie wykryło świetlny punkcik poruszający się na nieruchomym tle gwiazd, a spektrometria pokazała, że to światło fuzji termojądrowej - płomień wylotowy statku wysłanego z układu Saturna, który hamował teraz, zbliżając się do Urana kursem, który po trzydziestu dniach wprowadziłby go na orbitę.

Gdy tylko wszyscy wrócili do habitatu, zwołano nadzwyczajne zebranie, w niecce głównego pomieszczenia, gdzie Wolni Zewnętrzni wspólnie gotowali, bawili się i rozmawiali. Przegadali większość dnia i pół nocy. Choć ogólny ton dyskusji był poważny i trzeźwy, napięcie czasem dawało o sobie znać, falami gwizdów i bezsensownych sprzeczek. Ten dzień dokładnie zaplanowali, dokładnie się do niego przygotowali, a teraz, kiedy nadszedł, trzeba było stanąć twarzą w twarz z możliwością, że tego nie przeżyją.

Macy, siedząc obok Newta na ich stałym miejscu na szczycie niecki, obserwowała debatę z coraz większą niecierpliwością, która paliła ją w dole brzucha. Frustracją. Klaustrofobią. Ona nie miała wątpliwości, że RTM zaatakuje kogoś dnia Wolnych Zewnętrznych, ale tak jak wszyscy, dała się wpuścić w fałszywe poczucie bezpieczeństwa, zajmąwszy się, jak wszyscy, urządzaniem sobie na wygnaniu nowego domu. Siedzieli tu sobie, uprawiali ogródki, rodzili dzieci, robili się leniwi i wygodni, a teraz, kiedy przyszedł kryzys, tracili czas na bezsensowne spory.

Od zawsze nie cierpiała niekończących się debat, które tak uwielbiali Zewnętrzni, zwłaszcza w sytuacjach, gdy od początku było wiadomo, co trzeba zrobić. Gadanina nie ma sensu, potrzeba silnego przywódcy, który stanie na czele i podejmie decyzję. Tyle że Idrissowi Barrowi bardziej zale-

żało na moderowaniu dyskusji niż podjęciu decyzji. Starał się jak mógł uwzględnić wszystkie punkty widzenia. Stracili więc ponad trzy godziny na debatowaniu, czy powinni zostać, czy uciekać, a kiedy niewielką większością przegłosowali ucieczkę, natychmiast zawiązała się kolejna dyskusja: Pluton czy Neptun.

Newt, Macy i reszta ekipy od napędu optowali za Neptunem. Ziff Larzer spokojnie i metodycznie wyłożył ich plany. Neptun jest dalej niż Pluton, ale mogą na nim być inni uchodźcy, a jego największy księżyc, Tryton, jest większy i bardziej gościnniej od Plutona czy Charona. Ekipa od napędu wytworzyła dość antyprotonów, żeby zaopatrzyć w paliwo wszystkie statki z nowymi silnikami - a wystarczy ich z nawiązką, żeby przewieźć wszystkich. Zapewne będą musieli pozostawić niezaadaptowane statki i znaczną ilość sprzętu, wezmą jednak dość, by urządzić sobie nowy dom. Możliwe też, że któregoś dnia będzie można wrócić na Urana i zabrać resztę. Dla Macy sprawa była już pozamiatana, ale wystąpiła kolejna niekończąca się zwłoka - przed kolejnym głosowaniem trzeba było jeszcze przedyskutować wszystkie możliwe szczegóły. Tym razem wygrali znaczną większością. Ekipa od napędu przekonała resztę. Wolni Zewnętrzni pakują się i wylatują na Neptuna.

Przed wylotem należało wymontować z habitatu wszystko co użyteczne, zebrać wszystkie pozostałe zbiorniki z paliwem zgromadzonym przez roboty w atmosferze Urana, przygotować i załadować statki. Macy z resztą grupy od biomu przez większość czasu zbierała plony z hydroponicznych farm, przycinała rośliny i upraszczała ekosystem habitatu, żeby roboty serwisowe miały łatwiej z jego utrzymaniem. Spakowali mchy kawowe i herbaciane, suszone zioła i tyle nasion, ile się dało - o wiele łatwiej i szybciej będzie wyhodować nowe rośliny z nasion niż z kallusów sporządzonych według map genetycznych z biblioteki - reszta jadalnej biomasy poszła jednak do bioreaktorów, bo wożenie jej byłoby marnotrawstwem paliwa.

Macy pracowała z coraz większym żalem. Wiele miłości i trudu poświęciła ogrodowi, pnącym się pod górę po obu stronach walcowatego habitatu - kępom karłowatych iglaków i bambusów, poletkom kukurydzy i ryżu, pędom orzeszków ziemnych wijącym się pomiędzy rzędami bananowców, wielkim zagonem ekspresowca, rośliny opartej na kudzu i skrojonej tak, aby różne odmiany rodziły pomidory lub ogórki, najrozmaitsze fasole i groch, krzewom cytrusowym, winoroślom, oberżynom i cebulom, kuwetom obrośniętym tymiankiem, miętą i pietruszką. Gęsty zielony labirynt, pełen bogatego, obfitego życia. Teraz wszystko to wycięto do zera, zostawiając gołą, pustą ziemię. Kopuły i tipi leżały na ziemi jak pąkle przy odpływie - i widać było jak na dłoni, że habitat to tylko tunel sklecony z kilku walców niewiele większych od kadłuba samolotu transportowego. Że to już nie jest żaden dom.

Zewnętrzni pracowali ciężko, po osiemnastu godzinach na dobę - planowali opuścić Mirandę dziesięć dni przed przylotem statku RTM. Cały czas byli w trakcie, gdy głowica atomowa zniszczyła habitat dawnej komuny na Tytanie.

Statek RTM wystrzelił pocisk, hamując nad Uranem. Okrążył lodowego olbrzyma, zyskując deltę v, spadł prosto na środek Tytana i zdetonował pięćset metrów nad namiotem habitatu, zamieniając go w parę i wytapiając w lodowym regolicie idealnie kolistą, prawie kilometrową nieckę. Jasny przekaz: RTM nie zamierza negocjować ani brać jeńców. Przylecieli zlikwidować gniazdo szkodników.

Wolni Zewnętrzni opuścili więc habitat, zanim nadlatujący statek zdążył wystrzelić kolejne pociski. Pośpiesznie i nerwowo zapakowali się do statków. Ostatnią rzeczą na Mirandzie, którą Macy zdążyła zobaczyć przed przejściem przez służę *Slonia*, były porzucane ozdobne cegły, wyrzucone przez nią i Newta z zewnętrznych ładowni holownika. Żuźlowe bryły, zaśmiecające zdeptany grunt.

Odlecieli bez żadnych formalności, poza skoordynowanym uruchomieniem silników. Osiemnastu statków z napędem na szybkiej fuzji, po nich cztery wolniejsze, niezaadaptowane, maksymalnie wypakowane sprzętem i materiałami budowlanymi. Załogę tych czterech stanowili ochotnicy. Wystartowali z dna głębokiego wąwozu, w którym krył się habitat, oraz z wykopów ukrytych w równoległych szczelinach lub blisko ścian kraterów na równinie i prosto z ciemnej północnej półkuli małego księżycy wzbili się w rozmyty blask Słońca.

Idriss Barr rozesłał do wszystkich krótką wiadomość, mówiącą, że podczas pobytu na Mirandzie stali się pionierami i już zawsze będą pionierami, nigdy uchodźcami. Jednakże, gdy półksiężyc Urana kurczył się za nimi, niktą w rozgwieżdżonej czerni, Macy mimo woli pomyślała, że to nie jest wielka wyprawa i przygoda: to ucieczka. Uciekają, jak króliki rozpierzchające się przed cieniem jastrzębia. Tak czy inaczej, wychodziło na to, że całe życie ucieka. Najpierw z ponurej budowli Kościoła Bożej Regresji, przycupniętej na zapyłonej kansaskiej pustyni, potem ze slumsów Pittsburgha, gdzie na chwilę się zakochała, ale znowu uciekła, żeby zaciągnąć się do Zespołu Rekultywacji i Odbudowy. To zaś zaniósło ją na Jowisza, do Tęczowego Mostu na Kallisto, gdzie wplątała się w paskudną intrygę, sabotaż i morderstwo. Zaalarmowała miejscowych, zdezerterowała, za co w nagrodę zamknięto ją w więzieniu w sztywnym, ciasnym miasteczku, skąd uciekła z pomocą Newta, poleciała z nim na Saturna i do jego rodzinnego domu na Dione. Potem przyszła wojna i znowu uciekli. I proszę, uciekają po raz kolejny.

Obserwatoria na Oberonie, Tytanie i Arielu oraz satelita orbitujący wokół Mirandy transmitowały obraz statku RTM zbliżającego się do Urana: zaobserwowały manewr hamowania atmosferycznego, po którym pozostała

opasująca pół lodowego olbrzyma fioletowa smuga kondensacyjna, potem odrzucenie spalonej osłony ablacyjnej i przejście przez peryapsis Oberona manewrem, który w ciągu sześciu godzin miał spowolnić statek na tyle, by wszedł na równikową orbitę parkingową powyżej pękniętego układu uranowych pierścieni. Statek wystrzelił rój dronów, które rozbiegły się w stronę pięciu największych księżyców, weszły na ich orbity, po czym szybko zlokalizowały i zniszczyły obserwatoria. Satelita krążący wokół Mirandy przesłał atomowe rozbłyski uderzeń w namioty-przynęty ustawione na Oberonie i Arielu. Potem zamilkł. Uciekający Wolni Zewnętrzni nie dowiedzieli się, czy RTM znalazł ich habitat albo poukrywane w jego okolicach statki, albo rozsiane po powierzchni Mirandy małe schroniska. Mieli tylko jedno wyjście: dalej pełznąć w kierunku Neptuna.

\*\*\*

Wyobraźcie sobie Układ Słoneczny jako zegar, ze Słońcem pośrodku i planetami zataczającymi coraz większe kręgi wokół niego, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Niech Uran znajdzie się na godzinie dwunastej, Saturn z boku, po lewej, mniej więcej na dziewiątej, Neptun zaś po drugiej stronie tarczy i Słońca, na wpół do szóstej. Ponad siedem miliardów kilometrów, potężna odległość, której pokonanie zajmie dwadzieścia siedem tygodni nawet statkom z napędem termojądrowym na szybkiej fuzji, nie mówiąc już o nieprzerobionych wahadłowcach, które potrzebowały na to ponad dwóch lat.

Mała flota parła miarowo naprzód. Zostawiając za sobą puste zbiorniki paliwowe, wydostawała się ze studni grawitacyjnej Urana. W końcu wyłączyli silniki i zaczęli swobodnie spadać, znikome, ledwie widoczne pyłki w wielkim oceanie nocy.

Większość ludzi przesypiała podróż. Zewnętrzni byli zdolni do zapadania w głęboki, przypominający hibernację sen, spowalniający puls, oddech i metabolizm, tak że w ciele tliła się tylko iskierka świadomości, pozwalająca na obudzenie się w ciągu paru minut. Macy przeszła wprawdzie retrowirusową kurację, przystosowującą ją do niesprzyjających warunków mikrociężenia, ale modyfikacja pozwalająca na hibernację była bardziej radykalna - to nie było tylko parę regulujących genów - spała więc w trumnie, takiej samej jak wtedy, gdy pierwszy raz wypuściła się z Ziemi na Jowisza, schłodzona do minus czterech stopni, na granicy życia i śmierci.

Przebudzenie było powolne i bolesne. Przez moment była świadoma, że wykastuje wypełniające płuca różowe fluorokrzemiany, po czym znowu straciła przytomność. Gdy obudziła się znów, ślepa, targana mdłościami i prawie sparaliżowana - najgorszy kac we wszechświecie - powoli dotarło do niej, że znajduje się w kokonie wiszącym w rogu kabiny *Słonia*. Ktoś



podpłynął do niej. Newt, mówił coś, czego nie rozumiała. Słowa, które były tylko szumem, zagubionym w ogłuszającym dudnieniu w głowie. Zasnęła i obudziła się ponownie, czując ból przenikający do szpiku kości, żołądek zaciśnięty i pusty, jelita wydęte przez pięćdziesiąt kilogramów betonu.

Wciąż była zapięta w kokonie. Perystaltyczna kroplówka wpuszczała jej czysty płyn odżywczy do żyły na lewym nadgarstku. Kabina była pusta, oświetlona słabym czerwonym światłem. Silnik *Słonia* mruczał uspokajająco, dając jakieś 0,1g w stronę rufy. Macy odpięła kroplówkę, rozpięła kokon i przekoziółkowała po miękkiej podłodze; musiała zebrać wszystkie siły, żeby zawlec obolałe ciało w górę po szczeblach, do bąbla sterówki, który prawie w całości zajmowały leżanki przeciążeniowe Newta, Ziffa Larzera i Herschela Wu.

Newt zaczął wstawać, ale Macy przykuśtykała do niego, klęknięta i objęła go, wdychając znajome ciepło i zapach.

- No cześć - powiedział. - Jak się czujesz?

- Żyję. Chyba. Mniej więcej.

- Nie powinnaś wstawać.

- To co mam robić, z powrotem spać? Już za długo spałam. - Macy przybiła zółwika Ziffowi Larzerowi i Herschelowi Wu, po czym dodała: - Jeszcze żyjemy, więc chyba RTM nas nie przechwytywał, co?

Trójka mężczyzn spojrzała po sobie.

Po kręgosłupie Macy przebiegł zimny prąd.

- Coś się stało - stwierdziła.

Ziff Larzer powiedział:

- Mamy dobre wiadomości, złe wiadomości, i takie, że nie wiadomo.

Herschel Wu zakręcił palcami w powietrzu; memoprzestrzeń przed leżankami otworzyła się i wyświetliła kurs, idący krzywą pomiędzy orbitami księżyców wokół wielkiej planety, pełen poopisywanych punktów pośrednich. W połowie mrugał koralik.

- Jesteśmy około stu tysięcy kilometrów od Neptuna, niedługo kończymy impuls ciągu, który wstawi nas na orbitę.

- Wokół Trytona czy Neptuna? Myślałam, że lecimy prosto na Trytona? - pytała Macy.

W rogu memoprzestrzeni wisiał teleskopowy widok połówki Neptuna. Ciemniejszy niebieski niż na Uranie, na nim wyraźne pasma. Blade, wydłużone pasemka chmur. Nad równikiem, tuż przy rozmytej linii terminatora, wznosił się mały czarny punkt ciągnący za sobą pierzaste czarne chmury. Lodowego olbrzyma opasywały jasne kręgi dwóch wyraźnych pierścieni, a poza nimi wisiał maleńki punkcik - Tryton, największy księżyc Neptuna, ich nowy dom.

- Jest drobny problem - powiedział Newt.

- To jest ta zła wiadomość?

- Zła wiadomość jest taka, że straciliśmy część ludzi - rzucił Ziff Larzer.

- Nieprzerobione promy - dodał Newt. - RTM ostrzelał je pociskami. Głowicami atomowymi.

Macy poczuła, że lodowacieje jej cała skóra. Przez moment miała wrażenie, że świat wokół się zapada. Znała wszystkich ludzi, którzy zgłosili się do promów na ochotnika. Myk Thorne, Tor Hertz, Darcy Dunnant, Hamilton Browne... Szesnaścioro ludzi. Wszyscy zginęli.

Newt obserwował ją z lekkim niepokojem; powiedziała mu, że wszystko z nią dobrze. Odparł, że do tego jeszcze daleko.

Ziff ustąpił jej leżanki. Przekonali Macy, żeby się na niej położyła. Przyjęła od Herschla Wu woreczek letniej herbaty miętowej, według niego, cudownego panaceum na wszelkie choroby.

- Nie jestem chora, tylko jeszcze trochę nieżywa - powiedziała Macy, ale upiła łyk herbaty i faktycznie poczuła się trochę lepiej. Na tyle silna, żeby zapytać o trzecią wiadomość.

- Chodzi o nasz cel podróży. Jest drobny problem.

- Duży problem - odparł Herschel Wu.

- Na Trytonie już mieszkają ludzie - dodał Ziff Larzer.

- I to źle? - zapytała Macy.

- To Duchy - wyjaśnił Newt.

# CZEŚĆ III

Zmiana warty

# ROZDZIAŁ 1

- Tyle czasu - powiedział Frankie Fuente Cashowi Bakerowi - a ty dalej się nie nauczyłeś, jak się wyluzować.

- Jestem wyluzowany, jak nie wiem - odparł Cash. - Może powinieneś pstryknąć zdjęcie, żeby ci przypominało, jak wygląda wyluzowanie.

- To jest przeciwieństwo wyluzowania. Jesteś tak spięty, że można by cię przyczepić do deski za głowę i nogi i grać na tobie melodię. I wiesz co? Cały czas tak masz.

Obaj pławili się w basenie z niewidocznym brzegiem, po pierś w ciepłej, czystej wodzie; oparci łokciami o gładki beton, podziwiali zrekonstruowany las tropikalny ciągnący się po horyzont pod lakierowanym na błękitno niebem, przebitym dokładnie w zenicie rozpalonym gwoździem Słońca. Za nimi znajdował się kamienno-szklany spodek rezydencji gubernatora ziem rodziny Bernal, ustawiony pomiędzy wypielęgowanymi trawnikami i klombami pełnymi tropikalnych roślin. Za parę godzin Cash i Frankie spotkają się z gośćmi na przyjęciu koktajlowym, na którymś z tych obszernych tarasów, a potem wygłoszą krótkie mowy o swojej roli w Cichej Wojnie, o planach odbudowy, o możliwościach, jakie otwierają zasoby wiedzy Zewnętrznych oraz ich umiejętności artystyczne, naukowe i inżynierskie.

Cash Baker był autentycznym bohaterem wojennym, dzielącym teraz swój czas pomiędzy nauczanie kadetów w akademii w Monterrey oraz propagandowe objazdy - pogadanki w szkołach, na uczelniach, na wiecach, wizyty w instytutach naukowych, stoczniach, fabrykach, wytwórniach broni, wspierających i zaopatrujących Siły Obrony Powietrznej na Jowiszu i Saturnie, przypochlebianie się członkom wielkich rodów, dominujących na scenie politycznej i gospodarczej Wielkiej Brazylii. Nie było to złe życie. Nauczanie kadetów było pożyteczne i Cash bardzo się do tego przykładał. Promocja działań na Jowiszu i Saturnie też była ważna, a w dodatku zadziwiająco łatwa. Czerpiąc z pokładów swojego niewyrafinowanego teksańskiego wdzięku, oczarowywał gospodarzy i gości, dodatkowo, przed wyruszeniem w pierwsze propagandowe tournée przeszkolono go z publicznych wystąpień oraz niuansów savoir-vivre'u, od sposobu jedzenia ostryg aż po poprawną formę zwracania się do żony zagranicznego ambasadora.

Zalety trudno było zliczyć. Zatrzymywał się w domach najlepszych ro-

dów i najelegantszych hotelach w Wielkiej Bryzylji, zaznawał wszelkjh moŝliwych luksusów, poznawał sławnych i waŝnych ludzi. Objechał nawet Unię Europejską, odwiedził Paryŝ, Rzym, Berlin, Moskwę...

Jemu jednak na tym nie zaleŝało. Chciał tylko wróció do pracy, na którą zasłuŝył sobie nauką, cięŝką pracą i koncentracją całego danego mu przez Boga talentu - do latania w misje bojowe solówką J-2. Do tego się urodził. Do tego go stworzono, po to wszczepiono mu sieć neuronową pozwalającą łączyó się bezpoórednio z samolotem. Stapiaó się z nim. I choó wiedział, ŝe ta część jego ŝycia dobiegła końca, tęsknił za nią kaŝdego dnia.

Fizycznie wydobrzał niemal w stu procentach, jeŝli nie liczyó nieco słabszej jednej strony ciała i delikatnego, niemal niezauwaŝalnego utykania. W głowie jednak nie wszystko było w porządku. Odłamek przebił mu mózg. Tunel wryty w delikatnym, misternym lesie juŝ zarósł, jednak w pamięci wciąż ziało pełno dziur - z misji, w której omal nie zginął, nie pamiętał prawie nic, tak jak właóciwie z całej ekspedycji do układu Saturna. Mimo szprycowania się koktajlem z psychotropów, cierpiał na silne wahania nastrojów. Nagle w trakcie jakiegoó najzupełniej rutynowego zajęcia, przygotowywania odczytu, czyszczenia butów, wzrok mu się zamazywał i czuł wilgoó na policzkach - łzy, durne łzy. Albo podczas bankietu: spokojnie sobie jadł i nagle musiał walczyó z nagłą chęcią, ŝeby złapaó talerz i rzució nim w goócia naprzeciwno albo dŝgnąć siedzącego obok nudziarza widelcem, ŝeby tylko się, kurwa, zamknął. Albo, i to było najgorsze, cały ówiat nagle robił się płaski, jakby wyprano go z koloru i sensu, zostawiając tylko nędzne namiastki prawdziwych rzeczy, ludzi jak niezdarne roboty, białkowe kukielki pluające banalnym bełkotem.

Powiedziano mu, ŝe powinien się spodziewać nagłych wahnień swojej pogody ducha - labilnoó emocjonalna często zdarzała się u ludzi dochodzących do siebie po powaŝnych urazach głowy. Ale nikt nie uprzedził go, ŝe będzie czuł tę płaskoó ówiata, to odrealnienie, gorsze niŝ jakakolwiek depresja czy rozpacz. Znosił ją w milczeniu, myóśląc, ŝe to typowe dla wariatów, a nie chciał zostaó wariatem, bo wtedy w ŝyciu go nie dopuszczą do solówki czy jakiegokolwiek innego pojazdu latającego, choóby był nie wiem jakim bohaterem wojennym. Dlatego przy comiesięcznych spotkaniach z psychologiem nie zająknał się o tych atakach ani słowem, nie powiedział o nich swojemu najlepszemu kumpłowi Luizowi Schwarczowi, gdy ten przyleciał na Ziemię na krótki urlop. Starał się jak mógl zataić to przed swoimi opiekunami oraz towarzyszymi z propagandowych tournée, czyli innymi bohaterami wojennymi.

Frankie Fuente, z którym teraz jeŝdził, był pogodnym cynikiem, który twierdził, ŝe bierze ówiat, jakim jest, i niczego nie zakłada, ŝeby się później nie dziwió i nie rozczarowywać. Potężny facet, o szarawej cerze i przyjaznym usposobieniu, po wypadku awansował z młodszeo sierŝanta na

porucznika i został wysłany na propagandowy objazd. Przez ostatnie trzy miesiące zaprzyjaźnili się. Obaj trafili do Obrony Powietrznej, żeby uciec z biednych jak slums miast, w których się urodzili - Cash we wschodnim Teksasie, Frankie na suchych pustkowiach brazylijskiego stanu Piauí, gdzie drzewa Lacknera\* wychwytywały z atmosfery dwutlenek węgla, a sępy fruwały na jednym skrzydle, żeby drugim móc się wachlować - tak tam było, kurna, gorąco.

\* Drzewo Lacknera - wymyślone przez prof. Klause Lacknera „syntetyczne drzewa” - urządzenia wychwytyjące CO z atmosfery (przyp. tłum.).

Propagandowa legenda Frankiego głosiła, że stracił obie ręce przy próbie rozbicia bomby-pułapki, przyczepionej przez sabotażystę Zewnętrznych do gigu. Naprawdę zaś, jak to wyznał podczas pewnego pijackiego wieczoru, zaraz na początku ich wspólnego tournée, naćpany po uszy trzema plastrami z klotrazepamem, pracując w warsztacie remontowym na *Dumie Gai*, przypadkowo włączył nóż wodny i obciął sobie obie ręce powyżej łokci. Miał teraz protezy. Falszywą protezę, zasłaniającą nową, żywą, odrastającą z kikuta i prawdziwą, zastępującą mu prawą rękę. Ta druga, spleciona z fullerenowych włókien i pokryta półżywą skórą, potrafiła się zginać jak wąż, a po zdjęciu ruszała się sama z siebie, odpychała się palcami dłoni, chowała się w ciemnych kątach, a także, jeśli wierzyć Frankiemu, doprowadzała w łóżku do szaleństwa jego przyjaciółeczki.

Prawdziwa i fałszywa proteza opierały się teraz, splecione, o mokry beton brzegu basenu, na nich leżał podbródek, a reszta Frankiego unosiła się na wodzie. Powiedział:

- Leżysz tu sobie, widok masz, że zielony święty by się zesrał, jesteś w domu u człowieka tak bogatego i potężnego, że ma, sam se policz, nie dwójkę, nie trójkę, ale czwórkę dzieci. A ciebie to nie cieszy, nic a nic, bo myślisz o swoim odczycie. Który, jak się zdaje, wygłaszałeś już chyba z pięćdziesiąt razy.

- Tak szczerze, to patrzyłem na tego ptaka, co tam lata - odparł Cash.

Ptak był wielki, pewnie jakiś gatunek orła, czy coś, odcinał się na tle błękitnego nieba, krążąc w prądzie wznoszącym. Cash zastanawiał się, jak by to było: lekko i beztrudnie wiesz w powietrzu, serce szybko bije w klatce z pustych kości, pompując gorącą krew, potężne skrzydła rozpostarte, macając powietrze wielkimi lotkami, wzrok tak ostry, że widzi mysz z wysokości dwóch kilometrów. Ostatnio pozwalali mu pyrkać po niebie w małym, jednosilnikowym, dwumiejscowym samolociku szkoleniowym, tyle miał teraz styczności z lataniem, a kiedyś przecież szybował jak ten orzeł...

Frankie odwrócił głowę do Casha i powiedział łagodnym tonem:

- Cały dzień jesteś w złym humorze, a teraz wchodzisz w humor, którego zawsze dostajesz przed występem. W ogóle by mi nie przeszkadzało, że nie umiesz się wyluzować, tylko że mnie to też nie pozwala się wyluzować

przy tobie.

- Panie poruczniku, udzielam pozwolenia na wyluzowywanie się gdzie indziej.

- Wy, piloci, wszyscy jesteście tacy sami - powiedział Frankie. - Zawsze skupiacie się tylko na następnym kroku. No, może jeszcze jednym, ale nic ponadto.

- Jak chcesz przeżyć w walce, to nie masz innego wyjścia.

- No może, ale ty masz tak cały czas. Siedzisz i rozmyślasz o tym występie, chociaż to nic wielkiego. Bo dla ciebie wyjść i gadać to za mało. Ty musisz za każdym razem zrobić to najlepiej jak można.

- Lepiej tak, niż spierdzielić sprawę.

Frankie uśmiechnął się. Na potężnym czole i ogolonej czaszce, na czarnej skórze perlił się pot.

- I właśnie w tym jest, jak to mówią, sęk. Że ty w ogóle nie widzisz, nie dociera do siebie, że tej sprawy w ogóle nie da się spierdzielić. Wygłaszasz najlepszą mowę w życiu, goście pławią się w aurze twojej męskiej odwagi i oklaskują twoją sprawność i wdzięk pod presją. Albo wypadasz najgorzej w życiu, a goście i tak klaszczą, a w dodatku im ciebie żal, bo widać, jaki jesteś rozpiędotony po tym, co przeżyłeś na wojnie. Chodzi o to, że ta sprawa jest stuprocentowo nie-do-spier-dzie-le-nia.

Cash wiedział, że Frankie Fuente miał rację, ale po prostu nie był w stanie nie dać z siebie wszystkiego. Zatem wieczorem, odziany w wyprasowany błękitny mundur i wyglansowane czarne oficerki, z rzędem niezasłużonych medali na piersi i czapką pilota pod prawą pachą, gawędził z członkami rodu Bernal, przemysłowcami i ich niesamowicie pięknymi żonami oraz garstką wysokich urzędników państwowych, a potem wygłosił swoją mowę, z idealną precyzją rozkładając kluczowe akcenty. Opowiedział o tym, jak został ranny, kiedy próbował zmienić kurs odłamka lodu wycelowanego w bazę na jednym z księżyców Saturna, opisał szybkie i druzgocące zwycięstwo w Cichej Wojnie, wyjaśnił, że koszt prowadzenia wojny na Jowiszu i Saturnie zwróci się dzięki wykorzystaniu umiejętności, techniki i bazy wiedzy Zewnętrznych i przypomniał publiczności, że przemysł kosmiczny jest kluczowy dla bezpieczeństwa Wielkiej Brazylii oraz zdrowia Ziemi. Orbitalne zwierciadła znacząco przyczyniły się do złagodzenia globalnego ocieplenia - skutku potężnych ilości energii cieplnej wpompowanej w ziemskie systemy pogodowe w XX i XXI wieku. A wyprowadzenie przemysłu poza Ziemię, eksploatacja surowców z asteroid oraz księżyców Jowisza i Saturna, do spółki z wykorzystaniem skarbu nowych technologii Zewnętrznych, umożliwi przywrócenie ziemskim łądom i oceanom dziewiczego stanu i uczynienie planety na nowo przedindustrialnym rajem. Kiedy kończył, głos wznosił mu się w niebo jak orzeł, dokładnie tak, jak go uczono.

- Człowieku, ja nie mam pojęcia, czemu się tak zawsze spinasz - powie-

dział mu potem Frankie. - Ty masz wrodzony talent.

- Na moje oko wypadłem gdzieś na siedem i pół z dziesięciu punktów. Dałoby się dużo lepiej.

Następnego dnia dwaj bohaterowie polecili konwertoplanem do Caracas, gdzie odbębnili swój występ na wielkim bankiecie, przed tysiącem miejscowych znakomitości w ociekającej złotem marmurowej sali, tak wysokiej, że wydawało się, że ma własną pogodę. Jednakże wśród elegancji publiczności czuło się jakiś dziwny, podskórny nurt. Przychodzili i wychodzili żołnierze i adiutanci, grupki mężczyzn rozmawiały przyciszonymi głosami, a potem w połowie imprezy jej gospodarz, Euclides Peixoto, obwieścił nagle, że wzywają go do Brasillii, ale ma nadzieję, że pod jego nieobecność wszyscy nadal się będą świetnie bawić. Cash i Frankie odegrali swój numer, oklaski były jednak wątle i wymuszone, a potem impreza natychmiast się zakończyła.

Frankie zorganizował dwie kobiety chętne, żeby zasmakować aury męskości, odwagi i męstwa autentycznych bohaterów wojennych. Cash obudził się o świcie z kapciem w ustach i panicznym biciem dzwonu w głowie. Usiadł, serce mu waliło, po bokach płynął pot. Śpiąca obok zgrabna młoda dziewczyna westchnęła i zakopała się głębiej w jedwabną pościel. Chwilę później do pokoju zajrzał przez wspólny balkon Frankie Fuente i kazał mu wyłazić z betów.

- Co się dzieje?

Frankie był goły do pasa i jednoręki, białe szorty kontrastowały z czarną skórą.

- Historia się dzieje, panie kapitanie. Sam chodź zobacz.

Cash zerknął z balkonu na siatkę ulic, olbrzymie bloki mieszkalne i farmy wieżowe. Wszystko szare w chłodnym przedświcie. Tu i ówdzie unosiły się słupy dymu. Piskliwie wyły syreny. Policyjne drony śmigły przez głębokie cienie pomiędzy blokami i wieżami; policyjne helikoptery terkotały ponad dachami.

- Co to ma być, jakieś rozruchy głodowe? - zapytał, ale Frankie już wszedł przez wydetą białą firankę do swojego pokoju. Poszedł za nim.

Frankie klęczał przy łóżku i szukał pod nim prawdziwej protezy. W kącie pokoju jarzyła się memoprzestrzeń, pokryta kafelkami kanałów informacyjnych. Cash przyglądał się im przez chwilę, po czym zapytał:

- Umarła?

Frankie wstał, trzymając wijącą się prawą rękę w krótszej i chudszej lewej.

- Tak mówią.

- Poznałem ją w zeszłym roku - dodał głupio Cash.

Frankie podłączył wijącego się węża do kikuta. Ręka zeszywniała, zgiął ją w łokciu, i prosię: oto jest prawa ręka. Codzienna magiczna sztuczka,



zawdzięczana technologii Zewnętrznych.

- Ja też ją poznałem. Wszyscy bohaterowie wojenni się z nią kiedyś spotkali. Ale chyba kontakt z taką ilością aury męskości to było za mało, żeby ją uratować.

Wszystkie kanały informacyjne powtarzały to samo. Zmarła Elspeth Peixoto, prezydent Wielkiej Brazylii. Umarła we śnie wczoraj wieczorem, informacji nie przekazano jednak, póki nie zostali zawiadomieni wszyscy członkowie rodziny. Piastowała urząd prezydenta przez ponad sześćdziesiąt lat. Miała sto dziewięćdziesiąt osiem lat.

Cashowi przypomniał się Euclides Peixoto wczoraj wieczorem, parę zdań wygłoszonych w pośpiechu i szybki wyjazd.

- No, to chyba koniec naszej małej wycieczki.

Przyglądali się mozaice gadających głów i archiwalnych nagrań pokazujących Elspeth Peixoto w kolejnych latach.

- A pamiętasz, jak umarł jej mąż? - zapytał Frankie.

- Leciałem w pożegnalnym przelocie.

- Pierdzielisz.

- Przysięgam na Boga i Gaję. Był głównodowodzącym Sił Obrony Powietrznej. Przelecieliśmy na jego cześć nad katedrą w Brasiliu w szyku „czterech palców”.

- A pamiętasz, jak po pogrzebie wszystko stanęło na dwa miesiące?

- Nie bardzo. Byłem wtedy na Księżycu.

- To teraz będzie to samo, tylko dziesięć razy gorzej.

Frankie poszedł do łazienki. Gdy wrócił, przyciskał do piersi ręczniki, buteleczki szamponów i innych kosmetyków. Wepchnął wszystko do torby i zaczął grzebać w szufladach toaletki, wysypując wszystko na łóżko. Cash zapytał, co właściwie robi, a Frankie powiedział, że może już nie będzie miał okazji robić za bohatera wojennego, więc lepiej od razu zabrać, co się da.

- Ten objazd na sto procent nam przerwą - powiedział Cash. - Ale jak się wszystko uspokoi, zaraz będzie kolejny.

- Panie kapitanie, tu jest potrzebny ogląd sytuacji. Z lotu ptaka. Zapomnij o swoim tunelowym widzeniu pilota. Zastanów się, co to wszystko znaczy. Peixotowie to główni zwolennicy powrotu w kosmos, kolonizacji Księżyca, ekspansji dalej w Układ Słoneczny. Chcieli się dogadać z Zewnętrznymi, a kiedy nie wyszło, rozpoczęli wojnę. Jasne, inne rody też się włączyły, potem Europejczycy, a na koniec i Pacyfiki, bo nie chcieli przegapić okazji. Ale bez Peixotów do niczego takiego by nie doszło - stwierdził Frankie. Składał prześcieradło w ciasną kostkę. - A pani prezydent, wieczne jej odpoczywanie w Bogu i Gai, była z Peixotów. Rządziła przez sześćdziesiąt lat. Teraz wszystkie rody zaczną się pchać na szczyt. Będzie zamieszanie, wszystko się zmieni, i dopóki to się będzie działo, bohaterowie wojenni nie będą nikomu potrzebni. Wypadamy z gry, panie

kapitanie. Mówiłem ci, że tego się nie da spieprzyć? Myliłem się. My nie mogliśmy, ale teraz się spieprzyło. A ty co myślisz o tym obrazku?

- Na pewno nie będzie aż taki mroczny, jak ty go namalowałeś.

- O tym obrazku, nad łóżkiem. U mamy na ścianie będzie pasował. Chodź no, przytrzymasz mi - rzucił Frankie, wyciągając z kieszeni torby scyzoryk - a ja go wytnę z ramy.

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy po sieci RTM rozeszła się fala wieści o śmierci prezydenta Wielkiej Brazylii, Loc Ifrahim był na orbicie nad Dione, w swojej stoczni rozbiórkowej. Był to szok, ale nie niespodzianka. Pani Peixoto miała prawie dwieście lat i była już nieco zdziecinniała. Nigdy też nie doszła do siebie po śmierci męża. Mimo to, i tak była liczącą się siłą. Powstała próżnia i teraz rozmaite alianse wielkich rodów kombinowały, jak tylko mogły, żeby ją zaraz po oficjalnym pogrzebie wypełnić. Loc zaczął kalkulować, co to oznacza dla RTM. Co może oznaczać dla niego.

Przez kilka dni nadchodziły informacje o zamieszkach w co większych miastach, wznowieniu walk z dzikimi osadnikami na niezrekultywowanych pograniczach, o rozruchach nacjonalistycznych, szczególnie na terenach dawnych Stanów Zjednoczonych, gdzie ruch niepodległościowy zwany Jeźdźcami Wolności zaczął domagać się natychmiastowej secesji z Wielkiej Brazylii. Były to jednak drobne problemy i władze nie były skłonne do ustępstw. Nie doszło do rewolucji ani do zamachu stanu. Armand Nabuco, wiceprezydent, od dawna rządzący zza tronu, księżę ciemności, który zbudował sobie własną służbę bezpieczeństwa, Biuro Służb Strategicznych oraz kontrolował kilka rządowych urzędów niepodlegający nadzorowi żadnej senackiej komisji, został p.o. prezydenta do czasu wyborów.

Jasno dał do zrozumienia, że popiera dalszą okupację Układu Zewnętrznego, jednak sześć dni po prezydenckim pogrzebie, gdy Wielka Brazylia oraz kontrolowane przez nią księżycy w układach Jowisza i Saturna nadal pogrążone były w żałobie, dwa okręty opuściły orbitę Saturna i poleciały na Ziemię - ogłoszono, że generał Arvam Peixoto został awansowany i wraca do Wielkiej Brazylii, a wojskowe władze stanowiące gros brazylijskiej obecności w układzie Saturna zastąpi cywilna administracja pod wodzą Euclidesa Peixoto.

Natychmiast po tym obwieszczeniu, generał i jego sztab wycofali się ze wszystkich oficjalnych obowiązków i uczestnictwa w komisjach. Według oficjalnej linii przygotowywali się do przekazania władzy, pojawiły się jednak liczne plotki, że agenci Biura Służb Strategicznych wzięli ich zaskoczenia, trzymali w areszcie domowym do czasu ustąpienia, a oni sami nie śmieli czegokolwiek przedsięwziąć, bo ich rodziny na Ziemi wzięto jako zakładników.

Fundament dla szybkiego i bezlitośnie skutecznego ukręcenia głowy rządowi Arvama Peixoto ewidentnie był położony na długo przed śmiercią pani prezydent. Wiele osób sądziło, że jej śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, lecz była punktem kulminacyjnym misternego planu przejścia władzy. Loc Ifrahim tak nie uważał. Armand Nabuco miał już tyle władzy, ile chciał, a w dodatku mógł działać dyskretnie pod osłoną uwielbianej przez lud figurantki, nad którą miał całkowitą kontrolę. Nie, on na pewno nie odpowiadał za jej śmierć, za to dobrze przygotował się na uciszenie lub zastraszenie potencjalnych rywali po jej śmierci, żeby móc zachować skorpioną przez tyle lat władzę. A Arvam Peixoto musiał być wysoko na jego liście. Po wygraniu Cichej Wojny generał urósł w polityczną siłę, a w dodatku mianował się niezależnym graczem, kiedy wbrew wyraźnym instrukcjom brazylijskiego senatu i głównodowodzącego armii, wysłał statek na Urana, żeby odnalazł i zneutralizował element wywrotowy, niszcząc cztery statki i kilka habitatów, a nieznaną liczbę ocalałych wypędzając głębiej w mrok Układu Zewnętrznego.

Sprawy przybrałyby może inny obrót, gdyby ta karna ekspedycja zakończyła się fiaskiem, tak jednak udowodnił, że jest zbyt dobrym dowódcą i zaczyna się robić zbyt niezależny. Stał się ofiarą własnego sukcesu i Armand Nabuco przywołał go do porządku. Teraz Loc i całe brazylijskie siły okupacyjne zastanawiały się, co się z nimi stanie, kiedy dowodzenie przejmie Euclides Peixoto. Spodziewano się, że usunie wszystkich podejrzanych o lojalność wobec zdymisjonowanego generała, ale nikt nie wiedział, jak głębokie i szerokie będą czystki ani co się stanie o osobami uznanymi za niegodne zaufania Euclidesa.

Loc cieszył się teraz, że generał nie nagroził go za schwywanie córki Avernus; cieszył się, że skończyło się źle i musiał wrócić na niskie, upokarzające stanowisko; cieszył się, że po pierwszej zniewadze ze strony generała był na tyle przewidujący, żeby nawiązać kontakt z Euclidesem, sprzedać mu parę plotek i wyświadczyć kilka drobnych przysług.

Zatem w sumie uważał, że na śmierci pani prezydent może znacząco skorzystać. Tak jak wszyscy, podpisał deklarację lojalności zarówno wobec p.o. prezydenta, jak i Euclidesa - i teraz mógł tylko liczyć, że nie ściągnie na siebie uwagi BSS. Dał swoim Zewnętrznym kontaktom sygnał, żeby siedzieli cicho, póki wszystko się nie uspokoi, i sam też postanowił nie rzucać się w oczy, trzymać się z dala od Paryża i grać na zwłokę. Dyskrecja przede wszystkim.

Potem, niecały tydzień przed planowanym przylotem okrętów z Ziemi, generał Arvam Peixoto wezwał go do siebie.

Loc stwierdził, że nieusłuchanie będzie gorsze od posłuszeństwa, a poza tym będzie mieć okazję spojrzenia z bliska na upadek generała. Może dowie się czegoś przydatnego. Mimo to czuł zimne dreszcze, jadąc do habi-

tatu-ogrodu, niegdyś własności klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff, który teraz tylko z nazwy nie był więzieniem. Jakby wchodził w paszczę potwora, który może połknąć go na jeden raz i wypluć kości.

Przybył do rezydencji w habitacie punktualnie, ale przez ponad godzinę kazano mu antyszambrować. Patrzył na wchodzący do wielkiej sali personel wojskowy i cywilny. W końcu kapitan BSS, groźna młoda kobieta ubrana w elegancką szarą bluzę mundurową, bryczesy i wyglansowane na lustro oficerki, podeszła do niego i powiedziała, że zabiera go do generała. Loc nie odważył się o nic zapytać, gdy wyprowadziła go z rezydencji w labirynt trawników, ogrodów i sadów. Poruszała się niezdarne wzdłuż siatki lin bezpieczeństwa, ewidentnie nieprzyzwyczajona do mikrogravitacji - on skakał koło niej jak tubylec, a żołądek ścisnął mu niepokój.

Generała zastali na skraju okrążającego habitat leśnego pasa, w towarzystwie paru oficerów lotnictwa i syna Sri Hong-Owen, Berry'ego. Loc rozpoznał wśród oficerów kapitan Neves, kobietę, która pomogła mu złapać córkę Avernus i awansowała za to do sztabu generała. Za tą grupką, w wysokiej trawie, pod olbrzymimi kasztanowcami pasło się parę karłowatych krówek wielkości dużego psa, z gęstym kasztanowym futrem i zgiętymi pod kątem prostym rogami.

Arvam Peixoto miał chyba dobry humor - powiedział Locowi, że się spóźnił i prawie przegapił wszystko najlepsze. Kazał podać sobie broń. Jeden z oficerów podał mu starożytny, ładowany od przodu karabin z długą lufą i misternymi wyłobieniami na okuciach kolby. Generał przyklęknął na jedno kolano i pokazał Berry'emu jak go załadować, a była to zawila ceremonia, obejmująca dmuchanie w lufę, żeby ją zwilżyć, sypanie prochu przez rurkę i ubijanie go wyciorem, wsunięcie okrągłej kuli zawiniętej w kawałek szmatki, znowu ubijanie i na koniec odwiedzenie kurka i założenie spłonki na jego iglicę. Potem poprosił chłopaka, żeby wybrał cel. Berry wczuł się w rolę, wskazał na jedną krowę, potem kolejną, zmarszczył się w skupieniu, wreszcie zdecydował się na jedną stojącą prawie na drugim końcu stada. Urósł, odkąd Loc go ostatni raz widział; był z dziesięć centymetrów wyższy i co najmniej dwadzieścia kilogramów cięższy, nadal jednak emanował tym samym ponurym, tępym uporem i prostackim cwaniactwem.

Generał osłonił oczy ręką i przyjrzał się krowie.

- Wybrałeś, bo najlepiej ci pasuje, czy dlatego, że jest najdalej? - zapytał.

- Wiem, że się panu uda - odparł Berry.

Uśmiechnęli się do siebie. Generał zadowolony, że może się popisać talentem, dzieciak podekscytowany. Obaj mieli na sobie błękitne mundury.

Generał dał Berry'emu do potrzymania karabin i pociągnął solidny łyk z manierki. Otarł usta wierzchem dłoni, manierkę zakręcił i przypiął do pasa, wziął broń i oparł się o pień drzewa. Zerknął na Loca i wyjaśnił, że w słabym

ciążeniu odrzut to wielki problem - może człowieka przewrócić do tyłu, albo wyrzucić w powietrze, tak czy owak pudłuje się wtedy o kilometr.

- A to niedopuszczalne prawda? Kto wie, w co albo w kogo bym wtedy trafił - dodał. Przyłożył kolbę do ramienia i niespiesznie wycelował.

Berry stał blisko niego, zagryzając zębami dolną wargę. Oczy mu błyszczały, gdy z wielkim skupieniem obserwował małą, kudłatą krowkę, która, nie wiedząc o niczym, skubała trawę, idealnie podświetlona snopem światła z żyrandola, przeświecającym przez korony wielkich drzew.

Padł strzał. Był absurdalnie głośny. Ze wszystkich drzew zerwały się ptaki, bydło się rozpierzchnęło, z zadziwiającą gracją pochowawszy się głębiej w lesie. Została tylko krowa, którą wskazał Berry; leżała w wysokiej trawie, trafiona w serce.

Berry zaśmiał się chrapliwie i klasnął w dłonie z zachwytem.

- Zabił ją pan!

- Idziemy, zobaczymy - powiedział generał. Oddał karabin któremuś z oficerów.

Loc i cała reszta ruszyli za nim przez gęstą trawę, przestępując z palców na pięty, Berry zaś popędził przed nimi, okrążył trafioną krowę, nieufnie dotknął jej boku i odskoczył, kiedy drgnęła i tubalnie westchnęła.

- Nie jest zabita!

- Jest, jest - zapewnił generał. - Tylko jeszcze o tym nie wie. Coś jak Zewnętrzni, nie, panie Ifrahim?

- Istotnie, panie generale.

Krowa uniosła powiekę wilgotnego brązowego oka, na wpół zasłoniętego firanką brązowych rzęs i spojrzała na Arvama Peixoto siadającego jej okrakiem na szyi. Generał odpiął guzik pochwy na udzie i wyciągnął zakrzywiony nóż z kościaną rękojeścią. Ucałował ostrze, chwycił zwierzę za krzywy róg, zadarł mu głowę i przeciął napiętą skórę na szyi. Krew z rany popłynęła obfitą czerwoną strugą na zdeptaną trawę, brudząc kolana wojskowych spodni klęczącego obok Berry'ego, który gapił się w krowie oko, jakby chciał zajrzeć przez niezogniskowaną źrenicę do umysłu i ustalić chwilę, w której gaśnie życie. Generał zanurzył palec w kałuży krwi, chwycił Berry'ego za ramię, przyciągnął do siebie i przeciągnął palcem po jego czole, do nosa. Powiedział, że następnym razem jemu przypadnie zaszczyt zabicia zwierzęcia. Klęczeli skapani w snopie światła z żyrandola niczym herosi z pradawnej opowieści.

Loc mimo woli zastanawiał się, czy to przedstawienie było przeznaczone dla chłopca, czy dla niego. Wtem Berry parsknął krótkim, chrapliwym śmiechem, wyrwał się generałowi i pogonił za krowami, sadząc radosnymi susami prawie pod strop habitatu, schodzący skośnie tuż nad korony drzew.

Kapitan Neves poszła za nim, miarowym i stanowczym krokiem, generał zaś powiedział Locowi, że postanowił do odlotu rozprawić się z całym

stadem.

- Pozbawienie Euclidesa źródła soczystych steków to drobna przyjemność, ale przyznam, że bardzo w niej gustuję. Dobrze się tu sprawiliśmy, prawda, Loc? Gdyby nie okoliczności, dokonalibyśmy jeszcze dużo więcej, nie?

- Absolutnie tak, sir.

- A co sądzisz o Berry'm?

Różnobarwne spojrzenie generała - jedno oko piwne, drugie bladoniebieskie - było niepokojące. W oddechu czuć było brandy.

- Dorasta - odpowiedział Loc.

- Miał ciężkie dzieciństwo. Profesor Sri Hong-Owen może i jest genialna, ale opiekuńczości ma tyle, co skorpion. Staralem się jak mogłem, ale już nie będę w stanie się nim opiekować. Ani ochronić go przed Euclidesem, jeśli postanowi użyć go jako pionka szachującego panią profesor.

Loc nie mógł powiedzieć, że i generał dokładnie z tego powodu trzymał tu chłopaka.

- A więc, Loc, mam do ciebie ostatnią prośbę - dodał generał. - Chcę, żebyś zawiózł Berry'ego do matki. Myślisz, że dasz radę?

- Jestem zawsze do usług RTM - odpowiedział Loc, starając się nie zwracać uwagi na badawcze spojrzenie pani oficer z BSS, zachować neutralną minę i nie okazać ani odrobiny złości, że tak nim pomiatają. Miał wystarczająco dużo roboty, żeby nie chcieć jeszcze na dokładkę niańczyć walniętego dzieciaka wielkiej genetyczki, a i przysługa wobec generała będzie plamą w papierach. Tyle że nie mógł odmówić. Arvam Peixoto jeszcze się liczył, a wiedział dość, żeby zniszczyć Loca, gdyby tylko zechciał.

- Pojedzie z tobą kapitan Neves - stwierdził generał. - To opiekunka Berry'ego. Jest kompetentna, jak mało kto. Myślę, że nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie - odparł Loc, choć miał mnóstwo przeciwko. Nie przeciwko kapitan Neves, oczywiście; lubił ją i nie był zawistny, gdy awansowała do sztabu generała. Było jednak jasne, że generał na swój podstępny sposób wyrównuje stare rachunki. Wypycha Loca bardziej na świecznik, kojarzy go ze Sri Hong-Owen...

- Profesor Hong-Owen jest na Mimasie z tą swoją ekipą. Bada następny ogród cudów. Na pewno się ucieszy z powrotu syna, a ja poczuję ulgę, że jest w dobrych rękach - powiedział generał. - Loc, zaprosiłbym cię na kolację, ale rozumiesz, jaka jest sytuacja... musisz wylecieć jak najszybciej. Do widzenia. Aha, no i powodzenia.

- Patrz i ucz się - powiedział sześć dni później Loc Ifrahim do kapitan Neves. - Co się dzieje, kiedy pozwoli się Zewnętrzny utrzymać tę ich tak zwaną demokrację.

Stali przed ogromną płachtą folii przymocowanej do zewnętrznego szkie-

letu Domu Zgromadzeń w Camelocie na Mimasie. Był to jeden z największych gmachów w mieście i miał kształt otwartej sfery, mieszczącej sześć pokładów i kapsułowych pomieszczeń, a wszystko to podwieszane do gałęzi przerastającego wszystko olbrzymiego figowca. Przed wojną było to miejsce, gdzie spotykali się obywatele, żeby debatować nad problemami i podejmować decyzje; teraz stanowiło siedzibę rządu tymczasowego. Siły okupacyjne opakowały cały budynek w folię, oczyściły z roślin, wiszących domków, sklepów i warsztatików, a ziemię pomiędzy wieloma pniami figowca wyłożyły fullerenową siatką, tworząc stumetrowy gładki plac.

Na wschodnim skraju tego placu zgromadzili się Zewnętrzni. Powchodzili piętrowo na gałęzi figowca, poobwieszali się transparentami, rzucali w powietrze świetlne slogany, długie teksty opisujące ostatnie naruszenia ich tak zwanej demokracji społecznej, projekcje wideo pełne pulsujących, niezrozumiałych, acz bez wątpienia niezwykle ważnych obrazów. Ktoś coś krzyczał przez megafon; inni bębnili w co się dało. Na dole, na placu, gromadka protestujących okrążyła jeden z pni figowca i przykuła się do siebie, tworząc krąg - uwijał się przy nich oddział żandarmerii w białych kombinezonach i hełmach. Cięli kajdanki pistoletami spawalniczymi i wyprowadzali demonstrantów jednego za drugim.

Kiedy Loc Ifrahim i kapitan Neves przyglądali się temu cyrkowi, nad placem przeleciał jakiś przedmiot wielkości ptaka i przyssał się do folii tuż przed nimi. Loc, zanim uświadomił sobie, co to takiego, uskoczył w bok; kapitan Neves prawie nie drgnęła, zmrużyła oczy i zaczęła uważnie przypatrywać się urządonku, wykrzykującemu teraz skrzekliwym, wibrującym całą płachtą głosem jakieś slogany o pokoju i miłości. Nagle z góry zanurkował dron, rzucił się jak jastrząb na wróbla, zgarnął szczekaczkę z płachty i poszybował z nią ku swojemu pilotowi na placu. Żandarmeria tymczasem rozkuła ostatniego z protestujących i już prowadziła wszystkich do rolligonu, żegnana gwizdami i buczeniem demonstrantów na drzewie.

- Jeden facet z bezpieki powiedział mi, że oni to odwalają codziennie - stwierdziła kapitan Neves. Na spotkanie z wojskowym gubernatorem miasta włożyła galowy mundur i stała wyprężona z czapką pod lewą pachą, jeź na głowie świeżo przystrzyżony, na twarzy koloru kawy z mlekiem stanowcza mina. Wyglądała, jakby pozowała do plakatu werbunkowego. - Nie rozumiem tego. Czemu ich wszystkich nie pozamykają?

- W Paryżu to by było nielegalne, a tutaj to normalny, pokojowy protest - powiedział Loc. - Usankcjonowany przez radę miasta i nieuchwytnego pułkownika Malarte.

- To dla nas zniewaga - powiedziała kapitan Neves. - A przez to, że nic z tym nie robimy, wychodzimy na słabych.

- A ty co byś zrobiła na miejscu pułkownika?

- Też bym ich znieważyla.



- O, to by pewnie poczuli. Ale oczywiście stworzylibyśmy męczenników. A męczennicy to dla takich ruchów świetne narzędzie werbunkowe.

- Jak ktoś w oddziale łamie regulamin albo coś spieprzy, nikt go nie wyda. I bardzo dobrze, oddział ma być zgrany. Radzisz sobie z tym, dając karę całemu oddziałowi. Więc jak paru modyfikatorów zaczyna rozrabiać, trzeba ukarać wszystkich. Ze wszystkich zrobić męczenników. Chcesz się założyć, że nie są aż tak twardzi? Zaraz zaczną się sami pilnować.

- Jeśli ktoś byłby w stanie ukarać całe miasto, to tylko ty - odparł Loc.

Kapitan Bethany Neves była o parę lat od niego młodsza. Jej rodzice służyli w Zespołach Rekultywacji i Odbudowy, prowadziła więc ponure, cygańskie życie, wędrując z odcinka na odcinek rekultywowanej pustyni w sercu dawnych Stanów Zjednoczonych. Nie podzielała poglądu rodziców, że świat da się uzdrowić, usuwając resztki dawnych miast i przedmieść, oczyszczając rzeki i jeziora, pieczołowicie rekultywując glebę i umacniając ją murawą i wierzbami. Przeciwnie, chciała od tego wszystkiego uciec, dlatego zaciągnęła się do Sił Obrony Powietrznej i pięła się po szczeblach. Nie była ani specjalnie bystra, ani uzdolniona, a na wewnętrznej polityce nie знаła się nic a nic, za to miała determinację i pilnie się uczyła. Jej gorliwość i zapał trochę go śmieszyły, a trochę mu imponowały. Podziwiał natomiast, jak radziła sobie z grobowym ponuractwem i wulkanicznymi wybuchami złości Berry'ego. Na pierwszym wspólnym śniadaniu Berry opryskał Loca, ściskając banieczkę z sokiem z granatu. Kapitan Neves jednym szybkim ruchem wyrwała mu napój i mocno go spoliczkowała, a kiedy rzucił się na nią, unieruchomiła go, zdjęła pas, złożyła na pół i bezlitośnie go sprąła. Później powiedziała Locowi, że kiedy dorastała, często zostawała z młodszymi dziećmi i szybko się nauczyła, że jedynym wyjściem jest ostra dyscyplina i szybkie wymierzanie sprawiedliwości. Najważniejsze, żeby zostawiać pręgi, nie siniaki, dodała. Pręgi znikają po paru dniach, siniaki goją się dużo dłużej.

Opowiadała mu o swoim dzieciństwie; on rewanżował się ocenzurowanymi opowieściami o swoich przygodach w Układzie Zewnętrzny. Przez prawie tydzień tkwili w Camelocie na Mimasie, czekając na zgodę na zawieszenie Berry'ego do matki, więc sprawy szybko posunęły się naprzód.

Loc jednak zawsze myślał o niej „kapitan Neves”, nigdy „Bethany” czy „Beth”, a ona nawet w najintymniejszych chwilach wołała go po nazwisku. Seks był ciągiem negocjacji i ustępstw. Kapitan Neves lubiła dominować, on zaś lubił się poddawać, udawać, że jest bezbronny, kiedy zadawała mu drobny ból na tysiące pomysłowych sposobów: poddając się jej, czule, błogo, do końca, znajdował chwilowe wytchnienie, nie musząc grać swojej roli - chłodnej, starannie ambiwalentnej. I choć dla wszystkich wokół było oczywiste, że mają romans, odkrył, że w ogóle go to nie obchodzi. Po raz pierwszy w życiu nie obchodziło go, co myślą inni ludzie. Zastanawiał się

teraz, patrząc w świetle żyrandola na jej ostry profil, czy na tym właśnie polega miłość.

Czekali na spotkanie z pułkownikiem Faustino Malartem, wojskowym gubernatorem Mimasa. Potrzebowali jego zgody na wylot z miasta, gubernator ich jednak unikał, kiedy przybyli do miasta, a potem umknął do Paryża, gdzie miał uczestniczyć w uroczystym powitaniu Euclidesa Peixoto w układzie Saturna. Oraz bez wątpienia skonsultować się z nowymi władzami, czy powinien pozwolić na powrót Berry'ego do matki.

Wreszcie po Loca i kapitan Neves przyszła sekretarka pułkownika. Wprowadziła ich przez wysokie, podwójne drzwi do gabinetu wielkości hangaru. Przycmione lampy stały na dywanie z półzywej, karmazynowej murawy, reagującej na stąpięcia srebrzystymi wzorami, rozchodzącymi się jak kręgi na wodzie, odbijającymi się od ścian i tworzącymi filigranowe wzory; ściany były pomalowane na ciemną zieleń i obwieszane dziełami sztuki. Obrazy, egzotyczne maski, rzeźby z drewna i żywicy przypominające grona piersi lub fallusów, zwisające z podwieszanego sufitu gniazda obcych stworzeń... wszystko to ewidentnie łupy wojenne. W przeciwległym końcu sali stał ogromny kominek, w którym płonęło coś do złudzenia przypominającego niemożliwy w tych okolicznościach ogień z drewnianych bierwion, rzucając na wszystko ciepłe, żółte światło. Po jednej stronie stało biurko wielkości samochodu, po drugiej stojak eksponujący płytę piersiową skafandra próżniowego.

Pułkownik Faustino Malarte przyglądał się, lub udawał, że się przygląda, tej płycie piersiowej. Odwrócił się, gdy Loc i kapitan Neves zdążyli przejść połowę wielkiej sali. Był śniady, z kręconymi czarnymi włosami do szyi i wilgotnymi oczyma osadzonymi blisko nosa, który kiedyś został złamany i przekrzywił się nieznacznie na lewo. Błękitny mundur miał utkany z pajęczego jedwabiu i idealnie odprasowany, na ramionach epolety, na piersi pięć rzędów baretek. Był potomkiem rodu Pessanha, spokrewnionym w jednej ósmej, człowiekiem z nadania politycznego, który uniknął czystek BSS, bo nigdy nie był szczególnie blisko z Arvamem Peixoto. Loc automatycznie nim gardził, jak każdym, kto zdobył władzę dzięki urodzeniu, a nie talentowi i ciężkiej pracy.

- Słyszałem, Loc, że masz sporą wiedzę o kulturze Zewnętrznych - powiedział pułkownik. - Może to rozpoznasz?

Pstryknął palcami i zapalił się punktowy reflektor, wąski snop światła skupiony na obrazie namalowanym na wypukłej powierzchni płyty piersiowej. Nagromadzenie skalnych kryształów w kształcie ludzkich główek, każda była inna. Oddalały się ku nieskończoności skrytą we mgle drogą.

Loc od razu wiedział, co to takiego, ukrył jednak ekscytację, rzucił obrazowi swoje najlepsze znudzone, beznamiętne spojrzenie i powiedział:

- Wygląda trochę jak *Siedem przemian układu pierścieni* Munka. To

autentyk czy ktoś to dla pana skopiował?

Kiedy musieli czekać na pułkownika Malartego, Loc zwrócił się do swoich dawnych kontaktów w Camelocie i zrobił dość dogłębny wywiad. Dowiedział się między innymi, że pułkownik ma kochankę, która jest Zewnętrzną, a do tego artystką, która terminowała w pracowni Munka.

- To nie jest falsyfikat. - Pułkownik surowo zmarszczył brwi. - Sam zauważysz, jeśli tylko zechce ci się przyjrzeć szczegółom. To ostatni z cyklu. Numer siedem. Mówi się, że jest tu przedstawiony każdy mieszkaniec Camelotu z czasu, kiedy Munk to malował. Żeby to należycie docenić, potrzeba mikroskopu.

- Niezmiernie ubolewam, że moje wykształcenie obejmowało wyłącznie kwestie praktyczne - odparł Loc. - Rozumiem, ile to pracy, takie dzieło, ale w podziwianiu sztuki nie mam praktyki.

- To absolutnie konieczne, jeśli chcesz gadać z modyfikatorami. Ich pasjonuje autentyczność, umiejętności techniczne i artystyczna wizja to dla nich wartość sama w sobie. Przed wojną Camelot słynął ze skafandrów próżniowych, a Munk był najlepszym artystą specjalizującym się w ozdabianiu płyt piersiowych. Gdybym nie był dziś tak zajęty, z przyjemnością doksztalciłbym cię z niuansów tej sztuki.

- Może innym razem.

Rozbawiło go, że pułkownik jest taki pewny swojej nadętej wyższości. Loca śmieszyła teatralność numeru z reflektorkiem. Malarte był chępliwym dokładnie tak, jak mówiono - był bańką próżności i gorącego powietrza, czekającą tylko na odpowiednią igłę. A co do jego drogocennego łupu... według Loca był banalny i sentymentalny jak kartka z życzeniami. Może jednak przy jakiejś okazji da się go wykorzystać...

Pułkownik zaprowadził Loca i kapitan Neves na kanapy ustawione po obu stronach grubego arkusza przejrzystej folii, unoszącej się bez widocznego podparcia tuż nad półżywą murawą - jak wyjaśnił, plastik jest domieszkowany żelazem i unoszą go nadprzewodzące magnesy - a jego sekretarka podała małe filiżanki ze spienioną gorzką czekoladą.

Loc wspomniał o wydarzeniach przed budynkiem i stwierdził, że wydały mu się bardzo ciekawe.

- Może trochę hałasują, ale w zasadzie są nieszkodliwi - odparł pułkownik. - Modyfikatorzy się wyżywają, a my mamy na oku potencjalny element wywrotowy. Wygrywają obie strony.

- Bardzo oświecone nastawienie - powiedział Loc. - Euclides Peixoto to popiera? Bo słyszałem, że aż się pali, żeby pokazać, że kontroluje zewnętrznych lepiej od generała. I że lubi trzaskanie z bicia.

- Przyznałeś, że nie umiesz doceniać niuansów sztuki. Może także niuansów sprawowania władzy?

Uśmiech pułkownika Malartego sam w sobie był dziełem sztuki. Loc

oświadczył:

- Dzięki służbie w korpusie dyplomatycznym miałem możliwość odwiedzić niemal wszystkie miasta na księżycach Jowisza i Saturna. Myślę, że dzięki temu mam pewne pojęcie o niuansach myślenia Zewnętrznych.

Kapitan Neves siedziała, sztywna i elegancka, naprzeciwko na kanapie. Wszystko chłoneła.

- To było przed wojną - odparł pułkownik.
- W której miałem zaszczyt odegrać niewielką rolę.

Pułkownik Malarte przyjechał do układu Saturna sześć miesięcy po zakończeniu Cichej Wojny, przywieziony w teczce na wysokie stanowisko, dzięki swojemu urodzeniu.

- Myślę, że się przekonasz, że teraz sprawy wyglądają inaczej. Teraz się okazało, że ta tak zwana wyższość technologiczna modyfikantów to jedna bzdura. Pokazaliśmy im, gdzie ich miejsce w szeregu, że tak powiem.

- Nas śmieszą te ich demonstracje i protesty - powiedział Loc. - Nieszkodliwa rozrywka. Ale dla nich to jest śmiertelnie poważne. Oni nie tylko wyrażają frustrację, panie pułkowniku. Oni manifestują swoje polityczne stanowisko. Pana kosztem.

- Ja wiem, jak sobie radzić z wicherzycielami, Loc - odparł pułkownik, wreszcie z błyskiem w oku. - I dopilnowałem, żeby modyfikanci też o tym wiedzieli.

- Bez urazy, panie pułkowniku. Podzieliłem się tylko moimi wnioskami z podróży wśród Zewnętrznych.

Nastąpiła krótka cisza. Kapitan Neves dokarmiła swój enigmatyczny uśmiech łykiem gorącej czekolady. W końcu pułkownik powiedział:

- Chciałbym jeszcze porozmawiać z wami o niuansach polityki Zewnętrznych, ale mój czas jest ograniczony. Załatwmy to i niech będzie z głowy. Chcecie lecieć do krateru Herschla.

- Ja i moja współpracownica eskortujemy syna profesor Sri Hong-Owen. Odwozimy go z powrotem do matki. Proste zadanie, a niespodziewanie zajmuje tyle czasu.

- Odpowiadam nie tylko za to miasto, ale za wszystko, co się dzieje na tym księżycu - odparł pułkownik. - To masa pracy. Czasem coś umknie. A kontakt z panią profesor i jej zespołem jest w najlepszym razie sporadyczny. Ona chyba myśli, że nie musi składać cyklicznych meldunków, jak wszyscy, albo wykazywać jakichkolwiek pozorów współpracy. Ale z przyjemnością cię informuję, że mój sztab wszystko załatwił. Transport do krateru Herschla i z powrotem. A wiecie może, kiedy będziecie wracać? Bo plan podróży jest trochę ogólnikowy.

- Wróć, jak tylko wypełnię zadanie. A ile to zajmie... no cóż, sam pan zauważył, że pani profesor jest tu niewiadomą.

- Zatem rozmawiamy ponownie, jak wrócisz. Opowiesz mi wszystko

o swoich przygodach.

Loc nie miał zamiaru przekazywać pułkownikowi Malartemu informacji, które można by z zyskiem wykorzystać wyżej w hierarchii dowodzenia.

- Oczywiście - odpowiedział. - Muszę pana jednak uprzedzić: mało prawdopodobne, żebym coś z jej pracy zrozumiał. Pewnie, jest nieodpowiedzialna i arogancka, to wielki problem dla tych, którzy podobno mają nad nią władzę. Ale oprócz tego jest geniuszem.

\*\*\*

Gdy znaleźli się na zewnątrz i posuwali się po mostku linowym zarezerwowanym wyłącznie dla członków sił okupacyjnych, Loc powiedział kapitan Neves, że pułkownik to przygnębiająco znajoma mieszanka niepoprawnej pewności siebie i czystej głupoty.

- Typowy okaz tej staroświeckiej oligarchii. Przodkowie dorobili się nazwiska i pieniędzy na piractwie i rabunku, więc myśli, że powinien robić to samo. Moje kontakty mówią, że przemycą na Ziemię dzieła sztuki. Pewnie, każdy oficer coś tam wysła na pamiątkę, ale pułkownik śle to całymi kontenerami. Bierze siłą wszystko, co mu się spodoba, a jak właściciele robią aferę, wsadza ich do więzienia. W skrócie, traktuje Mimasę jak swój prywatny folwark. To dlatego chce, żebym mu przywiózł informacje o ogrodzie, który bada Sri Hong-Owen. Ciekawi go, co tam znalazła i czy da się na tym zarobić. I pewnie myśli, że odwożenie Berry'ego do matki to przykrywką. Że naprawdę tam jadę, żeby dogadać się ze Sri za jego plecami. Cały ten teatr urządził właśnie po to, żebym wiedział, że podejrzewa, że ja coś kombinuję, i żeby dać mi do zrozumienia, że mam z nim współpracować.

- Skoro trzyma wszystko w tajemnicy, to może faktycznie odkryła coś wartościowego - zauważyła kapitan Neves.

- Może dla niej wartościowego. Bo jest wyzwaniem intelektualnym. Albo coś jej mówi o Avernus. Ale bardzo wątpię, żeby jej badania przyniosły coś mającego gotową wartość handlową.

Dotarli do platformy, gdzie z mostkiem, wzdłuż którego szli, przecinał się inny. Loc, mocno zadyszany, z bijącym sercem, zaproponował, żeby minutę odpoczęli. Za dużo czasu spędził w nieważkości i zaniedbywał ćwiczenia w wirówce grawitacyjnej. Jak tak dalej pójdzie, na Ziemi w ogóle nie będzie w stanie chodzić...

Platforma wisiała pomiędzy koronami trzech wysokich sosen. Wokół we wszystkie strony rozchodziły się korony innych drzew, pod diamentowym światłem grupy żyrandoli zwisających z wierzchołka kopuły. Las zmodyfikowanych figowców przetykanych sosnami i sekwojami olbrzymimi wypełniał kopuły miasta Camelot od brzegu do brzegu. Ulice prowa-

dziły wzdłuż pięter grubych gałęzi, mostki linowe, tyrolki i zjeżdżalnie łączyły domy i warsztaty wiszące spiralnie wokół pni, albo zwisające z grubych konarów jak egzotyczne owoce. Drzewiasty niskograwitacyjny miejski raj, cichy, zielony, pierwotny.

- Ogrody, które zostawiła po sobie Avernus, to eksperymenty - powiedział Loc - Gry. Można je spłądować i odkryć parę banalnych modyfikacji i krojów, ale to nie ma sensu. To jak rozwalić jajko Fabergé i sprzedać kamienie, które je zdobiły. Oczywiście Sri Hong-Owen nie jest ponad to. Tak właśnie uzasadnia swoją pracę. Dzięki temu przetrwała. Dzięki temu jest użyteczna dla każdej kolejnej osoby przy władzy. Ale to nie dlatego robi to, co robi.

- Ale gdybyś powiedział pułkownikowi, co ona odkryła - zauważyła kapitan Neves - to może ty byś się okazał dla niego użyteczny?

- A mnie co by z tego przyszło? Tacy ludzie jak Faustino Malarte nie zasłużyli na swoje stanowiska. Rządzą groźbami i zastraszaniem, bo nie mają pojęcia, jak myślą inni ludzie. A Zewnętrznych to już kompletnie nie rozumieją i wcześniej czy później popełnią jakiś gigantyczny błąd, który wystawi na szwank wszystko, co tutaj osiągnęliśmy. Myślę, że kiedy będę wioził Berry'ego do jego matki, powinnaś zostać w mieście. Dowiedz się może, jak Malarte wozi te swoje łupy na Ziemię.

- Chcesz go zdemaskować?

- Oczywiście, że nie. Jakikolwiek ruch przeciwko niemu jest samobójstwem, pamiętaj, że rządzi całym księżycem, nie wspominając już, że należy do górnych warstw rodziny Pessanha. Nie, pani kapitan, mnie jest potrzebna tylko informacja. Tego właśnie nie rozumieją tacy goście jak pułkownik. Jak ważna jest informacja.

\*\*\*

Kabina gigu była fullerenową skorupą przyczepioną na wierzchu do platformy napędowej - jak klaustrofobiczna szafa, z braku miejsca pozbawiona foteli czy leżanek. Loc stał obok pilota, a Berry Hong-Owen tuż za ich plecami, wszyscy trzej pozapinani w uprząże bezpieczeństwa i wbici w grube skafandry próżniowe z kulistymi hełmami na głowach, podczas gdy kruchy pojazd spadał łukiem na drugą stronę Mimasasa.

Mały księżyc był kulą brudnego wodnego lodu o niespełna czterystukilometrowej średnicy, która zaraz po powstaniu zamarzała w całości, aż po krzemionkowe jądro: jego starożytna, niezmieniona po dziś dzień powierzchnia cała była krostowata od najrozmaitszej wielkości kraterów, niczym wrzące morze, które skamieniało w jednej chwili. Loc, wyglądając przez szczelinowe okno gigu, miał wrażenie, że spada głową naprzód za wysokie, blade urwisko, upstrzone losową płataniną czarnych półksiężyców,

rozpadlin i belek - były to rzucające skośnie cienie bloków skalnych, głazów, wewnętrzne cienie kraterów, zewnętrzne cienie ich krawędzi. Przed włożeniem skafandra nakleił sobie plasterki z powoli uwalnianym miejscowym wspomagaczem inteligencji, pandorfem. Nauczył się tego od Yoty McDonalda. Środek był czystszy i działał lepiej niż którykolwiek z wojskowych wspomagaczy, jakimi raczyli się w dobrych, dawnych czasach przed wojną, kiedy na niekończących się burzach mózgowi opracowywali polityczne i strategiczne scenariusze dla komisji rządowej. Wyostrzał spostrzegawczość, przyspieszał myśli i dawał krystaliczną, niemal boską perspektywę - konieczna przewaga, która pomoże mu dogadać się ze Sri Hong-Owen - a do tego świetny efekt uboczny, zastępujący nerwowy niepokój i lęk wynikający z lotu pociskiem przez wrogi krajobraz czymś przypominającym spokojne, zdystansowane zainteresowanie sunącą za oknem malowniczą sceną.

Koncentryczne kręgi górskich masywów wznosiły się już nad ostrą krzywą horyzontu - to był właśnie krater Herschla, wielopięścienny twór o średnicy stu trzydziestu kilometrów - jednej trzeciej Mimas, powstały na skutek zderzenia, które omal nie roztrzaskało małego księżycy. Gig opadł pomiędzy wystrzępione tarasy, opadające ku rozległym pobrużdżonym równinom na dnie krateru. Przeleciał jeszcze trzydzieści kilometrów, zanim pojawił się centralny szczyt krateru. Krótki grzechot silniczków korekcyjnych, gig przetoczył się i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Pustkowie krateru uciekło w czarne niebo, główny silnik odpalił z potężnym hukiem, krótkim impulsem wytracając resztki prędkości, księżycowy krajobraz wpłynął z powrotem w pole widzenia, gdy gig dryfował bokiem nad zachodnimi zboczami centralnego szczytu, mijając piargi, ciemne zygzaki kanionów i rozpadlin, celując w szeroką półkę, gdzie pośród bezbarwnego krajobrazu migał czerwono znak nawigacyjny. Ponownie zagrzecotały silniczki korekcyjne - gig ustawił się do lądowania, jego cień dogonił go i zetknął się z nim z gwałtownym wstrząsem na skraju płyty wielkości boiska do piłki nożnej, tuż obok żółtawego kształtu wahadłowca z zieloną flagą Wielkiej Brytanii na burcie.

Przed wylotem kapitan Neves dała Berry'emu zastrzyk środka uspokajającego, ale źle wyliczyła dawkę i chłopak cały czas był niemal w śpiączce - dopiero wspólnie z pilotem Loc był w stanie wyciągnąć go przez ciasny właz z kabiny. Czekał na nich członek ekipy Sri Hong-Owen, energiczny młody człowiek nazywający się Antônio Maria Rodrigues, ubrany w nieskazitelnie biały skafander; pomógł zanieść Berry'ego do sań zaparkowanych na siatkowej drodze poniżej lądowiska, a potem zawiózł Loca z Berry'm w stronę długiej pochyłości, poprzecinanej szczelinami rozchodzącymi się promieniście od podnóża ponadkilometrowego zbocza. Droga zjechała w jedną ze szczelin i zakończyła się na rozjeżdżonym i zdeptanym placu przed wielką, nieprzezroczystą kopułą u stóp wielkiej,

przypominającej granit ściany wodnego lodu.

Loc i Antônio Maria Rodrigues podnieśli Berry'ego z sań i poprowadzili go do owalnej śluzy u podstawy kopuły. Przepompowali się do zatłoczonego przedsionka pełnego szafek na ubrania, rzędów skafandrów na wieszakach i statywów pomagających je wkładać - wszystko to stało pod ścianami, oświetlone chemicznymi lampkami powtykanymi losowo w piankowy sufit. W zielonkawym, podwodnym świetle Loc i Rodrigues zdjęli skafandry i ubrani tylko w cienkie ocieplacze, niechroniące przez przenikliwym jak w chłodni na mięso ziąbem, pomogli Berry'emu się rozebrać. Chłopak uśmiechnął się do nich nieprzytomnie i zapytał, czy mogą się jeszcze raz przelecieć.

- Najpierw musimy porozmawiać z twoją matką - powiedział Loc.
- Nie chcę. Chcę wracać.
- Wiesz, że się nie da. Chodź ze mną i nie rób scen.

Przeszli za Rodriguesem przez podwójne hermetyczne drzwi i weszli krótką, stromą pochylnią do wielkiego, mniej więcej kolistego pomieszczenia pod łukowym, jarzącym się blado sklepieniem. Ścieżki wiły się pomiędzy warstwami czarnych skał - czy raczej do złudzenia je udających skorup z włókna fullerenowego, między olbrzymimi poduchami mchów we wszelkich odcieniach czerwieni i żółci, między kępami drzewiastych paproci, między bagnistymi sadzawkami z czarną wodą, obsadzonymi turzycami. Powietrze było czyste, zimne i wilgotne. Zima. Tak, pachniało zimą... Loc poczuł nagłe ukłucie tęsknoty, ostro wzmocnione przez pandorf. Ale to nie był dom. To nie była Ziemia ani nic podobnego. To tylko kolejny nakryty kopułą ogród, mały bąbelek życia pośrodku ogromnego, martwego pustkowi. Rozejrzał się wokół i powiedział, że całkiem ładnie, ale spodziewał się czegoś niezwykłego i wspaniałego.

- Ależ to nie jest ogród, proszę pana. Ogród jest tam - powie dział Antônio Maria Rodrigues i pokazał na drugą stronę kopuły, gdzie nad atramentowym jeziorem górował czarny klif, a przez wodę strzelał łukiem smukły, biały mostek, łączący brzeg z wrytą u podstawy klifu wąską grotą.

Sri Hong-Owen czekała w jednym z półkulistych namiotów, stojących gromadką na brzegu jeziora. Jak zawsze, wydawała się pozbawiona wieku: surowa, chuda jak szczapa, głowa wygolona, zachowanie chłodne i powściągliwe. Miała na sobie srebrny, sięgający do kolan płaszcz termoizolacyjny, na nosie speksy z prostokątnymi soczewkami w grubych, czarnych oprawkach.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała do syna. - I bardzo urosłeś.

Berry wzruszył ramionami. W rześkim powietrzu wywietrzały z niego resztki środka uspokajającego kapitan Neves. Odzyskał swoje normalne, podejrzliwe, zaczepne usposobienie. Niezdarny chłopak, niczym świeżo urodzony, jeszcze niewylizany młody miś, łypnął na matkę zza zasłony długich włosów i powiedział:



- To generał kazał mi tu przyjechać. To nie był mój pomysł.
- Generał zrobił to dla twojego dobra - odparła Sri Hong-Owen. - A co tam u niego?

Rozmawiali przez parę minut - zdawkowa wymiana zdań, całkowicie pozbawiona ciepła; potem Sri Hong-Owen odprawiła Berry'ego z Antônio Marią Rodriguesem, żeby dał mu coś do jedzenia i picia. Zapytała Loca, czy czegoś potrzebuje.

Odmówił.

- Ledwo dwie godziny temu byłem w Camelocie, proszę pani. Wiem, że trudno w to uwierzyć.

- A teraz jesteś tutaj. Trochę się nie widzieliśmy, prawda?

- Prawda - odpowiedział Loc, zimno patrząc jej w oczy. - Mam jednak nadzieję, że nie jest za późno, żeby przeprosić za moje zachowanie ostatnim razem.

- Dalej pracujesz na tym orbitalnym złomowisku?

- Myślę, że już niedługo.

- Spodziewasz się nowego stanowiska, kiedy Euclides Peixoto zastąpi generała? Czy wracasz z nim na Ziemię?

- Mam nadzieję, że będę dalej pełnić obowiązki doradcy do spraw specjalnych.

- Ale teraz pracujesz dla Arvama.

- W przeddzień wylotu z układu Saturna generał Peixoto poprosił mnie, żebym przekazał pani syna z powrotem pod pani opiekę. Byłem zaszczycony tak odpowiedzialnym zadaniem i mam nadzieję, że wypełniłem je najlepiej, jak mogłem.

- A pułkownik Malarte?

- Dla niego z pewnością nie pracuję.

- Ale żeby tu przylecieć, potrzebowałeś jego zgody, a on tych zgód nie rozdaje na lewo i prawo. Arvam już nie ma nad nim władzy, nie stać cię, żeby go przekupić, więc pewnie poprosił cię, żebyś mu zameldował, co ja tutaj robię. Przysługa za przysługę.

Loc nawet nie mrugnął. Myśli miał szybkie i jasne, jak ryby śmigające w rozświetlonej wodzie; od razu wiedział, że najlepiej mu posłuży, jeśli powie prawdę.

- Pani widzi wszystko równie jasno jak ja. Pułkownik Malarte wyraził, że tak powiem nie wprost, zainteresowanie pani pracami. Czy ma do tego prawo, czy nie, o tym się nie wypowiadam. Ale zapewniam panią, że nade mną nie ma żadnej władzy.

- A zatem tym razem to ja tobie z przyjemnością wyświadczę przysługę. Pokażę ci, co tu znaleźliśmy, a ty opowiesz o wszystkim pułkownikowi. Być może wtedy zdoła zrozumieć, że nie ma tu nic, co mógłby wykorzystać, i da mi wreszcie spokój.

- To nie będzie łatwe, proszę pani. Z tego, co wywnioskowałem, widząc się z nim, pułkownik będzie miał trudności z ogarnięciem czegokolwiek bardziej skomplikowanego niż zoo ze zwierzakami do głaskania.

- Ja to wyjaśnię bardzo prostymi słowami - odparła Sri Hong-Owen. - A jeśli przypadkiem bierzesz udział w jakimś spisku mającym skompromitować pułkownika, to proszę pamiętać, że mam ogromne doświadczenie w kontaktach z jego reżimem.

- To bardzo niebezpieczne, spiskować przeciwko takiej osobie. Nie tylko dlatego, że to zdrada, także dlatego, że jest bardzo ustosunkowany. Każdy, kto spiskuje przeciwko niemu, powinien trzymać te plany w tajemnicy nawet przed potencjalnymi sojusznikami.

- Oczywiście. Chociaż raz świetnie się rozumiemy.

- Bo tym razem, proszę pani, chcemy dokładnie tego samego.

\*\*\*

- Że generał zrobił mi uprzejmość, to bym nie powiedziała - stwierdziła Sri, prowadząc Loca przez ciąg namiotów ku mostkowi rozpiętemu nad jeziorem. - I nie mogę mu wybaczyć, że wykorzystał Berry'ego. Że wziął go na zakładnika, żebym robiła, co mi każe. No tak, zapewnił mi dom, jakąś tam edukację, ale jednocześnie nabijał do głowy jakichś paskudnych, barbarzyńskich bzdur o odwadze, honorze i wojnie. Tak jakby ta najgorsza z ekspresji samczego zachowania była pod jakimkolwiek względem chwalebna czy dobra. Parę razy zasugerował, że Berry'emu, jak dorośnie, przydałoby się parę lat wojska. Na szczęście, już nie ma w tej kwestii nic do gadania.

- Ale przecież zwrócił go pani.

- Tylko po to, żeby zrobić Euclidesowi na złość. Niemniej, w kwestii mojej pracy naukowej zawsze był tolerancyjny i pełen zrozumienia. Za to faktycznie powinnam być wdzięczna. Jak myślisz, co z nim zrobią, kiedy wróci na Ziemię?

- Nie mam pojęcia.

- Rozumiem, że Armand Nabuco szuka kogoś, na kogo zrzuci się winę za przegraną Cichą Wojnę?

- To przegraliśmy? Nie słyszałem - odparł Loc, idąc za nią po wąskim moście, przytrzymując się oburącz poręczy. Jeden fałszywy krok w tym śladowym ciężeniu, a polecą i wpadnie do jeziora.

- Widzę, że dalej masz to samo poczucie humoru.

- Tak, proszę pani. Wojnę przetrwało.

- Ciekawe, czy przetrwa Euclidesa Peixoto.

- Myślę, że jestem niegodny jego uwagi. W przeciwieństwie do pani.

- Nie, on nie będzie mi robił problemów. Potrzebuje mnie. Jak oni

wszyscy.

Pochylając się, przeszli przez niskie wejście do groty i ruszyli pochyłym chodnikiem wyłożonym izolującą pianką; w miarę jak schodzili, robiło się coraz zimniej. W końcu tunel rozszerzył się w coś w rodzaju galerii lub punktu widokowego, z osadzonym w grubej izolacji panoramicznym oknem. Płonęło słabym czerwonym światłem, dochodzącym zza potrójnej diamentowej szyby. Przed nim stało parę kamer i trochę innego sprzętu monitorującego.

- Takie coś urządziła tu Avernus - powiedziała Sri Hong-Owen.

Okno wychodziło na gigantyczną kulistą komorę wrytą w pierwotnym lodzie, oświetloną punktowym źródłem światła, wiszącym w najwyższym punkcie stropu niczym płonąca kropla krwi. Ściany zakrzywiały się ku podłodze poprzecinanej łagodnymi wałami. Szczyt każdego wału pokrywały ciemne wiry i kałuże, z których wyrastały gęste zagajniki na wpeł stopionych świec, zębatych szpikulców, splątanych drutów, zwojów podobnych do waty cukrowej, szczeciny, albo wybijających się spod lodu cienkich jak papier skrzydełek. Wszystkie te narośle wydawały się w rubinowym świetle czarne jak noc, poza jedną kępą świeczek, bliską okna, która ewidentnie umierała od środka - jej przysadziste słupki kruszyły się na szary popiół.

- Organizmy próżniowe - powiedział Loc. - Ogród organizmów próżniowych.

Spodziewał się czegoś naprawdę egzotycznego. Farmy sklonowanych nadludzkich dzieci. Krainy czarów, pełnej dziwnych roślin i zwierząt. Miasta inteligentnych szczurów czy szopów. Ale te twory tutaj nie różniły się aż tak bardzo od organizmów próżniowych uprawianych na nagiej księżycowej powierzchni wokół każdego miasta i osiedla w układzie Saturna.

- To nie organizmy próżniowe - sprostowała Sri Hong-Owen - chociaż tak wyglądają. Nie są zbudowane z połączonych ze sobą nanomaszyn, ale ze skomplikowanych pseudobiałkowych polimerów. Ja nazywam je polimaszynami. Jeśli przyjmiemy, że komercyjne organizmy próżniowe to syntetyczne odpowiedniki prokariotów - czyli bakterii, panie Ifrahim - to te tutaj będą odpowiednikami protoplastów prokariotów.

- Chce mi pani wygłaszać wykład? Lepiej przejdźmy od razu do konkretów, niech mi pani powie, czemu one są bezwartościowe. Bo wyglądają na kompletnie bezwartościowe.

Sri Hong-Owen zignorowała tę uwagę i powiedziała mu, że komora ma metanowo-wodorową atmosferę i panuje w niej temperatura minus 20 stopni Celsjusza, zatem o wiele wyższa niż na powierzchni Mimasasa.

- A te polimaszyny: one nie mają struktury pseudokomórkowej ani nie powstały na skutek systematycznego wykonywania scentralizowanego zbioru instrukcji. Przeciwnie, to sieci samokatalizujących się cykli metabolicznych, powstałych dzięki interakcjom poszczególnych struktur

polimerowych, z których się składają.

- Jak dywany albo ocieplacze do skafandrów.

- Bardzo dobrze, Loc. Jednak półżywe materiały, chociaż same się naprawiają, a na odpowiedniej pożywce mogą nawet rosnąć, potrafią zapamiętać tylko prosty zestaw zerojedynkowych instrukcji, których ekspresją jest zawsze tylko jedna morfologia. Polimaszyny są o wiele bardziej uniwersalne. To niebinarne maszyny logiczne, które za pomocą czegoś w rodzaju fotosyntezy przetwarzają proste substancje na skomplikowane polimery. Potrafią się rozmnażać, potrafią nawet wymieniać się informacjami, choć ta informacja ma formę całkowicie analogową. Składają się z ograniczonego zbioru elementów przestrzegających ograniczonego zbioru reguł rządzących samoorganizacją. Na podstawie tych reguł mogą generować nowe instrukcje, a tym samym nowe właściwości czy nawet nowe formy. Kiedy dokładnie zrozumieć, jak działają te reguły we wszystkich możliwych kombinacjach, będzie można manipulować polimaszynami, żeby osiągały przewidywalne stany.

- Czyli zmusić je do produkowania użytecznych rzeczy?

- Loc, to nie jest fabryka. To zagadka. Łamigłówka. Polimaszyny, w przeciwieństwie do normalnych żywych komórek albo organizmów próżniowych, nie mają żadnej formy opisu wewnętrznego. My przywykliśmy myśleć o informacji jako czymś, co jest zanotowane słowem pisanym, kodem dwójkowym, jak fundament wszystkich komputerowych języków, albo czteroliterowym alfabetem DNA. A tutaj... - Sri Hong-Owen wskazała grotę za oknem - ...mamy świat, w którym informacja i forma są nierozzerwalnie ze sobą splecione. To jest zbiór analogowych komputerów, produkujących unikatowe i nieprzewidywalne rozwiązania jednego problemu: jak przeżyć i wzrastać. Avernus je skonfigurowała i zostawiła samą sobie, ale ja pokonam ją w jej własnej grze i udowodnię, że jestem lepsza. Dając im odpowiednią informację do przetworzenia, da się je zmusić do generowania przewidywalnych rozwiązań. Zademonstruję ci coś takiego.

Guru genetyczna podeszła do sprzętu monitorującego, otworzyła w małej memoprzestrzeni widok z kamery, przesunęła go wzdłuż nagiego stoku i skupiła na srebrzystej skrzynce zawieszzonej na długich, cienkich, przegubowych nogach.

- Puść sekwencję - powiedziała w powietrze.

Robot skoczył naprzód, podchodząc sztywno do kępy gruzłowatych czarnych kolców sterczących z zamrożonej kałuży sadzy. Wysunął dyszę i krótko trysnął z niej mgiełką - na kolcach natychmiast wystąpiły pomarańczowe luminescencyjne plamy.

- Spryskał je n-acetyloglukozaminą - powiedziała Locowi Sri Hong-Owen. - To pospolita lektyna, białko wiążące się z konkretnymi resztami cukrowymi. Kiedy zwiąże się z pewnymi punktami na powierzchni

polimaszyny, wywołuje krótką kaskadę metaboliczną, której efektem jest luminescencja. Zatem, polimaszyny, choć same nie przechowują żadnej informacji, potrafią tę informację przetwarzać. Każda składa się z pewnego zestawu polimerów, każdy z tych polimerów ma dwa stany, włączony lub wyłączony, określane pewną, ograniczoną liczbą reguł. Jeden polimer może, na przykład, aktywować się w obecności jednej z dwóch substancji chemicznych. Albo może wymagać, żeby obecne były obie naraz.

- Logika boolowska - powiedział Loc. Gdzieś w głębi głowy z przezroczystości wynurzyło się odległe wspomnienie.

- Dokładnie. Może jest dla ciebie jeszcze nadzieja, Loc. Ta reakcja to była prosta koniunkcja - lektyna i wiążący ją polimer równa się aktywacja drugiego polimeru, który powoduje luminescencję. Polimaszyny to sieci boolowskie, umiające tworzyć uporządkowaną dynamikę - skończone cykle stanów. Jedna polimaszyna, złożona zaledwie ze stu polimerów, każdy o możliwych dwóch stanach, daje około  $10^{30}$  możliwych układów. Jeśli każdy z tych elementów może wpływać na każdy inny, system staje się chaotyczny i przechodzi losowo przez olbrzymią liczbę stanów; upłynie bardzo, bardzo dużo czasu, zanim wróci do stanu pierwotnego. Ale jeśli każdy element ma tylko dwa wejścia, system będzie samoistnie generować porządek, przechodząc cyklicznie przez zaledwie cztery z tych  $10^{30}$  stanów. Tym właśnie sposobem w polimaszynach powstają skończone cykle stanów, bardzo przypominające nasze, ludzkie procesy metaboliczne. A skoro te cykle są zdolne do przetwarzania informacji, to, karmiąc je odpowiednimi jej porcjami, da się uzyskiwać powtarzalne wyniki. Jako pierwszy krok ja i mój zespół zbadaliśmy ich reakcję na szeroki wachlarz chemicznych bodźców - zresztą widziałeś. Jednakże to nie tylko proste chemiczne detektory, to o wiele więcej. Gdy dwie różne polimaszyny rosną obok siebie, ich cykle pseudometaboliczne wchodzą w interakcję i powstają nowe formy polimaszyn. Te z kolei tworzą w interakcji trzecie pokolenie, i tak dalej. Złożoność systemu jest ograniczona tylko wielkością i czasem. Próbowaliśmy wyprowadzić teoretyczne rozwiązania, jakoś określić całą przestrzeń informacyjną, ale wkrada się do nich nieskończoność.

- Świetna zabawka dla kogoś o pani zainteresowaniach. Wątpię jednak, by to usatysfakcjonowało pułkownika - powiedział Loc.

Zaczynał rozumieć, czując w sercu strużkę kwaśnej satysfakcji, że ten dziwny ogród był zagadką i pułapką jednocześnie. Sri Hong-Owen miała poświęcić mu mnóstwo czasu i uwagi, nie otrzymując nic w zamian. Ewidentnie była opętana geniuszem, ale jednocześnie próżna i skupiona na sobie, pogrążona w obsesyjnej sztuce dla sztuki.

Mimo wszystko jednak, te kłębiące się za oknem kępy i łąki kolców, iglic, zwojów i proporców miały w sobie jakieś osobliwe piękno, miły dla oka, asymetryczny porządek. Kojarzył mu się z elegancko upakowanym

mechanizmem starożytnego zegarka, który nosił na przegubie ojciec. Stuletnim rodowym skarbem. Trybami, sprężynami i maleńkimi balansami, pracującymi w najrozmaitszych cyklach, którym jakimś sposobem jednak udawało się zgrać tak, aby dokładnie raz na sekundę poruszyć wskazówkami. Loc uwielbiał ten zegarek, ojciec obiecywał zresztą wiele razy, że go odziedziczy, któregoś dnia jednak zastawił go, żeby spłacić dług, i to by było tyle. Brutalna, ale pouczająca lekcja. Nie należy przywiązywać się do niczego i nikogo. Nie oczekiwać niczego poza tym, co się samemu wypracuje lub zdobędzie.

- Loc, ty wierzysz w przeznaczenie? - zapytała Sri Hong-Owen. - Wierzysz, że nasz los kształtują siły i prawidłowości, których nie dostrzegamy? Czy raczej myślisz, że wszystko, co robimy, definiują tylko przypadek i ślepy traf?

- Wychowano mnie jako katolika, proszę pani.

- Uhm, świetna, wymijająca odpowiedź. Nie wiem, czego zresztą się spodziewałam. Ja przekonałam się dawno temu - biologia uczy nas, że przypadek i przeznaczenie idą ręką w rękę. W naszych ciałach odcisnęło się milion przypadków, które losowo wybrały do reprodukcji czy przetrwania pewne geny kosztem innych. Gdyby dało się przewinąć życie do jakiegoś momentu w odległej przeszłości i puścić jeszcze raz, wcale nie odtworzyłyby się tak samo. Powstałaby inna historia. Jeszcze raz - i jeszcze inna. Ten ogród Avernus to lekcja pogładowa z połączenia przypadku i przeznaczenia. Eksperyment, który byłby nie do powtórzenia jako życie na Ziemi. Bo, jak mówiłam, polimaszyny nie mają odpowiednika DNA, czyli wewnętrznego zapisu będącego minimalnym zbiorem instrukcji, których można użyć do odtworzenia ich pierwotnego stanu. Jeśli zginą, zginie też ich przeszłość i przyszłość, i to nieodwracalnie. Są istotami wiecznej, choć nieustannie zmieniającej się terażniejszości. Ale ja odkryję reguły, które nimi rządzą. Wyzwolę je spod władzy przypadku, dam im historię i cel.

- Przychodzi mi do głowy dość ciekawa analogia między tym ogrodem a społeczeństwem Zewnętrznych. Oni liczyli, że zmieniając swój genom, uciekną przed ograniczoną paletą przeznaczenia, narzuconą przez ten ciąg przypadków w historii ludzkości. Ale wojna położyła kres temu wielkiemu eksperymentowi, bo obawialiśmy się, że rozwiną się w coś ponadludzkiego, coś, czego nie będziemy w stanie opanować ani powstrzymać, coś, co wpłynie na nasz los, chcemy tego czy nie. Badając ten ogród i inne podobne ogrody, możemy zrozumieć potęgę ich możliwości. A kiedy je zrozumiemy, będziemy mogli nad nimi zapanować. Więc jest tu jakiś praktyczny sens pani prac, widzi pani, chociaż wątpię, żeby pułkownik był w stanie coś takiego docenić.

Sri Hong-Owen spojrzała na coś za plecami Loca i mruknęła:

- Wyłaż, Berry, i chodź do nas. Nie czaj się tak.

Chłopak wyrwał z cieni przy wejściu. Gdy Sri zapytała go, co sądzi o ogrodzie, powiedział, że podoba mu się robot.

- Mnie też się podoba - odpowiedziała Sri. - Moi asystenci instalują system, który pozwoli mi zdalnie tym wszystkim sterować, żebyśmy mogli dalej badać te polimaszyny, obojętne skąd. Zostaniesz na noc, Loc. Musimy porozmawiać o przyszłości Berry'ego.

Jakby go to w ogóle obchodziło, pomyślał Loc. Ale nie miał za wiele do powiedzenia. Tutaj wszystkim rządziła Sri Hong-Owen. Żeby tu przylecieć, potrzebował zgody pułkownika Malartego, ale, żeby odlecieć - jej zgody.

Wszyscy spożywali posiłek razem, w namiocie, którego podłogę stanowiło półżywe futro, wydymające się w siedzenia i niskie stoły. Asystenci Sri Hong-Owen byli młodymi, zyczliwymi, niezwykle inteligentnymi i zmotywowanymi ludźmi, wyraźnie zapatrzonymi w swoją szefową. Poza Antônio Marią Rodriguesem wszyscy byli Zewnętrzni; jedno, Raphael, było hermafrodytycznym neutkiem, wysokim i niepokojąco przystojnym; cerę miało nieskazitelną, bladą i przejrzystą niczym ściany namiotu.

Po posiłku Loc zapytał Sri Hong-Owen, dlaczego Zewnętrzni dla niej pracują. Powiedziała, że oni już przed wojną mieli sporo pomniejszych guru genetycznych, pracujących nad biomami habitatów, oaz i tak dalej, którzy z zapalem rzucili się na okazję do rozwijania swoich umiejętności przez badanie ogrodów Avernus.

- A są prześwietleni pod kątem bezpieczeństwa?

- Szanują i podziwiają dzieło Avernus, a poza tym okazują się niezmiernie użyteczni pod każdym względem. Na przykład, to oni pomogli mi znaleźć to miejsce. Jak się chce coś wytropić w Wielkiej Brazylii, idzie się śladem pieniędzy. A tutaj, u Zewnętrznych, śledzi się zapisy na giełdach rozmaitych miast i szuka większych wymian kudosów. Tym sposobem dwójka moich asystentów odkryła, że Avernus jakieś dwadzieścia lat temu wynajęła ekipę z maszynami górniczymi, a dalsze śledztwo doprowadziło mnie tutaj.

- Niektórzy mówią, że się pani ukrywa, boi się pani, że Euclides Peixoto odeśle panią z powrotem na Ziemię.

- Beze mnie nie wygraliby tej wojny - niespodziewanie wyzywająco rzuciła Sri. - I nie są w stanie ogarnąć, co właściwie wygrali, póki ja im nie wytłumaczę i nie pokażę, jak mogą na tym skorzystać i zarobić. „Ukrywam się” od ponad stu dni, bo pracuję. Ale przyznam, że faktycznie słaby mam ostatnio kontakt ze światem. Może ty mi opowiesz coś o tych wielkich zmianach, jakie tam zachodzą. O Arvamie. Powiedz mi, jak wyglądał, kiedy go ostatni raz widziałeś.

Rozmowa była niemal przyjemna. Loc uświadomił sobie, że nie są już wrogami, bo nie mają ze sobą zupełnie nic wspólnego. Sri Hong-Owen miała swoje ogrody i swoją obsesję na punkcie Avernus; Loc miał tymcza-

sowe potrzeby, których wiedza dla samej wiedzy nie była w stanie zaspokoić. Niczego od siebie nie chcieli, i niczego po sobie nie oczekiwali.

Gdy tak gawędzili, na zewnątrz zrobiło się ciemno i zaczął padać deszcz. Sri powiedziała, że tak się dzieje codziennie o zmierzchu. Jednakże deszcz szybko się wzmógł, zaczął mocno bębnić w napięty materiał namiotu, tak że Sri w końcu zadzwoniła speksami do któregoś ze swoich asystentów, odbywając krótką i gniewną rozmowę o klimatyzacji w ogrodzie.

- Muszę się czymś pilnie zająć - powiedziała Locowi, wstała i wyszła bez słowa.

Loc podszedł do wejścia do namiotu, zobaczył, że gada przez chwilę z dwójką asystentów. Kiedy wszyscy oddalili się w deszczowy mrok, poszedł za nimi, pewien, że coś się kroi. Grube poduszki mchu lśniły metaliczną luminescencją, jarząc się jak duchy małych chmurek, i pozwalały mu iść wzdłuż ścieżki, która zamieniła się w mały strumień. Zimna woda płynęła mu po stopach leniwie jak rtęć, ze wszystkich stron dryfowały ogromne krople niskograwitacyjnego deszczu; kiedy jedna trafiła Loca w głowę, zmoczyła go jak wiadro wody, Gaja jedna wie, jakie szkody wyrządzając jego starannie zaplecionym warkoczykom, zalewając twarz i wciekając pod ocieplacz do skafandra. Wycisnął pięściami wodę z oczu, splunął, prychnął, zobaczył, jak cienie Sri Hong-Owen i dwójki asystentów przepływają wzdłuż świetlistego mchu w stronę jeziora.

Poszedł po omacku do mostku i wszedł na niego. Tłuste, powolne krople rozbijały się na powierzchni wody w dole. Z warkoczyków kapąca woda, zimne powietrze szczypało w twarz. Szedł jednak przez oświetlony zielono korytarz ku czerwonemu blaskowi galerii widokowej, skąd dobiegało echo podniesionych głosów. Sri Hong-Owen mówiła coś do syna, który zwiesił głowę, wrzusał ramionami i pociągał nosem. Jedno z asystentów, neutko, trzymało się obolałe za oko; drugi był pochylony nad memoprzestrznią, której ułożone w powietrzu wirtualne ekrany pokazywały ścieżki brutalnie wycięte w kępach cienkich drucików i zagajnikach cienkich jak papier piór. Wyświetlały także, z kilku ujęć, pajakowatego robota, chodzącego bezmyślnie w kółko pomiędzy zniszczonymi gronami świecowatych prętów. Wyglądało na to, że Berry nie tylko dobrał się do klimatyzacji ogrodu mchów, ale i kazał robotowi siać zniszczenie w polimaszynowym ogrodzie.

Sri Hong-Owen odwróciła się nagle i zawołała Loca, zanim zdążył wtopić się w mrok. Powiedziała mu, że zmieniła zdanie. Nie jest już potrzebny. Ma natychmiast wyjeżdżać.

- Berry to moja odpowiedzialność. Ja się nim zajmę.

Loc nie mógł sobie odmówić ostatniego słowa.

- Mam nadzieję, że nie wyrządził zbyt wielkich szkód, proszę pani.

- Nic poważnego. A może jeszcze dać całkiem ciekawe efekty. Idź już - rzuciła wielka genetyczka. Jej lodowata pogarda wróciła w całej okazałości.



- Już. Nic tu dla ciebie nie ma.

\*\*\*

- Klasyczne popisywanie się - powiedział później Loc do kapitan Neves, już w Camelocie. - Jedyne sposoby, w jaki on umie okazać swoją frustrację, to rozwalanie czegoś.

- Ja tam myślę, że niektórzy robią złe rzeczy, bo są źli i tyle - odparła. - A Berry to złe nasienie, bez żadnych wątpliwości.

- No, na genetycznej loterii to mu się nie poszczęściło. Rozumiem, że schedę po matce ma przejąć drugi syn, ten, który został na Ziemi.

- To też jej za wiele nie pomoże, prawda?

- Prawie mi jej szkoda. Wierzy w wyższość rozumu i porządku. Wierzy, że nauka to nasz jedyny ratunek. Że tylko nauka pomaga zrozumieć świat i nas samych. Przede wszystkim zaś wierzy w kontrolę i determinizm. Ale te cudaczne rośliny w tym ogrodzie, te niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju konfiguracje, przeczą temu wszystkiemu. Są zabawą, która nie ma celu ani praktycznego sensu, a tymczasem ona wierzy, że okaże się lepsza od swojego wroga, próbując opanować coś, czego z definicji opanować się nie da. Śmieszne to wszystko - stwierdził Loc. - Może tam siedzieć całe życie, a i tak nie przybliży się ani o krok do zrozumienia Avernus.

- Czyli ty też tam nic wartościowego nie znalazłeś. Może powinieneś mnie zapytać, czego się dowiedziałam o Malarte.

- Prawie zapomniałem o kochanym pułkowniku. Będę musiał znaleźć jakiś sposób, żeby mu wytłumaczyć znaczenie tego ogrodu. Ale to jakby uczyć osła rachunku różniczkowego. No dobra, co ty wykombinowałaś?

Kapitan Neves wyjaśniła, że podpisała się do armijnej plotkarskiej maszynierii i dowiedziała się z niej, że pułkownik zatrudnił pewnego miejskiego senatora, kanciarza, niejakiego Todda Krougha, żeby pomógł mu w szabrowaniu dzieł sztuki, które wysyłał potem na Ziemię. Płytę piersiową ozdobioną ostatnim dziełem z cyklu *Siedmiu przemian układu pierścieni* Munka pułkownik przejął w zamian za uwolnienie z więzienia kobiety, która teraz jest jego kochanką.

- I pewnie szpieguje dla Zewnętrznych - zauważyła kapitan Neves.

- To faktycznie jest bardzo przydatne. Jednak jest jakiś pożytek z tej wycieczki.

- Masz plan, co? Chcesz obrobić pułkownikowi dupę.

- Malarte to pazerny kretyn, groźny dla wszystkich dookoła. Ujawnienie jego przestępstw leżałoby w interesie publicznym. Ale to niemożliwe, bo jest spokrewniony. To głupek, ale głupek z rodu Pessanha. Bezpośrednio nic mu się nie da zrobić. Ale można coś zrobić ludziom wokół niego. Nie senatorowi, senator może się jeszcze przydać. Natomiast ta jego kochanka...

no...

- O, to byłoby wielkie upokorzenie dla niego, gdyby ją zdemaskować. To by go mocno osłabiło - powiedziała kapitan Neves. Pomysł wyraźnie się jej spodobał. - Ale jest drobny problem, nie mamy żadnych twardych dowodów, że ona jest szpiegiem. Zebranie tego trochę potrwa i będziemy musieli działać na jego terenie.

- Nie będziemy jej demaskować. Zagrozimy tylko, że ją zdemaskujemy i że cała jej rodzina wróci do więzienia. Tam zresztą jest ich miejsce, nigdzie indziej.

- I wykorzystamy ją do szpiegowania pułkownika.

- Dokładnie. A poza tym, ciekawie byłoby dowiedzieć się, ile właściwie zdołała się nauczyć od Munka, kiedy była jego uczennicą. Bo chodzi mi po głowie taki drobny prezent powitalny dla Euclidesa Peixoto.

## ROZDZIAŁ 3

Po odwołaniu propagandowego tournée Frankie Fuente wrócił do rodzinnego stanu Piauí. Planował kupić udział w plantacji kopernicji i przez resztę życia patrzeć, jak inni zarabiają dla niego pieniądze. Cash Baker wrócił do szkoły oficerskiej i nauczania.

Z początku wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Po pogrzebie pani prezydent nastąpił miesiąc żałoby - flagi opuszczone do połowy masztu, czarne opaski, woda zamiast wina w kantine oficerskiej. Nowy prezydent, Armand Nabuco, w krótkim orędziu zaraz po zaprzysiężeniu, obiecał brak radykalnych zmian i kontynuację polityki, która uczyniła z Wielkiej Brazylii mocarstwo czyniące dobro w niedoskonałym świecie. Szybko stłumiono wybuchy niepokoju w Andach, na pustyni Chihuahua i wzdłuż granicy terytoriów północnych; odnowione żądania niepodległości ze strony nielegalnych grup nacjonalistycznych, jak Jeźdźcy Wolności, speszły na niczym; zdarto antyrządowe plakaty, zmyto graffiti, usunięto z sieci linki do nielegalnych stron. A potem, dzień po zakończeniu żałoby, Biuro Służb Strategicznych usunęło ze stanowiska tysiące urzędników państwowych i rządowych i obwieściło, że generał Arvam Peixoto, przywódca sił ekspedycyjnych w układzie Saturna, będzie wracać na Ziemię natychmiast po przekazaniu dowodzenia Euclidesowi Peixoto.

Wielu oficerów na uczelni pytało Casha, co to według niego znaczy. W końcu nie tylko tam służył, ale często spotykał generała. Czy Arvam Peixoto to człowiek, który tak łatwo odda władzę? Czy przekroczył swoje uprawnienia, zarządzając atak na rebeliantów w układzie Urana? A może zmusili go do odejścia, bo jest zagrożeniem dla nowej ekipy rządowej? A może ma to coś wspólnego z zobowiązaniami nowego prezydenta wobec radykalnych zielonych, którzy chcą się wycofać z Układu Zewnętrznego, bo sądzą, że dłuższa okupacja księżyców Jowisza i Saturna to marnotrawstwo zasobów, które można przeznaczyć na zalesianie rodzimej planety? Cash odpowiadał, że dla niego to wszystko polityka, a on się polityką nie zajmuje. Oczywiście, to znaczy, że wojskiem w układzie Saturna będzie teraz bezpośrednio dowodzić cywil, ale wojna się skończyła i to, jak mówił prezydent, jest ważnym krokiem w stronę normalizacji sytuacji w Układzie Zewnętrznym. Żałował, że generał musiał ustąpić, bo był świetnym dowódcą, uczciwym człowiekiem i zasługiwał na coś lepszego - ale tak to już jest na

świeczniku. Raz na wozie, raz pod wozem. Według niego, dla ludzi, którzy służyli pod generałem, tych, co rzeczywiście zajmowali się utrzymaniem pokoju i odbudową, praktycznie nic się nie zmieni.

Życie szybko udowodniło, że się mylił. Już parę dni po odwołaniu Arvama Peixoto wszystkich wojskowych poproszono o złożenie przysięgi na wierność wobec nowego prezydenta. Kadra akademii rozdiskutowała się gniewnie: niektórzy mówili, że to tylko trywialna formalność, inni przypominali, że przysięgali na wierność swojemu krajowi i jeśli mają jeszcze bardziej deklorować swoje poparcie, będzie to poparcie wobec urzędu prezydenta, a nie człowieka, który go tymczasowo obejmuje. Wybuchwały tak zawzięte kłótnie, że generał major Lorenz, dowódca akademii, musiał zabronić w mesie wszelkich dyskusji politycznych. Niektórzy przestali się odzywać do tych, z którymi się nie zgadzali; dwóch podporuczników wyzwało się nawzajem na pojedynek.

Walczyli w sali gimnastycznej, na noże, a kiedy każdemu udało się kilka razy drugiego dziabnąć, ogłoszono remis, przeciwnicy podali sobie ręce i razem poszli do szpitala.

Cash w dalszym ciągu powtarzał wszystkim, że polityka go nie interesuje, nie chciał stawać po żadnej stronie i posłusznie podpisał przysięgę na wierność, podobnie jak wszyscy inni. Parę tygodni później wcześniej rano obudziło go szarpnięcie za ramię. Stał nad nim kapitan BSS, a za nim dwójka żołnierzy - we trzech ledwo się mieścili w małym pokoiku.

Kapitan powiedział Cashowi, że jeśli będzie współpracować, nie zostanie aresztowany. Cash, czując zdumiewający spokój, powiedział, że z przyjemnością będzie współpracował, tylko niech mu powiedzą, o co chodzi.

- Mam rozkaz dostarczyć pana na złożenie raportu - wyjaśnił.
- Kazali mnie zabrać, ale nie powiedzieli, po co, tak? A mój bezpośredni przełożony o tym wie?
- Oczywiście, że tak. Ma pan dziesięć minut na spakowanie się.
- Nie ma sprawy - odpowiedział Cash. - Wysrać się i ogolić pewnie też mogę po drodze?
- Jeśli o to chodzi, prysznic też się znajdzie.

Zawieźli go konwertoplanem do wielkiej bazy lotnictwa po drugiej stronie Monterey, gdzie wsadzono go do pękatego transportowca. Tapir L-4 - latał takim w zaopatrzeniu, na wschód od Wielkich Jezior, jakieś trzynaście lat temu, zaraz po dyplomie pilota. Zamknęli go w kapsule, jakimi wożono wyższych oficerów i innych VIP-ów, było w niej łóżko, lodówka pełna przekąsek i soków, toaleta i prysznic - tamten kapitan nie ściemniał - i zawieźli na południe do Brasillii. Dotarł prawie o północy. Rządowa limuzyna zawiozła go do rządowego hotelu w samym centrum miasta. Dali mu pokój na samej górze, z wielkim łóżem i oknami od podłogi do sufitu, wychodzą-

cymi na park wzdłuż Eixo Monumental, zwieńczony białą koroną cierniową Catedral Metropolitana Nossa Senhora Aparecida, podświetloną jak statek kosmiczny, który ma zaraz wystartować w mrok kosmosu. Stwierdził więc, że na razie nie zamierzają go rozstrzelać. Na razie. Choć nadal nie miał pojęcia, czego od niego chcą i kim właściwie są.

Nazajutrz zawieziono go dziesięć przecznic dalej, do Ministerstwa Informacji, gdzie dwóch milikliwych żołnierzy BSS wprowadziło go tylnym wejściem i wjechało z nim windą do otwartego biura pełnego mundurowych i cywili pracujących za biurkami i w memoprzestrzeniach. Żaden nawet na Casha nie spojrział, gdy prowadzili go do małego pomieszczenia bez okien, upchniętego w kącie na samym końcu. Powiedzieli, żeby usiadł sobie wygodnie za odrapanym stołem, jeden ze strażników przyniósł mu papierowy kubek herbaty z lodem. Pokój niczym się nie wyróżniał: bladezielone ściany, czarna podłoga z żywicy. Żadnych plam krwi, na stole nie było ucha do kajdanek, żadnych widocznych kamer. Cash jednak i tak poczuł się bezbronny i niespokojny, siedząc tam, podczas gdy strażnicy stali pod drzwiami. Jakby wszystko w jego życiu prowadziło do tej jednej chwili i tego miejsca. Krytycznego momentu, na który nie miał wpływu. I którego może nie przeżyć.

Siedział tam przez ponad godzinę, gdy weszli oficer BSS i cywil, zamykając drzwi za sobą. Oficer BSS, pułkownik, zasalutował Cashowi w odpowiedzi, kazał mu z powrotem usiąść i zajął jedno z krzeseł po drugiej stronie stołu. Szczupły facet po pięćdziesiątce, paskudny jak ropucha, z małymi ciemnymi oczkami, dziobatymi policzkami i spłaszczonym nosem, w który w swoim czasie musiał parę razy dobrze oberwać. Zdjął czapkę z czarnym daszkiem, odsłaniając ogoloną czaszkę z wężlastą blizną nad uchem. Położył ją denkiem do dołu na stole i powiedział:

- Kapitanie, ja chcę tylko znać odpowiedź na parę pytań. Będziesz w stanie?

- Tak jest, panie pułkowniku.

Cash był na tyle mądry, żeby nie pytać, o co chodzi. Niedługo się dowie.

- Nosileś kiedyś czepek do rezonansu? - zapytał pułkownik,

- Nie, sir.

- To teraz będziesz mieć okazję. Pokaże nam, kiedy mówisz prawdę, a kiedy nie.

- Postaram się odpowiadać jak najlepiej na wszystkie pytania.

- Byłeś ranny - powiedział pułkownik i dotknął jego czoła czubkiem palca wskazującego.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- I wskutek tego masz luki w pamięci.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Więc być może nie zawsze wiesz, czy mówisz prawdę, czy nie. Bo nie

do końca pamiętasz, co jest prawdą, a co nie. Przez twoje obrażenia. Ale czepek do rezonansu nam powie, kiedy tak się dzieje.

- Chyba nie mam wyboru.
- Oczywiście, że masz. - Uśmiech pułkownika się nie zmienił, za to w spojrzeniu pojawiła się stal.
- Mogę się dobrowolnie zgodzić na przesłuchanie w czepku albo mnie zakujecie.
- Szybko się uczysz. To dobrze.
- No to dawajcie ten czepek - powiedział Cash.

Czepek mocno ścisnął jego ostrzyżoną na jeża głowę. Cywil włączył swój tablet, założył speksy, zadał Cashowi szereg obojętnych pytań i powiedział pułkownikowi, że gotowe. Przez resztę dnia omawiali przebieg służby Casha przed Cichą Wojną. Pilotowanie transportowców, misje bojowe przez ocean podczas wojny nerwów ze Wspólnotą Pacyficzną, oblatywanie kosmicznego myśliwca Jaguar Ghost, program badawczy J-2. Następnego dnia rozmawiali o ekspedycji na Saturna i zrobiło się dużo trudniej.

Nadal nie pamiętał wszystkiego, co się tam wydarzyło. Nie potrafił sobie przypomnieć ani Operacji Głęboka Sonda, ani obrony Febe przed wystrzeloną bryłą lodu. Miał jeszcze wiele innych luk w pamięci - pułkownik atakował je ze wszystkich stron, a cywil tymczasem obserwował na tablecie przebiegi aktywności w jego mózgu. Cash pocił się i próbował nie zwracać uwagi na mdlące pulsowanie gdzieś za lewym okiem. W końcu pułkownik zarządził przerwę i dali mu tabletkę, która trochę stępiła ból. Zaczęli jednak od nowa, a on dalej nie był w stanie się skupić, złościł się i frustrował za każdym kolejnym dociekliwym pytaniem pułkownika, który wiercił i wiercił, próbując zeń wyciągnąć wszelkie szczegóły wyprawy przeciwko śmiertelnie okrutnemu okruchowi lodu.

Cash powiedział mu wszystko, co wiedział. Przypominał sobie odprawę z generałem Peixoto, wiedział, że wyruszył na misję z Luizem Schwarczem i pilotką z Unii Europejskiej, Verą Jackson. Pamiętał, że Luiz mu o tym opowiadał, ale z samej misji nie kojarzył nic. Ani wylotu, ani ataku na zainstalowane na lodzie automatyczne systemy obronne; nie pamiętał, jak został trafiony ani co się potem stało. Za oczami głucho pulsował ból. Gula frustracji rosła i rosła. Zły był na siebie, zły na to, co się z nim stało, zły na sugestie pułkownika i niekończące się pytania. W końcu mu się udało: walnął pięściami w stół, krzyknął, że odkąd go uratowano, cały czas próbuje sobie to przypomnieć i nie może, bo tych wspomnień już po prostu nie ma.

Pułkownik odchylił się w tył i przyjrzał mu, trzymając brodę w palcach, potem powiedział cywilowi, żeby pokazał mu wideo.

Facet odwrócił tablet i ustawił go tak, żeby Cash widział pełnoekranowy obraz przedstawiający ospowatą bryłę lodu, powoli obracającą się wzdłuż

dłuższej osi pośród rzednącej mgły odłamków.

- To pamiętam, widziałem - odparł Cash. - To po tym, jak zniszczyliśmy im działa elektromagnetyczne i napęd. Tylko nie pamiętam, że bym tam był.

Wiedział, co teraz będzie. Czuł już lodowatą pięść w żołądku. Obraz bryły lodu zabarwił się pseudokolorami, sondowany radarem, mikrofalami i szerokopasmową optyką. Widok w podczerwieni pokazywał świeżo wyprute rozpadliny, sięgające od dziobu do rufy oraz gorący krater w miejscu, gdzie znajdował się wysadzony napęd termojądrowy. Na całej powierzchni rozmigotały się małe iskierki - to rój dronów, które zaatakowały solówkę Casha. Znikały jeden po drugim w czerwonych rozbłyskach lasera, potem nastąpił większy, biały błysk, gdy układy statku się poddały.

- Pokazali ci to, żebyś zrozumiał, jak zasłużyłeś sobie na medal za odwagę. Zaatakowałeś pocisk, zniszczyłeś większość jego systemów obronnych, twój statek został zniszczony. Ale nie pokazali ci tego - powiedział pułkownik, wyciągnął rękę i dotknął narożnika tabletu.

Widok przedstawiał wycinek pierścieni Saturna, podświetlonych od dołu Słońcem. Przesuwał się wzdłuż równoległych linii pyłu i lodu, biorąc na cel jasny rozbłysk silnika termojądrowego i skrytą za nim gruzłową sylwetkę holownika Zewnętrznych. Holownik otoczyła siatka celownika, wokół niej rozbłysły litery i cyfry, podające deltę  $v$ , moc napędu termojądrowego, profil radarowy, środki obrony i kupę innych informacji. Dodatkowe okienko pokazywało, że pełźnie w stronę Przerwy Keelera, mając za sobą łuk Pierścienia A.

- A to pamiętasz? - zapytał pułkownik.

- Nie, sir. - Cashowi zaschło w ustach. Język miał jak kołek. - Jeśli pan twierdzi, że to jest z kamer mojej solówki, to się pan myli. Mój statek zginął nad Febe. Podobnie jak ja. Wszystko jedno, co to jest, ale ze mną to nie ma nic wspólnego.

- Zobaczmy, może to ci odświeży pamięć - stwierdził pułkownik i znów dotknął ekranu.

Nagranie przeskoczyło parę minut w przód. Holownik wykonywał korektę kursu - u dołu okienka pojawiły się szeregi zmieniających się liczb, pokazujących, że ścigający go statek także zmienia kurs, podobnie jak wystrzelone kiedyś po drodze bezzałogowce, goniące holownik jak zajadłe psy. Wyskoczyła wiadomość tekstowa - historia służby Casha i rozkaz przerwania akcji.

Cash pochylił się ku ekranowi, cały mokry od potu, dłonie ściśnięte między kolanami, palce ciasno splecione. Dygotał od stóp do głów, jak maszyna, która ma się zaraz rozpaść.

Wyskoczyło kolejne okienko - ładowanie lasera gamma. I zaraz potem wszystko zaczęło wariować. Zdechło wszystko poza optyką. Łączność z

bezzałogowcami, układ lasera gamma, radar, sterowanie, wszystko. Widok optyczny odchylił się gwałtownie, przesunął w stronę płaszczyzny pierścieni, w pole widzenia wbiegły wydłużone łuki odłamków lodu i pyłu, coraz wyraźniejsze. W końcu ekran rozbłysł białą. Koniec gry.

Pułkownik oparł się wygodnie i przyglądał się mu. Siedzący obok cywil, zasłonięty speksami, obserwował iskierki i migotanie myśli Casha.

Cash wbił paznokcie w czepek do rezonansu, zdarł go z głowy, zmiął w rękach. Czuł pustkę i mdłości. Miał krew w ustach, prawie przegryzł sobie policzek od wewnątrz.

- Pierwszy raz to widzę - powiedział. - Nie wiem, skąd pan to ma, ale to nie ma nic wspólnego ze mną.

Pułkownik zapytał:

- A znasz niejakiego Loca Ifrahima?

Cash zamrugał zaskoczony.

- Dyplomatę.

Cash pokręcił głową.

- Nigdy go nie spotkałeś?

- Jeśli nawet, to nie pamiętam. Co się stało z solówką, która gonila ten holownik? To wyglądało tak, jakby trafiła ją jakaś broń elektroniczna.

- Odmówiła przerwania ataku na holownik, więc ją zneutralizowano. Loc Ifrahim. Nic ci to nie mówi?

- Nie przypominam sobie kogoś takiego. - Cash zastanawiał się, czy to nie ten człowiek wpakował go w kłopoty. Ktoś, komu podpadł, albo komu się sprzeciwił. Zastanawiał się, co on ma wspólnego z przerwaniem atakiem na holownik.

Pułkownik powiedział:

- Wielu rzeczy sobie nie przypominasz, Cash. Przejdziemy przez to wszystko jeszcze raz.

\*\*\*

Następnego dnia nikt po Casha nie przyszedł. Drzwi hotelowego pokoju były zamknięte od zewnątrz. Pośiłki przynosił mu strażnik. Połowę funkcji memoprzestrzeni miał pablokowaną, ale mógł oglądać telewizję. Państwowy kanał (wszystkie kanały były państwowe, ale to był urzędowy kanał państwowy) pokazał krótki materiał o powrocie generała Arvama Peixoto na Ziemię, w tym około dwóch sekund przedstawiających wielkiego męża stanu na wózku inwalidzkim, gdy z zadartą głową witał się z jakimś officerem. Cash oglądał to w kółko i robiło mu się niedobrze. Oczywiście rzecz, że wrabiają go w coś, żeby pogrążyć generała. Generał zrobił z niego bohatera. Symbol Cichej Wojny. Jednak według pułkownika, Casha nie zabili na Febe; jakimś sposobem przeżył i się zbuntował, nie wykonał bezpośredniego



rozkazu...

Dzień później też nikt po niego nie przyszedł. Jeszcze dzień później właśnie jadł śniadanie, gdy otworzyły się drzwi i wszedł dobrotliwie wyglądający, siwy wojskowy w mundurze lotnictwa. Przedstawił się jako podpułkownik Marx Vermelho, doradca Casha.

- Nie wiedziałem, że potrzebuję prawnika. Jestem aresztowany?

Na razie zachowywał spokój. Nie miał żadnego wpływu na to, co się dzieje, a nikt mu nie powiedział, czemu się tu znalazł, więc po prostu patrzył, jak sytuacja się rozwine.

- Nie jestem twoim prawnikiem, synu - powiedział podpułkownik. Był przystojnym starszym facetem o ciemnośniadej skórze i siwych włosach, przystrzyżonych krótko wokół podkowiastej łysiny. - Mam ci doradzać. Pomóc ci przygotować się do zeznań przed senacką Podkomisją do spraw pozaziemskich. Jak ta kawa? Nie, nie wstawaj. Sam sobie naleję, a potem przepatrzmy to twoje oświadczenie.

Było to krótkie streszczenie historii, którą przedstawił Cashowi pułkownik BSS w pokoju przesłuchań. Opisywało akcję nad Febe i stwierdzało, że statek Casha został uszkodzony po trafieniu odłamkiem wrogiego drona, potem jednak zdołał się naprawić, Cash skierował go do wewnątrz układu Saturna i wybrał cel. Otwarcie odmówił wykonania rozkazu przerwania akcji i jego solówka została zdezaktywowana. Zanurkowała w płaszczyznę pierścieni i tam trafiło ją drugi raz. Okruch bazaltu przebił się przez dziób i rozpadł na dziesiątki rozżarzonych do białości odłamków. Większość nieszkodliwie rozproszyła swoją energię w piance izolującej wypełniającej pustki w kadłubie statku, jeden natomiast przebił Cashowi ekran VR i przeszył mu mózg na wylot.

Cash powiedział, że w ogóle nie zbliżał się do pierścieni. Trafił go odłamek drona. Zabił jego statek. Zabił jego. Podpułkownik Vermelho pokręcił głową i dotknął narożnika tabletu, przewijając oświadczenie do zdjęcia czegoś, co przypominało miniaturowy księżyc, ciemny i pobrużdżony kraterami.

- To cię zabiło - powiedział podpułkownik. - Ekipa dochodzeniowa wyjęła to z zewnętrznej obudowy układu podtrzymywania życia twojej solówki. To bazalt, synu. Pirokseny z domieszką żelaza i niklu. Pierścienie Saturna to przeważnie lód, ale są w nim rozsiane skaliste odłamki, pełno ich, i to jest właśnie kawałek czegoś takiego.

Cash poczuł zimno, poczuł, jak skóra usiłuje mu się skurczyć na całym ciele. Wszystko w pokoju hotelowym stało się jasne i martwe. Błękitne niebo za oknami balkonowymi - odległe jak raj. Podpułkownik Vermelho przyjrzał się życzliwie Cashowi i dodał: - Wiem, jak się czujesz, dobrze wiem. Ale musisz zaakceptować, że to, co tobie wydaje się prawdą, to tylko połowa prawdy.

- Chodzi o generała Peixoto. Chcecie go pograć i wykorzystujecie mnie do tego.

- Ja chcę, żebyś powiedział prawdę.

- Chce pan, żebym udawał, że pamiętam rzeczy, których nie pamiętam.

- Nie, synu. To w ogóle nie ma tak być. Nie chcę, żebyś kłamał. Chcę, żebyś powiedział prawdę. Ale najpierw musisz zrozumieć, że oni cię w to wrobili. Okłamali cię. Generał i jego ludzie potrzebowali bohatera, a ty idealnie pasowałeś do tej roli - poza jednym drobnym epizodem, kiedy nie wykonałeś rozkazu i dałeś się zabić. Więc ten kawałek z twojej historii wycięli i skupili się na tych zdarzeniach, które przedstawiały cię w dobrym świetle. Jako bohatera wojennego. Którym zresztą jesteś. Leciłeś ciężko uszkodzonym statkiem, ale nadal robiłeś, co mogłeś, żeby zniszczyć cel, który sobie wybrałeś, a nie miałeś sposobu, żeby sprawdzić, że rozkaz przerwania ataku jest autentyczny. Zrobiłeś, co do ciebie należało w warunkach bojowych. Ale musisz pogodzić się z faktem, że oni cię wykorzystali. Generał Peixoto i jego ludzie wykorzystali cię. Dla swoich celów zatuszowali prawdę. To ich ekipa śledcza wyciągnęła ten odłamek bazaltu, który cię zabił, zatrzymali też czarną skrzynkę z twojej solówki. Wiedzieli, co się naprawę stało, i zatuszowali to, bo było dla nich niewygodne. Może nie pamiętasz, jak goniłeś za tym holownikiem Zewnętrznych i jak cię zdezaktywowali, ale zapewniam cię, że tak się właśnie stało.

- A jeśli nie zechcę?

- Synu, w twojej sytuacji się nie negocjuje. Będiesz współpracować czy nie, to się i tak wydarzy. A jeśli nie będziesz współpracować, trzeba będzie założyć, że należałeś do spisku. Że robiłeś to celowo. Natomiast, jeśli zrobisz co trzeba, staniesz przed komisją i złożysz zeznania, potraktujemy cię łagodnie. Nie zostaniesz oskarżony o spisek. Będziesz wolny. No dobra, to jak? Jedziemy z tym wszystkim jeszcze raz - zakończył pułkownik Vermelho, przewijając oświadczenie na tablecie na początek - i dopilnujemy, żebyś wszystko rozumiał.

Przeszli przez wszystko jeszcze raz. I jeszcze. Dwa dni później Cash stanął przed senacką Podkomisją do spraw pozaziemskich i złożył zeznania pod przysięgą. Udało mu się odpowiedzieć na wszystkie pytania zadane przez jednego z senatorów, wszystko było przeciwiczone, wszystko sugerowało większy spisek związany z tajemniczym holownikiem Zewnętrznych. Po wszystkim pobiegł prosto do najbliższej łazienki i zwymiotował. Podpułkownik Vermelho zawiózł go z powrotem do hotelu, zamówił do pokoju butelkę brandy, wypił z nim szklaneczkę i powiedział, że musi zostać w Brasiliu jeszcze z tydzień, żeby odpowiedzieć na ewentualne dodatkowe pytania, które przyjdą podkomisji do głowy.

Cash czekał trzy dni. Pierwszego wieczoru wypił resztę brandy, rano zamówił butelkę whiskey i od razu się za nią zabrał. Nie chciał być przy-

tomny. Nie chciał myśleć o tym, co zrobił i co jemu zrobiono. Trzeciego dnia z rana dwóch żołnierzy BSS wywlokło go z łóżka, trzymało pod zimnym prysznicem, aż zaczął błagać, ubrało, ogoliło i zaprowadziło na transportowiec, którym poleciał z powrotem do Monterey. Generał Arvam Peixoto nie żył. Po tym, jak oficjalnie oskarżono go o zbrodnie wojenne, w tym nieuzasadnione zabijanie cywili podczas bitwy o Paryż oraz nieudzielenie pomocy uszkodzonym statkom Zewnętrznym natychmiast po zakończeniu wojny, został oddany pod opiekę starszemu członkowi rodu. I tego samego dnia strzelił sobie w głowę ze służbowego rewolweru.

Dwa tygodnie później Casha postawiono przed sądem wojskowym. Rozprawa trwała tylko dwadzieścia minut. Odebrano mu odznaczenia, zdegradowano i wydano dyscyplinarnie z wojska. Po wszystkim zaczął wędrować na północ wzdłuż Zatoki Meksykańskiej, z miasta do miasta, aż do Teksasu. Tam zaczął się w bandzie szmuglującej antybiotyki, broń i sprzęt wyzwolony z magazynów Zespołów Rekultywacji i Odbudowy. Cash i drugi pilot z Obrony Powietrznej na zmianę pilotowali samolot bandy, mały jednosilnikowy gruchot z silniczkiem na alkohol. Latali nim tam i z powrotem wzdłuż skraju Wielkiej Pustyni. Cash dużo pił, przystopowywał trochę, kiedy miał pracę, a kiedy nie miał, zaczynał z powrotem.

Któregoś dnia utknął w podobnej do jaskini spelunie w zapyziałym miasteczku na północ od ruin Wichity. Siedział za barem z desek i rozpracowywał flaszkę rudej whiskey. Niebo na zewnątrz było żółte od pyłu nawianego z pustkowi Wielkiej Pustyni. Gorący wiatr niósł kłęby pyłu wzdłuż dawnej szosy, pomiędzy nierównym ciągiem domów o płaskich frontonach, skleconych z desek z odzysku, stojących wśród pustych działek jak szczerbate uzębienie. Plastikowa folia w jedynym oknie speluny trzepotała i trzaskała. Przez otwarte drzwi wlatywał pył, z sykiem sunąc po klepisku podłogi. Casha od pyłu swędziało pod koszulą i pod włosami. Zapucił włosy, a żeby nie wchodziły do oczu, związywał je bandaną. Jednym okiem zerkał na wiadomości na ekranie w rogu: nalot na jakieś gniazdo zbuntowanych naukowców na Antarktydzie. Nagle ktoś usiadł obok niego i powiedział:

- Kopę lat, kuzynie.

Cash odwrócił się, już zaczął mówić, że nie jest niczym kuzynem, ale zobaczył, że facet, wysoki, szczupły, w zielonej bluzie i niebieskich dżinsach Rekultywatorów, to Billy Dupree. Syn brata ciotecznego matki i najlepszy kumpel z dzieciństwa, z Bastrop. Uśmiechał się do niego i mówił:

- Coś tu porabiasz czy tylko siedzisz i włosy hodujesz?

Wybuchnęli śmiechem w tym samym momencie, objęli się, pokleпали po plecach. Billy poprosił barmana o szklankę, nalał sobie od Casha whiskey, przepił do niego, wypił do dna i nalał kolejną miarkę. Cash zapytał Billy'ego, co robi w tej dziurze zabitej dechami, Billy stwierdził, że właściwie powi-

nien zapytać o to samo.

- A nic, czekam, aż się jakiś biznes nawinie. Ty, widzę, się zaciągnąłeś?

- A ja słyszałem, że zrobili z ciebie jakiegoś supermana, kiedy wzięli cię na te kosmiczne samoloty.

- No, ale teraz jestem uziemiony - powiedział Cash i uniósł prawą dłoń, równoległe do ziemi. - Widzisz?

- Jak dla mnie, ani drgnie.

- Teraz tak, trzeba było zobaczyć, jak jestem trzeźwy.

Napili się i odrobili zaległości w plotkach. Cash ostatni raz widział Billy'ego, gdy zmarła mu matka, po rozległym ataku serca we śnie, Jezus, ponad dziesięć lat temu. Latał wtedy we wsparciu powietrznym kampanii Arvama Peixoto przeciwko bandytom w ruinach Chicago. Dostał urlop okolicznościowy, koledzy podrzucili go Tapirem L-4 do Atlanty, przeleciał z Atlanty do Bastrop rozklekotanym starym turbośmigłowcem RiO, poszedł na pogrzeb w galowym mundurze lotnika i następnego dnia wrócił do Chicago.

Domyślał się, czemu kuzyn go tu odnalazł, wiedział też, że Billy w swoim czasie przejdzie do rzeczy. Na razie przyjemnie mu się gadało o dobrych starych czasach, plotkowało o tym, co się stało z innymi dziećmi i znajomymi z siłowni. Powiedział Billy'emu, że nawet lubi tę pracę. Godziny mało regularne, kasa tak samo, ale chociaż się podróżuje w różne miejsca.

- Nawet żonaty byłem przez miesiąc, w Chihuahua. Kurna, może nawet jeszcze jestem. Tak szybko dotarło do nas, że do siebie nie pasujemy, że rozstaliśmy się bez żadnych formalności. Tylko wtedy byłem jakoś tam usatkwowany. Teraz cały czas jestem w trasie albo w powietrzu.

Billy powiedział Cashowi, że też się jakiś czas temu ożenił i ma trzyletniego syna.

- Ty naprawdę jesteś w Zespołach?

- Naprawdę.

- I gdzie stacjonujesz? Tutaj?

- No nie bardzo. Jestem w brygadzie transportowej, stacjonuję w domu, w starym dobrym Bastrop. Ja, wujek Howard i jeszcze paru innych, wszyscy żeśmy się już jakiś czas temu zaciągnęli.

- Transportowej, znaczy lotniczej?

- Też. I drogowej.

- To musi być jakiś kolejny przekręt wujka Howarda - stwierdził Cash.

Billy przyjrzał się mu. Po obu stronach bladoniebieskich oczu miał głębokie zmarszczki, sól w okalających usta wąsach podejrzanego typu. Sporo zmienił się od czasu, kiedy wałęsali się razem po ulicach, spędzali godziny na podziwianiu codziennego ulicznego spektaklu, zastawiali siła na szopy, po pięć centavos za skórę, załatwiali sprawy dla gości z klubu

bokserkiego prowadzonego przez babcię. Po godzinach tysiące razy trenowali boks na napiętych tkaninach ringu - Billy, z długimi ramionami, szybkimi, mocnymi prostymi i sierpowymi, przeważnie wygrywał. Był też od niego bystrzejszy, ale nie miał samozaparcia ani talentu do matematyki, który pozwolił Cashowi nabrać prędkości ucieczki, polecieć na Księżyc i dalej, do układu Saturna na Cichą Wojnę.

Powiedział teraz, z cwany półśmieszkiem:

- Pewnie się zastanawiasz, jak to możliwe, że na siebie wpadliśmy.
- No, myślę, że nie przypadkiem.
- Prawda jest taka, że cały czas się rozglądamy za dobrymi pilotami.
- RiO czy ty i wujek Howard?
- To w sumie prawie to samo. Wujek Howard w zasadzie rządzi tymi magazynami zaopatrzenia w Bastrop. Chciał, żeby ci przekazać, że jak chcesz, to jest robota.
- Możesz mu przekazać, że jest mi miło, ale ja się chyba do RiO nie nadaję. Bez obrazy. Tak już jest.
- Jeśli myślisz o swojej przeszłości, to żaden problem. Dla nas to nie jest ważne, bo jesteście rodziną. A rodzina trzyma się razem, żeby nie wiem co.
- Ja już mam robotę.
- Długo jej mieć nie będziesz. Twoi kumple przetrwali tylko dlatego, że dawali ludziom w łapę, żeby patrzyli przez palce. Ale słyszałem, że teraz będzie dokręcanie śruby. Urządzą czystkę, powywalają skorumpowanych urzędników. Będziesz się trzymać tych swoich kumpli, to może i ciebie utopia. Twój wybór, kuzynie, ale jak zmienisz zdanie, to zadzwoń, kiedy chcesz. - Billy wyciągnął z kieszeni kombinezonu złożoną karteczkę i położył ją na barze.
- Czyli szukacie pilota?
- No, a co myślałeś?
- A na jakie samoloty?

## ROZDZIAŁ 4

Kwiecień, Wybrzeże Foyna na Ziemi Grahama, Półwysep Antarktyczny. Początek zimy, dni już się kurczą. Słońce zbliża się do końca swojego krótkiego, niskiego łuku nad wschodnim horyzontem Morza Weddella, opadając za brazylijską fregatę, do niedawna nazywaną się na cześć admirała João Nachtergaele, teraz noszącą imię zamordowanego zielonego świętego Oscara Finnegana Ramosa. Najeżona antenami nadbudówka fregaty odcina się na tle krwawego zachodu słońca, sunąc ku wybrzeżu, kierując się na radar i GPS, przecinając krę i odpychając na boki niewielkie góry lodowe.

Zapadła noc, ośnieżone góry tworzące kręgosłup półwyspu stały blade, ledwie widoczne na tle czarnego, rozgwieżdżonego nieba, gdy okręt zakotwiczył parę kilometrów od wybrzeża, a z jego doku rufowego odbiło pięć wielkich pontonów wypełnionych komandosami z 3. Brygady Specjalnej. Komandosi mieli na ciepłych ubraniach kevarowe pancerze; siedzieli zgarbieni z bronią i sprzętem, osłaniając się przed lodowatymi bryzgami, gdy pontony sunęły przez wysokie fale. Wpłynęli do wcinającego się w ląd fiordu, zobaczyli rozsiane po północnym brzegu światelka. Niecałą minutę później nad ich głowami zawyły inteligentne pociski z dział elektromagnetycznych fregaty, sunące zygzakiem bardzo szybko i bardzo nisko nad ziemią. Czarna noc rozbłysła pomarańczowymi eksplozjami i hukiem materiału wybuchowego. Pociski trafiły w cele z punktową dokładnością; pontony przyspieszyły ku brzegowi, gdzie budynki płonęły razem ze swoimi odbiciami w wodzie, buchając wysokim płomieniem i słupami dymu. Wylądowały jeden przy drugim na ośnieżonym brzegu. Komandosi wyskoczyli i rozbiegli się na obie strony, niektórzy do laboratoriów oraz ostrzelanych budynków mieszkalnych, inni prosto do domu stojącego na skalnym grzbiecie nad fiordem.

Pomiędzy barakami laboratoriów wywiązała się krótka walka, obrońców jednak szybko pokonano przewagą liczebną - w niecałą godzinę ocalali naukowcy, laboranci i inni pracownicy siedzieli w rzędzie na ośnieżonym brzegu, zalani światłem reflektorów, z rękoma spiętymi nad głowami, podczas gdy komandosi chodzili między nimi i sprawdzali tożsamości ręcznymi skanerami DNA.

Starszych rangą naukowców, administratorów oraz szefa ochrony stacji zaprowadzono do domu na wzgórz, gdzie pułkownik Frederico Pessanha

zorganizował sobie stanowisko dowodzenia. Tarasy willi były całe poczer-  
niałe od wybuchów ракет, ściany podziurawione pociskami, jedna ze  
szklanych ścian - rozbita. Zaczynał padać śnieg, ostre poddmuchy wiatru  
sypały suchymi płatkami do pokoi. Pułkownik Pessanha siedział w salonie  
przy buzującym kominku dokarmianym połamanymi meblami, pił brandy i  
patrzył, jak jego spece od przesłuchań obsługują kolejnych jeńców. Był  
niezadowolony i na wpół pijany. Widać było, że informacja o nalocie wycie-  
kła. Rodziny naukowców i personel pomocniczy ewakuowali się do obozu  
na końcu fiordu, w budynkach ostrzelanych inteligentnymi pociskami nie  
znaleziono żadnych ofiar, obrońcy byli dobrze uzbrojeni i zajmowali  
przygotowane pozycje. A po człowieku, który kierował stacją badawczą, nie  
było ani śladu - i żaden z jeńców nie chciał powiedzieć, gdzie się podział.

Późno po północy pułkownik Pessanha kazał sobie przyprowadzić dwóch  
najważniejszych naukowców i szefa ochrony. Potem kazał im się rozebrać.  
Kłęczeli teraz nadzy i dygoczący na białym dywanie, całym zdeptanym  
brudnymi buciorami żołnierzy. Zapytał, kto im powiedział o nalocie, gdzie  
jest ich szef, gdzie się ukrywa. Odpowiedzieli, że nie wiedzą, kto ich  
zawiadomił, że szef wyjechał dwa dni temu, że nikomu nie powiedział,  
dokąd jedzie. Pułkownik Pessanha wyciągnął pistolet i strzelił naukowcom  
w głowę, najpierw jednemu, potem drugiemu. Następnie stanął nad szefem  
ochrony, wbił mu lufę w czoło i zadał te same trzy pytania. Szef ochrony  
miał tułów cały w czerwieniejących pręgach, złamany nos, zapuchnięte  
jedno oko, ale i tak wbił w pułkownika spojrzenie drugiego, ocalałego, i  
udzielił tych samych odpowiedzi co przedtem.

- Jutro moi ludzie sprowadzą tu wasze rodziny - odparł pułkownik. -  
Mogą pójść wolno albo zginąć. Twój wybór.

- Panie pułkowniku, on mi nie powiedział, dokąd się wybiera, a ja nie  
pytałem. Proszę się postawić na jego miejscu. Co by pan zrobił? Tak samo  
by pan zrobił.

- A czym pojechał? Motorówką? Helikopterem? Poszedł pieszo?

- Wydaje mi się, że poszedł pieszo.

- Wydaje ci się? Nie widziałeś?

- Wyszedł w nocy. Nie wziął żadnej łodzi, a helikopter stoi na płycie.

Więc tak, wydaje mi się, że poszedł pieszo.

- Słyszałem, że nie poszedł sam. To prawda?

- Wziął dwóch moich ludzi.

- Jesteś ich dowódcą. Dlaczego ci nie powiedzieli, gdzie idą?

- Ja tu odpowiadam za bezpieczeństwo. Nie jestem dowódcą. I nie  
powiedzieli mi, gdzie idą. Bo kazałem nie mówić.

- Długo tu mieszkasz?

- Jedenaście lat.

- Znasz teren.

- Pewnie.
- Schodziłeś go. Zbadałeś.
- Ile tylko się dało.
- To dokąd byś poszedł, gdybyś chciał się schować?
- Wzdłuż brzegu właściwie nie da się iść. Za dużo zatoczek, fiordów.

Jedyne wyjście to iść w góry.

- I tam poszedł, co? Do jakiegoś miejsca, które znasz. Jakiegoś domku. Bunkra.

- Nie wiem, gdzie poszedł. Niech pan mnie zabije, to i tak niczego nie zmieni.

- Ciebie? Nie, jeszcze nie. Ale może któreś z twoich dzieci? Ile ta najmłodsza ma lat, pięć? Mam kazać ją tu przyprowadzić?

Szef ochroni przeklinał pułkownika Pessanhę aż ochrypl.

- Skończyłeś? No to teraz się zastanów. Człowiek, którego szukam, już nie jest twoim szefem. Już nie musisz być wobec niego lojalny. Wobec swojej rodziny tak. Wobec niego nie. Dokąd poszedł?

- Nie wiem. Naprawdę. Nie wiem.

Pułkownik Pessanha odwrócił się do kapitana prowadzącego przesłuchania.

- To samo co inni?

- Tak jest.

- Sprawdzaliście pod rezonansem magnetycznym?

- Jeśli nawet coś wiedzą, to głęboko to schowali.

- Więc może to prawda. Właściwie, dlaczego nie?

Pułkownik Pessanha rozkazał strażnikowi rozkuć szefa ochrony, dał mu koc do okrycia, usadził go w jednym z wielkich foteli przed kominkiem, nalał szklankę brandy i wcisnął mu w rękę.

- Byłeś wcześniej żołnierzem - odezwał się. - Pogadamy sobie jak żołnierz z żołnierzem. Pytałeś, co ja bym zrobił, jakbym był na jego miejscu. To ja ci powiem. Ja bym nie uciekł. Zostałbym ze swoimi ludźmi. Walczyłbym razem z nimi. Ale twój przełożony to tchórz, który uciekł i zostawił was w gównie. Was i wasze rodziny. Walczyliście dzielnie. To szanuję. Ale wasz szef nie zasługuje na lojalność.

- Walczyliśmy, bo nas zaatakowaliście, tylko dlatego - powiedział szef ochrony. - Nie reagowaliście na nasze sygnały, że chcemy się poddać. Wyważyliście otwarte drzwi. Gdybyście normalnie przyszli, to normalnie byśmy się poddali.

- To teraz ty postaw się na moim miejscu. Mam zadanie zlikwidować ośrodek naukowy prowadzony przez zbrodniczą bandę, która popełnia tu wszelkie możliwe zbrodnie antywolucyjne i przestępstwa przeciwko Bogu i Gai. Produkuje potwory, chimery zwierząt i ludzkich dzieci. Dostają od nich wiadomość, że chcą się poddać. Mam im wierzyć, że mogę tu po prostu



przyjść i nie wpadnę w zasadzkę? Oczywiście, że nie.

Szef ochrony dopił z buntowniczym gestem resztę brandy ze szklanki.

- Obaj jesteście żołnierzami, ale wygląda na to, że jesteście całkiem innymi ludźmi - stwierdził, i to były jego ostatnie słowa.

Szklanka odbiła się od białego dywanu z hukiem jak echo strzału w głowę. Pułkownik Pessanha przekroczył ciało i podszedł do rozbitej szklanej ściany. Wyrzwał w ciemną noc, w roztargnieniu trąc palcami plamy krwi na czarno-białej bluzie maskującej. Wiatr zaczął nawiewać śnieg na zniszczony taras i gwizdać na ostrych odłamkach szyb.

- Zniknął - powiedział w końcu. - Pewnie, popatrzymy na obrazy z satelity, ale nic nam to nie da. W tych górach mogłaby się schować cała armia. Ojciec nie będzie zachwycony, ale co ja zrobię. Inne budynki zabezpieczone?

- Tak jest, sir - odezwał się kapitan. - Wygląda na to, że wszystkie zapisy wyczyścili.

- Ściągnijcie specjalistów. Mają jeden dzień na odzyskanie czegoś przydatnego. O świcie wywozimy więźniów, a jak specjaliści skończą, równamy to miejsce z ziemią.

- A rodziny, sir?

- Kurwa, zapomniałem. - Pułkownik Pessanha ścisnął nos kciukiem i palcem wskazującym, zamknął oczy. - Od razu wyślij drony i zobacz, jak się zachowują. Z rana do nich pójdziemy, każemy się poddać. Albo jeszcze lepiej: wyślemy któregoś z tych naukowców. Powiemy, że jak nie będzie współpracować, to wszystkich zabijemy. Wywozimy ich i oddajemy Peixotom. Niech oni kombinują, jak ich ukarać za ich zbrodnie. W końcu cały ten bajzel, cały ten diabelski ośrodek, to wszystko wina ich słynnej guru genetycznej.

## ROZDZIAŁ 5

Któregoś ranka Sri Hong-Owen szła skrajem obrzeżającego habitat lasu, zbierając rękokraby, żeby oszacować ich populację, gdy zmienacka zadzwonił do niej Euclides Peixoto. Powiedział, że powinna wiedzieć o pewnym problemie na Ziemi, i odczytał jej krótką oficjalną informację o udanej akcji przeciwko bandzie zbrodniarzy, którzy w swojej bazie na Antarktydzie bezczelnie łamali nowe przepisy kontrolujące badania naukowe. Ocalałe osoby aresztowano i przewieziono na Ziemię Ognistą; ich laboratoria zostały zniszczone.

- Przykro mi, że przynoszę ci złe wiadomości, ale nic nie poradzę - powiedział. Nie było mu ani trochę przykro.

- Alder jest wśród tych ocalałych?

Sri stała po kolana w paprociach, pomiędzy strzelistymi sosnami kalifornijskimi, w jednej dłoni miała długą tyczkę zakończoną pętlą z inteligentnego drutu, w drugiej siatkę z wielkim rękokrabem, a w speksach twarz Euclidesa Peixoto w okienku wirtualnego światła. Szok wyprał ją z wszelkich uczuć, czuła się pusta i nieważka jak duch. Jakby miała zaraz spaść z powierzchni świata.

- Z tego co rozumiem, twój syn uciekł, nim zaczęły się fajerwerki - powiedział Euclides.

- Czyli żyje.

- Tak uważają żołnierze, którzy go szukają.

- Ilu ludzi zginęło? Ma pan listę ofiar?

- Tak od ręki ci nie powiem, ale zdaje się, że dość dokładnie tam wszystko rozwalili. - Euclides wyświetlił jej widok z lotu ptaka na stację, czarne klekсы wypalonych budynków na tle ośnieżonego brzegu fiordu.

Źle to wyglądało, ale mogło być gorzej. Szok już ustępował, wypierany przez chłodną, spokojną złość. Mogła powiedzieć Euclidesowi, że jego rodzina przez lata zarobiła na innowacjach wypracowanych przez naukowców w jej antarktycznej twierdzy ponad dziesięć miliardów reali, że te prace były w Wielkiej Brytanii całkowicie legalne, póki dwa miesiące temu nie weszła nowa regulująca naukę ustawa, że na Antarktydzie są nadal legalne, a atak na stację był pogwałceniem co najmniej trzech różnych traktatów międzynarodowych. Jednakże nic z tego nie odkręciłoby ataku ani nie pomogło Alderowi - zresztą, Euclides pewnie liczył, że się załamię albo

straci panowanie nad sobą. Nie zamierzała mu dawać tej satysfakcji.

- Pewnie BSS będzie chciało z tobą pogadać - dodał Euclides. - Oszczędziłabyś wszystkim masy problemów, gdybyś odpowiedziała im, gdzie się może ukrywać twój syn.

- Może im pan odpowiedzieć, że nie mam pojęcia, gdzie jest - odparła Sri. Ściągnęła speksy i siadła między paprociami, w roztargnieniu patrząc, jak ręko krab skubie mocnymi czarnymi szczypcami węzły siatki, i zastanawiając się nad tym wszystkim.

Po odwołaniu Arvama Peixoto na Ziemię, habitat-ogród, w którym miał swoją kwaterę główną, został pusty - Euclides postanowił mieszkać w Paryżu, a Siły Obrony Powietrznej poprzemieniły ludzi Arvama w różne inne miejsca. Dlatego Sri skorzystała z okazji i zajęła go, w jednym skrzydle rezydencji instalując laboratoria, a na lodowej równinie na południe od habitatu stawiając szereg małych namiotów z doświadczalnymi biomami i obsadzając je naokoło poletkami nowatorskich organizmów próżniowych. Rękokraby były pierwszym jej eksperymentem w projektowaniu morfologii ciała - powstały poruszające się stwory z kościanym pancerzem, czterema przegubowymi „palcami” i podobnym do kołka „kciukiem” oraz gronem prostych fasetkowych oczu ponad aparatem gębowym wyposażonym w przydatki i czułki. Sto dni temu wypuściła pierwszą ich partię do lasu rosnącego pod brzegiem habitatowego namiotu, a one wdzięcznie rozmnożyły się i rozprzestrzeniły - krab w siatce był zdrowym i tłustym okazem, pod niestrudzonymi przydatkami gębowymi cały był obwieszony półprzejrzystymi larwami.

Planowała pozbierać okazy z co najmniej kilku nor, oszacować ich wiek, wielkość i zdolność reprodukcyjną i na tej podstawie ustalić rozmiary i zdrowie populacji. Proste badanie terenowe. Czysta frajda. No cóż, teraz nie było na to czasu. Otworzyła siatkę i wyrzuciła kraba, który zakręcił się w kółko, a potem pobiegł pomiędzy sosnowe igliwie i zniknął w zaroślach czarnego bzu okalających koryto strumienia. Potem zadzwoniła do swoich asystentów i sprzedawała im wieść, tłumacząc, że to oczywiste, że za atakiem stała frakcja radykalnych zielonych w rządzie.

- Trzeba się dowiedzieć, czemu moi ludzie w Senacie w żaden sposób mnie nie uprzedzili i czemu Euclides Peixoto wiedział o wszystkim przede mną. Trzeba się dowiedzieć, ile osób zginęło, albo zostało rannych, i co się stało z tymi, którzy przeżyli. Jeśli są w więzieniu i będą im stawiane jakieś zarzuty, moi prawnicy w Brasili muszą jak najszybciej zacząć ich reprezentować. Potrzebne mi zebrane wszystkie informacje o tym nalocie, reakcje władz Unii Europejskiej, Wspólnoty Pacyficznej i innych sygnatariuszy nowego paktu antarktycznego. Ale przede wszystkim potrzebny mi gig. Muszę lecieć do Paryża. Muszę porozmawiać z Berrym.

Przenosząc się do habitatu, Sri zabrała Berry'ego ze sobą. Zatrudniła gubernatorów mających uzupełnić luki w jego chaotycznym wykształceniu, rozpuszczała go, sprowadzając mu zwierzęta i ptaki, na które mógł polować w pierścieniowym lesie, zabierała go na wycieczki do tak zwanych wolnych miast - Camelotu na Mimasie, Aten i Sparty na Tetydzie i ogólnie starała się jak mogła nadać jego życiu jakiś kierunek i cel. Jednakże potem, w swoje szesnaste urodziny, Berry próbował zaciągnąć się do Sił Obrony Powietrznej i natychmiast został odrzucony. Obwinił o to Sri, jak o wszystkie inne porażki w życiu. Po wielotygodniowych dramatycznych scenach i awanturach przeniósł się w końcu do Paryża - i tam poleciała teraz Sri: wciąż spowita w lodowaty spokój, prowadziła giga nad łagodnie wyrzeźbionym terenem. Wylądowała na skraju portu kosmicznego na dnie krateru Romulusa i zabrała się do miasta wojskowym rolligonem.

Sierżant pilnujący garażu obok służb towarowych powiedział Sri, że wszystkie trójkołowce są wypożyczone. Może poczekać albo pójść pieszo, jej wybór. Po raz dziesiąty czy dwunasty spróbowała zadzwonić do Berry'ego, ale wciąż był poza siecią. Zatem poszła, skacząc oszczędnie niskograwitacyjnymi susami, w których dawno nabrała wprawy. Minęła nieczynne fabrykatory i magazyny oraz niezamieszkałe bloki mieszkalne o ścianach, na których wciąż widać było namazane przez żołnierzy sił okupacyjnych dzikie, wielokolorowe graffiti - symbole formacji i ich motta, przechwałki, karykaturalne okrucieństwa.

Ulice były puste. Poza paroma setkami niezbędnych pracowników, żadnym Zewnętrznym nie wolno było mieszkać w granicach miasta, a cały personel RTM, cywile, prywatni podwykonawcy i wojskowi mieszkali w Zielonej Strefie w centrum albo w biurach i blokach wybudowanych wokół stacji kolejowej na samym szczycie długiego zbocza obsadzonego parkiem. Powietrze pod kratownicowym dachem namiotu było chłodne, nieruchome i stęchłe, jak w zabitym deskami, opuszczonym domu. W alejach ułożono nową, soczyście zieloną półżywą trawę, ale stojące po obu stronach palmy, posadzone po wojnie na miejscu słynnych paryskich kasztanów, usychały, korony miały pożółkłe albo suche i brązowe. Pośrodku wielkiego skrzyżowania leżał zwalony z cokołu pomnik astronauty w staroświeckim skafandrze; park za nią był niecką z rozjeżdżonej oponami suchej ziemi. Pasaż z warsztatami rzemieślniczymi, dawno temu zniszczonymi i splądrowanymi, ział otworami niczym szereg jaskiń. Przed kawiarnią na rogu rozsiedli się mający wolne żołnierze; paru zagwizdało na Sri, kiedy przechodziła. Obeszła barykady Zielonej Strefy, minęła rząd wypalonych budynków z zawalonymi dachami i ścianami zapadniętymi i poczerniałymi jak potraktowany lampą lutowniczą wosk. Przecięła kolejny suchy, zapy-

lony park i trafiła do kwadratowego kompleksu białych budynków, stojącego u podnóża parkowego zbocza, na nowo obsadzonego lasem.

Przed wojną, kiedy Paryż był liderem oporu przeciwko inwazji brazylijsko-europejskiej ekspedycji, w tym kompleksie budynków zamieszkała Avernus ze swoją ekipą. Po wszystkim Arvam Peixoto przekazał je Sri. Taki jego żarcik. Teraz mieszkał tu Berry.

Sri nie odwiedzała syna od ponad stu dni: brud i smród w środku budynku odczuła jak policzek. Eleganckie rośliny na centralnym dziedzińcu zostały zniszczone i uprzątnięte - teraz pomiędzy walającymi się wszędzie śmieciami leżeli zaćpani lub śpiący ludzie. Młoda kobieta w mundurze z oderwanymi rękawami, eksponującym muskularne ramiona w wojskowych tatuażach, siedziała z założonymi nogami na wąskiej ławce, jedząc widelcem fasolę z ryżem z wojskowej racji; kiedy Sri zapytała ją, czy Berry jest w domu, kobieta dźgnęła palcem w stronę ciągu pomieszczeń po drugiej stronie dziedzińca.

Berry spał w ciemnej i gorącej klitce razem z kilkorgiem innych młodych mężczyzn i kobiet. Był nagi i na wpół pijany lub naćpany, ale dość spokojny - zaraz włożył bojówki i wyszedł za Sri na zewnątrz, ziewając i przecierając oczy pięściami. Usiedli na zeschniętej trawie i Sri prosto z mostu powiedziała mu, że był atak na ośrodek naukowy na Antarktydzie i że Alder zaginął.

- Nic się nie bój - dodała. - Z Alderem wiedzieliśmy, że to się może stać. Przygotowaliśmy dokładne plany na każdą okoliczność. Teraz ukrywa się w schronie i czeka, aż wrogowie przestaną go szukać. Jak tylko będzie bezpieczny, prześle umówioną wiadomość.

Berry myślał przez chwilę. Cerę miał krostowatą, oczy opuchnięte i czerwone. Przytył sporo - kiedy usiadł po turecku, nad paskiem bojówek wylewał się fałd brzucha, a na ręce miał tatuaż, animowanego, czerwonego, rogatego diabełka z kolczastym ogonem, dźgającego widłami płomienie. Zapuścił włosy i związywał je z tyłu w ciasno spleciony warkoczyk, sięgający poniżej łopatek. Dokładnie tak, jak kiedyś Arvam Peixoto, uświadomiła sobie Sri. Wreszcie odezwał się, swoim sennym, powolnym głosem, przeciągając samogłoski:

- Mój brat jest cwany. Przechytry tych wrogów.

- Pewnie, że tak. - Sri zawahała się, po czym dodała. - Ale wiesz, Berry, czasy są niebezpieczne. Myślę, że powinienes wrócić na trochę do habitatu. Będziesz tam bezpieczny a i mnie się bardzo przydasz.

Wiedziała, że Berry lubi wojsko, lubi dyscyplinę, porządek i ten fetysz przemocy - planowała wręcić go do ochrony habitatu. Obecny szef, doświadczony były sierżant piechoty morskiej, zajmie się nim, nauczy, zrobi z nim porządek. Jednak, kiedy powiedziała o tym Berry'emu, ten wzruszył ramionami i stwierdził, że chce zostać w Paryżu.

- Tutaj mam kumpli. I mam pracę.

- Widziałam tych twoich kumpli. Nie będę pytać, kto to jest i czemu pozwoliłeś im zrzuć ten budynek, ale serce mi się łamie, gdy widzę, jak marnujesz życie. Zaslugujesz na coś więcej.

- Ja nie marnuję życia. Ja mam tu pracę. Własny klub. Miejsce, gdzie żołnierze mogą pogadać, odpocząć sobie. Lubię to, dobry w tym jestem i to chcę robić - odparł Berry, z tą niespokojną miną, którą przybierał zawsze, gdy wydawało mu się, że zostanie ukarany albo odbierze mu się coś cennego.

Sri próbowała tłumaczyć, że ponieważ nowy prezydent nie ma poparcia w Senacie, był zmuszony stworzyć koalicję z senatorami z frakcji radykalnych zielonych. A ci dzięki temu nie tylko przepchnęli całą masę restrykcyjnych ustaw, ale i wykorzystali nową władzę, żeby usunąć albo odsunąć wszystkich, którzy nie zgadzają się z ich polityką.

- Dlatego wzięli na celownik Aldera. I dlatego ty, Berry, powinieneś wrócić ze mną. Tylko na trochę. Na wypadek, gdyby ktoś zechciał tobie też dać pokazową nauczki za tak zwane zbrodnie twojego brata.

- Twoje zbrodnie - powiedział Berry. - Do tego to się sprowadza. Coś, co ty zrobiłaś. I kazałaś Alderowi.

- Jego praca była dobra i pożyteczna. Tak jak wszystkich z naszego ośrodka. Berry, ty znałaś tych ludzi. A teraz prawdopodobnie nie żyją.

- Wszystko przez ciebie. Jak zawsze. Nie mogę wrócić na Ziemię, przez to, co tam narobiłaś. Nie chcą mnie w wojsku. A teraz chcesz zniszczyć wszystko, co tutaj zrobiłem. Jak zwykle.

- Powinnaś być bardziej się tobą zajmować - powiedziała Sri. - Zwracać na ciebie większą uwagę. Wiem o tym i przepraszam. A co do tego klubu, to cieszę się, że znalazłaś coś, co ci odpowiada. Widać jakąś twoją inicjatywę. Może wykazałbyś jeszcze trochę tej inicjatywy i pomógł mnie i Alderowi?

Kłócili się tak jeszcze przez pół godziny i wszystko na próżno. Berry przeszedł wszystkie swoje standardowe fazy wyparcia - od prostackich prób zmiany tematu, przez irracjonalną złość, aż po grobowy zły humor. Sri wściekła się i powiedziała mu, że ma przestać być takim egoistą, żeby się zastanowił, gdzie jest teraz jego brat i jak mu jest ciężko; Berry odparł, że całego swojego egoizmu nauczył się od niej. Potem już nic do niego nie docierało, a później okazało się, że jej asystenci nie byli w stanie uzyskać żadnych sensownych informacji o nalocie na stację badawczą. Musiała więc przecierpieć jeszcze krótkie spotkanie z Euclidesem Peixoto, który pokazał jej listę ofiar i z zachłannym błyskiem w oku patrzył, jak czyta, ewidentnie chcąc napawać się jej bólem.

Zaginęło troje ludzi, w tym Alder, a potwierdzono piętnaście ofiar śmiertelnych - wszystkie nazwiska kojarzyła, wszystkie należały do ludzi, których sama rekrutowała i szkoliła, którzy bez wahania zaakceptowali

kierownictwo Aldera, gdy musiała opuścić Ziemię, i dalej prowadzili znakomite i ważne prace. Euclides powiedział, że ocalali będą przetrzymywani w obozie wojskowym na Ziemi Ognistej, póki rodzina nie zdecyduje, co z nimi zrobić.

- Szczerze mówiąc, jest to dla nas wstyd. Podbite oko, w politycznym sensie. Więc pewnie będą musieli siedzieć w tym obozie, póki się trochę nie uspokoi i sytuacja się nie rozjaśni. Szybko to nie będzie. Powinnaś być na to przygotowana. Aha, i jeszcze poproszono mnie, żebyś zapomniała o jakichkolwiek prawniczych numerach. To tylko będzie większy wstyd dla rodziny. Jeśli to zrobisz, będą reperkusje. Tobie może to nie zaszkodzi, ale twoim ludziom na pewno.

- Ci „moi ludzie” tak naprawdę pracowali dla rodziny. I gdyby rodzina ich odpowiednio chroniła, nie znalazłaby się teraz w tej kłopotliwej sytuacji.

- Łamali prawo. A tego rodzina przecież nie może pochwalać, co?

Euclides Peixoto, ubrany w uszytą na miarę wersję niebieskiego lotniczego munduru, stał tyłem do wysokiego okna wychodzącego na zadrzewione zbocza parku i rzekę. Był przystojnym facetem spowitym w leniwą arogancję kogoś, kto nigdy nie musiał się wysilać, żeby dostać to, czego chce; próżny i głupi, posiadał jednak spryt cwaniaka i udowodnił, że potrafi przetrwać prawie w każdej sytuacji - w dużej mierze dzięki swojemu szczęściu.

Przed wojną Euclides przyłączył się w rodzinie do stronnictwa, które było przeciwne wysiłkom na rzecz pokoju i pojednania z Zewnętrznymi zielonego świętego Oscara Finnegana Ramosa - stryjecznego dziadka Euclidesa i mentora Sri. Euclides próbował wykorzystać Sri w intrydze mającej na celu usunięcie Oscara, ona jednak domyśliła się, że później ją zabiją, i wykonała własny ruch - zabiła zielonego świętego, uciekła z Ziemi, oddała się pod opiekę Arvama Peixoto. Jednak teraz Arvam nie żył i znów znalazła się na łasce i niełasce Euclidesa. Za śmierć Oscara nie mógł jej ukarać, bo sam był wplątany w tę paskudną i poplątaną intrygę, ale nie przepuścił żadnej okazji, żeby zademonstrować, jak się cieszy, że znowu ma nad nią władzę.

Kiedy zasugerowała, żeby przywieźć na Saturna naukowców i laborantów z antarktycznego ośrodka, bo będą nieocenioną pomocą w porządkowaniu skarbów Biblioteki Publicznej, odparł, że nie ona jedna prowadziła badania w tej dziedzinie, a poza tym, jak na pewno sama dobrze wie, ostatnie zajścia na Antarktydzie podkopały bezpieczeństwo jej posady.

- Nie ma sensu wozić tych ludzi aż tutaj, żeby od razu odsyłać ich z powrotem, jak cię odwołają - powiedział i zmienił temat, podchodząc do gabloty z płytą piersiową skafandra, pokrytą misternym malowidłem.

- To jedna z *Siedmiu przemian układu pierścieni* Munka. Ostatnia z serii. Znasz go? Munka? Przed wojną był jednym z największych tutejszych

artystów.

- Na sztuce to ja się za bardzo nie znam - odparła Sri.  
- Ja też. Ale trzeba przyznać, że temu całemu Munkowi nieźle to wyszło. W życiu nie zgadniesz, od kogo to dostałem. Od naszego wspólnego znajomego z dawnych czasów.

- Loca Ifrahima.

- Albo zgadłaś, albo wiesz coś, o co cię nie podejrzewałem.

- Wydedukowałam. Mamy bardzo mało wspólnych znajomych, a z nich tylko pan Ifrahim ma swobodny dostęp do wyszabrowanych dzieł sztuki. I nie dziwi mnie, że chciał się przypodobać.

- Muszę przyznać, że od czasu do czasu okazuje się przydatny. Ten gość, do którego to należało, był kiedyś wojskowym zarządcą Camelotu na Mimasie. Pułkownik Faustino Malarte, kojarzysz? Był zamieszany w aferę z przemyceniem tego typu rzeczy na sprzedaż na Ziemi.

- Nie śledzę polityki.

- Wiem. Nie obchodzą cię rzeczy ważne dla innych ludzi, ciebie obchodzi tylko twoja praca. To zresztą nie krytyka... Właśnie ta cecha mi się u ciebie podoba. Bo to znaczy, że mogę ci spokojnie mówić o polityce i wiem, że jak coś mi się wymknie, ty tego nie wykorzystasz. No, w każdym razie: poczciwy Malarte znalazł się na celowniku intensywnego śledztwa. Przyczynił się do tego Loc Ifrahim - w sumie to on to zaczął, chociaż tak sprytnie, że większość ludzi nic nie zauważyła. Śledztwo wykazało, że Malarte nadużywał władzy. A potem, kiedy czekał na odesłanie na Ziemię i zdegradowanie, dwójka Zewnętrznych zamordowała go. Naprawdę nic o tym nie wiesz? Widzę, że nie. Świetna historia. Jednym z zabójców był asystent członka camelockiego senatu, który pomagał Malartemu zdobywać te przemycane na Ziemię dzieła. Drugim była kochanka Malartego. Poszła z nim do łóżka, żeby uratować przed więzieniem paru swoich krewnych, ale on i tak ich wsadził. No i Malarte znalazł się w takich tarapatkach, że w sumie zrobili mu przysługę, jak go zabili - uratowali go przed wstydem, sądem wojennym i plutonem egzekucyjnym. Mnie to, szczerze mówiąc, trochę zdenerwowało, bo pułkownik był z Pessanhów, a my, Peixoto, w wielu kwestiach się z nimi nie zgadzamy. Taki soczysty wojskowy sąd to fajna plama na honorze. A tak dostali męczennika. Ale nie dlatego kazałem rozstrzelać morderców. Po prostu nie możemy sobie pozwolić, żeby Zewnętrzni mordowali naszych ludzi, nawet jeśli przypadkiem są oszustami, gwałcicielami i szabrownikami.

- Ta pana ponura historyjka do czegoś zmierza, prawda? - zapytała Sri.

- Zaraz się okaże. Ta płyta piersiowa była jednym z najrzadszych okazów w kolekcji Malartego. Loc Ifrahim wyzwolił ją i dał mi w prezencie. Ja oczywiście kazałem ją sprawdzić. I wiesz, co się okazało? To falsyfikat. Bo rozumiesz, kochanka Malartego była uczennicą Munka. Więc albo Ze-



wnętrzni go kantowali, wciskali mu podroby, albo Loc Ifrahim kazał tej kochance wysmażyć falsyfikat, mówiąc, że w zamian będzie mogła się zemścić. Malarte zginął w magazynie, gdzie trzymał łupy przygotowane do wysłania. Ta kobieta zdobyła kod do drzwi i zaczęła się tam na niego ze współnikiem. Śledztwo wykazało, że wykradli kod, chociaż nie wykluczam, że Loc Ifrahim go jej podrzucił. Cwany sukinsyn z niego: pozbywa się Malartego, dostaje w ręce bardzo cenne dzieło sztuki i jeszcze wychodzi na człowieka, który wyświadcza mi osobistą przysługę. A poza tym jeszcze tak tym zakręcił, że jego bardzo bliska przyjaciółka, kapitan Neves, została w Camelocie szefową bezpieczeństwa. Ten Ifrahim wie, jak się gra. Ale nie przejmuj się, ja nie spuszczam go z oczu. Któregoś dnia powinie mu się noga i ja już tam będę. Podam mu na tacy jego własną głowę.

Sri była tylko nieznacznie zdegustowana opowieścią Euclidesa. Dawno przyzwyczaiła się do intryg, rywalizacji i zbrodniczych czynów najwyższych urzędników RTM. O ile jednak dyplomaci, urzędnicy, podwykonawcy i wyżsi wojskowi skupiali się na szabrowaniu miast i osiedli układu Saturna, o tyle Euclides Peixoto nadymał się i groził wszystkim jak najgorszy naczelnik więzienia.

Wielka Brazylia odegrała główną rolę w zwycięstwie w Cichej Wojnie, ale wobec przegranych nie okazała się wielkoduszna ani miłosierna. Miasta, których władze poddały się przed wojną i pozostały neutralne, zachowały wprawdzie pewien stopień niepodległości, jednak ich obywatele nie mogli nigdzie podróżować bez zgody władz okupacyjnych - a takie zgody nie były prawie w ogóle udzielane - byli nieustająco monitorowani i kontrolowani, mieli ograniczony dostęp do sieci, zakaz zgromadzeń liczniejszych niż pięć osób i tak dalej. Na Dione sytuacja była jeszcze gorsza: tam prawie wszyscy Zewnętrzni siedzieli albo w obozie więziennym albo w tak zwanym Nowym Mieście. Skonfiskowano im większość majątku, musieli znosić niezliczone rewizje osobiste i przesłuchania, a woda, żywność i wszystkie niezbędne dobra były ściśle racjonowane. Według Euclidesa Peixoto to był najskuteczniejszy sposób na opanowanie ich - stanowił jednak źródło ciągłych tarć między jego władzami a władzami wolnych miast. Było to też bezsensowne marnotrawstwo umiejętności i wiedzy Zewnętrznych.

Natomiast klimat polityczny robił się coraz bardziej wrogi wobec Zewnętrznych. Pojawiły się plany przewiezienia wszystkich tak zwanych więźniów wysokiego ryzyka, w tym ocalałych członków rządu Paryża, do specjalnego obozu na Księżycu, a w Nowym Mieście prowadzono masową próbę tak zwanego „programu zerowego przyrostu” - wszystkim powyżej dwunastego roku życia wstrzyknięto implanty antykoncepcyjne. Frakcja Radykalnych Zielonych w rządzie Wielkiej Brazylii uważała, że pilnowanie i kontrolowanie Zewnętrznych to za mało - trzeba jeszcze uniemożliwić im posiadanie dzieci. Nie trzeba będzie masowych egzekucji ani obozów

śmierci - wystarczy samo powolne, humanitarne kurczenie się rasy, aż umrze ostatni genetycznie zmodyfikowany człowiek i antyewolucyjne zagrożenie, które stanowią Zewnętrzni, zniknie na zawsze. Zajmie to co najmniej stulecie, ale jest niezbędne dla przetrwania ludzkiej rasy.

Gdyby Wielka Brazylia samodzielnie pokonała Zewnętrznych, program zerowego przyrostu być może byłby już wdrożony na wszystkich zamieszkałych księżycach Jowisza i Saturna. Jednak Unia Europejska miała obiekcje moralne wobec programu przymusowej, masowej sterylizacji, a Wspólnota Pacyficzna nie tylko zawarła robocze partnerstwo z mieszkańcami Japeta, ale i zwoziła z Ziemi osadników, rozbudowywała bazę na Febe i groziła zaanektowaniem co mniejszych księżyców, z których po wojnie siłą wysiedlono nielicznych mieszkańców.

Spory pomiędzy trzema stronami RTM o kierunek i cel okupacji rozwinęły się w coś w rodzaju zimnowojennego pata, pełnego podejrzliwości i paranoi. Wielka Brazylia zresztą, mimo rosnącego w siłę stronnictwa radykalnych zielonych, nie chciała jeszcze rezygnować z eksploatacji wiedzy technicznej i naukowej Zewnętrznych; przynajmniej dopóki Europejczycy i Wspólnota Pacyficzna plądrowali ją do woli - a były nadal szanse natrafienia na jakieś egzotyczne okruchy fizyki, matematyki lub inżynierii genetycznej, mogące stać się fundamentem dla przełomowej technologii, zmieniającej oblicze świata jak lotnictwo czy antybiotyki. Ustawodawstwo radykalnych zielonych oznaczało, że badania naukowe w Wielkiej Brazylii są reglamentowane i kontrolowane przez nową i fanatycznie ostrą agendę rządową, prace na Księżycu i w Układzie Zewnętrznym trwały jednak bez przeszkód, jako kluczowe dla bezpieczeństwa narodowego. Sri jednak, choć nadal mogła ze swymi asystentami badać ogrody Avernus, rozpracowywać biotechnologię Zewnętrznych czy zgłębiać przepastne archiwa Biblioteki Publicznej, przy minimalnej ingerencji komisji recenzenckich i nadzoru, i tak czuła, że kończy się jej czas.

Sądziła, że już dość solidnie rozumie zasady leżące u podstaw konstrukcji ogrodów Avernus. Rozmawiała z wieloma ludźmi, którzy znali guru genetyczną albo z nią pracowali, i choć próby skonstruowania symulacji AI na razie wypadły rozczarowująco, pomysłu nie porzucała. Potrzebowała więcej nowych danych oraz lepszej integracji danych już posiadanych. Sri opracowywała algorytmy mapujące potencjał, jak to nazywała, „biologicznej przestrzeni informacyjnej”. Dowiedziała się wiele o tym, w jaki sposób niezliczone i urozmaicone ogrody Avernus utrzymują homeostazę - a niektóre z nich przez dziesiątki lat przechodziły cyklicznie przez kolejne stany, ani razu nie wykazując załamania populacji ani nie wymierając. Wymyśliła także sporo nowych sztuczek dotyczących projektowania, działania i rozmnażania się organizmów próżniowych. Wykorzystała je do stworzenia odmian, które wykazywały pseudopłciową rekombinację swoich podstawo-

wych instrukcji oraz losowe dziedziczenie różnic w pseudorybosomach produkujących „białka” specyficzne dla ich funkcji metabolicznych - stworzyła więc mechanizm pozwalający na wykształcanie się różnic osobniczych, tym samym potencjalnie zdolny do ewolucji przez darwinowską selekcję.

Na dokładkę do tego wszystkiego, ostatnia kłótnia z Berrym na nowo pobudziła jej zainteresowanie rozwojem ludzkiego mózgu i fundamentalnymi neurologicznymi mechanizmami powstawania i regulowania emocji. Sri przeczytała masę literatury, streściła ją, podsumowała dotychczasową wiedzę i spisała sobie ważne pytania, na które dotąd nikt nie udzielił odpowiedzi. Jeśli dać sobie spokój z freudowskimi bajkami i podejrzanymi socjoantropologicznymi porównaniami z młodymi, poddominującymi samcami szympanów, w literaturze pozostawał tylko konsensus, że zachowania młodych ludzi - ataki złości i smutku, wściekłości i tak dalej - są spowodowane zmianami w mózgu podczas ostatnich faz dojrzewania płciowego. Skutki tego przemeblowania mózgu są bardziej widoczne u mężczyzn niż kobiet, bo zmiany są nie tylko napędzane krążącą we krwi potężną falą testosteronu, ale i skoncentrowane w krótszym okresie, co powoduje radykalne oderwanie się stanów emocjonalnych od wyższej świadomości.

Fundamentalnie, pomyślała Sri, to jest jeden ze skutków ubocznych tego, że ewolucja mózgu przebiegała tak niesamowicie konserwatywnie. Pomimo drastycznych różnic w planie ciała, wszystkie kręgowce posiadają zasadniczo tę samą konstrukcję - przodomózgowie, śródmózgowie, tyłomózgowie - realizującą te same funkcje podstawowe. Dlatego, choć u ssaków (a szczególnie u ludzi) potężnie rozrosła się kora nowa, pod nią leży układ limbiczny bardzo podobny do występującego u gadów, płazów i ryb. A to w nim znajdują się mechanizmy regulujące emocje podstawowe: radość, zagrożenie, złość, lęk, zaskoczenie i zniesmaczenie.

Te emocje i typowa skojarzona z nimi mimika rozpoznawane są przez wszystkie ludzkie kultury. Są zakodowane na twardo w mózgu, można je wyrazić w ciągu paru milisekund od bodźca i odpowiada za nie samo wzgórze, bez konieczności odwoływania się do wyższych funkcji w korze nowej - dlatego ludzie mogą zniecać poczuć strach lub złość, bez podejmowania wcześniej świadomej, rozumnej analizy wyzwającego je bodźca. W kategoriach ewolucyjnych taki skrót ma na celu przetrwanie i jest bardzo sensowny. Jeśli rzuca się na ciebie lew, musisz od razu zacząć uciekać - jeśli się zastanawiasz, czy uciekać, czy nie, giniesz i zostajesz zjedzony. Jednak ludzie już dawno nie mieszkają na afrykańskiej sawannie, więc wiele sytuacji wyzwających emocje podstawowe nie ma już bezpośredniego związku z przetrwaniem - a to znaczy, że wiele osobników i wiele kultur przejawia ostre i szybkie reakcje w sytuacjach wcale ich niewymagających. Szczególnie widoczne jest to u młodych mężczyzn -

przeskakują od zera do stu procent bez żadnych stanów pośrednich i nie ma sensu apelować im do rozumu, bo ich reakcje nie opierają się na rozumie - świadoma myśl przychodzi dopiero później i wytwarza *post factum* uzasadnienia dla nieracjonalnych zachowań.

Drugi zbiór uniwersalnych emocji - rumieńce miłości, poczucia winy, wstydu i zażenowania; kolczaste ciernie dumy, zawiści i zazdrości; przyjemne uczucie akceptacji przez innych, zwane w Japonii *amae* - łączy się z wyższymi funkcjami korowymi, ich wywołanie trwa dłużej niż podstawowych i dłużej też wygasają. Niektóre, na przykład zazdrość czy wstyd, występują także u innych naczelnych, czy wręcz u innych ssaków. Inne, zawiść czy poczucie winy, wydają się specyficzne tylko dla ludzi. Wielu badaczy spekulowało o przykładach, w których wydawało się, że naczelne lub inne ssaki wykazywały te emocje, ale z punktu widzenia Sri nikt nigdy nie przedstawił niezbitego dowodu. I wszystkie te uczucia są fundamentalnie społeczne, wywoływane przez interakcję z towarzyszami, a nie bodźce środowiskowe. Ponieważ ich wykształcenie trwa dłużej niż emocji podstawowych, ma na nie większy wpływ sam podstawowy stan czy zabarwienie emocjonalne mózgu - nastrój - i da się je modyfikować poprzez doświadczenie. Emocje podstawowe, typu odruch walka-ucieczka różnią się pomiędzy kulturami tylko nieznacznie, natomiast wyższe emocje wykazują znaczną różnorodność.

Sri pomyślała więc, że jeśli chcemy uczynić człowieka bardziej racjonalnym, trzeba mu tłumić emocje podstawowe, na przykład sprawiając, żeby były trudniejsze do wyzwolenia, wzmacniać natomiast emocje związane z wyższymi funkcjami poznawczymi. A z tych najciekawsza jest *amae*. Choć nie ma nazwy ani w portugalskim, ani w angielskim, ani w większości zachodnich języków, jest bez wątpienia uniwersalna. Sri знаła *amae*: to właśnie czuła po udanej prezentacji dla współpracowników. Aprobata, poczucie, że jesteś kimś wartościowym.

Psychologia ewolucyjna dawała aż nadto gładkie uzasadnienie: człowiekowate na afrykańskiej sawannie były selekcjonowane pod kątem *amae*, bo cecha ta zapewniała społeczne spoiwo łączące członków plemienia, dzięki niemu było ono silniejsze, mniej podatne na klótnie prowadzące do podziału, skłonniejsze do współpracy i szybkiej zgody. Sri jednak nie interesowały historie mówiące „bo tak”, choćby nie wiem jak były prawdopodobne. Szukała sensu praktycznego. Zatem szczególnie zainteresowały ją dowody, że *amae* pojawiła się, żeby zmieniać próg wyzwalań emocji podstawowych, tłumiąc te z nich, które, choć przydatne dla zachowania życia jednostki, były szkodliwe dla spójności grupy. Gdyby udało jej się znaleźć jakiś sposób na wyzwalań czy indukowanie *amae*, myślała, może sprawiłaby, aby Berry poczuł się częścią wspólnoty, uświadomił sobie, że jest chciany, otoczony troską i doceniany - może wtedy

byłby mniej skłonny do napadów złości i dąsów. Może wtedy byłby skłonny pokochać ją na nowo.

Zewnętrzni sporo pracowali nad *amae*, jako że była istotnym elementem ich prób tworzenia naukowych utopii - Sri odbyła wiele interesujących dyskusji na ten temat z jedną z czołowych badaczek, Umm Said, w obozie więziennym Nowego Miasta.

Brazylijskie siły okupacyjne na Dione zbudowały Nowe Miasto dwadzieścia kilometrów na północ od Paryża i było ono żywą ilustracją zalet współpracy, wzajemności i ducha społecznego, promowanego i nagradzane przez *amae*. Choć wąski klin przykrywającego je namiotu był szczelnie wypełniony beznadziejnie przeludnionymi i zbudowanymi byle jak blokami mieszkalnymi, to w żadnym razie nie był slums. Wszędzie rozkwitały maleńkie ogródki. Ściany bloków obwieszono dodatkowymi platformami albo specjalnymi siatkami, dzięki czemu czysto utylitarne konstrukcje zmieniły się w tarasy pełne zbóż i ziół. Na dachach było pełno placów zabaw, małych knajpek i innych wspólnych przestrzeni, a wszystkie dachy łączyły zjeżdżalnie i tyrolki. Przestrzeń prywatną urządzano podobnie jak publiczną. Choć Umm Said mieszkała z partnerką i czwórką dzieci w jednym małym pokoju, był on jasny, czysty i niezwykle schludny. Skąpy dobytek przechowywały w kilku skrzyniach albo na wieszakach, podłogę pokrywały bambusowe maty, poduszki okalały niski stolik - jedyny mebel w tym domu: cała rodzina spała na rozwijanych na noc cienkich materacach.

Umm Said była wysoką, elegancką, czarnoskórą kobietą o bystrym umyśle i jak wszyscy Zewnętrzni hojnie i nieskrępowanie dzieliła się swoją wiedzą. Popijały ze Sri zieloną herbatę, skubały sushi z wodorostów, ryżu i sfermentowanej fasoli albo podsmażane na maleńkiej płycie pierożki lub sajgonki i całymi godzinami rozprawiły o wyższych stanach emocjonalnych.

Według Umm Said, skłonność Zewnętrznych do zachowań pielęgnujących *amae* zwiększa się dzięki odpowiednim bodźcom środowiskowym, od udziału w planowaniu rozwoju miasta, po drobne interakcje społeczne i jest wzmacniana dodatnim sprzężeniem zwrotnym. Osoby, których zachowanie zwiększa *amae* innych, są także bardziej podatne na bodźce wywołujące *amae* u nich samych. Zewnętrzni posiadają też specyficzną dla swojej kultury emocję, *wanderjahr*, rok podróży, która znajduje upust przede wszystkim u nastolatków i dwudziestolatków - jest to pełen tęsknoty niepokój, który nakazuje im opuścić dom i podróżować z księżycą na księżyc. Utrzymując się z prostych prac fizycznych, odkrywają, co ich interesuje i pasjonuje, doświadczają wszelkich aspektów kultury Zewnętrznych i uczą się porozumienia z najrozmaitszymi ludźmi. A ponieważ to uczy ich otwartości umysłu i tolerancji oraz sprawia, że czują przynależność nie do jednej grupy społecznej czy miasta, lecz do całego Układu Zewnętrznego,

skłonni są przyjmować *amae* jako swój podstawowy czy też bazowy stan emocjonalny.

Sri, odwieczna sceptyczka, stwierdziła, że uczucie spajające grupę czy plemię ma i drugą stronę medalu - zwiększoną wrażliwość na sygnały i znaki sugerujące inność czy odmienność. W sytuacjach stresowych ta wrażliwość może wywoływać wrogość czy nietolerancję w stosunku do innych, a wynikię z aprobaty towarzyszy dodatnie sprzężenie zwrotne szybko wzmacnia pojedyncze incydenty, tworząc agresywne zachowania stadne.

Umm Said uważała, że Zewnętrzni dobrze o tym wiedzą.

- Dlatego właśnie mamy cały system starannie skalibrowanych mechanizmów kontrolnych. Coś w rodzaju kanalizacji, która odprowadza zbiorowe emocje, zanim spiętrzą się w wielką powódź.

- W Paryżu nie za bardzo się to sprawdziło. Na początku wojny rządził tłum. Powódź przelała się przez tę „kanalizację”.

- To dlatego, że nasz burmistrz rozmontował znaczną część tych mechanizmów kontrolnych. A po drugie, on był Zewnętrznym dopiero w drugim pokoleniu. Jego ojciec był dyplomatą z Unii Europejskiej, który postanowił u nas zamieszkać.

- Czyli Marisa Bassi był outsiderem, któremu brakowało wyczucia tłumem. Złym nasieniem, nierozumiejącym, jak ważna jest *amae*.

- Albo rozumiał to aż za dobrze i wykorzystał do własnych celów - zauważyła Umm Said. - Ta kwestia, jak pewnie się domyślasz, jest już zadyskutowana na śmierć. Niestety, Bassi zginął w bitwie o Paryż, więc nie poznamy prawdy.

- Zwłok nigdy nie znaleziono, a słyszałam też pogłoski, że wcale nie zginął. Że jest przywódcą tego waszego skazanego na klęskę ruchu oporu.

- Faktycznie, ich metody są tak samo bez sensu, jak Marisy Bassiego. I o wiele mniej skuteczne niż zbiorowe pokojowe protesty.

- Ja tam nie widzę jakichś przewag jednego nad drugim - powiedziała Sri. - Próbowaliście wszystkich możliwych pokojowych taktyk, bojkotów, pikiet, głódówek. I proszę, wszyscy i tak siedzicie w tym obozie.

- Przekonywanie przez oświeconą dyskusję to także forma pokojowego oporu - odparła Umm Said i pewną ręką dołała Sri zielonej herbaty.

Sri była już o kilometry od swojego pierwotnego celu - znalezienia sposobu na utemperowanie ataków złości i lęków Berry'ego. Praca stała się obsesją, celem samym w sobie, jak to często u niej bywało. Uważała, że Umm Said nie ma racji. Że aby mieć skłonność i łatwość przeżywania *amae*, wcale nie trzeba się urodzić Zewnętrznym i tutaj wychować; że da się tak zmodyfikować mózg, aby był mniej skłonny do zachowań motywowanych podstawowymi emocjami układu limbicznego. Jeśli uczucie da się przekazać i wzmacniać kulturowo, to na pewno da się także ustalić utrwalone ścieżki, które żłobi w mózgu ten proces. A skoro da się ustalić, to i uda się

zsyntetyzować.

Napisała pełną spekulacji pracę naukową, zreferowała ją za pomocą awatara na paru konferencjach psychologów behawioralnych oraz neurologów w Wielkiej Bryzylji i dostała sporo zachęcających komentarzy. Badania trwały od czasu ataku na antarktyczny ośrodek, więc sporo czasu, uzasadniła to jednak komisji, wspominając o przemyśleniach dotyczących zachowań i kontroli społecznej u Zewnętrznych oraz spekulując o możliwościach zastosowania ich w praktyce, na przykład do przeciwdziałania zamieszkom albo manipulacji medialnych. Od lat zajmowała się przypochlebianiem rozmaitym frakcjom w ramach rodziny Peixoto i dokładnie wiedziała jak pobudzić interesowność rozmaitych urzędników i polityków.

Pośrodku tego wszystkiego, sto sześćdziesiąt trzy dni po zniknięciu Aldera, jeden z agentów wyszukujących Sri zauważył i wyróżnił mało charakterystyczny wpis na pewnym naukowym forum. „Oby twoje znaki i podnoszące na duchu prace dalej nas wszystkich oświecały”. Ślepa wiadomość, na którą umówili się z Alderem na wszelki wypadek. Oznaczała, że żyje i jest bezpieczny.

Sri przez resztę dnia miała wrażenie, że fruwa. Alder nie zginął podczas nalotu na ośrodek naukowy. Nie wiedziała gdzie jest, z kim i co zamierza, wiedziała za to, że żyje, że przynajmniej wydostał się z Antarktydy i czuje się wystarczająco bezpieczny, żeby zamieścić taką wiadomość. Była na tyle mądra, żeby nie próbować na nią odpowiadać, ani nie potwierdzać w żaden sposób, że ją odebrała i zrozumiała. Kiedy będzie gotów, znów się z nią skontaktuje. Jest odważny, inteligentny i przedsiębiorczy. Coś wymyśli, żeby móc wyjść z ukrycia i nie obawiać się aresztowania. Znajdzie sposób na odbudowę swojej potęgi.

Tymczasem Berry przeniósł się z Paryża do Camelotu na Mimasie i założył kolejny klub, tym razem wspólnie z grupą młodych Zewnętrznych. Wyglądało na to, że Zewnętrzni, którzy dorośli po wojnie i z uwagi na narzucone przez RTM ograniczenia w poruszaniu się, nie mogą wyruszyć w zwyczajową roczną wędrówkę po Układzie, robią się coraz bardziej niespokojni, jak zamknięte w klatce ptaki, dla których przychodzi pora migracji. Ich frustracja znajdowała upust w coraz gwałtowniejszych działaniach antyspołecznych, począwszy od drobnych aktów wandalizmu, przez odmowę realizacji obowiązków obywatelskich, aż po zwiększoną konsumpcję psychotropów i falę antyestablishmentowej sztuki i tekstów. Niektórzy próbowali uzasadnić swój bunt, majstrując nihilistyczną filozofię opartą na XX-wiecznym sytuacjonizmie i paru odmianach anarchii; Berry i jego nowi przyjaciele założyli w wolnej strefie Camelotu klub, Klub Nic, gdzie zbierali się i dyskutowali założyciele tego ruchu. Wierzyli w całkowitą śmierć wszelkich hierarchii, w ocenianie wszystkiego na podstawie kontekstu, a nie kategorycznych reguł, w metaforyczną analizę wszystkiego, od języka, po

tożsamość kulturową, za pomocą baterii wymyślonych języków matematycznych i pedagogicznych. Cały ruch miał psotne, żartobliwe zabarwienie - jeśli wszystko unosi się swobodnie, oceniane tylko przez przydatność w kontekście, w jakim się akurat znalazło, to nic nie jest ważne - wszystko, w tym i sam ruch, nie wykracza ponad zawily, rozbudowany żart dla wtajemniczonych. Berry jednak brał to bardzo poważnie, wierzył, że wszystkie klubowe obrzędy - dudniąca pierwotna muzyka, dzikie, prymitywne tańce, skomplikowane pokazy świetlne, psychotropy podkreślające produkcję serotoniny i wywołujące tak zwane „uczucie oceaniczne” polegające na stopieniu się z otoczeniem - są czymś więcej niż tylko chwilową ucieczką od pospolitości świata. Nie, dla niego było to niemal religijne przeżycie: ekstaza prowadząca do prawdziwej przemiany, zbliżająca człowieka do Boga.

Sri ostro pokłóciła się z Berrym po tym, jak zasugerowała, że może mu pomóc osiągnąć te same stany emocjonalne przez rezonans magnetyczny ze sprzężeniem zwrotnym, wyspecjalizowane wirusy i inne delikatne sposoby na manipulowanie utartymi ścieżkami neuronalnymi. Powiedziała, że pomoże mu to opanować huśtawki nastrojów; on stwierdził, że chce go zamienić w potulnego zombiaka. Pokłócili się wściekle, dotknięci do żywego, a Berry był też wtedy napakowany niezłą paletą psychotropów. Przez chwilę wydał jej się kompletnie obcy.

Zabrała się za pracę. Tak sobie ze wszystkim radziła. Tak miała. I nagle, gdy minął trochę ponad rok po nalocie na antarktyczny ośrodek, a poza tą jedną wiadomością nie miała żadnych wieści od Aldera, pewien zaprzyjaźniony oficer z bazy na Tytanie wyjawiał jej, że znaleziono jedną z kryjówek Avernus.

\*\*\*

Tego samego dnia Sri wyleciała z Dione na Tytana. Nie chciało jej się nawet prosić o zgodę Euclidesa Peixoto ani wojskowej kontroli lotów. Przywłaszczyła sobie prom, ruszyła prosto na Tytana, wylądowała w brazylijskiej bazie koło Tank Town, na brzegu Morza Lunine'a. Cztery dni później już znajdowała się na pokładzie sterowca i zbliżała się do północnego brzegu Xanadu, wielkiej jak kontynent prowincji rozciągającej się wokół tytanowego równika.

Nierówny, skalisty teren przypominał trochę pogórze Himalajów - ostre pasma wzgórz poprzecinanymi uskokami i meandrującymi korytami rzek - i podobnie jak Himalaje powstał wskutek zderzenia dwóch płyt tektonicznych, choć na Tytanie te płyty unosiły się na podziemnym oceanie wody amoniakalnej, a nie na roztopionej skale. Kryjówka Avernus znajdowała się na końcu krętej doliny wijącej się pomiędzy urwistymi skałami. Zanim



aktywność tektoniczna wypiętrzyła ten obszar, był on częścią układu rzecz-nego wyrzeźbionego przez błyskawiczne powodzie ciekłego metanu i etanu, podczas rzadkich acz gwałtownych burz równikowych. Teraz stał się suchym płaskowyżem, pokrytym fluoropochodnymi węglowodorami i ograniczonym klifami z twardej jak skała zamrożonej wody amoniakalnej, popękany w kaniony i parowy, którymi osypywały się z góry piargi, tworząc trójkątne wachlarze osypisk.

Sri uparła się pójść sama. Chciała złapać klimat miejsca, w którym ukrywała się Avernus. Chciała zakotwiczyć się w jej rzeczywistości.

Z obu stron górowały nad nią wysokie skały, poprzecinane tak licznymi parowami, że osypiska na dole zlewały się w jedno, opadające ku szerokiemu dnu doliny, przeciętej krętymi kanałami i zasypanej czarnym węglowodorowym piaskiem. Sporo tego osadu zdryfowało, tworząc podłużne wydmy pod kątem prostym do skał; sterowiec przysiadł jak wielka pikowana manta nad jedną z nich, szarpiąc się na cumach w nieustającym wietrze. Dalej, po drugiej stronie doliny, we wszechobecną pomarańczową mgiełkę strzelały piłokształtne góry.

Gdy wspinała się po łagodnej pochyłości ze zbitego gruzu skalnego, czarny grys chrupał pod podeszwami izolowanych butów jak popcorn. Na Dione przyzwyczała się do ptasiej lekkości - przy tytanowym 0,2g czuła się jakby kości jej skamieniały, a na plecach dźwigała mściwą staruchę. Kiedy dotarła na skraj wygładzonego placu wielkości boiska do futbolu, przed przewieszką, pod którą garażował mały samolocik Avernus, brakowało jej tchu i spociła się obficie pod skafandrem.

Pierwsza grupa poszukiwawcza, która go znalazła, zdarła maskującą go fullerenową plandekę. Był jaskrawoczerwony, z wielkim śmigłem na dziobie, krótkimi skrzydłami i zamykaną kabiną. Wcale nie wyglądałby dziwnie na Ziemi.

Sri już go raz widziała. Przeleciał nad nią, kiedy leżała na plecach wewnątrz wulkanicznej kaldery, obezwładniona splotami nici wystrzelonych przez jeden z wytworów Avernus. Dokładnie wtedy postanowiła, że nigdy nie przestanie jej szukać: teraz, choć stała na progu jednej z kryjówek wielkiej genetyczki, nie czuła ani triumfu, ani ekscytacji. Po czterech latach polowania ofiara była tak samo nieuchwytna i zagadkowa jak przedtem.

Wspięła się stromą ścieżką na skraju parowu, pnąc się po nierówno wyciętych stopniach: mięśnie płonęły, serce waliło, co parę minut musiała się zatrzymać, żeby złapać oddech. Pod samym szczytem klifu ścieżka skręciła i zanurkowała w kanał tak wąski, że Sri ocierała się o niego oboma barkami skafandra. Dotarła nim do standardowej śluzy powietrznej. Przepompowała się przez nią i wylądowała na szczycie schodów wpasowanych w wąski, spiralny korytarz przypominający wnętrze muszli żeglarka. Ciepłe światło barwy Słońca na Ziemi przeświecało przez membranę,

upstrzoną losowymi kołami i owalami, która zakrywała całą przestrzeń od góry do dołu. Wzdłuż schodów, zgodnie z nimi wił się mały strumyk, ściekając pomiędzy grządki z warzywami i ziołami, aż po trawnik z prawdziwej trawy i mały sadek pełen karłowatych, sękatych drzewek owocowych.

Zdjęła hełm, zamknęła oczy i zaciągnęła się chłodnym powietrzem, zmieszany zapachami wilgotnej ziemi i zielonych, kwitnących roślin, potem zeszła schodami na sam dół. Między dwiema jabłoniąmi wisiał hamak. Jedna wnęka pod schodami zawierała prysznic i toaletę, w drugiej był przemysłowy wytwornik żywności. Widać Avernus żywiła się jedzeniem z pierwiastków CHON uzupełnionym tym, co mogła sama wyhodować w ogrodzie. Energię czerpała z wiatraków ukrytych w prowadzącym na powierzchnię kanale oraz generatorów termalnych odzyskujących ciepło resztkowe głęboko pod lodową skorupą księżycą. Sri usiłowała sobie wyobrazić samotne życie w takiej norze, ukrytej pod wiecznym lodem Tytana, nikogo w promieniu dwóch tysięcy kilometrów, do towarzystwa tylko własne myśli. Hodowanie roślin. Konserwowanie prostych systemów podtrzymywania życia. Sporadycznie spacer wzdłuż doliny, albo pomiędzy wzgórzami otoczonymi pociętymi klifami.

Jakby próbować wczuć się w codzienne zwyczaje ducha. Zobaczyła oczyma wyobraźni starą kobietę, jak odwraca się od niej, odchodzi w jałowy krajobraz, znika w zapomnieniu.

Po obejrzeniu wszystkiego w habitacie, Sri wyszła z powrotem na zewnątrz, zeszła ścieżką i przeszła przez garbate wydmy do sterowca. Dowodzący grupą poszukiwawczą porucznik podleciał nim jeszcze dwa kilometry w głąb doliny, do miejsca gdzie Avernus parkowała kiedyś swój statek - była to izolowana płyta lądowiska ustawiona w środku pola potężnych lodowych głazów, na soczewkowatej wysepce wyniesionej ponad czarne wydmy.

Lądowisko wypatrzył któryś z autonomicznych dronów Sri ~ a maleńki habitat wyszedł podczas badania obszaru penetrującym radarem o wysokiej rozdzielczości. Wielkość i kształt znalezionej niedaleko plandeki maskującej sugerowały, że statek był jedną z aerokapsuł wykorzystywanych przed wojną przez Zewnętrznych do wożenia ludzi i towarów przez atmosferę Tytana. Nikt nie miał pojęcia, kiedy ten statek odleciał ani dokąd. Tytan nie miał ani radaru, ani kontroli lotów, statek pewnie miał maskowanie, a poza tym na sto procent poruszał się po oszczędnym energetycznie kursie, wymagającym tylko krótkich impulsów ciągu.

Sri była przekonana, że Avernus nie ma już w Układzie Saturna. Czemu miałyby narażać się na wykrycie podczas skoków z księżycą na księżyc? Nie, na pewno spotkała się ze statkiem, który wywiózł ją gdzieś dalej. Może na Neptuna. Pojawiały się informacje o narastającym ruchu pomiędzy księżycami Neptuna. Euclides Peixoto coś przebąkiwał o ekspedycji karnej; krążyły też plotki, że Pacyfiki dogadują się potajemnie ze zbuntowanymi

Zewnętrzny.

Sterowiec zdryfował nisko i wystrzelił kotwice. Sri zsiadła z niego i obesła lądowisko. Mieciony wiatrem węglowodorowy piasek zeszlifował wielkie jak domy głązy do gładkości, niczym jajka. Niektóre stały na zerodowanych cokołach. Jak ogród gigantycznych rzeźb na pofałdowanym czarnym piasku.

Rozejrzała się za śladami butów, ale żadnych nie znalazła - ewidentnie wygładził je nieustający wiatr - wyszła z cienia sterowca i wspięła się na czubek cypla. Drabinka czarnych wydm uwięzionych między stromymi klifami niknęła w oddali w pomarańczowej mgłę. Wiatr buzował białym szumem, owiewając kulę hełmu. Sri postanowiła kiedyś, że nigdy nie przestanie szukać Avernus; marzyła też, że namówi ją do długotrwałej i owocnej współpracy, ale na samą myśl o próbie ścigania jej w mrokach peryferii Układu Słonecznego poczuła znużenie i lęk.

Dobra, dosyć, pomyślała. Wypyta się Guntera Lasky'ego - stary pirat na pewno od zawsze wiedział o tej kryjówce - i zaleci władzom, żeby jak najszybciej wysiedliły Tank Town. I wtedy da sobie spokój z pościgiem. Ma szczegóły ogrodów Avernus, ma rozmowy z jej współpracownikami, sporą bazę jej dzieł. Wystarczy. Pora zacząć coś z tym robić.

Ostatnio dużo myślała o fenotypowej dżungli z Janusa. Mały współorbitujący księżyc stał się polityczną kością niezgody. Wspólnota Pacyficzna zaklepała go sobie, chciała osiedlić na nim własnych, dzielnych pionierów - i dała jasno do zrozumienia, że zrobi to nawet bez zgody Wielkiej Brazylii i Unii Europejskiej. Euclides Peixoto wściekał się na to - kiedy ostatni raz się z nim widziała, przez pół spotkania wykłinał bezczelność Pacyfików. No i dobrze. Może mu zaproponuje, żeby uprzedzić plany Pacyfików i pozwolić jej zainstalować się tam z laboratorium. Sama żyłaby w dżungli fenotypowej i zbudowała sobie własny ogród. Pora wykorzystać wszystko, czego się nauczyła. Można też obiecać Euclidesowi, że się wzbogaci, bo da mu większościowy udział w swoich odkryciach...

Stojąc na diamentowym lodzie, pod pomarańczowym niebem Tytana, Sri Hong-Owen po raz kolejny zaczęła planować swoją przyszłość.

# CZEŚĆ IV

Bunt, bunt

# ROZDZIAŁ 1

Odsiedziawszy pięć lat z wyroku za zabójstwo pierwszego stopnia, Felice Gottschalk pracował jako więzienny nadzorca. Przed wojną pospolitych przestępców, którzy popełniali rozmaite gwałtowne przestępstwa wskutek uszkodzeń lub błędów w wewnętrznej neurochemii, poddawano arsenałowi terapii i zabiegów; teraz kazano im pilnować i kontrolować wiele setek pokojowych demonstrantów, otkazników, byłych polityków oraz przywódców ruchu na rzecz pokoju i pojednania, stłoczonych w śmierdzących tunelach więzienia o zaostrzonym rygorze zbudowanego przez Europejczyków pod Xambą na Rei. Jeśli nie liczyć konieczności radzenia sobie z samobójcami i sporadycznymi pikietami protestacyjnymi, praca nie sprawiała trudności. Ucieczka była niemożliwa - każdemu więźniowi wstrzykiwano w trzeci krąg szyjny małą kapsułkę, która nie tylko nieustannie rozsyłała swoją pozycję, ale także wpinała się pseudoaksonami do zwoju korzeni tylnych i powodowała paraliżujące migreny oraz skurcze mięśni, jeśli wyszło się choćby na krok poza granicę więzienia. Jeśli zaś mowa o codziennej więziennej rutynie, osadzeni zorganizowali się w stuprocentowo demokratyczny kolektyw, naśladowujący w miniaturze ich życie sprzed wojny. Większość z zasady odmawiała kolaboracji z okupantami i nie chciała pracować przy fabrykatorach, na farmach lub polach organizmów próżniowych, nie znaczyło to jednak, że próżnowali. Grupy ochotników sprzątały noclegownie i wspólne pomieszczenia, konserwowały układy podtrzymywania życia. Inne grupy pisały i wystawiały opery, kompozycje na chór i spektakle teatralne; były medresy i grupy dyskusyjne poświęcone wszelkim dyscyplinom nauki i sztuki, niekończące się debaty o nierozwiązanych problemach etyki i moralności.

Felice Gottschalk z nikim się nie zaprzyjaźniał, a ponieważ popełnił rzadką i ohydłą zbrodnię, morderstwo, na ogół wszyscy dawali mu spokój. Nie brał udziału w wyrządzaniu więźniom drobnych złośliwości, w czym lubowali się jego koledzy nadzorcy, ale także w żaden sposób się im nie sprzeciwiał. Wielu zabijało godziny na spekulowaniu, co będą robić po wypuszczeniu z więzienia, snuło misterne plany zemsty, fantazjowało o fortunach, które zarobią, pracując jako cywilna policja dla RTM, albo o rajach, które sobie zbudują w którychś z licznych opuszczonych oaz czy habitatów - przecież RTM na pewno w nagrodę za współpracę da im je na

własność. Dla Felice'a Gottschalka marzenia o przyszłości skończyły się razem z kompletnym fiaskiem misji poszukiwania Zi Lei. Była to klęska na całej linii - teraz musiał ją odpokutować. Odpokutować za śmierć brata, tak, ale także za swoją arogancję, za swoje szaleństwo, za ciężkie grzechy samolubstwa i pychy.

Pracował przez tydzień na dzienną zmianę, przez tydzień na nocną. Tak przez pięć lat wyglądało jego życie - raz tak, raz owak. Wtem któregoś dnia wezwano go do bloku dyrekcji więzienia i powiedziano, że może zostać na Xambie i do końca życia pracować jako nadzorca, albo może zgłosić się na ochotnika do pracy w nowym, eksperymentalnym zakładzie karnym budowanym przez Europejczyków i ich sojuszników z Brazylii, rodziny Peixoto i Nabuco, na Księżycu - księżycu Ziemi. Kiedy przepracuje tam dziesięć lat, wyjdzie na wolność i będzie mógł zostać obywatelem Unii Europejskiej.

Zapytał panią kapitan armii, dokąd będzie mógł pójść, gdy znajdzie się na wolności. Wzruszyła ramionami i powiedziała, że dokąd zechce.

- A na Ziemię?
- Jeśli myślisz, że to przeżyjesz, to czemu nie?

Felice po raz pierwszy od czasu aresztowania zobaczył wątlą iskierkę nadziei. Od zawsze marzył, żeby pooddychać ziemskim powietrzem, pospacerować pod błękitnym niebem, na własne oczy zobaczyć lasy i oceany. Na pewno nie dostałby tej szansy, gdyby na nią nie zasługiwał. Brat, którego zamordował, Dave #27, powiedział mu kiedyś, że ze zła może wyrosnąć dobro, tak jak z błota mogą wyrosnąć najpiękniejsze kwiaty. Już pięć lat pokutował za zło, które wyrządził. Może za kolejne dziesięć lat odpokutuje całkiem, zostanie mu wybaczone i będzie mógł zacząć nowe życie. Może nawet uda mu się jakoś na nowo poświęcić służbie Bogu i Gai.

Podjął więc decyzję i polecił na Księżyc.

Leciał z trzema innymi nadzorcami oraz kilkadziesiątoma wybranymi przez Europejczyków więźniami - byłymi przedstawicielami senatu Xamby, byłymi członkami rządu Bagdadu na Enceladusie, którzy uciekli na Xambę, kiedy wybuchła wojna, niektórymi przywódcami pokojowych protestów. Więźniowie i nadzorcy przesypiali podróż w trumnach hibernacyjnych w ładowni frachtowca. Kiedy wszedł na orbitę wokół Ziemi, przeniesiono ich do wahadłowca i zwieziono na powierzchnię Księżycy, do zakładu karnego. Tam ich ożywiono.

Felice Gottschalk obudził się w więziennym szpitalu. Był słaby, zdezorientowany, paliła go cała skóra. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że podczas ożywiania miał ostrą i nietypową reakcję autoimmunologiczną. Że omal nie umarł. Następnego dnia, gdy był trochę bardziej przytomny, sanitariuszka, drobna, starsza kobieta z błyszczącymi, rudymi włosami tworzącymi coś w rodzaju hełmu Wokół bladej, ptasiej twarzy, energiczna

choć miła, sprzedała mu resztę złych wieści: ma wczesną postać choroby autoimmunologicznej, przypominającej nieco ogólnoustrojowy toczeń.

- Twój układ immunologiczny atakuje tkankę łączną w stawach i płucach oraz w skórze - powiedziała. - Przed wyjazdem miałeś jakieś wysypki, czy coś?

- W więzieniu wszyscy ciągle mieli problemy ze skórą. Powietrze nie było za czyste, no i jedliśmy przede wszystkim CHON.

- W tej chwili reakcja jest bardzo gwałtowna i obejmuje prawie osiemdziesiąt procent twojego ciała. Podałam ci sterydy, żeby złagodzić stan zapalny. Odczuwasz także zmniejszenie pojemności oddechowej płuc, wskutek spowodowanych przez stan zapalny drobnych zbliznowaceń. To z czasem się jeszcze nasili. Będzie ci coraz trudniej oddychać, to wpłynie na serce, bo krew nie będzie odpowiednio natleniona i będzie musiało bić mocniej, żeby utrzymać cię przy życiu. Masz też początki białaczki, bo twój układ immunologiczny zaczyna atakować komórki szpiku kostnego, które produkują czerwone krwinki - komórki roznoszące tlen. To da się złagodzić transfuzjami krwi. Może nawet da się to całkiem wyleczyć szpikiem kostnym, jeśli tylko znajdę dawcę, który odpowiada ci typem. Ale to nie będzie łatwe - dodała pani technik, patrząc mu prosto w oczy. - Bo rozumiesz, przepuściłam twoje DNA przez sekwencer i wykryłam parę bardzo nowatorskich modyfikacji.

Szpieg usiłował usiąść, był jednak bardzo słaby - ciążenie było o wiele silniejsze niż na Rei - i odruch zabicia starszej kobiety szybko minął. Położył się z powrotem. Pod czaszką dudniła krew. Zapytała ją, co zamierza zrobić.

- Zastanów się, jeśli myślisz, że cię zdradzę ludziom, którzy tu rządzą. Jak dla mnie, jedziemy na tym samym wózku. I my, i nadzorcy. Nawet nadzorcy, którzy mają w sobie sporo dość niespotykanych ulepszeń. Włókna mięśniowe o bardzo szybkim skurczu i bardzo mocnych włókienkach. Nerwy ruchowe reagujące szybciej niż normalnie. W siatkówce pręciki wrażliwe na podczerwień i bliski nadfiolet. I tak dalej, i tak dalej. Tak się zastanawiam, czy ten ktoś, kto cię skroił, chciał z ciebie zrobić żołnierza?

Odwrócił wzrok od jej dociekliwego spojrzenia.

- Bo mówi się, że Duchy przed wojną poszerzały granice inżynierii genetycznej na ludziach - dodała.

- Moje dzieciństwo normalne nie było, ale Duchem nie jestem.

- Jak nie chcesz, to nie musisz nic mówić. Nie będę się dopytywać. Ale wszystko, co powiesz, może pomóc w leczeniu - powiedziała starsza kobieta i wyjaśniła, że nie jest w stanie go wyleczyć, bo nie ma dostępu do odpowiednich leków retrowirusowych. Może zdać się na łaskę zarządzających więzieniem Brazylijczyków i Europejczyków, ale jeśli zgodzą się go leczyć, pierwszy rutynowy skan genomu wykryje modyfikacje i go zdemaskują.

- Mogę łagodzić objawy transfuzjami krwi, dużymi dawkami sterydów i innych leków. Może pomóc na przykład fototerapia. Ale z przyczyną tych objawów nic nie zrobię, a z czasem będą się nasilać i coraz bardziej komplikować.

Szpieg powiedział:

- Skoro nie ma szans na wyleczenie...

- Chcesz wiedzieć, czy umrzesz od tego. Niestety, prawdopodobnie tak.

Ale nie od razu.

- A ile mam czasu?

- Szczerze mówiąc, to nie wiem. Geny, które za to odpowiadają, są multilocusowe i wielowariantowe, a wyzwalają je bardzo różne czynniki środowiskowe. Upraszczając, twoje schorzenie to wynik skomplikowanej i nieprzewidywalnej interakcji między twoją konstrukcją genetyczną a środowiskiem. Może ludzie, którzy cię skroili, o tym nie wiedzieli. A może wiedzieli, ale uznali, że to mało prawdopodobny skutek uboczny wymaganych zmian. W każdy m razie, chociaż to wykazuje trochę podobieństwa do tocznia, etiologia jest inna i postęp choroby też będzie wyglądać inaczej. Na pewno mogę tylko powiedzieć, że masz to już od jakiegoś czasu, tylko nasiliło się ewidentnie przez hibernację albo przez wybudzenie z hibernacji.

- Mam dziesięć lat?

- Chcesz wiedzieć, czy dożyjesz do końca wyroku?

- Chcę znać prawdę.

- Mało prawdopodobne. Przykro mi.

Bolało go, kiedy się śmiał. W płucach przesuwano się coś ostrego i ciężkiego. Podrażniona skóra na twarzy pękała, jak przecięta w stu miejscach kartką papieru. Z oczu toczyły się łzy, piekły od nich policzki - tak, bolały nawet łzy. Ale śmiech pozwolił mu uwolnić coś, co dusił w środku od dawna. Czuł, jak to się uwalnia.

- Myślałem, że to kara za to, że myślałem, że jestem kimś, kim nie jestem - powiedział starszej kobiecie. - Ale to nie to. To nie Bóg i nie przeznaczenie. To coś dużo prostszego. Po prostu ludzie, którzy mnie zrobili, się nie postarali.



## ROZDZIAŁ 2

Kiedy przychodziła jej kolej kłaść bliźniaki do łóżka, Macy Minnot w ich wnęce sypialnej przygaszała światło do gwiazdnego blasku i opowiadała im bajkę o Ziemi. Odkryła, że w opowiadaniu tych historii jest całkiem niezła, przychodziły jej łatwo, równie łatwo, jak spadnięcie z pnia. Bo dokładnie tak zaczęła jedną z tych bajek na dobranoc - była to historia, której bohaterką była fikcyjna wersja jej samej.

- Siedziałam sobie na pniu, na leśnej polanie, jadłam obiad i spadłam - powiedziała bliźniakom. Han i Hannah, dwie sześciolateczne blond główki jedna przy drugiej, patrzyli na nią poważnym, sennym wzrokiem. - Czemu? Bo zobaczyłam jakiś błysk w powietrzu i padłam do tyłu, a strzała przecięła powietrze nad moją głową i zaryła w pień drzewa. Miała czarne pióra, a w miejscu, gdzie się wbiła, z kory ciekła żywica. Wyglądało to tak, jakby drzewo krwawiło...

Opowieść oczywiście trwała dużo dłużej, musiała im bowiem wyjaśniać niemal wszystko. Han i Hannah wiedzieli, co to sosny, pomagali Macy sadzić sztucznie pędzone sadzonki w habitatowym parku, ale dorosłego drzewa nie widzieli nigdy. I choć znali pojęcie „lasu”, trudno im było wyobrazić sobie park wypełniony drzewami tak wielki, żeby chodzić po nim cały dzień i nie dojść do końca. A co do luków i strzał... To była część frajdy: za pomocą bajek opowiadać im o życiu w świecie, z którego pochodziła; z którego, kiedyś tam, dawno temu, pochodzili wszyscy.

Newt miał inne zdanie na temat tego, jak powinna wyglądać dobra historia: przeważnie wymagała piratów i zapierających dech w piersiach przygód w grotach pod powierzchnią księżyców albo olbrzymich balonistycznych miastach żeglujących po lazurowym oceanie atmosfery Neptuna. Ciągi malowniczych scen bez kształtu i bez puenty. Jedno cholerne wydarzenie zaraz po drugim.

- To się robi inaczej - powiedziała mu Macy. - Trzeba wymyślić parę porządných postaci i patrzeć, gdzie cię zaniosą. Opowieść wynika z tego, kim są i czego chcą, i z problemów, które muszą pokonać po drodze. To nie ma być po prostu kupa rzeczy, które im się przytrafiają.

- Dziękuję ci bardzo, ale małym się podoba - odparł Newt.

Jakże uwielbiała ten jego uśmieszek, podkurczający jeden kącik ust, i te oczy, zmrużone beztrósko, wyzywająco. Uwielbiała to, nawet kiedy ją

drażniło. Newt był w stanie przelknąć dowolną ilość krytyki, bo w ogóle nie brał jej do siebie. Macy powiedziała:

- Matka opowiadała mi historie z Pisma Świętego, tego oryginalnego, chrześcijańskiego. W Starym Testamencie jest parę niezłych. Powinieneś sobie przeczytać.

- Czytałem, czytałem. Jak tylko mi o nich powiedziałaś. Fakt, niektóre są niezłe, ale pełno w nich przemocy.

- Twoje opowieści o piratach też zawsze kończą się walką.

- Ale to nie jest prawdziwa walka i to nie są prawdziwi piraci. Nikt nie ginie, tak jak u ciebie ten olbrzym, którego dzieciak zabija kamieniem. Albo gość, któremu dwie kobiety z zemsty ucinają głowę. Czytałem to i myślałem: matka Macy faktycznie jej opowiadała o takich rzeczach, kiedy była mała? Że wszyscy próbują wszystkich podbić albo zrobić z nich niewolników? Nic dziwnego, że wyrosła na taką twardą.

- Życie na Ziemi jest takie, że trzeba być twardym. Walczyć zębami i pazurami.

- A tęsknisz za nią w ogóle? Za matką, znaczy? W ogóle o niej nie wspominasz, więc tak się zastanawiam.

- Prawie o niej nie myślę. Czy to źle o mnie świadczy?

Newt wzruszył ramionami.

- Pod koniec to ja już jej w zasadzie nie obchodziłam - dodała. - Tuż przed moją ucieczką. Zrobiła się taka święta, osiemnaście godzin na dobę siedziała w wirtualce i szukała w krajobrazach  $n$  odcisków Bożego palca... Najlepiej ją wspominam z czasów, kiedy byłam mała, wtedy jeszcze nie przystąpiła do Kościoła Bożej Regresji. Wtedy się ze mną bawiła, czytała mi. Ale kiedy zapragnęła stać się świętą matenautką, musiałam zamieszkać razem z innymi dziećmi w Kościele. Pewnie, z początku za nią tęskniłam, ale jakoś się z tym pogodziłam.

- Moja twardzielka - powiedział czule Newt. - Z surowej, groźnej planety Ziemia. Długą drogę przebyłaś od tej ucieczki.

- Tak. Ale okazuje się, że choćbym nie wiem jak daleko poszła, przeszłość i tak mnie dopadnie. Zwłaszcza kiedy to nawet nie jest jakaś tam przeszłość.

Gdy Wolni Zewnętrzni przybyli na Neptuna, odkryli, że największy księżyc lodowego olbrzyma, Tryton, został zawłaszczony i skolonizowany przez Duchy, sektę, której przywódca-pustelnik twierdził, że wykonuje polecenia swojego „ja” z przyszłości, przysłane z planety typu ziemskiego orbitującej wokół  $\beta$  Hydri. Macy już kiedyś starła się z Duchami: tuż przed wojną banda Duchów uprowadziła ją, bo stała się jedną z bardziej widocznych postaci ruchu pokojowego. Teraz była w szoku, i to wielkim, dowiedziawszy się, że oni przez cały ten czas się tu ukrywali, w mieście zbudowanym pod lodową skorupą Tytana. Zaproponowali, że pomogą

uchodźcom z Urana, ale tylko jeśli przyłączą się do ich tak zwanego wielkiego przedsięwzięcia. Z początku tylko paru się na to zgodziło. Reszta osiadła na Proteuszu, drugim w kolejności księżycu.

Proteusz, choć drugi co do wielkości, jest małym, gruzłowatym ciałem o masie równej zaledwie jednej czwartej Trytona, przeciętnej średnicy nieco ponad czterystu kilometrów i burzliwej przeszłości. Cztery miliardy lat temu Tryton razem ze swoim bliźniaczym towarzyszem wywędrował z Pasa Kuipera ku środkowi Układu i napotkał Neptuna. Gdy skrzyły na orbitę wokół lodowego olbrzyma, ten odrzucił towarzysza, a przechwycił Trytona, drastycznie zakłócając orbity pierwotnego zestawu wewnętrznych swoich księżyców. Wysadzone z orbit, koziołkowały chaotycznie, potem zaczęły się zderzać, rozpadając się na dysk odłamków, które, gdy orbita Trytona ustabilizowała się w nowej, kołowej postaci, częściowo uległy ponownej akrecji, tworząc parę nowych księżyców, w tym Proteusza.

Wolni Zewnętrzni, gdy pierwszy raz wylądowali na Proteuszu, mając niewiele materiałów budowlanych i innych zasobów, z morale załamaniem utratą czterech statków i szesnaściora przyjaciół oraz natychmiastową ucieczką części ludzi do Duchów, stłoczyli się w pośpiesznie wykopanym i przykrytym tunelu. Byli jednak młodzi i twardzi, więc szybko zaczęli planować bardziej ambitną osadę. Założyli kopalnię na Sao, nieregularnym zewnętrznym księżycu, bogatym w związki węgla, przy użyciu ocalałych robotów budowlanych pogłębili jeden z kraterów w pobliżu proteuszowego równika, wycinając w jego zboczach tarasy i izolując je, a całość nakrywając stropem z fullerenowych belek i płyt diamentu budowlanego. Praca była z początku bardzo ciężka i trudna, długie godziny przy głodowych racjach. Wydawało się, że Idriss Barr, wiecznie pogodny, rozkwita w ciężkim położeniu, i z braku innych chętnych został przywódcą. Udało mu się nawet przekonać parę osób, żeby nie uciekały do Duchów, choć i tak odeszło ich dużo więcej, prawie jedna trzecia ludzi.

Były i inne straty. Zginął Galileo Alomar, gdy zdehermetyzowała się tymczasowa kabina na stacji wydobywczej na Sao. Heideki Suso zmiązdały dwie bryły diamentu budowlanego, kiedy nadzorowała ostatnią fazę fabrykacji materiałów na kopule. A podczas instalacji żyrandoli oświetleniowych Anya Azimova poślizgnęła się, trzasnął karabińczyk w jej uprząży i spadła z ponad pięciuset metrów - upadek, który nawet w śladowym proteuszowym ciężeniu okazał się śmiertelny.

To była szczególnie dotkliwa strata. Partner Anyi, Tor Hertz, pilotował jeden z niezmodyfikowanych statków zniszczonych przez brazylijskie drony w trakcie ucieczki z Urana, więc kiedy ona zginęła, osierociła dwuletnie bliźniaki Hannę i Hana. Po intensywnej wspólnej dyskusji, Newt i Macy sami z siebie zaproponowali, że je adoptują. Ta poważna i brzemienna w skutki decyzja przyśpieszyła drugą - by sformalizować własny związek.

Niektórzy Zewnętrzni brali śluby zgodnie z przykazaniami swoich rozmaitych wiar czy filozofii, Macy jednak dawno straciła wiarę, wpojoną jej w dzieciństwie w Kościele Bożej Regresji, a Newt w ogóle nie poczuwał się do jakiegokolwiek religii - zatem jak większość Zewnętrznych przysięgli sobie miłość i wierność podczas cywilnej ceremonii, krótkiej, prostej, w obecności wszystkich Wolnych Zewnętrznych, a potem uczcili to huczną imprezą.

Dochowanie się własnych dzieci okazało się problemem. Genom Macy był typu podstawowego, niemodyfikowany, podczas gdy Newt, jak wszyscy Zewnętrzni, posiadał w swoich chromosomach szereg sztucznych genów. Niektóre z tych zmian były adaptacjami do mikrogravitacji - jednokomorowe serca w głównych żyłach w rękach i nogach, zapobiegające zaleganiu krwi w kończynach, poprawioną reabsorpcję wapnia, żeby nie osłabiała się kości, lepszą orientację przestrzenną. Inne geny kodowały mechanizmy komórkowe naprawiające uszkodzone od promieniowania chromosomy, zwiększoną liczbę czopków w siatkówkach, tak że mógł widzieć kolory przy świetle słabym jak światło Księżyca na Ziemi oraz zdolność zapadania w coś w rodzaju hibernacji. Nie posiadał także wyrostka robaczkowego i zębów mądrości, a pod dorosłym uzębieniem miał kolejny zestaw zawiązków zębowych.

Mówiąc w skrócie, byli genetycznie niekompatybilni. I choć do genomu w jajeczkach Macy dałoby się wpleść nowe geny, jedyna guru genetyczna Wolnych Zewnętrznych uciekła do Duchów, a nikt inny nie miał odpowiednich umiejętności. Macy z Newtem próbowali zapłodnienia *in vitro*, jednak kilka kolejnych prób nie przyniosło żadnych zdolnych do przeżycia embrionów. Sytuacja była więc bez wyjścia - o ile sami także nie zdecydują się na dezercję do Duchów.

Macy zastanawiała się, czy jest złym człowiekiem, skoro czasami czuje ulgę, że na razie zdjęto z niej brzemię decyzji, czy rodzić dzieci, czy nie. Wciąż bowiem nie była pogodzona z wygnaniem w mrok Zewnętrznego Układu. Choć Wolni Zewnętrzni założyli nowy dom na Proteuszu, wciąż stali w obliczu masy niewiadomych - zagrażali im nie tylko najbliżsi sąsiedzi, ale i potencjalne kolejne prześladowania ze strony RTM.

A teraz, po czterech latach spędzonych w układzie Neptuna, tę bezbronność bezlitośnie podkreśliła wiadomość, że z Saturna wyprawia się na Neptuna misja dyplomatyczna Wspólnoty Pacyficznej. Duchy nie tały, że nawiązują ze Wspólnotą kontakty, podobnie jak nie kryły się z faktem pozyskania specyfikacji technicznej silnika termojądrowego od Wolnych Zewnętrznych, którzy do nich uciekli. Ze swojego punktu widzenia byli niekwestionowanymi panami układu Neptuna - nielegalni osadnicy na Proteuszu nie mieli prawa głosu, a gdyby śmieli protestować lub się sprzeciwiać, powinni być gotowi na konsekwencje.

Właściwie, wielu Wolnych Zewnętrznych też ta wiadomość ucieszyła.

Macy przy każdej okazji, gdy na spotkaniach wypływał ten temat, jasno mówiła, że według niej dyplomaci Pacyfików jadą zorientować się w słabościach i siłach Duchów, albo przedstawić im jakieś ultimatum, a nie dogadywać się - większość sądziła jednak, że to może być pierwszy krok do wynegocjowania sojuszu ze Wspólnotą Pacyficzną i pokoju z Sojuszem Trzech Mocarstw. Przez ostatnie siedem lat tak brakowało im jakiegokolwiek nadziei, że chwyтали się każdego jej skrawka, choćby najdrobniejszego.

I tak oto wszystko znowu znalazło się pod ostrzałem. Macy, jak nigdy, nabrała przekonania, że dzieci, których ewentualnie się z Newtem docho-wają, wiecznie będą zakładnikami ponurej i niepewnej przyszłości. Niemniej, gdy przyszło do wzięcia odpowiedzialności za osierocone bliźnięta, nie zawahała się ani na chwilę i ani przez chwilę tego nie żałowała.

Han i Hannah dotarli w swoim dziecięcym życiu do punktu, w którym zaczęli się rozwijać wielkimi skokami, zyskując po dziesięć punktów IQ przez noc, nieustannie zdumiewając Macy i Newta nowymi zainteresowaniami i przemyśleniami, z którymi trzeba się było mierzyć. Jak wszystkie dzieci Wolnych Zewnętrznych, musiały szybko dorosnąć, nauka zaś była chaotyczna i z wielkim naciskiem na umiejętności praktyczne. Ciągłe było coś do zrobienia, a one były już na tyle duże, by mieć w to swój wkład, jak wszyscy.

Habitat Wolnych Zewnętrznych był już uszczelniony i zahermetyzowany, ogrzany do przyjaznej temperatury i napełniony powietrzem. Dno krateru zalano, a koliste jezioro przykryto monomolekularną folią, by uspokoić wielkie fale, które w piórkowej grawitacji Proteusza chlupały od brzegu do brzegu. Obsadzono go zmodyfikowanymi listownicami. Zaraz utworzyły podwodne lasy, sięgające palczastymi liśćmi niespokojnej powierzchni. Ekipa robotów budowlanych wyryła w zboczach krateru szerokie terasy o urozmaiconych, organicznych kształtach oraz pobudowała grupki małych namiotów ciśnieniowych - domów, które dadzą się zahermetyzować w razie katastrofalnego przebicia głównej kopuły. Pod powierzchnią także pobudowano schrony bezpieczeństwa oraz tunele ewakuacyjne prowadzące na lądowiska na wschód i zachód od habitatu. Na powierzchni, w płytkich wykopach rosły organizmy próżniowe, oświetlone i ogrzewane lustrami skupiającymi słabe promienie Słońca. Teraz zaczęli obsadzać górne terasy habitatu łąką z roli oraz kępami świerka białego, brzozy, daglezi, sosny meksykańskiej i wejmutki, wszystkie w odmianach karłowatych i przystosowanych do słabego ciężenia. Powstawał krajobraz kojarzący się z górkimi lasami i tundrą alpejską, jak na dużych wysokościach w wielkich pasmach górskich zachodniej Ameryki Północnej.

Wolni Zewnętrzni nazwali swój habitat Wyczyn. Po skończeniu miał być piękny, jednak niektórzy i tak uważali, że to tylko tymczasowy dom. Newt i inni członkowie zespołu od napędu należeli do grupy, która kreśliła plany eksploracji rubieży Pasa Kuipera - opracowywali szczegółową strategię

budowania tam umożliwiających przeżycie habitatów; Macy przyłączyła się do małej grupki, która odkryła w archiwach Biblioteki Publicznej plany pęcherzykowych habitatów z powłoką z półżywych polimerów i aerożelowej izolacji, usztywnionych przez ciśnienie wewnętrzne i siatkę fullerenowych rozpórek zakotwiczonych w centralnym punkcie. Wykorzystując przy tym udoskonalone od czasów sporządzenia tych planów materiały, dałoby się budować habitaty wielkości całego Proteusza. Wyspy i archipelagi krążące po dowolnych orbitach wokół Słońca. Podczas gdy reszta zespołu siedziała nad schematami wszelkiej maści nieważkiej architektury, Macy wymyślała proste i stabilne ekosystemy. Powtarzała sobie, że to tylko dla zabawy, w ramach przyjemnego teoretycznego ćwiczenia, ale mimo woli myślała, że może będzie to sposób, by któregoś dnia wrócić głębiej w Układ. Stworzyć tysiące wiszących ogrodów bliżej słonecznego ciepła.

Na razie jednak Wolni Zewnętrzni mieli pełne ręce roboty w swoim domu na Proteuszu. Któregoś dnia Macy pracowała z bandą dzieciaków na tarasie wystającym z zachodniego zbocza habitatu, pokazując im, jak sadzić sadzonki drzew. Dzieci skakały tam i z powrotem, ubrane w ocieplane kurtki i spodnie, podekscytowane krzyki i śmiechy niesły się w chłodnym powietrzu, gdy taszczyły z miejsca na miejsce łopatki, sadzonki i konewki, wykopywały dołki i obsypywały je granulkami nawozu, ubijały ziemię wokół drzewek i zlewały je obficie wodą. Macy, jak zawsze, udzielił się ten swobodny entuzjazm. Ich niewinna, bezwarunkowa akceptacja dla dziwacznych okoliczności, w jakich żyły, osobliwości miejsca, które nazywały domem, napawała ją rozbawieniem i otuchą. Dla nich niezwykajne było zwyczajne, a zwyczajne niezwykajne; dawało to świeże spojrzenie na własne problemy.

Zaprojektowana i zbudowana przez Macy fabryczka gleby działała teraz bardzo wydajnie. Na wielkim nerkowatym tarasie było teraz pół metra gleby na podłożu ze zmielonego syderytu i fullerenowego żwiru. Porastała ją umacniająca mieszanka szybkorosnących traw i koniczyn, zielony dywan soczysty i bujny w diamentowym świetle zwisającego z wierzchołka kopuły żyrandola. Kiedy zadzwonił Idriss Barr, Macy pokazywała Hanowi i Hannie próbkę gleby pod mikroskopem. Han z wytężonym skupieniem obserwował wijące się nicienie, skoczogonki jak dziwaczne nakręcane koniki, delikatne sieci grzybni i podobne do koralów włókna sinic; Hannah cały czas trajkotała, nadając tym mikrostrom nazwy - mniej więcej połowę udawało jej się zgadnąć.

Speksy Macy zawibrowały jej w kieszeni. Gdy je założyła, Idriss Barr powiedział:

- To jest tak zwane ostrzeżenie. Sada Selene chce z tobą zamienić słowo.
- Na pewno znajdziesz jakiś uprzejmy sposób, żeby dać jej do zro-

zumienia, że jestem za bardzo zajęta.

- Niestety, chyba za późno. Już jest w drodze.

Macy odwróciła się i zobaczyła dwójkę ludzi sunących na tyrolce przez powietrze, za wysoką, przezroczystą barierką na krawędzi tarasu.

- Chce ci złożyć pewną propozycję - dodał Idriss.

- Jaką propozycję?

- Chce, żebyś spotkała się z wysłannikami Wspólnoty Pacyficznej, kiedy tu przyjadą.

- Żartujesz chyba.

Zjeżdżająca po linie dwójka ludzi wjechała za barierkę i zręcznie opadła na podest końcowy obok grupy młodych świerków.

- Mówiłem jej o twoich obiekcjach - powiedział Idriss. - Powiedziała, że te uprzedzenia musisz odłożyć na bok, bo twoje doświadczenie może okazać się kluczowe dla powodzenia negocjacji.

- Jakie znowu doświadczenie? W życiu nie spotkałam nikogo ze Wspólnoty Pacyficznej.

- Ale jesteś z Ziemi.

- Ja i dziesięć miliardów innych ludzi.

- Macy, wysłuchaj, co ma ci do powiedzenia. Wszyscy pomożemy ci zdecydować, jak później z tym postąpić.

Dwójka ludzi obeszała kępę drzew i puściła się skokami przez łąkę. Sada Selene i jej partner, Phoenix Lyle. Przyjeżdżali do Wyczynu trzy, cztery razy w roku na spotkania handlowe lub polityczne, ale jak dotąd Macy udawało się na nich nie natknąć. Duchom nie ufała z zasady, a Sadzie Selene jeszcze mniej. Były po przejściach. Zaraz po ucieczce Macy do Zewnętrznych uwięziono ją we Wschodzie Edenu na Ganimedesie. Sada i Newt pomogli jej uciec. Macy wylądowała na Dione w habitacie należącym do rodziny Newta; Sada przyłączyła się do Duchów i parę lat później okazało się, że należy do niewielkiego gangu odpowiedzialnego za porwanie Macy.

Nie odbiegała specjalnie wyglądem od reszty Zewnętrznych. Wysoka, chuda, młoda kobieta ubrana w obcisły ocieplacz do skafandra, o krótko przyciętych jasnych włosach, z tatuażem na prawym policzku, przedstawiającym gwiazdozbiór Węża Wodnego. Za to jej partner był fantastycznym stworem, który mógłby wyjść z wirtualnego świata jakiejś sagi fantasy albo którejś z głupkowatych opowieści Newta o piratach i potworach - wysoki, potężnie zbudowany, z czarnymi lusterkami zamiast oczu, skórą barwy świeżej miedzi, gładką jak plastik i kompletnie bezwłosą (nie miał nawet rzęs), ubrany w biały ocieplacz dopasowany do ciała i przecięty nisko na plecach, żeby wypuścić ogon. Ogon zaś, wyrastający z nasady kręgosłupa, był długi i muskularny. Na końcu rozdwajał się w chwytne wypustki, niczym mięsisty storczyk. Pomimo imponującej postury, był wyłącznie osobą do towarzystwa, nikim więcej. Trzymał się na uboczu, gdy

Sada Selene z zimną pewnością siebie podeszła do Macy.

- A, tu jesteś - powiedziała. - Budujesz babki z błota, jak zawsze.
- Dom buduję - odparła Macy.

Miała na sobie papierowy kombinezon ze szwem rozdartym na jednym ramieniu i sklejonym taśmą, kasztanowe włosy związane w kucyk kawałkiem drutu, brud za paznokciami i smugę błota na policzku. Sada, nieskazitelna jak porcelana, w śnieżnobiałym ocieplaczu, górowała nad nią o prawie metr.

- Pewnie można powiedzieć, że to całkiem ładne, choć ewolucja tego nie tknęła - powiedziała Sada. - Ale wiesz, z czym mi się to kojarzy? Ta nora w kraterze i jej nędzna imitacja Ziemi? Ze Wschodem Edenu. Miejscem zaprojektowanym przez ludzi, którzy lubią udawać, że są artystami i naukowcami, intelektualistami, a tak naprawdę są niczym więcej niż rolnikami cierpiącymi na ogólny niedostatek wyobraźni. Może tobie, Macy, to wystarcza. Ale dla tych z nas, którzy chcą zgłębiać nowe obszary człowieczeństwa, to jest absolutnie nie do przyjęcia. Ta niskograwitacyjna architektura to tylko namiastka afrykańskiej dżungli, z której nasi dawni przodkowie wyprowadzili się na sawanny i nad brzegi mórz. W czymś takim zmusza się nas do używania małych mięśni i myślenia małpimi myślami. O nie, jeśli mamy pokusić się o nowe sposoby na życie, nasze osady i miasta też muszą być całkowicie nowe. Nieskażone wspomnieniami z Ziemi.

- I to mówi ktoś, kto ma chłopaka z ogonem - zauważyła Macy.
- Ale pasuje mu, co nie?

Phoenix Lyle śmigał umięśnionym końcem ogona tam i z powrotem, ku zachwytowi zebranych wokół dzieci.

- Twoi podopieczni, tak? - zapytała Sada. - Dziewczynka i chłopczyk z jasnymi włosami, trzymający się za ręce. Hannah i Ham.

- Han.

- Śliczni, tak po staroświecku. Idriss ci pewnie powiedział, po co przyjechałam. Mam nadzieję, że będziemy w stanie schować do kieszeni nasze różnice zdań i rozsądnie o tym porozmawiać.

- Wszyscy myślą, że jestem ekspertką od wszystkiego co ziemskie, bo tam się urodziłam. Nawet od Wielkiej Brazylii nie jestem ekspertką, a co dopiero od Wspólnoty Pacyficznej.

- Nigdy inaczej nie myślałam. Ale może przyda się nam parę twoich przemyśleń.

- Zapewne już wszystko przegadałaś z Idrissem.

- Aż za dokładnie. W końcu zgodził się ze mną zgodzić.

- Powinien był ci powiedzieć, że o Pacyfikach ja nie wiem prawie nic, a większość tego co wiem to propaganda i czarny PR rozsiewany przez władze Wielkiej Brazylii, kiedy o mało co nie doszło do wojny z nimi. Dziesięć lat temu. Nigdy u nich nie byłam. Ani nie spotkałam nikogo stamtąd.



- Jeszcze nie. Ale spotkasz.
- To oni przylecą tutaj? Do Wyczynu?
- A niby po co? To z nami chcą rozmawiać - stwierdziła Sada z kąśliwą cierpliwością - bo my jesteśmy główną siłą w układzie Neptuna. Ale zgodziłam się, żeby we wstępnych spotkaniach brał udział Idriss. O ile weźmie ciebie.
- Bo myślisz, że mogę mieć jakieś „przemyslenia”. Jednym mogę się podzielić od razu. Próbujecie rozegrać Wspólnotę Pacyficzną przeciwko ich sojusznikom z RTM. A przyszło wam do głowy, że to Pacyfiki was wykorzystują?

Powiedziałyby więcej, wyklarowała Sada, że ona i reszta Duchów, jak i większość Wolnych Zewnętrznych, zakłada dobre intencje, których Wspólnota Pacyficzna prawie na pewno nie ma; że liczyć, by mała grupka uchodźców dogadała się na korzystnych warunkach z politycznym olbrzymem - Chinami, Japonią, Indiami. Azji Południowo-Wschodnią, Australią i częścią Afryki - to jak mieć nadzieję na przesunięcie Księżyca, gdyby tylko miało się odpowiednią dźwignię i punkt podparcia. Przeszkodziły jej w tym jednak dziecięce lamenty i krzyki. Ganiały za ruchliwym ogonem Phoenixa, a ten w końcu złapał małego chłopaczka, który podszedł za blisko, owinął go mocno i unióś w powietrze, wierzgającego i szarpiącego się.

Macy interweniowała, kazała Lyle'owi znaleźć sobie kogoś równego sobie, złapała chłopca i uwolniła go. Od razu się rozplakał. Przyglnął rozpaloną i wilgotną twarzą do jej ramienia. Phoenix Lyle uśmiechnął się głupawo i powiedział, że on tylko się bawił, tak samo dzieciaki.

- Za daleko się posunałeś - warknęła Macy. Była zła: na głupotę Lyle'a, na arogancję Sady. - Wy zawsze posuwacie się za daleko.

Sada powiedziała, że Phoenix chciał dobrze. Dodała: - To jest uczciwa propozycja. Możesz pomóc nam wszystkim. I wiesz co jest śmieszne? Ja się cieszę na perspektywę współpracy z tobą. W końcu w tym Wschodzie Edenu nieźle się zabawiłyśmy, co? Nabrałyśmy wszystkie te stare skamieliny, które myślały, że mają tam jakąś Ziemię Obiecaną.

- O ile dobrze pamiętam, ty mi nie powiedziałaś, co zrobisz, póki nie było za późno - stwierdziła Macy. - To się więcej nie powtórzy.

- Przegadaj to ze swoim partnerem, dzielnym pilotem. Pogadaj z kim tylko chcesz. Masz jeszcze masę czasu. Statek Pacyfików nie wejdzie na orbitę Neptuna wcześniej niż za trzydzieści dni. Ale dla dobra wszystkich w tym waszym śmiesznym habitaciku, mam nadzieję, że szybko podejmiesz właściwą decyzję.

## ROZDZIAŁ 3

Dwaj mężczyźni siedzieli na wypłowiałych od słońca składanych krzesłach w cieniu wielkiego prostokątnego hangaru obok pasa startowego wycelowanego w teksański, technikolorowy zachód słońca. Cash Baker był w trakcie trzeciego antarktycznego piwa; pułkownik Luiz Schwarcz pił mrożoną herbatę. Opowiadali sobie, co słysząc, ale kiedy Cash wyjawiał staremu przyjacielowi, że odmienił swoje życie, zaciągając się do Zespołów RiO, zapadło długie milczenie. Wreszcie Luiz powiedział:

- Człowieku, wiesz, czego mi najbardziej na Księżycu brakuje? Zachodów słońca.

- A tutaj są niezłe - odparł Cash. - Zwłaszcza teraz, jak wieje z północnego zachodu i w powietrzu wisi pył z pustyni. Teraz jest masa tego pyłu, bo jesteśmy w samym środku suszy. Paskudnej suszy. Ale pewnie na Księżycu się o takich rzeczach nie słyszy.

- Może faktycznie za mało uwagi zwracamy na Ziemię - stwierdził Luiz.

- Ale ja się ci nie dziwię. Masz swoją robotę, masz swoją rodzinę.

- No, wiem. Miałem szczęście.

- Ej, nie przejmuj się. To nie zawody, kto ma większego. Ja spierdzieliłem, wiem. Ale już się podniosłem.

Znowu zapadła cisza.

Z braku czegoś lepszego, Cash powiedział:

- A mnie dalej się wydaje, że najlepsze zachody słońca to były wokół Saturna. Słońce przeświecało przez pierścienie, chowało się za tarczą Saturna.

- Piękny widok.

- Jak wybuch tysiąca wodorówek.

- Pamiętasz coś stamtąd?

- To znaczy, zanim zabrali mi bilet? W sumie to nie umiem powiedzieć.

Bo to jest tak: wiem, że razem z Verą Jackson poleciliśmy w atmosferę Saturna, to była ta operacja Głęboka Sonda. Wiem, że ci piraci, Duchy się nazywali, czy jakoś tak, wysłali za naszymi solówkami stado dronów, ledwo im uciekliśmy, dając z buta prosto w przestrzeń. Ale to tylko dlatego, że w kółko oglądałem wideo, które nagraliśmy, i liczyłem, że coś mi się odetka w pamięci. Aż pewnego dnia dotarło do mnie, że nie odróżniam wspomnienia z

oglądania wideo od prawdziwego wspomnienia stamtąd...

- No, ale tam byłeś. Nie ma wątpliwości.

- A ją widzisz czasami?

- Verę? Zdaje się, że wróciła do Europy. Nie wiem nawet, czy jeszcze lata. - Luiz upił łyk mrożonej herbaty i zapytał: - A ty coś z nią bliżej tego, wtedy?

- O, to akurat zdecydowanie chciałbym sobie przypomnieć.

- Bo próbować próbowałeś - stwierdził Luiz. - Wszyscy próbowali.

Fantastyczna babka była. Ładna i ostra. Bojowa jak trzeba.

- Z tego co widziałem, to i pilotka z niej była niezła.

- No była. Jak większość z nas, miałem wątpliwości, kiedy dopuścili do programu Europejczyków. To był ruch polityczny, czyli wynikał z jakiegoś tam kompromisu. Żadna ze stron nie dostaje tego, co naprawdę chce, i kończy się umową, która nic nikomu nie daje. W polityce to może i ujdzie, ale w lataniu wojskowymi samolotami po prawdziwym świecie nie da rady, bo wszyscy wiemy, że jak jesteś na krawędzi, to tam nie ma miejsca na żadne niedomówienia. Byłem gotowy wtedy to powiedzieć, ale teraz muszę stwierdzić, że część z tych Europejczyków umiała się ruszać po niebie. A Vera Jackson była z nich najlepsza. Prawie tak dobra jak my.

- A my też wtedy byliśmy niezli. Tyle pamiętam.

- No daj spokój, przecież ty dalej lataasz.

- Może J-2 to nie jest, ale leci tam, gdzie pokierujesz, a do tego jest lekki i szybki, bo zrobiony z tych nowych kompozytów, które ukradliśmy Zewnętrzny. Jakby był zrobiony z pajęczyny. Ma to wady, bo bez ładunku jest taki lekki, że zapomnij o starcie pod silny wiatr. I pułap też jest kiepski, ledwo co cztery tysiące metrów. Czyli jak lecisz przez góry, trzeba się kręcić w prądach termicznych, jak trafisz na burzę, musisz lecieć pod nią i modlić się, żeby jakiś podmuch nie walnął tobą o ziemię. No ale tak, dalej latam.

Cash dopił piwo i rzucił butelką z długą szyjką do kosza, uśmiechając się, kiedy musnęła brzeg i z grzechotem wpadła do środka. Był rozluźniony, starał się jak mógł myśleć, że to czysto towarzyska wizyta, taki tam wieczór w barze z chłopakami, trochę się pośmiać, trochę powspominać dawne czasy. Wszystko, co było, minęło. Nic poważnego. Nic, co może do ciebie wrócić i kopnąć cię w dupę.

- W zaopatrzeniu to głównie kursuje się tam i z powrotem bez większych sensacji, ale czasem zdarzy się jakaś akcja - powie dział. - Na przykład parę tygodni temu poleciałem do takiego obozu na samej linii frontu. Na samym skraju pustyni. Niczym się nie różni od innych, parę przyczep, parę namiotów na zadupiu, trochę gołej gleby spryskanej tym półżywym polimerem, żeby jej nie wywiewało, drzewa czekające na posadzenie, zbieracze rosy, nowe rowy nawadniające... Trzeba lądować na drodze, bo nie ma lądowiska. Dlatego Burzyciele używają tych małych samolocików,

bo można nimi usiąść właściwie gdziekolwiek. Wiatr dla odmiany wieje do pustyni, więc robię nawrót, żeby siadać pod wiatr, no i w trakcie tego kółka, może sto metrów nad ziemią, widzę za sobą tych typów, na koniach, rozumiesz? Jak kiedyś. A oni podnoszą głowy i zaczynają do mnie strzelać.

- To byli ci słynni buntownicy, których tam macie?

- Jeźdźcy Wolności? Nie, oni Burzycieli nie tykają. Dla nich Korpus to normalni ludzie pracujący, jak wszyscy. I dobrą robotę robią, wrywają ziemię pustyni, dzięki nim Teksas i reszta dawnego USA zaczynają wyglądać trochę jak przedtem. Nie, nic do nas nie mają. - Cash uświadomił sobie, że gada o tym, o czym obiecał wujowi Howardowi nie gadać i dodał: - No, ale wracając: ci szmacciarze, co do mnie strzelali, to byli normalni, regularni bandyci. Ja nic nie zauważyłem, póki kula nie przeszła przez boczne okienko i nie przeleciała mi koło głowy. Parę razy trafili też w prawe skrzydło i wtedy się wkurzyłem, zawróciłem i zacząłem do nich nawalać. Wożę pistolet, na wypadek gdyby trzeba było gdzieś awaryjnie lądować na jakimś zadupiu. Tam w dziczy to nie tylko bandytów trzeba się bać. Jeden znajomy musiał usiąść między wzgórzami, trochę na południe stąd. Leciał takim konwertoplanem jak twój i zdechł mu jeden silnik. Zamiast siedzieć na dupie przy samolocie i czekać na pomoc, próbował iść na piechotę i zeżarł go niedźwiedź.

- Śmieszny paradoks, co? - zauważył Luiz. - Odbudowujesz naturę, przychodzi natura i odgryza ci łeb.

- Tego gościa pewnie by to nie śmieszyło - odparł Cash. - No, w każdym razie zagadałem przez radio i powiedziałem ludziom z obozu, żeby wyciągali fuzje, bo idą bandyci, a potem ruszyłem na tych szmacciarzy, co do mnie strzelali. Byłem tuż nad ziemią, tak nisko, że leciałem we własnej prywatnej burzy piaskowej, drążek złapałem kolanami i wypykałem przez wybite okno cały magazynek. Wiedziałem, że gównem trafię, ale chciałem im pokazać, że nie dam sobie fikać. Ludzie z obozu też zaczęli do nich strzelać. Zabili jednego, resztę wystraszyli. Ten zabity to był jeszcze dzieciak. Czternaście, może piętnaście lat, zęby spiłowane na ostro, plecy całe w pręgach, tatuaże na twarzy. Miał jeszcze naszyjnik z ludzkich uszu i śmierdział jak tchórz.

Cash sięgnął po kolejne piwo do kubelka z lodem. Czwarte będzie, ale co tam, kurna, gada ze starym kumplem, którego nie widział od sześciu, siedmiu lat. Święto.

- Masz jeszcze ikrę - zauważył Luiz. - To dobrze.

- Głupie to było, ale wtedy wydawało mi się, że to super pomysł.

Rany, jak świetnie mu wchodziło to zimne piwo, w tym cholernym upale i wietrze, wyciągającym wilgoć z ciała.

- Wiesz co, jak cię pierwszy raz zobaczyłem, przestraszyłem się, że całkiem zdziadziałeś - powiedział Luiz.

- Jak to?
- No, popatrzyłem na twoje ciuchy.
- Moje ciuchy? My się tak ubieramy po służbie. Zespół nr 669 to luźni goście.

Cash miał na sobie dżinsy i koszulkę oraz ręcznie szyte czerwone skórzane kowbojki - najdroższą rzecz, jaką posiadał. Luiz Schwarcz, który zawsze był pieprzonym małym elegancikiem, był ubrany w czarne jedwabne spodnie i białą marynarkę z zaokrąglonymi klapami, wszystko to pod klatką egzozszkieletu - większość z ostatnich sześciu lat spędził na Księżycu i mimo terapii genetycznych i intensywnych ćwiczeń jego mięśnie nie były w stanie radzić sobie z ziemskim ciężeniem. Wokół szyi bladożółta jedwabna apaszka; wąsy wywoskowane, z ostrymi czubkami, głowa ogolona do krótkiej szczeciny; lustrzane okulary odbijają Casha i zachód słońca za nim.

- Jakbym w takim ubraniu, jak ty, poleciał do jakiegoś obozu, gdzie psy dupami szczekają - stwierdził Cash - to pewnie by mnie zastrzelili. Zaraz po tym, jak pozbieraliby się z ziemi ze śmiechu.

Luiz uśmiechnął się.

- Bałem się, że zdiadziałeś. A z ciebie po prostu się tubylec zrobił.

Cash postawił butelkę na składanym stoliku i ścisnął palcami nasadę nosa. Czuł pierwsze przejawy bólu głowy. Ostatnio ciągle go bolała i nie bardzo umiał coś na to poradzić.

Powiedział:

- Ja jestem człowiek pracujący, Luiz. Do pracy noszę mundur, a potem odpoczywam, jak wszyscy. A poza tym, ja się tu urodziłem. Taki właśnie jestem. I tak się zachowuję.

- Ale dalej jesteś pilotem. Vera Jackson była dobra, ale ty byłeś lepszy. Wiem dobrze, bo latałem z wami.

O proszę, wreszcie temat, który gdzieś krążył, odkąd Luiz wylądował. A właściwie, cholera, odkąd się z nim skontaktował, dwa tygodnie temu. Powiedział Cashowi, że leci na Ziemię na pogrzeb ojca, więc może któregoś dnia podleci do Bastrop i sobie pogadają...

- Very nie trafili - odparł. - I ciebie też nie. A mnie tak. Oboje mieliście to, czego mi zabrakło: szczęście. A jak się chce być najlepszym, to właśnie szczęścia trzeba mieć dużo.

- Niektórzy mówią, że człowiek jest kowalem własnego szczęścia - powiedział Luiz. - Ja raczej myślę, że szczęście to coś, co ci się przydarza w szerokim świecie albo nie. Bo nad światem nikt nie panuje, tylko wariat myśli, że to może się udać.

- Ja zawsze uważałem, że ty masz wszystko na swoim miejscu. Popatrz tylko. Ja mam mały szajsowaty samolocik z pajęczyny, a ty dalej latasz solówkami.

- Ostatnio to głównie na biurku latam. Jedną rzecz chcę ci powiedzieć -

oświadczył Luiz. - Te zarzuty, które ci postawili, że zaatakowałeś statek wbrew rozkazom, i tak dalej, według mnie to jedna wielka ściema i gówno prawda. Ty zginąłeś. Razem z Verą atakowaliście automatyczną obronę tego lodu, a ja trzymałem się z tyłu, żeby w odpowiednim momencie zbliżyć się i podrzucić kukulcze jajo. I ja wszystko widziałem. Napadły cię drony, poniszczyłeś je, ale jeden wybuchł bardzo blisko twojego samolotu. Trafiło cię, straciłeś panowanie, straciłeś łączność, wypadłeś z szyku. Nie mogłem cię wywołać, nie mogłem polecieć za tobą, bo akurat Vera zniszczyła resztki obrony i musiałem nalatywać i zrzucać wodorówkę. A kiedy wybuchła, byliśmy z Verą zajęci ganiem i niszczeniem co większych odłamków, zanim trafiły w Febe, zresztą ty cały czas odchodziłeś pod kątem, na jakichś czterech procentach ciągu, czy coś. Wezwałem pomoc, podałem im twoją deltę  $v$  i wektor i pewnie dlatego wiedzieli, gdzie cię podnieść. Wszystko to jest w zeznaniu, które złożyłem, kiedy cię oskarżyli.

- Szkoda, że ja tego nie pamiętam. Powiedzieli, że ta wsteczna amnezja z czasem ustąpi, ale gdzie tam. To się pewnie zdarza, jak się ma głowę przewierconą na wylot.

To miał być trochę żart, ale nie zabrzmiał dobrze. Znów ścisnął palcami nos, próbując stłumić czerwone pulsowanie bólu głowy.

- Wiem, że trafił cię odłamek z tego drona - powiedział Luiz. - Sam widziałem. Ale mówią, że podobno udało ci się połączyć samolot i wrócić do gry, i jeszcze raz cię trafiło, tym razem odłamkiem pierścienia? Bardzo to mało prawdopodobnie wygląda.

- Chyba po prostu miałem chujowy dzień.

- Przeżyłeś to, więc nie ma co gadać. Naprawdę pecha to miałaś wtedy, kiedy oni zabrali się za generała Peixoto i stwierdzili, że cię do tego wykorzystają.

- Luiz, oni mieli zapisy wszystkiego, co on wysyłał. Jak kazał mi prze-rwać atak na ten holownik Zewnętrznych. I mieli też czarną skrzynkę z mojego samolotu. Mówiła, że zawróciłem ze skraju układu Saturna. I ten kawałek bazaltu, co wyciągnęli z niego, to na pewno nie był odłamek żadnego drona. Jasne, mogli go podrzucić. Ale trzeba sobie zadać pytanie: po cholere? Na generała mieli milion innych haków. Nie musieli niczego wymyślać. Niczego fabrykować, żeby pokazać, że nie jestem takim bohaterem, jak twierdził generał. Że zataił pewne fakty o mnie, o tym, jak zginąłem i wróciłem do żywych. Widzisz? Już łatwiej uwierzyć, że to się stało naprawdę.

- Ja tam wierzę w to, co widziałem - powiedział Luiz. - Jeśli ta akcja z lodem nie robi z ciebie bohatera, to nie wiem, co byś musiał zrobić. Człowieku, ja już miałem się za tobą wstawiać. Zrobiłbym to. I Vera tak samo.

- Dziękuję. A wiesz, kiedy miałem szczęście? Moich zeznań nigdy nie wykorzystali, bo generał wybrał honorowe wyjście. Zamknięte drzwi, flacha

brandy, rewolwer. Wiedział, że jeśli stanie przed sądem wojennym i zostanie ponizony, jego rodzina wszystko straci. Zabił się, żeby ich ratować. A kiedy to zrobił, cały plan wziął w łeb. Już mieli mnie rzucić na pożarcie wilkom, a tu się okazało, że w sumie nie ma sensu. Więc chwilę mnie potrzymali i potem puścili.

- W porządku był człowiek - stwierdził Luiz. - I dobry żołnierz.
- Pewnie. I wygrał wojnę. Tego mu nikt nie odbierze.
- U nas się mówi, że nadciąga kolejna wojna. Może z Pacyfikami. Na poważnie, nie to co ostatnim razem.

Rozmawiali o tym przez jakiś czas. Patrzyli, jak bledną niedobitki zachodu słońca. Wenus szła za słońcem na zachód; sierp księżycy sunął ku wschodowi; na ciemniejącym niebie przebijały się pierwsze gwiazdy. Cash odszukał wyraźną żółtą gwiazdę Saturna i zapytał Luiza, czy myśli, że kiedyś tam wróci.

- Nie wydaje mi się. Wygraliśmy z nimi w końcu, nie?
- Pewnie.
- Następną wojna będzie tutaj, na Ziemi. Układ Zewnętrzny to już historia. Wiesz, po drugiej stronie Księżyca budujemy teraz więzienie dla najgorszych z Zewnętrznych, czyli tych, co z nami walczyli. Podobno są plany, żeby wszystkich ich tam przewieźć. Ale oni są nieważni. Teraz ważne jest to, że Pacyfiki zaczynają się mocno stawiać. Słyszałem, że ci Jeźdźcy Wolności i reszta buntowników dostają potajemną pomoc od agentów Pacyfików. Broń, kasę i nie tylko. Wcześniej czy później trzeba będzie ich wyeliminować. I z tego wyjdzie prawdziwa wojna.

- Ja tam jestem gotowy - powiedział Cash. - Myślisz, że mnie jeszcze zechcą?

- Jak będą mieli trochę rozumu, to tak. Wiesz co, ja już chyba będę leciał. Do domu masa kilometrów.

Podeszli do konwertoplanu Luiza. Cash stukał obcasami w betonowe bloki, Luizowi w egzoszkielecie cykały silniczki. Objęli się po raz ostatni, kazali sobie nawzajem uważać na siebie.

- Jak chcesz, mogę ci załatwić pełną opiekę medyczną w Monterey - powiedział Luiz. - Należy ci się.

- Ale mnie nic nie jest - odrzekł Cash. - Odzywaj się czasem, słyszysz?

Luiz wgramolił się sztywno do samolotu. Startując, owiał Casha falą powietrza z krzyżowych śmigieł, potem opuścił nos i z bzyčeniem pognął na południe.

Cash patrzył za nim, aż zielone i czerwone światelka pozycyjne samolotu roztopiły się w zmroku, potem wrócił do hangaru, wszedł przez półotwarte drzwi do chłodnego, ciemnego wnętrza i powiedział:

- No to by było tyle.

Z cieni wyszło dwóch facetów. Kuzyn Casha, Billy Dupree, i jego wuj,

Howard Baker. Billy zapalił zapałkę o kciuk, przysunął mały płomyk do twarzy i przypalił sobie jointa. Koniec rozżarzył się, gdy wciągał dym i mówił zduszonym głosem:

- Jak zaczęłaś gadać o Jeźdźcach, to nie wiedziałem, zesrać się czy uciekać.

- Nazwał ich bandytami. Uznałem, że trzeba go naprostować - powiedział Cash.

- Mądre to nie było - dodał Howard Baker.

Miał dobrze po sześćdziesiątce ale wciąż był silny i trzymał się prosto, ubrany w niebieskie dzinsy, obdrapane robocze buty i skórzaną kamizelkę na szerokiej piersi gęsto porośniętej siwą szczecinią. Wziął Casha pod skrzydła, kiedy ten zgodził się zrezygnować ze szmuglerki, błyskawicznie wkręcił go do Zespołu nr 669 RiO, małej jednostki transportowej latającej z bazy pod ich rodzinnym Bastrop. Sierżant Howard Baker wciągnął do RiO połowę swojej rodziny, a z zysków na rozmaitych przekrętach odpałał działkę komendantowi bazy, żeby mieć pewność, że patrzy przez palce.

Cash trzymał za szyjkę butelkę piwa, piątą z kolei. Pociągnął solidny haust, otarł usta wierzchem dłoni i powiedział:

- Tak jak mówię, on chciał zobaczyć, co tam u mnie, ja chciałem popierdzielić trochę o starych czasach. Nic poza tym.

- Pułkownik Schwarcz to może i jest twój kumpel i być może przyleciał tutaj tylko po to, żeby pogadać o starych czasach, nie miał żadnych innych powodów. Ale i tak nie możesz mu ufać. Nie na sto procent. Nie dlatego, że jest w wojsku. Dlatego, że nie jest z rodziny. Tyle mamy wspólnego z wielkimi rodami. Nade wszystko ufamy więzom krwi.

- Jakby ktoś chciał wywęszyć, czy wplątałem się w coś złego - odparł Cash - to przecież nie posłałby Luiza. To nie jest zadanie, które się daje komuś, kto ma pułkownika. Co wy, po prostu by mnie zwinęli i zaczęli zadawać trudne i bezpośrednie pytania.

Howard pokręcił głową.

- Jedna dobra zasada: zawsze sądzić, że twój wróg jest co najmniej tak sprytny jak ty. Postawić się na jego miejscu i pomyśleć, co by zrobił, a potem zakładać, że to właśnie robi. Ja na ich miejscu? Wcale bym cię nie aresztował. Jakbym to zrobił, może bym coś z ciebie wyciągnął, a może nie. Za to o wiele więcej bym się dowiedział, gdybym cię trzymał wolno, patrzył, z kim się spotykasz, z kim gadasz.

- Gdyby to było coś więcej niż wizyta starego kumpla z wojska, to zgodziłbym się - stwierdził Cash.

- Nawet gdybyśmy mieli pewność, że tak właśnie było, i tak by trzeba uważać, że nie - oświadczył Howard. - Ty myślisz, że jak wykręcamy tu ładną kasę, nie pakując się w żadne kłopoty? Bo wszystkie kłopoty wyprzedzamy o krok. Cały czas. Ale tym razem wydaje mi się, że zachowałeś się



jak trzeba. Poza tą jedną drobną wtopą, kiedy wspomniałeś o Jeźdźcach, zagrałeś prawie idealnie.

Cash znów lyknął piwa.

- Ale słyszałeś, co on mówił o Jeźdźcach i agentach Pacyfików?

- No właśnie, ostatnio jadą takim tekstem - powiedział Howard. - Wymyślili sobie, że Jeźdźcy kolaborują z wrogiem, żeby wojsko, jak każe im się ich atakować, nie miało bólu, że strzela do własnych obywateli.

Billy wypuścił wielką chmurę słodkiego, smrodliwego dymu.

- Twojego kumpla z wojska, pułkownika, to tak samo dotyczy.

- Ale wojsko nie jest prawdziwym wrogiem - odparł Cash. - Większość ludzi w wojsku jest dokładnie taka jak my, pochodzi z takich samych miejsc. Sam widziałem. Nie, problemem są ci politycy, co karmią ich kłamstwami.

- Słuchaj kuzyna - powiedział Howard do Billy'ego. - Zaczyna ogarniać, jak działa ten świat.

- Ja tam dalej myślę, że trzeba go było zgarnąć - mruknął Billy. - Pułkownik? Szef jakiegoś tam tajnego programu szkoleniowego na Księżycu? Moglibyśmy dostać, ile tylko zechcemy.

- Mało śmieszne - stwierdził Cash.

- To dobrze, bo ja mówię, kurna, poważnie. - Billy zaciągnął się jeszcze raz i dodał: - Wiesz co, Cash, ja jednak zapytam. Wy dwaj byliście kiedyś kochasiami, co? On się tak ubiera i tak tu siedzieliście i gadaliście... no, a wiem przecież, że w kosmosie czasami czujesz się samotny.

- Chyba ci się przypomina, jak było w pierdlu - warknął Cash.

Billy uśmiechnął się przez kłęby dymu, a Howard kazał im dać spokój.

- Ciągłe się zrecie i zrecie, jakbyście w poprzednim życiu byli małżeństwem. Może byście jakieś inne mięśnie poćwiczyli oprócz szczęki. Trzeba włączyć cały ten szajs na pokład, żeby Cash od razu z rana wystartował.

Cash dopił piwo i wyrzucił butelkę, Billy rozgniół blanta o framugę i poszli za Howardem do środka. Starszy gość zapalił światła w hangarze, ostry blask odbijał się od tęponosego, zielonego kadłuba samolotu kurierskiego T-20. Po jednej stronie stały palety wypchane kartonami i skrzynkami, wszystkie oznaczone czerwonymi krzyżami. W niektórych naprawdę były lekarstwa i środki medyczne; resztę wypełniała broń. Karabiny, magazynki, amunicja, dwa rodzaje plastycznego materiału wybuchowego oraz miny typu „grzechotnik” - inteligentne i śmiertelne zabawki, które dawało się ustawić, żeby naprowadzały się do określonego punktu geograficznego albo na termiczną lub zapachową sygnaturę danej osoby.

Jutro z samego rana, lecąc z zaopatrzeniem na plantację RiO, Cash wykona nieplanowane lądowanie parę kilometrów na zachód od ruin niegdysiejszej Odessy. W XX wieku wszędzie tu pompowano ropę z permskich łupków. Wiele lat po Przewrocie i po wojnie domowej, która skończyła się wcieleniem resztek Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brazylii, tu

nadal mieszkali potomkowie tych nafcjarzy. Dzicy osadnicy. Zwykli mężczyźni i kobiety, którzy trzymali się uparcie rodzinnej ziemi i dołączyli do Jeźdźców Wolności, bo chcieli wywalczyć sobie z powrotem odebrane im prawa i godność. Cash chętnie by to wszystko Luizowi wytłumaczył - stali jednak po różnych stronach, a zresztą, Luiz już wracał na Księżyc. Pewnie już nigdy nie zobaczy swojego starego kumpla, pomyślał, i poczuł ukłucie żalu. Ta część jego życia skończyła się na dobre.

## ROZDZIAŁ 4

Zabita dziewczyna leżała pośrodku jedyne go pokoju w mieszkaniu, obok obniżonej i wyściełanej wnęki sypialnej. Leżała niedbale na plecach, na podsychającej półżywej trawie, z rozrzuconymi ramionami. Była naga, a blade piersi, brzuch i boki miała całe wymazane smugami zaschniętej krwi. Suche oczy patrzyły martwo przez Loca, kiedy nachylał się nad nią. Sztynność już ustąpiła. Rozluźniła się w śmierci, będąc już poza wszelkim ludzkim cierpieniem, nie można było jej pomóc. Kapitan Neves powiedziała:

- Chłopak mówił, że nikogo więcej nie było. Że to była prywatna impreza. Wpuściłam tutaj robota kryminalistyka, żeby wszystko dokładnie przerył, i wygląda na to, że mówił prawdę. Czyli trochę łatwiej będzie sobie z tym poradzić, nie sądzisz?

- A nie powiedział ci, czemu ją zabił?

Stali po obu stronach trupa dziewczyny, oboje w długich, grubych płaszczach, z rękami w kieszeniach. Oddech unosił się parą w powietrzu. Kapitan Neves przykręciła temperaturę w mieszkaniu, żeby lepiej zachować miejsce przestępstwa. Pokręciła głową.

- Na początku to w ogóle powiedział, że nie wie, co się stało. Że zaliczył zgon i potem tak ją znalazł. Potem twierdził, że to był wypadek. Że wyglądali się z tym nożem i ona jakoś na niego upadła.

Loc policzył krwawe usta na skórze dziewczyny. Przed wejściem tu strzelił sobie dwa plasterki pandorfu i wszystko wydawało się klarowne, jasne i odległe. Zauważył:

- Niezły wypadek. Jedenaście razy na ten nóż upadła.

- Więcej. Z tyłu też ją niezłe poharatał. Nazywają to „perseweracja”. Zaczął i nie umiał przestać. Na nożu są tylko jego odciski, ręce niby umył, ale i tak miał pod paznokciami ślady jej krwi. A pod jej paznokciami z kolei były strzępki jego skóry, na pewno z tych zadrapań na przedramionach. Chyba trochę się z nim poszarpała. Żadnych śladów wskazujących na kogokolwiek innego, żadnych dowodów, żeby został wrobiony.

- Jest jakieś wideo z softu szpiegowskiego?

- Stąd? Stąd nie ma. Gość, którego zatrudnił do ochrony, zna się na rzeczy. Tu jest czysto. Ale pozbierałam materiały z miejskiej sieci, trafiłam za nimi do tego klubu, który on prowadzi. Wyszli o drugiej piętnaście, tu weszli jakieś pół godziny później. Tylko we dwójkę.

- I gdzie on teraz jest?  
- W bezpiecznym miejscu. Nikt go tam nie znajdzie i nic sobie nie zrobi.

- Czyli w końcu jednak to zrobił. - Loc przyglądał się własnym myślom, jak migocą i przeskakują, przeliczając różne scenariusze. - Pewna jesteś na sto procent, że nikt z tubylców o tym nie wie?

- Nikt nie wie poza tobą, mną i wojskową, która go teraz pilnuje. Chłopak zadzwonił do mnie. Ja przyszłam i zabezpieczyłam miejsce. I potem zadzwoniłam do ciebie.

- A ludzie Cândido?

Joel Cândido, ponuro skuteczny zawodowy żołnierz, zastąpił na stanowisku gubernatora Camelotu nieudanego i nieopłakiwanego przez nikogo Faustino Malartego. Uwielbiał spotkania i niekończące się dopracowywanie przepisów i procedur, a codzienne zarządzanie miastem zostawiał sztabowi cywilnych urzędników oraz policji kapitan Neves.

- Nie chciało mi się kłopotać podpułkownika Cândido jakimś tam głupim incydentem przemocy domowej.

- Ale plan masz - stwierdził Loc. - Nie zaprzeczaj. Widzę, że odkąd przyszedłem, nie możesz się doczekać, żeby mi powiedzieć.

- A ja widzę, że znowu lecisz na tych plasterkach.

- Lecę tak wysoko, że prawie mogę ci zajrzeć do głowy. Ale nie do końca. Więc mi powiedz, co kombinujesz.

- Prosta rzecz. Wyciągamy chłopaczka z tego, a potem zobaczymy, ile to jest warte dla Sri Hong-Owen. Dlatego nie powiedziałam ani Cândido, ani w ogóle nikomu.

- Poza tą strażniczką. Można na niej polegać, że nie wygada?

- Pewnie. Ufam jej bardziej niż tobie.

- Powinnaś się uśmiechnąć, jak to mówisz. Wtedy byłoby prawie śmieszne.

- Śmieszniejsze jest, jak się nie uśmiecham.

- Plan całkiem niezły i może się udać. Chociaż nie do końca tak, jak się spodziewasz. A ona to kto?

- Znaczy, ta zamordowana? Nikt specjalny. Uchodźca z Paryża na Dione. Mieszka tutaj z dwoma ojcami. Ale ma parę ciekawych kontaktów. Jak chcemy chłopakowi pomóc, możemy chyba jeden z nich wykorzystać.

- Tak zwany „ruch oporu”.

- Nie gadaj, z góry wiedziałeś.

- No, daj spokój... jest w odpowiednim wieku, była z Paryża, pewnie nas nienawidziła za to, co tam zrobiliśmy, i za to jeszcze, że nie może wrócić do domu razem ze swoimi tatusiami-ciotami... A coś działała czy tylko kręciła się w towarzystwie?

- Nigdy za nic nie wpadła, ale paru jej kumpli ma teczki, więc i ona ma.

- Łatwo zobaczyć, co się tu mogło stać. Przyszła do domu z chłopaczkiem. Czekał na nią kumpel z ruchu oporu. O coś się pożarli. Może chciała zrobić jedyną słuszną rzecz i pójść do władz, wszystko im powiedzieć. Kumpel się dowiedział, próbował ją przekonać, żeby siedziała cicho, a jak odmówiła, dostał morderczej furii. Dzieciakowi przywalił tak, że stracił przytomność, dziewczynę zabił.

- Coś w tym stylu.

- Dokładnie jak powiedziałem. To do kompletu potrzebujemy tylko koziołka ofiarnego.

- O, ja już mam jednego na oku - stwierdziła kapitan Neves.

- Ty wredoto - powiedział czule Loc. - Tobie to sprawia frajdę.

- Nie gadaj, że tobie nie - odparła kapitan Neves i pochyliła się nad trupem dziewczyny, żeby pocałować Loca. Ugryzła go w wargę, dość mocno, by zostawić siniaka.

\*\*\*

Młody człowiek, którego kapitan Neves zamierzała zrobić, był najmłodszym z młodych gniewnych kumpli zabitej dziewczyny i, podobnie jak ona, był uchodźcą z Paryża na Dione. Kapitan Neves musiała tylko go porwać, uspić i sprawić, żeby obudził się z ciężkim kacem, cały we krwi, obok martwa dziewczyna, a do drzwi wałą żołnierze i krzyczą, żeby otworzono... Sprawa dostanie kwalifikację polityczną, bo chłopak ma kontakty z ruchem oporu (a dokładniej, to bardzo chciał: przypalał się na parę spotkań i pomażał parę ścian, kapitan Neves chciała jednak mu przykleić jeszcze parę aktów sabotażu), więc tubylcy nie będą mogli się zbliżyć ani do miejsca przestępstwa, ani do podejrzanego. Aż za łatwe to było, jak twierdziła Neves. Jak łowić ryby w beczce. Podczas gdy ona to wszystko ustawiała, Loc postanowił pogadać z pełnym skrucy zabójcą.

Kapitan Neves zamknęła go w kawalerce, której używała do prywatnych przesłuchań. Wisiała na wysokim konarze figowca na zachodnim skraju lasu wypełniającego namiot przejęty przez Tymczasowy Zarząd miasta. Loc odprawił pilnującą więźnia strażniczkę i stanął plecami do drzwi. Podłoga kłitki była ze standardowej półżywej trawy. Do jednej ściany przyrubowano drabinkę z fullerenowych prętów, z najwyższego szczebla zwisała para kajdanek. Jedyнным meblem był porysowany plastikowy stół. Narzędzia, które zwykle się na nim wałały, uprzątnięto, zastępując je butelkami kawy, herbaty i wody z lodem, tacą kandyzowanych owoców i słonych ciasteczek.

Berry Hong-Owen siedział na podłodze przy oknie naprzeciwko. Miał na sobie papierowy kombinezon i koc, udrapowany jak chusta na ramionach. Gapił się w podłogę pomiędzy bosymi stopami, jasna grzywka na w pół

przesłaniała twarz. Okno za jego plecami było spolaryzowane na maksa, tak że odbijało wnętrze pokoju. Loc dojrzał w nim swoje odbicie, schludne i eleganckie w ciemnoszarej tunice i spodniach, jak podchodziło i staowało nad chłopakiem, który wzruszył ramionami, kiedy Loc zapytał, jak się czuje.

- Ja to zrobiłem - powiedział. - Rozumiesz? Powiedziałem tej policjantce, że to nie ja, ale to ja.

Kapitan Neves wstrzyknęła mu końską dawkę środka uspokajającego. Gadał bezbarwnie i monotonna, jak bardzo prymitywna AL

- Tym się już nie przejmuj, Berry - odparł Loc. - To już minęło. Jakby się nigdy nie stało.

- A moja matka wie? Zapłaciła ci, żebyś mi pomógł?

- Na razie o niczym nie ma pojęcia. To jest nasza tajemnica. Ty i ja kontra cały świat.

- Gdyby ci płaciła za opiekę nade mną, dokładnie tak byś powiedział - stwierdził Berry. - Ona mnie szpieguje. Nie wiesz tego? Nie dlatego, że o mnie dba. Dlatego, że nie chce, żebym się dobrze bawił.

- A z tą laską dobrze się bawiłeś? - Myśl wymknęła się Locowi i przeobraziła w słowa, zanim je pochwyił, więc pośpiesznie dodał: - Nie ty jeden wpakowałeś się w takie kłopoty, Berry. Wszyscy jesteśmy tutaj w strasznym stresie. Miejsce jest obce i niebezpieczne, a tubylcy wcale nie tacy przyjaźliscy, jak udają. Zresztą, ona należała do ruchu oporu. Nie zaprzyjaźniła się z tobą dlatego, że cię lubiła, ale dlatego, że chciała wybać, co wiesz, zbliżyć się do ciebie, bo jej kumple uważali, że możesz im się przydać. Wykorzystywała cię, więc widzisz, nie musisz czuć się winny za to, co zrobiłeś. Podstawmy sprawę jasno. Była nikim. Szpiegiem. Dziwką. I koniec z nią.

- Miła była dla mnie.

- Pewnie, że tak. Takie miała zadanie.

Jezus Maria i Gaja, jak ciężko do tego typu dotrzeć. Jakby się gadało z kimś na dnie studni.

- Ja nic nie pamiętam. Pewnie to zrobiłem, ale nie pamiętam - powiedział Berry, patrząc na Loca przez tłustą czuprynę.

Okropnie przytył, odkąd Loc go ostatni raz widział. Ostro imprezował z grupą rozwydrzonych dzieciaków o modnie nihilistycznym stosunku do życia, które żerowały na nim, bo miał linię kredytową i drobne, choć przydatne znajomości w siłach okupacyjnych. Ciągnął też sporo krojonych na miarę psychotropów, tyle, że i słoniowi by odwaliło. I do tego jeszcze chlał. A jeśli wierzyć kapitan Neves, miał jeszcze bulimię, pochłaniał lody całymi litrami, a potem je zwracał. Oczy tonęły w fałdach tłuszczu, przekrwione ostrygi lśniące niewyplakany łzami. Cuchnął strachem: zjelczałym masłem z metalicznymi nutami.

- Pewnie cię naćpała. Oni tak robią. Dają ci środki, żebyś zaczął gadać.

Naćpała cię, chciała wyciągnąć z ciebie różne tajemnice, a ty miałeś ostrą reakcję. To, co się stało, Berry, to była samoobrona.

- Podobała mi się - odezwał się Berry po dłuższej chwili.
- Przejdzie ci.

Berry odwrócił głowę.

- T co teraz zrobisz? Zawieszysz mnie do matki? Powiesz, co zrobiłem?
- A tego byś chciał?

Berry wzruszył ramionami.

- Ja jej nie obchodzę. Ona komuś każe mnie opierdzielić, dać mi kolejne kredyty i wysłać w jakieś inne miejsce. Gdzie będę się musiał od nowa zaprzyjaźniać z ludźmi.

Czuł wyrzuty sumienia, ale nie za to co zrobił. Nie żał mu było dziewczyny. Nie, on taplał się w litości wobec samego siebie, bał się, że spotkają go rozmaite niedogodności, że już nie będzie mógł się świetnie bawić.

- Jeśli chcesz tu zostać, z przyjaciółmi, mogę ci w tym pomóc - powiedział Loc. - Mogę ci pomóc załatwić ten drobny problem, żebyś mógł żyć jak przedtem. A potem, kiedyś, ty mi też pomożesz.

Powtórzył to wiele razy, różnymi słowami, żeby mieć pewność, że dotarło do zamulonego mózgu Berry'ego. Kazał mu to sobie przemyśleć, został nadąsanego dorosłego dzieciaka pod opieką kapitan Neves, wziął holownik i poleciał na Janusa, żeby stanąć oko w oko z profesorem Sri Hong-Owen w jej królestwie. Nie po to, żeby zażyczyć sobie zapłaty za usługę. Jak tłumaczył kapitan Neves, proste „coś za coś” to tępe narzędzie, którego można użyć tylko raz. O wiele lepiej będzie powiedzieć pani profesor, że sprzątnął bałagan, którego narobił jej syn, w ramach zwykłej uprzejmości. Może będzie bardziej skłonna wyświadczyć mu kiedyś przysługę, może nie, ale przynajmniej Loc będzie mieć okazję zobaczyć na własne oczy, co ona tam robi, odkąd odcięła się od świata.

Z jej laboratoriów, prowadzonych przez nieliczny zespół oddanych jej fanatycznie asystentów, ciurkało dość cudowności, żeby zadowolić Euclidesa Peixoto i rozmaite ciała nadzorcze, ale tylko owi asystenci mieli pojęcie, co ona robi na Janusie. Loc miał informatorów we wszystkich miastach układu Saturna, ludzi, którzy mienili się jego przyjaciółmi, o ile dopieszczał ich łapówkami i prezentami. Nie byli jednak w stanie przeniknąć mgły pogłosek i kontrpogłosek krążącej wokół profesora Sri Hong-Owen. Był niemal pewien, że Euclides Peixoto też nie wie więcej od niego. Euclides mógł się tym nie przejmować, póki sływały tantiemy z odkryć wielkiej genetyczki i napychał sobie kabzę na kolejnych odkryciach. Loc za to się przejmował. Informacja to władza. Jedyna władza, jaką ma obecnie do dyspozycji.

Euclides Peixoto nagroził otwartość Loca w sprawie zbrodni generała Arvama Peixoto stanowiskiem szefa Biura Spraw Specjalnych, niedużego

zespołu specjalizującego się w rozwiązywaniu problemów, analizującego wszelkie iskrzenia na łączach między RTM i Zewnętrznymi, zajmującego się sprawami kompromitującymi i wstydliwymi - generalnie pilnującego, żeby na światło dzienne nie wychodziły żadne afery. Była to dobra, użyteczna robota, która pozwalała Locowi wciskać się w rozmaite interesujące zakamarki. Podlegał bezpośrednio Euclidesowi Peixoto i mógł dowolnie podróżować po księżycach kontrolowanych przez Wielką Brazylię. Ale to go nie satysfakcjonowało, wiedział bowiem, że nie jest niczym ponad narzędzie woli Euclidesa Peixoto. Przydatnym sługą niskiej rangi.

A chciał być kimś więcej. Dużo więcej.

Pięćset kilometrów od Janusa holownik przechwycił dron ochrony i zaczął indagować. Loc odpowiedział na beczelne pytania maszyny i kazał pilotowi przekazać stery. Dron poprowadził holownik na odsaturnową półkulę małego księżyca. Dryfując nad nierównym terenem pokrytym zagobami organizmów próżniowych, Loc zauważył wachlarz jaśniejszej skały, być może urobku z jakichś wykopów, ale nie dostrzegł żadnych innych śladów biomów i biofabryk, które guru genetyczna podobno budowała głęboko pod lodową skorupą Janusa.

Holownik zgrabnie i lekko usiadł na płycie przymocowanej do wewnętrznej stoku dużego krateru uderzeniowego. Loc uszczelnił skafander i wysiadł, poruszając się z nerwową ostrożnością w śladowym ciężeniu, a jeden z asystentów Sri Hong-Owen podprowadził go po mostku linowym do kopuły wypełnionej dżunglą - nie było to dzieło Sri Hong-Owen, lecz jeden z dziwacznych ogrodów Avernus, opuszczony długo przed wojną. W środku spotkał go inny asystent, androginiczne neutko Raphael, które powiedziało mu, że pani profesor jest zbyt zajęta, żeby się z nim spotkać.

- Może pan mi powiedzieć wszystko, co chciał pan przekazać jej. Chyba że woli pan się umówić, muszę jednak uprzedzić, że ustalenie spotkania może zająć sporo czasu.

- Muszę porozmawiać z nią w cztery oczy o ściśle tajnej sprawie dotyczącej jej syna - powiedział Loc. - Przekaż jej to i zobaczymy, co się wydarzy.

Raphael było bardzo wysokie i bardzo chude, o miodowej cerze, burzy włosów jak cienkie złote druciki i twarzy jak jedno z tych złudzeń optycznych, przeskakujących między dwoma punktami widzenia. Nie do końca męskiej, nie do końca żeńskiej, trochę takiej, trochę takiej, ale w rezultacie całkiem odmiennej i trudnej do odczytania. Splotło przed twarzą długie palce i przypatrywało się Locowi być może z cwany rozbawieniem, być może z wyrachowaniem albo starannie skrywaną niechęcią. Do wyboru. Siedzieli na pękatych poduchach w gabinecie-balkonie z widokiem na zielone morze puszystych koron drzew, obwieszonych kwitnącymi pnączami, pod wierzchołkiem kopuły płonęły światła żyrandola jak rozbita gwiazda, za



nimi - czarne niebo. Powietrze było gorące i wilgotne. Loc pocił się pod ocieplaczem, za to głowę, oczyszczoną świeżym plasterkiem z pandorfem, miał chłodną i bystrą. Rejestrował wszystko wokół z beznamiętną dokładnością. Zapamiętywał do późniejszej analizy. Nawet nie mrugnął, gdy w drodze przez mostek do gabinetu zauważył, że w gęstym leśnym poszyciu przemknęło coś, co przypominało odciętą rękę dawno rozłożonego trupa.

Raphael powiedziało:

- Berry jest już pełnoletni. Odpowiada za własne czyny. Ale w wyjątkowych okolicznościach jestem upoważniony, by działać niejako *in loco parentis*. Jeśli może pan omówić ten problem ze mną, być może będę w stanie pomóc jakoś go rozwiązać.

- Ja już go rozwiązałem - odparł Loc. - Właśnie dlatego nalegam na rozmowę z jego matką. Obaj dobrze wiemy, że pani profesor ma wielu wrogów. Jedną aferę przetrwała, może nie przetrwać kolejnej. Jest konieczne, żebym porozmawiał z nią jak najszybciej i ustalił najlepszy sposób postępowania.

- Jeśli chodzi o zrekompensowanie pana kosztów...

- Nie chodzi o pieniądze. Chcę, żeby to było jasne. Zupełnie nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, żeby pomóc samotnemu młodemu człowiekowi, który się pogubił. Uratowałem go, kiedy popadł w bardzo niebezpieczne towarzystwo. Fizycznie nic mu nie jest, ale psychicznie... On bardzo cierpi. Dręczy się. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby mu pomóc, ale teraz potrzebna mu matka - mówił Loc, choć w głębi duszy czuł, że spada, i nie miało to nic wspólnego z brakiem ciężenia: wiedział po prostu, że nic nie wskóra. Neutko pokręciło głową i z chłodnym, starannie opanowanym wyrazem twarzy powiedziało mu, że Sri Hong-Owen obecnie z nikim nie rozmawia.

- Ma wiele pracy i nie życzy sobie, żeby ktoś jej przeszkadzał.

Loc udał wielkie oburzenie.

- Myślę, że dla wielu ludzi to byłby szok, że praca jest dla niej ważniejsza niż dobro własnego syna.

- Panie Ifrahim. Niech pan mi coś powie. Czy to byłby dla pana szok, gdyby to samo stwierdzenie dotyczyło ojca Berry'ego?

- Ten ojciec zmarł dawno temu, na Ziemi.

- I tak jednak widzę tu swego rodzaju podwójny standard - powiedziało Raphael. - Oczywiście objaw pożałowania godnej nierówności w waszej kulturze. A co do Berry'ego, powiem tylko tyle: pani profesor kilka razy próbowała znaleźć mu porządną pracę. Ale on nigdy tej pomocy nie przyjął. Ja jeszcze raz zaproponuję mu taką pomoc, ale wątpię, żeby Berry usłuchał mnie, skoro nie słuchał matki.

- A jak to jest, wiedzieć, że na zawsze zrezygnowało się z seksu?

Pytanie wymknęło mu się z pracującej na najwyższych obrotach głowy i zawisło w upalnym, wilgotnym powietrzu. Na szczęście Raphael potraktował

wało je poważnie.

- To jest uspokajająca świadomość. Inaczej się patrzy na ludzką głupotę. Spodobałby się panu taki punkt widzenia. Bardzo dziękuję panu za wszystko. I powodzenia z Berrym. Mam nadzieję, że będzie pan w stanie mu pomóc.

## ROZDZIAŁ 5

Większość Wolnych Zewnętrznych zgadzała się, że Idriss Barr i Macy Minnot powinni przyjąć zaproszenie Sady Selene - i że udział w negocjacjach Duchów z dyplomatami Wspólnoty Pacyficznej jest kluczowy dla ich bezpieczeństwa i przetrwania. Odbyła się jednak długa i zjadła dyskusja nad tym, jak Idriss i Macy powinni się zachowywać, co mówić, czego nie mówić; opracowane przez Idrissa rozmaite kompromisy nikogo nie satysfakcjonowały. Ujawniły się wszystkie podziały w tej małej społeczności. Po wszystkim, Mary Jeanrenaud przechwyciła Macy i powiedziała jej, że musi schować do kieszeni swoją nienawiść wobec Duchów w ogóle i Sady Selene w szczególności.

- Musisz cały czas pamiętać, że to nie chodzi o ciebie. Że chodzi o przetrwanie całej naszej społeczności.

- Trudno mi się nie zgodzić - odpowiedziała Macy starszej kobiecie. - Wszystko, co ma związek z Duchami, traktuję bardzo poważnie.

Mary Jeanrenaud wyraźnie pragnęła kłótni. Przybrała ton lodowatej protekcyjności.

- Może ci się wydaje, Macy, że nas rozumiesz. Ale nigdy nas nie zrozumiesz. Nie naprawdę. Ale jeśli poświęcisz się i wykonasz to zadanie jak należy, dla dobra ogółu, jest jeszcze pewna nadzieja, że zaadaptujesz się do naszego stylu życia.

- O, ja przez cały czas czegoś się od was uczę - powiedziała Macy. - Na przykład, wydaje mi się, że wreszcie rozumiałam tę waszą demokrację. Długi czas myślałam, że chodzi w niej o podejmowanie najlepszych decyzji, zadowolających większość ludzi przez większość czasu. Teraz jednak widzę, że to jest sposób na dogadywanie się z ludźmi, z którymi trzeba się dogadać, żeby przetrwać. Nawet jeśli się ich nie lubi.

Dwadzieścia osiem dni później statek Wspólnoty Pacyficznej wszedł na kwarantannową, izolowaną orbitę w odległości około dwóch milionów kilometrów od Neptuna. Prom Duchów wyruszył po pacyficznych dyplomatów, a Macy i Idriss Barr wsiedli na holownik, który zawiózł ich z Proteusza do kolonii Duchów na Trytonie, szumnie zwanej Nowy Horyzont.

Duchy już od ponad dziesięciu lat osiedlały się potajemnie na Trytonie. Według ich nieuchwytnego guru, Leviego, stanowili naród wybrany. Twierdził, że otrzymuje wiadomości od samego siebie z przyszłości i że

według nich jego wyznawcy zrzucą okowy ziemskiej władzy i wynajdą sposób na podróże z nadświetlną prędkością, które pozwolą im skolonizować planety wokół innych gwiazd. Od jakiegoś czasu przygotowywali się do tego zadania, werbując młodych ludzi we wszystkich miastach i osiedlach w układach Saturna i Jowisza, gromadząc zapasy i przewożąc je na Trytona automatycznymi transportowcami. Oprócz tego, przed Cichą Wojną doprowadzili do nasilenia się agresji i wrogiego nastawienia pomiędzy Ziemią i Zewnętrznymi - zaatakowali dwie brazylijsko-europejskie solówki próbujące wejść głęboko w atmosferę Saturna w ramach manewrów propagandowych; wspierali i popierali obietnice zbuntowanego burmistrza Paryża, Marisy Bassiego, który groził, że każdy atak na jego miasto spotka się z szybkim i śmiercionośnym odwetem; strzelili lodową bryłą w bazę Wspólnoty Pacyficznej na jednym z zewnętrznych księżyców Saturna.

Zamęt Cichej Wojny dał Duchom okazję do wprowadzenia licznych statków, zorganizowania masowego exodusu z księżyców Jowisza i Saturna oraz rozpoczęcia następnej fazy ich długoterminowego planu ziszczenia prorocत्व Leviego. Miasto Nowy Horyzont zajmowało rozległy obszar pod przypominającą skórę melona równiną na równiku Trytona. Składało się z ciągu komór wytopionych za pomocą wymontowanych silników termojądrowych, połączonych liniami jednoszynowej kolejki w tunelach wywierconych przez potężne i niestrudzone roboty budowlane. Odporne było na wszystko z wyjątkiem wielokrotnego zbombardowania najcięższymi bombami wodorowymi. Duchy korzystały z organizmów próżniowych, by wydobywać i przetwarzać pokłady złożonych związków organicznych, obficie występujące pod zamrożonym azotem i metanem powierzchni, wykonały także wiele odwiertów sięgających czterdzieści kilometrów w głąb, do opływającego kamienne jądro oceanu. Automatyczne rafinerie zaczęły ekstrahować minerały i metale z oceanicznej wody amoniakalnej, Duchy miały też wielkie plany budowy machin elektrolizujących, które natleniłyby górne warstwy oceanu, oraz utworzenia tam wielkiego ekosystemu. Planowały także budowę latających miast w atmosferze Neptuna. Jak się przechwalały, za sto lat układ Neptuna będą zamieszkiwać całe kłady postludzi, przystosowanych do wszelkich możliwych habitatów - kwitnąca, pełna życia wspólnota, eksplorująca i kształtująca przyszłość ludzkiej rasy.

Grupa negocjatorów z miasta Nowy Horyzont oraz dyplomaci Wspólnoty Pacyficznej spotykali się w niedawno wybudowanym habitacie ponad sto kilometrów na północ od centrum miasta - skupisku dużych, sferycznych przestrzeni okalających centralną oś, a w środku poszatkowanych nieregularnymi tarasami połączonymi typowymi dla słabego ciężenia szybami, tyrolkami i zjeżdżalniami, wszystko sterylnie białe jak świeżo spadły śnieg, bez ozdób ani zieleni, jeśli nie liczyć posadzonych tu i ówdzie na ścianach kęp modyfikowanych ananasowa tych, usuwających z atmosfery

ślady potencjalnie szkodliwych gazów oraz półżywych mchów w kontenerach toaletowych, przetwarzających i oczyszczających mocz i kał.

Duchy spały w zbiorowych sypialniach, jadły w stołówce, pracowały tam, gdzie akurat było trzeba. Niższe poziomy przeznaczyli na wytwórnie i warsztaty, ale wszystko inne mogło być przystosowane do dowolnych wymagań, od przedszkoli po szpitale. Te surowe przestrzenie mieszkalne i robocze emanowały lodowatą elegancją czystej funkcjonalności, nie tylko podziwiać czystość motywów mieszkańców miasta, Macy jednak wydawało się równie przytulne jak mrowisko, kompletnie pozbawione intymności i przez całą dobę wypełnione nieustającą celową krzątaniną. Mimo to, Duchy nie były śmiertelnie poważnymi fanatykami o szklanym wzroku. Większość nie miała nawet czternastu lat, uznawanych wśród Zewnętrznych za pełnoletność, była urodzona w ektogenetycznych zbiornikach i zmodyfikowana tak, by szybciej dorastała, osiągając dojrzałość płciową w wieku dziesięciu lat i w parę lat przechodząc cały wiek młodzieńczy - i nic im to nie szkodziło, może poza faktem, że nie miały pojęcia o niczym poza swoim miastem, nauczaniem Leviego i jego szalonymi, pełnymi rozmachu marzeniami. Były wesole i pełne energii, uprawiały wszelkie możliwe sporty, tworzyły zespoły muzyczne i grupy teatralne, brały udział w długich filozoficznych dyskusjach, a przy pracy przeważnie śpiewały gorliwe hymny na cześć chwalebnej przeszłości, którą budują, i swoich przyszłych zwycięstw. Mówiły do siebie „bracie” i „siostrze”, a podczas rozmów czy spacerów często trzymały się za ręce. Nie organizowały się w rodziny (rodziców szanowały, ale z nimi nie mieszkały i nie obowiązywało ich posłuszeństwo), lecz w oddziały: członkowie każdego oddziału razem się uczyli, razem pracowali, razem spędzali nieliczne wolne godziny i urządzali sobie grupowe sesje samokrytyki, na których każdy po kolei przyznawał się do tak zwanych myślozbrodni, był łagodnie napominany przez innych i z wdzięcznością przyjmował drobną karę.

Macy spodziewała się spotkać paradę groteskowych dziwadeł, okazało się jednak, że większość Duchów w ogóle nie różni się od pozostałych Zewnętrznych - Phoenix Lyle, ze swoimi czarnymi w czerni oczyma, miedzianą skórą i węzowym ogonem, oraz paru innych podobnych zmienili sobie plan ciała przed przystąpieniem do Duchów. Według Leviego, modyfikacje wyglądu fizycznego miały sens, tylko jeśli były przystosowaniem do nowego środowiska, w przeciwnym razie były pretensjonalną manierą, marnotrawstwem, ani szczególnie nowatorskim, ani radykalnym. Były, w skrócie, jak dłonie zamiast stóp - taki stary dowcip Zewnętrznych o poronionych pomysłach przystosowania się do mikrogravitacji. Najpierw zamieniasz stopy na drugą parę dłoni. A potem musisz sobie wyhodować na dupie drugą głowę, bo nie wiesz, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nie, Levi i jego Duchy wierzyli, że prawdziwy front ludzkiej ewolucji to nie ciało, lecz

umysł. Definiującą cechą gatunku ludzkiego jest jego wielki mózg, ale jak wszystkie wytwory ewolucji jest on nadbudową i rozbudową starszych struktur, dlatego możliwości mózgu i ludzkiej wyobraźni są ograniczone masą przypadkowych kompromisów z przeszłości. Levi powiedział, że aby naprawę zbadać, co to znaczy być człowiekiem, ludzie muszą poddać przebudowie organ, który określa ich jako gatunek - poprawić pamięć, przyspieszyć przesyłanie informacji w neuronach, zwiększyć prędkość myśli, powycinać lub zmodyfikować zbędne emocje, dokonać dziesiątek innych zmian.

Sam Levi w ogóle się nie pojawił. Macy Minnot, Idrissowi Barrowi i pacyficznym dyplomatom powiedziano, że obserwuje ich z ogromnym zainteresowaniem, ale bezpośredniego udziału w negocjacjach nie weźmie. Był jak Bóg - często wspominany, ale nigdy niewidziany. Nikt, kto nie był Duchem, nigdy go nie poznał, nikt nie miał pojęcia o jego przeszłości, choćby i poprzednim imieniu, sprzed czasu, gdy stanął na czele sekty. Jedna z plotek głosiła, że umarł wiele lat temu i żyje tylko jako system ekspercki. Inna - że jest prawdziwą AI, samoświadomym cyfrowym bytem o nadludzkiej inteligencji, jak wyjęty żywcem z dawnych marzeń i koszmarów. Jeszcze inna - że cierpi na egzotyczny nowotwór, od którego ciało ma tak zniekształcone, że musi żyć w podtrzymującym życie zbiorniku. Albo że pozostawił tylko szereg proroctw, a sam dał się zamrozić i obudzi się dopiero, gdy dobiegną końca tak zwane lata kryzysu - gdy wreszcie będzie gotowy napęd nad-światłowy i będzie mógł poprowadzić swe dzieci ku gwiazdnym ziemiom obiecany.

Macy była niemal pewna, że i dyplomaci Pacyfików, jak Duchy, mieli modyfikacje zwiększające inteligencję oraz przyspieszające dojrzewanie, większość z nich była bowiem młoda, bystra i niesamowicie pogodna. Chińczycy, Hindusi, Filipińczycy, Malaje... Tęczowa koalicja nastoletnich ambasadorów pod wodzą wiekowego Australijczyka, Tommy'ego Tabagee. Poza jedną ćwiczebną grą wojenną zainscenizowaną w komorach miasta i tunelach jednoszynówki, mającą zademonstrować gotowość Duchów do obrony miasta do ostatniej kropli krwi oraz wycieczkami do oceanicznych platform wydobywczych i wielkich farm organizmów próżniowych na powierzchni, nie było zbyt wielu oficjalnych spotkań. Pacyficzni dyplomaci wyjaśniali, że najlepiej poznają cele i potrzeby Duchów, po prostu uczestnicząc we wszystkich aspektach ich normalnego życia, Duchy zaś zaskoczyły Macy całkowitą otwartością w kwestii swojej filozofii i planów.

Otwartość świetna sprawa, ale śledzenie pozbawionych planu i nieformalnych interakcji Duchów i ich gości okazało się niemożliwe. Ekipa Pacyfików wędrowała sobie swobodnie po komorze, rozmawiała z każdym, kto się nawinął, pracowała razem z gospodarzami w wytwórniach i warsztatach, brała udział w grupach dyskusyjnych i samokrytycznych, w

występach teatralnych i muzycznych. Drony rejestrowały wszystko, co mówili i robili, ale Sada Selene odmówiła Macy dostępu do danych z monitoringu.

- Jak nie pozwolisz mi robić tego, co do mnie należy, to nie zrobię tego - powiedziała Macy.

- Rób to, co oni - oznajmiła Sada. - Gadaj z nimi. Pracuj. Baw się. To, jak reagują i jak się zachowują w obecności słynnej dezertarki z Wielkiej Brazylii, powie nam o wiele więcej niż parę subiektywnych opinii.

Zatem tak się sprawy miały. Duchy tak naprawdę nie chciały, żeby Macy była obserwatorką - chciały ją wykorzystać jako przynętę-prowokatorkę. Nie zdenerwowała się specjalnie tą rewelacją, bo spodziewała się jakiegoś podstępu, ale jej frustracja rosła, gdy mimo mijających kolejnych dni nie udawało jej się ani odkryć, co kryje się za bezgranicznym zapałem pacyficznych dyplomatów, ani stwierdzić, czy naprawdę liczą na osiągnięcie jakiejś zgody RTM z Zewnętrznymi. I choć docierały do niej przesłuchy, że dyplomaci i Duchy rozmawiają o wymianie tajemnicy brazylijskiego silnika termojądrowego w zamian za oczyszczone metale i inne rzadkie surowce, prawie nieobecne w układzie Neptuna, obie strony odcięły ją od informacji. Podobnie jak Idrissa Barra.

Idriss się tym nie przejął, powiedział Macy, że należało tego oczekiwać.

- Duchy odwalily kupę roboty, żeby namówić Pacyfików na przylot tutaj - powiedział. - Nie spodziewajmy się, że owoce od dadzą nam za darmo. Ale jeśli osiągną z nimi jakie bądź porozumienie, my też na tym skorzystamy. A parę sensownych rozmów z nimi odbyłem. Jeszcze jest o wiele za wcześnie, żeby im zaufać, ale pierwsze oznaki są bardzo optymistyczne. Kiedy to się skończy, będziemy mieli masę rzeczy do przegadania. I wszyscy będą chcieli usłyszeć, co ty myślisz.

Problem polegał na tym, że Macy nie wiedziała, co myśleć. Przekonała się jedynie, że do dyplomacji nie jest stworzona. Przebywanie jednocześnie z dwiema grupami ludzi, którzy przez cały czas mają na twarzach fałszywe uśmiechy, udają, że są szczerzy i otwarci, a za plecami ostrzą noże, było wyczerpujące i przygnębiające.

Jedyną osobą, której towarzystwo polubiła, był przywódca pacyficznej delegacji, Tommy Tabagee. Pełen godności, jowialny, dowcipny starszy pan, czarnoskóry, z wielką szopą siwych dredów, zachowywał się tak, jakby negocjacje były zabawną sztuką teatralną napisaną specjalnie dla niego, zabawiał Macy przepastną kolekcją anegdotek i pouczających przypowieści o rekultywacji Australii i ciągnął ją za język, by opowiadała o swoich przygodach w Układzie Zewnętrznym. Powiedział jej, że Wspólnota Pacyficzna wzięła udział w Cichej Wojnie, bo konsekwencje dania Wielkiej Brazylii i Unii Europejskiej wolnej ręki w układach Jowisza i Saturna byłyby katastrofalne tak dla Zewnętrznych, jak i dla Ziemi. Dodał, że Pacyfiko-

wie bardzo szybko pogodzili się z mieszkańcami Japeta. Opodatkowali ich nieznacznie, zajęli tylko drobny fragment księżycy i ogólnie pozwolili im żyć po swojemu.

- Chcemy oczywiście tego samego, co Brazylia i Europa, czyli dostępu do techniki i umiejętności waszych przybranych ludzi. Ale w odróżnieniu od nich wolimy wymianę handlową i współpracę od rabunku na masową skalę. Na pewno drożej to wychodzi, ale korzyści znacząco przewyższają inwestycje. Bo widzisz, my jesteśmy pragmatyczni i praktyczni. Podobnie jak Brazylijczycy i Europejczycy, pragniemy naprawić szkody wyrządzone Gai przez epokę przemysłu i żyć, jak najmniej wpływając na ziemię. Zrobiliśmy co w naszej mocy, by uczynić z Australii wzorcowy przykład tych dążeń i wrócić do Czasu snu\*. To bardzo poważne i kosztowne przedsięwzięcie. A mimo to, radykalni zieloni z Unii i Brazylii oskarżają nas o nieuczciwość wobec Gai, bo akceptujemy technologie, których oni chcieliby zakazać, bez powodu innego niż ich nierozważny fanatyzm. Może któregoś dnia, kiedy całe to szaleństwo się uspokoi, będziesz mogła odwiedzić Australię. Poprowadzę cię jedną z pieśni drogi mojego ludu i pokażę ci dokładnie, co ona znaczy.

\* Czas snu - w mitologii australijskich Aborygenów to czas przed powstaniem materialnego świata, kiedy żywe stworzenia istniały tylko jako byty duchowe (przyp. tłum.).

Macy podziękowała mu za zaproszenie i dodała, że z miłą chęcią by z niego skorzystała, ale wszystko wskazuje na to, że raczej uda się nie na Ziemię, lecz w przeciwnym kierunku.

- To może ja będę mógł was odwiedzić na Plutonie, Charonie, czy innym świątku, gdzie się rozlokujecie - powiedział Tommy Tabagee. - Bo wiesz, każdy świat ma swoje pieśni drogi. Tego między innymi dowiedzieliśmy się od dobrych ludzi z Japeta. To przykład, jak współpraca jest korzystna dla obu stron.

- To jest współpraca? Naprawdę? W końcu Japetańczycy nie prosili was, żebyście zajmowali ich księżyc.

- My też nie. No cóż, w każdym razie zajmujemy tylko drobny ułamek powierzchni. Mały skrawek na wielkim pustkowiu. Jak na Ziemi, tak i tutaj. A gdybyś zapytała Japetańczyków, mogą się założyć, że powiedzieliby, że cieszą się, że nas tam mają, a nie Brazylijczyków czy Europejczyków. Najważniejsze, Macy: my uważamy, że wygranie pokoju jest o wiele ważniejsze od wygrania wojny. I to staramy się robić. Dlatego tu jesteśmy.

Macy wiedziała, że wciska jej elegancko brzmiącą propagandę, ale nie przeszkadzało jej to, bo wiedziała, że on wie, że ona wie. Na tym między innymi polegała ta gra.

Któregoś dnia, gdy czuła się wyjątkowo sponiewierana po tym, jak Sada Selene przerwała jej w stołówce i kazała wynieść się z jedzeniem gdzie indziej, bo Duchy i dyplomaci Pacyfików zaczęli omawiać poufne sprawy,



Tommy Tabagee znalazł ją siedzącą samotnie we wnęce na równiku jednego z wielkich kulistych pomieszczeń. Poniżej schodziły tarasowe platformy z przestrzeniami do pracy, sypialniami, pomieszczeniami socjalnymi, wszystko białe, czyste i jasne, jak przekrój przez architektoniczną makietę.

W chłodnym powietrzu niosły się głosy i cichy szum ludzkiej aktywności. Tommy Tabagee usiadł obok Macy, zwieszając nogi w pustkę, i powiedział, że gdyby to od niego zależało, jej udział w rozmowach byłby mile widziany.

- W końcu wszyscy jedziemy na jednym wózku i chcemy z grubsza tego samego.

- Naprawdę? Czyli czego?

- No jak to? Oczywiście, jakiegoś pojednania. Złagodzenia różnicy zdań między Ziemią i Układem Zewnętrznym.

- Więc nie chodzi tylko o przejście tajemnicy napędu termojądrowego? Tego dotyczą te rozmowy w jadalni, prawda?

Macy już od jakiegoś czasu zbierała się, żeby go o to zapytać. Teraz, dzięki złości, mogła zapomnieć o wszelkiej ostrożności i wałnąć prosto z mostu.

Uśmiech Tommy'ego Tabagee nawet nie drgnął.

- Tak myślałem, że już pewnie o tym usłyszałaś. I nie dziwię się, że jesteś zła. Patrzysz na to okiem właściciela, bo to ty i twój partner wykradliście tę specyfikację Brazylijczykowi. Słyszałem też, jak uratowałaś Avernus i sprawiłaś, że profesor Sri Hong-Owen wyszła na głupka. Mówiłem ci już, że kiedyś ją poznałem? Interesująca kobieta. Przerazająco inteligentna, ale prawie całkowicie pozbawiona ludzkich cech. Moim zdaniem. Osobliwa, bezbronna mieszanka arogancji i naiwności.

- Czy ty zmieniasz temat?

- Gadam bez ładu i składu, prawda? Już tak mam. Dobrze, postaram się przejść do rzeczy. Oczywiście, że chcemy mieć ten cholerny silnik. Bez niego jesteśmy tutaj na przegranej pozycji. Sam coś o tym wiem - tyle czasu tkwiłem w hibernacji podczas lotu z Saturna na Neptuna. Gdybyśmy mieli takie same możliwości, jak nasi sojusznicy, zyskalibyśmy większe wpływy. Moglibyśmy może pchnąć historię na właściwe tory. W stronę pokoju i pojednania. Inaczej mogą tu przyjść smutne dni - oznajmił z naciskiem. Choć przez chwilę był bardzo poważny. - A poza tym wszystkim, informacja chce być wolna. Tak jak powiedziałem gospodarzom: jeśli nie dadzą nam tego, czego chcemy, zdobędziemy to skądinąd.

Macy spojrzała na niego.

- Składasz mi propozycję? Jeśli tak, to powinieneś wiedzieć, że Duchy nas słuchają. One wszystkiego słuchają.

- Liczę, że dałem ci powód do zastanowienia. Im też, jeśli podsłuchują - dodał, podnosząc głos. - Nie mam nic do ukrycia.

- A ja nie mogę ci nic dać.
- Macy, nie doceniasz siebie. Może krótko cię znam, ale jestem pewien, że stać cię na poniesienie odpowiedzialności za trudną i radykalną decyzję.
- To nie ja podejmuję takie decyzje.
- Nie widzę powodu, żebyś angażowała w to kogoś jeszcze. W końcu to ty wykradłaś tę specyfikację. Według mnie, to ci daje prawo dogadywania się niezależnie.
- Wykradliśmy ją razem z moim partnerem. I daliśmy naszym przyjaciółom. Więc zanim w ogóle będę się zastanawiać, czy ją wam dać albo sprzedać, muszę to z nimi omówić. I bardzo liczę, że się na nic nie zgodzą.
- Bo obawiasz się, co zrobią Duchy?
- Mają nad nami przewagę liczebną i zbrojną, więc trzeba to mieć na uwadze. Poza tym, nie możemy ci ufać.
- Oczywiście, że nie. Ale możesz przemyśleć sobie naszą pogawędkę. I przegadać ją z przyjaciółmi.
- Tommy, oni się nie zgodzą. I żadne przegadywanie tego nie zmieni.
- No to co szkodzi sobie pogadać?

\*\*\*

Dwa dni później negocjacje się załamały. Nie doszło do żadnych ustaleń. Dyplomaci Wspólnoty Pacyficznej wrócili na statek i opuścili orbitę Trytona, rozpoczynając długą, powolną podróż na Saturna; Macy i Idriss wrócili na Proteusza. Macy miała przy sobie igłę z danymi, którą dał jej Tommy Tabagee podczas pożegnania.

- Jest na niej wojskowy klucz szyfrujący - powiedział. - Dzięki niemu możesz ze mną rozmawiać bez obaw, że Duchy coś podsłuchają. Wiem, że najpierw musisz to przegadać ze swoimi ludźmi. Nie ma sprawy. Przemyślcie to dobrze. Przede mną długa droga, większość i tak prześpię. Ale mam nadzieję, że jak się zbudzę, usłyszę, co macie do powiedzenia.

Macy powiedziała pozostałym Wolnym Zewnętrznym o zabiegach Tommy'ego, podczas długiej narady, na której razem z Idrissem Barrem zdali sprawę ze swoich rozmów z Duchami i Pacyfikami. Idriss był ostrożnym optymistą. Dyplomaci Pacyfików odlecieli z pustymi rękoma, bo nie udało im się osiągnąć porozumienia z Duchami, natomiast Wolni Zewnętrzni mieli teraz możliwość otwarcia niezależnego kanału łączności ze Wspólnotą Pacyficzną. Do niczego ich to nie zobowiązuje, a na pewno nie do przekazania specyfikacji napędu termojądrowego w zamian za mętne obietnice przyszłego sojuszu. Jednakże samo pokazanie, że są skłonni do rozmów, może dać im pewien wpływ, być może nawet obronę.

Mniejszość pod wodzą Mary Jeanrenaud sprzeciwiła się głośno i stanowczo. Nie chcą mieć więcej do czynienia ze Wspólnotą Pacyficzną, bo

według nich jest to zbyt niebezpieczne - jeśli Duchy odkryją, że Wolni Zewnętrzni rozmawiają z Pacyfikami, mogą zechcieć ukrócić niezależność Wolnych Zewnętrznych. Macy z przyjemnością zadowolili się słuchaniem, pozwalając Idrissowi zajmować się tymi punktami, jak i wieloma innymi wnioskami i sprzeciwami. Uwielbiał takie debaty, był elokwentny i pełen energii, promieniował wdziękiem i dobrym humorem; znaczna część jego siły perswazji wynikała z tego, że trudno go było nie lubić. W końcu Wolni Zewnętrzni zgodzili się tylko, że mają odrębne zdania. Nie będą się kontaktować z Pacyfikami, ale nie wykluczają możliwości nawiązania rozmowy, jeśli tamci się do nich odezwą.

Idrissa i Macy nie było w domu przez dwadzieścia dni - przez cały ten czas nie miała kontaktu z Newtem i bliźniakami, Duchy bowiem odmówiły użyczenia swoich systemów łączności do takich, jak to określili, zbędnych zastosowań. Po zakończeniu spotkania razem z Newtem, prowadzeni przez Hana i Hannę, udali się na długi spacer po tarasach habitatu. Z dumą i nostalgią dostrzegała w dzieciach setki drobnych i wspaniałych zmian, które zaszły przez parę dni jej nieobecności. Z zapałem pokazywały nowe szpalery sadzonek drzew, które zasadziły, poszerzając linię nowego lasu wzdłuż bujnej łąki. Han skombinował skądś konewkę, udawał, że podlewa korzenie swoich ulubionych drzew, i przemawiał do nich uspokajająco, jak do zwierzątek. Hannah ścisnęła palce Macy małą, gorącą piąstką, wymieniała gatunki drzew, opowiadała, ile już urosły i ile jeszcze urosną.

Dzieciaki już zapomniały, że jej nie było, i nie pytały, co robiła. Czują się błogo, wędrując za nimi, dokąd chciały, delektując się ich szczerą paplaniną, goniąc je albo dając się gonić. Może i te rzadkie kępy kikutowatych drzewek oraz miękkie, zielone zagony koniczyny i antyerozyjnych traw to słaba namiastka ziemskich lasów i łąk, Macy jednak po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuła, że wróciła do domu.

Później, gdy nakarmili dzieci i położyli je spać, a Newt opowiedział im kolejny odcinek swoich pirackich historii, kiedy się z nim pokochała, pośpiesznie i łapczywie, na powitanie, leżeli objęci, ona zaś opowiedziała mu o propozycji, którą usłyszała od Sady tuż przed wylotem. Zasugerowała, że mogą zmodyfikować jajeczka Macy, by były zgodne z plemnikami Zewnętrznych. Żeby mogli mieć z Newtem własne dzieci.

Obserwowała go, gdy się nad tym zastanawiał. Jego twarz parę centymetrów od niej. Jego wzrok nabrał ostrości, gdy pytał:

- Od razu odmówiłaś? Czy powiedziałaś, że się zastanowisz?
- Powiedziałam, że muszę porozmawiać z tobą. I zapytałam, skąd wie o naszym problemie. Oczywiście nie odpowiedziała.
- Pewnie od kogoś z dezterterów - powiedział Newt.
- Albo od Mary Jeanrenaud. Uwielbia plotki, a mnie nie cierpi.
- Plotki to spoiwo, które trzyma nas razem - odparł Newt. - I to nie do

końca prawda, że ona cię nie cierpi.

- No to nie wiem, jak to inaczej nazwać.

- Sada mogła złożyć ci tę propozycję w każdej innej chwili. Czemu akurat teraz?

Macy poczuła się tak, jakby jakiś przykurczony mięsień nagle odpuścił. Newt rozumiał. Dostrzegał problem, tak samo jak ona.

- Wiedziała, że Tommy Tabagee zapytał mnie o silnik termojądrowy - dodała - ale w ogóle o tym nie wspomniała.

- Bo wiedziała, że mu odmówiłaś.

- Bo wiedziała, że będę to musiała przegadać z resztą Wolnych Zewnętrznych, a wiadomo, że oni odmówią.

- I odmówili.

- I odmówili. Ale na pewno zastanawiała się, o co jeszcze mógł mnie poprosić albo co zaoferować. Wątpię, żeby się spodziewała, że jej powiemy, nawet jeśli przyjmemy jej propozycję, ale liczy, że dzięki temu się do niej zbliżymy.

- A miałaś ochotę powiedzieć „tak”?

- Pewnie, że miałam.

- Nie możemy być jej dłużnikami, prawda? Będziemy musieli sami sobie z tym jakoś poradzić.

Po podróży powrotnej na Proteusza i długim, pełnym kontrowersji spotkaniu, Macy była wyczerpana, lecz jakoś nie mogła zasnąć. Newt spał obok, a jej myśli krążyły bez sensu w koło. Wspominała wirtualny model potencjalnego przystosowania do życia w trytonowym oceanie, który Sada pokazała dyplomatom Pacyfików - taką ludzką kijankę z grubym ogonem powstałym ze zrośniętych nóg, małymi rączkami przyciśniętymi do wąskiej piersi, głową bez szyi, ze skupiskami zmysłów elektrycznych zamiast oczu, małymi wypukłymi ustami, pierzastym kołnierzem krwistoczerwonych skrzeli. Kiedy śpi, opowiadała Sada, z jego odbytu wysuwa się błoniasty fałd bogaty w naczynia krwionośne i kolonie symbiotycznych bakterii, które chłoną substancje odżywcze z wody i zamieniają je w cukry i tłuszcze. Najprawdziwszy postludzki gatunek, jeden z wielu.

Macy dawno temu pogodziła się ze zmianami wprowadzonymi do genomów Newta i innych Zewnętrznych. Jednakże Duchy odmieniły sposób myślenia własnych dzieci, wierzyły bowiem, że tym samym dążą do przyszłości, która jest ich jedynym słusznym przeznaczeniem. Dlatego też nie wahały się zmieniać własnych wnuków w ludzi-ryby czy ludzi-nietoperze. Tak: zrobią wszystko, żeby urzeczywistnić prorocstwo Leviego, i nie pozwolą, by ktokolwiek im w tym przeszkodził. Przez długie bezsenne godziny zastanawiała się, jak zmieni się ona, Newt i ich dzieci, jeśli Duchy zdecydują, że pora odebrać im te resztki niezależności.

## ROZDZIAŁ 6

Cash Baker należał do grupy pilotów-wolnych strzelców, współpracujących z centrum logistycznym w Bastrop, ale niemających stałych obowiązków ani służby. Przez połowę swojego czasu latał na front z zaopatrzeniem, resztę poświęcał na rutynowe kursy - przewożenie oficerów pomiędzy bazami, w miarę potrzeb, przrzucanie drobnych ładunków do innych baz RiO albo biur miejscowych władz w Austin. Tajemnicą poliszynela było to, że znaczną ich część stanowią luksusowe towary dla wysokich rangą oficerów, Cash jednak miał to gdzieś. Latał wszędzie, gdzie mu kazano. Odpowiadało mu to, bo uwielbiał latać, a nienawidził rutyny; znakomicie wpisywało się też w interesy wuja, bo był w stanie zrobić nieplanowane przystanki i przrzucać najrozmaitsze nielegalne dostawy.

Susza nie odpuszczała. Deszczu nie było od początku wiosny. Upalne i suche lato ciągnęło się bez końca. Rzeki wsiąkły w koryta. Burze piaskowe rozszerzały pustynię na wschód i południe, niweczając dziesięciolecia prac Rekultywatorów. Na północ od Bastrop pożar strawił dziesięć tysięcy hektarów odnowionych lasów, a gorące wiatry nawiewały do miasta dym i sadzę. Wydajność miejskich farm spadła jak nigdy przez niedobór wody i energii. Wprowadzono ścisłe racjonowanie żywności. Parę razy wybuchły poważne zamieszki, gdy policja usiłowała powstrzymać ludzi wyjeżdżających z Bastrop i innych miast na poszukiwanie żywności w terenie. Jeźdźcy Wolności ogłosili, że są odpowiedzialni za liczne akty sabotażu. Na wschód od Dallas pewna grupa porwała ciężarówki z zaopatrzeniem dla wojska i rozdawała zawartość głodnym cywilom.

Połowę personelu Zespołu Odbudowy nr 669 oddelegowano do pracy w ochronie, pilnowania blokad na drogach, patrolowania punktów zapalnych. Howard Baker zawiesił operacje przemytnicze, gdyż po bazie kręciło się zbyt wielu obcych, a każdy przywożony lub wywożony ładunek był sprawdzany.

- Przyczaimy się i przeczekamy - powiedział Cashowi. - Jak się skończy, nasi przyjaciele będą błagać, żeby im przywieźć nasze znakomite towary.

- O ile nie przyjdą tu do nas ze swoją rewolucją - odparł Cash.

- Gadają o niej od zawsze, ale to się nigdy nie zdarzy. Jasne, teraz wykorzystują ogólne niepokoje, ale to przejdzie. Nie obejrzysz się, a

wszystko wróci do normy.

Lecząc któregoś wieczoru do Austin z Columbus River, z ładunkiem krabów i krewetek w łodzi na przyjęcie dla wyższych oficerów Rekultywatorów i miejscowego gubernatora, Cash zauważył słupy dymu wznoszące się nad zachodnią częścią miasta - niskimi, zadrzewionymi wzgórzami, gdzie swoje domy mieli bogaci i wpływowi. Pożary ogarnęły okolice rzeki Hondo, gęste kłęby dymu spowijały pół miasta, przez co zachód słońca wydawał się jeszcze bardziej apokaliptyczny niż zwykle.

Kontrola lotów poleciła mu oddalić się znad obszaru, skierować się ostro na południowy wschód i dopiero stamtąd nalatywać nad bazę RiO. Wylądował, zakołował pod hangary, gdzie sierżant przejmujący dostawę owoców morza powiedział mu, że ludzie próbowali zorganizować wielką demonstrację, przemarsz suchym korytem rzeki Hondo, w proteście przeciwko zużywaniu wody na ogrody bogaczy.

Cash, mając świeżo w pamięci bujny zielony dywan bogatej dzielnicy, kontrastujący ze spalonym i popękanym brązem reszty miasta, przyznał, że mają chyba trochę racji.

Sierżant był weteranem z przepaską na pustym prawym oczodole, bez trzech palców u lewej dłoni, taki prostoduszny, praktyczny do bólu żołnierz, który zawsze wie, kto jest za co winny.

- Kiedyś, to wielkie rodziny pierwsze się poświęcały - powiedział. - Pamiętam czasy, jakieś trzydzieści lat temu, kiedy brakowało jedzenia, jeszcze bardziej niż teraz. No i rodziny zaoptały swoje ogrody i parki, żeby posadzić kukurydzę i inne takie. I jedli drożdże spożywcze, jak wszyscy. Ale dzisiaj im się wydaje, że wszystko im wolno. Ludzie żyją na racjach, głodują, a ich młode pistolety urządzają wystawne przyjęcia albo jeżdżą po mieście, rozglądają się za młodymi prolkami do poderwania i rzucają chleb przechodniom. W basenach mają wodę, fontanny chodzą, a tu zwykli ludzie muszą stać w kolejce do beczkowitzu, żeby się napić wody. Nic dziwnego, że coś takiego się stało. I to nie jest jakiś jednorazowy wybryk. Prawie wszystkich ludzi mi zabrali do tłumienia zamieszek.

- Aż tak źle?

- Nawet tych zza biurka. Wszystkich oprócz ochrony bazy. Zostań tu chwilę, lataczu, a ciebie też wezmą.

- Nie wydaje mi się. Ktoś musi im przywozić te owoce morza.

- Racja - przyznał sierżant i splunął z niesmakiem.

Następnego dnia Cash opowiedział o tym Howardowi Bakerowi.

- Pożyczyłem busik i wyjechałem z bazy, chciałem podjechać jak najbliżej akcji i się przyjrzeć. Byłem po cywilnemu, a busik nie był oznaczony, ale i tak paru gości obrzuciło go kamieniami. Kojarzysz tam taki wielki plac przy starym dworcu kolejowym? Urządzili na nim szpital polowy. Pewnie z kilkuset rannych tam mieli i cały czas przybywało nowych.

Zabitych też. Niedawno rzucili na nich część Czwartego Batalionu. Strzelali ostrą amunicją.

- Ile ofiar, jak ci się wydaje? - spytał Howard.

- Ja naliczyłem dwadzieścia osiem. Mężczyźni, kobiety, dwoje dzieci. Potem pojawiło się sporo policji, żeby ich stamtąd wygonić, to odjechałem. Blżej do rzeki nie dało się podjechać, ale widziałem masę rozbitych witryn. Przy jednej przecznicy się paliło. Nikt z tym nic nie robił. Wszystkie wozy strażackie pewnie były po drugiej stronie miasta i chroniły te rezydencje.

Cash pociągnął haust piwa z butelki. To była jego pierwsza, o dziesiątej rano. Wiedział, że wujek tego nie aprobeuje, ale potrzebował piwa, żeby uspokoić drzenie rąk i ciśnienie w głowie. Stali na dachu bloku mieszkalnego, gdzie sypiali członkowie klanu Bakerów. Howard Baker trzymał tam gołębie w drucianych klatkach, hodował w kuwetach pomidory i zioła. Właśnie wyrwał odrosty z korytka z młodymi pomidorami i spryskiwaczem spłukiwał kurz z liści, pracując spokojnie i powoli, jak zawsze. Za ogrodzeniem bazy rozciągało się miasto Bastrop, część obwodnicy na nasypie, setki identycznych dziesięciopiętrowych bloków rozstawionych w dolinie w kształt gotującej się pod smogową przykrywką kratownicy. Na północy wznosiły się zalesione wzgórza, soczyste i zielone na tle ostro błękitnego nieba.

- Z tego co słyszałem, w blokach już od jakiegoś czasu się gotowało - powiedział Howard. - A arcybiskup Austin to młody, zapalczywy agitator, który chce zyskać sławę. No to teraz BSS trzyma go w areszcie domowym. Mówią, że to dla jego własnego bezpieczeństwa, ale możemy się założyć, że już po nim.

- Przynajmniej trochę dźgnął to status quo - odparł Cash.

- Dla mnie to wyglądało tak, że w Austin status quo zostało dźgnięte i oddało - zauważył Howard Baker, metodycznie spryskując liście wodą od góry do dołu. - Widziałeś tych rannych. Zabitych. Chcesz, żeby tu się coś takiego stało? Bo ja nie. Nie przemeblowuje się ludziom w głowach, paląc im domy. W ogóle, jeśli myślisz, że gadam pierdoły, to daj znać.

- Nic głupiego nie kombinuję - powiedział Cash.

- Mam nadzieję, bo u nas w rodzinie ta skłonność do głupoty mocno się zaznacza. Może ci się nie spodoba, co mówię, ale dla mnie jesteś w firmie cennym nabytkiem. Może to nie jest tak tajne, jak latanie statkami kosmicznymi dookoła pierścieni Saturna, ale jak dla mnie o wiele bardziej użyteczne. Trzymaj się tego. My, Bakerowie, już za dużo wojowaliśmy za sprawy innych. Pora, żebyśmy trochę się sobą zajęli.

Przodkowie Casha Bakera byli pochodzenia szkocko-irlandzkiego; rodzina przeniosła się z Wirginii do Teksasu kiedy był jeszcze republiką. Spora ich liczba zginęła na wojnie secesyjnej, jeszcze więcej w wojnach XX i XXI wieku. Jakoś przetrzymali najgorsze lata zmian klimatycznych i

Przewrotu, kiedy podnoszący się ocean rozprawił się ze wszystkimi próbami ochrony nadbrzeżnej równiny nad Zatoką Meksykańską przed zalaniem i wygnał miliony uchodźców w głąb lądu; Bastrop rozdziło się wtedy z sennego prowincjonalnego miasteczka w miasto pełne bloków mieszkalnych i wieżowych farm. Byli dumni, uparci, kierowali się nie zwykłym prawem, lecz więzami krwi i starożytnym, niepisanym kodeksem honorowym, łatwo popadali w uzależnienia od rozmaitych narkotyków, często ginęli gwałtowną śmiercią. Większość mimo to żyła i umierała niepostrzeżenie, jedynie raz na dwa pokolenia trafiał się ktoś, kto zyskiwał sławę w zewnętrznym świecie, na przykład mistrz boks, gwiazda piłki nożnej, piosenkarz country, który roztrwonił fortunę na zamieć kokainy i krystalicznej metamfetaminy, oraz paru bohaterów wojennych.

Cash zdecydowanie odziedziczył sporą dawkę tych genów szaleństwa. Okazał się na tyle bystry, by wstąpić do Obrony Powietrznej i uciec z Bastrop, ale był także arogancki i lekkomyślny, więc w końcu jego szczęście się skończyło. Był bohaterem, a potem wypadł z łask. Wiedział, że do tamtego świata nie ma powrotu; był wdzięczny za pomoc wuja i angażował się w akcje przemytnicze, naprawdę, z całego serca. Wiedział jednak, że przerzucanie broni do Jeźdźców Wolności to za mało. niesprawiedliwość obnażona przez suszę i brak żywności odbijała jego własne urazy. Władza rządząca tym krajem miała go w takiej samej pogardzie jak zwykłych ludzi, którzy zaczęli wychodzić na ulice. Wziąć, wykorzystać, wyrzucić.

Tego lata zamieszki wybuchały w wielu miastach po obu stronach Rio Grande. Były brutalnie tłumione, a przywódcom urządzano procesy pokazowe i egzekucje. Cash stawał ramię w ramię z innymi członkami RiO nr 669 na blokadach i barykadach, patrolował ulice. I przez cały czas myślał, że jest po niewłaściwej stronie, że broni władzy tych, którzy go wykorzystali, atakując ludzi, którzy na to nie zasługują.

Kiedy w końcu listopada wreszcie nadeszły deszcze, podczas zamieszek zginęły już ponad trzy tysiące ludzi, a dziesięć razy tyle siedziało w obozach karnych. Cash przez jakiś czas pomagał przy rozdawaniu żywności w Bastrop i Columbus River, a potem wrócił do latania, głównie pomiędzy bazą RiO nr 669 a terytoriami zachodnimi, gdzie Rekultywatorzy oczyszczali teren ze starych szybów naftowych z kiwonami, resztek farm wiatrowych i usuwali ruiny dawnych miasteczek i dróg. Ziemia w zasadzie zdrowiała sama. Przywrócone naturze tereny ciągnęły się kilometrami, ciche i puste pod rozległym niebem. Wilczomlec meksykański i vilcacora, larrea i sucha trawa. Jakieś nowe, zmodyfikowane drzewa, rosnące w miejscach, gdzie nie chciało rosnąć nic innego. Antylopy, owce gruborogie, jelenie, pумы, wilki, baribale, potomkowie zwierząt wyhodowanych i wypuszczonych przez Rekultywatorów pół wieku temu.

Któregoś dnia na początku kwietnia Cash, lecąc nad złotobrazowymi



wzgórzami, dostrzegł pomiędzy gęstymi drzewami nad Wąwozem jakiś błysk, jakby szkła. Zatoczył koło i zobaczył ukryty między tymi drzewami biały dom, u samego szczytu wąwozu, nad wyschniętym korytem rzeki. Radio piknęło, syntetyczny głos powiedział mu, że wszedł w niedozwoloną strefę przestrzeni powietrznej. Zrobił szeroki nawrót i poleciał do celu, ruin miasta nieopodal miejsca dawnych prób atomowych, które niedawno RiO zaczęło sprzątać, przez cały czas myśląc o białym domu na skarpie i jeszcze jednym domu, w wenezuelskiej dżungli i obracając w głowie nowy pomysł.

Obracał go, przyglądał mu się ze wszystkich stron i wreszcie zwierzył się z niego kuzynowi. Billy z początku nie wziął go poważnie, lecz gdy Cash naciskał, zamilkł i spoważniał, mówiąc w końcu:

- Masz w ogóle pojęcie, w jakie kłopoty się wpakujesz?

- Billy, ja bywałem w takich miejscach. Wiem jak wygląda w nich ochrona i co ma, i pewnie wiem też, jak się to wyłącza. A jak mnie złapią, chociaż będę mógł powiedzieć, że stanąłem do walki. Zresztą byłem już w więzieniu, mogę jeszcze raz, żaden problem.

Billy pokręcił głową.

- Za coś takiego, to w więzieniu długo nie posiedzisz. Zaraz cię zabiorą na krótki spacer i długą huśtawkę. A to jest nic, w porównaniu z tym, co ci zrobi stary Howard, jak się dowie. Obedrze cię ze skóry i przybije ją do bramy hangaru w charakterze tarczy strzelniczej. Na początek.

- Doceniam radę.

- Ale jej nie usłuchasz, co? No trudno, jak będą ci wydłużać szyję, to chociaż będę mógł powiedzieć, że chciałem ci to wyperswadować.

- Doceniłbym też drobną pomoc.

- Nie no, niech ci nie przyjdzie do głowy, że i mnie w to wkręcisz.

- Nie, to nic takiego. Przerzucając te wszystkie ładunki, poznałem kupę fizycznych robolei, ale chyba powinienem zagadać z kimś wyżej. Z tymi, którzy takie akcje organizują.

- I myślisz, że znam kogoś, kto ci pomoże w tym porąbanym planie?

- Chcę tylko z kimś zagadać. Jak im się nie spodoba, to nie ma sprawy.

Zapominamy o wszystkim.

- Pewnie wezmą cię za podwójnego agenta i na miejscu zastrzelą.

- Dlatego właśnie najpierw przyszedłem do ciebie. Znasz kupę odpowiednich ludzi, oni znają ciebie i ci ufają. Tylko mnie zapoznaj, nic więcej.

Billy znowu pokręcił głową, ale tym razem się uśmiechał.

- Naprawdę myślisz, że oni to kupią?

Cash odpowiedział uśmiechem.

- Ty kupiłeś, prawda?

Zorganizowanie wszystkiego trochę potrwało - był prawie koniec czerwca, gdy Cash i kilku Jeźdźców Wolności wyjechali w pustynię na wytrzymałych, małych konikach. Pojechali na wschód, a potem na południe, przecinając step i wjeżdżając pomiędzy niskie wzgórza, gdzie pod wieczór rozłożyli obóz, pod młodymi drzewkami o gładkich, jasnych pniach i parasolowatych koronach z liści w kształcie dłoni. Zjedli samopodgrzewające się wojskowe racje, puścili wkoło fajeczkę z marihuaną i piersiówkę z pulque, a następnie obgadali plan.

Dowódca grupki, Arnie Echols, powiedział Cashowi, że drzewa, pod którymi obozują, to odmiana drzew ludowych, obecnych niemal w każdym mieście Wielkiej Brazylii, od Detroit po Punta Arenas. Zaprojektowała je słynna guru genetyczna Avernus, zanim z resztą Zewnętrznych wyleciała z księżycy na Marsa i dalej. Drzewa ludowe dawały słodki sok, bogate w białko narośle i strąki, z których można było wyciskać paliwo, korę zdejmować warstwami i robić z niej papier lub tkaninę, a liście dawało się jeść na surowo lub gotowało się z nich smaczną zupę. Tutejsze, odporniejsze odmiany były równie użyteczne - zostały trochę zmodyfikowane, żeby mogły rosnąć w dowolnym środowisku, od słonych bagien dawnej nadmorskiej równiny, przez suche, sosnowe wzgórza, aż po pustynię. Jeźdźcy Wolności sadzili wszędzie przygotowane pakiety zawierające nasiona drzew ludowych, załączkowe kultury symbiotycznych grzybków pomagających im znaleźć wodę, oraz nawóz przyspieszający wzrost. Rosły bardzo szybko. Zagajniki drzew ludowych znajdowano na całym Południowym Zachodzie.

- Urządzamy ogródki tam, gdzie nic innego nie wyrośnie - powiedział Arnie Echols. - I powiem ci, że dzięki nim o wiele łatwiej się tu żyje.

Jeden z ludzi dodał, że to dar od Boga. Inny odparł, że nie, że dar mózgu i rąk guru genetycznego, który zmodyfikował projekt Avernus. Ale skąd natchnienie, jak nie od Boga, zaprotestował pierwszy, i przez jakiś czas poważnie nad tym dyskutowali. Cash dowiedział się, że Jeźdźcy Wolności nie mają skrupułów wobec wykorzystywania wszelkich możliwych technologii pomagających przetrwać w dziczy. Mieli destylarnie odzyskujące wilgoć z powietrza, lekkie jak piórko śpiwory, tablety i sprzęt łącznościowy napędzany sztuczną fotosyntezą i podłączony do tak zwanej ciemnej sieci. Nielegalne plemię, żyjące w miejscach, gdzie ludziom zabraniało żyć prawo, ale nie, jak stwierdził jeden z nich, sama natura.

Cash przez większość nocy nie mógł zasnąć, zmęczony i obolały po długiej jeździe. Uwiązane nieopodal koniki skubały z chrzęstem suchą trawę. Za wzgórzami rozciągała się ciemna i cicha pustynia, pod bezksiężycowym, pełnym gwiazd niebem. Patrzył na jasne gwiazdy poruszające się miarowo ze wschodu na zachód - statki i satelity na orbicie. Poczul się zawieszony pomiędzy światami.

Następnego dnia, późnym popołudniem, leżał z Jeźdźcami Wolności

między kamieniami na szczycie wzgórza i obserwował biały dom nad wąwozem, jakieś pięć kilometrów stąd. Dwóch z nich wyprawilo się na piechotę z ładunkami wybuchowymi oraz aluminiową skrzynką z sześcioma dronami-ważkami, wyzwolonymi przez Casha z wielkiej bazy RiO w Lorna del Arena, na podstawie podrobionego rozkazu rekwizycji. Drony miały namierzyć kamery i czujniki, włamać się do ich nadajników radiowych i podgrać demony, które unieruchomią sieć bezpieczeństwa domu. Wrócili parę godzin później. Powiedzieli Cashowi i Arniemu Echolsowi, że w domu jest tylko czterech ochroniarzy, ale mają też wilki.

- To duża komplikacja - stwierdził Arnie. - One będą lepiej uzbrojone od nas, a biegają szybciej niż samochód, co dopiero koń.

- Kiedyś, dawno temu, mieli je w każdej bazie, z której latałem - powiedział Cash. - Są inteligentne i agresywne, ale to tylko maszyny. Są połączone z AI kontrolującą sieć ochrony. Jak drony odwalą swoją robotę, wilki padną tak samo jak kamery i wszystko inne. Zobaczycie.

Wiele tygodni później Cash powiedział Billy'emu Dupree, że szturm wyglądał jak scena z tych starodawnych westernów - napad Indian na osadę. Kiedy drony uszkodziły systemy ochrony i łączności, unieruchamiając też wilki, eksplodowały ładunki umieszczone na zachód od domu. Powstał groźnie wyglądający i odwracający uwagę czerwony słup ognia. Wtedy Jeźdźcy Wolności podjechali wyschniętym korytem strumienia od wschodu i strzelili w okna granatami z gazem do rozpraszania zamieszek. Ochroniarze wyszli, kaszłąc i dławiąc się. Natychmiast się poddali.

- W wiadomościach mówili, że ich torturowaliście i zabiliście - powiedział Billy.

- Jednego zraniliśmy, i to tyle. Najmłodszego. Wyleciał z pistoletem i zaczął strzelać na oślep. Mało co mnie nie trafił - stwierdził Cash, wspominając, jak ochroniarz szedł chwiejnie po ciemnym tarasie, szlochając, prychnając i strzelając na chybił trafił w cienie. - Parę kul przeleciało mi koło głowy. Padłem płasko na tyłek, a któryś z kumpli go zdjął. Trafił go w rękę, przewrócił i tyle.

- A potem wysadziliście dom.

- Potem zrobiłem zdjęcia domu, wiem, że widziałeś.

Był to domek myśliwski należący do prominentnego członka rodu Montoya, proste, ale przepiękne miejsce z kominkami z polnych kamieni, pełne zabytkowych drewnianych mebli, dywanów, na kamiennych podłogach skóry wilków i niedźwiedzia, na ścianach łby jelenia, antylopy widłorogiej i pumy. Cash zrobił masę zdjęć łbów i skór, na dowód, jak Carlos Montoya i jego synowie spędzają czas na pustyni, polując na zwierzęta wprowadzone na nią ponownie przez RiO i traktując teren z pieczołowicie odrestaurowaną przyrodą jak własny prywatny folwark.

- Kiedy skończyliśmy, zaprowadziliśmy ochronę kawałek w dół

strumienia, a potem wszystko wysadziliśmy w cholerę. I odjechaliśmy najszybciej jak się dało.

- Po prostu poszedłeś sobie i to zrobiłeś, tak? Bez słowa pożegnania, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy? Teraz wracasz i nie mam pojęcia, czego jeszcze możesz chcieć.

- Wiem, że musicie być z wujem i resztą potwornie na mnie wściekli. Ja się wam nie dziwię. A po co przyszedłem... pomyślałem, że zechcesz wiedzieć, co się działo. Czego się dowiedziałem.

- Najchętniej to bym cię po prostu podkablował - powiedział Billy. - Nagroda się przyda, a policja i BSS w końcu się od nas odczepią.

- Nie myślałem, że będą ścigać kogoś poza mną. Przepraszam.

- Przyszli cię szukać i wyrócili pół bazy do góry nogami.

- No to dobrze, że wam nie powiedziałem, co planuję.

- Masz jaja, że się tu w ogóle pojawiaasz.

Siedzieli jeden przy drugim w pakamerze kawiarni na peryferiach Bastrop. Dwóch kumpli Billy'ego pilnowało na zewnątrz. Cash był na lewych papierach.

- Jeśli przychodzisz, bo trzeba ci więcej plastiku - stwierdził Billy - to na mnie nie licz. Ile już zrobiliście takich miejsc? Siedem?

- Tylko dwa. Reszta to jacyś nieznanymi sprawcy. Pewnie podchwycili mój pomysł. A materiałów to mamy dość, żeby wysadzić wszystkie myśliwskie i letnie domy w całym regionie, jak zechcemy. Tylko, że teraz za dużo się przy nich kręci wojska i za dużo jest patroli na pustyni. A do ciebie przyszedłem, bo chciałem ci powiedzieć, że idę stąd.

- Dalej mi nie powiedziałaś, czemu to robisz - zapytał Billy - Co, przemyt nielegalnych towarów za mało cię kręcił?

- Po moich lotach z przeszłości, takie coś w ogóle mnie nie zadowalało.

- A ten twój kumpel cię nakręcił, co? Widziałem to od razu, trzeba było coś z tym zrobić.

- Kojarzysz te drzewa ludowe, rosnące na pustyni i na mokradłach nad morzem?

- Pewnie. Jest parę ekip, które nic innego nie robią, tylko je wrywają.

- Powodzenia. Jeźdźcy Wolności sadzą je od jakichś czterech lat. Rosną bardzo szybko i wszędzie ich pełno. Ale jedna śmieszna rzecz. Jak wykopiesz dołek przy takim drzewie, zobaczysz w ziemi czarne nitki. Są w stanie przerosnąć glebę, piasek, nawet skałę, aż do lustra wody, obojętne, jak głęboko by to było. A jeśli woda jest słona, te czarne nitki ją filtrują i dają drzewu czystą, słodką wodę. Jeźdźcy Wolności myślą, że to rodzaj grzyba, ale ja widziałem takie rzeczy na Księżycu. To organizmy próżniowe. Rosną na samej powierzchni, albo w namiotach z jakąś dziwną atmosferą, która nie nadaje się dla ludzi. I to nie są tak naprawdę organizmy, one nie żyją. Organizmy są zbudowane z komórek. A te próżniowe z maleńkich maszy-

nek, które zachowują się jak komórki, tak zwany związany nanotech.

- Cuda współczesnej nauki, w skrócie - stwierdził Billy. - A co to ma wspólnego z tobą, mną i całym tym bajzlem?

- Spotkałem się z gościem, który zajmuje się tymi drzewami, on oprócz tego rozpowszechnia informację, jak wynieść się z miast i jak żyć, nie szkodząc ziemi. Dogadałem się z nim i chce, żebym z nim współpracował.

- Czyli przyszedłeś się pożegnać.

- Wiem, że jak spytam, czy pójdziesz ze mną, to mnie wyśmiejesz...

- Albo walnę cię w łeb, może to cię trochę otrzeźwi.

- Po prostu obejrzyj sobie to - odparł Cash i wyciągnął igłę z danymi. - Tu są informacje o wszystkich miejscach, które zrobiliśmy. Zobaczysz sobie, co nasi tak zwani panowie i władcy robią na pustkowiach, gdzie nie wolno chodzić normalnym ludziom. I tam będą też informacje, jak przetrwać w dziczy. Spojrzysz sobie, skopiuj ile chcesz, puść po ludziach.

Billy Dupress przyjrzał się Cashowi i powiedział:

- Zmieniłeś się.

- Wreszcie znalazłem coś, co mogę potraktować poważnie. No i nie piję. Dlatego trzęsą mi się ręce, bo może pomyślałeś, że to ze strachu.

Billy wyciągnął rękę i wziął igłę.

- Zerknę na to, ale myślę, że to nic nie zmieni.

- Wszystko się zmieni, chcesz tego czy nie - odparł Cash. - A to pomoże ci dostrzec, która strona ma rację, zanim przyjdą te zmiany.

Dwa tygodnie później Cash Baker siedział z Arniem Echolsem w zniszczonym domu z poddaszem na peryferiach Albuquerque, na zachodniej granicy dawnego przedmieścia. Ulica za ulicą domów na wpół zaspanych piaskiem, porzuconych i pozbawionych dachów, wśród kolczastych zarośli. Była prawie północ, żadnego światła poza gwiazdami i sierpem księżyca, ze wszystkich stron przepastna pustynna cisza.

- Jedzie - powiedział Arnie Echols i chwilę później Cash usłyszał delikatny zgrzyt opon na piasku. Założył gogle noktowizyjne i wyszedł za Arniem na środek ulicy.

Trzy trójkołowce okrążyły kępę jadłoszy i zatrzymały się parę metrów od nich. Z pierwszego wysiadł wysoki, szczupły człowiek. Podszedł do nich. Nawet w fałszywej zieleni noktowizora Cash widział, że jest młody, przystojny, długie jasne włosy okalają twarz o wysokich kościach policzkowych i delikatnie skośnych oczach. Wyciągnął rękę i odezwał się do Casha.

- Miło mi wreszcie pana poznać, panie kapitanie Baker. Jestem Alder Hong-Owen.

## ROZDZIAŁ 7

Kiedy jego umizgi wobec Sri Hong-Owen zostały tak obcesowo odrzucone, Loc przeniósł jej syna do Paryża na Dione. Częściowo dlatego, że rodzina chłopaka, którego kapitan Neves wrobiła w morderstwo, nie zgodziła się z oficjalną wersją wypadków i zaczęła rozsiewać plotki oraz na wszelkie sposoby utrudniać Berry'emu życie; a częściowo dlatego, że w Paryżu Loc będzie mógł mieć go osobiście na oku i dowie się od razu, jeśli matka będzie się chciała z nim skontaktować. Ale to nigdy nie nastąpiło. Berry z powrotem skumał się ze swoimi dawnymi kumplami, zaczął ostro pić i ćpać wszystkie możliwe psychotropy. Loc wysłał asystentowi Sri, Raphaelowi, parę wyselekcjonowanych nagrań z wyjątkowo kompromitującymi momentami, ale nie doczekał się reakcji. Guru genetyczna odcięła się od syna tak samo stuprocentowo, jak od reszty układu Saturna.

On dalej na wszelki wypadek miał Berry'ego na oku, ale skupił się teraz na innych projektach specjalnych. Wreszcie zaczynał coś zarabiać na Cichej Wojnie: na przemyście dzieł sztuki, który to biznes przejęli z kapitan Neves po pułkowniku Malartem, kiedy został usunięty ze sceny; na udziałach w licencjonowaniu rozmaitych ochłapów technologii Zewnętrznych, które podrzucał pomniejszemu członkowi rodu Gamaliel; honoraria od firm, które potrzebowały doradztwa i dostępu do układu Saturna. Na razie nie zebrał jednak tyle, żeby po powrocie na Ziemię urządzić się z klasą, na jaką zasługiwał. Po drugie, pieniądze to tylko środek, nie cel. Dalej napędzała go ambicja, która pchnęła go do pilnej nauki do egzaminów na urzędnika, kiedy był obdartym dzieckiem ze slumsów Caracas. Miał przed sobą jeszcze sto lat, może więcej i nie zamierzał ich spędzić na prowadzeniu drobnej firemki doradczej albo hodowaniu róż w strzeżonej arkologii. Chciał odcisnąć na świecie swoje piętno. Zmienić historię. Założyć dynastię konkurującą z największymi rodami.

Jako szef lokalnego Biura Spraw Specjalnych miał znaczną samodzielność, jego plany zależały jednak od kaprysów przełożonych i klimatu politycznego, a ten ostatnio zaczął być skłonny do niepokojąco gwałtownych zmian. Prezydent Nabuco użył specjalnych prerogatyw przyznanych mu przez jedną z marionetkowych komisji, żeby zawiesić wybory i rozszerzyć kompetencje Biura Spraw Specjalnych, które ostatnio aresztowało pod zarzutem spisku liczących się członków rodów Fonseca i Fontaine, będą-

cych jego najgłośniejszymi krytykami. Niepokoje narastały na niemal wszystkich terenach Wielkiej Brazylii, zwłaszcza zaś na północy, która dopiero co przeszła przez rok susz i głodu. A Wspólnota Pacyficzna powoli, ale nieustannie wzmacniała swoją obecność w Układzie Saturna: budowała małe miasta na Japecie, rozbudowywała bazę na Febe; przejmowała niezamieszkałe oazy pozostawione przez Zewnętrznych na dwóch wewnętrznych księżycach układu, Atlasie i Pandorze; zawłaszczala drobne nieregularne księżyce orbitujące na peryferiach układu Saturna, umieszczając na nich garstkę osadników w prymitywnych odkrywkowych habitatach. Rząd Pacyfików parł także do pojednania z Zewnętrznymi, argumentując, że brazylijska polityka segregacji i kontroli jest zbyt trudna i zbyt kosztowna w utrzymaniu, sugerując, że najlepszą taktyką jest planowy odwrót i ustanowienie u Zewnętrznych wasalnego państwa. Że przyszłość to nie imperium i dominacja, ale wspólnota narodów i partnerstwo.

Natomiast Wielka Brazylia i Unia Europejska miały dla Układu Zewnętrznego własne plany. Budowały na Księżycu zakład mający pomieścić najważniejszych więźniów politycznych, będący próbą wielkiego planu wysiedlenia do księżycowych obozów mieszkańców wszystkich zewnętrznych miast i osad. Mieliby tam ograniczony własny samorząd, być może wolno by im było wymieniać własne umiejętności i wiedzę na kredyty, ale nie mogliby opuszczać obozów i byliby poddani programowi zerowego przyrostu. Jeśli zaś chodzi o Wspólnotę Pacyficzną, to jej statki były nie tylko o wiele mniej liczne, ale i znacznie wolniejsze. Gdyby kiedykolwiek doszło do konfrontacji, Brazylia i Europa mogły mieć pewność, że łatwo pozbędą się ich obecności z całego układu Saturna.

Potem pacyficzny statek wrócił na Japeta z dwuletniej podróży do układu Neptuna i rząd Pacyfików oświadczył swoim sojusznikom w RTM, że nawiązał kontakt z dwiema neptunowymi społecznościami, Duchami i Wolnymi Zewnętrznymi, i że liczy na nawiązanie z obiema pełnych stosunków dyplomatycznych oraz wynegocjowanie umów handlowych.

Ruch był sprytny i prowokujący. Duchy były przed Cichą Wojną kłopotliwymi sojusznikami Paryża na Dione. Wówczas były zajadłymi przeciwnikami Brazylii i Europy - teraz więc zapewne równie gwałtownie sprzeciwiały się okupacji przez RTM układów Jowisza i Saturna. A co do Wolnych Zewnętrznych - kiedy Arvam Peixoto wykurzył ich z nor na Uranie, polecieli na zewnątrz układu statkami z napędem na szybkiej fuzji - albo opracowali go niezależnie, albo, co bardziej prawdopodobne, ukradli lub wyłudzili projekty brazylijskiego modelu. Możliwość zawiazania przez Pacyfików sojuszu z tymi dwiema społecznościami i kupienia od nich informacji, która pozwoli im zbudować własną wersję tego silnika, przez co w okamgnieniu pozbędą się swojej podstawowej słabości, stanowiła poważne zagrożenia dla równowagi sił i przetrwania RTM. Wielu brazylijskich

wojskowych, szczególnie ambitne młode pistolety z wysokich rodów, sądziło, że wojna wisi na włosku. Tym razem prawdziwa. Porządna, staroświecka wojna, gdzie armie i marynarki stają naprzeciw siebie, naloty bombowe, walki myśliwców, bitwy w kosmosie. „Dajcie nam skrzydło solówek”, mówili, „a w tydzień usuniemy Pacyfików z układu Saturna”.

Loc Ifrahim wiedział, że to nie będzie takie proste. Jasne, nie ma wątpliwości, że Wielka Brazylia ma nad Wspólnotą Pacyficzną przewagę wojskową w układzie Saturna, ale jej siły na Ziemi są rozproszone, a uwagę rządu zaprzętają poważne problemy wewnętrzne. Prezydent mocno stracił na poparciu, kiedy BSS zaczęło aresztować członków rządu, w Senacie toczyła się otwarta wojna między stronnictwami, a niemal wszystkie terytoria nękały rozruchy nacjonalistyczne i prodemokratyczne. Serdeczny przyjaciel Loca, Yota McDonald, który niedawno wrócił z Ziemi, powiedział, że przez cztery tygodnie w Brasilii zdarzyło się dobre dwadzieścia parę wybuchów samochodów-pułapek oraz niezliczone akty tak zwanego pokojowego protestu, w tym próba skażenia źródła wody dla Senatu środkiem psychotropowym. Buntownicy - niegdyś izolowane enklawy malkontentów na dalekich peryferiach - stali się teraz masowym ruchem cieszącym się znacznym poparciem wśród ludności. Po wszystkich miastach Wielkiej Brazylii krążyły nielegalne wideo i literatura o demokracji i prawach człowieka. BSS dwoiło się i troiło, codziennie dokonywało masowych aresztowań i woziło ludzi pociągami do obozów na dalekim południu, ale było widać, że na działalność buntowników nie ma to wielkiego wpływu, za to dostarcza wszelkiej możliwej amunicji j ruchowi prodemokratycznemu.

Loc wcale się więc nie zdziwił, gdy obwieszczono, że najwyżsi j rangą politycy Wielkiej Brazylii, Unii Europejskiej i Wspólnoty Pacyficznej spotkają się na nadzwyczajnym szczycie poświęconym przyszłości Układu Zewnętrzznego, zwołanym na neutralnym gruncie Afryki Południowej. Mimo pobrzękiwania szabelką, ponurych plotek i czarnej propagandy, było oczywiste, że władze Wielkiej Brazylii chcą omówić wszystkie możliwe alternatywy dla wojny, choćby nawet tylko po to, żeby przedłużyć pokój, póki nie zdławią wewnętrznego oporu i nie wzmocnią sił zbrojnych. Parę dni po tym obwieszczeniu, Loca wezwano na spotkanie z Euclidesem Peixoto. Euclides przeczłapał przez swój wielki gabinet i oburącz uściśnął Locowi dłoń - nie puścił jej jeszcze długo po zakończeniu oficjalnego nagrania - i zaczął wypytywać o Berry'ego Hong-Owena.

- Słyszałem, że imprezuje, jakby świat się kończył. A ten jego bar podtrzymuje morale naszych chłopców. Dobrze zrobiłeś, że wyciągnąłeś go z tej sprawy i ściągnąłeś z powrotem do Paryża - powiedział. - Tak. Nie ma wątpliwości, że masz talent do rozwiązywania skomplikowanych problemów, dlatego właśnie, kiedy pojawiło się pewne specjalne zadanie, od razu



pomyślałem o tobie.

- Jestem do usług, jak zawsze - powiedział Loc, czując już, jak za plecami czai się katastrofa, czarna fala, która go uderzy i zmiecie.

Minusy pandorfa. Wprawdzie wzmacniał spostrzegawczość, ale także potęgował stany emocjonalne. A Loc nagle poczuł silną paranoję. Euclides Peixoto ewidentnie wiedział wszystko o morderstwie, które z kapitan Neves zatuszowali - inaczej czemu wspominaliby o Berrym? A skoro o tym wiedział, co jeszcze wie?

- Lubię wynagradzać swoich najlepszych ludzi - stwierdził Euclides Peixoto. Uśmiech miał szeroki i ciepły, ale spojrzenie ciemnych oczu zimne i beznamiętne. - Dawać im, co im się na leży. A w dogadywaniu się z Zewnętrznymi, Loc, nie masz sobie równych. Szczegóły ma moja sekretarka, ale sprawa jest na tyle delikatna i zawila, że uznałem, że osobiście ci wszystko wyjaśnię. W cztery oczy.

Usiedli na leżakach przed wielkim oknem z fantastycznym widokiem na długi stok pod namiotem Paryża. Drzewa lśniły świeżą zielenią w jasnym blasku żyrandoli, w skalistym korycie rzeki połyskiwała woda. Euclides wyjaśnił, że rządy Brazylii i Unii postanowiły wysłać misję dyplomatyczną na Neptuna, żeby zebrać jak najwięcej informacji o sile i nastawieniu obu społeczności, sprawdzić, czy Wolni Zewnętrzni już sprzedali tajemnicę napędu termojądrowego, oraz położyć podwaliny pod pakt pokojowy, który dałby Duchom i Wolnym Zewnętrznym suwerenność nad Neptunem w zamian za obietnicę uszanowania władzy RTM nad Jowiszem i Saturnem. Uran zaś miałby być neutralny, niezajmowany przez żadną ze stron. Pragmatyczna strategia, która zneutralizuje groźbę jednostronnego sojuszu Pacyfików z Zewnętrznymi. Zamiast zgody izolacja i kontrola. Na Neptuna jest zewsząd kawał drogi. O ile Zewnętrzni nie będą się wtrącać w sprawę RTM, pozwoli im się robić tam, co chcą, póki RTM albo chociaż Brazylia i Unia nie będą w stanie zaatakować ich przeważającą siłą.

- Za misję odpowiada oczywiście służba dyplomatyczna, to jasne, ale ja mam prawo mianować eksperta - powiedział Locowi Euclides. - I nikt lepszy od ciebie nie przychodzi mi do głowy.

Loc nie otrzymał ciosu, którego się spodziewał, ale choć sprawy mogły przybrać znacznie gorszy obrót, to - niebezpieczna i bezsensowna wyprawa do gniazda buntowników na skraju Układu Słonecznego, pozbawiona jakichkolwiek szans na sukces - i tak było kiepsko. Zaczął się wykręcać, mówiąc, że oczywiście niezmiernie mu to pochlebia, wspominając o paru śledztwach, które wymagają jego osobistego zaangażowania, i sugerując, że mógłby go zastąpić ktoś z jego podwładnych, Euclides jednak przerwał mu obcesowo.

- Masz więcej doświadczenia z Zewnętrznymi niż ktokolwiek z moich ludzi. A co do twojego Biura, to pora się przekonać, czy dadzą sobie radę bez

bezpośredniego nadzoru. W końcu nie będziesz tu siedzieć wiecznie, prawda? A poza tym - i tu jest *clou* - osobiście znasz jedną z Zewnętrznych, która będzie brać udział w waszych rozmowach.

Loc od razu wiedział, o kogo mu chodzi - o Macy Minnot, zdrajczynię, która przed Cichą Wojną zdezerterowała do Zewnętrznych. Loc, który przeżył już parę bolesnych starć z nią, liczył, że skoro wyleciała na Urana z Wolnymi Zewnętrznymi, już nigdy się z nią nie zetknie. Ona jednak wyciągnęła długie ręce z przeszłości, jak tonący marynarz, który łapie się swojego kamrata, ściska go, grozi, że i jego utopi.

Euclides Peixoto wbił w niego wzrok. Czekał na odpowiedź. Loc uśmiechnął się i powiedział „tak”. Oczywiście, pojedzie.

- Oczywiście, że pojedziesz - oznajmił Euclides Peixoto. - Podejdz tu tutaj. Parę jeszcze fotek dla potomności. Może na przykład przed tą wspa-  
niałą płytą piersiową, którą od ciebie dostałem? A, jeszcze jedna kwestia. Potrzebuję kogoś, kto będzie zajmował się bezpieczeństwem misji. Pomyślałem, że skoro tak świetnie wam się współpracuje, to kapitan Neves byłaby idealna.

\*\*\*

- Pewien jesteś, że chce nas w ten sposób ukarać? - zapytała dzień później kapitan Neves.

- Na początku wspomniał o Berrym, to nie przypadek. Dał do misji nas oboje, to też nie przypadek. On wie o tym morderstwie, o mojej próbie kontaktu ze Sri Hong-Owen, Bóg jeden wie, co jeszcze.

- To będzie w bardzo głupiej sytuacji, jak nam się uda i wrócimy jako bohaterowie.

- Nie ma najmniejszej szansy - stwierdził Loc.

Siedzieli w pokoiku, którego Neves używała do specjalnych przesłuchań - jednym z nielicznym miejsc w Camelocie, gdzie mogli rozmawiać bez obaw podsłuchania przez szpiegowski soft. Kapitan Neves siedziała przy czarnym lustrze okna, a Loc chodził tam i z powrotem z nerwowym pobudzeniem, którego nie była w stanie uspokoić żadna dawka pandorfa, i mówił:

- Zewnętrzni prawie na pewno się domyślą, że tu nie chodzi o wy-negocjowanie jakiegoś paktu. Nie można też ufać, że uszanują immunitet dyplomatyczny. Dobrze będzie, jeśli chociaż wyjdziemy z tego cało.

- Wiem, że cię mało obchodzi, co ja myślę, ale i tak ci powiem - oświadczyła kapitan Neves. - Gdyby Euclides Peixoto chciał się ciebie pozbyć, to już by to zrobił. Odesłał na Ziemię z dyscyplinarką albo i tutaj postawił przed sądem.

- To nie chodzi tylko o Euclidesa Peixoto. Ja mam wrogów. Wielu wro-

gów.

- Chodź no tutaj - rzuciła ostrym, zdecydowanym tonem.

Rozkazywała mu.

Kiedy usiadł, przyciągnęła go do siebie, przycisnęła jego głowę do piersi, zaczęła przesuwając palcami po wplecionych w warkoczyki koralikach, licząc je jeden za drugim, jak dawny rachmistrz na abakusie. Powiedziała:

- Znowu przesadziłeś z pandorfem.

- Pomaga mi myśleć.

- Przez niego myślisz za dużo. Kółeczka się kręcą, iskrzą jak nie wiem, ale przyczepności nie łapią. Na tej wycieczce będziesz miał okazję się od tego odzwyczaić. Ja ci pomogę. Przeżyjemy to i popłyniemy dalej razem.

- Ty i ja przeciwko światu - powiedział Loc.

- Jaki tylko zechcesz świat - odparła kapitan Neves, czując jak puls partnera zwalnia i ustaje dygot, słuchając jego opowieści, jak to będzie świetnie, kiedy wrócą na Ziemię i będą prowadzić życie z klasą, z dala od swoich zbrodni.

\*\*\*

Dwa dni później Loc Ifrahim i kapitan Neves byli już na pokładzie frachtowca wyruszającego z układu Saturna w stronę Neptuna. Droga była długa: Neptun znajdował się trzy razy dalej od Słońca niż Saturn, a obie planety były o jakieś czterdzieści stopni od opozycji - Saturn na wpół do dziewiątej, Neptun na szóstej. Ponad cztery miliardy kilometrów od siebie. Loc mógł co prawda wysyłać szyfrowane wiadomości do biura za pomocą skupionego promienia lasera, ale w miarę jak opóźnienie rosło od sekund przez minuty do godzin, robił się coraz bardziej niespokojny - denerwował się, że Euclides Peixoto zaczyna manipulować jego ludźmi, albo, co gorsza, daje jego dokumenty śledczym do analizy. Nie pomagał też fakt, że szefowa negocjatorów rodu Peixoto, Sara St Estabal Póvoas, stała na czele korpusu dyplomatycznego w Tęczowym Moście na Kallisto, gdzie Loc wmieszał się w spisek, który omal nie wybuchł mu w twarz. Postawiła sprawę jasno: według niej, Loc i kapitan Neves są nadmiarowymi pasażerami, dodała, że nie może mu zabronić przychodzić na odprawy i sesje szkoleniowe, ale musi cały czas pamiętać, że jest tylko obserwatorem i nie wolno mu się odzywać.

Loc miał to gdzieś. Wiedział, że wszystko co istotne zostanie omówione i zadecydowane za jego plecami, a poza tym przez większość podróży nie był w stanie wnieść jakiegokolwiek sensownego wkładu. Mimo pomocy kapitan Neves, odwyk od pandorfa nie był jak bułka z masłem.

Fizycznych objawów abstynencyjnych nie miał żadnych, ale psychicznie czuł się tak, jakby spadł na dno oceanu. Mózg zrobił się rozlazły i zimny. Myśli przeciskały się przez mroczną głębinę pod ogromnym ciśnieniem.

Wszystko wokół zatraciło kolor i sens. Przesypiał prawie całe dnie, jadł tylko kiedy kapitan Neves mu kazała. Gdyby na statku ktokolwiek miał odrobinę pandorfa, wściekałby się i błagał o choć odrobinę, ona jednak znalazła plasterki, które usiłował przemycić, i wyrzuciła je. Przeklinał ją, wyzywał od cholery bez serca, która chce go złamać, upokorzyć - albo i gorzej. Pozwoliła mu kląć, póki złość nie przeszła w wyrzuty sumienia, pogardę dla samego siebie i wstyd. Zaczął płakać, błagać o wybaczenie, powiedział jej, że wie, że ona to robi dla jego dobra. Że jest silna, a on słaby.

Wyznał wszystkie swoje ciężkie grzechy, kradzieże, zdrady i morderstwa. Wyznał, że zaaranżował śmierć Emmanuela Vargo, projektanta biomu w Tęczowym Moście, przekupując technika medycznego, żeby dał mu lek powodujący śmierć przy wybudzaniu z hibernacji u celu podróży, na Jowiszu. Że dogadał się z szefem ochrony Euclidesa Peixoto, żeby zamordować partnerkę Vargo, gdy była niebezpiecznie bliska wykrycia prawdy; że spiskował z Zewnętrznymi dysydentami, organizując zabójstwo szefa ochrony, gdy sprawy zaczęły się sypać. Że pobił na śmierć przedstawicielkę Duchów, która obraziła go podczas spotkania na Dione, a potem zabił naukowca z Sił Obrony Powietrznej, bo ten nie pozwolił mu uciec. Zastrzelił Zewnętrznego i brazylijskiego komandosa podczas bitwy o Paryż.

Potem przyszły morderstwa, o których wiedziała, bo sama była w nie zamieszana. Zamach na pułkownika Faustino Malartego. Śmierć dwójki Zewnętrznych, którzy usiłowali oszukać ich w interesach. Chłopaczek rozstrzelany za zabójstwo popełnione przez Berry'ego Hong-Owena.

Kapitan Neves trzymała go, kiedy wykastywał kolejne sekrety, i powtarzała, że to wszystko już nieważne.

- Tyle krwi - mówił. Wyglądał załóżnie, wzrok miał pusty. - Jak się raz zacznie zabijać, ciężko się powstrzymać. Bo to tak wszystko upraszcza. Pozbywasz się problemu. Oczyszczasz sobie drogę. Byłem po kolana we krwi. Pływałem w niej. I nie obchodziło mnie to, liczył się tylko fakt, że osiągam, co chcę. Ale wszystko to, wszystko co mam, jest przesiąknięte krwią...

- Ciii - uspokoiła go kapitan Neves.

Trzymała jego głowę na kolanach, gładziła warkoczyki, gdy szlochał i pociągał nosem. Tak jak trzymała ranne lub nieszczęśliwe dzieci, kiedy sama była zaledwie dzieckiem, w zapyłonych obozach na wielkiej pustyni amerykańskiego Środkowego Zachodu.

- To już nieważne. To już minęło. Po tej wycieczce się wykupimy, tak jak się umówiliśmy. Polecimy na Ziemię i zaczniemy wszystko od początku. Będziemy się razem świetnie bawić. Zobaczysz.

Loc powoli zaczął dochodzić do siebie, dzień za dniem wynurzając się z otchłani depresji, jak nurek powracający na rozslonecznioną powierzchnię oceanu. Znaleźli sobie kopułę obserwacyjną, w której dało się ukryć przed

resztą pasażerów statku. Mogli grać w swoje gry, gadać całymi godzinami. Ze wszystkich stron otaczały ich gwiazdy wszelkich kolorów i jasności. Kapitan Neves pokazywała palcem gwiazdozbiory i nazywała je - nauczyła się tego w dzieciństwie spędzonym na prerii. Kochali się, a potem łapali w chusteczki unoszące się w powietrzu kropelki krwi. Rozmawiali o wszystkim, co będą robić, kiedy wrócą na Ziemię. Loc powiedział, że mogą tam ruszać zaraz po powrocie na Saturna. Postara się jej załatwić jakąś posadę w Wielkiej Brazylii. Po negocjacjach nie będą ich zatrzymywać na żadne odprawy, przesłuchania czy dyskusje, bo negocjacje spełzną na niczym.

Kapitan Neves z przyjemnością słuchała jego planów na przyszłość i opowieści przesyconych dogłębną, cyniczną pogardą dla wyższych rangą. Zdrowiał.

\*\*\*

Neptun powoli rozrósł się z jasnej gwiazdy w mały niebieski krążek. Frachtowiec uruchomił silnik i przez parę godzin hamował przy prawie pół g - Loc i Neves spędzili tyle czasu w mikrociężeniu rozmaitych księżyców Saturna, że była to miazdząca siła, która niemal ich unieruchomiła. Statek zwalniał, żeby dać się przechwycić grawitacji Neptuna. Wszedł na wysoką orbitę i popelzł ku najbardziej zewnętrznemu z księżyców, Neso, gdzie czekali na nich Zewnętrzni.

Neso był ciemnym, ledwie sześćdziesięciokilometrowym nieregularnym kamieniem, odłamkiem księżyca rozbitego przez siły pływowe po przechwyceniu Trytona: jedna strona była łagodnie pofalowaną, pokrytą kraterami równiną, fragmentem powierzchni tego dawnego ciała, resztę przecinały uskoki i głębokie szczeliny, jak połamane korzenie popsutego zęba. Orbitę miał odwrotną, o wielkiej półosi mierzącej ponad 48 milionów kilometrów, a jeden obieg wokół Neptuna zabierał mu dwadzieścia pięć lat. Duchy i Wolni Zewnętrzni uznali, że taka odległość będzie w sam raz odpowiednią izolacją dla ich kontrowersyjnych gości.

Konferencja odbywała się w kulistym habitacie, specjalnie zbudowanym na tę okazję i wprowadzonym na orbitę wokół Neso. Kula miała pięćset metrów średnicy, była zrobiona z izolującej warstwy aerożelu, przetykanego twardymi, półżywymi polimerami, a sztywność nadawało jej ciśnienie wewnętrznej atmosfery, wewnętrzny szkielet z fullerenowych rozpórek, oraz pasy przebiegające pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do siebie, od bieguna do bieguna oraz wokół równika. Globus-zabawka. Świetlista kulka powietrza, ciepła i światła, pływająca w nieskończonym, mroźnym, czarnym oceanie. Dwa wahadłowce o typowej dla Zewnętrznych konstrukcji trzymały się w pewnej odległości, połączone linami z powłoką habitatu. Gdy brazylijski frachtowiec zbliżył się do nich, dwójka Zewnętrznych podleciała

do niego na skuterze, ciągnąc za sobą linę, po której delegaci przeszli do środka.

Loc dostał potwornych zawrotów głowy, gdy wieziono go na trójkątnym holu przez głęboką jak ocean czarną otchłań. Zewnętrzny w śnieżnobiałym skafandrze przyjął go po drugiej stronie i obcesowo wepchnął do śluzy - półkulistego bąbla na zewnętrznej ścianie habitatu, otwierającego się na drugi, większy bąbel po jego wewnętrznej stronie. Kapitan Neves dawno się przepompowała. Loc też, ale cały czas tkwił w skafandrze, bezradny, drżący, brzydzący się własną słabością i tęskniący za oczyszczającym strzałem pandorfa. Pomogła mu wydobyć się ze skafandra, uspokoiła go i razem wypłynęli w przestronne, słabo oświetlone, wnętrze habitatu.

Przecinała je trójwymiarowa sieć szkieletu wewnętrznego, a pośrodku wisiało, jak jądro komórkowe, coś w rodzaju sferycznego drzewa lub krzewu, z płataniną sztywnych, rozwidlających się gałęzi; pokrytych twardeymi czarnymi liśćmi. Na rozpórkach, jak wielkie owoce, wisiały kapsuły sypialne, jarzące się różowo i pomarańczowo, a w powietrzu polatywały ruchome światła, cała galaktyka świetlików. Ich światło rozpraszało się rayleighowsko w aerożelowej ścianie habitatu, dając głęboki, ciemny błękit, niczym duch ziemskiego nieba - aż trzeba było sobie świadomie przypominać, że ściana tego bąbla ma niecały metr grubości, a za nią ziele nieskończona, lodowata pustka.

Tę niesamowitą baśniową krainę zamieszkiwało stadko młodych mężczyzn i kobiet, na oko dwudziesto-, najwyżej trzydziestoletnich, wysokich, niezwykle bystrych i szybkich - herosów u szczytu fizycznej formy. Byli boso, na chwytnych stopach mieli przeciwstawne kciuki, uganiaли się po belkach jak małpy i korzystali z ręcznych pistoletów odrzutowych, żeby przelatywać pomiędzy nimi w powietrzu. Zdzcizale ludzkie istoty, dla których kosmos i nieważkość stały się środowiskiem naturalnym.

Dzielili się równo pomiędzy dwa obozy, które skolonizowały układ Neptuna. Dziesięciu członków sekty Duchów, wszyscy ubrani na biało, poważni i powściągliwi, blade twarze ozdobione tatuażem w kształcie gwiazdozbioru Węża Wodnego; i dziesięciu Wolnych Zewnętrznych. Wśród tych pierwszych Sada Selene, bojowa młoda kobieta, która kiedyś pomagała porwać Loca, ale teraz nie zwracała na niego uwagi; wśród drugich - Macy Minnot, zmęczona i udręczona.

Kiedy przedstawiali się sobie, Locowi udało się uniknąć Sady Selene, podszedł za to do Macy Minnot i zamienił z nią parę słów, wyrażając zadowolenie, że znów ją widzi. Dodał, że to niesamowite, że widzą się po tylu latach i tak daleko od domu.

- Niektórzy powiedzieliby, że to przeznaczenie.
- Albo pech - odparła ona. - Mam nadzieję, że nie planujesz żadnych swoich numerów.

Spojrzenie miała podejrzliwe i nerwowe, jak zawsze. Skórę szarawą, oczy podkrążone, kasztanowe włosy przycięte krótko i nieładnie. Mimo lat na wygnaniu, poruszała się w nieważkości o wiele mniej sprawnie od swoich towarzyszy. Locowi prawie było jej szkoda, skazanej na życie tutaj, nienaturalne życie wśród nienaturalnych istot.

- Przyjechałem obserwować rozmowy- powiedział jej. - I w razie potrzeby doradzać. A ty? Jesteś outsiderką, ale widać, że wysoko zaszłaś w waszej małej społeczności.

- Mnie chyba też możesz nazwać obserwatorką. Wiem, że ciebie na pewno będę mieć na oku.

- Będziemy tu skazani na siebie przez jakiś czas, Macy. Zważywszy na to - powiedział Loc - trochę otwartości wobec siebie by nie zawadziło.

- Jeśli mamy być otwarci, to mi powiedz, kim jest twoja przyjaciółka.

- Kapitan Neves odpowiada za nasze bezpieczeństwo. A gdzie twój dobry przyjaciel Newton Jones?

- W domu. Opiekuje się dziećmi.

- W domu, czyli na Proteuszu. Na pewno nie jest ci łatwo żyć na jałowym kawałku lodu, tak daleko od jakiegokolwiek cywilizacji.

- Urządziliśmy się najlepiej jak się dało.

- I rozmnożyliście się. Rozpoczęliście dynastię.

- Własnych dzieci na razie nie mamy. A te bliźniaki zostały sierotami. Ich ojca zabili na Uranie wasi ludzie. Zaatakowaliście jego nieuzbrojony statek - powiedziała Macy, z tym przeszywającym spojrzeniem w oczy, które tak dobrze pamiętał.

- Nie moi ludzie - odparł. - Zapewne siły okupacyjne generała Arvama Peixoto. Pewnie słyszałaś, że pan generał otrzymał odpowiednią odpłatę za tego typu bezmyślne czyny.

- A ty przetrwałaś.

- Oboje przetrwaliśmy, Macy. Wbrew wszystkiemu. Miejmy nadzieję, że i to przetrwamy.

- Miejmy nadzieję, że coś nam z tego przyjdzie - stwierdziła Macy Minnot.

\*\*\*

Po spotkaniu zapoznawczym, wszyscy razem siedli do posiłku w największej z kapsuł habitatu. Rodzaj pierwotnego obrzędu - dwa plemiona spotykają się ze sobą, łamią się chlebem i taksują nawzajem swoje różnice, silne i słabe strony.

Zarówno Duchy, jak i Wolni Zewnętrzni byli podobno demokratycznymi społecznościami, w których wszyscy mieli równą rangę i autorytet, szybko jednak stało się jasne, że głównym rozmówcą ze strony Wolnych

Zewnętrznych jest Idriss Barr, charyzmatyczny i pełen niestrudzonego zapału, a delegację Duchów prowadzi Sada Selene, która natychmiast oprotestowała obecność Loca. Loc był przed wojną członkiem misji dyplomatycznej w układzie Saturna - oczywiście więc, że jest szpiegiem. A na konferencji naukowej na Dione zamordował jednego z jej ludzi. Nie powinno go tutaj być. Powinien opuścić spotkanie.

Sara Póvoas była na to przygotowana. Powiedziała, że Loc jest ważnym członkiem jej zespołu, osobiście mianowanym przez Euclidesa Peixoto, ale skoro Duchy mają istotne zastrzeżenia co do jego osoby, dopilnuje, żeby nie odgrywał aktywnej roli w negocjacjach. Sprytny manewr, wykorzystujący jego obecność do sprowokowania Duchów i wytrącenia ich z równowagi - wbijające je w dumę odebranie mu praw, których nigdy nie miał. Duchy nabrały się na to aż miło, Sada Selene była wyraźnie zadowolona, że ugrali punkt. Loc, rozbawiony ich naiwnością, powiedział kapitan Neves, że przywódczyni Zewnętrznych zrobiłaby lepiej, trzymając tę kartę przy sobie i zagrywając ją, gdyby sprawy przybierały niekorzystny obrót.

- Jest zbyt agresywna. I uważa, że agresja to zaleta, więc jest także arogancka. Zgubne połączenie. Póvoas i jej ekipa rozegrają ją lewą nogą.

Następnego dnia negocjacje zaczęły się na dobre.

Na początek Sara Póvoas i dyplomaci trzymali się pojednawczej linii, pytając Zewnętrznych, co planują tu robić, jak widzą własną przyszłość, czego chcą, albo nie chcą, ze strony RTM... Okrągłe pytania mające delikatnie wysondować ich zapatrywania, przekonania i nastawienie. Wymijające odpowiedzi na listę postulatów Zewnętrznych. Uspokajające ogólniki. Niekonkretne zapewnienia.

Sada Selene reagowała na to dokładnie tak, jak przewidział Loc, jasno stwierdzając, że ona i jej towarzysze nie są zainteresowani żadnym paktem, misją handlową ani czymkolwiek, co zagrażałoby ich autonomii. Duchy nie potrzebują niczego, co RTM ma do zaoferowania, niczego się też ze strony RTM nie obawiają. Wyświetliła im obrazy miasta Duchów na Trytonie - kipiących aktywnością pomieszczeń i fabrykatorów, rafinerii produkujących metale i minerały z wody wydobytej z ukrytego głęboko trytonowego oceanu, pracowników uwijających się wokół szkieletów statków w gigantycznym hangarze, rzędów kapsułów, w których leżeli operatorzy w maskach, zdalnie pilotujący roje bojowych dronów. Powiedziała, że Duchy kontrolują przestrzeń wokół Neptuna, twierdziła, że gdyby chcieli, nie mieliby problemu z przejściem kontroli również nad układem Urana, i przypomniała Brazylijczykom i Europejczykom, że miasta na księżycach Saturna i Jowisza są dokładnie tak samo bezbronne wobec ataku teraz, jak przed Cichą Wojną. Tak samo Ziemia, w razie konieczności.

- Jeśli nas zaatakujecie, odwet będzie dziesięć razy silniejszy - powiedziała. - Na pewno nie zapomnieliście naszego ataku na okupantów na Febe,



na samym początku zeszej wojny.

Loc pomyślał, że to nieźle powiedziane: „zeszej wojny”. Duchy były gotowe pójść na wojnę jeszcze raz i chciały to jasno dać RTM do zrozumienia.

Podczas gdy Sada Selene emanowała ostrym jak brzytwa sarkazmem i kąśliwą agresją, przedstawiciel Wolnych Zewnętrznych, Idriss Barr, był jowialny i rozluźniony, choć nie mniej poważny. Pod koniec pierwszej sesji mówił przez parę minut, przekonując Brazylijczyków i Europejczyków, że choć Wolnym Zewnętrznym bardzo leży na sercu los Jowisza i Saturna oraz pozostawionych tam rodzin i przyjaciół, tutaj zaczynają wszystko od nowa. Wojna stała się okazją do wyruszenia na nowe terytoria i nie zamierzają stąd wrócić. To jest teraz ich dom i choć będą stawiać wszelki możliwy opór próbom wcielenia ich pod władzę Rządu Trzech Mocarstw, są skłonni rozmawiać z RTM jak równy z równym. Żeby zadbać, żeby potworny błąd, jakim była Cicha Wojna, już nigdy się nie powtórzył. Żeby wypracować jakiś sposób na posunięcie się naprzód.

Po tej przemowie Idriss Barr na ogół zadowalał się siedzeniem cicho. Pozwalał innym na ustalenia, choć miał talent do interweniowania w kluczowych momentach, zwykle wtedy, gdy obie strony były wyczerpane i niepewne, w którą stronę iść dalej z dyskusją. Loc obserwował go z niechętnym szacunkiem; kapitan Neves zgadzała się z nim, że to problematyczna postać. Prawdziwy samiec alfa. Urodzony król. Ktoś, kto mógłby narobić poważnych kłopotów, gdyby udało mu się kiedykolwiek nawiązać kontakt z Zewnętrznymi w układach Jowisza i Saturna.

- Gdybyśmy go teraz zabili, oszczędzilibyśmy sobie później masy problemów - powiedziała kapitan Neves. Loc uznał, że nie do końca żartuje.

Wieczorem zobaczył, jak Idriss Barr wycofuje się z gry, która polegała głównie na krzyczeniu i lataniu tam i z powrotem - Wolni Zewnętrzni odbijali się od ścian habitatu w wielkiej przestrzeni ponad równikową konstrukcją habitatu. Podeszedł do młodego Zewnętrznego, usiadł obok niego i zapytał, czy wygrał, czy przegrał.

- Złapany byłem - powiedział Idriss Barr. - Muszę odsiedzieć dziesięć minut, odpocząć, zanim wejdę z powrotem.

- Tu nie chodzi o przegraną czy wygraną - dopowiedział Loc. - Chodzi o to, jak się gra.

- Dokładnie.

Idriss Barr był boso, w ocieplaczu do skafandra z obciętymi nogawkami i rękawami. Jego rumiana skóra lśniła, ocierał pot z twarzy i ramion zwiniętym ręcznikiem. Wielkie, zadowolone, ludzkie zwierzę. Loc, opatulony w sweter, polarową kamizelkę, legginsy i grube skarpetobuty, czuł bijące od niego ciepło.

- Długo już żyję pomiędzy Zewnętrznymi - powiedział. - Tyle lat, że już nie chce mi się liczyć. Ale nadal wielu rzeczy nie rozumiem. Oczywiście

próbuję. To mój zawód. Ale to nie jest łatwe. Widzę na przykład, że Duchy z tobą nie grają. I zastanawiam się dlaczego.

- Zapytaj Duchów.
- Traktują siebie bardzo poważnie, prawda?
- Ty, Loc, podobno jesteś bezstronnym obserwatorem?
- I właśnie coś zaobserwowałem.

Idriss Barr parsknął śmiechem. Te szczerze złote oczy. Lwie oczy. Niewymuszony uśmiech na twarzy, która nie była specjalnie przystojna, ale zachwycała otwartością. Łatwo go było polubić. Chcieć, żeby i ciebie lubił, został twoim przyjacielem. Samiec alfa od stóp do głów. Jak Arvam Peixoto, ale bez tej nuty lodowatego okrucieństwa.

- No to na pewno zauważyłeś, że Duchy mają zupełnie inne ambicje niż my. Mylisz się jednak, jeśli sądzisz, że da się tego użyć przeciwko nam.

- Bo macie wspólnego wroga?

- Bo tu jest miejsce na sto różnych stylów życia. Albo tysięcy. Z Duchami się różnimy, ale w istocie i my, i one mamy tę samą wielką misję. Poszerzanie możliwości i rozwijanie potencjału, który wcale nie jest zagrożeniem dla ludzi z Ziemi, a obiecuje wspaniałą i harmonijną przyszłość.

- Przyszłość to nic pewnego - odparł Loc. - Pewne jest tylko jedno: w dłuższej perspektywie nikt z nas jej nie zobaczy. Powinieneś, Idriss, odłożyć na razie tę przyszłość i zastanowić się, jak przetrwasz brutalną rzeczywistość teraźniejszości.

Idriss Barr zarzucił ręcznik na szyję i przypatrywał się przez chwilę Locowi.

- Masz trzydzieści pięć lat.

- Mniej więcej - odparł Loc. Nie chciał przyznać, że Idriss trafił w punkt.

- Jesteś z tego samego pokolenia co ja i moi przyjaciele. Nie należysz do gerontokracji. Do staruchów, którzy wszystkim rządzą. Wasz nowy prezydent, ile on ma lat? Sto dziesięć? Sto dwadzieścia? A zastąpił kobietę, która zmarła w wieku stu dziewięćdziesięciu.

- Stu dziewięćdziesięciu siedmiu. Ale czemu nagle wiek ma znaczenie? Terapie odmładzające...

Idriss Barr klasnął w dłonie. Loc mimo woli odskoczył: jakby ktoś strzelił mu z pistoletu przed twarzą.

- Oczywiście, że ma! Na Ziemi starzy dawno zagarnęli całą władzę. Nawet w miastach Saturna i Jowisza, które tak lubiły się przechwalać, że są ostatnimi bastionami demokracji, starzy zawsze przegłosowywali młodych. I jeszcze mieli więcej kudosów! Mieli więcej czasu na ich zebranie, a wymieniali się nimi głównie między sobą, więc młodym ciężko było prosić o przysługi albo zorganizować jakieś przedsięwzięcie, bo brakowało im

niezbędnych kudosów. Widzisz, Loc, obie strony Cichej Wojny są zdominowane przez starych ludzi, którzy ponownie odbywali wojnę sprzed stu lat. Tę samą rywalizację o to samo. I w historii świata to się cały czas przewija. Starzy ludzie rozpętują wojnę o jakieś zadawnione urazy. A moi przyjaciele i ja daliśmy sobie z tym spokój. Tak samo Duchy. Przenieśliśmy się na margines ziemskiej sfery wpływów, mamy tyle światów do zbadania i doświadczenia, próbujemy stworzyć coś innego. Coś nowego. Z tym chyba trochę sympatyzujesz. Myślę, że jesteś trochę jak my. Jesteś tak samo spragniony zmian.

- Założmy, na potrzeby dyskusji, że tak - odparł Loc. - Czego ode mnie chcesz? Czego, jak myślisz, chcę od ciebie?

- To dobre pytania, ale nie są właściwe. Twój przyjaciele mówią o traktatach pokojowych i handlu, tylko że my tak naprawdę niczego od was nie potrzebujemy. Z miejscowych surowców uzyskujemy wszystko co potrzebne nam do przeżycia i pracy, a nie potrzebujemy zbędnych błyskotek, symboli statusu, jak gniazda, które budują ptaki czy ryby, żeby przyciągnąć partnerkę. Jasne, to prawda, że społeczeństwo Zewnętrznych stworzyli ludzie, którzy uciekli z Ziemi do azylu na Księżycu, bo bali się, że stracą majątek i władzę. Wszystko się jednak zmieniło, kiedy ziemskie rządy przyszły zająć ich miasto i znowu musieli uciekać. Najgorsi z nich polecili na Marsa, ale większość, w tym wszyscy, którzy utrzymywali księżycowe miasto w działaniu, naukowcy, technicy, cała reszta, polecili na Jowisza, a potem rozprzestrzenili się dalej, na Saturna. I założyli nowe społeczeństwo, w którym ludzie mają tylko to, czego potrzebują, a status mierzy się nie posiadanymi dobrami, ale umiejętnościami, nauką, sztuką, wkładem we wspólne dobro. Cały czas trzymamy się tych zasad. To jedyny logiczny styl życia. Najlepszy sposób na życie. A to oznacza, że jak długo możemy się sami utrzymać i cieszyć się wolnością uprawiania własnej nauki i sztuki, niepotrzebne nam nic innego - powiedział Idriss Barr, odepchnął się od rozpórki i wyfrunął w przestrzeń, znów pokrzykując i poszturchując towarzyszy w grze, której zasad Loc nie był w stanie ogarnąć.

- On się myli - powiedział później kapitan Neves, gdy leżeli objęci, w ubraniach, mieszając parujące oddechy, w swojej małej kapsule. - Takie społeczeństwo, o jakim on mówi, gdzie wszyscy mają te same ideały, te same marzenia i nadzieje, działa tylko w szczególnych warunkach, takich jak tutaj. Gdzieś, gdzie ludzie są odcięci od reszty świata, gdzie trzeba się napracować, żeby przetrwać, i wszyscy muszą współpracować, żeby zaspokoić podstawowe potrzeby. Jak w tych dawnych stacjach polarnych na Antarktydzie albo na Księżycu. W miejscu, gdzie ludzie przyszli z własnej woli, bo chcieli, a nie dlatego, że się tam urodzili. Bo mieli misję. Kiedyś, dawno temu, Układ Zewnętrzny faktycznie taki był. Marginesowa społeczność niszowych gości. Każdy dzień, każda godzina poświęcone na walkę o

przetrawianie. A kiedy życie zrobiło się łatwiejsze, społeczeństwo Zewnętrznych zaczęło się różnicować. Różni ludzie zaczęli chcieć różnych rzeczy. Więc zaczęli ze sobą handlować. Za kudosy, nie za pieniądze, ale zasada jest ta sama: zaspokajanie pragnień. Potem zapragnęli rzeczy, które mieliśmy tylko my, więc zaczęli handlować z nami. Idriss Barr nie zdaje sobie z tego sprawy, ale jeśli nie będzie wojny, tutaj nastąpi to samo. Taka już ludzka natura. Mówi, że niczego od nas nie chcą. Ale zechcą. Na sto procent zechcą. A ten, kto pierwszy to wykorzysta, zarobi fortunę.

Kapitan Neves wpatrywała się w twarz Loca. Oczy miała poważne i skupione, pod gęstymi, niewyskubywanymi brwiami, schodzącymi się łagodnie nad mostkiem jej szerokiego nosa. Loc widział w atramentowych czeluściach źrenic, w mroku, gdzie mieszkała, własne odbicie. Czuł jej oddech na policzku, gdy mówiła:

- Chyba dałeś Barrowi namieszać sobie w głowie. Uwierzyłeś, że jego ludziom uda się tu urządzić.

- Są tu niecałe dziesięć lat i już budują miasta. Ten habitacik sklecieli w parę tygodni. Co mogą jeszcze zrobić, jeśli będą mieli dość czasu?

- Nieważne, co mogą, co chcą i czego potrzebują. Przegrają, bo albo będzie ich za mało i będą mieli za mało zasobów, albo pomyślimy, że za bardzo fikają, i się ich zlikwiduje.

- Jak mówiłem Idrissowi Barrowi: przyszłość to nic pewnego.

- Ale my już wiemy, co chcemy zrobić - powiedziała kapitan Neves. - Jak najszybciej wrócić na Ziemię. Skorzystać z naszego doświadczenia i kontaktów, zrobić prawdziwą fortunę, kiedy przyjdzie wojna. Taki jest plan.

- Dobry plan. Urządzimy się na całe życie. Tylko że do ciebie emerytura nijak nie pasuje. Do mnie zresztą też. Będziemy chcieli zająć się czymś innym. To może być to.

- To coś poważnego, czy mieszasz, bo się nudzisz?

- Machiavelli dawno nas nauczył, że jak chcesz kontrolować jakieś ziemie, to wspierasz słabszych, nie powiększając ich siły, a poniżasz potężnych.

- Czytaliśmy go w szkole oficerskiej - odparła kapitan Neves. - Mówił też, że wojny się nie uniknie, jedynie odwlecze.

Loc wzruszył ramionami w jej objęciach.

- Na razie to tylko luźny pomysł. Taka opcja. Z tymi Duchami nie ma sensu gadać. To fanatycy, wcale im nie zależy, żeby się dogadać, co zresztą jasno dali do zrozumienia. Zgodzili się na spotkanie, bo chcą się o nas czegoś dowiedzieć, trochę się ponadymać i porzucać pustymi groźbami. Rozmowy padną za parę dni, sama zobaczysz. Ale Idriss Barr i jego ludzie to nie Duchy. To zupełnie ktoś inny.

- Ty się w nich zakochałeś - powiedziała z uśmiechem kapitan Neves.

Loc też się uśmiechnął.

- Będę tylko gadać. Nic nie mogę zepsuć.

Po dwóch dniach, dokładnie jak przewidział, rozmowy utknęły w miejscu. Duchy siedziały, milcząc lodowato, gdy dyplomaci Brazylii i Europy przedstawiali swoje propozycje, a potem godzinami roztrząsały każdy szczegół i wysuwały absurdalne żądania, póki wszystko się nie rozlazło. Choć ignorowały Loca, resztę dyplomatów nieustannie ciągnęły za język w sprawach ich życia i pracy, ewidentnie licząc na pozyskanie informacji uzupełniających ich socjoekonomiczne i polityczne modele Wielkiej Brazylii oraz różnych miast w układach Jowisza i Saturna. Brazylijczycy i Europejczycy starali się oczywiście zrobić to samo, jednak, choć Duchy przechwalały się do woli siłą obronną i zaczepną swoich ludzi i statków oraz własną ofiarnością w obronie przyszłości, jaką nakreślił im ich guru i przywódca, o własnym mieście i życiu zdradzały tylko skąpe szczegóły.

Jakimś sposobem jednak wszystko trzymało się razem dzięki doświadczeniu Sary Póvoas i energicznemu optymizmowi Idrissa Barra i Wolnych Zewnętrznych. Loc wszystko obserwował, analizował mocne i słabe strony wszystkich uczestników, ich rutynowe sposoby myślenia, notował jak przebiegają interakcje pomiędzy graczami, wyczuwał prądy i kontrprądy wpływów i władzy. Starał się jak mógł objaśniać to kapitan Neves, coraz bardziej znudzonej i zniecierpliwionej rozmowami, które kręciły się w kółko, nie ruszając ani do przodu, ani do tyłu. Dla niej to był beznadziejny supeł, dla niego siatka napięta od intryg i pełna możliwości.

Wolnych Zewnętrznych coraz bardziej frustrowała taktyka Duchów, ale nie odważyli się otwarcie niczego zakwestionować. Częściowo zapewne z solidarności - Zewnętrzni powinni trzymać się razem. Częściowo zaś ze strachu, byli bowiem małą grupką uchodźców żyjących w cieniu epatującej śmiercią sekty. Było jednak jasne, że liczą na przekonanie Brazylijczyków i Europejczyków o swojej suwerenności i zdefiniowanie jakiegoś wspólnego gruntu, w którym kiedyś, później, da się być może osadzić fundamenty traktatu pokojowego. Loc był coraz bardziej przekonany, że byłby w stanie rozegrać ich nadzieje i lęki, namówić na otwarcie tajnego kanału, żeby mogli kontynuować rozmowy z RTM bez wiedzy czy ingerencji Duchów. Że może zdobyć w tym zamieszaniu odrobinę prestiżu, a później może coś na tym zarobić.

Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Do Idrissa Barra nie mógł się bezpośrednio zwrócić - i Sara Póvoas, i Duchy zaczęłyby podejrzewać, że coś kombinuje. Wszyscy jednak wiedzieli, że Macy Minnot nienawidzi go i mu nie ufa, za to, że kiedyś próbował zlecić jej zabójstwo - sądził zatem, że z nią może spokojnie zagadać, nie budząc żadnych podejrzeń ani oskarżeń o podwójną grę. Po wspólnej kolacji trzeciego wieczoru, znalazł ją na podeście pod jednym ze słupów habitatu. Patrzyła w nieckę, w której Wolni Zewnętrzni pokrywali sobie w wiecznym niebieska-

wym zmirzchu. Krzyczeli i śmiali się, goniąc za małą piłeczką i sobą nawzajem, odbijając się od ścian, okręcając wokół dźwigarów i fruując we wszystkie strony.

- Cały czas nie mogę dojść, jakie tu są reguły - powiedział.

- Ten, kto ma piłkę, musi ją jak najszybciej komuś podać - odparła, nie patrząc na niego.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

- Widzę, że ty nie grasz.

- Grałam. Ale jestem za wolna, spowalniaam grę.

- Tak jak Duchy spowalniają negocjacje.

- Mało wyrafinowane, Loc. Gdzieś się zgubił twój pazur.

- Chyba doszliśmy już do takiego punktu, że trzeba dać sobie spokój z wyrafinowaniem i niuansami.

Macy Minnot spojrzała na niego, twarz miała jak zawsze przykurczoną jak pięść.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, czemu Duchy to robią, to je zapytaj.

- To jasne, chcą tylko zademonstrować swoją siłę i determinację i dopilnować, żeby twoi ludzie nic na tych negocjacjach nie zyskali. Smutne, co?

- Słucham?

- Smutne, pomyśleć, że nic z tego wszystkiego nie wyjdzie. Ja rozumiem. W końcu macie więcej do stracenia niż inni.

- Tak myślisz?

- Twoi koledzy są tutaj, bo chcą. Bo sądzą, że są w czołówce ludzkiej ewolucji. Są nasieniem, z którego rozkwitnie tysiąc utopii. Ale ty znalazłaś się tu przypadkiem. Jakoś zdołałaś urządzić sobie życie. I to mi imponuje, naprawdę. Okazałaś się bardziej przedsiębiorcza i dużo twardsza, niż myślałem. Ale czy ty faktycznie tego chciałaś?

- A czy w życiu się dostaje to, czego się chce? A ty, Loc? Uważasz, że po wszystkim, co zrobiłeś, wynagrodzili cię jak trzeba?

- Po tej wycieczce przechodzę w stan spoczynku. Wracamy z kapitan Neves na Ziemię. Weźmiemy ślub i otworzymy w Brasilii firmę doradcą. Byłaś kiedyś, Macy, w Brasilii? Niektórym nie odpowiada klimat, mówią, że za gorąco i za sucho. Inni mówią, że za duży tłok. Ale jak się ma dość pieniędzy, świetnie się tam żyje.

- Na pewno będziecie bardzo szczęśliwi.

- Od wojny nie byłem na Ziemi. Już nie mogę się doczekać powrotu.

- Loc, może byś mi powiedział, czego ode mnie chcesz. Przyszedłeś po prostu się ponadymać?

- Myślisz, że mam jakiś podstępny plan.

- Wiem z doświadczenia.

Loc uśmiechnął się na tę szpilę, czując coś w rodzaju czułości. Sri Hong-Owen zapytała go kiedyś, czy wierzy w przeznaczenie. Zdecydowanie wierzył, że nie da się wybrać, gdzie się człowiek urodzi i kiedy, ale potem już ma się takie życie, jakie się sobie stworzyło. Nietrudno było jednak uwierzyć, że przeznaczenie, czy coś w tym stylu, pospłatało ze sobą losy jego i Macy Minnot. W coś jak podwójna helisa DNA. Komplementarne pary. Ona jest jego ciemniejszą połówką. Cieniem dla jego światła.

- Ja nie chciałem tu przyjeżdżać - odparł. - Dostałem polecenie, żeby towarzyszyć korpusowi dyplomatycznemu, bo Euclides Peixoto, którego z pewnością pamiętasz, chciał, żeby ktoś ich obserwował, a po drugie, chciał mnie ukarać. No i jestem. Jako obserwator. Nie biorę udziału w negocjacjach. Nie mam przełożenia na panią Póvoas ani na jej przełożonych. Ale to nie znaczy, że chcę, żeby te rozmowy spełzły na niczym. Jeśli mogę, coś ci wyjawię. Oficjalnie RTM traktuje was na równi z Duchami, nie rozróżnia. Nieoficjalnie jednak, niektórzy bardzo doceniają wasze trudne i delikatne stosunki z sąsiadem, który jest liczniejszy, lepiej wyposażony i mocno agresywny.

- I czemu ich to w ogóle obchodzi?

- Macie oczywiście wszelkie powody, żeby RTM nie dowierzać. Ale czasy się zmieniają. Atak na układ Urana był dziełem egomaniaka, który za swoją nierozsądną akcję otrzymał najwyższy wymiar kary. Niektórzy z nas sądzą, że wojna z Duchami nie jest w naszym interesie. A co dopiero z wami. Jeśli jest jedna rzecz do wyniesienia z tego spotkania, to właśnie taka. Że jest możliwość kontynuowania rozmów.

- Loc, wracaj na Ziemię. I żyj sobie w luksusie, czemu nie? Ale przestań zgrywać Pana Boga.

- Macy, ja tylko podzieliłem się z tobą paroma spostrzeżeniami. Nic złego nie miałem na myśli.

Gapili się na siebie jak kochankowie, którzy pierwszy raz widzą się nago. Potem Macy wzruszyła ramionami.

- Rozmowy i tak już nic nie znaczą. Z Tommym Tabagee też rozmawialiśmy i guzik z tego wyszło.

- O, to chyba nie jest prawda. Sporo pracy włożyliście, i czasu, w zbudowanie tego habitatu, żeby mieć gdzie rozmawiać z RTM-em.

- Chcemy poszukać sposobu na zawarcie z RTM-em pokoju. To oznacza trochę więcej niż samo gadanie.

- Ale jak się nie gada, to się nie dogada - powiedział Loc, odbił się od podestu i zsunął wzdłuż długiej rozpórki, zmierzając w stronę kapsuły, którą zajmował razem z kapitan Neves.

W połowie drogi opadła ku niemu Sada Selene. Spadła prosto z nieba, wyhamowała, chwytając się jednej z rozpiętych wzdłuż belki nylonowych pętli, zrobiła salto i wylądowała idealnie przed nim, jak pirat dokonujący

abordażu. Wysoka, smukła, w nieskazitelnym białym ocieplaczu, z wąskim jak nóż uśmiechem.

- Na twoim miejscu na Macy Minnot bym nie liczyła - powiedziała. - Raczej ci nie wybaczyła tego, co zaszło w Tęczowym Moście.

- A tobie wybaczyła, że ją porwałś?

- Nauczyła się z tym żyć. Wszyscy Wolni Zewnętrzni musieli się nauczyć z nami żyć. Tylko nas tu mają.

- Ale do rozmów dopuściliście ich jak równych sobie.

- Na coś się jednak przydają. Na przykład z nimi rozmawiacie chętniej niż z nami. I pewnie nie lecielibyście taki kawał drogi, żeby spotkać się tylko z nami.

- Gdybyś to ty faktycznie decydowała, z kim się spotkamy, a z kim nie, pewnie tak.

- Ale Idrissowi Barrowi powiedziałaś, że przyszłość to nic pewnego - odparła. - No tak, oczywiście, że słuchamy waszych rozmów. Wszystkiego słuchamy.

- Nigdy nie myślałem inaczej.

- Co do przyszłości, nie masz racji. Jest, jaka jest. I zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby taka się stała. Pamiętaj o tym - powiedziała Sada Seline, odbiła się i przeleciała ponad Lokiem ku czarnej, kulistej płataninie drzewa stojącego pośrodku małego światka, gdzie Duchy rozłożyły się ze swoim obozem.

Loc uznał, że to tylko pusta groźba. Nie pierwsza z jej strony. A powinien być mądrzejszy.

\*\*\*

Neves obudziła Loca w środku nocy. Powiedziała, że Duchy sobie poszły. Zlikwidowały szpiegowski soft rozsiany przez dyplomatów, poprzczepiały do ściany habitatu przenośne śluzę i uciekły. Większość wsiadła na statek; dwójka usiłowała się przekraść na brazylijski frachtowiec, a po wykryciu wysadziła się w powietrze, uszkodzając kadłub. Część systemu podtrzymywania życia została otwarta na próżnię. Naprawiano to w trybie awaryjnym, a statek przygotowywał się do wylotu.

- Uciekamy już, zanim coś jeszcze się stanie - powiedziała kapitan Neves. Minę miała ponurą, jej twarz w zielonkawym świetle malutkiej kapsuły wydawała się szara. W prawym uchu miała kolec radia krótkiego zasięgu.

- Ze statkiem coś już się stało. Nie powinniśmy tu siedzieć i czekać, aż go naprawią?

- To rozkaz, nie propozycja - odparła Neves i wypchnęła Loca przez szczelinę w ścianie kapsuły.



W habitacie wyłączono gwiazdozbiory wędrujących lampek; ciemną powietrzną przestrzeń ograniczały teraz tylko słabe, pastelowe światelka porozwieszanych wzdłuż belek kapsuł oraz wędrujące po powłoce jaskrawe snopy światła robotów konserwacyjnych szukających śladów sabotażu. Kapitan Neves odbiła się nogami od kapsuły i pociągnęła Loca ku wielkiej siatce rozpiętej przed główną śluzą, gdzie pluton komandosów w pancerzach przyglądał się, jak Wolni Zewnętrzni naciągają skafandry.

Loc chwycił linę na skraju siatki, podciągnął się ku kapitanowi komandosów i zapytał go, co się dzieje.

Kapitan spojrział na Loca przez złotą szybkę hełmu i powiedział przez głośnik zewnętrzny:

- Pilnujemy ich dla waszego bezpieczeństwa, proszę pana.
- Jako zakładników? Panie kapitanie, to nie jest dobry pomysł. Oni nie mieli nic wspólnego z tą durną akcją Duchów! - wykrzyknął Loc, głośno, żeby Wolni Zewnętrzni go słyszeli. - A po drugie, Duchy się nimi nie przejmą, tak samo jak nami. Albo i sobą. To znaczy, ich w ogóle nie obchodzi, czy zginą, czy przeżyją.
- Sir, proszę włożyć skafander. Otwieramy habitat na próżnię.
- Kapitanie, proszę ich puścić. Zakładników nie potrzebujemy, za to ich dobrej woli tak.
- Proszę do środka z resztą cywili. Wyprowadzamy was na zewnątrz. Zaraz.

Loc przepchnął się przez ludzi stłoczonych w bąblowatym przedsionku służby i stanął oko w oko z Sarą Póvoas. Zapytał ją, czy zgodziła się na wzięcie Wolnych Zewnętrznych na zakładników.

- Powinam się była domyślić, że staniesz po ich stronie - powiedziała.
- Ja tylko próbuję dopilnować, żebyśmy zrobili to, co trzeba.
- Próbujesz uratować jakąś umowę z nimi, żebyś mógł się na niej dorobić - stwierdziła Sara Póvoas. - Nie myśl, że nie widziałam, co kombinujesz.
- Może mi się uda to, co pani się nie udało.

Powiedziałyby jeszcze więcej, ale kapitan Neves chwyciła go, okręciła i pchnęła na wieszak, gdzie wisiał jego skafander, rozwidlający się w miejscu wielkiego suwaka na piersi jak człowiek rozrąbany toporem. Kazała mu go włożyć.

- Robią gruby błąd - powiedział Loc.
- To nie ma co go jeszcze pogarszać - odparła kapitan Neves.

Oparli się o siebie, rozebrali do ocieplaczy, włożyli skafandry i sprawdzili systemy podtrzymywania życia. Komandosi zaczęli wyczytywać ludzi z listy i jednego po drugim wyprowadzać na zewnątrz. Loc i kapitan Neves byli na samym końcu, według Loca specjalnie. Lęk zestalał mu się w żołądku, gęsty i ciężki jak mdłości.

Za przezroczystą ścianą przedsionka Wolni Zewnętrzni w wielokolorowych skafandrach balansowali niczym akrobaci na falującej siatce, a komandosi, niczym żółwie w ciężkich czarnych pancerzach, usiłowali trzymać ich na celownikach swoich impulsowych karabinów. Locowi przyszło do głowy przełączyć się na wspólny kanał - usłyszał, jak Idriss Barr tłumaczy kapitanowi komandosów, że jego ludzie wyjadą stąd tylko własnym statkiem.

Kapitan przerwał mu, powiedział, że są jeńcami wojennymi i jeśli zaraz nie ustawią się w szereg i nie zaczną słuchać rozkazów, jednego z nich zastrzeli dla przykładu.

- Nie mogę na to pozwolić - sprzeciwił się Idriss Barr.
- Nie masz wyboru - odparł kapitan. Idriss Barr zaśmiał się.
- Oczywiście, że mam.

Ze wszystkich stron, u góry, u dołu i wokół równika, od powłoki habitatu odskoczyły przezroczyste płyty. Jego pajęczy szkielet naprężył się, zadygotał, całą objętość kuli wypełniły wiry mgły, które się zakręciły, rozrzedziły i znikły, wysane przez otwory po płytach w próżnię. Potężne reflektory robotów serwisowych pokoziołkowały razem z nimi, zostawiając tylko słabe światelka kapsuł, plamki różu i oranżu na tle smolistej czerni.

W przedsionku śluzy Loc przywarł do kapitan Neves, oddychał chrapliwie w hełmie i patrzył w osłupieniu, jak komandosi świecą bezładnie we wszystkie strony, czasem trafiając snopami światła lecących przez próżnię Zewnętrznych, poruszających się szybko i prosto jak strzały, wyłaniających się na moment, a potem znów znikających w ciemności. Niektórzy próbowali ich ścigać, inni chwyтали się lin lub belek i celowali z karabinów. Jeden Zewnętrzny schwyty w krzyżowe snopy światła zanurkował w czarny otwór i zniknął na chwilę przed tym, jak pocisk trafił w krawędź i cały fragment ściany eksplodował jak kwiat, długimi, rozdartymi pasmami rozchodzącymi się we wszystkie strony.

Wtem jeden z komandosów chwycił kapitan Neves i Loca, wciągnął ich przez wewnętrzny właz śluzy i zatrzaskał go za nimi. Śluza zdehermetyzowała się z głośnym trzaskiem, otworzyły się zewnętrzne drzwi, a czekający na zewnątrz żołnierz pomógł im po kolei wsiąść na sztywny trójkąt holu, przypiął ich karabińczyki do uchwytów bezpieczeństwa i uruchomił silnik wyciągarki.

- Nic się nie bój - powiedziała kapitan Neves, gdy hol zaczął oddalać się od śluzy. - Nic się nam nie stanie.

Ciemna krzywizna habitatu malała, gdy jechali wzdłuż liny przeciągniętej do frachtowca, małego i ostrego w słabym świetle Słońca - według skafandrowego radaru Loca znajdował się niecałe trzy kilometry dalej i przybliżał się z miarową szybkością 18 kilometrów na godzinę. Ze wszystkich stron usiana gwiazdami czerń. Loc trzymał się ramy holu, palce drętwiały mu w grubych rękawicach. W hełmie dudnił szum oddechu; twarz

muskał zimny, suchy powiew. Przez parę minut nic się nie działo. Frachtowiec powoli rósł. Loc zaczął wierzyć, że może się uda. Wtem kątem oka dostrzegł jakiś błysk, odwrócił się, niezdarny i sztywny w skafandrze, i dostrzegł drugi błysk rozświetlający habitat od wewnątrz. Mignęły rozlatujące się zębate strzepy powłoki habitatu, siatka wewnętrznych rozpórek odcinająca się czarnym cieniem od blednącej czerwonej kuli i potem znów ciemność.

- Wysadzili habitat - powiedział Loc. - Ktoś wysadził habitat.

- Duchy. Mówią na wojskowym kanale. Wypuściły rój dronów - odparła Neves. Hol raptownie stanął, gwiazdy wokół zakreśliły się.

Loc krzyknął. Nie mógł się powstrzymać. Kapitan Neves obok niego odpięła go od holu i przyczepiła końcem linki do jego pasa. Sięgała ręką za niego, próbując odpiąć własną linkę, gdy ciągnąca ich lina zawinęła się potężną pętlą, szybko jak strzał z bicia. Neves zakłęta, a Loc zderzył się z nią tak mocno, że odbił się głową od wyściółki hełmu. Wszystko wokół niego zawirowało. Mignęła mu oślepiająca gwiazda - frachtowiec z odpalonym silnikiem termojądrowym, sunący przez ławicę czerwonych iskier, rozpalających się i losowo gasnących. Potem kolejne potężne szarpnięcie i razem z kapitan Neves odpadli od holu. Jego linka się urwała, linka Neves łączyła ich ze sobą. Wokół kręciły się gwiazdy. Loc poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, a na całe ciało występuje zimny pot. Zamknął oczy, bojąc się, że zwymiotuje i zepsuje skafander, albo zadławi się własnymi wymiocinami...

Poczuł, że linka się luzuje. Chwilę później kapitan Neves zderzyła się z nim. Chwycił ją, a seria krótkich, gwałtownych szarpnięć przekreśliła go w różne strony. Kapitan Neves próbowała pistoletem odrzutowym wyhamować ruch obrotowy.

- Dobra - powiedziała i otoczyła go ramieniem w talii. - Tyle mi się udało.

Loc zaryzykował otwarcie oczu. Gwiazdy dalej się kręciły, lecz już powoli i regularnie. Jak w majestatycznym walcu. Kapitan Neves gadała, w kółko wzywając pomoc. Na różnych kanałach, uświadomił sobie Loc. Przywołał własny układ łączności, też zaczął wołać. Bez odpowiedzi. Może frachtowiec oddalił się poza zasięg... Rozejrzał się za termojądrową gwiazdą. Kapitan Neves przyciągnęła go bliżej i kazała przestać się ruszać, bo znowu zaczną wirować.

- Rozwalili statek - powiedział. Czuł, że znalazł się w oku wielkiego, dudniącego morza spokoju.

- Nie wiem. Może. A może wyłączył łączność, jak go zaatakowali.

Głos jej się łamał. Loc zauważył, że jej prawa ręka zwisa bezwładnie przy boku. W łokciu była dziwnie wykręcona i wybrzuszała się czarno, na tle żółtego rękawa.

- Ranna jesteś.  
- Lina przygniotła mi rękę. Zmiażdżyła przegub łokciowy skafandra. Ale to nic nie szkodzi. Skafander sam się uszczelnił, przy barku.

- O Jezu.  
- Nic takiego. Nie umieram. Nie dzisiaj.  
- Krwawisz?  
- Trochę. Teraz już niedużo. Ta ręka chyba prawie całkiem zamarzła. Nic mi nie będzie. Na statku mnie połatają.

- Powiedz mi, że to przeżyjemy.  
- To wygląda o wiele gorzej, niż jest naprawdę.  
- Jak mogłoby być gorzej!  
- Loc! Loc! Popatrz na mnie. Spokój. Musisz zachować spokój. - Jej twarz znajdowała się centymetry od jego twarzy, były oddzielone tylko szybami czołowymi skafandrów. Kazała mu wziąć głęboki wdech, przytrzymać i powoli wypuścić powietrze. - I jeszcze raz. O tak.

Przez parę minut nie robili nic innego, tylko oddychali razem.

- Nic ci nie będzie - dodała.  
- Wiem, że mamy problem, bo pierwszy raz w życiu odezwałaś się do mnie po imieniu - powiedział Loc. To miał być żart.  
- Duchy zaatakowały habitat i nasz statek. Wysłały rój dronów. Dlatego statek wystartował. Odrzucił linę i ona strzeliła. Widziałam, jak leci. Próbowałam nas uwolnić...

- To nie twoja wina.  
- Musimy zachować spokój i mieć oczy otwarte. Statek wróci. Po nas i po komandosów.  
- Może spróbujemy dotrzeć do habitatu. Resztek habitatu. Komandosi nam pomogą.

Wizja znalezienia się w środku czegoś, choćby nie było tam powietrza, okazała się niewiarygodnie kusząca. Wszystko było lepsze niż nieskończone spadanie w nicość.

- Habitat porządnie dostał - stwierdziła kapitan Neves. - Dron eksplodował w samym środku. Komandosi może przeżyli, a może nie. Nie wiem. Wiem, że nie odzywają się na żadnym kanale... Zresztą jesteśmy za daleko. I za szybko lecimy. Nie ruszaj się. Zachowaj spokój. Oddychaj powoli i głęboko. Uratujemy się razem. Obiecuję.

- Nie umieraj - powiedział Loc. - Tylko nie umieraj.  
- Postaram się.

Gwiazdy wirowały dookoła. Jasna gwiazda Słońca co parę minut przecinała czarne niebo od lewej do prawej. Kapitan Neves powiedziała, że nie może znaleźć frachtowca, ale dla Loca to nic nie znaczyło. Miał maskowanie, a radar w skafandrze działał tylko na krótki zasięg. Statku Wolnych Zewnętrznych też nigdzie nie było widać - Neves namierzyła za to maleńki

księżyc Neso i powiedziała, że tam mogą być Zewnętrzni.

- Jeśli Duchy ich też nie zaatakowały - mruknął Loc.

- Na ich miejscu siedziałabym cicho, póki nie miałabym pewności, że można bezpiecznie lecieć do domu. Ale zanim to bym zrobiła, przeczesałabym wszystko dookoła, poszukała rozbitków, więc, jak tylko namierzy nas radar, zapalamy lampy ratunkowe i zaczynamy wołać na wszystkich kanałach. Dobra?

- Ale to może być radar Duchów.

- Tego ryzyka nie unikniemy.

W jej głosie słyszał rosnące napięcie, choć zachowywała się spokojnie. Jakby to były ćwiczenia. Spojrzał jej w twarz, w ciemne piwne oczy. Zamknęte za szybką hełmu. Nieosiągalne. Opowiadał jej o tym, co będą robić, kiedy wrócą na Ziemię, aż powiedziała mu, żeby siedział cicho i oszczędzał powietrze. Trzymali się siebie; widział, jak jej wzrok traci ostrość i powtarzał jej, żeby czuwała. Potem powiedział sobie, że ona tylko śpi.

Cały czas do niej mówił. W ustach miał sucho: mimo że popijał wodę z sutka w hełmie, nie zaspokajała pragnienia. Wreszcie przestał, bojąc się, że woda skończy mu się wcześniej niż powietrze. Spróbował radia, ale nikt nie odpowiedział. Trzymał w ramionach kapitan Neves, a wokół powoli kręcił się niezmienny układ gwiazd. Wiedział, że umrze, i za bardzo się tym nie przejmował. W każdej chwili mógł wyłączyć natleniacz w plecaku. Ciśnienie parcjalne dwutlenku węgla przekroczy krytyczny poziom, Loc straci przytomność i już się nie obudzi. Nic strasznego.

Habitatu już nie widział. Słońce było najjaśniejszą z sunących wokół gwiazd, ścigał je bladoniebieski półksiężyc Neptuna. Przejeżdżał mu po lewej stronie od kolan, bioder, po ramiona, znikał nad głową i opadał po prawej stronie... Wyraźnie na chwilę zasnął, bo nie minęła chwila, a w uszach usłyszał głos. Pierwsza myśl, niesiona falą ulgi: że to kapitan Neves, że tylko straciła przytomność... Nie, to był ktoś inny, wywoływał go po nazwisku. Wywoływał kapitan Neves.

Coś błysnęło po jednej stronie, błądy płomień wylotowy, to włączający się, to wyłączający. Loc nagle uświadomił sobie, że między nim i Neso wisi cień, coraz większy i nabierający trójwymiaru. Statek. Frachtowiec wrócił...

Potem jednak zobaczył, że nie ma kształtu muszli okładniczki, lecz pękatego pudełka - to podlatujący, nagle bardzo bliski, holownik Zewnętrznych. Włączył w skafandrze ratunkowe migające światło, zapalili też czołówkę na hełmie, wycelował ją prosto w holownik. Widział już kratownicę przestrzeni ładunkowej i bąbel systemu podtrzymywania życia. Był już na tyle blisko, że widział, że czarna farba złuszczyła się miejscami, odsłaniając różową pod spodem.

Pod brodą zamrugało mu światełko. Ktoś próbował się do niego odezwać na ogólnym kanale. Loc przełączył się na niego, powiedział, że żyje, ale jego

koleżanka jest ranna, potrzebuje pomocy.

- Pośpieszcie się. Proszę.
- Już, zaraz będziemy - usłyszał w odpowiedzi. To był głos Macy Minnot.

# CZEŚĆ V

Dzwony wolności

# ROZDZIAŁ 1

Wolni Zewnętrzni uciekli do wewnątrz Układu, w stronę Słońca. Osiem statków, na nich zaledwie nieco ponad trzysta dusz. Niedobitki delegacji oraz ci, którzy zdążyli uciec z Wyczynu w ciągu godziny, którą dały im Duchy - ich statki wylądowały przy habitacie Wolnych Zewnętrznych tuż przed atakiem na brazylijski transportowiec. Drony uzbrojone w lance termiczne od razu zabrały się za niszczenie pól organizmów próżniowych na usianej kraterami równinie wokół Wyczynu. Przez diamentowe szyby dachu wyświetlili dziesięciometrowymi czarnymi literami napis, obwieszczający, że wypowiedzieli świętą wojnę wyzwolenczą wszystkim okupantom Układu Zewnętrznego i Wolni Zewnętrzni mogą albo się do niej przyłączyć, albo natychmiast opuścić Układ Neptuna. Gdy próbowali się z Duchami skontaktować, stwierdzili, że ten sam komunikat powtarza się w kółko na wszystkich kanałach. Po chwili, dokładnie pod wierzchołkiem pajęczynowego dachu habitatu, pojawił się ciąg gigantycznych cyfr - minuty odliczające od sześćdziesięciu do zera. Newt powiedział Macy, że złapał torbę, którą mieli spakowaną na wszelki wypadek, złapał dzieci i poleciał do tunelu ewakuacyjnego, uruchomił *Słonia* i wystartował tuż przed upłynięciem terminu.

- Ćwiczeń to nie przypominało. Han i Hannah wiedzieli, że to na serio, ale się spisali. Nie marudzili. Od razu się ruszyli. Kiedy dotarliśmy do *Słonia*, Hannah zapytała mnie, czy umrzemy. Była przerażona. Han był przestraszony i podekscytowany, a ona wiedziała. Wiedziała, o co chodzi. I to było najgorsze. Mieć taką świadomość. Nie musieli tego tak rozgrywać - mówili zeszytywniały z wściekłości Newt. - Mogli nas kulturalnie poprosić.

- Oni tak nie mają - odparła Macy. - Im się pewnie wydawało, że danie nam szansy na przyłączenie się do nich to wyraz szacunku. Ale nie zamierzali tego z nami dyskutować, bo dla nich decyzja o przyłączeniu się do nich to kwestia wiary. A nad tym się nie dyskutuje.

- Dużo ludzi nie zdążyło - powiedział Newt. - Strasznie dużo.

- Może uznali, że Duchy robią to co trzeba. A może już nie mogli znieść myśli, że znów trzeba lecieć i zaczynać wszystko od zera, gdzie indziej?

- Bardzo spokojnie do tego podchodzisz, zważywszy, że chcieli cię zabić.

- Bo jak inaczej miałabym podchodzić? Kiedy zgodziliśmy się spotkać z dyplomatami Brazylii i Unii, Sada powiedziała mi, że podjęliśmy dobrą



decyzję. Nie miała na myśli tego, że to decyzja najlepsza dla nas, albo moralnie słuszną. Chodziło o to, że decyzja pasuje do całości ich planu. Bo Duchy robią to, co robią, bo uważają, że to konieczne - żeby kierować historią we właściwym kierunku. Dlatego nie ma sensu z nimi dyskutować ani się na nie wściekać. Zresztą, gdyby chciały, mogłyby nas zabić, ale nie zrobiły tego. To świry, ale nie są dogłębnie złe.

- Są wystarczająco złe.
- A co powiedziałaś Hannie?
- Kiedy zapytała, czy umrzemy?
- Tak.
- Powiedziałem, że znajdziemy ciebie.
- I znalazłeś.
- Pewnie, że znalazłem.
- Przeżyliśmy.
- Przeżyliśmy.
- I działamy dalej.
- No a jak.

Wszyscy uchodźcy na pokładach statków byli apatyczni i wyczerpani. Kiedy Newt i Idriss Barr zaproponowali cel podróży, zaakceptowali go prawie od razu, niemal bez dyskusji. Do układu Urana nie mogli wrócić - obawiali się, że pilnują go brazylijskie drony, zresztą, już się raz przekonali, że żadna z niego kryjówka. Jednakże, choć podupadli na duchu jak nigdy dotąd, na powrót na Saturna czy Jowisza i oddanie się w ręce RTM nie byli gotowi. A zatem mała, pstrokata flota uniosła się z płaszczyzny ekliptyki i ruszyła na spotkanie z Nefełe, należąca do klasy tak zwanych centaurów, poruszających się po nieregularnych orbitach między Jowiszem i Uranem.

Niektóre centaury to planetoidy, inne to jądra odgazowanych lub półaktywnych komet; wszystkie zostały wyrzucone z Pasa Kuipera po zderzeniu z którąś z tamtejszych karłowatych planet. Nefełe należała do największych: była jajowatym ciałem z lodu wodnego, o większej półosi około dwustu kilometrów i ciemnoczerwonej powierzchni bogatej w tiole, oliwinowe конкреcje, metanolowy lód i węgiel w formie sadzy. Jej okres obiegu wokół Słońca wynosił mniej więcej 99 lat, w aphelium wchodziła w orbitę Saturna, w peryhelium ocierała się o orbitę Urana. Obecnie była tuż za peryhelium, około 1,4 miliarda kilometrów od Saturna - nieco ponad dziewięciokrotność odległości Ziemi od Słońca - i sunęła w stronę Słońca.

Wolni Zewnętrzni weszli na orbitę Nefełe 58 dni po opuszczeniu układu Neptuna i natychmiast zabrali się do pracy i z przyjemnością w niej pogrążyli, lecząc mocno urażoną dumę rozwiązywaniem prostych problemów z dziedziny materiałoznawstwa i inżynierii. Tworzeniem użytecznych materiałów z przedwiecznego lodu i smoły. Wykorzystaniem tego, co zrodziła „ziemia”.

Roboty budowlane musieli zostawić, ale udało im się zabrać zmodyfikowane maszyny, które posłużyły do budowy tymczasowego kulistego habitatu, gdzie odbywały się feralne negocjacje. Skonstruowali ciąg wydobywczy z rafinerią, która przetwarzała pokrywające powierzchnię Nefele substancje organiczne oraz roztopiała i oczyszczała wodny lód. Z pomocą tych surowców zbudowali nowy habitat, zaledwie dwustumetrowy, z wypełnioną wodą kulą pośrodku, stanowiącą zwornik, i tarasowymi platformami zamocowanymi do rozpórek wokół niej - niektóre przeznaczono na farmy hydroponiczne, inne na wspólną przestrzeń życiową.

Legły w gruzach marzenia o eksplorowaniu granic ludzkich możliwości, budowaniu miast na księżycach Urana i Neptuna, ekspansji w Pas Kuipera. Gdy Duchy wyгнаły ich z domu na Proteuszu, zostawili tam prawie wszystko. Niemniej, po skończeniu, mały nowy księżyc Nefele, ze światłami, zieleniącymi się ogrodami i wodnym jądrem, emanował kruchym, drogocennym pięknem. Klejnot-łezka wiszący pomiędzy małą flotą statków i razem z nimi orbitujący wokół ciemnego, nieregularnego centaury.

Wolni Zewnętrzni zgodzili się, że zrobili wszystko co mogli w takiej sytuacji i natychmiast po sprowadzeniu się do nowego domu zaczęli obmyślać ulepszenia. Wokół bąbla habitatu można zrobić pancierz z wodnego lodu; wzmocnić go pseudogrzybowym organizmem próżniowym z nieocenionego katalogu Avernus, który poprzerasta lód i stworzy cienką, ale niezmiernie mocną siatkę fullerenowych nici, chroniąc ich przed nieustannym ostrzałem promieniami kosmicznymi i sporadycznymi mikrometeoritami. Aerożelowa izolacja po wewnętrznej stronie tej skorupy wytłumi ich ślad cieplny, od zewnątrz można kulę pokryć warstwą odbijającą promienie radaru i drugą, ze związanego węgla. Będzie ich jeszcze trudniej wykryć. Smolistą powierzchnię Nefele da się obsadzić farmami organizmów próżniowych. Naśladując sztukę Duchów, można będzie wymontować ze statku silnik termojądrowy i wytopić w powierzchni centaury głębokie doły, zaizolować je i przykryć, tworząc mikrograwitacyjne biomy. Każda tona wytopionej wody przyniesie parę gramów trytu i deuteru na paliwo. Z czasem może nawet będą w stanie zbudować akcelerator liniowy i syntetyzować w nim antyprotony.

Lecz i te, i wszelkie inne plany musiały poczekać, aż przedostaną się przez niepewne i niebezpieczne rafy najbliższej przyszłości. Na razie brakowało im prawie wszystkiego, musieli ściśle racjonować żywność, póki rafinerie nie rozkręciły się z produkcją pierwiastków CHON, a rośliny nie dojrzały. Nie mieli także paliwa, zaledwie połowie małej floty wystarczyłoby go na dotarcie w okolice Saturna czy Urana. Mogli tylko siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i liczyć, że podczas wojny między Duchami i RTM pozostaną niezauważeni.

Obecnie bowiem tylko to było pewne: że będzie wojna.

## ROZDZIAŁ 2

Więzienie znajdowało się w wielkiej niecce krateru Korolowa, na ciemnej stronie Księżyca, tuż pod równikiem. Kopulasty namiot, wzniesiony przez skonfiskowane Zewnętrzny roboty budowlane, wchodził na krawędź krateru, zakreślając czterokilometrowy krąg. W środku utrzymywano przyjemne 18 stopni Celsjusza, w rzadkiej, dwustumilobarowej atmosferze z dwutlenku węgla, przyprawionego odrobiną dwutlenku siarki i pary wodnej. Większość podłóża pokrywały zagony organizmów próżniowych, wiążących dwutlenek węgla, czerpiących minerały z księżycowej gleby i syntetyzujących plastiki i inne organiczne substancje. Poletka ciągnęły się we wszystkie strony jak kratkowana narzuta w jesienne kolory. Podczas długiej księżycowej nocy oświetlały je podwieszane lampy, lecz w ciągu dnia dość światła zapewniało Słońce. Felice Gottschalk zapomniał, jak jasne jest Słońce, choćby na Księżycu. Na tyle jasne, że oślepia, jeśli patrzy się w nie dość długo. Zapomniał też, jak jest wielkie i jak gorące - czuł jego ciepło przez cienki materiał obcisłego kombinezону, który nosił podczas pracy na polach. Nadzorował fizyczną pracę swojego oddziału więźniów, pod wysokim dachem, połyskującym złoto od rozproszonego światła. Więźniów, dawnych polityków i przywódców ruchu na rzecz pokoju i pojednania, oraz pilnujących ich nadzorców, przeważnie pozostawiano samym sobie. Więzienie było doświadczalnym poligonem, zorganizowanym, żeby sprawdzić, czy Zewnętrznych da się bezpiecznie izolować w samowystarczalnych i sam o rządzących się społecznościach. Strażnicy, z Brazylii i Europy, pilnowali ich przez system wszystkowidzącego monitoringu i rzadko zapuszczali się do namiotu czy ingerowali w codzienne więzienne życie; za utrzymanie porządku, rozdzielanie zadań i pilnowanie przestrzegania regulaminu i poleceń władz odpowiadali Felice Gottschalk i inni więźniowie-nadzorcy; więźniowie produkowali sobie żywność z pierwiastków CHON i drożdży spożywczych, zbierali i przetwarzali tworzywa sztuczne i biochemikalia produkowane przez organizmy próżniowe, które mogli wymienić na prawdziwe jedzenie i inne luksusy, a wolny czas spędzali, jak im się podobało.

Felice mieszkał z innymi nadzorcami, pochodzącymi z Rei, w piętrowym budynku z płaskim dachem, w Miasteczku Nadzorców. Był jedną z dziesięciu identycznych białych kostek rozrzuconych pomiędzy trawnikami i patykowatymi młodymi drzewkami w drugiej, mniejszej kopule na skraju

więziennego namiotu. Uznawanym przez wszystkich królem Miasteczka Nadzorców był energiczny młody psychopata, Edz Jealott. Zrobił sobie modyfikacje, dzięki którym był wręcz karykaturalnie umięśniony, masę wolnego czasu poświęcał też na ćwiczenia mające utrzymać rzeźbę potężnych ramion i nóg, szerokich barów i lśniącego pancerza klatki piersiowej. Lubiał paradować nago lub prawie nago, otoczony wianuszkami fagasów i dziewcząt. Siedział w zakładach poprawczych od czternastego roku życia, kiedy śmiertelnie dźgnął nożem młodszą siostrę. Teraz, przy milczącej aprobacie komendantury więzienia, rządził nadzorcami silną, brutalną i arbitralną ręką.

Zaraz po wypuszczeniu Felice'a z więziennego szpitala, fagasi Edza usiłowali go pobić. Taka fala, którą musieli przecierpieć wszyscy nadzorcy. Jednemu złamał rękę, drugiego ogłuszył. Odtąd na ogół dawali mu spokój, a on starał się jak mógł nie zwracać uwagi na reżim Edza Jealotta.

Nadzorcy mieli dostęp do wszystkich części namiotu. Po obwodzie biegało się lub jeździło na rowerze, po zboczach i głazach wzdłuż krawędzi można było wędrować. Felice odkrył w sobie talent do swobodnej wspinaczki. Samotnie przeszedł kilka nowych tras, znalazł sobie też ulubione miejsce pod szczytem zachodniego zbocza, przy samej powłoce namiotu, gdzie mógł usiąść i patrzeć ponad kratkowanymi polami organizmów próżniowych na grzebień białych jak sól baraków więźniów i niebieskawą kopułę Miasteczka Nadzorców tuż nad nią, w łagodnym wgłębieniu w ścianie krateru. Grupki małych jak owady więźniów pracowały tu i ówdzie na polach, nad nimi w przejrzystym powietrzu wisiały czarne przecinki dronów monitoringu. Jego cały świat. Jedyny, jaki teraz ma. A może i ostatni w życiu.

Mimo regularnych ćwiczeń i dużych dawek sterydów, dręczyła go ciągła sztywność kończyn i pojawiająca się chwilami drętwość w palcach rąk i nóg, czasem był przez to trochę niezdarny, upuszczał przedmioty albo je przewracał. Sanitariuszka, Amy Ma Coulibaly, zapewniała go, że choroba rozwija się wolniej niż się spodziewała. Żeby nie traktował jej jak wyroku śmierci. Ale ta świadomość cały czas nad nim wisiała, nawet w najszcześniejszych chwilach. Jak cień skały pod powierzchnią błyszczącego od słońca jeziora.

Podczas długiej rekonwalescencji po wstrząsie pohibernacyjnym, Amy Ma Coulibaly nauczyła go podstaw szachów; zaczął trzy, cztery razy na tydzień wpadać do przychodni na partię lub dwie. Przeważnie przegrywał - starsza pani była agresywnym i sprytnym taktykiem. Ruchy wykonywała szybko i zdecydowanie, pstryknięciem palca przestawiała figurę na wirtualnej planszy tabletu, po czym odchyłała się w tył, a Felice bez końca dumał nad odpowiedzią. Fascynowało go, jak kilka prostych ruchów debiutu tak szybko zmienia się w skomplikowaną siatkę możliwości i jak w miarę rozwoju sytuacji linie władzy i wpływów tworzą niespodziewane i dziwne

konfiguracje. Było to tak podobne do bojowego rachunku różniczkowego, że aż zachodził w głowę, czemu jego i braci nie nauczono szachów w czasie szkolenia. Może z uwagi na intelektualną przyjemność, jaką dawało pogrążenie się w grze. Jego dzieciństwo było ściśle utylitarne, a lektorzy ostro potępiali wszelkie możliwe przyjemności.

Grając, Felice i Amy Ma Coulibaly rozmawiali o drobnych sprawach z więziennego życia - rywalizacji, intrygach i romansach pomiędzy więźniami i nadzorcami, nadużyciach Edza Jealotta, znaczeniu ostatnich zmian w regulaminie wprowadzonych przez komendanturę. Przeważnie mówiła Amy. Uwielbiała plotki i miała zdecydowane poglądy na każdą osobę i każdą sprawę, które dobitnie wyrażała. Należała do pionierskiego pokolenia Zewnętrznych, liczyła sobie półtora wieku, a urodziła się w bogatej rodzinie w Nowej Zelandii - wielu zamożnych i wpływowych ludzi przeniosło się tam, żeby uciec przed najgorszymi efektami zmian klimatycznych, głodowych zamieszek, niedoborów energii, terroryzmu i ogólnego załamania cywilizacji pod koniec XXI wieku. Jednakże nawet takie azyle jak Nowa Zelandia stały się niestabilne - i gdy Amy miała zaledwie pięć lat, jej rodzina postanowiła kupić udział w osadzie Atena, budowanej koło krateru Archimedesesa w północno-zachodniej ćwiartce Księżyca. Rok po opuszczeniu przez nich Ziemi, gwałtowne uwolnienie milionów ton metanu z antarktycznych klatratów spowodowało chaotyczną i wszechobecną katastrofę klimatyczną - Przewrót - który doprowadził do śmierci paru miliardów ludzi oraz całkowicie i trwale zmienił geopolitykę. Dwadzieścia lat później potężne wojskowe i przestępcze dynastie, które przejęły władzę w większości państw na Ziemi, przypomniały sobie o księżycowych uchodźcach, którzy uciekli dalej w Układ, zanim mogły ziścić się groźby o przejęciu Ateny. Do tego czasu zyskali znaczne doświadczenie w budowie habitatów, osiedlając się na Marsie, na drugim co do wielkości księżycu Jowisza, Kallisto. Skolonizowali i inne księżyce Jowisza oraz Saturna. Nagle jednak Ziemia zaatakowała Marsa.

Felice'owi Gottschalkowi wydawało się, że zna tę historię - jak udarem-niono zdradziecki plan marsjańskich kolonistów, którzy chcieli zrzucić na Ziemię asteroidę, jak bohaterowie z Chińskiej Republiki Demokratycznej oddali życie, by zbombardować osady na Marsie bombami wodorowymi, a potem zmienili kurs komety i rozbili ją tak, by uderzyła w planetę w szeregu punktów wokół równika, zabijając wszystkich Marsjan. Taką wersję wbito mu do głowy podczas jego dziwnego dzieciństwa - lecz według Amy, Chiny zadały pierwszy cios zaraz po tym, jak Marsjanie odmówili zrzeczenia się niepodległości. Był to atak z zaskoczenia i zniszczył osady w Ares Vallès i Hellas Planitia. Paru ocalałych Marsjan próbowało pomścić ten atak, zmieniając orbitę trojańskiej asteroidy, żeby przecięła się z orbitą Ziemi, plan jednak spalił na panewce, a Chiny uderzeniem komety zabiły wszyst-

kich ocalałych po pierwszym ataku. Amy dodała także, że gdyby Chiny nie straciły podczas misji ponad połowy swojej skromnej floty, poleciałyby dalej i zniszczyły również dopiero co powstałe kolonie w układach Jowisza i Saturna. A tak, obie strony, zszokowane ohydą marsjańskiego holocaustu, pośpiesznie przygotowały i podpisały traktat pokojowy. Amy była obecna na uroczystym podpisaniu - w ruinach Ateny, miasta jej dzieciństwa. Uroczysta i ważna chwila w historii ludzkości, z której nikt chyba niczego na trwałe się nie nauczył. Prawda: wątpliwy pokój między Ziemią i Zewnętrznymi przetrwał ponad sto lat, ale tylko dlatego, że główne polityczne siły na Ziemi zajęły się naprawą szkód wyrządzonych przez Przewrót, stulecia industrializacji i globalnego ocieplenia.

Amy założyła z partnerem rodzinę i pomagała budować miasto Tęczowy Most na Kallisto. Po śmierci partnera przeniosła się do Aten na Tetydzie i zmieniła branżę na medyczną. Przyjaźniła się i współpracowała z guru genetyczną Avernus, maczała też palce w ruchu na rzecz pokoju i pojednania - i dlatego po wojnie RTM wsadził ją do więzienia.

- Ale otkazniczką nigdy nie byłam - dodała. - Za stara jestem i zbyt tchórzliwa, żeby brać udział w pokojowych protestach. Stąd wysłali mnie tutaj, razem z resztą starych dziadów.

Felice Gottschalk uraczył ją ocenioną wersją opowieści o poszukiwaniu Zi Lei, roku spędzonym na odbudowie Paryża na Dione, przygodach na Japecie z wędrownym poszukiwaczem Karylem Mezhidovem. Nie przeszło mu przez gardło, że mają z Amy coś wspólnego, że w poprzednim życiu oboje mieszkali na Księżycu, że się tu urodził, został zmodyfikowany na podobieństwo Zewnętrznego, osiągnął dojrzałość w zaledwie dwa i pół tysiąca dni, wyszkolony przez ten czas na szpiega i sabotażystę. Amy zaś, nawet jeśli miała jakieś podejrzenia co do jego prawdziwej natury, nie wspominała o tym ani słowem - nigdy nie pytała, kto go skroił ani co robił przed wojną. Wydawało się, że lubi go takim, jaki jest, a przeszłość to przeszłość. Teraz jego życiem była więzienna codzienność, kolejne paciorki odmawianego w kółko różańca, a każdy z nich odrobiną zadośćuczynienia za grzechy.

\*\*\*

Mniej więcej 250 dni po przebudzeniu Felice'a w więziennym ambulatorium Amy, pojawiła się nowa grupa więźniów. Guru genetyki, inżynierowie, eksperci ze wszystkich gałęzi nauki i techniki. Nie umieszczono ich razem ze zwykłymi więźniami, lecz w Miasteczku Nadzorców, i zaraz zapędzono do wspólnej pracy z naukowcami w Unii Europejskiej i na terytoriach rodów Peixoto i Nabuco. Jedną z nich, Bel Glise, była dawną przyjaciółką Amy. Często siadała z nią i Felice'em, kiedy grali w szachy i

plotkowali. Chuda jak szczapa, nerwowa kobieta koło sześćdziesiątki była matematyczką i poetką - według Amy, jej poetycka sława obejmowała wszystkie zamieszkane księżycy Układu Zewnętrznego - ale o pracy nic nie mówiła. W ogóle prawie nic nie mówiła.

- Teraz nie czas na to - odpowiedziała, z wąskim uśmiechem, gdy jeden jedyny raz zdarzyło się, że ciekawość Felice'a wzięła górę i zapytał ją, czy coś w więzieniu napisała.

Niespecjalnie ją polubił. Większość Zewnętrznych zachowywała nieskazitelną czystość, a wokół niej unosił się nieustanny kwaśny odór, długie blade włosy zwisały w strąkach wokół twarzy, a paznokcie miała obgryzione do kości. Siedziała zgarbiona i ponura jak jakieś widmo-wyrzut sumienia, obserwując z denerwującym skupieniem szachownicę i prawie się nie odzywając.

Amy powiedziała Felice'owi, że powinien bardziej starać się ją zrozumieć, a mniej krytykować. Na wojnie straciła większość swojej najbliższej rodziny; aresztowali ją na podstawie sfabrykowanych zarzutów, żeby Unia i Brazylia mogły wykorzystać jej matematyczną specjalność, przydatną przy zgłębianiu danych - i miała trudności z przystosowaniem się do życia w więzieniu.

- To najinteligentniejsza osoba, jaką znam - dodała. - Jej mózg działa na bardzo wysokim poziomie abstrakcji i przesłuchujący mają trudności, żeby ją zrozumieć, nawet kiedy tłumaczy to jak najprościej. Więc ją biją i grożą jej. Dają jej końskie dawki środków na prawdomówność i zadają ból przez wszczepkę, którą ma w głowie, za karę, kiedy uznają, że nie współpracuje. A wtedy jej jest jeszcze trudniej ich zadowolić, więc znów ją biją. Takie paskudne sprzężenie zwrotne. Próbuję jej pomóc jakąś terapią poznawczą i przebywanie z nami to część tej terapii.

Lubił Amy, była jedyną jego przyjaciółką, a poza tym potrzebował jej wiedzy medycznej i leków, którymi łagodziła objawy jego choroby. To oznaczało, że musi spróbować polubić i Bel Glise. Matematyczka nie szukała w Miasteczku Nadzorców towarzystwa. Siedziała sama w kantine albo spacerowała między blokami mieszkalnymi, trąc dłonie, jakby chciała zmyć z nich niezmywalną plamę, poruszając ustami, z nieobecny wzrokiem. Często przebywała w miejscu na promenadzie, gdzie kopuła Miasteczka Nadzorców stykała się z powłoką głównego namiotu i podłużna, prosta płyta diamentu budowlanego dawała dobry widok na księżycową powierzchnię. Wiele do oglądania tam nie było - falująca lekko równina pełna drobnych kraterów i wachlarzy materiału wyrzuconego, parę większych kamieni, wszystko ciągnące się ku niewielkiemu wzgórkowi na horyzoncie, krawędzi kolejnego krateru - lecz wydawało się, że ta panorama fascynuje ją i uspokaja.

Felice Gottschalk też lubił to miejsce. Podobały mu się zmieniające

kształt cienie i barwy krajobrazu powoli przechodzące ze wszystkich odcieni szarości w brąz i złoty beż, w miarę jak Słońce szło po czarnym niebie. Kojarzyło mu się to z ostatnimi dniami szkolenia, gdy wypuszczono go z braćmi na powierzchnię, gdy pełen był radosnego oczekiwania, marzył o misjach, które otrzyma, i zwycięstwach, do których się przyczyni. I - tak - czasami o ucieczce. Już wtedy marzył, że ucieknie od tego, kim jest, i odnajdzie swoje prawdziwe „ja”. Czasem, gdy tak gapił się w księżycową panoramę, w głowie obracała mu się prosta kalkulacja. Księżyc ma około jedenastu tysięcy kilometrów obwodu, a krater Korolewa już tuż ponad równikiem. Gdyby przeszedł ze dwa tysiące kilometrów na wschód, mógłby zobaczyć wschodzącą ponad horyzont Ziemię. Zajęłoby mu to ze dwieście godzin, nieco ponad osiem dni...

Stał tam któregoś dnia, pogrążony w rozmyśleniach, gdy uświadomił sobie jakieś zamieszanie za plecami. Po drugiej stronie zeschniętego, wydeptanego trawnika, dwóch fagasów Edza Jealotta okrążyło Bel Glise, szycząc z niej i blokując jej drogę ucieczki. Gdy do nich podszedł, zauważył, że wyższy z nich to Zhang Hilton, facet, któremu sześć miesięcy temu, zaraz po wypuszczeniu ze szpitala, złamał rękę w krótkiej bójce. Zhang Hilton próbował, półzartem, rozsunąć suwak kombinezonu Bel Glise, a ona z wściekłym i milczącym skupieniem broniła się, pilnowała swojej skromności, osłaniając suwak jedną ręką, drugą zaś odganiając się od niego, gdy szturchał ją i dźgał, a jego towarzysz rzucał sprośnymi aluzjami.

Wysoko nad nimi przeleciał dron, ostro odcinający się od błękitu kopuły. Felice słyszał cichy szmer jego wentylatorów. Zhang Hilton odwracał się ku niemu z uśmiechem, zapytał, czy też chce się załapać.

Zignorował go i zapytał Bel Glise, czy nic jej nie zrobili. Pokręciła głową, raz, z mocno zaciśniętymi bezkrwistymi ustami.

- Odprowadzę cię do pokoju - powiedział.
- Dopiero co ją rozgrzaliśmy i musisz się wtrącać? - odparł Zhang Hilton. Jeszcze się uśmiechał, ale spojrzenie miał śmiertelnie poważne. - Nie wydaje mi się.
- A jak tam ręka? - zapytał Felice.
- U mnie wszystko szybko się goi - odparł tamten. - A u ciebie?
- Jeśli chcesz się ze mną bić, to nie mieszaj nikogo innego. Wystarczy, że podejdziesz i poprosisz - powiedział.

Patrzył mu prosto w twarz, czekając, aż zdradzi się ze swoimi zamiarami, ale nie zapominał o jego kumplu, którego obserwował kątem oka. Tamten odwrócił się, zerknął na coś. Felice też się obejrzał, półsekundowym szarpnięciem głowy. Przez plac od zachodniej strony zbliżało się dwóch mężczyzn, a kolejna dwójka, mężczyzna i kobieta, podchodziła od wschodu, wszyscy poruszali się tymi energicznymi skokami charakterystycznymi dla załogi Edza Jealotta. Felice zauważył, że mina Zhanga Hiltona zmienia się



nieznacznie, chwycił go za przegub, gdy zaczął sięgać pod bluzę, wałnął barkiem, rzucił na ziemię, kopnął mocno pod szczękę, w splot nerwowy, a potem wyciągnął mu zza paska paralizator, włączył go i odwrócił się do drugiego napastnika, który tymczasem wydobyl skądś cep z trzema kulami na łańcuchu. Stał na ugiętych nogach i wymachiwał nim tam i z powrotem, przesuwając się na lewo. Felice odwrócił się razem z nim, świadomy, że z innych stron podchodzą jeszcze dwaj, uzbrojeni w inną dozwoloną broń obezwładniającą.

Dron wisiał nieporuszony wysoko nad nimi. On nie pomoże. W pierwszych dniach działania obozu strażnicy reagowali na każdy problem, rażąc prądem wszystkich zamieszanych, teraz jednak interweniowali, tylko jeśli wyglądało na to, że ktoś zginie.

Felice podszedł do faceta z cepem, zataczając w powietrzu kręgi paralizatorem. Tamten zamachnął się na niego, on się cofnął, trzy stalowe kule na końcu napiętych łańcuchów śmignęły mu przed brzuchem. Wbił napastnikowi koniec paralizatora za ucho. Mężczyzna zawył, padł na kolana i upuścił cep, lecz zanim Felice zdążył go podnieść, z dwóch stron zaatakowali kolejni. Jeden zamierzył się paralizatorem, celując w twarz Felice'a; ten kopnął go w kolano i przewrócił, zrobił półobrót i łokciem złamał kobiecie nos. Kolejny mężczyzna podszedł od lewej, wymachując pałką zrobioną z elastycznego foliowego rękawa wypchanego żwirem i piaskiem. Felice odbił pierwszy cios lewą ręką. Zdrętwiała mu od łokcia po bark; drugie uderzenie trafiło go w bok głowy i przewróciło na kolana. Zobaczył, że kobieta z zakrwawionym nosem szarpie się z Bel Glise, zobaczył, że Zhang Hilton kuśtyka ku niemu z luźno trzymaną w ręku krótką pałką, zobaczył, jak plastikowa rura opada raz jeszcze, zrobił unik i usłyszał świśnięcie nad głową. Wtedy naprzód wyskoczył czwarty facet, kopnął go mocno w krzyż, tak że padł bez tchu.

Ale nie od tego stracił przytomność. To była sprawka drona, który poraził wszystkich w okolicy piorunami rozpalonego do białości bólu, zanim Zhang Hilton zdążył rozbić Felice'owi głowę.

Kiedy doszedł do siebie, leżał na plecach, patrząc na Edza Jealotta i błękitną krzywiznę kopuły. Światło raziło go w oczy. Głowa bolała jak rozbita, lewe ramię paliło, opuchnięte. Kiedy podniósł się na kolana, świat zapulsował czerwono i czarno, zawirował wokół ukośnie. Omal znów nie upadł.

- Zacząłeś bójkę - powiedział Edz Jealott. - W moim mieście nie będę tego tolerował.

Ludzie stali w szerokim, luźnym kręgu wokół nich. Dziewczyny i fagasi Edza Jealotta, inni nadzorcy, naukowcy. Młody olbrzym miał na sobie tylko zwinięty do pasa obcisły trykot z białego elastomeru opinający jego muskularne nogi i wydymający się na złowrogiej wypukłości genitaliów. Na potężnej tarczy klatki piersiowej wiły się wokół siebie w zwolnionym tempie

skłębione węże, złożone wyłącznie z płomieni. Skórę miał mlecznie półprzezroczystą, a grzywa czarnych włosów opadała tłustymi lokami na ramiona.

- Jak chcesz się z kimś bić, to ze mną - powiedział i wałnął w kłęb ognistych węży łapskiem, którym mógłby objąć całą głowę Felice'a. - Nawet dam ci pierwszemu uderzyć.

Felice nie odpowiedział. Nie było sensu. Poza tym potrzebował dużo skupienia, żeby utrzymać się na nogach. Ziemia się kołysała, twarz Edza Jealotta rozdwajała się i sklejała z powrotem. Perorował teraz o tym, że trzeba trzymać się razem, że to groźne, jeśli ktoś myśli, że może robić co zechce i nie zwracać uwagi na dobro ogółu. Wokół zebranych ludzi nastąpiło jakieś poruszenie - była to Amy Ma Coulibaly, przechwycona przez jednego z fagasów Edza, gdy przepychała się wśród gapiów. Wykręcił jej rękę do tyłu. Felice ruszył ku nim, a Edz złapał go za rękę, okręcił i obezwładnił w stalowym uścisku. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem; potem Edz odchylił się i ciosem kamiennego czoła złamał mu nos. Felice upadł na plecy, oszołomiony ognistym bólem. Przetoczył się i dźwignął na kolana. Kopniak Edza Jealotta trafił go w pierś i znów odrzucił w tył. Księżyc uderzył w niego całą swoją bezlitosną masą i więcej już nic nie poczuł.

\*\*\*

Budząc się po raz kolejny w ambulatorium Amy Ma Coulibaly i widząc blade światło sufitu, Felice poczuł się tak, jakby bez żadnych faz pośrednich dotarł do ostatniej, śmiertelnej fazy swojej choroby. Cały tułów i lewą rękę miał w siniakach, żebra skrzypiały mu przy każdym oddechu, nos miał opuchnięty i usztywniony. Amy powiedziała, że miał wstrząs mózgu, i uparła się poddać go całej baterii badań neurologicznych - podejrzewał, że było ich dużo więcej niż potrzeba, ale był zbyt nieprzytomny i zbyt słaby, żeby protestować. Zapytał o Bel Glise.

Amy powiedziała mu, że wykpiła się paroma siniakami i łagodnym wstrząsem.

- To dobrze.
- Powinieneś się wstydzić - stwierdziła, dźgając palcem tablet, przejeżdżając przez obrazy neurodynamicznej aktywności jego mózgu w poglądowych barwach. - Żeby co chwila wdawać się w awantury? To urażona duma, Felice? Czy ty po prostu nie rozumiesz innych ludzi?
- Nie mogłem tego odpuścić. Musiałem jej pomóc.
- Przecież wiedziałeś, że to pokazówka, co?
- Jak zobaczyłem resztę, to tak. Z początku nie.
- Wiedziałeś, że ją wykorzystują, żeby cię zwabić w pułapkę. I wiedziałeś, że niczego poważnego jej nie zrobią, bo strażnicy by ich ukarali. Trzeba

było sobie pójść.

- Zły byłem. Bo ją wykorzystywali. Bo naraziłem ją na niebezpieczeństwo.

- A teraz?

- Jak się czuję teraz? Wstydzę się. Nie wiem, co myśleć. Niszczę wszystko, czego się tknę. Naraziłem na szwank twoją przyjaciółkę, więc i ty możesz być w niebezpieczeństwie. Powiniennem iść stąd...

Gdy spróbował usiąść, poczuł, że głowa pęka mu na pół, a mięśnie pierśsiowe zapłonęły bólem. Położył się z powrotem i patrzył, jak kafle sufitu falują, zniekształcane przez grube soczewki łez. Płakał, uzalając się nad sobą.

- To nie jest normalne społeczeństwo, pod żadnym względem - odparła Amy. - Bardziej przypomina stado dzikich naczelnych. Rządzi samiec alfa, z pomocą świty, która zachowuje się tak samo jak on, bo obawia się, że będzie maltretowana i wykorzystywana jak reszta. A ponieważ Edz Jealott jest przywódcą grupy, cała grupa naśladuje sposób jego myślenia, a sposób jego myślenia jest kulawy. Ty podważyłeś jego autorytet, zachowując się jakby cię nie obchodził. Nie mógł na to pozwolić, bo to szkodzi jego reputacji. A on ma tylko reputację. I stąd to wszystko.

- Skoro chciał ze mną walczyć, to czemu mnie nie wyzwał?

- Chciał cię poniżyć. Mam nadzieję, że myśli, że mu się udało - powiedziała Amy. - Inaczej znowu do ciebie przyjdzie. Dobra. Teraz już nic nie mów. Daj mi skończyć i będziesz mógł odpocząć.

Felice trochę się przespał, a kiedy się zbudził, Amy siedziała wyprostowana przy jego łóżku, z dłońmi złożonymi modlitewnie na kolanach. Zapytała go, jak się czuje, a on powiedział, że czuje, że ona ma mu coś ważnego do powiedzenia.

- Siniaki i popękane żebra goją się niesamowicie szybko. Nos nie będzie już tak dobrze wyglądał, ale też się goi. Ale muszę zapytać: czułeś ostatnio jakieś drętwienie kończyn, zawroty głowy, czy coś?

- Ta moja choroba na tym polega, prawda?

- Badania wykazały upośledzenie obwodowego układu nerwowego. Postępuje naturalnie. Ani szybciej, ani wolniej od oczekiwań.

- Dlatego Edz Jealott był w stanie mnie pobić.

- Właśnie przez takie nastawienie wpakowałeś się w kłopoty - odparła Amy, a on aż skurczył się pod jej pełnym surowego wyrzutu spojrzeniem.

Wiedział, że ona ma rację. Miał się za kogoś innego od reszty więźniów i nadzorców. Jednoosobowe królestwo, króla incognito skrywającego tajemnicę choroby, dumnego i niezwyciężonego, szlachetnego i wielkodusznego. Edz Jealott zdemaskował go. Pokazał, że jest takim samym człowiekiem jak inni. Chyba powinien być mu za to wdzięczny, nie powinien go nienawidzić, nie mógł się jednak na to zdobyć. Może to też był element jego człowieczeń-

stwa.

## ROZDZIAŁ 3

Obóz Zespołu Rekultywatorów nr 897 na linii frontu był szeregiem półokrągłych baraków z blachy falistej przyczajonych u podstawy zbiorników i wież wytwórni gleby. Na południu, lśniąca jak stal pod ciemniejącym niebem, rzeka Platte wiła się pomiędzy łąkami odbudowanych zarośli trzcinowych i łąk. Wszędzie indziej była pustynia, pozbawiona gleby przez sto lat megaburz. Gigantyczne, zniszczone pustkowia pełne wąwozów, rozpadlin i zapadlisk, prześladowane przez niemiłosiernie silne wiatry, które rozpedzały się wzdłuż krętych skalnych grzbietów, mierzwiły kępy mocnych, antyerozyjnych traw, uczepione skalnego gruzu i miały piaskowymi wirami w kolumnę zmierzających do obozu jeźdźców, zgarbionych na koniach, kryjących się pod łopoczącymi pelerynami lub ponczami jak rozbójnicy, którzy uciekli żywcem z dawnych mitów; a za ich plecami krwawy zachód słońca osuwającego się pod niski i płaski horyzont.

Zwiad przyjechał do obozu parę godzin przed nimi. Gdy wjechali na odcinek wiekowego asfaltu, przez bramę w ogrodzeniu Wyszedł mały tłumek, wiwatując i wyjąc. Cash Baker ściągnął wodze, zsunął w tył kapelusz z szerokim rondem i rozejrzał się dookoła. Kobiety i mężczyźni w zielonych drelichowych koszulach i niebieskich dzinsach; tłum twarzy, bladych w świetle wiszących wzdłuż ogrodzenia lamp łukowych. Ta część najmniej mu się podobała. Zamachowiec mógł zrobić krok, z twarzą zimną i bezlitosną jak wąż, wycelować z rewolweru albo odpalić zaimprovizowaną bombę. Z cieni pod wieżami wytwórni mogli wybiec żołnierze...

Ludzie wyciągnęli ku niemu ręce, sięgnął w dół i uściśnął parę. Inni jeźdźcy też ściskali dłonie, a ich dowódca stanął pośrodku tłumu, uniósł się na łęku siodła i rozmawiał z oficerem, który trzymał jego konia za wodze. Po paru chwilach siadł z powrotem, w świetle lamp rozbrły jasne włosy, i uniósł dłonie do twarzy. Tłum ucichł. Wszyscy odwrócili się ku niemu. Podziękował im za gościnność.

- Przebyliśmy długą drogę, żeby do was dotrzeć, więc mam nadzieję, że dacie nam jeszcze godzinkę na oporządzenie koni i odświeżenie się. Ale nie mogę się już doczekać rozmowy z wami! Tyle mamy spraw do omówienia!

Cash Baker jeździł z Alderem Hong-Owenem i jego grupą od sześciu miesięcy. Na początku posuwali się na północ wzdłuż Gór Skalistych, spotykając się z grupkami zbiegów, zwanych dzikimi osadnikami. Byli to

ludzie, którzy odmówili wyprowadzki ze swojej ziemi i prowadzili koczownicze życie - jako tysiąc małych grupek o tysiącu nazw. Niektóre składały się z rdzennych Amerykanów, niesamowicie dumnych i niezależnych, inne z potomków uchodźców z wielkiej cywilizacyjnej katastrofy. Z hodowców owiec i kóz w tymczasowych obozach, zakładanych na letni wypas wysoko w górach. Ze zbieraczy i myśliwych, którzy rozbijali swoje namioty z inteligentnej tkaniny tu i ówdzie na parę dni czy parę tygodni, uprawiali małe ogródki, ukryte między skałami albo na polanach wśród sosnowych, brzozowych i olchowych lasów, a potem szli dalej. Była i mała wieś, parę domów zbudowanych na półkach skalnych w środku stromego kanionu, z ogrodami rozpiętymi nad jego dnem i turbinami wiatrowymi poukrywanymi w wrytych w skale tunelach. Grupa hodowców w królików obdarowała całą ekipę Aldera serdakami uszytymi z białych i czarnych futerek. Grupa, która zasiedliła przedwieczny schron przeciwsłoneczny, doglądała elektrowni wodnej, farmy wiekowych komputerów mainframe i sieci komunikacyjnej ciągnącej się magistralą przez całe góry.

Wszędzie gdzie się udali, pielgrzymi Aldera rozdawali nasiona drzew ludowych, opowiadali o rewolucji i omawiali najnowsze wieści z Wielkiej Brazylii oraz księżyców Jowisza i Saturna.

W górach rzadko się teraz spotykało bandytów, przestępców i innych degeneratów. Zginęli podczas urządzanych przez dzikich osadników polowań albo zostali schwytani i podrzuceni związani, nadzy, z wytatuowanymi na ciele listami swoich zbrodni, na peryferie wielkich miast. Mimo to, gdy pielgrzymi Aldera opuścili góry, nie czekając na pierwsze śniegi, i przecięli północny narożnik Wielkiej Pustyni, dwa razy zaatakowały ich bandy. Za pierwszym razem napastnicy podkradli się do nich w środku nocy, poderżnęli gardła dwóm wartownikom i pośród wielkiego popłochu w całkowitej ciemności ukradli pięć koni. Za drugim razem, w śnieżny dzień na początku grudnia, gdy jechali przez ruiny Coleharbor, na południe od wielkiej słonej niecki niegdysiejszego jeziora Sakakawea, jedna z kobiet spadła z konia zastrzelona na miejscu. Wszyscy padli na ziemię wśród chaotycznego ognia, aż, gdy trochę się ściemniło, Cash przypuścił kontratak. Zaatakowali kilka ledwo widocznych postaci, w biegu pomiędzy ruinami domów, stracili swojego jedyne drona i parli naprzód, aż dotarli do miejsca zaledwie parę minut wcześniej opuszczonego przez bandytów - ustawionych w podkowę kamieni w zagajniku bezlistnych sykomor. Znaleźli zakrwawione bandaże i ubrania rozrzucone wokół dogasającego ognia oraz wydeptane w śniegu ślady prowadzące na północ, między wzgórz. Następnego dnia rano, wyjeżdżając z ruin, minęli wbite wzdłuż drogi żerdzie, chylące się w zamieci i zwieńczone makabrycznymi głowami z czapami krwawego śniegu, wyrwóconymi oczyma i uciętymi uszami.

Czy to miała być groźba, czy hołd, nie wiedzieli i nie chcieli o tym

rozmawiać.

Boże Narodzenie spędzili razem ze społecznością osadników w wiosce zbudowanej z kontenerów wkopanych w pagórkowatą nizinę nieco na południe od rzeki Missouri, w dawnej Dakocie Północnej, wyjechali w Nowy Rok i ruszyli dalej na południe skrajem Wielkiej Pustyni, meandrującą trasą, która czasami cofała się, a czasami zawiązała pętlę na wschód czy zachód. Stopniowo zaczęli rozmawiać z członkami Zespołów Rekultywacji i Odbudowy. Najpierw z pojedynczymi osobami albo małymi grupkami, które wychodziły im na spotkanie, potem z całymi obozami.

Tej zimy w miastach brakowało żywności i wybuchały zamieszki. Na większości terenów dawnych Stanów Zjednoczonych wprowadzono stan wyjątkowy. W Panamie żołnierze otworzyli ogień do głodujących ludzi, którzy zaatakowali posiadłość jednego z potomków rodu Escobar. Zginęło ponad 700 osób, a kolejne tysiące w zamieszkach, które zrujnowały pół miasta. Biskup Manaus urządził czuwanie na rzecz pokoju - trzeciego dnia zamachowiec przeszedł przez zatłoczoną katedrę w trakcie mszy i zastrzelił biskupa podczas Podniesienia. Żołnierze na zewnątrz zaczęli strzelać do uciekających tłumów. Władze obwieściły, że biskup-męczennik był agentem Wspólnoty Pacyficznej, w całej Wielkiej Brazylii nastąpiły masowe aresztowania księży i innych dysydentów, a w sieci transmitowano procesy i egzekucje co bardziej prominentnych tak zwanych zdrajców.

Wiele brygad Zespołów RiO odmówiło wyjścia z koszar po otrzymaniu rozkazu pacyfikowania zamieszek razem z wojskiem. Jednostki armii przebiły się do obozów, wyprowadziły wszystkich, losowo wybrały część ludzi i rozstrzelały ich. Kiedy zaprotestowała głównodowodząca RiO, razem z wieloma starszymi oficerami została aresztowana i przewieziona do osławionego więzienia wojskowego pod São Paulo. Szeregowi członkowie RiO byli w buntowniczych nastrojach, brakowało im jednak przywództwa, dopóki po obozach na linii frontu - zachodnim skraju Wielkiej Pustyni - nie przejechał się Alder Hong-Owen, syn słynnej guru genetycznej Sri Hong-Owen, i nie pomówił z nimi.

Przystanek w obozie Zespołu nr 897 był nieco odmienny od innych. Pierwszy mówił Cash, korzystając z zasobu sztuczek i technik, których nauczono go przed tournée propagandowym Sił Obrony Powietrznej. Stał na stole na końcu zatłoczonej kantyny i opowiedział im historię o tym, jak generał Arvam Peixoto zrobił z niego bohatera, a potem został zdegradowany i wydalony dyscyplinarnie w ramach spisku mającego odsunąć generała. Tłumaczył, że jego wzlot i upadek to jeden z wielu przykładów, jak wysokie rody wykorzystują i porzucają zwykłych ludzi, a potem poprosił Aldera Hong-Owena, żeby przejął pałeczkę, podnosząc głos, aby przekrzyć pohukiwania i oklaski.

Alder mówił z niewymuszoną, gładką pewnością siebie. Błędymi dłońmi

rysował w powietrzu, miodopłynny głos unosił się nad stłoczonymi głowami publiczności. Mówił o tym, jak podczas zamętu po Przewrocie władzę przejęli gangsterzy, handlarze bronią, piraci i plutokraci; to oni założyli nowe dynastie. O tym, jak te tak zwane wielkie rody przejęły pewne idee ruchu zielonych - zalesianie, rekultywację, nadzór ekologiczny, oszczędzanie zasobów naturalnych i tak dalej - i wykorzystały je do umocnienia i utrzymania władzy. O tym, jak wielkie i szczytne dzieło odbudowy zniszczonych ekosystemów Ziemi zmieniło się w tyrańską religię. O spędzeniu wszystkich ludzi do miast, będących obozami karnymi pod każdym względem oprócz nazwy, albo zmuszeniu ich do pracy ponad siły przy faraonских przedsięwzięciach. O tym, jak wymyślono wrogów, aby utrzymywać ludność w ryzach, jak długo bowiem się tych wrogów bała, tak długo nie podważała władzy. Najpierw była to Wspólnota Pacyficzna, potem Zewnętrzni, teraz znowu Wspólnota Pacyficzna. No i zawsze dzicy osadnicy i bandyci z pogranicza. O tym, że garstki rządzących nie dotyczyły wyrzeczenia ponoszone przez zwykłych ludzi.

- Zwykli ludzie cierpieli w imię Gai niedostatek, trudności, a proszę, jak żyją tak zwane wysokie rody Wielkiej Brazylii - powiedział i wyczarował w memoprzestrzeni zdjęcia domów bogaczy. Niektóre z własnych zasobów, inne zrobione przez Casha Bakera, jeszcze inne z satelitów. Rezydencje, pawilony myśliwskie. Odgródzone od świata wielkie posiadłości. Wyspy zamienione w prywatne raje.

Odpowiedział na wszystkie zadawane im pytania - było już grubo po północy, gdy rozdali członkom RiO nasiona drzew ludowych i wytłumaczyli, gdzie je sadzić i jak rosnąć.

Następnego dnia rano mały oddział wyjechał we mgłę i drobną mżawkę, zacinając od zimnego marcowego wiatru, nadlatującego porywami znad szkółek topól i wierzb. Przejechali przez most pontonowy unoszący się na płytkiej, szerokiej rzece, ruszyli gruntową drogą, przecinając odrestaurowaną łąkę, i zaledwie dwa kilometry za rzeką wpadli w zasadzkę.

Trzech mężczyzn jadących przed resztą kawalkady zniknęło w kłębach czerwonych płomieni i czarnego dymu; nad łąką przetoczył się potężny grzmot. Sypnęło ziemią i strzępami końskich i ludzkich ciał. Reszta jeźdźców okielznała spłoszone konie i zatoczyła krąg, krzycząc do siebie, podczas gdy po obu stronach drogi wstali skryci w wysokiej trawie bandyci, dwóch z lewej, trzech z prawej strony. Byli uzbrojeni w automatyczne karabiny i natychmiast zaczęli strzelać, z niecałych dwudziestu metrów. Kule gwizdały w powietrzu i wzbijały fontanny błota, gdy Cash wczołgiwał się za obalonego konia. Zgubił kapelusz, w uszach mu dzwoniło. Jego koń miał przestrzeloną szyję, z nozdrzy buchała krwawa piana. Cash wyciągnął pistolet, lecz trzęsły mu się dłonie, gdy próbował wycelować, celownik skakał i falował. Pudłował o kilometr. Seria pocisków trafiła w drogę tuż



obok, obryzgując go wilgotną ziemią. Otarł błoto z oczu, oparł pistolet o wytartą skórę siodła, lecz im bardziej próbował uspokoić ręce, tym bardziej mu się trzęsły. Jeden z bandytów zwał się, jakby ktoś go podciął, a drugi skulił się i pochylony odbiegł w miotaną wiatrem trawę. Cash przetoczył się, wycelował rozedrgany pistolet w drugą stronę drogi i zobaczył, że pozostali trzej bandyci już leżą. Jeden czołgał się w rowie jak wąż z przetrąconym kręgosłupem. Cash zerwał się i pokuśtykał za Arniem Echolsem. Złapał go za rękę, gdy ten unosił pistolet.

- Ej! Może nam powie, kto nas podkablował - powiedział Cash.

Niestety, bandyta dostał w oba płuca i kiedy Cash odwrócił go, kaszlnął krwawą pianą i umarł. Półżywy strój maskujący pulsował ciemnymi, nieregularnymi plamami, usiłując dopasować się do wsiąkającej w błoto krwi.

- Kto to? - zapytał Arnie. - Wojsko?

- Wojsko okrążyłoby obóz czołgami. To pewnie są łowcy nagród - stwierdził Cash. - I do tego amatorzy, na nasze szczęście. Każdy, kto ma trochę rozumu, zaatakowałby nas, kiedy przechodziliśmy przez most.

Przeszukał zabitego, ale nie znalazł żadnych dokumentów, jedynie trzy magazynki z nabojami o stalowych płaszczach, parę kajdanek i paczkę haszyszu do żucia w kieszeniach, nóż myśliwski w pochwie na pasku i iglicę radia krótkiego zasięgu w uchu. Zmył krew z rąk w rowie z lodowatą wodą, wstał i wrócił za Arniem na drogę. Dwa ciała nakryte pelerynami, zabite lub ciężko ranne konie, konie stojące w deszczu i ciągnące za sobą wodze. Ludzie klęczeli wokół rannych, przecinali im ubrania, otwierali apteczki. Jeden z rannych siedział oparty o brzuch martwego konia, z ramienia zielonej plastikowej peleryny spływała krew, jasne włosy pozlepiane w strąki, twarz blada jak kreda. Alder Hong-Owen.

\*\*\*

Zgodzili się, że nie mogą wrócić do obozu RiO, bo to zapewne ktoś stamtąd na nich doniósł. Za pomocą telefonu działającego w podziemnej sieci łącznościowej Arnie Echols umówił się na spotkanie. Pochowali zabitych przy drodze, rozpięli hamaki pomiędzy koźmi i powieźli rannych przez trawiastą równinę na pustynię. Późno w nocy spotkali się z grupką osadników mających obóz w głębokiej rozpadlinie, ci poprowadzili ich na wschód. Przeszli przez rzekę ciągiem brodów pomiędzy małymi ostrowami i gdy na niebie blakły gwiazdy, dotarli do obozu między wzgórzami.

Pocisk o dużej prędkości strzaskał Alderowi lewy bark, a podczas powrotu do obozu złapał zapalenie płuc. Sanitariusz ściągnięty z wielkiej bazy RiO pod Omaha zrobił co w jego mocy, powiedział jednak, że Alderowi potrzebna jest interwencja chirurga i pooperacyjne leczenie, na jakie po-

zwala tylko szpital. Alder odmówił opuszczenia obozu, a Cash i reszta poparli go, gdy medyk odwołał się do nich.

- To straci władzę w ręce - powiedział sanitariusz.
- Lepiej rękę niż życie - odparł Cash.

Sanitariusz poczuł się urażony i dał temu wyraz. Cash powiedział mu, żeby nie brał tego do siebie.

- Jeden z tych bandytów się wymknął, trzeba zakładać, że ma kumpli, a może to on powiedział o nas wojsku, licząc, że dostanie część nagrody. A to znaczy, że nie możemy się pokazywać nigdzie, gdzie patrzą na nas ludzie.

Alder był młody i silny. Już po paru dniach zaczął korzystać z sieci łącznościowej osadników, żeby śledzić narastające napięcia polityczne i społeczne oraz rozmawiać z przywódcami komórek Jeźdźców Wolności w miastach na całym terenie Wielkiej Brazylii. Tydzień później wstał z łóżka i zaczął kuśtykać po obozie, krzywiąc się i pocąc, co chwila przysiadając; dwa tygodnie później przestał brać środki przeciwbólowe i oznajmił, że już wydobrzał i może podróżować.

Następnego dnia pojechali z Cashem między piaszczyste wzgórza na tyłach obozu, z dwoma osadnikami do towarzystwa. Alder miał rękę w temblaku z czarnej tkaniny, ale konia prowadził pewnie i nawet jeśli go bolało, nie okazywał tego. Zatrzymali się w zagajniku drzew ludowych, rosnących bujnie i zielono w płytkiej niecce pod szczytem grzbietu, usiedli w cieniu pomiędzy wężlastymi korzeniami i czarnymi sznurami wgryzających się w skałę symbiotycznych nanomaszyn, zjedli wspólnie obiad składający się z sera, chleba i marynowanych pomidorów. Alder wyjaśnił, że chce, żeby Cash pojechał na wschód i spotkał się z jednym z jego kontaktów w Indianapolis.

- Potrzebny im pilot.

Cash uniósł rękę, pokazując, jak mu drżą palce.

- Żeby móc latać, muszę się napić. Chyba nie bardzo się komuś przydam.

- Mój kolega coś ci na to poradzi. Ludzi, potrafiących latać wahadłowcami, mamy bardzo mało, a zaufanie mam w zasadzie tylko do ciebie.

- Wahadłowcami? Kosmicznymi?

- Żeby polecieć na Księżyc, jak przyjdzie pora - odparł Alder.

## ROZDZIAŁ 4

Wieści o narastających niepokojach w Wielkiej Brazylii przedostały się do Miasteczka Nadzorców za pośrednictwem życzliwego europejskiego uczonego, współpracującego z jednym z guru genetycznych. Większość nadzorców mówiła, że nic z tego nie będzie. Wielkie rody są zbyt potężne. Brutalnie stłumią wszystkie zamieszki i nic się nie zmieni.

- Nadzorcy muszą wierzyć, że rewolucja upadnie, bo mają osobisty interes w utrzymaniu status quo - powiedziała Felice'owi Amy. - Może nie są tego świadomi, ale upolitycznili się tak samo jak więźniowie.

- To nie jest rewolucja. W tym tkwi sedno sprawy. Niektórzy z tych agitatorów pewnie i chcieliby doprowadzić do rewolucji, ale na razie im się nie udało. I pewnie nigdy się nie uda.

Grali w szachy, a Felice jak zwykle był w końcówce w beznadziejnej sytuacji. Mimo to walczył, licząc, że Amy popełni jakiś błąd, choć doświadczenie uczyło, że nie ma co na to liczyć.

Amy, czekając na jego kolejny ruch, dodała:

- Tak jak ja to rozumiem, zwykli ludzie z Wielkiej Brazylii musieli zapłacić za Cichą Wojnę oraz okupację Jowisza i Saturna, podczas gdy wielkie rody upasły się na zyskach z zagrabionych technologii. A teraz ich rząd chce pójść na wojnę ze Wspólnotą Pacyficzną, bo kłócą się, kto ma władzę nad jakimiś dalekimi lodowymi bryłami. Wezmą do wojska ich córki i synów, zabiorą im ostatnie resztki wolności; ich miasta staną się celem rakiet wroga. Mają tego dość. Chcą zmian.

Felice przesunął pionek do szóstego rzędu, grożąc jedynemu gońcowi Amy.

- Ale od samego chcenia nic się nie da zmienić, prawda?

- Mówisz z doświadczenia? - Amy popatrzyła na niego. Parę tygodni temu ścięła włosy na krótko i ufarbowała na kruczoczarno, używała ciemnofioletowej szminki i czarnej kredki wokół oczu, podkreślających papierową błądź jej cery.

- Jeśli chcesz coś zmienić, musisz wiedzieć jak.

Amy przesunęła wieżę o jedno pole w bok.

- Może chcą tego, co my mieliśmy przed wojną. Brakuje im tylko przywódcy, który nadałby im odpowiedni kierunek.

Felice widział, że jeśli ruszy skoczkiem, czeka go mat, bo goniec zbije

pionka, przesunął więc drugiego z ocalałych pionków, królewskiego, pole w przód. Amy odsunęła zagrożonego gońca, szachując mu króla i zmuszając go do cofnięcia, potem weszła do tego samego rzędu drugą wieżą i obwieściła:

- Szach i mat.
  - Już dawno przegrałem - odparł Felice, rozcierając zdrętwiałe i zeszywniałe palce lewej dłoni. Brał teraz sterydy w formie zastrzyków domięśniowych, ale nie sprawiło to większej różnicy.
  - Ty zawsze walczysz do końca.
  - Tak mnie nauczyli.
  - Całkiem nieźle już ten twój nos wygląda. Przynajmniej w tym świetle.
  - Wydaje mi się, że zacząłem się zmieniać, jeszcze zanim Edz mi go złamał. Mam nadzieję, że cały czas się zmieniam.
  - Z wyjątkiem tych końcówek.
  - Jeśli nie rozegram każdej gry do końca, to jak mam liczyć, że kiedyś wygram?
  - A co byś zrobił, gdyby upadł rząd?
  - Gdyby wybuchła rewolucja?
  - I wygrała.
  - Nie wiem. To nie znaczy, że by nas wypuścili, prawda?
  - Ale gdyby wypuścili?
  - Gdybym mógł, poleciałbym na Ziemię.
  - Nie poczekałbyś na wyleczenie?
  - Mógłbym się leczyć na Ziemi, prawda?
- Amy się uśmiechnęła.
- Może polecimy razem.
  - Do Nowej Zelandii?
  - Właściwie, czemu nie? Chyba dalej istnieje.

\*\*\*

Wojskowy okręt usiadł na więziennym lądowisku i roboty wylądowały z niego materiały budowlane, przewiozły je do namiotu i wybudowały z nich kopułę geodezyjną tuż pod zachodnią częścią zbocza krateru. Zrobiono jej próby na szczelność, a dwa dni później wylądował kolejny statek i wypłuł kontyngent więźniów z Ziemi. Zaprowadzono ich prosto do nowej kopuły i od razu zapędzono do pracy przy stawianiu baraków. Plotka głosiła, że to zbuntowani naukowcy i potomkowie wielkich rodów, którzy okazali życzliwość wichrzycielom w Wielkiej Brazylii, ale nikt nie wiedział na pewno, bo nowych więźniów trzymano w całkowitej izolacji od reszty.

Amy stwierdziła, że to oznaka słabnięcia rządu w Wielkiej Brazylii.

- Gdyby prezydent Nabuco był pewien, że uda mu się zmiażdżyć

rewolucję, to wszystkich ich by zabił, a nie przysyłał tutaj.

- To zakładnicy.
- Dokładnie. Jeśli rząd padnie, prezydent skorzysta z nich, żeby błagać o litość.
- A z nami co?
- Pozostaje liczyć, że też mamy jakąś wartość. Dla jednej strony lub dla drugiej.

Zaraz po pojawieniu się nowych więźniów, zniknął jeden z Zewnętrznych. Goether Lyle, ekspert od n-wymiarowej topologii. Kiedy nie pojawił się na codziennym seansie ze współpracownikami z Wielkiej Brazylii, nadzorcom kazano przeszukać baraki i pola organizmów próżniowych; później tego samego dnia, jego ciało się znalazło; leżało o paręset metrów od nowej kopuły. Wyglądało to na samobójstwo. Goether Lyle siedział po turecku, ze zwieszoną głową, a maska, butla z powietrzem i szelki od niej leżały obok.

Wieczorem Felice zapytał Amy, czy Lyle wspominał coś o samobójstwie.

- Ja go właściwie nie znałam.
- Był z Aten, jak ty?
- Ale tu jest tylu innych ludzi.
- Nie rozmawiałaś z nim, kiedy robiłaś mu badania?
- Jeśli nawet, to obowiązuje mnie tajemnica lekarska.
- Teraz już to chyba bez znaczenia?
- Dla mnie to ma znaczenie. Powiedz, co ci chodzi po głowie, Felice?
- To nie było samobójstwo.
- Nie było?

Felice klepnął się dłonią po karku.

- Monitoring śledzi nasze wszczepki co minutę przez całą dobę, w całym więzieniu. A jego trupa nie znaleziono przez parę godzin. Albo mu ktoś wszczepkę wyłączył, albo usunął.

- Wiesz, że to niemożliwe.
- Przyszło mi do głowy, że któryś ze strażników mógł mu wyłączyć wszczepkę przez monitoring, a potem wywabił go na pola i zabił.
- Jeśli ktoś z nich nas teraz przypadkiem słucha, przez takie gadanie możesz się wpakować w kłopoty.
- Ich mało obchodzi, co my myślimy.

Amy przyjrzała mu się.

- Za bardzo się nie zmieniłeś, co? Dalej szukasz, kogo by tu uratować.
- Goethera Lyle'a już nie uratuję.
- Ale myślisz, że ktoś go zabił. I chcesz uratować przed tym innych ludzi.
- Mogłabyś pogadać z tym swoim kolegą. Lekarzem z Europy. Zapytać

go, czy miał jakieś nietypowe siniaki. Ślady walki.

- Felice, Goether popełnił samobójstwo - stwierdziła Amy z nietypową dla siebie oschłością. - Znalazł miejsce, którego nie widzi monitoring, i zdjął sobie maskę. Prawie bezbolesne samobójstwo. Od wysokiego stężenia dwutlenku węgla tracisz przytomność, zanim dojdzie do krwotoków wewnętrznych. Ludzie już tu popełniali samobójstwa. I dalej będą. Więc odpuść sobie. Nie rób nic głupiego.

- Kiedy zginie ktoś jeszcze - odparł Felice - zobaczysz, że miałem rację.

## ROZDZIAŁ 5

Cash Baker wyjechał z Omahy ciężarówką RiO prowadzoną przez pogodną kobietę w średnim wieku. Kiedy wyskakiwał z szoferki pod bazą na przedmieściach St. Louis, kazała mu uważać na siebie. Stamtąd zabrał się pociągiem towarowym, który jechał na północny wschód od St. Louis, zatrzymując się na każdej stacji aż po Indianapolis. W Indianapolis padał deszcz. Była siódma wieczorem, niebo całe zaciągnięte ciężkimi chmurami, na stacji przeładunkowej wzdłuż torów paliły się reflektory, deszcz siekł ciągi wagonów towarowych. Zgodnie z otrzymaną instrukcją, wsiadł do autobusu jadącego na wschodnią stronę miasta. Za nim siedziało dwóch pasażerów. Kiedy autobus ruszył, jeden z nich nachylił się i powiedział mu, że są tu, żeby mu pomóc.

- Z kim rozmawiam?

Rękę miał w torbie, na kolbie pistoletu. Nie było sensu go wyciągać - oni też mogli być uzbrojeni, a jeśli zaczniesz rozrabiać, AI autobusu zablokuje drzwi i wezwie policję.

- Z przyjaciółmi, którzy nie chcą, żebyś wpadł w ręce bezpieki - powiedział pierwszy.

- Twój kontakt w Wieżowcu 21 jest ugotowany - dodał drugi. - Masz szczęście, że to my zauważyliśmy cię pierwsi, a nie BSS.

- Na następnym wysiadamy.

Przy krawężniku, pod ociekającymi wodą gałęziami wielkiego drzewa ludowego czekał mały, bananowo-żółty elektryczny samochodzik. Opustoszały plac poza nim zalewał rześisty deszcz. Wśród mokrej czarnej nocy unosiły się piętrowo światła mieszkalnego wieżowca.

Cash wsiadł na tył auta, jeden z mężczyzn usiadł za kierownicą, drugi obok niego. Uparł się uścisnąć mu rękę. Po tym zwykłym ludzkim geście Cash poczuł się nieco lepiej, mimo że nie chcieli mu powiedzieć, dokąd go wiozą. Jechali mniej więcej godzinę, samymi krętymi drogami. Wreszcie podjechali pod wielki dom z białą kolumnadą, wyglądający na tak stary jak całe Stany Zjednoczone. Deszcz siekł ze wszystkich stron.

Krzepki starszy facet, śniady, z przystrzyżoną siwą brodą stanął w wielkich, podwójnych drzwiach, obramowany żółtym światłem. Zawołał do Casha, gramolącego się z małego autka, żeby szybko się chował przed tym cholernym deszczem.

Tak właśnie poznał pułkownika Beara Stamforda.

\*\*\*

Dwaj mężczyźni odjechali żółtym samochodzikiem, a Cash wszedł za pułkownikiem do holu. Woda skapywała z jego ubrania na kafle podłogi, a on podziwiał drewniane schody i drewnianą boazerię na ścianach.

- Osuszysz się trochę i wtedy pogadamy - powiedział starszy pan.

Z cienia pod schodami wyłonił się domowy robot. Zaprowadził Casha do sypialni, w której wziął prysznic i włożył rozłożone na łóżku sweter i dżinsy. Chwilę się zastanawiał, czy zatknąć pistolet za pasek - stwierdził jednak, że to wszystko jedno, i zszedł za robotem na dół, do wielkiego salonu, gdzie wzdłuż ścian na półkach z prawdziwego drewna piętrzyły się rzędy książek, a memoprzestrzeń pośrodku wyświetlała obraz Ziemi z orbity geostacjonarnej.

Pułkownik Stamford podniósł się na powitanie z jednego ze skórzanych foteli stojących naprzeciwko kamiennego kominka, w którym płonęły prawdziwe kłody drewna. Zapytał, czy Cash woli whiskey, czy brandy. Odparł, że wystarczy kawa. Kolejny robot, mniejszy niż tamten, nalał mu małą filiżankę ze srebrnego czajniczka, a pułkownik tymczasem wypytywał Casha o jego przygody z Alderem Hong-Owenem oraz o domy i pawilony myśliwskie bogaczy, na które napadał w zeszłym roku. Obejrzeni sobie je wszystkie w memoprzestrzeni. Widok był na żywo, poskładany z kamer różnych satelitów obserwacyjnych, po kolei najeżdżał na ruiny budynków, poczerniałe i wypalone wśród gęstych zarośli.

- Po czterech akcjach przestałeś - zauważył pułkownik.

- Bo nie chodziło o to, żeby wszystkie je zniszczyć, ale żeby ludzie się o nich dowiedzieli. Dlatego narobiłem zdjęć i filmów. I chyba zadziało, inaczej by mnie tu nie było, prawda?

- Może się nie spodziewałeś spotkać kogoś takiego, jak ja. Kogoś, kto na pierwszy rzut oka też należy do tego establishmentu.

- W ciągu tego roku przekonałem się, że mamy najróżniejszych przyjaciół, panie pułkowniku.

- A kiedy pan ostatni raz jadł, panie kapitanie?

- Dzisiaj prawie cały dzień jechałem. Ale przed drogą zjadłem porządne śniadanie.

- Będę zaszczycony, jeśli zostaniesz na kolację.

Zjedli w pokoju, który wyglądał, jakby był przeznaczony tylko do tego celu, z długim, dębowym stołem, dębowymi krzesłami z rzeźbionymi oparciami i siedzeniami wyściełanymi popękana czerwoną skórą. Mały robot cały czas kursował na swojej kuli napędowej pomiędzy pokojem a znajdującą się gdzieś w głębi domu kuchnią, serwując zupę cebulową ze świeżym



chlebem, danie z ryżu z kawałkami warzyw i trzema różnymi sosami w srebrnych sosjerkach. Pułkownik pił ciemne jak krew wino; Cash, chcąc zachować jasną głowę, poprzestawał na wodzie.

Jadalnia, podobnie jak hol, była wyłożona ciemną boazerią. Na jednej ze ścian wisiały naturalnej wielkości olejne portrety mężczyzn i kobiet w wojskowych mundurach. Trójka - w przedpotopowych skafandrach próżniowych. Jedna, jak powiedział pułkownik Stamford, była pierwszą kobietą, która postawiła stopę na powierzchni Marsa; gdzieś w domu powinien być przywieziony przez nią kamień.

- Moja rodzina od wieków służy Stanom Zjednoczonym. Po dobnie jak twoja. Te dni dawno przeszły do historii, ale niektóre zwyczaje dalej pielęgnujemy.

Cash wreszcie odważył się zadać pytanie, które dręczyło go od przyjazdu.

- To pan stoi na czele tego ruchu, do którego wstąpiłem?

- Wydaje mi się, że nie da się powiedzieć, żeby ktoś konkretny stał tu na czele czegoś.

- Tak mówią. Tyle że mnie ciężko w to uwierzyć.

- Bo jesteś byłym wojskowym. To rozumiałe. Ale teraz nie jesteśmy w wojsku. Jesteśmy częścią bardzo płaskiej i bardzo rozproszonej organizacji. Musi taka pozostać, to klucz. Po pierwsze, to znaczy, że nie da się jej zniszczyć, ucinając głowę. Po drugie, dzięki temu należy do wszystkich. Ja na przykład mam kontakty z ludźmi, którzy są zainteresowani tym, co robiłeś z towarzyszami przez ostatni rok. Ci ludzie przed Cichą Wojną popierali ruch pokojowy i są zdecydowanie przeciwni wojnie ze Wspólnotą Pacyficzną.

- Pan ma na myśli rodzinę Fontaine'ów. To ich ziemia, prawda? Wiem, że zawsze głosowali przeciwko wydatkom na zbrojenia. Mimo że walczyliśmy dla nich. Ja dla nich walczyłem. Dawno temu. Pod Chicago. A pana co z nimi łączy?

- Przez trzydzieści lat służyłem Wielkiej Brytanii jako żołnierz. Walczyłem z tak zwanymi bandytami i dzikimi osadnikami, żeby umocnić władzę Fontaine'ów na tym terenie. Żeby Rekultywatorzy mogli bezpiecznie wejść i zacząć oczyszczać okolicę Wielkich Jezior. Teraz jestem w stanie spoczynku. To jest mój dom rodzinny. Mój praprapradziadek kupił go w roku 1948. Zachowaliśmy go przez Przewrót, wojnę domową, wejście Wielkiej Brytanii. Podobnie jak twoja rodzina trzymała się Bastrop.

- To nie było żadne „trzymanie się”. Raczej po prostu nikt nie wyjechał.

- Moja rodzina ma tradycje wojskowe - powiedział pułkownik Stamford. - Walczyliśmy na wszystkich wielkich wojnach i większości pomniejszych. Wśród przodków mam dwóch kongresmenów i jednego senatora oraz kobietę, która dowodziła milicją w Indianapolis w czasie Przewrotu. Ale ja jestem ostatni z rodu. Moja żona zmarła rok po tym, jak nasz syn zginął w

strzelaninie w ruinach Detroit. Zaraz potem przeszedłem w stan spoczynku i zainteresowałem się historią. Poświęciłem masę czasu na napisanie historii mojej rodziny, której nikt nigdy nie będzie chciał prze czytać, a potem znajomy mnie poprosił, żebym nawiązał kontakt z Jeźdźcami Wolności, i przyłączyłem się do nich. Zaczęło mi się wydawać, że może jeszcze na coś się przydam. Że może pomogę naprawić zło wyrządzone w imię Gai. Jasne, było też dużo dobra, ale nie dzięki tak zwanym wielkim rodom, przeciwnie: wbrew nim. Zapewne dobrze wiesz, jak wielkie rody dla własnej prywaty zdradziły wielki projekt odnowienia Gai, więc nie będę ci powtarzać tych argumentów. Staraliśmy się przekazać to ludziom. Żeby zrozumieli. Od Zewnętrznych nauczyliśmy się komunitaryzmu i pokojowego oporu, pomogliśmy ludziom głodnym zmian w zawiązaniu demokratycznego ruchu. Sprzymierzyliśmy się z dzikimi osadnikami, którzy mają więcej wspólnego ze zwykłymi ludźmi niż ktokolwiek z wielkich rodów. W skrócie, kapitanie, zasialiśmy ziarno i wkrótce będziemy zbierać plony. Gotów jestem mieć w tym własny skromny udział, mam nadzieję, że ty również.

Cash powiedział pułkownikowi, że przywieziono go tutaj chyba dlatego, że ktoś chce posadzić go za sterami promu kosmicznego, i dodał, że raczej nie będzie w stanie.

- Przez to, co się z tobą stało na Cichej Wojnie?

- Tak jest.

- Byłeś ze mną szczery. To wymaga odwagi. A co do twoich uszkodzeń nerwów obwodowych, może coś się niebawem da na to poradzić.

- Lekarze w wojsku powiedzieli, że to na zawsze, sir.

- To chyba trzeba by się poradzić kogoś innego - stwierdził pułkownik.

Nalał sobie resztę wina do kieliszka, rzucił Cashowi autoironiczne spojrzenie przez stół i dodał: - Za dużo piję. I za dużo gadam. Przypadłość starych ludzi, którym zostało już tylko gadanie. Ale mam nadzieję, że przez parę dni wytrzymasz w moim towarzystwie. Moi koledzy muszą cię sprawdzić. Mimo że długo współpracujesz z naszym wspólnym znajomym, mimo jego zapewnień, muszą mieć pewność, że nie jesteś podwójnym agentem. Ja nie sądzę. Ale ja nie mam nic do stracenia, a oni, jeśli nie mam racji, mogą stracić wszystko. Muszą więc bardzo uważać. Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Mówi pan, że jestem tu więźniem?

- Jesteś moim gościem. Możesz swobodnie poruszać się po domu i posiadłości. Jeśli z niej wyjdiesz, znajdziesz się na terytorium rodu Fontaine'ów. Ich policja zatrzymałaby cię, żeby cię sprawdzić. Ale wtedy ryzykujesz, że zainteresuje się BSS. A oni znikną cię tak dokładnie, że nikt nie będzie pamiętał, że w ogóle się urodziłeś. No więc właśnie. To kompromis. Mam nadzieję, że nie zgnięły.

Cash tkwił w rezydencji przez trzy dni. Deszcz nie ustawał, a ciężkie chmury i półmrok wzmagaly tylko jego paranoję. Bawił się widokiem Ziemi w memoprzestrzeni, powiększał sobie miejsca, które znał i których nie znał, starannie unikając wszystkich, jakie odwiedził w ciągu ostatniego roku. Rozmawiał z pułkownikiem Stamfordem o historii jego rodziny, dowiedział się wiele o historii Stanów Zjednoczonych. Próbował gadać z domowymi robotami, jednak większość nie była za bystra, a dwa czy trzy zdolne do nawiązania rozmowy były dość inteligentne, by się wykręcić. Chodził na długie spacerów w deszczu. W swoim czasie taka posiadłość byłaby dla niego w sam raz celem do podpalenia. Długie trawniki, miękkie od mchu. Magnolie unoszące w deszcz swoje świece. Szpalery rododendronów z pękającymi pączkami, gotowymi rozwinąć się w kwiaty. Drzewa puszczające liście. Posiadłość miała większą powierzchnię niż kwartał ulic w Bastrop, w którym urodził się i wychował - tam mieszkało ponad pięć tysięcy ludzi, tutaj tylko pułkownik i stara kobieta, ogrodniczka. Natknął się na nią drugiego dnia, w odległym zakątku. Stara kobieta, okutana w ciemnozielony płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem i ubłocone nieprzemakalne wodery doglądała dwóch robotów budowlanych usypujących ziemny kopiec nad kamiennym sklepieniem, w kręgu świeżo zasadzonych brzózek. Wyjaśniła, że w tym miejscu pułkownik zostanie pochowany.

- Czyli to wszystko będzie cmentarzem dla jednego kolesia? - powiedział Cash.

- On zostawi swój dom i ogród ludziom z Indianapolis. Dar od przeszłości dla przyszłości. A ja z kolei daruję mu to - odparła ogrodniczka.

Była niska, szeroka w biodrach, lekko przygarbiona. Kaptur mocno ściągnięty wokół śniadej, głęboko pobrużdżonej twarzy, po brzegach wymykało się parę kosmyków wełniastych siwych włosów. Była tak stara, że trudno było określić wiek. Kojarzyła się Cashowi z pewną nauczycielką z dzieciństwa. Spojrzenie spokojne, mądre i cierpliwe. Głos niski i ciemny. Wyjaśniła mu, że kopiec jest wzorowany na starożytnym miejscu pochówku w Anglii, skąd dawno temu przybyła część przodków pułkownika.

- Kiedy skończą, obsadzę go trawą preriową i polnymi kwiatami. Będzie strzępica nadobna, kalistemon, szałwia. Trojęś bulwiasta, rudbekia, astry, i tak dalej, i tak dalej.

- Łubin niebieski też byłby ładny.

- Jesteś chyba z Teksasu, jak się zdaje?

- Tak. Ze wschodniego. Z miasta Bastrop.

- Ciężko tam teraz mają.

- Przydałoby im się pewnie trochę tego deszczu, którzy tak tu leje.

Stali pod drzewem, na mokrej ściółce z zeszlórocznych liści. Deszcz przeciekał przez soczyście zieloną koronę, spadał na trawę i gołe witki

młodych brzózek, tańczył na żółtych skorupach robotów krzątających się w błocie. Woda skapywała Cashowi z ronda kapelusza. Pięści wbił głęboko w kieszenie płaszcza, żeby ukryć drżączkę. Tego ranka była wyjątkowo upoczywa.

Ogrodniczka zapytała go, czy w Bastrop mają ogrody.

- Bogaci mają. Reszta mieszka przeważnie w blokach. Ale mój wujek na przykład hoduje różne rzeczy na dachu. Pomidory, paprykę.

- Rozsądny człowiek.

- Powiedziałbym, że wie, czego chce, a czego nie chce.

- A masz jeszcze jakąś rodzinę w Bastrop? Żonę?

- Kiedyś byłem przez chwilę żonaty, ale się nie przyjęło. I to było kawał drogi od Bastrop. Tam mieszka większość mojej rodziny. Cholera, właściwie to cała, usiedliśmy tam dawno temu i byliśmy zbyt durni albo zbyt uparci, żeby się wynieść. A pani jest stąd?

- Urodziłam się w San Diego.

- Nie wiem, gdzie to jest.

- Na zachodnim wybrzeżu, w części dawniej zwanej Kalifornią. Czy raczej było, bo już go nie ma. Część zabrał podnoszący się ocean, resztę zalało parę trzęsień ziemi.

- Przykro mi.

- Niech ci nie będzie przykro. To stało się na długo przed twoim urodzeniem.

- Ale o Kalifornii słyszałem.

- Teraz to się nazywa Północna Tijuana. W każdym razie ta południowa część, gdzie kiedyś było San Diego. Terytorium rodu Guzmanów. A Teksas to nadal Teksas.

- No, pewnie nie wymyślili żadnej innej nazwy.

Ogrodniczka zaczęła pytać go o Teksas i inne miejsca, przez które przejeżdżał, o jego rolę w Cichej Wojnie. On zrewanżował się pytaniem, jak długo pracuje jako ogrodnik. Zastanowiła się nad tym i odpowiedziała, że wydaje się, że jest ogrodnikiem przez całe życie.

- Musi to pani bardzo lubić.

- Jaki byłby sens robić coś, czego się nie lubi?

- Niektórzy ludzie nie mają wyboru.

- To coś jest z nimi nie tak. Albo ze społeczeństwem, w którym żyją.

- Pewnie trochę i z jednym, i z drugim.

- Moja praca to moje życie. Życie to praca. Założyłam wiele ogrodów w wielu miejscach, ale żadnego nie mogę nazwać domem. Już nie... - Milczała przez krótką chwilę, po czym dokończyła: - Miałam kiedyś córkę. Rozstałyśmy się w trudnych i niebezpiecznych okolicznościach, a potem ona zginęła. Zabili ją.

Cash powiedział, że bardzo mu przykro to słyszeć.

- Byłeś w Siłach Obrony Powietrznej. To na pewno słyszałeś o generale Arvamie Peixoto.

- Tak, proszę pani. Nawet go parę razy spotkałem.

- Schwytał moją córkę. Przesłuchiwał ją. Ona wybiła mu oko i w tym zamieszaniu próbowała uciec. I się... nie udało. Ja długo nic nie wiedziałam. Dopiero kiedy zdegradowali generała Peixoto. Wtedy jego wrogowie wrzucili tę informację do sieci, na oficjalny kanał z wiadomościami. Stamtąd się dowiedziałam, z wiadomości. I wiesz... ja ją taką zrobiłam. Tak jak stworzyłam wiele innych rzeczy. Nienawidziła tego. Mówiła, że zrobiłam z niej potwora. Może to i prawda. Była moją towarzyszką, moją asystentką, ale nigdy naprawdę nie była moją córką, a ja prawdziwą matką. Mimo to, kochałyśmy się, na swój sposób. Możesz mi powiedzieć, jakim człowiekiem był Arvam Peixoto?

- Właściwie to nie wiem. Służyłem pod nim, ale go nie znałem.

- Był dobry? Mądry? Czy taki okrutny i kapryśny, jak twierdzą wrogowie?

- Powiedziałbym, że wiedział swoje. Wiedział, czego chce i jak to osiągnąć. Słyszałem, że miał wybuchowy charakter, ale sam nigdy go nie doświadczyłem.

- A do morderstwa był zdolny?

- Był dobrym oficerem, proszę pani. Jestem przekonany.

- Dobrym oficerem. No tak. W końcu wygrał wojnę.

Ogrodniczka powiedziała to bez goryczy. Po prostu stwierdziła fakt. Stali w milczeniu, a wszędzie poza osłoną drzewa padał deszcz. Roboty pracowały niestrudzenie, jeden kursował tam i z powrotem, przywoząc ziemię i żwir, drugi układał je i ubijał.

Wreszcie ogrodniczka się odezwała:

- Kiedy usłyszałam o śmierci córki, postanowiłam wrócić na Ziemię. I cieszę się, że to zrobiłam. Długi czas zajmowałam się tworzeniem ogródków w butelkach. Hermetycznych, stuprocentowo ograniczonych ekosystemów, które nigdy nie wyrosną po nad to, czym już są. Takie niezmiennie wzory. Owszem, złożone, przynajmniej niektóre. Ale stałe. I zapomniałam, jakie dynamiczne są ogrody na Ziemi. Poddane pogodzie i inwazji ze wszystkich stron. Wszelkim możliwym losowym wpływom. Mogłabym dość dokładnie zgadnąć, jak ten ogród będzie wyglądał za pięć lat, jeśli go tak zostawię. Ale za sto? Może tu być dzika puszcza, wrzosowisko albo bagno.

Cash, czując ulgę, że mówią o czymś innym, powiedział:

- Myślę, że żeby coś takiego się utrzymało, trzeba walczyć z przyrodą.

- To sugeruje, że ogród nie jest częścią przyrody. Ale przecież jest. Tak samo jak my. Ogród to drobna część naturalnego świata, na którą narzuciliśmy własny ideał piękna. A skąd wziął się ten ideał, jak właśnie nie z natury? Całe życie chcemy tylko ulepszać naturę. Na przykład, to drzewo, pod któ-

rym schroniliśmy się przed deszczem. Wiesz, co to takiego?

- Niestety, ja na drzewach i innych takich za bardzo się nie znam. Przez ostatnie sześć miesięcy zobaczyłem masę przyrody i wiele rzeczy mi się podobało. Ale wiedzy jeszcze od tego nie nabrałem.

- To jest smokrzyn łojodajny, jest z Chin. Sprowadził go do tego kraju, który się kiedyś nazywał Stanami Zjednoczonymi - a według pułkownika dalej się tak nazywa - Benjamin Franklin. Jeden z naszych pierwszych uczonych. Sprowadził tu smokrzyn pod koniec osiemnastego wieku, by dawał tłuszcz na świece i do lamp. Ogrodnicy sadzili go, bo na jesień pięknie mu się barwią liście. Ale choć jest pożyteczny i ładny, jest także inwazyjny. Rośnie szybko, a kiedy gubi liście, wydzielają substancje, które modyfikują glebę, tak żeby nie odpowiadała innym roślinom. Dlatego nic pod nim nie rośnie. I co, powinniśmy go za to tępić? Czy może go poprawić, żeby był trochę mniej inwazyjny, a za to piękniejszy? Niektórzy mówią, że my jesteśmy jak ten smokrzyn. Że kiedy wyszliśmy z Afryki, staliśmy się najbardziej agresywni i niszczyielscy ze wszystkich ziemskich gatunków. Że zmieniliśmy ten świat równie nieodwołalnie, jak uderzenie Chicxuiuba albo Trapy Dekanu. I ja kiedyś tak myślałam. Teraz sądzę, że jesteśmy czymś o wiele większym niż tylko siewcami zniszczenia. Że jest w nas o wiele więcej dobra niż zła. Nie jesteśmy wrogami natury ani nie oddziaililiśmy się od niej. Jeśli się postaramy, jesteśmy czynnikiem, który popycha ewolucję w kierunku przydatności i piękna. Ogrodnikami mogącymi uczynić ogród z Ziemi i z wielu innych światów - powiedziała starsza kobieta, po czym przeprosiła Casha i poszła nakrzyczeć na jednego z robotów, któremu udało się ugrzęznąć w ziemi po drugiej stronie pryzmy.

Trzeciego dnia wieczorem, kiedy Cash był w gabinecie i bawił się memo-przestrzenią, usłyszał jakiś harmider na zewnątrz. Podjeżdżające auta, głosy mężczyzn i kobiet. Przekradł się do bawialni od frontu, zastawionej przestarzałym sprzętem elektronicznym, z meblami ponakrywanymi białymi pokrowcami. Rozsunął zakurzone zasłony. Zobaczył policjantów w płaszczach przeciwdeszczowych, z foliowymi workami na czapkach z daszkiem, uwijających się wokół radiowozów i limuzyny, wszystko ostro oświetlone reflektorami, które zapaliły się pod okapami domu. Deszcz siąpił przez snopy białego światła i spadał na gliniarzy i ich auta.

Spanikował i ruszył do kuchni, chcąc wymknąć się przez tylne drzwi. Przechwycił go jednak jeden z robotów i powiedział, że pułkownik chce go widzieć w holu.

- Ale o co chodzi? Skąd tyle policji?

- Mnie nikt nic nie mówi, proszę pana - odpowiedział robot i poprowadził go do wielkiego holu wejściowego, gdzie pułkownik Stamford rozmawiał z krępyim człowiekiem w czarnym garniturze, podczas gdy kilka innych osób, mężczyzn i kobiet, trzymało się z tyłu.

Ogrodniczka też tam była, z jej zielonego płaszcza przeciwdeszczowego kapłała woda. Człowiek odwrócił się, gdy Cash podchodził, i uśmiechnął się, ukazując białe zęby pośród wypielęgnowanej czarnej brody. Wyciągnął dłoń i powiedział:

- Jestem Louis Fontaine. Miło mi pana poznać, panie kapitanie. Wiele dobrych rzeczy o panu słyszałem.

Cash podał mu rękę i powiedział, że ma nadzieję, że niektóre z tych rzeczy są prawdą. Zerknął przy tym na ogrodniczkę. Pułkownik Stamford dodał:

- Zdaje się, że Avernus już poznałeś.

Ogrodniczka też podała mu dłoń i przedłużyła uścisk, patrząc mu w twarz i mówiąc:

- Chyba pora, żebyśmy porozmawiali o tym, jak mogę ci pomóc.

## ROZDZIAŁ 6

Sześć dni po śmierci Goethera Lyle'a Felice'a zerwał z łóżka oddział strażników więziennych. Wydarzyło się kolejne zabójstwo, ofiarą był jeden z jego podopiecznych, Jael Li Lee, dawny przywódca senatu Aten na Tetydzie, aresztowany przez brazylijskich okupantów za sfabrykowane zarzuty i zastąpiony kimś bardziej plastycznym. Jego ciało znaleziono w łazience baraku jakiś czas po zarządzeniu ciszy nocnej. Został uduszony, a na ścianie jego krwią wypisano nazwisko Edza Jealotta. Przesłuchano wszystkich więźniów z baraku oraz Edza Jealotta i Felice'a Gottschalka. Wstrzyknęli mu końską dawkę środka hipnotycznego, założyli czepek do rezonansu i przesłuchiwali przez dwie godziny. Powiedział im zgodnie z prawdą, że nie ma pojęcia o tym zabójstwie, i w końcu odstawili go do Miasteczka Nadzorców.

Przed główną służą czekało paru członków bandy Edza Jealotta. Gdy ich mijał, pytali, kogo następnego zabije.

Poszedł prosto do przychodni. Amy i Bel Glise czekały na niego.

- Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy - powiedział do Amy. - W jakimś miejscu, w którym nikt nas nie usłyszy.

- Bel i ja również musimy z tobą porozmawiać - odparła Amy. - Tu jest bezpiecznie jak mało gdzie. Bel rozprawiła się z softem szpiegowskim.

- Chcemy, żebyś nam pomógł znaleźć osobę, która zabiła naszych przyjaciół - powiedziała Bel Glise.

- Sama mówiłaś, że Lyle się zabił - zdziwił się Felice.

- Wszyscy jesteśmy pod straszną presją, a Goether czuł ją bardziej niż inni. Był przekonany, że władze więzienia wiedzą, co knuje. Więc kiedy znaleźli na polu jego trupa, pomyślałam - nie, miałam nadzieję - że to samobójstwo. Ale po śmierci Jaela już nie mogłam tak myśleć.

Wytłumaczyły mu, że przed wojną Goether Lyle prowadził dogłębne badania nad tak zwanym libertariańskim softem, używanym przez dysydentów do walki z systemami monitoringu niegdysiejszych późnokapitalistycznych reżimów. Razem z paroma kolegami, z uwagi na te badania, mieli dostęp do memoprzestrzeni i z pomocą wskazówek dawno nieżyjących działaczy skonstruowali prostą AI, która spenetrowała więzienną sieć. Mogła dowolnie włączać i wyłączać wszczepki więźniów, tworzyć ślepe punkty w monitoringu, umiała też wejść od tyłu do systemu



zaopatrzenia, który pozwalał więźniom zamieniać zebrane z pól organizmów próżniowych substancje biochemiczne i tworzywa sztuczne na inne dobra. Dzięki temu Goether Lyle i jego koledzy mogli zamówić sobie skafandry i inne rzeczy, fałszując listy przewozowe i specyfikacje, żeby ukryć prawdziwą naturę przemytu.

- W skrócie - powiedziała Amy - to planowaliśmy uciec.
- Na Ziemię - dodała Bel Glise.
- Do Wielkiej Brazylii. Potrzebują nas tam.
- Agitatorzy?
- Jeźdźcy Wolności - wyjaśniła Amy. - Od paru tygodni jesteśmy z nimi w kontakcie. Potrzebują naszej pomocy. Znają demokrację z teorii, ale praktycznie... Doradzamy im jak możemy, jednak przepustowość transmisji mamy bardzo kiepską i nie możemy tego robić za często, żeby nas nie wykryto.

- Chcecie się stąd wydostać - stwierdził Felice. - A potem co? Ukradniecie statek?

- Chcemy przejąć kontrolę nad namiotem i czekać, aż przyleci po nas statek - powiedziała Amy.

- Ale wtedy władze odetną od namiotu prąd. I wodę i powietrze.

- O to już się zatroszczyliśmy - powiedziała Bel Glise.

- To nie jest tylko wasza czwórka, co? Wy dwie, Goether Lyle i Jael Li Lee. Czwórka Ateńczyków. To coś większego, prawda?

- Chyba zrozumiesz, jeśli ci nie powiemy?

- Po śmierci Goethera Jael sprawdził jego konto - powiedziała Bel Glise. - Na wszelki wypadek. Trochę to potrwało, ale w końcu odkrył pewną niespójność w konfiguracji. Wygląda na to, że do systemu monitoringu włamywał się ktoś jeszcze.

- Ktokolwiek to był, wysłedził Jaela i go zabił. Tak samo jak Goethera.

- Ktoś z więzienia - oznajmił Felice. - Ktoś z nas.

- Tak się nam wydaje - dodała Amy.

- Edz Jealott jest za mało bystry, żeby coś takiego zaplanować. Ale mógł kogoś do tego zmusić.

- To może być ktokolwiek. Nawet ktoś z tych nowych więźniów.

- A skąd wiecie, że to nie ja? - zapytał Felice.

Amy wzięła pytanie poważnie.

- Gdybyś to był ty i wiedział o nas, to mnie zabiłbyś pierwszą.

- Amy mówi, że masz pewne umiejętności, które mogą się nam przydać. Miałam chyba okazję widzieć, wtedy, jak mnie ratowałeś.

- Za dobrze to nie wyszło, co?

- Mieli przewagę - odparła Bel Glise. - Tym razem będziesz mieć do czynienia tylko z jedną osobą.

Dwie niedopasowane kobiety - Amy drobna i wściekle energiczna, Bel

Glise błada i eteryczna, były nerwowe, ale zdeterminowane. Jednoczył je wspólny cel. Felice'a ciekawiło, jak głęboko sięga ten spiszek. Na moment przyszło mu też do głowy, że Amy pielęgnowała ich przyjaźń, bo myślała, że może się któregoś dnia przydać - i stwierdził, że ma to gdzieś. Jest teraz wśród wtajemniczonych. Pali się, żeby zrobić co w jego mocy. Ma misję.

- Chcecie, żebym był przynętą - powiedział. - Zajrzę na konto Goethera Lyle'a, pójdę śladem, który odkrył Jael. A potem mam czekać, aż ten, który obserwuje, przyjdzie mnie zabić. Gość, który już zabił dwóch ludzi.

Kobiety spojrzały po sobie. Amy powiedziała:

- Jak nie chcesz, to oczywiście nie musisz.
- Oczywiście, że chcę. Do takich rzeczy mnie stworzyli.

\*\*\*

Felice wiedział, że Amy Ma Coulibaly i Bel Glise chciały, żeby im pomógł, ze względu na to, jaki był, a nie kim był. Wiedział, że go wykorzystują, ale po sześciu latach złożonych z niczym nieróżniących się od siebie dni, pozbawionych planów, wreszcie miał jakiś cel. Zrobiliby to, nawet gdyby Amy nie zaproponowała, że zabierze go potem na Ziemię, żeby spróbować znaleźć lek na jego chorobę.

Bel Glise przerobiła ambulatoryjny analizator krwi, tak że można było przez jego łącze - służące normalnie do wgrywania danych diagnostycznych bezpośrednio do kartotek więźniów - dostać się do konta Goethera Lyle'a. Felice przepracował całą noc, odtwarzając prostego demona i dostosowując go do wirtualnego środowiska więziennej sieci. Po czym, z poczuciem, że robi krok naprzód w przepaść, zalogował się na konto Goethera Lyle'a i jakiś czas kartkował zapisane na nim dokumenty. Notatniki wypełnione sążnistymi zapiskami o jakiejś metatopologii, zapisem związłym i enigmatycznym jak egipskie hieroglify. Parę niedużych, prostych rzeczywistości wirtualnych, modelujących rozmaite n-wymiarowe światy. Długie seanse pytań i odpowiedzi z brazylijskimi matematykami. Wstępna wersja prezentacji na konferencję. Tylne wejście do systemu monitoringu kryło się gdzieś wśród tych gratów, ale Felice'owi nawet nie chciało się go szukać. Wgrał swojego demona, prostego, głupiego, bardzo niezawodnego strażnika, który ma po prostu wyświetlić pytanie każdemu, kto zaloguje się na Lyle'a albo sprawdzi dziennik użytkowników i zacznie śledzić historię. Potem odłączył się i przespał ostatnie dwie godziny nocy. Namalował sobie na czole cel. Teraz zostało tylko czekać.

Następnego dnia, w stołówce, do jego stołu podszedł Edz Jealott ze swoją świtą. Usiadł i spojrzął im w oczy. Ani drgnął, kiedy jeden z fagasów pochylił się, dwoma palcami zgarnął mu z talerza grudę owsianki, włożył palce do ust i siorbnął hałaśliwie.

Edz Jealott, pocierając dłonią wijące się na nagiej klatce ogniste smoki, uśmiechnął się do Felice'a. Paznokcie miał gładko oszlifowane i pomalowane czymś połyskliwe perłowym.

- Pogadaliśmy sobie trochę ze strażnikami o śmierci Jaela - powiedział.

- Ale jednak cię puścili?

- Wiedzieli, że nie miałem z nim nic wspólnego, bo wczorajszą noc spędziłem z tą zabaweczką - odparł Edz Jealott, obejmując ciasno smukłą młodą kobietę. Pocałował ją powoli i zmysłowo, przesunął dłońmi po jej ciele, a reszta świty śmiała się i klaskała. Po czym odepchnął ją od siebie i dodał z uśmiechem: - Strażnicy mnie poprosili, żebym im pomógł znaleźć mordercę. Dlatego cię śledzimy, umarlaku. Pomyślałem, że przyzwicie byłoby, żebyś o tym wiedział.

- Gdybym to ja był mordercą, już byś nie żył - odparł Felice, wstał i wyszedł, słysząc za plecami śmiechy i wyzwiska.

Wyprowadził swój oddział na pola. Pracowali bez zapału, przerzucając się najświeższymi plotkami z Wielkiej Brazylii. Jeden z nich, Rothco Yang, powiedział Felice'owi:

- Nie bój się, przyjacielu. Jak to wszystko zamkną, wystawię ci dobre referencje.

Rothco Yang uważał, że wojna domowa w Wielkiej Brazylii jest nie tylko nieunikniona, ale i niedługo doprowadzi do ich uwolnienia. Inni z oddziału nie byli tego tak pewni. Cicha Wojna i jej następstwa jasno pokazały, że Brazylijczycy są zdolni do wszystkiego, wątpliwe było też, czy ich europejscy sojusznicy wpłyną choćby trochę łagodząco. I tak dalej, i tak dalej, dyskusja bez końca krążyła w kółko, aż skończyła się zmiana i Felice odprowadził oddział do baraku.

Poszedł prosto do pokoju i sprawdził demona stróżującego. Nic. Wieczorem Edz Jealott siedział za stołem przy samym wejściu do stołówki, otoczony świtą. Wszyscy oprócz samego Edza gapili się na przechodzącego Felice'a.

- Morderca! - zawył niby-falsetem wysoki, młody chłopak.

Inny ułożył palce w pistolet i wycelował w niego. Trzeci dodał, że mają go na oku.

- Gdziekolwiek pójdziesz, my tam będziemy.

Felice rozmyślał o tym, jedząc posiłek. Potem poszedł do Amy, powiedział jej, że Edz chce go zrobić w zabójstwo Jaela Li Lee, i wyjaśnił, czego od niej chce.

- Jeden z jego fagasów śledził mnie aż do tego miejsca. Wygląda na to, że gdziekolwiek się ruszę, zawsze któryś za mną polezie. Będzie mi bardzo trudno zadziałać, jak przyjdzie pora.

- A możesz ich jakoś zgubić?

- Może nie, może tak. Chcesz zaryzykować?

- Nie chcę ryzykować i pokazywać, jakie mamy możliwości, zanim przyjdzie pora.

- To ryzyko już podjęłaś, kiedy wystawiłaś mnie zabójcy.

Felice patrzył, jak starsza pani się zastanawia. Twarz beznamiętna, pozbawiona wyrazu, oczy skupione na czymś daleko za nim. Siedzieli na pękatych poduchach w małym pokoiku, między nimi na tablicie świeciła się szachownica.

W końcu powiedziała:

- Nie mogę ci pozwolić przejąć sterowania.

- Nie ma sprawy, niech tylko ktoś to włączy, jak będę potrzebować.

- Zobaczą, co się da zrobić. A na razie to chyba powinniśmy rozegrać co najmniej jedną grę, na użytek twojego przyjaciela na zewnątrz - odparła i dotknęła tabletu palcem wskazującym, przesuając pionek gońca hetmańskiego o dwa pola, w pierwszym ruchu partii angielskiej.

Felice udał, że nie zwraca uwagi na faceta, który poszedł za nim do bloku mieszkalnego. Wróciwszy do pokoju, skorzystał z analizatora krwi, by wejść na konto Goethera Lyle'a, i tylko trochę się zdziwił, że do jego prostego strażnika coś zostało podpięte. Prosty program komunikacyjny. Sprawdził go, wyciął parę linii kodu, które zdradziłyby jego lokalizację, odpalił. Natychmiast wyświetliła się dwuwymiarowa płaszczyzna, w której pojawiły się słowa. Ukazywały się litera po literze, przejeżdżały z prawa na lewo i znikły.

>> czemu pytasz czy pochodzę ze zbiornika na księżycu?

>> bo myślałem że znalazłem któregoś z moich braci - napisał Felice, mozolnie, literka po literce, na klawiaturze analizatora.

>> nie ty mnie znalazłeś ale ja ciebie, i nie jestem niczym bratem, jak chcesz wiedzieć kim jestem to się spotkajmy i się dowiesz.

Ktokolwiek to był, od razu przechodził do konkretów. Pojawił się ciąg liter i cyfr. Współrzędne jakiegoś punktu.

>> wiesz gdzie to jest?

>> znajdę.

>> przyjdź sam.

> oczywiście.

>> albo znajdę cię później i zobaczysz.

> rozumiem.

>> za dwie godziny, mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

>> nic nie rób póki nie pogadamy.

Jego odpowiedź zbladła z lewa na prawo, jak fala wpływająca na piasek. Nie było odpowiedzi.

Trochę po północy kopuła Miasteczka Nadzorców była spolaryzowana na ciemno; światła uliczne przyciemnione do minimalnej mocy, tak że było widać tylko kontury przedmiotów. Całość wydawała się uspiona, cicha i nieruchoma, nie licząc bzyczenia drona wysoko w ciemnościach i szurania kłapek idącego przez wielki plac Felice'a Gottschalka. Zatrzymał się, gdy po obu stronach tunelu prowadzącego do głównej śluzy z cieni wyszło kilka osób.

Miękkie kłaśnięcie uderzającej w dłoń pałki.

Trzask rozbłyskującego nagłą gwiazdą paralizatora.

Nerwowy kobiecy chichot.

Drwiący falsecik:

- Mor-der-ca, mor-der-ca...

Za plecami też miał ludzi, udał jednak, że nie zwraca na nich uwagi, stojąc z jedną ręką w kieszeni bluzy, gdy światło nad wejściem tunelu rozjaśniało się, a Edz Jealott robił krok ku niemu, bosy, z gołym torsem, w workowatych białych spodniach. Uśmiechnął się do Felice'a i powiedział:

- Wiemy, dokąd idziesz. Do baraków, co? Wiemy, co kombinujesz.

- Mor-der-ca, mor-der-ca. - Falset dobiegł z cienia po lewej stronie.

Pomruk zgody wokoło. Edz Jealott pstryknął palcami. Zhang Hilton podszedł do niego, wręczył mu dwie pary czerwonych roboczych rękawic i cofnął się z powrotem w cień.

- Moglibyśmy cię zabić na miejscu - powiedział Edz Jealott. - Ale to żadna frajda. Nasza sprawiedliwość to nie proste załatwianie złych. Liczy się styl. Proszę. Załóż je. Mały sparring, tylko ja i ty.

Felice był całkowicie spokojny. Żył chwilą.

- Naprawdę myślisz, że strażnicy ci na to pozwolą?

- Przecież nie chcę cię zabić. Chcę cię pokonać w sprawiedliwej walce.

A potem oddam cię w ręce strażników. I wtedy - dodał - zdecydowanie pożałujesz, że nie zabiłem cię honorowo. Jak mężczyznę.

- On na to nie zasługuje - burknął Zhang.

- Mój przyjaciel jest zły, bo ostatnio parę razy mu się od ciebie obe-rwało - wyjaśnił Edz. - Ale nie ma się czym przejmować. Ja cię pokonam, ale obiecuję, że zrobię to bardzo naukowo.

Felice zapytał:

- Ktoś wam powiedział, że tu idę? Anonimowo, czy co?

Zastanawiał się, czy to morderca podłożył mu świnię.

Edz parsknął śmiechem, spojrzął na swoją świtę.

- Obserwowaliśmy cię przecież. Powiedzieliśmy ci to, co, nie uważa-łeś? Zresztą, oczywiście, dokąd idziesz i po co.

- Czyli to wszystko twój pomysł.

- A co powiedziałem? - Edz rzucił Felice'owi pod nogi parę rękawic.

Gdy ten ich nie podniósł, wielki basior pokręcił głową i powiedział z

uśmiechem (same zęby i napięte mięśnie, całkowity brak emocji w uśmiechu i w martwym spojrzeniu): - Nie ma sprawy, jak chcesz, morderco, to możemy na gołe pięści. Ale walka musi być.

- Wcale nie musi.

Przez cały czas trzymał lewą rękę w kieszeni bluzy, ściskając klawiaturkę i moduł łączności wymontowany z analizatora krwi. Prymitywny telefon, mający wysłać sygnał po wciśnięciu dowolnego klawisza. Teraz go wcisnął, kciukiem.

Przez chwilę nic się nie działo. Zaraz jednak wszyscy wokół padli w nagłym skurczu mięśni, dygocąc i podrygując, jak rozdzielona pałka ryba. Telefon zawiadomił Bel Glise, która skorzystała z furtki w systemie monitoringu i wysłała sygnały do wszczępek Edza i jego świty, informujące je, że wyszli poza teren namiotu.

Felice wszedł pomiędzy powalonych ludzi, podniósł pałkę i parę paralizatorów, odczekał, aż wszczępki dokończą trzydziestosekundowy cykl i wszyscy wokół się rozluźnią. Zaczęli jęczeć, ze szlochaniem nabierać powietrza i kłać. Jakby spadli z wielkiej wysokości i ocknęli się oszołomieni, mocno poobijani, ale jednak żywi.

Edz Jealott próbował się pozbierać. Felice zamachnął się pałką, kreśląc krótki, szybki łuk kończący się na skroni olbrzyma. Edz padł na twarz. Felice postawił stopę pomiędzy jego łopatkami i chwycił jedną ręką za szczękę, drugą wetknął pod ucho. Szarpnął do góry i w bok, skręcając mu kark.

Wiedział, że Amy pomyśli, że zabił go z zemsty. Tak naprawdę jednak zrobił to dla niej. Pomógł jej zrealizować marzenie o zabezpieczeniu więzienia, dopóki nie przybędą rewolucjoniści i wszystkich nie uwolnią.

Zhang Hilton i paru innych zdołali się jednak podnieść. Zhang wypluł z ust krew, otarł usta trzęsącą się dłonią i powiedział Felice'owi, że już jest trupem.

- Ja jestem duchem - odparł Felice.

Odwrócił się do niego plecami i odszedł tunelem. Dziesięć minut później był na zewnątrz, jechał trójkołowcem po serpentynie prowadzącej do pól organizmów próżniowych.

\*\*\*

Punkt o podanych współrzędnych znajdował się pośrodku małego, zerodowanego krateru pod samym brzegiem namiotu, cztery kilometry na południe od Miasteczka Nadzorców. Jadąc obwodową drogą, poczuł głupią pewność siebie, głowę wypełnił mu intensywny pomruk zadowolenia. Przez chwilę, krótką chwilę będzie wolny. Poza siecią. Bel Glise tłumaczyła mu, że to trochę jak ślepowidzenie. Drony i kamery go widzą, ale śledzące AI nie

rejestrują obecności, a demon maskuje go na wszystkich obrazach, więc strażnicy go także nie zauważają.

To oczywiście długo nie potrwa. Strażnicy już na pewno odkryli, że ich systemy są zhakowane i mimo zapewnień Bel Glise mogli w każdej chwili zainstalować jakieś obejście. Albo wysłać do namiotu uzbrojone oddziały, na poszukiwanie nadzorcy, który zabił człowieka, wszedł do służby i na oko zniknął. Nawet jeśli go nie znajdą, do Miasteczka Nadzorców nie ma już powrotu - chyba że po to, by oddać się w ręce władz. Jediną nadzieją było przetrwanie na farmach. Jako duch. Niewidzialny. Co noc zakradać się do baraków po jedzenie, wodę i pełne butle z powietrzem; przez resztę czasu ukrywać się między urwiskami i osuwiskami pod zboczem krateru i liczyć, że rewolucja dotrze tu szybko. Słaba to jednak była nadzieja i nieprzekonująca wizja.

A na razie dobrze się czuł, po prostu działając, robiąc to, do czego go szkolono. Jeśli morderca nie oszukał go co do godziny spotkania, będzie mieć masę czasu na zapoznanie się z terenem i przygotowanie.

Według zegara było około pierwszej w nocy, lecz Słońce stało już nad zachodnim horyzontem, rozświetlając mglisto i złoto rozległe połacie brązowych, czarnych i ciemnofioletowych pól ciągnących się pod namiotem. Droga biegła przez płaski teren zasypany scementowanym przez próżnię szarobrazowym pyłem, podziurawionym wszędzie kraterami, wielkości od główki szpilki do talerza i pokrytym skamieniałym materiałem wyrzuconym, z krawędziami zerodowanymi na gładko przez eony ostrzału mikrometeorytami. Po lewej stronie miał gołą krawędź krateru, z ostrymi stożkami i zaokrąglonymi wzgórzami osuwisk u nasady; po prawej opadający w dół, nierówny teren, sięgający aż do krawędzi jednego z wielkich pól organizmów próżniowych.

Był niecały kilometr od umówionego miejsca. Droga opadała stromo, spotykając się z przerwą wyciętą w zwale osuniętego materiału skalnego. Nagle kątem oka dostrzegł nieznaczny ruch. Zanim zdążył zareagować, strzałka paralizatora trafiła w trójkołowiec i zrobiła zwarcie w silniku. Sekundę później spadła na niego siatka, ściskając mu tułów muskularnymi pasmami mioelektrycznego plastiku oraz przyciskając ręce do boków. Nie był w stanie choćby wypiąć się z uprząży bezpieczeństwa. Mógł tylko siedzieć i patrzeć, jak postać w czarnym skafandrze i czarnej masce więziennego strażnika - strażniczki, szczupłej jak Zewnętrzna, ale mającej tylko metr siedemdziesiąt wzrostu - schodzi ze stromej krawędzi w trzech wielkich skokach, a dwoma kolejnymi dociera do niego.

Wyrwała mu paralizator, pałkę i moduł łączności z klawiaturą, potem walnęła pięścią w przycisk zwalniający jego uprząż, wywlokła go z niskiego siedzenia i pociągnęła w bok od drogi.

Padł na plecy koło trójkołowca, parkującego w cieniu wielkiego jak dom

bloku skalnego. Usłyszał z tyłu gwałtowne syczenie - wypuściła mu większą ilość powietrza.

Potem się cofnęła, mierząc do niego elektromagnetycznym pistoletem i zapytała:

- Jesteś sam?
- Oczywiście.
- Nie licz na pomoc. Jesteśmy w martwej strefie. Nikt nas nie widzi.

Kim jesteś?

Głos strażniczki był stłumiony przez maskę i małą gęstość atmosfery, Felice słyszał jednak ten rytmiczny zaśpiew, trochę rozbawienie, a trochę entuzjazm. Była podekscytowana. Nakręcona. Gotowa, żeby zabijać. I przekonana, że stuprocentowo panuje nad sytuacją, co oznaczało, że może czegoś nie dopilnować - a to dawało mu szansę.

- Urodziłem się tutaj, na Księżycu - powiedział Felice. - Zamiast imienia miałem numer. Tu mnie wyszkolili i przerzucili do Paryża na Dione, jeszcze przed Cichą Wojną. Potem zdezerterowałem i zabiłem kogoś w Xambie na Rei. Własnego brata. Zabiłem go, bo mnie znalazł i chciał mnie zabrać z powrotem. Europejczycy aresztowali mnie i wsadzili do więzienia. Potem przewieźli tutaj, jako nadzorcę, żebym pilnował więźniów politycznych. A czemu ci to mówię? Bo myślę, że jesteś bardzo do mnie podobna. Bo nie chcę, żebyś popełniła takie błędy, jak ja.

- Jesteś z tych Peixotowych stworów z butelki. Szpiegów skrojonych na podobieństwo Zewnętrznych.

- Tak.

- Żyłeś między nimi tyle lat, ale tęsknisz za swoimi. Myślisz, że jestem do ciebie podobna. Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić.

- Wiedziałaś, co znaczy moja wiadomość.

- Nie tylko Peixotowie wpadli na pomysł produkowania szpiegów. Jesteś już stary i zużyty. A ja jestem najnowszym modelem, jestem silniejsza i szybsza niż ty i twoi bracia.

- Czyli pracujesz dla innej rodziny.

- Przecież powiedziałam, nie? Ale nie myśl, że powiem coś jeszcze. Co cię tak śmieszy?

- Bo myślałem dotąd, że rewolucja nie ma szans, ale się myliłem. Ma, bo wielkie rody nie grają razem. Bo kłócą się o łupy z wojny, zamiast robić to co trzeba dla kraju. Przysłali cię, żebyś zabiła kluczowych pracowników czy żebyś ich porwała?

Strażniczka wpatrywała się w niego przez okrągłe soczewki maski. Ciemnopiwnie oczy, spojrzenie bezlitosne i nieustraszone. Felice opuścił wzrok, jakby uznawał jej dominację.

- To o coś jeszcze zapytam. Co ci przyjdzie z lojalności wobec ludzi, dla których jesteś jednorazówką? Masz przed sobą wiele lat życia, a



nieposłuszeństwo nie jest tak trudne, jak ci się wydaje. Już i tak się nim wykazałaś, bo skontaktowałaś się ze mną. Wystarczy jeszcze jeden krok. Pozwól mi sobie pomóc. Jeśli będziemy współpracować, przetrwamy. Znajdziemy sposób na ucieczkę.

- Ty naprawdę myślisz, że mnie przekonasz?

- Mówię ci tylko, co możesz zrobić, jeśli zechcesz. Długo mieszkałem wśród zwykłych ludzi, może nie poznałem ich tak dobrze, jak powinienem, ale jedno wiem: oni się bardzo nas boją. Nie dlatego, że jesteśmy inni, ale dlatego, że jesteśmy pod pewnymi względami bardzo podobni, i są to cechy, do których bardzo nie chcieliby się przyznawać. Ciemna strona ich charakteru. Przeżyłem tak długo tylko dzięki temu, że bardzo dobrze ukrywałem, kim jestem. Jeśli mi pozwolisz, nauczę cię tego.

- Dla mnie to żadne życie - powiedziała strażniczka. - A poza tym mam zadanie do wykonania. Co mi o czymś przypomniało.

Długim skokiem w bok wróciła do trójkątowca i wyciągnęła coś ze schowka za siedzeniem. Przedmiot wielkości piłki do koszykówki. Rzuciła go w stronę szpiega.

Odbił się parę razy od zapyłonej ziemi. Zobaczył co to takiego i zerwał się na równe nogi, szarpiąc się z więzącą rękę siatką, krzycząc z przerażenia i rozpacz. Była to odcięta głowa Amy Ma Coulibaly.

- Ciało zostało w przychodni - dodała. - I wypisany na ścianie krwią śmieszny tekst.

- Nie musiałaś jej zabijać. Ja już wiem, do czego jesteś zdolna.

- O nie, nie wiesz. I nie pożyjesz tak długo, żeby się dowiedzieć.

Felice miał trudności ze sprawnym myśleniem. Zalewały go wzburzone fale prymitywnych emocji. Nienawiść, smutek, żal i złość. Wpatrywał się w strażniczkę, zapominając, że powinien udawać, że się jej boi, z całej siły tłumiąc odruch, by po prostu się na nią rzucić i zakończyć wszystko na miejscu. Ale jednocześnie jakaś chłodna część jaźni, nieskazona żadnymi emocjami, ostatni fragment jego dawnego ja, przyglądała się uważnie podłozu i ścianom po obu stronach, dokonując pewnej kluczowej triangulacji. Powiedział najspokojniej, jak umiał:

- Misja nieudana.

- Z mojego punktu widzenia nie. - Strażniczka pokręciła głową.

- Zawiodłaś, kiedy zabiłaś moją przyjaciółkę. Nie zrobiłaś tego dlatego, że to było konieczne dla powodzenia zadania. Nie. Zabiłaś ją, żeby mi udowodnić, że jesteś lepsza. Żeby mi pokazać, że jej przed tobą nie obronię.

- No i nie obroniłeś.

Zalała go potworna, największa w życiu fala ślepej furii. Jakby narodził się na nowo. Puls zadudnił w czaszce jak bęben. Cały spociał się od wysiłku, żeby pozostać w bezruchu.

- Nie musiałaś zabijać Amy, nie musiałaś zabijać Lyle'a ani Jaela. Ani

Jael, ani Lyle nie wiedzieli kim jesteś. Zresztą, nawet gdyby to odkryli, nie byłiby w stanie powiedzieć o tym władzom. Zrobiłaś błąd, mordując Goet-hera, i pogorszyłaś wszystko mordując Jaela. To doprowadziło mnie prosto do ciebie, a więźniów przekonało, że czas się uwolnić.

- Bzdura.

- Wiem, że wiesz, że moja wszczepka nie działa, inaczej spróbowałabyś użyć tego przeciwko mnie. Jeśli sprawdzisz, zobaczysz, że tak samo są wyłączone wszystkie inne wszczepki.

Strażniczka nie odpowiedziała, Felice zauważył jednak delikatną zmianę w nachyleniu głowy. Wiedział, że zagląda do systemu monitoringu. Była sprytna i szybka, zajmie jej to tylko parę sekund, ale to wystarczy.

Rzucił się w bok, jednocześnie zwierając nadprzewodzącą pętlę, którą wydłubał z baterii jednej z elektrycznych pałek i przykleił do wnętrza rękawicy. Zamierzał użyć jej przeciwko strażniczce, teraz jednak, z ostrym wstrząsem, od którego zdrętwiała mu cała skóra, wykorzystał ją do przepalenia mioelektrycznego plastiku krępującego mu ręce. Otrząsnął się z siatki i znów odbił od ziemi, jednym skokiem konika polnego wskakując na szczyt krawędzi. I już pędził po zboczu ku wydymającej się ścianie urwiska, ku wąskiemu kominowi pomiędzy dwiema fałdami szarej skały.

Był w połowie drogi, gdy pocisk trafił go w lewą nogę. Przekoziółkował po zapyłonym gruncie. Spróbował wstać, miał jednak złamaną kość udową. Padł z powrotem. To uratowało mu życie - druga kula świsnęła koło głowy i syknęła odłamkami skalnymi. Jak okaleczona małpa popełził, odpychając się rękoma i zdrową nogą, pod osłonę skalnego komina i zaczął się wspinać.

Komin wchodził pod ostrym kątem w skalne fałdy. Gdy strażniczka dotarła do podstawy i zaczęła strzelać, była w stanie trafić tylko w skalną przewieszkę pod nim. Syknęło odłamkami. Mimo złamanej nogi szybko się od niej oddalił. Komin skończył się po kilkuset metrach. Wypelzł na wąską półkę i padł bez sił.

Nad nim skała łagodnie wznosiła się ku krawędzi namiotu i potężnemu fundamentowi jednego z wielkich dźwigarów podpierających jego powłokę. Dźwigar piął się w niebo gigantyczną parabolą, po obu stronach odchodziły od niego wielkie szyby, płonące złotym blaskiem Słońca, górujące nad nagim, krostowatym stokiem, pozbawionym jakichkolwiek widocznych kryjówek.

Lewą nogę miał śliską od krwi, opuchniętą i poczerniałą wokół wybitego w udzie przez kulę krwawego krateru. Odciał ból i podniósł się trochę, podpierając się knykциями dłoni i prawą stopą - lewą miał przekrzywioną tak, że leżała płasko na ziemi - tak, właśnie jak kaleka małpa, kiwając się na boki, czekając cierpliwie i nieruchomo, jak się nauczył dawno temu, pod dyktando elektrycznej pałki ojca Solomona.

Zobaczył, jak cienie u wylotu komina poruszają się nieznacznie, i rzucił

się naprzód, dokładnie w chwili, gdy strażniczka skoczyła ku niemu, z paralizatorem w jednej dłoni, pistoletem w drugiej. Zderzył się z nią i zacisnął dłonie na jej udach. Pokoziółkowali w dół stromym zboczem komina. Prawie ją puścił, uderzywszy plecami w wystającą skałę, potem, gdy poszybowali w rzadkie powietrze, udało mu się zahaczyć palcami o jej pas i podciągnąć do góry, tak że przez te parę chwil upadku mogli mierzyć się wzrokiem. Strażniczka zgubiła pistolet, ale usiłowała dźgnąć go w bok paralizatorem. Wbił kant dłoni jej w spłot nerwowy pod łokciem, paralizator wypadł z bezwładnej ręki, a gdy już pędził ku nim nierówny grunt, zacisnęła lewą rękawicę na porcie diagnostycznym jej układu podtrzymywania życia i zwarł swoją drugą i ostatnią baterię.

Przez port przeszedł prąd, wystarczająco duży, żeby ją na moment oszołomić. Zaraz potem zderzyli się z ziemią i odtoczyli w przeciwne strony, wzniecając tumany pyłu. Felice zwinął się w kłębek, pozwolił sobie toczyć się i podskakiwać, rękoma mocno obejmując kolana, głowę chowając jak najgłębiej. Coś twardego wielkości pięści dźgnęło go w żebra, wyciskając powietrze z płuc; mniejsze kamyki jeszcze grzechotały i toczyły się wśród kłębow pyłu, gdy podpierał się rękoma i zdrowym kolanem. Lewa noga była dalekim, obleşonym krajem. Prawa kostka miarowo pulsowała - musiał ją zwichnąć podczas upadku. Przy każdym wdechu pod żebra wbijał się nóż. Każdy centymetr kwadratowy skóry pod skafandrem był pokryty siniakami i pokiereszowany.

Strażniczka leżała u podnóża stoku jak bezładna kupka szmat. Kiedy Felice spróbował obciążyć prawą nogę, ta od razu się załamała, przeszywając go bólem od stopy po udo. Usiadł więc i przesunął się ku niej na pośladkach. Pękła jedna z soczewek maski strażniczki, widać było przez nią czarną masę próżniowej opuchlizny. Zdrowym okiem śledziła jego ruchy, a kiedy się zbliżył, spróbowała uderzyć go kamieniem wielkości pięści, jednak już prawie nie miała siły: złapał ją za przegub, wyrwał kamień i odrzucił. Jedną ręką unieruchomił jej ramiona, drugą odpiął i zdjął maskę. Zakaszłała, zaczęła się wrywać, usiłowała wstrzymać oddech, usta siniały, twarz czerniała, z nosa kipiała spieniona krew i wypływał śluz. Trzymał ją tak i patrzył we wściekle oczy. W końcu zaciągnęła się rzadkim dwutlenkiem węgla, zadygotała i znieruchomiła.

Felice obrócił trupa strażniczki na bok i wyłączył zawór dozujący powietrze; jemu większość zapasu wypuściła, ale sądził, że uda mu się przetrwać na tym, co zostało w jej butli. Ponownie spróbował wstać, ale kostka się pod nim ugięła. Od razu usiadł. Zastanawiał się, czy byłby w stanie przeczłochać się do trójkołowca, czy byłby w stanie na niego wsiąść, czy morderczyni go nie unieruchomiła...

Cokolwiek się stanie, i tak szansa, że Bel Glise, czy komuś z jej ludzi przyjdzie do głowy go szukać, była niewielka. Ale na śmierć nie był jeszcze

gotowy. Powietrza miał na sześć godzin przy zachowaniu przytomności, o wiele dłużej, jeśli zmusi się do zapadnięcia w głęboki sen, spowalniający metabolizm prawie do zera. I jeśli nigdy go nie znajdą, to przynajmniej spotka go o wiele łagodniejsza śmierć, niż na to zasługuje.

## ROZDZIAŁ 7

Newt i pozostali członkowie ekipy od silników zbudowali z zapasowych i odzyskanych części kilka dziesiątek małych satelitów wyposażonych w odbiorniki optyczne i radiowe. Rozwiesili je w przestrzeni wokół tylnego punktu Lagrange'a Nephele, żeby móc obserwować Neptuna i Saturna. Bąblowy habitat był już w zasadzie gotowy, ale i tak wszyscy nocowali na pokładach statków i co tydzień urządzali próbne ewakuacje. Kiedy przyjdzie wojna, staną się łatwym celem zarówno dla Duchów, jak i dla RTM - muszą być gotowi do ucieczki w okamgnieniu. Jednakże przez długi czas nic się nie działo. Duchy rozsyłały komunikaty ostrzegające RTM, żeby wycofał się z układów Saturna i Jowisza, inaczej spotkają go konsekwencje, wyraźnie jednak nie śpieszyły się z realizacją tej groźby i wszczynaniem wojny wyzwoleniczej. A RTM nie zorganizował żadnego kontrataku na Duchy w odwecie za zniszczenie ich statku.

Loc Ifrahim mówił, że to żadna niespodzianka - przygotowanie wyprawy na taką odległość trwa bardzo długo, wymaga szczegółowego zaplanowania i zgromadzenia ogromnej ilości informacji. Oprócz tego, stosunki pomiędzy Wielką Brazylią i Wspólnotą Pacyficzną bardzo się popsuły i powszechnie oczekuje się, że niedługo wybuchnie między nimi wojna. A to znaczyło, że Wielka Brazylia nie może sobie pozwolić na zajmowanie wojskowych okrętów czymś innym, zwłaszcza wobec obecności Wspólnoty Pacyficznej na Japecie, która od końca Cichej Wojny nieustannie się zwiększała.

Mało kto z Wolnych Zewnętrznych zwracał uwagę na jego słowa. Przecież był nie tylko Brazylijczykiem, ale i - przed wojną - kimś w rodzaju szpiega. Był ich gościem, traktowali go więc uprzejmie i kulturalnie, ale także jasno dawali do zrozumienia, że nie jest szczególnie mile widziany i że nie można mu ufać. Niektórzy sugerowali, że powinno się go zamknąć w namiocie na Nephele, większość uznała to jednak za barbarzyństwo i tak oto obowiązek opieki nad nim spadł na Macy. Ona go uratowała, więc jest odpowiedzialna za jego los.

Macy prawie było go szkoda. Tęsknił za domem, miał złamane serce. Stracił ukochaną kobietę i nawet nie mógł urządzać jej porządnego pogrzebu. Zwłoki dwóch Wolnych Zewnętrznych, którzy zginęli podczas ewakuacji z habitatu na Neso, oraz ciężko rannego komandosa, który zmarł, zanim zdążyli go zahibernować, zostały poddane uroczystej resomacji z odpowiednią

oprawą, a ich substancje organiczne zasiliły hydroponiczne ogrody habitatu. Loc Ifrahim odmówił jednak wydania ciała kapitan Neves - cały czas było zamrożone i czekało na możliwość powrotu na Ziemię. Co prawie na pewno nie miało nigdy nastąpić. Sam Loc utkwiał na peryferiach Układu Słonecznego z bandą Zewnętrznych uchodźców. Odmawiał też brania udziału w codziennych zadaniach i innych wspólnych aktywnościach, bo według niego był jeńcem wojennym i miał prawa, które powinni uszanować.

- Nie możesz być jeńcem wojennym - powiedziała mu Macy. - Bo nie prowadzimy wojny.

- To wam się tak wydaje.

- Jeśli naprawdę chcesz zostać jeńcem wojennym, to możemy cię wysłać z powrotem na Neptuna, niech Duchy się tobą zajmą.

- Możesz też odesłać mnie do domu.

- Zrobiłabym to, gdyby to było możliwe. Bez zastanowienia, żeby tylko się ciebie pozbyć.

I mniej więcej tak toczyły się wszystkie ich rozmowy. Dobrze, że chociaż Loc był teraz o wiele spokojniejszy. Zaraz po uratowaniu przeskakiwał od ponurego milczenia do fal sarkastycznej nienawiści do samego siebie, albo złości na wszystkich i wszystko. Teraz przemykał chyłkiem jak duch, a większość czasu spędzał sam, oglądając panoramy przesyłane przez macierz satelitów obserwacyjnych Newta lub studiując prymitywne materiały propagandowe Duchów.

Macy, dobrze znająca dojmujący ból tęsknoty za domem, nieco mu współczuła i ucieszyła się, gdy któregoś dnia zgłosił się do pomocy w hydroponicznych ogrodach. Uznała, że chyba godzi się z własną sytuacją, tak jak ona dawno temu pogodziła się ze swoją. W końcu pokazuje, że ma jakiś kręgosłup.

Nauczyła go, jak pikować rośliny. Pomidory, ogórki, groszek, sałatę, szpinak: odmiany skrojone, żeby szybko rosnąć i owocować w parę tygodni. Nie był w tym za dobry, ale przykładał się, pracując sam, powoli i niezdarnie, podczas gdy reszta, razem z dziećmi, robiła to od niechcenia. Po paru dniach trochę się rozluźnił i powiedział Macy, że zastanawiał się, co powinni zrobić w tej sytuacji Wolni Zewnętrzni.

- Tak słuchałem, jak twój partner rozmawia z kumplami o maskowaniu takich habitatów jak ten, przy użyciu lodowej skorupy i powłoki odbijającej radar - stwierdził. - Podziwiam pomysłowość, ale wydało mi się trochę, że to będzie smutne i desperackie życie. Zresztą, jak na razie, to nie za bardzo wam się udawało, co? Wygnali was z Urana, potem z Neptuna, a teraz, w o wiele gorszej sytuacji i mniejszej liczbie, kulicie się na jakiejś zamarzniętej bryłce, ledwo wiążecie koniec z końcem i liczycie, że może historia was ominie.

- Dobrze wiemy, że nie ominie - odparła Macy. - Dlatego właśnie ro-

bimy plany. Przynajmniej niektórzy z nas.

Odpoczywali, siedząc obok siebie u podstawy wielkiego dźwigara, tuż ponad kulą jądra habitatu. Wzdłuż belki ciągnęły się coraz mniejsze hydroponiczne platformy, wycelowane w światła porożpinane wokół równikowego pasa. Inne rozpórki odchodziły pod różnymi kątami ze wszystkich stron, poobwieszane siatkami przypominającymi pajęczyny na strychu. Tworzyły areny, w których Wolni Zewnętrzni grali lub urządzali spotkania, albo po prostu pławili się w ciepłe i światło. Gromadka dzieci gonila się po tym labiryncie, pokrzykując ze śmiechem z radości, przerzucając się z belki na belkę jak stado małp. Byli wśród nich Han i Hanna.

- Ja wiem, co to są za plany - powiedział Loc. Był ubrany w ocieplacz do skafandra jak wszyscy tutaj, wyplątał z włosów koraliki i ściał je na krótkiego jeża. Wyglądał, jakby postarzał się z dziesięć lat. - Niektórzy myślą, że poukrywacie się trochę tutaj, odbudujecie siły i przeniesiecie się na kolejną zapomnianą przez Boga kulę śniegu. Inni liczą, że Duchy zrealizują swoją groźbę i wygonią RTM z układów Saturna i Jowisza. A to się po prostu nie uda.

- Albo RTM sam się wcześniej rozpadnie - powiedziała Macy.

- Wielka Brazylia walczy ze Wspólnotą Pacyficzną, a zwycięzca tego potężnego konfliktu jest tak osłabiony, że Duchy łatwo z nim wygrywają.

- Albo sam chce pokoju.

- Czysta fantazja, urodzona w głowach ludzi, którzy nie mają pojęcia o wojnie. Widzisz, Macy, na wojnę nie idzie się ot tak. Państwo, które przygotowuje się do wojny, buduje wytwórnie broni, czołgów, samolotów. Całe floty statków morskich i kosmicznych. Organizuje mobilizację, bierze do wojska dziesiątki tysięcy ludzi, szkoli ich, a pośrednio angażuje wielokrotnie więcej. Bierze do wojska także techników, naukowców, którzy od rana do nocy myślą nad nowymi broniąmi masowego rażenia. Wszystkie zasoby, każdy gram politycznej woli idzie na wysiłek wojenny, więc jeśli wybuchnie wojna pomiędzy Wielką Brazylią i Wspólnotą Pacyficzną, na koniec zwycięzca będzie silniejszy, a nie słabszy. Zresztą, ile tam jest tych Duchów? Pięć tysięcy? Dziesięć? Wielka Brazylia ma ponad dwa miliardy ludzi. A Wspólnota Pacyficzna dwa razy tyle. Szanse dość marne, z której strony by na to patrzeć.

Macy zadała pytanie, bo inaczej dotarcie do sedna zajęłoby całe wieki:

- Skoro nie możemy się ukryć i nie możemy polegać na Duchach, to co zrobić?

- A czemu Wielka Brazylia wysłała misję dyplomatyczną na Neptuna?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie chodziło o wynegocjowanie traktatu pokojowego?

- Negocjacje też były ważne, o tyle, o ile traktat pokojowy z Wielką

Brazylię zagroziłby dogadywaniu się Duchów ze Wspólnotą Pacyficzną. Ale generalnie chodziło o wywiad. Zawsze dobrze wiedzieć o wrogu jak najwięcej. Nawet tak nieistotnym jak Duchy.

Macy zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Myślisz, że powinniśmy powiedzieć Brazylijczykom wszystko, co wiemy o Duchach? I wtedy co? Będą tak wdzięczni, że dadzą nam spokój?

- Oj nie, Macy, nie myślę, że powinniście gadać z Brazylijczykami - powiedział Loc, tonem jak do małego dziecka. - To by była próba dogadania się z Euclidesem Peixoto, a ja dobrze wiem, że jemu nie można wierzyć. Ale nie przyszło ci do głowy, że Pacyfikowie mogą tu nam trochę pomóc?

\*\*\*

- Musisz przyznać, że to się trzyma kupy - powiedziała Macy Newtowi. - Ja nawet wiem, z kim by się skontaktować. Z Tommym Tabagee. Jak na dyplomata, był w porządku. Otwarcie gadał. Poza tym, jeśli prawdą jest chociaż połowa tego, co mówił o postępowaniu Pacyfików na Japecie, to przynajmniej szczerze nas wysłucha.

- Ja to wszystko rozumiem - odparł Newt. - Ale co takiego możemy temu gościowi powiedzieć, czego już nie wie? W końcu on i jego ekipa byli u Duchów. Spędził na Trytonie więcej czasu niż ja.

Siedzieli w bąblu sterówki *Słonia*. Położyli bliźniaki spać i dzielili się banieczką z wódką, którą ktoś wydestylował ze sfermentowanej żywności z pierwiastków CHON i doprawił śladową ilością wyższych alkoholi. Podawali ją sobie tam i z powrotem nad memoprzestrzenią wyświetlającą rozmyty, mocno powiększony układ Saturna.

- O ataku na brazylijski statek to raczej za wiele nie wie. I nie ma pojęcia, co Duchy zrobiły nam. A mieszkaliśmy po sąsiedzku przez pięć lat - powiedziała Macy. - Wiemy, jak oni myślą, czego chcą...

- To żadna tajemnica, czego oni chcą - stwierdził Newt. - Został tylko łyk.

- To wypij za mnie. Loc mówi, że to nieważne, co wiemy, o ile tylko Pacyfikowie uznają, że wiemy coś, co może im się przydać.

Newt osuszył banieczkę i powiedział:

- A, to tak wygląda świetny pomysł pana Ifrahima. Podkablujemy Duchy Pacyfikom i liczymy, że kupiliśmy sobie jakąś ochronę.

- Upraszczając, tak.

- Tak wszyscy będą na to patrzeć.

- I ty też?

- Jednej rzeczy nie rozumiem - Newt wymigał się od odpowiedzi - dlaczego on chce pomóc Pacyfikom. Przecież uznają go za zdrajcę? Zwłaszcza że Pacyfikowie zbierają się do wojny z Wielką Brazylią.

- Twierdzi, że nie może wrócić do Wielkiej Brazylii, bo po tym, jak



przeżył atak Duchów, nikt nie uwierzy, że nie jest zdrajcą albo podwójnym agentem. Według niego, jak tylko wróci, urządzi mu pokazowy proces i powieszą przed Memorial dos Povos Indigenas na Eixo Monumental, w tym wielkim parku w centrum Brazylii. Tak się w Brazylii robi z ludźmi, których się nie lubi. Zabijają ich, a ciała rzuca wronom i sępom, żeby wrócili do Gai w najgorszy możliwy sposób.

- I chce uratować swoją skórę, handlując informacjami z wrogiem.
- Wiem, że to źle brzmi. Ale nam to by też pomogło.
- I jak on by chciał wysłać tę informację? Nie możemy nadawać w stronę Saturna. Zdradzilibyśmy pozycję RTM.
- Moglibyśmy przesunąć trochę dalej któregoś z tych twoich satelitów, użyć go jako przekaźnika. Żeby wyglądało, że nadajemy z innego miejsca. Albo, jeszcze lepiej, moglibyśmy zawieźć Ifrahima na Japeta.
- Czyli o to tak naprawdę chodzi. Żeby Loc Ifrahim mógł wrócić do tak zwanej cywilizacji.
- Dla niego tak. Ale my też możemy na tym dobrze wyjść. Zresztą, chcesz go tu trzymać do końca życia?
- To byłby śmiały ruch - przyznał Newt. - Ale według mnie, szanse na zrealizowanie go są zerowe.
- Dlatego że ja dalej jestem outsiderką? Po tylu latach? Ale gdyby to wyszło od kogoś innego...
- Ej, mnie w to nie mieszaj.
- A czemu my tu jesteśmy? Bo ty się uparłeś. Popierałeś ideę ekspansji, eksploracji, rozwijania ewolucji człowieka, i tak dalej, a ja poszłam za tobą. No to teraz ja się upieram.
- Teraz sprawy mają się inaczej. Nie możemy tak sobie gonić za jakimś szalonym pomysłem. Musimy wypracować rozwiązanie najlepsze dla wszystkich. Możesz poprosić o debatę nad takim wnioskiem, ale jeśli to zrobisz, na koniec będzie głosowanie. No i jeżeli większość opowie się przeciwko, to koniec.

- Przecież czasem większość nie ma racji. Wiem, że to wiesz, inaczej w ogóle byśmy się tutaj nie znaleźli - stwierdziła Macy.

Nie mogła już wytrzymać w ciasnej kabinie *Stonia*. Wyszła do habitatu, włożyła płetwy i akwalung i poszła popływać w kuli wodnej stanowiącej jego jądro, pomiędzy długimi pasmami czarnego i czerwonego wodorostu, rosnącego na rozpiętych w przejrzystej wodzie kratkach. W nieważkości nie dało się biegać, a do latania jakoś nie miała talentu, ale pływanie tam i z powrotem w wielkim kulistym akwarium uspokajało i porządkowało myśli prawie tak dobrze, jak bieganie.

Na koniec wróciła do *Stonia* i pogodziła się z Newtem. Mimo to napięcie pomiędzy Macy, wspierającą pomysł Loca, i Newtem, niechętnym dla zmiany status quo, szybko zaczęło kłaść się cieniem na ich życiu. Chyba nie

było na to żadnej rady.

- Zmieniłeś się - mówiła Macy. - Stałeś się taki sam jak inni.

- No, może trochę dorosłem - odpowiadał on. - Może jestem większym realistą?

- A ja, co, zwariowałam?

- Zgadza się, że jesteśmy teraz w tarapatkach. Ale poradzimy sobie z tym i z czasem wszystko się zmieni.

- Z czasem? Myślałam, że już nie mamy za wiele czasu?

Na bliźniakach też się to oczywiście odbiło. Często bywały ponure i milczące. Przy zabawie szeptały do siebie. Kleiły się do Newta i pytały go, czy dalej lubi Macy. Albo kleiły się do Macy i pytały ją, czy się z Newtem rozstała. Macy zapewniła je, że bardzo się z Newtem kochają i właśnie dlatego się kłócą. A potem kłócili się z Newtem o zły wpływ, jaki mają ich kłótnie na dzieci.

Macy większość czasu poświęcała hydroponicznym ogrodom; Newt na długie godziny znikał u przyjaciół z ekipy od napędu. Usiłowali przeanalizować sygnały radiowe odbierane z układu Saturna, filtrując kluczowe słowa i zwroty z chaosu słabych przekazów, wykorzystując modele stochastyczne, żeby wyciągnąć z tego znaczącą informację. Na razie nie udało im się znaleźć niczego poza strzępami rutynowych gadek między cywilnymi statkami i kontrolą lotów: wojsko komunikowało się skupionymi wiązkami, nie tylko niemożliwymi do przechwycenia z boku, ale i grubo zaszyfrowanymi. Macy dawno straciła wiarę w program nasłuchowy, lecz któregoś dnia Newt przybiegł do niej, zdyszany, podekscytowany, z niesamowitymi wspaniałymi wieściami.

Macy i bliźnięta zbierali pierwsze pączki kawy z pędów modyfikowanego mchu, który pływał, płacząc się, wokół jednej z hydroponicznych półek. Hannah i Han poruszali się w nieważkości jak ryby w wodzie, bez wysiłku odpychając się czubkami palców, błyskawicznie napełniając kawą woreczki, choć jednocześnie grali w jakiegoś skomplikowanego berka, którego reguła Macy mimo wielokrotnego tłumaczenia nie była w stanie pojąć. Wyskoczyły, żeby złapać Newta, gdy tylko go zobaczyły, zderzyły się z nim i zbiły z kursu, tak że musiał opaść na bok ku sąsiedniej rozpórce, z dziećmiakami uczeponymi szyi, a dopiero stamtąd się odepchnął i poszybował w stronę Macy. Krzyknął do niej, że odebrał wiadomość z bazy Pacyfików na Japecie.

- Chodzi o Wielką Brazylię. Wybuchła rewolucja.

- Rewolucja? Znacząca wojna domowa?

- Jeszcze nie. Ta rodzina rządząca ziemią, na której kiedyś mieszkałaś, Fontaine'owie, włączyła się do niej. Podobnie twoja dawna jednostka, Rekultywatorzy. Ale czekaj, nie powiedziałem jeszcze najlepszego. Avernus jest na Ziemi. I macza palce w tym wszystkim.

## ROZDZIAŁ 8

Z perspektywy czasu wszyscy zgadzali się, że rewolucja rozpoczęła się, kiedy arcybiskup Brasillii wygłosił w katedrze metropolitalnej kazanie nawołujące do przerwania przygotowań do wojny przeciwko Wspólnocie Pacyficznej, a potem poprowadził ponad dwa tysiące ludzi przez Eixo Monumental do Alei Ministerstw na milczący protest. Funkcjonariusze BSS, wspierani przez jednostki wojska, kazali im się rozejść. Gdy ludzie nie ustąpili, żołnierze zaatakowali ich elektrycznymi pałkami, bronią palną, grazerami i gazem obezwładniającym, zabijając ponad trzydzieści osób i raniąc dużo więcej. Następnego wieczoru na kolejne czuwanie przyszło dziesięć tysięcy ludzi, prowadzonych przez falangę co lżej rannych z wczoraj, w towarzystwie senatorów-dysydentów oraz członków rodzin Peixoto, Fonseca i Fontaine. Unosili świece i zdjęcia zabitych, kobiety wystąpiły i złożyły wieńce na kamieniach wciąż ciemnych od krwi niewinnych protestujących. Przyklejały też kwiaty do tarcz szturmowych żołnierzy stojących w kordonie wzdłuż wschodniej strony Alei Ministerstw. Tym razem czuwanie przeszło pokojowo, a trzeciego wieczoru protestujący zbrali się przed najważniejszymi publicznymi gmachami we wszystkich miastach Wielkiej Brazylii. Mieli ze sobą świece i kwiaty, a z laserowych wskaźników rzucali na granatowe wieczorne niebo świetliste obrazy Gai we wszystkich jej aspektach, śpiewając przy tym stuletni hymn do Niej, na melodię *Ody do radości* Beethovena:

*Cała Ziemia ramię w ramię  
Matki naszej bronić chce...*

Dwa dni później we wszystkich rejonach Wielkiej Brazylii załogi RiO wyszły z koszar, przejęły kontrolę nad publicznymi gmachami, łącznością, ośrodkami transportu i zaczęły wydawać żywność z magazynów. Uzbrojeni tylko w strzelby, łopaty i mężne serca, jak to ujął później jeden z historyków, mieli nad wojskiem i policją trzykrotną przewagę liczebną - i w ciągu doby przejęli władzę w ponad połowie miast Wielkiej Brazylii.

Po tym nie było już odwrotu. Zawieszono posiedzenia Senatu. Ogłoszono stan wyjątkowy w Brasillii i czternastu największych miastach. Prezydent uciekł na ziemię swojej rodziny i ustanowił w Georgetown tak zwany rząd

nadzwyczajny. W całym kraju po miastach grasowały bandy w delirycznym szabrowniczym szale. Szturmowały więzienia i obozy karne BSS, uwalniały wszystkich osadzonych, a budynki podpalały albo dokładnie niszczyły. Gałęzie wszystkich drzew ludowych na placach i w alejach uginały się od ohydnych owoców - funkcjonariuszy BSS i urzędników rządowych, mężczyzn i kobiet oskarżonych o donosicielstwo. Tysiąc komisji, komitetów i paneli próbowało gadać ze sobą jednocześnie. W porcie kosmicznym w Brasiliu aresztowano prominentnych członków rodu Peixoto, już wsiadających do wahadłowca. Inni sprzymierzili się z rodzinami Fontaine i Fonseca, po czym wydali wspólne oświadczenie, w którym zadeklarowali, że ustanowią Parlamenti Obywatelskie oraz urzędzą na swoich terenach wolne i uczciwe wybory, oparte na demokratycznych zasadach opracowanych w Tęczowym Moście na Kallisto.

Rewolucja przyszła do Wielkiej Brazylii.

\*\*\*

Gdy to wszystko się zaczynało, Cash Baker dochodził do siebie po nanotechnologiczno-wirusowej kuracji, którą zaaplikowała mu Avernus, żeby uzdrowić i zmodyfikować jego sztuczne sieci neuronowe. W interfejsach pomiędzy tą siecią a jego neuronami ruchowymi powstały odpowiedniki zbliznowaceń, kiedy sieć musiała kompensować uszkodzenia mózgu, których doznał w czasie Cichej Wojny. Leżał w głębokiej śpiączce, roboty z fraktalnymi manipulatorami czyściły i przerabiały interfejsy, a szyte na miarę wirusy wstawiały do komórek sztuczne geny, zmieniające potencjały czynnościowe i spoczynkowe. Przez tydzień, kiedy zmiany się stabilizowały, był zasadniczo unieruchomiony, a pozwolono mu wstać i zabrano na wszelkie możliwe neurologiczne badania właśnie wtedy, gdy w Brasiliu żołnierze strzelali do ludzi, którzy przemaszerowali spod katedry na Aleję Ministerstw.

Osiem dni później Cash zgłosił się na służbę do bazy RiO na przedmieściach Indianapolis. Pułkownik Stamford kazał mu poczekać, mówiąc, że będzie potrzebny, kiedy wyzwolą port kosmiczny w Brasiliu, Cash odparł jednak, że nie podejmie się pilotowania żadnego kosmicznego pojazdu, dopóki nie sprawdzi się w normalnym lataniu, a skoro brakuje wszelkich możliwych pilotów, to na razie może tu pomagać. Przeszedł wszystkie możliwe neurologiczne badania. Ustała drżączka; po raz pierwszy od lat był całkowicie trzeźwy i nie mógł się doczekać, kiedy znowu usiądzie w siodle.

Terytoriów kontrolowanych przez ród Fontaine rewolucja w zasadzie nie tknęła, Louis Fontaine bowiem przekonał wyższych oficerów armii, żeby utrzymali żołnierzy w koszarach, sam zaś zaprosił przedstawicieli wszystkich miast, by pomogli mu nadzorować pokojowe przekazanie władzy.

Jednakże po sąsiedzku, na kwadratowym terenie ciągnącym się od Wirginii Północnej na północy po Florydę na południu i rzekę Missisipi na zachodzie, sytuacja była inna: większość prominentnych polityków i urzędników oraz Pessanhowie uciekli, zostawiając wojsko, żeby biło się z cywilami. Poważne niepokoje wybuchały w Atlancie, Birmingham, Huntsville, Jackson, Nashville, Memphis, Montgomery, Raleigh i wielu mniejszych miastach. Żołnierze lojalni wobec Pessanhów przed odwrotem podpalili magazyny z żywnością, sklepy ogołoco, a farmerzy uzbrojeni w rolnicze narzędzia i garstkę karabinów z trudnością bronili farm wieżowych przed splądrowaniem.

Dzień po zgłoszeniu się do jednostki Cash Baker poleciał do Atlanty latającym dźwigiem z ładunkiem leków i materiałów opatrunkowych. Atlanta była stolicą terenów rodu Pessanha. Tłum wdarł się do siedziby policji, obezwładnił i pobił na śmierć pilnujących jej żołnierzy, powywieszał ich trupy przez okna, uwolnił więźniów, porozbijał banki pamięci przechowujące dane każdego mężczyzny, kobiety i dziecka, a na koniec wszystko podpalił. Płonęły także budynki w centrum miasta oraz liczne rezydencje i domy na Cascade Heights, dawnej domenie bogaczy i politycznej elity. Nad miastem wisiał całun dymu, całkiem jak niegdysiejszy smog.

Cash posadził ociężałą maszynę na pasie w wojskowej części lotniska Dekalb-Peachtree, zabezpieczonego przez jednostkę Rekultywatorów nr 45 oraz część 92. Brygady Pancерnej. Po drugiej stronie głównego pasa startowego, z wojskowych ciężarówek wysypywali się cywile i szli z walizkami do hangarów, w których przetrzymywano urzędników rządowych z rodzinami, dla ich własnego bezpieczeństwa. Ledwo zdążył napić się kawy, a już maszynę rozładowano i znów znalazł się w powietrzu, tym razem kurs był do Chattanooga, gdzie zorganizowano bazę zaopatrzenia. Gdy docierał z powrotem do miasta, na południu wybuchło coś wielkiego, w błękitne letnie niebo wzbil się potężny słup czarnego dymu, u podstawy rozjaśniane kolejnymi eksplozjami - według kontroli lotów z Dekalb-Peachtree był to skład amunicji jednostki wojskowej w Hartsfield.

- Zdaje się, że macie tu kolejną wojnę domową.
- O, tylko nie to - powiedział kontroler. - W ostatnich dwóch Atlanta spaliła się do gołej ziemi.

Znad zasadzonego na nowo lasu na północ od miasta wszystko wyglądało spokojnie, jeśli nie liczyć kolumn wojskowych pojazdów jadących szosą na południe. Nad wojskową bazą w Forcie Oglethorpe wznosiły się i opadały śmigłowce, jak pszczoły nad ulem; Cash musiał zatoczyć dwa kręgi, zanim pozwolono mu usiąść. Zjadł posiłek, gdy samolot rozładowywano, załadowywano i tankowano, po czym znów wystartował. I tak to szło. Pierwszej nocy spał w Atlancie, drugiej w Memphis, gdzie RiO nr 12 budo-

wał most pontonowy, bo wycofująca się armia wysadziła wszystkie mosty na Missisipi. Ruiny rządowych budynków jeszcze się tliły, zamieszki jednak ustały. Złość i gwałtowny entuzjazm ustąpiły miejsca niepokojom o przyszłość oraz bardziej nagłym obawom: o żywność, prąd, wodę, łączność.

Louis Fontaine wygłosił orędzie, które przetransmitowały wszystkie działające miejskie sieci. Obwieścił, że rząd stracił kontrolę nad czternaściami terytoriami Wielkiej Brazylii, apelował do żołnierzy i służb bezpieczeństwa w regionach przejętych przez lud, by pozostali w koszarach i bazach, prosił obywateli, żeby zachowali powściągliwość i powstrzymali się od niszczenia symboli władzy i atakowania rządowych urzędników. Rodzina Fontaine'ów i inne rody panujące na wyzwolonych terenach dotrzymają obietnicy i szybko urządzią wolne wybory. Tymczasem zaś wszyscy powinni wspólnie pracować nad przywróceniem porządku i zapewnieniem sprawiedliwego rozdzielania żywności. Każdy blok mieszkalny w mieście powinien wybrać sobie lub mianować przedstawiciela, a ten przedstawiciel powinien koordynować prace ochotników przy przywracaniu porządku oraz być w kontakcie z tymczasowymi władzami, powołanymi, żeby uruchomić w mieście niezbędne służby i zinwentaryzować zasoby żywności i lekarstw.

- Rewolucja się skończyła. Kraj jest w rękach obywateli - po wiedział. - Nie mogą dopuścić, żeby się im wymknął.

Następnego dnia Cash był z powrotem w Atlancie. Wiózł zespół negocjatorów. Skład amunicji na południe od miasta jeszcze kopcił, ale inne pożary zostały w większości ugaszone. Z lotniska negocjatorów uwiozły transportery opancerzone. Pojechali do stanowego Kapitolu, gdzie zaszyli się skarbnik miasta i paru innych sługusów poprzednich władz, a jemu kazano lecieć do Indianapolis.

Kiedy posadził latający dźwig na umówionym lądowisku przy placu przeładunkowym, odkrył, że czekają na niego pułkownik Bear Stamford i sędziwa guru genetyczna Avernus, w towarzystwie przystojnego młodego chłopaka w dzinsach i serdaku z królików. Był to Alder Hong-Owen, z długimi włosami spiętymi w koński ogon, a lewą ręką nadal w temblaku. Padli sobie w ramiona i pokleпали się po plecach, wśród zgiełku zwożących zaopatrzenie ciężarówek, wśród łomotu i gorących podmuchów startujących i lądujących śmigłowców, konwertoplanów i fruwaczy.

- Słyszałem, że cię poskładali - stwierdził Alder.
- Avernus się nade mną napracowała, ale za decyzję muszę chyba dziękować tobie.
- Czyli będziesz w stanie mnie podwieźć?
- Gdzie tylko zechcesz. Możesz na mnie liczyć.
- A na Księżyc?
- Po ciemnej stronie Księżyca jest więzienie - odezwała się Avernus.

Była jak zwykle ubrana w zgrzebną szarą tunikę i spodnie. Bardzo, bardzo stara kobieta o śniadej twarzy, pobrużdżonej i spękanej niczym spieczona słońcem ziemia, i wełnistej siwej czuprynie. Zachowywała się spokojnie i skromnie i poza wnikliwym ciemnym spojrzeniem nic nie sugerowało, że jest kimś niezwykłym. - Przetrywają tam wielu obywateli miast z Saturna i Jowisza. Uczonych, artystów, przywódców ruchu pokojowego.

- No i wielu moich ludzi - powiedział Alder. - Przewieźli ich tam z Ziemi Ognistej. Albo dlatego, że są dla nich ważni, albo jako zakładników.

- Mówią mi, że jeszcze mogę mieć na nich pewien wpływ - dodała Avernus. - Trochę w to wątpię, ale zrobię, co się da.

- Mają ogromne doświadczenie we wdrażaniu w życie demokracji. Potrzebujemy ich pomocy i rady - stwierdził Alder. - Na razie więźniowie kontrolują samo więzienie, ale strażnicy i władze ciągle tam są. Sytuacja jest bardzo zmienna, istnieje spore ryzyko, że Europejczycy wykorzystają to zamieszanie i spróbują przejąć kontrolę. Musimy zabezpieczyć to więzienie jak najszybciej.

Pułkownik Stamford powiedział Cashowi, że port kosmiczny w Brasiliu jest w rękach rewolucjonistów, ale prawie nie ma życzliwych rewolucji pilotów.

- Kiedy się zaczęło, sporo z nich uciekło na orbitę. A BSS rozprawiło się z tymi, którzy odmówili współpracy. Mamy sześć zdalnych do lotu statków, ale brak nam pilotów z doświadczeniem bojowym.

- To jak? - zapytał Alder.

- Ja już się zapisałem - powiedział Cash.

Lecąc do Brasiliu z Alderem i Avernus małym odrzutowcem strumieniowym, należącym dawniej do gubernatora terytoriów rodu Pessanha, zdążył zapoznać się z planem misji. Suborbitalny skok uniósł ich wysoko ponad Karaiby i wielką zieloną połąkę środkowej Brazylii, a potem już opadali, szybując ku głównemu pasowi startowemu bazy wojskowej na skraju kosmodromu, złożonego z zagłębionych stanowisk, suwnic i rzędów kwadratowych, białych jak sól hangarów.

Powierzono mu ponad pięćdziesięcioletni wahadłowiec, o kadłubie nieodwracalnie okopconym przez żar tysiąca wejść w atmosferę, ze staroświeckim układem sterowania. Był za to solidny, skrupulatnie serwisowany i wyposażony w nowy napęd termojądrowy. Cash zrobił, co się dało, żeby go uzbroić, spotkał się z załogami innych statków, a potem po raz pierwszy od ponad siedmiu lat wzniósł się w przestrzeń, szczerząc się od ucha do ucha, gdy przyśpieszenie przyciskało go do leżanki, a prom piął się w zenit.

Statki zebrały się na jednej orbicie, ustawiły w szyk i odebrały zgodę na wylot, po czym odpaliły silniki termojądrowe i ruszyły ku chudemu sierpowi Księżyca, po siedmiu godzinach podchodząc do jego jasnej strony. Cash nie

dowierzał umowie gwarantującej im bezpieczny przelot - zignorował komunikaty kontroli lotów z Ateny oraz sygnały z baz Europy i Wspólnoty Pacyficznej, otworzył także rampę ładowni wahadłowca. W środku miał pośpiesznie przyspawaną do belek baterię działek elektromagnetycznych, załadowanych inteligentnymi kamykami. Oprócz tego miał do dyspozycji jednorazowy laser rentgenowski, blokowany przełącznikiem-czuwakiem - jeśli coś pokaże się na radarze, będzie miał ledwie sekundę na ocenę zagrożenia i decyzję, czy puścić przełącznik i pozwolić AI laserowi zająć się celem.

Wreszcie trafił z powrotem na fotel bojowego pilota, miał jednak bolesną świadomość, że działa tylko z szybkością zwyczajnego człowieka, że nie jest wpięty w układy i zmysły promu, nie stapia się z nimi w jedność, ale tkwi w kościanej klatce własnej czaszki i gapi się na wymalowane wirtualnym światłem wskaźniki, szarpiąc za drążek sterowy, wprowadzający irytujące opóźnienia i niedokładności. Coś jakby próbować wykonać delikatną operację chirurgiczną marionetką uzbrojoną w łyżkę i widelec. Solówka prowadzona przez kompletnego żółtodzioba mogłaby wyskoczyć i załatwić go, zanimby się zorientował.

Na szczęście, sunącego na wschód przez księżycową noc konwoju nikt nie atakował. Cash poczuł falę nostalgii, gdy mijany teren przypominał mu niezliczone loty, które odbywał tutaj, oblatując solówki J1 i J-2. Wszystko zalane miękkim światłem Ziemi i pokryte cieniami. Smolista równina Oceanus Procellarum. Promieniste formacje rozchodzące się od krateru Kopernika, jak śnieżka rozbryznięta na ciemnej szybie. Pofałdowany, górzysty teren wokół ciemnych lawowych mórz Spokoju i Obfitości...

Kiedy przelatowali nad Morzem Spokoju, Avernus powiedziała:

- Tutaj się wszystko zaczęło.

I więcej się w trakcie lotu nie odezwała.

Wysoko nad Morzem Smytha, na wschodniej krawędzi jasnej strony, Cash uruchomił silnik promu, wprowadzając go na orbitę. Inne statki poleciały za nim w ciasnym szyku, z prędkością 0,8 kilometra na sekundę, na wysokości 200 kilometrów, otoczone chmurą celów pozornych, siejących fałszywymi kodami identyfikacyjnymi i transmisjami radiowymi, mającymi zdezorientować potencjalnych napastników. Za nimi zachodziła Ziemia, a nad zakrzywiony horyzont wyskoczyło Słońce, ostro oświetlając przedwieczne pole bitwy na ciemnej stronie. Tu nie było ciemnych mórz ani wyżyn. Tylko niezmienione od lat pobojowisko po nieludzko intensywnym i bezlitosnym ostrzale, który pokrył całą powierzchnię kraterami najrozmaitszej wielkości. Ciągi kraterów, kraterzy zachodzące na siebie, mniejsze kraterzy w większych albo wyszczerbiające ich zbocza. Jałowe, bezdrożne pustkowia, całkowicie pozbawione piękna, jakkolwiek by je definiować.

Alder gadał przez chwilę z kimś w więzieniu, po czym powiedział Cas-



howi, że mogą bezpiecznie podchodzić. Cash wysłał naprzód parę celów pozornych, na wszelki wypadek. Uciekając w czarne niebo, rozbłysły jak zbiegłe gwiazdy, a kiedy przeleciały nad więzieniem i nie spotkały się ani z ostrzeżeniami, ani z atakiem, wahadłowiec Casha i reszta statków na moment uruchomiły silniki i przeszły na kurs opadający.

Gdy pod kilem statku przepłynęła zerodowana i poszczerbiona krawędź krateru Koroleva, Cash przeszedł na ręczne sterowanie, by móc uciec, jeśli systemy obrony choćby na niego mrugną. Spadał po wydłużonym łuku, mijając tarasowe, płatowe osuwiska po wewnętrznej stronie zbocza, sięgające aż na dno krateru, równie krostowatego i popękanego jak wszystko po tej stronie. Przeskakiwał nad rzeźbą terenu przy użyciu silniczków korekcyjnych, próbując kompensować denerwujące opóźnienie pomiędzy myślą i działaniem. Układ nawigacji zsynchronizował się z kontrolą lotów więzienia: rozświetlił się naprowadzającymi strzałkami i liniami; potem dostrzegł na horyzoncie coś połyskującego jak lód - namiot więzienia, przypominający fasetowe owadzie oko osadzone w małym, idealnie okrągłym kraterze.

Alder znów rozmawiał z kimś na ziemi. Cash i reszta pilotów czekali na sygnał do akcji lub jej przerwania, balansując statkami na silniczkach manewrowych, dryfując nimi na boki, póki Alder nie dał sygnału, że mogą bezpiecznie lądować. Cash powiedział pilotom, że ląduje pierwszy, zwiększył prędkość, minął kopułę namiotu, okręcił prom wokół własnej osi i opadł ku lądowisku, buchając ogniem z dysz hamujących i wzbijając potężne kłęby pyłu.

Czterdzieści minut później, ubrani w papierowe kombinezony nałożone na ocieplacze od skafandrów, Cash Baker, Alder Hong-Owen i Avernus siedzieli za stołem w sali konferencyjnej budynku komendatury więzienia, naprzeciwko pani komendant, pochodzącej z Unii Europejskiej Elli Lindeberg i szefa bezpieczeństwa, pułkownika Carlosa Hondo-Ibargüena. Przeważnie mówiła Lindeberg, blada, smukła, surowa kobieta. Tłumaczyła, że więzienie miało być eksperymentem w samorządzie - więźniów pilnowali nadzorcy, pilnowani z kolei przez strażników zatrudnianych przez brazylijskie i europejskie władze. Więźniowie sami wytwarzali sobie żywność i serwisowali wszystkie urządzenia w swoim namiocie. Zaraz po wybuchu rewolucji w Wielkiej Brazylii gubernatorzy z rodów Peixoto i Nabuco oraz inni wysocy brazylijscy urzędnicy odlecieli do Ateny. Więźniowie obezwładnili nadzorców, przejęli kontrolę nad śluzami, wyłączyli monitoring i system sterujący ich zabezpieczającymi wszczepkami, odcięli władze od sterowania więziennym reaktorem i układami podtrzymywania życia, zarówno głównego namiotu, jak i budynku komendatury. Władze, którym groziła utrata energii i powietrza, w obliczu wziętych na zakładników ponad dwudziestu strażników, musiały się porozumieć z więźniami. Pozwoliły im

kontrolować wszystko wewnątrz namiotu. Władze nie będą próbować wejść tam siłą. Takie zawieszenie broni utrzymywało się od prawie dwóch tygodni.

Osadzeni nie mogli uciec, bo nie mieli skafandrów próżniowych; Ella Lindeberg otrzymała rozkazy, żeby panował porządek, dopóki nie da się wynegocjować pokojowego przekazania władzy.

- Mój rząd i tak zawsze był w tym przedsięwzięciu mniejszościowym współnikiem - powiedziała. - Z przyjemnością zdam władzę, o ile zagwarantujecie wolność całemu mojemu personelowi.

- Ja nie mam żadnej władzy - powiedział Alder - ale zdecydowanie możecie odejść wolno.

- Myślałam, że reprezentuje pan rząd brazylijski - zdziwiła się Ella Lindeberg.

Alder parsknął śmiechem.

- Na razie nie ma żadnego rządu. Ale może mógłbym panią skontaktować z kimś wyższym rangą od pułkownika. Może być?

- Jest jeden problem - odezwał się pułkownik Hondo-Ibargüen, tęgi facet o ciemnobrązowej cerze i czarnych włosach przyciętych na kwadratowo, typowo dla piechoty morskiej. Splótł potężne łapska na kwadratowo, ewidentnie zażenowany. - Chodzi o agentów BSS i przeróbkę w instalacji oczyszczalni powietrza, którą wykryli więźniowie. Gdyby ją włączyć, podniosłaby ciśnienie parcjalne dwutlenku węgla w budynkach mieszkalnych do groźnego dla życia poziomu. BSS miało zapieczętowane rozkazy, nakazujące użycie tego, gdyby stracili panowanie nad więzieniem. Więźniowie zainstalowali obejście i zawiadomili nas o tym na zakończenie negocjacji.

- Chcę was zapewnić, że nie miałam o tym pojęcia - powiedziała Ella Lindeberg. - Ani pułkownik, ani podlegający mu ludzie.

- Aresztowałem wszystkich przedstawicieli BSS - dodał pułkownik. - Zamknąłem ich w baraku. I tu jest problem: co pan zamierza z nimi zrobić?

- A próbowali użyć tej modyfikacji przeciwko więźniom? - zapytał Alder.

- Logi wskazują, że nie - stwierdził pułkownik. - Chociaż logi oczywiście da się zmienić.

- Ale nie ma śladów, które by na to wskazywały?

- Nie, proszę pana. Brak nam odpowiednich umiejętności śledczych.

- A nikt z BSS się nie przyznał?

- Wszyscy twierdzą, że nie mieli o tym pojęcia.

- A rozkazy cały czas są zapieczętowane?

- Tak wygląda.

- To można ich wypuścić - zdecydował Alder. - Nie nam osądzać, co by zrobili, a czego nie, mając bezpośredni rozkaz od starego reżimu. Jeszcze wiele rzeczy będziemy musieli ludziom powybaczać, zanim osiągniemy cel.

Bo alternatywą jest zmienienie sporego kawału kraju w wielkie więzienie.

- Zaiste, wszystko się zmieniło - powiedział pułkownik Hondo-Ibargüen.

- Wszystko się zmieniło i jeszcze długo będzie się zmieniać - odparł Alder.

\*\*\*

Alder, Avernus, Cash Baker i załogi pozostałych promów weszli do więzienia przez główną śluzę, bez eskorty, ubrani w skafandry, z hełmami pod pachą. Wyszli na rampę przeładunkową, gdzie przed barakami magazynów czekał mały tłumek. Cash podczas Cichej Wojny wiele razy ścierał się z Zewnętrznymi, ale pierwszy raz spotkał się z nimi oko w oko. Wysocy, chudzi jak patyki ludzie ubrani w szare kombinezony z numerami z przodu i z tyłu, pełni godności, spokojni i uprzejmi, wyszli naprzód i uściśnęli dłonie swoim wyzwolicielom. Avernus i Alder usiedli z kilkunastoma z nich, żeby wynegocjować warunki poddania.

Ekipy zaczęły już wwozić do środka na saniach skafandry próżniowe i inne zapasy. Kiedy Cash pomagał im je rozładować, wróciła Avernus i powiedziała, że potrzebuje jego pomocy.

- Jeden człowiek jest ciężko chory. Trzeba go jak najszybciej ewakuować.

- Znasz go?

- Ja i córka kiedyś się z nim spotkałyśmy. Proszę. Jeśli mam mieć jakąś szansę na uratowanie go, to musimy działać natychmiast.

Wśród rzędów skafandrów próżniowych i innych materiałów było parę pękatych kapsuł używanych do transportu rannych - takich trumien z układem podtrzymywania życia. Cash wiózł jedną z nich, idąc obok Avernus, która prowadziła go do ambulatorium w Miasteczku Nadzorców. Zapytała go, czy słyszał o szpiegach upodobnionych do Zewnętrznych i umieszczonych przez Brazylijczyków w miastach Układu Zewnętrznego przed wojną.

- Mało pamiętam, co się wtedy działo - odparł Cash. - Mam luki w pamięci. Raczej już się nie naprawią.

- To matka Aldera ich stworzyła. Wyszkolili ich, żeby mogli przeniknąć do naszych miast i im zaszkodzić.

- Skoro ten gość jest jednym z nich, to co on tu robi?

- Powiedział mi, że pracował dla Brazylijczyków, ale zdezerterował. Powiedział też, że podłożył jakiś szpiegowski soft w miejscu, gdzie mieszkałam wtedy z córką - dodała Avernus. - A później próbował nas porwać. To było w Paryżu na Dione, tuż przed wojną. Burmistrz miasta nas aresztował, razem z kupą ludzi zamieszanych w ruch pokojowy. Trzymał nas w budynku pod miastem. Kiedy zaczęła się wojna i napadli na Paryż,

ktos się do nas włamał i obezwładnił wszystkich strażników. Moja córka go uśpiła, uwolniliśmy resztę więźniów i tam go zostawiliśmy. On twierdzi, że ją pamięta. Że była bardzo szybka i silna, i dźgnęła go strzałką ze środkiem usypiającym. Dokładnie tak było, a widziało to tylko parę osób, z czego większość nie żyje... No, w każdym razie kiedyś nam źle życzył, mnie i córce. A teraz chcę zrobić co w mojej mocy, żeby go uratować. Jak to nazwać?

- Miłosierdzie czy coś?
- Miłosierdzie. Może tak. Faktycznie.

Człowiek był w kiepskim stanie. Miał wysoką gorączkę, był półprzytomny, bladą skórę tułowia miał całą w siniakach, lewą nogę od kostki po udo unieruchomioną nadmuchiwanym opatrunkiem. Kobieta, która się nim opiekowała, Bel Glise, pomogła Cashowi zapakować go do kapsuły i biegła truchtem obok niego, gdy Cash z Avernus wieźli ją do służby, opowiadając przy tym długą i skomplikowaną historię o morderstwie dwóch matematyków, którzy stworzyli furtkę do systemu bezpieczeństwa, żeby uciec, śmierci nadzorczy, „Bestii Jealotta” i zabójstwie sanitariuszki z Miasta Nadzorców, jedynej przyjaciółki rannego. Wyglądało na to, że został ciężko raniony, kiedy zaatakował zabójcę, który był jednym ze strażników, a oprócz tego kimś w rodzaju szpiega.

Cash nie wiedział, w co ma wierzyć. Kiedy czekali na podwózkę do promu, powiedział Alderowi Hong-Owenowi, że ten ranny, Felice Gottschalk, sam równie dobrze może być zabójcą.

- Może to on zamordował tych dwóch naukowców, żeby skorzystać z ich planu ucieczki? A potem zabił nadzorcę i strażnika, bo mu przeszkodzili.

Alder zamyślił się i powiedział:

- Matka była przed wojną zamieszana w co najmniej dwa tajne projekty. Oba były na Księżycu i oba miały coś wspólnego z ektogenicznym rozmnażaniem ludzi. Hodowała płody w sztucznych macicach i modyfikowała je. Szczegółów nie znam, ale wiem, że jeden z nich doprowadził do opracowania napędu termojądrowego, który dał nam taką przewagę.

- Ja ją tu kiedyś zawoziłem - odezwał się Cash, sam zdziwiony własnym wspomnieniem. - Dawno, dawno temu. Zabrałem ją z jakiegoś instytutu na Antarkydie.

Alder rzucił mu dziwne spojrzenie.

- Może rok przed wojną?

- Coś w tym stylu. No właśnie, tuż przed wylotem do Układu Saturna. To śmieszne, niektóre rzeczy pamiętam, a innych nie.

- Wtedy w jednym z jej projektów na Księżycu wystąpił jakiś kryzys - powiedział Alder. - Wróciła wściekła. Czymś się mocno przerażyła, ale nic mi nie powiedziała.

- Czyli ten gość naprawdę może być jakimś potworem?

- Może być też moim bratem. Matka jest wspaniałą kobietą, ale ego ma wielkości planety. Dla niej byłoby zabawne użyć do tych ektogenów własnych jajeczek albo komórek somatycznych... W każdym razie, nie możemy pozwolić, żeby wpadł w ręce Europejczyków, nie? Zabierz go, Avernus też weź. Jest za bardzo zaabsorbowana, żeby się tu na coś przydać.

- Bo to wszystko pewnie jej przypomina o tym, co się stało z jej córką - zauważył Cash.

- Mnie też się tak wydaje. Ja zostanę i zajmę się ewakuacją strażników i władz więzienia. Negocjacje będą trudne i delikatne, ale na szczęście matka obdarzyła mnie talentem do przekonywania ludzi własnym wdziękiem. Dziwne jak ten los się plecie, co?

- Świat jest mały - odparł Cash - ale nie chciałbym być gościem, który musi go pomalować.

Poleciał na północny wschód, przelatując nad północną krawędzią krateru Hertzsprunga. Ziemia, w połowie w cieniu, weszła przed nim, gdy wyleciał znad ciemnej strony. Nad zachodnią krawędzią Oceanus Procellarum odpalił napęd termojądrowy, krótki, ostry impuls, żeby wyjść z księżycowej orbity, a potem przykręcił ciąg do stałego 0,2 g.

Parę minut później usłyszał w przedziale pasażerskim jakieś zamieszanie. Podejrzał na wideo: Felice Gottschalk piął się po drabinie przymocowanej do tego, co zwykle było sufitem przedziału, ale teraz, z uwagi na oś przyśpieszenia, stało się ścianą. Poruszał się szybko, ciągnąc za sobą sztywny pieńek złamanej nogi, razem z nim wspinała się Avernus, ponad głowami pierwszej partii ewakuowanych Zewnętrznych, siedzących prosto na dwóch krótkich rzędach leżanek przeciążeniowych.

Wahadłowiec pilotował się sam. Cash rozpiął siatkę zabezpieczającą swojej leżanki, złapał się czegoś, uniósł się i okręcił, chwytając się grodzi obok włazu. Stał oko w oko z Felice'em Gottschalkiem. Felice miał twarz koloru papieru, całą w kroplach potu, trzymał się niepewnie drabiny, bo kciuk i dwa palce lewej dłoni miał wywichnięte - musiał je uszkodzić, uwalniając się z więzów.

- Niczego nie kombinuję - wyjaśnił. - Chciałem tylko zobaczyć Ziemię. Za jego plecami Avernus powiedziała Cashowi, że to w porządku.

Felice Gottschalk gapił się mimo Casha w wąskie okienko po lewej stronie kabiny.

- Nie miałem pojęcia, że jest taka piękna. Chciałem ją zobaczyć choć raz, zanim umrę.

- To tak samo jak ja - odezwała się Avernus, nieswoim i łagodnym głosem.

Przekonała Casha, żeby pomógł Felice'owi usadowić się na wolnej leżance przeciążeniowej. Usiadł niezdarnie, ze względu na złamaną nogę, ale wydawał się nieczuły lub niepomny na wszelkie niewygody, gapiąc się z

niemym zachwytem na ziemską półkulę. Uśmiechał się. Blask Ziemi skrzył się w jego oczach.

Avernus powiedziała, że nic mu się nie stanie.

- Nieważne, kim jesteś i co zrobiłeś na Dione. Przeszłość to przeszłość. Dla mnie liczy się tylko to, że uratowałeś więźniów przed kimś, kto chciał ich skrzywdzić. Zrobiłeś to co trzeba i ja teraz zrobię dla ciebie to co trzeba.

Cash zauważył, że głowa Felice'a opadła mu na pierś.

- Już nic dla niego nie zrobisz - mruknął, wyciągnął rękę i delikatnie zamknął zmarłemu powieki.

## ROZDZIAŁ 9

Dla większości Wolnych Zewnętrznych rewolucja w Wielkiej Brazylii niczego nie zmieniła. Układy Jowisza i Saturna wciąż były pod kontrolą RTM, a zarówno generał Nabuco na Jowiszu, jak i Euclides Peixoto na Saturnie odmówili uznania rewolucyjnego rządu. Jednakże niespodziewanie Wolni Zewnętrzni otrzymali wiadomość od Tommy'ego Tabagee, który zapraszał ich przedstawicieli na Japeta, gwarantując swobodny przelot i głos w debacie nad przyszłością Układu Zewnętrznego, zwołanej przez rząd Pacyfików.

Na spotkaniu zorganizowanym, żeby to przedyskutować, Loc Ifrahim elokwentnie i stanowczo argumentował za wysłaniem przedstawicieli. Mówił, że to punkt zwrotny w historii. W Wielkiej Brazylii okowy władzy pękły i zostały przekute na nowo, a ludzie chętnie wzięli na siebie ciężar własnego losu. To bowiem jest ciężar. Wolność jest ciężarem. To nie jest coś, co się, ot tak, należy. O wolność trzeba walczyć i bronić jej z nieustanną czujnością. Wolni Zewnętrzni dostali w ręce możliwość wzięcia udziału w tej wielkiej walce. Powinni przyjąć zaproszenie Pacyfików, uczestniczyć w tym historycznym wydarzeniu i pomóc Ziemianom i Zewnętrznym pogodzić się i wypracować wspólną wizję przyszłości. Oczywiście, mogą też odmówić i skazać siebie i swoje dzieci na wegetację na marginesie ludzkiej cywilizacji i historii.

Spotkał się z pełnym wrogości milczeniem. Po paru chwilach Idriss Barr powiedział, że piękna mowa o kształtowaniu przyszłości i w ogóle, ale przyszłość nie znaczy nic, jeśli nie przetrwają, żeby ją zobaczyć - zanim rzucą się głową naprzód w nieznanne, powinni poczekać i zobaczyć, czy ta rewolucja to coś trwałego i jakie są jej konsekwencje dla Wielkiej Brazylii, dla układów Jowisza i Saturna. Mary Jeanrenaud zgodziła się żywiołowo. Przylecieli tutaj, żeby tworzyć nowe światy i nowe sposoby na życie, powiedziała. Nie powinni dać się wtlaczać w stare koleiny, a już zdecydowanie nie powinni godzić się na zewnętrzne wpływy. Zgodziło się z nią dobre kilkanaście osób - przez proste podniesienie rąk zdecydowano, że Wolni Zewnętrzni zaczekają, jak rozegra się sytuacja na Ziemi i czy będzie mieć jakikolwiek wpływ na okupację układów Jowisza i Saturna. Dopiero wtedy zaangażują się w negocjacje czy dyskusje z obcymi.

Dwa dni później satelity obserwacyjne Newta zarejestrowały ruch w oko-

licy Neptuna. Duchy wypuściły cztery statki w stronę Saturna. Wysłany z Trytona komunikat, przeznaczony dla obu układów - Jowisza i Saturna, przekazany Wolnym Zewnętrznym przez osiedle Pacyfików na Japecie, jasno oświadczał, że Duchy nie przyjęły zaproszenia do rozmów. Długi wykład o historii i przeznaczeniu, przeplatany gniewnymi diatribami piętnującymi grzechy RTM oraz zepsucie i słabość Ziemi i jej narodów, sprowadzał się do jednego ostrzeżenia: precz z naszych światów albo spotkają was konsekwencje. Duchy albo musiały sądzić, że RTM jest w rozpence i da się pokonać jednym szybkim i śmiałym atakiem, albo była to misja samobójcza fanatycznych męczenników, pierwszy strzał w długiej wojnie na wyniszczenie.

Wolni Zewnętrzni zarządziли kolejną niekończącą się debatę i po raz kolejny zdecydowali, że nie mogą zaryzykować wysłania kogokolwiek na Japeta. Po wszystkich Macy poszła popływać w centralnym zbiorniku i długo, długo unosiła się w jego płynnym środku. Słyszała tylko własny oddech w masce i chlupot wody. Czerwone i czarne pasma wodorostów falowały tam i z powrotem jak peruka ze sterczącymi włosami.

Loc Ifrahim mówił, że to punkt zwrotny w historii. Czują, że ten punkt obraca się wewnątrz niej, powoli, lecz nieubłaganie.

Wieczorem powiedziała Newtowni, co zamierza zrobić. Wysłuchał jej spokojnie i trzeźwo, po czym zapytał, czemu uważa, że powinna tak postąpić. Leżeli obok siebie na zsuniętych leżankach w bąblu sterówki *Stonia*. Rozmawiali cicho, z twarzami o parę centymetrów od siebie - w głównej kabinie spały bliźniaki.

- Tak trzeba - wyjaśniała Macy. - Loc Ifrahim ma rację, a wszyscy inni się mylą. Wiem, że jestem nietutejsza. Wiem, że nadal nie ogarniam wszystkiego, co dotyczy społeczności Zewnętrznych. Tylko że społeczności Zewnętrznych już nie ma. Została rozbita. I to jest właśnie najlepsza okazja, żeby ją zacząć odbudowywać. Wiem, że dużo ludzi liczy na to, że Duchy pójdą na wojnę z RTM w imieniu wszystkich Zewnętrznych, ale dla mnie to oczywiste, że ta flota wojenna to element tego ich objawionego przeznaczenia. Chcą wpłynąć na przyszłość, żeby zgodziła się z tak zwanymi prorocत्वami ich przywódcy.

- Ty o tym wiesz. Ja o tym wiem. Ale większość ludzi nie będzie zadowolona, jeśli sprzeciwisz się demokratycznie podjętej decyzji. Szybko znajdziesz się w kłopotach. Kiedyś ja się w takie kłopoty wpakowałem. Nie raz zresztą.

- Teraz nie chcę ciebie pakować w kłopoty. Jasno powiem, że to tylko moja wina. Ale muszę to zrobić.

Newt uśmiechnął się.

- Już nie da ci się tego wyperswadować, co?

- Raczej nie sądzę.



- To chyba trzeba zrobić plan lotu.
- Już mam, AI nawigacyjna mi zrobiła. Powiedziała, że nie ma problemu.

- Ona ci powie, co tylko zechcesz, jeśli zapytasz nie tak, jak trzeba.

Obgadali, co trzeba zrobić, co powiedzieć bliźniętom, co może się stać, jeśli Macy zostanie obwołana wyrzutkiem. Nie dyskutowali o tym, czy decyzja Macy jest słuszna, czy nie. Nie było potrzeby.

*Słoń*, jak wszystkie statki, był stale utrzymywany w pełnej gotowości, zatankowany i zaopatrzony, gotowy do wyruszenia w jednej chwili. A porwanie Loca Ifrahima okazało się niesamowicie łatwe. Powiedziała mu, że ma nowe informacje o buncie w Wielkiej Brazylii i musi je mu pierwszemu pokazać. Kiedy wsiadł na *Słonia* i zaczął ściągać skafander, Macy naciągnęła na twarz maskę i wpuściła do atmosfery statku dawkę sewofluranu, usypiając go, zanim zdążył zapytać, co się dzieje. Utrwaliła narkozę plastrzem znieczulającym, przygotowała Loca do hibernacji i wsadziła do trumny. Najtrudniej było pożegnać się z bliźniakami, które wbiły sobie do głowy, że wróci za dzień czy dwa. Naprostowanie tego będzie kolejnym ciężkim zadaniem dla Newta, zaraz po wytłumaczeniu reszcie Wolnych Zewnętrzných, co i dlaczego zrobiła Macy.

Pilotowała *Słonia* już wiele razy, jednak nigdy sama. Przez pierwszą godzinę była w ciągłym kontakcie z Newtem, który pomagał jej doszlifować parametry impulsu mającego wprowadzić ją na kurs w stronę Saturna. Nagle wciął się Idriss Barr, pytając ze złością i niedowierzaniem, co ona niby robi.

- Tworzę historię - odparła Macy, pożegnała się z Newtem i wyłączyła radio.

\*\*\*

Spadnięcie z Nephelle na Saturna zajęło *Słoniowi* 63 dni. Macy zajmowała się bieżącymi zadaniami, pilnie ćwiczyła z bezwładnościowymi obciążnikami i na rowerku treningowym, żeby poprawić napięcie mięśniowe, uczyła się podstaw nawigacji, trenując lądowania i wszelkie inne manewry w pokładowej wirtualce holownika. Co jakiś czas sprawdzała trumnę hibernacyjną Loca i co najmniej dwa razy dziennie rozmawiała z Newtem i dziećmi, rano i wieczorem, czasami częściej. Jednak w miarę oddalania się *Słonia* od Nephelle, opóźnienie zrobiło się rak duże, że musieli poprzestać na wiadomościach tekstowych i wideo.

Newt przekazywał jej wiadomości przesyłane z bazy Pacyfików na Japecie. W Brasilii zawiązał się Ludowy Komitet Rewolucyjny i ogłosił datę wyborów, ale jeszcze nie panował nad całym krajem. Armand Nabuco i niedobitki jego rządu zaszyli się w Georgetown i kontrolowali stamtąd ziemie pomiędzy rzeką Cuara na północy i Amazonką na południu; nie

poddało się jeszcze sześć innych terytoriów lojalnych wobec byłego prezydenta; wszędzie indziej grasowały powstańcze bandy pod wodzą dawnych oficerów BSS. Ponad milion ludzi mieszkało w obozach dla uchodźców, brakowało żywności, tysiące codziennie umierały na różne choroby, a w basenie Morza Karaibskiego zaczynała się pora huraganów. Jedyna dobra wiadomość: Unia Europejska odmówiła przyjęcia z pomocą obalonemu rządowi, a Wspólnota Pacyficzna oświadczyła, że jeśli trzeba, jest gotowa zapewnić pomoc humanitarną, ale poza tym uszanuje suwerenność Wielkiej Brazylii.

Ludowy Komitet Rewolucyjny i grupa uwięzionych na Księżycu Zewnętrznych polityków poprosiła RTM o rozpoczęcie natychmiastowych rozmów mających na celu pokojowe zakończenie okupacji Układu Zewnętrznego. Brazylijskie władze w układzie Jowisza jeszcze nie zareagowały. W układzie Saturna Unia i Wspólnota Pacyficzna wyraziły gotowość do współpracy, natomiast Euclides Peixoto oświadczył, że nie będzie żadnych rozmów, póki statki Duchów lecące w stronę Saturna nie zawrócą. Jeśli układ Saturna zostanie zaatakowany z którejkolwiek strony, powiedział, odwet będzie szybki i zdecydowany.

Natomiast u Wolnych Zewnętrznych większość chciała przeczekać i zobaczyć, co się stanie, kiedy Duchy dotrą do Saturna.

- Wszyscy mają mętną, nieokreśloną nadzieję, że to się jakoś samo rozwiąże - stwierdził Newt, relacjonując jej ostatnią debatę na temat kryzysu.

Bliźnięta budowały ogród na jednej z hydroponicznych pól. Macy robiła co mogła, żeby je zachęcić, tęsknie oglądała nagrania pełnej zapалу pracy i zabaw. Wysyłały jej skany swoich rysunków, malowideł, a ona drukowała je i rozwieszała po całej kabinie. Nagrywała bajki, które Newt im potem odtwarzał, ale to nie było to samo co opowiadać im osobiście. Tęskniła za nimi potwornie, myślała o nich i Newcie przez cały czas i starała się znajdować sobie zajęcie, żeby nie mieć czasu na żal, że ich wszystkich opuściła.

Po raz pierwszy od wielu lat była aż tak sama (zamknięty w trumnie hibernacyjnej Loc Ifrahim nie bardzo liczył się jako towarzystwo). Nigdy wcześniej nie była też na pokładzie *Stonia* bez Newta. Wspominała długi, ospały lot po tym, jak uciekli z układu Saturna na Urana, pod koniec Cichej Wojny. Jak kochali się wszędzie i we wszystkich możliwych pozycjach. Jak po wyłączeniu silnika Newt uczył jej atrakcji nieważkiego seksu. Po raz pierwszy widzieli się nago. Uczyli się własnych ciał, poznawali je wszystkimi pięcioma zmysłami. Mały stateczek zewsząd emanował obecnością Newta, która jednak robiła się coraz bardziej odległa w miarę spadania w czarną otchłań próżni.

Jeszcze pracując w Zespole RiO, na północnych peryferiach ziem

Fontaine'ów, Macy, uwięziona przez śnieżną burzę, spędziła dziewięć dni we frontowym baraczk, pozbawiona kontaktu radiowego z bazą, wbita we wszystkie ubrania i skulona nad konwektorowym grzejnikiem albo na pryczy pod górą koców. Żywiła się wojskowymi racjami i kawą rozpuszczalną, a spadająca z nieba biel wymazała wszystko za zaszcronionym oknem. Wtedy czuła ten sam wynikły z samotności niepokój - wtedy jednak nie musiała się martwić o zapasy wody i powietrza, i choć była odcięta od cywilizacji, baza była zaledwie trzydzieści kilometrów od niej, pół dnia jazdy ratakiem, wśród ośnieżonych sosen pod czystym błękitnym niebem, ze słońcem połyskującym iskierkami na krystalicznie białych zaspach.

Teraz jednak była tak daleko od całego świata, że mimo codziennych rutynowych czynności, mimo codziennego kontaktu z Newtem, Hanem i Hanną, nigdy nie zapominała, że tkwi w kruchym bąbelku ciepła, światła i powietrza. Jak iskierka szybująca do góry w kominie, jak unoszący się w katedrze pyłek kurzu. W najmniej oczekiwanych momentach chwycił ją dawny lęk przed lataniem, tak że miała kłopoty z zaśnięciem, budziła się nagle, przekonana, że coś jest potwornie nie tak, puls dudnił jej w uszach przez długie chwile, póki nie poczuła przez posłanie miarowego infradźwiękowego buczenia napędu i nie usłyszała szumu i pomruku wentylatorów i pomp recyrkulujących powietrze.

Wreszcie dotarła do punktu zwrotnego. Choć wiele razy pilnie ćwiczyła tę operację, a do tego była w ciągłym kontakcie z Newtem, po wszystkim trud wyłączania głównego napędu, odwracania holownika o 180 stopni i ponownego odpalania złał się jej w jeden koszmar. Na koniec zdarła z siebie ocieplacz do skafandra, gąbką starła ze skóry nieświeży, zimny pot, wczółgała się do wnęki sypialnej i zasnęła na dwanaście godzin.

Któregoś dnia Newt wysłał jej zdjęcia małej floty Duchów, zrobione, kiedy znajdowała się najbliżej Nephele, czyli wcale nie blisko - w odległości paru miliardów kilometrów. Cztery statki szły w linii, jak odłamki rozbitej komety, a każdy miał wielkość ledwie paru pikseli. Małe grudki złożone z paru kwadracików. Macy wiedziała, że nie da się z tego wyczytać żadnych użytecznych szczegółów, a jednak wpatrywała się w nie długo i zawzięcie. Miały duże albedo, może były pomalowane na białą, totemiczną barwę Duchów, były też o wiele większe niż jakiegokolwiek znane światu inne ich statki.

*Widmo płomienia też mają dziwne - napisał Newt. - Standardowe widmo napędu termojądrowego i do tego linie absorpcyjne wodoru i tlenu. Wygląda na to, że wspomagają ciąg miotaczami materii, które wyrzucają wodę, tak szybko, że rozpada się na atomowy tlen i wodór. Sprzętem, który tu mamy, ciężko ustalić przesunięcie ku czerwieni, ale zgaduję, że wyrzucają to z prędkością mniej więcej dziewięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Trzy procent prędkości światła.*

*Skoro mają tyle dodatkowego ciągu, czemu nie przyspieszają szybciej niż Słoń? - odpowiedziała Macy.*

*Te statki są większe. Większa masa, potrzebny większy ciąg. Sprawdziłem w archiwach. Tam są plany kilku różnych miotaczy materii. Widocznie któryś udało im się zmusić do działania.*

*Tak patrząc teraz, to niespecjalnie mieliśmy pojęcie, co oni kombinują, prawda?*

*Na przykład, co budują.*

*Myślę, że niedługo się dowiemy.*

*Ale obiecuj, że nie podejdziesz za blisko.*

*Obiecuję, że nie zrobię niczego głupiego specjalnie.*

Parę dni później Newt zadzwonił i powiedział Macy, że statki Duchów nie odwróciły się do hamowania. Nadal przyspieszają.

*Wygląda na to, że przelecą na wskroś przez układ Saturna - napisał. - Pewnie chcą użyć asysty grawitacyjnej i polecieć gdzie indziej. Na Jowisza albo na Ziemię. Pewnie na Jowisza. Stamtąd pochodzi większość z nich.*

*Po drodze mogą ostrzelać parę celów w układzie Saturna, prawda? - odpisała Macy. - A potem narozrabiać na Jowiszu, a może nawet na Ziemi. Ale ja nie mogę zawrócić. W tej sytuacji jeszcze bardziej trzeba się zastanawiać nad ugodą z RTM.*

Czekając na odpowiedź Newta, zjadła obiad. Twarożek rozsmarowany na ziarnistym herbatniku, garść małych, kwaśnych pomidorów z chłodni. Jadła niewiele. Wiedziała, że to przez irracjonalny lęk przed wyczerpaniem zapasów, ale nic nie mogła na to poradzić.

W memoprzestrzeni wisiał teleskopowy obraz Saturna. Teraz oddalony zaledwie o 340 milionów kilometrów. Małeńkie półkole wydawało się trochę odkształcone przez pierścienie. Jak rozmyty obraz stłuczonej filizanki. Dotrze tam za dziewięć dni i wtedy dopiero zaczną się problemy. Perspektywa wywoływała u niej lęk. Może się nie udać przekonać właściwych ludzi do właściwego rozwiązania. Mogą ją wsadzić do więzienia albo i gorzej. Może nigdy już nie ujrzeć bliźniąt ani Newta - ta myśl była nie do zniesienia.

Piknął komunikator. Przyszła odpowiedź Newta.

*Kiedy przyjdzie do ustaleń, będziesz musiała naprawdę szybko gadać. Ty zwalniasz, żeby wejść na orbitę Saturna, ale Duchy lecą coraz szybciej... To znaczy, że nie masz trzech tygodni luzu. Duchy przybędą na Saturna zaledwie pięć dni po tobie.*

Przez resztę dnia omawiali możliwe opcje. Nie było ich wiele i żadna nie była dobra. Mogła znów zacząć przyspieszać, ale podchodząc do Saturna, będzie musiała jakoś wytracić tę prędkość. Słoń był pojazdem wyłącznie kosmicznym i nie miał osłon termicznych - nie był w stanie wyhamować przez tarcie o górne warstwy atmosfery Saturna czy Tytana. W najlepszym razie mogłaby uruchomić napęd na dzień czy dwa i dodać parę godzin do

luki pomiędzy przylotem *Slonia* i Duchów, ale potem będzie musiała zwolnić, wykonując skomplikowane obloty wokół Saturna i Tytana, na które zużyje więcej czasu, niż wcześniej zaoszczędziła. Albo mogła zacząć przyspieszać i nie przestawać, śmignąć koło Saturna podobnie jak Duchy - tylko że jeszcze nie było wiadomo, czy kierują się na Jowisza, na Ziemię, czy jeszcze gdzie indziej - i nie będzie tego wiedzieć aż do spotkania z Saturnem. Jak dla niej, one równie dobrze mogą lecieć na Marsa, żeby odbić dla Zewnętrznych planetę, którą stracili ponad sto lat temu.

A wszystkie te opcje ograniczała jeszcze ilość paliwa, które miała do dyspozycji.

Na koniec, Macy z Newtem postanowili trzymać się poprzedniego planu. Dalej zwalniają, potem okrążają Saturna manewrem odwrotnej asysty grawitacyjnej, wchodzą na orbitę i jak najszybciej docierają do Paryża na Dione. Zgodzili się także, że pora obudzić Loca Ifracima.

\*\*\*

Większość roboty wykonała sama trumna. Macy napoiła Loca paroma łykami soku owocowego, przetrła mu twarz i ciało mokrymi chusteczkami, pomogła dojść do toalety. Sama dwa razy przechodziła żywienie po długiej hibernacji i dobrze wiedziała, jakie to nieprzyjemne. Skubnął odrobinę gotowanego ryżu, przeżuując każde ziarno i powiedział skrzekliwym, pohibernacyjnym głosem:

- Macy, ja i tak byłem gotowy wracać na Saturna, choćby od razu wtedy, kiedy mnie uratowałaś. Nie potrzeba było tych dramatycznych podstępów. Wystarczyło powiedzieć.

- Musiałam oszczędzać wodę i powietrze.

- A poza tym, perspektywa spędzenia ze mną dziewięciu tygodni w tej małej puszcze nie była przyjemna. Rozumiem, mam to samo - dodał, z cieniem swojego dawnego krzywego uśmiechu.

- Niezła z nas ekipa, co? - stwierdziła Macy. - Mnie samej by nie uwierzyli, tobie tak samo. Ale nam obojgu...

- A mogę zapytać, czy zabrałaś ciało kapitan Neves?

- Nie było czasu.

- Oj.

- Jeśli to wszystko się uda - powiedziała Macy z głębokim żalem - będziesz mógł ją zabrać na Ziemię.

- Oczywiście. A co się wydarzyło, kiedy spałem?

Opowiedziała mu o tym, że brazylijskie siły w układach Jowisza i Saturna odmówiły przekazania władzy, dodała, że statki Duchów cały czas przyspieszają w stronę Saturna, i wyjaśniła, co to może oznaczać.

Chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

- Jeszcze nie rozmawiałaś z RTM-em. Ani z władzami Pacyfików na Japecie.

- Uznaliśmy, że lepiej zachować ciszę w eterze.

- Ale teraz sądzisz inaczej. Dlatego mnie obudziłaś. I rychło w czas - stwierdził Loc. - Zobaczmy, co mi się uda załatwić, dobra?

Po krótkiej dyskusji z Newtem, Macy udało się wycelować główną antenę *Stonia* na Dione. Przekazała nadajnik Locowi i obserwowała, jak ten nawiązuje tekstową rozmowę z kimś nazwiskiem Yota McDonald. Starym kumplem z korpusu dyplomatycznego, jak powiedział.

Yota McDonald wyjaśnił, że rewolucja w Wielkiej Brazylii spowodowała sejsmiczne przesunięcia w równowadze sił na Saturnie. Znaczna część brazylijskiego kontyngentu w RTM, w tym służby dyplomatyczne, policyjne i urzędnicy, czterech z pięciu gubernatorów i ich sztaby w kontrolowanych przez Brazylijczyków miastach, chciała dążyć do zgody z Zewnętrznymi, ale Euclides Peixoto, wyżsi oficerowie Armii i Obrony Powietrznej odmówili zgody na taki ruch. Wyglądało na to, że Euclides jest zdeterminowany trzymać się Saturna zębami i pazurami, nie tyle przez lojalność wobec starego reżimu, ile przez niechęć do oddawania władzy nad swoim małym imperium. Brakowało mu jednak poparcia Europejczyków i Wspólnoty Pacyficznej, a bez niego tę władzę mógł zatrzymać tylko otwartą siłą. W Camelocie na Mimasie, Bagdadzie na Enceladusie, Atenach i Sparcie na Tetydzie już odbyły się liczne strajki i pokojowe protesty. Gubernatorzy tych miast odmówili pacyfikowania protestujących. Euclides zagroził, że jeśli nic nie zrobią, wyśle do nich żołnierzy. I ten pat na razie pozostał bez rozwiązania, przede wszystkim dlatego, że zbliżająca się flota Duchów stanowiła zagrożenie przyćmiewające wszystkie wewnętrzne problemy. Nie można już było wątpić w ich wrogie intencje. Euclides Peixoto utrzymywał, że planuje spektakularny kontratak, chciał także zaatakować ich miasto na Trytonie. Jeśli Loc i Macy faktycznie mają jakieś przydatne informacje na ich temat, stwierdził Yota, Euclides Peixoto na pewno zechce ich wysłuchać.

*Nie chcemy niczym handlować* - odpisał mu Loc. - *To zbyt ważna sprawa. Chcemy rozmawiać z radą bezpieczeństwa RTM.*

*Euclidesowi to się nie spodoba.*

*Jeśli chce się dowiedzieć tego, co wiemy, to będzie musiał to jakoś przekonać.*

Loc Ifrahim i Yota McDonald omówili różne metody kontaktu z różnymi agendami rządowymi, zastanawiali się też, jak uzyskać od RTM twardą gwarancję bezpiecznego przelotu. Gdy w końcu przerwał rozmowę, Macy stwierdziła, że teraz pora porozmawiać z Tommym Tabagee.

- Wylądujemy w bazie Pacyfików na Japecie. Chyba że mnie przekonasz, że masz lepszy pomysł.

- Ja się zgadzam. Ale nie śpieszymy się z tym. Najpierw musimy mieć tę

gwarancję. Nie powinno być z tym problemu, o ile przekonamy radę bezpieczeństwa RTM, że dysponujemy cennymi informacjami o Duchach. Dopiero wtedy, nie wcześniej, można zacząć negocjować warunki oddania się w ich ręce. Myślę, że mamy szansę to przeżyć, ale nie spodziewaj się wiwatujących tłumów, kiedy wylądujemy.

- Dobrze będzie, jeśli unikniemy więzienia.
- Może to mało ważne, ale uważam, że postąpiłaś właściwie - odparł

Loc.

Jego uśmiech był prawdziwym dziełem sztuki. Macy tym razem postanowiła uwierzyć mu na słowo.

- Lepiej powtórzmy sobie wszystko, co wiemy o Duchach - dodała.
- Świetny pomysł. Będziemy próbować, aż opanujesz wszystko co do słowa. Chociaż parę razy będziesz się musiała zająknąć, myślę. Ludzie często biorą to za oznakę prawdomówności.

- Ciebie nikt by o to nie podejrzewał.

Loc uśmiechnął się.

- To prawda, moje zdolności polegają na czymś innym. Dlatego będzie z nas taki przekonujący duet.

\*\*\*

Poza męczącymi próbami zeznań oraz długimi i zawiłymi dyskusjami z Tommym Tabagee, brazylijską ambasadorką i różnymi członkami rady bezpieczeństwa RTM, Macy Minnot i Loc Ifrahim starali się jak najmniej wchodzić sobie w drogę. Ona siedziała w bąblu sterówki, on w pomieszczeniu mieszkalnym. Nabrali do siebie niechętnego szacunku, ale przyjaźni to nie przypominało pod żadnym względem. Byli raczej jak dwójka współników biznesowych, którzy wbrew sobie muszą sobie odrobinę zaufać.

Za rufą *Slonia* powiększał się Saturn ze swoim księżycowym orszakiem. Statki Duchów wisiąły z boku gazowego olbrzyma - z uwagi na inne położenie Neptuna i Nephela wobec Saturna, podchodzili do niego pod innym kątem. Z początku teleskop *Slonia* pokazywał tylko małe kreseczki światła emitowanego przez napęd termojądrowy i miotacze masy. Potem, na maksymalnym powiększeniu, dało się odróżnić w tym blasku długie, ciemne smugi - rzucane przez statki cienie. W końcu była w stanie zobaczyć i same statki, ale nawet gdy *Słoń* wchodził w układ Saturna, nie mogła dostrzec żadnych istotnych szczegółów.

Tego ostatniego dnia *Słoń* przeciął mimośrodowe orbity grupki mniejszych, zewnętrznych księżyców: czterech galijskich, około trzydziestu nordyckich, poruszających się ruchem wstecznym, do których zaliczała się Febe, największa z zewnętrznych księżyców, pięciu z grupy inuickiej.

Reszta układu była głębiej: dwulicowy Japet, koziółkujący, podziurawiony Hyperion, zadymiony Tytan, poobijana Rea. Małe wewnętrzne księżycy: Dione, Tetyda, Enceladus, Mimas. Różnorodność większa niż wśród wszystkich planet Układu Słonecznego, a całość rozciągająca się od pasiastego globu po system pierścieni, z jego własnym orszakiem podróżujących po wspólnej orbicie małych satelitów, księżyców wewnątrzpierścieniowych oraz rojów drobiazgu księżycowego w Pierścieniu A.

Kontrola lotów z Japeta skontaktowała się z Macy skupioną wiązką laserową i pobrała jej plan lotu do zatwierdzenia. Była to czysta formalność: decyzje zostały już podjęte. Gdy *Słoń* spadał w głąb układu, wygoniła Loca do kabiny, sprawdziła raz i drugi wszystkie parametry lotu, uważając też na inny ruch pomiędzy rozmaitymi księżycami. Nie było go za wiele. Wspomniała, jak z Newtem i Avernus uciekali z Dione podczas Cichej Wojny. Goniła ich przez pierścienie solówka i jej bezzałogowce. Teraz też miała świadomość, że w każdej chwili pocisk lub bezzałogowiec może pogrążyć ją w ciemności. Lecący z hiperkinetyczną prędkością okruch inteligentnego żwiru przebiłby całego *Słonia* razem z komorą reaktora, w okamgnieniu zamieniając statek w kulę ognia, a w mikrosekundę w rozszerzającą się sferę odłamków. Nawet nie wiedziałyby, że coś ją trafiło, nie mogła też nic zrobić, żeby temu zapobiec, ale i tak czuła się nieswojo.

Na szczęście, lot wokół Saturna odbył się bez sensacji. *Słoń* w zasadzie pilotował się sam, idąc kursem wyliczonym i wprowadzonym przez Newta. Macy mogła tylko leżeć i pilnować przyrządów. Małeńki warkocz kometarny statków Duchów opadał ku pasiastemu półksiężycowi Saturna, a ku niej sunęła nocna strona gazowego olbrzyma, rosła, przesłaniając coraz więcej rozgwieżdżonego nieba. *Słoń* zadrżał, dając ciąg na zmianę orbity. Już pędzili wzdłuż nocnej strony, łagodnie oświetlonej odbitym światłem pierścieni. Perła Słońca puchła w szczelinie między planetą i mitycznym łukiem pierścieni, sunęła nad pastelowymi pasami daytimej strony. A owe pierścienie miała dokładnie przed sobą, jak most do nieba. *Słoń* szybował ku Japetowi.

Tuż przy zewnętrznej krawędzi systemu pierścieni kontrola lotów Japeta uprzedziła Macy, że ma czekać na przechwycenie. Niecałą godzinę później radar zauważył zbliżający się do niej statek. Spłaszczony jak pestka dyni wahadłowiec z zieloną gwiazdą Wspólnoty Pacyficznej na usterzeniu ogonowym zrównał prędkość ze *Słoniem* i zatrzymał się trzy kilometry po sterburcie.

Macy udostępniła kanał i zdała stery. Prom wystrzelił hole, które przytwierdziły się do kadłuba *Słonia*. Dwa statki przyciągnęły się do siebie. Przez służę przepompowało się trzech komandosów w skafandrach, potężnych facetów w czarnych bojowych pancierzach, które w dusznej atmosferze zaczęły parować. Zajęli większość ciasnej kabiny. Jeden natychmiast przejął



sterowanie; inna dwójka przeprowadziła Loca i Macy na drugą stronę, do jasnej groty śluzu wyciętej w ciemnej burcie wahadłowca. Macy była oszołomiona przybyciem obcych, harmidrem i nieznanym otoczeniem przestronnego przedziału pasażerskiego. Własny skafander zaczął wydawać się jej kruchy i byle jaki w porównaniu z potężnymi pancerzami komandosów; czuła się jak dziecko, które uciekło z domu i zajęli się nim zaniepokojeni dorośli.

Loc już uruchomił swój wdzięk: przez całą drogę w dół na Japeta gawędził z dowódcą oddziału. Lecieli do małego miasta, które Wspólnota Pacyficzna wybudowała w kraterze Othon, na ciemnych, północnych równinach przysaturnowej półkuli. Macy i Loca przesadzono do hermetycznego transportera opancerzonego i przewieziono z portu kosmicznego prostą jak linijka drogą do głównego habitatu. W porcie przesiadkowym powitała ich istna falanga dygnitarzy z trzech państw członkowskich RTM oraz delegatów z pięciu wolnych miast. Na ich czele stał Tommy Tabagee. Szacowny dyplomata ścisnął im dłonie i powitał w Bramie Niebios. Miał na sobie ciemny garnitur ze stójką, siwe dredy spiął złotą siatką, ale zachowywał się przyjemnie nieoficjalnie i był w znakomitym humorze.

- Jeśli uda nam się przerwać tę głupią awanturę, zanim zrobi się z niej coś poważnego, będziemy mogli mieć satysfakcję z udanego życia - powiedział i dodał, że asystenci odprowadzą Macy i Loca do ich pokojów. Będą mieć godzinkę na odświeżenie się i przygotowanie do pierwszego spotkania z Grupą Taktyczną. - Kazałem im na razie łagodnie się z wami obejść, bo musicie wypocząć przed przyjęciem. Nie bójcie się, nic bardzo uroczystego. Taki wieczorek zapoznawczy dla wszystkich zaangażowanych w to wielkie przedsięwzięcie. A teraz wybaczcie, muszę lecieć. Mam jeszcze parę spraw. Później pogadamy. Mamy wiele do omówienia i mało czasu.

\*\*\*

Po długich godzinach ćwiczeń z Locem, podczas których wyobrażali sobie wszystkie możliwe złe scenariusze, pierwsza rozmowa z grupą dyptomatów i wojskowych przyniosła Macy ulgę. Dotarła do celu; najgorsze obawy nie potwierdziły się, no i wreszcie mogła zająć się tym, po co przybyła.

Na dowód tego, co szef panelu określił jako „politykę otwartości i pełnej współpracy”, kapitan brazylijskiej Obrony Powietrznej zaprezentował Macy najnowsze informacje o małej flotyli Duchów. Jednorazowe drony przeleciały obok nich parę dni temu i przesłały zdjęcia, z których wynikało, że każdy ze statków ma kształt grota i jest pokryty pięćdziesięciometrową lodową skorupą - bardzo skutecznym pancerzem chroniącym przed bronią kinetyczną, wybuchową i energetyczną, jak stwierdził kapitan. Na wierzchu

miały powłokę z materiału o wysokim albedo, poprzecinaną misternymi rowkami, w których była ułożona nadprzewodząca siatka, chroniąca statki przed skutkami min elektromagnetycznych. Ich kształt oznaczał, że prawdopodobnie mogły hamować aerodynamicznie - wytracić znaczny procent prędkości przez tarcie o atmosferę Saturna, a potem okręcić się wokół Tytana czy innego księżyca i dowolnie wybrać cel. Początkowe opóźnienie przekroczyłyby co prawda 15 g, ale załoga może to przeżyć, jeśli chroni ją żel przeciwwprzeciężeniowy, a powietrze w płucach i jamach ciała zastąpiono natlenionym fluorowęglanem.

- Nawet jeśli tylko przejdą przez układ Saturna w manewrze asysty grawitacyjnej, mogą narobić wiele szkód pociskami, bezzałogowcami czy bronią kinetyczną - stwierdził kapitan. - Wiele rzeczy jest jeszcze nie do przewidzenia.

Ostatnie zdanie, jak dla Macy, podsumowywało wszystko, co wiedzieli o Duchach.

Po prezentacji kapitana, panel ekspertów zaczął zasypywać ją pytaniami. Powiedziała im, że nie zna wielkości ani dokładniej liczby mieszkańców Nowego Horyzontu, opisała, co widziała podczas jedynej wizyty, i streściła wrażenia innych Wolnych Zewnętrznych, którzy byli z nią u Duchów. Zznała, że nigdy nie widziała przywódcy Duchów, Leviego, i że nie ma pojęcia, czy on żyje, czy nie, ale Duchy przecież muszą wierzyć, że żyje, bo jak inaczej mógłby im wysyłać proroctwa z przyszłości? Potwierdziła, że Duchy przejęły projekt silnika termojądrowego od Wolnych Zewnętrznych, którzy do nich zdezerterowali, dodała, że nie wie, ile dokładnie posiadają statków, ani kiedy zbudowali statki, które obecnie zbliżają się do Saturna - Duchy zaczęły osiedlać się na Trytonie jakieś dziesięć lat przed Cichą Wojną, a po drugie, planują długoterminowo. Statki mogły powstać na długo przed przybyciem Wolnych Zewnętrznych do układu Neptuna, albo mogli je zbudować przez ostatni rok, w suchych dokach ukrytych głęboko pod powierzchnią Trytona.

Zapytali ją o atak na brazylijski statek na Neptunie. Pokrótce streściła przebieg negocjacji, nagle opuszczenie habitatu przez Duchy i sam atak, wyjaśniła, że nie wszystkim Wolnym Zewnętrznym udało się uciec i dołączyć do reszty, która ewakuowała się z osady na Proteuszu.

Macy nie mogła nadziwić się temu wszystkiemu: przebyła taką drogę, żeby pod przysięgą opowiadać o statkach przygotowujących się do ataku na inną planetę. A potem na myśl przychodziły jej kometarne smugi statków Duchów chowające się za mglistą krawędzią Saturna i przeszywał ją dreszcz.

Wśród członków panelu był psycholog, podporucznik europejskiej Marynarki Wojennej. Zadał szereg wnikliwych pytań dotyczących udziału Sady w ucieczce Macy ze Wschodu Edenu, gdzie była w praktyce uwięziona

po dezercji z ekipy budującej biom w Tęczowym Moście. Kiedy przewodniczący panelu podziękował Macy za pomoc, psycholog odbył z nią jeszcze długą rozmowę o Sadzie, zasypując ją mnóstwem pytań o reakcje Sady na rozmaite hipotetyczne sytuacje. Starła się odpowiedzieć na nie jak najlepiej. Na koniec zapytała:

- Pan myśli, że to ona dowodzi tym atakiem, prawda?

Psycholog miał denerwujący nawyk odpowiadania pytaniem na pytanie - zapewne skrzywienie zawodowe. Teraz odparł:

- A ty tak myślisz?

- Wiem, że chciałyby brać w tym udział.

- Zrobiliśmy sobie AI modelujące najważniejsze Duchy - stwierdził psycholog. - Oparliśmy się na wywiadach z osobami, które znały ich sprzed przystąpienia do sekty, na spotkaniach z panem Tabagee i jego zespołem oraz na fragmentarycznych notatkach, które udało się przesłać naszym dyplomatom, zanim Duchy ich zamordowały. Najbardziej prominentną osobą jest Sada Selene, reprezentuje zestaw cech, które idealizuje reszta wyznawców. Jest jak ich Joanna d'Arc.

- Powinien pan jedną rzecz sobie przyswoić - powiedziała Macy. - Oni nie uważają się za sektę.

- A za co?

- Oni mają się za nowy gatunek. Najnowszy i najlepszy. I myślą, że przyszłość należy do nich, bo ich przywódca im to powiedział z przyszłości.

Jedna z asystentek Tommy'ego Tabagee, szczupła, niezwykle uprzejma młoda kobieta nazwiskiem Gita Lo Jindal, zaprowadziła Macy do kapsuły w jednym z bloków mieszkalnych rozsianych po zalesionym terenie walca habitatu. Idąc drogą z karmazynowej półżywej murawy, wdychając chłodne powietrze przesycone świeżym zapachem wysokich sosen po obu stronach, widząc przeświecające między gęstymi gałęziami jaskrawe snopy światła, Macy poczuła dojmującą nostalgię: wspomniała lasy na północnym pograniczu Terytorium Fontaine'ów, gdzie pracowała, kiedy zaproponowano jej prestiżową pracę w ekipie oddelegowanej do ożywienia nowego biomu w Tęczowym Moście na Kallisto. Tam jej życie zmieniło się na zawsze, rzucając ją w długą i osobliwą podróż na sam skraj Układu Słonecznego i z powrotem.

Przed przesłuchaniem przez panel, Macy wysłała Newtonowi wiadomość, że wylądowała bezpiecznie na Japecie i jeśli została aresztowana, to tak dyskretnie, że nic nie zauważyła. Gdy wróciła do kapsuły, czekała na nią odpowiedź: krótkie wideo przedstawiające stłoczonych przed kamerą dzieciaki i Newta. Mówili, że tęsknią za nią. Han przesłał jeszcze rysunek, przedstawiający przysadzistą rudowłosą postać w niebieskim skafandrze, siedzącą okrakiem na czarno-białym krążku Japeta, przypominającym yin i yang. Macy kazała Gicie go wydrukować i przypięła go na jednej ze ścian, tak by

cały czas go widzieć. Potem zdrzemnęła się parę godzin we wnęce sypialnej kapsuły.

Gdy asystentka wróciła, Macy zapytała ją, czy znalazłaby kogoś, kto zrobiłby coś z wronim gniazdem na jej głowie. Gita Lo Jindal odpowiedziała, że zaraz kogoś do niej przyśle.

- A czy mogłabym tymczasem zasugerować dyskretny makijaż?
- A co to w ogóle będzie za przyjęcie?
- Takie tam, standardowy zestaw wszystkich liczących się osób. Ale nie musisz się niczym przejmować. Będiesz jedną z gwiazd, co oznacza, że możesz się zachowywać jak zechcesz.

Przyjęcie odbywało się na szczycie największego budynku w habitacie, będącego spiralą platform, pomieszczeń i sal owiniętą wokół centralnego rdzenia. Było już dobrze w trakcie, gdy przybyły Gita i Macy - ludzie tłoczyli się i kłębili na rozległym tarasie z widokiem na czubki drzew pod ścianą habitatu, gdzie pomiędzy słupami i przyporami czarnej skały spływały jedwabiste wodospady. Loc Ifrahim zaraz je przechwycił, uklonił się Gicie Lo Jindal i powiedział, że potrzebuje pożyczyć panią Minnot na chwilę - ma jej do przedstawienia parę osób. Zgolił brodę, włosy miał przycięte i zaplecione w drobne warkoczyki, które lśniły jak naoliwione, miał na sobie srebrzysty garnitur, białą koszulę i białe pantofle. Odzyskał znaczną część dawnej swobody, wyraźnie ekscytował go pomruk tłumu. Był w swoim żywiole. Czuł się jak w domu.

- Rozmawiałem z moim starym kumpłem Yotą i mam parę wiadomości - powiedział Macy, prowadząc ją wzdłuż tarasu. - Dzisiaj będzie oświadczenie. Euclides Peixoto wreszcie postanowił wziąć udział w rozmowach.

- To dobrze, prawda?

- Przynajmniej sądzi, że są ważne; ale to nie znaczy, że zgadza się z ich zamiarami. Yota myśli, że będzie próbował rozbić obrady, jestem skłonny się z nim zgodzić, ale tak naprawdę zobaczymy. Na razie bądźmy mili dla gospodarzy i udawajmy, że nic nie wiemy.

- Czyli co ja mam im mówić? - zapytała Macy.

- Wystarczy, że będziesz sobą, nic więcej - odparł Loc i przedstawił ją brazylijskiej ambasador, Paulinho Fontaine, kilku wyższym rangą osobom z jej sztabu i urzędnikom oraz androginicznemu neutku ubranemu w białe, obcisły kombinezon, które powiedziało Macy, że coś ich łączy.

- Pracowałaś kiedyś u profesor Sri Hong-Owen, w Tęczowym Moście. A ja mam zaszczyt pracować dla niej teraz.

Okazało się, według jego słów, że Sri Hong-Owen mieszka z małym zespołem na współorbitalnym księżycu, Janusie. Buduje tam habitat i pracuje nad pewnym tajnym projektem - prostym darem, który, według neutka, ma na zawsze odmienić życie ludzi w Układzie Zewnętrzny.

- Duchy wiedzą, że pani profesor jest wielką guru genetyczną i bardzo cenną osobą - powiedziało Raphael. - Kontaktowały się z nią kilka razy i proponowały, że pomogą jej zbiec. Oczywiście odmówiła, co się im nie spodobało. A teraz lecą tutaj. Zagrożone jest wszystko co mamy, więc proponujemy wszelką możliwą pomoc.

Rozmowa zesłała na najnowsze wieści o flotyli Duchów. Nie było żadnej reakcji na cykliczne wiadomości, które RTM nadawał w stronę flotyli i Trytona. Zaczynało się robić krucho z czasem - już bardzo niedługo RTM będzie musiał zdecydować, czy przypuścić otwarty atak na statki Duchów i jak go najlepiej zorganizować. Wszyscy chcieli poznać opinie Loca i Macy; Macy z przyjemnością pozwoliła Locowi odpowiadać na wszystkie pytania. Była zmęczona, a wielki tłum nieznamomych ją onieśmiała. Chwilami przestawała słuchać rozmowy, która zalatywała stęchlizną, jak to poglądy przeżute i wyplute czwarty czy piąty raz. Nagle jednak pomiędzy nią a resztę grupy wcisnął się wysoki, starszy mężczyzna o białej jak papier cerze, z siwą, spiczastą brodą. Przedstawił się jako Tariq Amir Tagore-Mittal, burmistrz Camelotu na Mimasie. Chciał wiedzieć, dlaczego Wolni Zewnętrzni nie wrócili i nie oddali flotyli statków, które według niego ukradli. Macy zaczęła tłumaczyć, że większość została porzucona na Mirandzie, kiedy Brazylijczycy zaatakowali układ Urana, a reszta przepadła, gdy Duchy napadły na brazylijską delegację, lecz stary facet przerwał jej, mówiąc, że te statki byłyby teraz potrzebne, żeby bronić układu Saturna; że przez egoizm Wolnych Zewnętrznych są bezbronni.

W Macy wezbrało święte oburzenie. Powiedziała staremu bufonowi, że nie będzie jej tu pouczał szef władz, które przed Cichą Wojną pozwoliło bez przeszkód, bez choćby słowa protestu, orbitować wokół Mimasa statkom brazylijskim i europejskim.

- Skoro już mowa o egoizmie, to trudno chyba o lepszy przykład.

Powiedziałyby jeszcze dużo więcej, ale grzecznie interweniował Loc Ifrahim, mówiąc burmistrzowi, że pani Minnot jest zmęczona i nie panuje nad sobą.

Prawda. Była zmęczona. Tak zmęczona, że nawet nie miała nic przeciwko jego wtrącaniu się. Chciała tylko pójść do kapsuły i sprawdzić, czy Newt i bliźniaki przysłali jej jakąś wiadomość. A potem iść spać. Wspięła się na palce, rozejrzała za Gitą i zobaczyła klin wysokich rangą dyplomatów i oficerów sunący wzdłuż przeciwnego brzegu wielkiego tarasu. Na czele szli Tommy Tabagee i biały człekokształtny awatar.

Na ekranie z przodu głowy awatara widać było twarz Euclidesa Peixoto.

- O, będzie ciekawie - powiedział jej Loc Ifrahim.
- Nie odważył się przybyć osobiście.
- Różne rzeczy można o nim mówić, ale tchórzem nie jest. Coś kombinuje.

- I kto to mówi?

- Co, bo kiedyś, dawno temu, przez chwilę dla niego pracowałem? Ale już nie pracuję i mam wszelkie powody, żeby mu nie wierzyć.

Macy poczuła się winna, że uraziła jego świeżą ranę. Zaczęła przeproszać, ale położył jej dłoń na ramieniu i powiedział, że nieważne.

- I tak nie powinnam...

- Pst. Zobaczmy, co ma do powiedzenia dziedzic wielkiego rodu.

Awatar i Tommy Tabagee ustawili się pośrodku tarasu. Małutki dron podfrunął do twarzy Tommy'ego, żeby służyć za mikrofon. Tommy powiedział, że ma przyjemność przedstawić człowieka, który nie wymaga przedstawienia w tym szacownym towarzystwie, a zatem po prostu usunie się w cień i pozwoli panu Peixoto wygłosić swoją mowę.

Wśród ludzi przeszedł szmer, gdy awatar okręcił się, żeby spojrzeć na zgromadzone wkoło osoby; biały plastik jego antropoidalnej skorupy połyskiwał tłusto w świetle unoszących się nad tłumem lamp. Zatrzymał się, zobaczywszy Macy Minnot i Loca Ifrahima. Twarz Euclidesa Peixoto była pozbawiona emocji, a kamienny wzrok przeszedł mimo nich. Awatar dokończył obrót. Drony wpatrzyły się weń kamerami, przez moment było słychać tylko szum ich śmigieł.

- Nie zabiorę wam dużo czasu - powiedział Euclides Peixoto. - Powiem wprost: nie przyszedłem przyłączyć się do waszego przedsięwzięcia. Zbyt dużo czasu zmarnowaliście na debaty. Wszyscy jesteście zarażeni szkodliwym wirusem demokracji. Ideą równości. Ideą, że każdy ma prawo mieć zdanie na każdy temat, a każde zdanie jest warte tyle samo. W Wielkiej Brazylii dawno temu rozprawiliśmy się z tym idiotyzmem. Nosiciele tej idei zginęli podczas Przewrotu, a wśród ocalałych nie trafiła na podatny grunt. Przetrwali bowiem tylko silni. Ci, którzy są w stanie wytrzymać wszystko, co rzuci na nich wszechświat. Ci, którzy udowodnili, że są silni, zwyciężając słabych, a nie traktując ich jak równych sobie. O tym właśnie państwo, zgromadzeni tu na tej fecie, raczyliście zapomnieć. Życie to nie współpraca. Życie to walka. Walka silnych o przetrwanie. Dlatego, jeśli postawicie na swoim, wszystko przepadnie. Już i tak straciliście czas na gadanie, podczas gdy wróg zbliża się z każdą sekundą, a w miarę jak się zbliża, nabiera także szybkości. On nie będzie się zatrzymywał na debaty i głosowania. On wie, co ma zrobić, i robi to, na Boga i Gaję. I ja także wiem, co trzeba zrobić. Dlatego tu przyszedłem, żeby się pożegnać. Jestem gotów wylecieć i zmierzyć się z wrogiem w waszym imieniu. Nie, nie dziękujcie mi. Nie potrzebuję i nie pragnę waszych pochwał. Zwycięzę wroga, a potem polecę na Jowisza, spotkam się z generałem Nabuco i wspólnie zdecydujemy, co trzeba zrobić, żeby uratować siłę i honor naszych rodzin. I wtedy tu wrócę. Ale nie po podziękowania. Silni nie potrzebują wdzięczności słabych. Zresztą, z czasem sami się o tym przekonacie. Zanim pójdę, jeszcze jedna

sprawa. - Awatar odszedł na bok, do bufetu, uniósł lewą rękę i uderzył nią o krawędź blatu, rozbijając ją pod łokciem. - Taki drobny zły uczynek, który jak dotąd pozostał bez kary. Dar, który okazał się fałszywy. Tak, panie Ifrahim, widzę, że pan dokładnie wie, o czym mówię.

Awatar nagle opuścił głowę i rzucił się na Loca błyskawicznym ruchem. Oстрыm końcem ułamanego ramienia dźgnął go w szyję i przywarł do niego, kiedy padał, raz za razem wbijając mu ostrze w szyję, twarz i pierś. Krew tryskała, ochlapując jego białą skorupę. Macy szarpnęła go za ułamaną rękę i próbowała odciągnąć, ale ją odepchnął. Poleciała w tył, wyładowała na podłodze i zerwała się na nogi, a w głowie grały jej strach i gniew. Ktoś krzyczał, wołał, żeby cholerstwo zastrzelić, ale nikt nie miał broni. Oficer Obrony Powietrznej porwał z bufetu nóż stołowy i dźgnął awatara w przegub kulowy pod brodą; Macy wyrwała przelatującemu dronowi tace i waliła go po głowie, aż ekran pękł i zgasł, a awatar wyłączył się, może śmiertelnie uszkodzony, a może dlatego, że Euclides Peixoto się rozłączył. Tego nie mieli się nigdy dowiedzieć.

Pomogła oficerowi oderwać bezwładną i zdumiewająco lekką skorupę awatara od ciała Loca Ifrahima. Leżał rozpostarty w powiększającej się kałuży krwi. Oczy miał wywrócone, nie oddychał, Macy nie wyczuwała pulsu na przegubie. Otworzyła mu siłą usta, przyłożyła swoje, poczuła smak jego krwi, wdmuchnęła mu do płuc powietrze, nacisnęła rękoma klatkę piersiową, raz, dwa, trzy i znowu wydech. Kiedy przybyła dwójka sanitariuszy, cały czas go reanimowała. Ale nic już nie mogli zrobić, żeby go ożywić - ani teraz, ani później.

## ROZDZIAŁ 10

*Raz w życiu biedak chciał zrobić dobry uczynek, zapisała Macy. Lecz jakiś głupi numer z przeszłości, który zrobił Euclidesowi Peixoto, wrócił i go zabił. Zniechęciłam go od pierwszej chwili, ale naprawdę szkoda, że nie żyje. Wydaje się, że pod koniec naprawdę się zmienił. Naprawdę chciał pomóc. Było w tym ego, jasne, chciał mieć swój udział w tym, jak to zwał, punkcie zwrotnym historii, żeby zyskać trochę władzy albo wpływów. Ale jednak. Żal mi, że nie żyje. W życiu nie myślałam, że to powiem.*

*A tymczasem Euclides Peixoto goni za własną wizją chwały. Wyprawił się na koniec Układu własną flotyllą. Jest gotowy zaatakować Duchy. Nie wiemy, jaki ma plan, ale wziął ze sobą znaczną część zasobów RTM. Wszystkie statki brazylijskie, oczywiście, oraz europejskie solówki stacjonujące na Leśnym Kwiecie. Czyli ma dwa liniowce i dwa skrzydła solówek plus trochę zaadaptowanych statków Zewnętrznych. No i mały arsenał bomb wodorowych.*

*Jeżeli faktycznie pokona Duchy i jeśli nie kłamał, bo przecież nie ma pewności, co w tym przemówieniu, o którym pisałam ostatnim razem, było prawdą, a co pustymi przechwałkami - będzie chciał zawiązać sojusz z władzami Jowisza. General, który tam dowodzi siłami okupacyjnymi, jest ze starej szkoły i też nie uznał nowego rządu Wielkiej Brazylii. Czyli, nawet jeśli tu się nam poszczęści, trzeba będzie się zastanowić, co z tym dalej zrobić.*

*Pisała dalej, siedząc po turecku na łóżku w swojej kapsule, przy świetle przykręconym do szarości o zmierzchu. U Macy była druga rano czasu miejscowego. Była śmiertelnie zmęczona, wyczerpana żartami, naporem japońskiego ciężaru i metabolitami adrenaliny. Po zabójstwie Loca odbyła długą naradę z Radą Bezpieczeństwa RTM oraz delegatami wolnych miast. Poprosili ją o wzięcie udziału, jako jedyną przedstawicielkę Wolnych Zewnętrznych. Siedziała z tyłu, włosy miała wilgotne po prysznicu, który wzięła, żeby zmyć z siebie krew Loca, i z narastającą niecierpliwością słuchała argumentów przerzucanych tam i z powrotem, niewskazujących na to, by mogło to doprowadzić do jakiegokolwiek porozumienia. Wydawało się, że wszyscy się okopują na utartych pozycjach i bronią ich do upadłego, okazując stanowczo zbyt wiele interesowności, a zbyt mało ducha jedności czy zaufania. Nie wierzyła, że nikomu nie przyszedł do głowy najoczywistszy sposób na przecięcie tych czczych gadek, jednym zdaniem, które*



przeciagnęłoby Zewnętrznych na stronę RTM. Koło północy, gdy spotkanie tymczasowo zawieszono, bo niczego istotnego nie ustalono, a dyskusja rozbiła się na podgrupy, poszła do Tommy'ego Tabagee, poprosiła go o parę minut i wyłożyła swój pomysł.

Wysłuchał jej uważnie i powiedział:

- To jedna z pierwszych rzeczy, którymi trzeba się zająć, kiedy to się skończy...

- Nie wtedy - odparła. - Trzeba teraz. Może nie wyraziłam się jasno. Tu nie chodzi o udowodnienie Zewnętrznym, że dążysz do zgody z nimi. Choć i to jest oczywiście ważne. Bez dwóch zdań. Ale tak samo ważne jest, że tam siedzi pod kluczem cała masa zdolnych ludzi. A my tu jesteśmy zgodni tylko w jednej kwestii: że potrzeba nam więcej zasobów. A ludzie to zasób, prawda? Brakuje pilotów. Niech oni siądą za stery. Może będą wiedzieć, gdzie przed Cichą Wojną pochowano niektóre statki albo gdzie są składy broni. A może, być może, pomogą ci nawiązać kontakt z Duchami i nie dopuścić, żeby to się rozwinęło w regularną wojnę.

Przedyskutowali to na wszystkie strony. Tommy Tabagee zaprosił brazylijską ambasadorkę, Paulinho Fontaine, która wysłuchała Macy i oświadczyła, że o ile popiera nowe władze Wielkiej Brazylii i ich obietnicę uwolnienia miast i osad Układu Zewnętrznego, o tyle przekazanie musi się odbyć w sposób zorganizowany, a przy obecnym kryzysie to nie jest możliwe.

- Jedna z najważniejszych rzeczy, jakich się dowiedziałam, żyjąc tutaj - powiedziała Macy - to fakt, że w umiejętności rozwiązywania problemów Zewnętrzni biją wszystkich na głowę. Są inteligentni i wiedzą, jak się organizować i współpracować, żeby coś osiągnąć. Jak pani myśli, inaczej przeżyliby tak długo w takim środowisku? Nie potrzeba żadnych szczegółowych planów przekazania władzy, bo oni potrafią na bieżąco wypracowywać rozwiązania dla wszystkich problemów i komplikacji. Ale za to wy potrzebujecie ich mieć już, teraz, po swojej stronie. Żeby pokazać im, że panowanie Euclidesa Peixoto się skończyło. Niech sobie leci i atakuje Duchy, jeśli ma ochotę, a tu niech sprawy w swoje ręce biorą z powrotem Zewnętrzni.

Potem, o drugiej nad ranem, powiedziała Newtonowi, co ustalili, wysłała wiadomość, wyłączyła tablet i światła w kapsule, położyła się i próbowała zasnąć. Czekał ją długi dzień. Musiała jeszcze wyzwolić Paryż.

\*\*\*

Następnego dnia Macy, Tommy Tabagee, pani ambasador Brazylii i neutko Raphael byli już na Dione, w ciasnym jednopokojowym mieszkaniu w tak zwanym Nowym Mieście, zbudowanym przez Brazylijczyków

więziennym namiocie. Rozmawiali z wybranymi demokratycznie przedstawicielami więźniów, podczas gdy zawieszony w kącie pod sufitem dron przekazywał dyskusję wszystkim innym.

Wśród przedstawioelek była matka Newta, Abbie Jones. Przeszli do rzeczy tak szybko, że Macy ledwo zdążyła jej powiedzieć, że została babką adopcyjną. Rozmawiali długo. Trzy godziny, cztery. Na początku reprezentanci Zewnętrznych podzielili się wzdłuż spodziewanych linii - na tych, którzy sądzili, że to podstęp, a ratunkiem dla nich są Duchy; tych, co nie chcieli mieć nic wspólnego ani z Duchami, ani z RTM; oraz większość pod wodzą Abbie Jones, która zdawała sobie sprawę, że to najlepsza szansa na odzyskanie czegoś przypominającego przedwojenną niezależność. W końcu Macy wyłączyła się, żeby napić się miętowej herbaty, rozmasować obolałe gardło, oszołomiona, wykończona. Rozpisywano referendum. Wyniki pojawiły się po niecałej godzinie. Zdecydowana większość była za opróżnieniem Nowego Miasta i powrotem do Paryża.

Ambasador Brazylii wygłosiła krótką, pełną wdzięczności mowę, w której dziękowała im za taką decyzję.

- Nim zaczniecie się organizować - powiedziała - mam do was prośbę. Otworzymy łącza do innych miast w układzie Saturna. Porozmawiajcie z nimi. Powiedzcie, co tutaj ustaliliście. Niech wiedzą, że zgodziliście się nam pomóc w tej trudnej godzinie.

Po wszystkim Zewnętrzni zabrali się do pracy. Polityka zerowego przyrostu Euclidesa Peixoto oznaczała, że nie trzeba było się martwić o kobiety w ciąży, niemowlęta i małe dzieci. Mniejszość, dość liczna, która odmówiła współpracy z RTM na jakichkolwiek warunkach, zgodziła się zostać i doglądać miasta. Zostali też sanitariusze i pacjenci zbyt chorzy na przeprowadzkę. Wszyscy inni wzięli małe bagaże, włożyli skafandry próżniowe i zebrawali się na ulicach i placach w pobliżu śluz. Monitorzy, odpowiadający za dwudziestoosobowe grupy, meldowali się nadzorcom, ci z kolei zwołanej *ad hoc* komisji. W końcu wszyscy byli gotowi i zaczęła się ewakuacja. Przepompowywali się przez śluzę grupa za grupą, niektórzy wsiadali na oczekujące rolligony, a reszta ruszała powolnym, niestrudżonym pochodem, który nie mieścił się na drodze i przelewał się po obu stronach na zapyłony lód - rzeka ludzi idących we wspólnym celu, płynąca po dnie krateru Romulusa do Paryża.

Macy szła blisko przodu długiej kolumny, z Abbie Jones i innymi ludźmi z klanu Jones-Truex-Bakaleinikoff, w tym z wujem Newta, Pete'em Bakaleinikoffem, oraz Junko i Junpei Asaiami, członkami małej grupki speców od teleskopów, do której kiedyś należała. Opowiadali jej historie z życia pod rządami Brazylijczyków, ona mówiła o Wolnych Zewnętrznych.

- Dokonaliście wielkiej rzeczy - powiedział Pete Bakaleinikoff. - Prze-trwaliście tam, pokonaliście Brazylijczyków, a potem Duchy. Wróćcie

wszyscy do domu, kiedy to się skończy?

- No nie wiem - odparła Macy i uświadomiła sobie, że właściwie się nad tym nie zastanawiała. - Mamy już na tej Nephelle coś w rodzaju domu. Pewnie część ludzi będzie chciała tam zostać. A znowu inni pewnie zechcą wrócić na Mirandę i odbudować habitat, który tam mieliśmy, albo założyć nowy, jeśli Brazylia tamten zniszczyła. Ale najpierw trzeba zakończyć tę sprawę.

Wszystko było zagrożone, a Macy mimo to cieszyła się. Świetnie było iść ze starymi znajomymi na czele wielkiej ludzkiej armii, pomóc w ich uwolnieniu, prowadzić ich do domu. Przed kolumną sunęły spacerowym tempem rolligony wiozące zaopatrzenie oraz mieszkańców zbyt starych lub chorych, by mogli iść, kilka trójkołowców uwijało się tam i z powrotem, filmując ludzi schodzących niskograwitacyjnymi skokami po łagodnej pochyłości, rozmawiających ze sobą na wspólnym paśmie, przyłączających się do śpiewów, które narastały i opadały wzdłuż barwnej parady, sunącej miarowo przez ponury krajobraz pod czarnym niebem, z małym, jaskrawym Słońcem nisko na zachodzie i wiszącym w zenicie wielkim globem Saturna. Macy nie była przyzwyczajona do długich wędrówek. Zaraz rozboleła ją noga i krzyż, oddech zaczął chrypieć w kuli hełmu, sztywny skafander obcierał kolana i biodra, ale była zdeterminowana, by ukończyć marsz na własnych nogach.

Zatem wszyscy szli i szli, aż wreszcie nad bliskim horyzontem ukazał się Paryż, jasna szczerba wciśnięta w ciemne zbocze krateru. Rozległ się wielki okrzyk radości, kolumna przyśpieszyła, poszła przez pola organizmów próżniowych i minęła port kosmiczny - niektórzy ludzie biegli już przed rolligonami, skacząc jak gazy. Chcieli być pierwsi po drugiej stronie śluz.

Wielkie towarowe śluzы były w stanie obsłużyć po setce ludzi naraz, lecz do Paryża przyszło ich ponad pięć tysięcy: choć operacja szła równie gładko, jak ewakuacja Nowego Miasta, przepompowanie wszystkich zajęło parę godzin. Macy, Abbie Jones i inni przedstawiciele czekali na swoją kolejkę, a po drugiej stronie przywitał ich Tommy Tabagee i brazylijska ambasador. Wszędzie wokół paszcze śluz wypluwały kolejne porcje Paryżan, którzy rozchodzili się po rampach i placach przeładunkowych, wciąż w skafandrach, z hełmami pod pachą i podręcznymi torbami przewieszonymi przez ramię. Rozchodzili się po pustych alejach, ulicach i parkach, organizowali się w grupki otwierające poszczególne budynki mieszkalne, urządzali w parkach kuchnie wydające wszystkim pierwszy posiłek, przejmowali infrastrukturę energetyczną, wodociągową i powietrzną.

Wszystko to nagrywały drony, a obraz był montowany na bieżąco i pakowany w skompresowaną transmisję wycelowaną we flotyllę Duchów i Neptuna.

Później, tego samego wieczoru, na najwyższym piętrze budynku władz

RTM, wysoko ponad miastem ożywionym światłami i muzyką z setek ulicznych imprez, Macy wdała się w niekończącą się dyskusję pomiędzy przedstawicielami Paryża i prominentnymi członkami RTM o tym, co zrobić, by siły Euclidesa Peixoto nie mogły zająć Paryża z powrotem - rozdać ludziom lekką broń, zorganizować ochotnicze oddziały, rozdysponować drony bojowe zabrane z patroli wokół Nowego Miasta. Statków Zewnętrzni mieli mniej niż się spodziewano - głównie pozostawione przez Euclidesa Peixoto galary i holowniki. Dawno niepraktykujący piloci i inżynierowie opracowywali plany zamontowania na nich dział elektromagnetycznych i dronów z materiałami wybuchowymi - był to drobny, ale znaczący dodatek do zasobów, które mobilizowali Europejczycy i Wspólnota Pacyficzna do ostatecznej bitwy z Duchami. Duchy jak dotąd nie potwierdziły, że odbierają transmisje pokazujące wyzwolenie Paryża.

Kiedy wszystko po kolei przegadano, było dobrze po północy. Macy i Abbie coś przekąsiły. Macy opowiadała o swoim koczowniczym życiu z Newtem i bliźniętami.

- Powinnam wysłać im wiadomość - stwierdziła Abbie. - A właściwie to wszyscy powinniście zlokalizować rodziny swoich ludzi i poprosić ich, żeby się z nimi skontaktowali.

Pomysł był dobry, ale dał Macy zajęcie na cały ranek. Abbie zorganizowała paru techników, którzy nakierowali jedną z talerzowych anten miejskiej stacji nadawczej na Nephela. Ludzie zaczęli przychodzić nieprzerwanym ciągiem, żeby nagrywać wiadomości, które przesyłano tam stale, póki Nephela nie schowała się za Saturnem.

Macy nagrała i własną wiadomość, zaaranżowaną z pomocą brazylijskiego psychologa, apelującą do Sady Selene, żeby nawiązała dialog. A potem, kiedy wysyłano ją w pętli do flotyli Duchów oraz na Neptuna, za pomocą awatara spotkała się z Grupą Taktyczną na Japecie, żeby odpowiedzieć na pytania dotyczące Duchów i ich miasta.

Następnego dnia rano armada Duchów szybko zbliżała się do kordonu wytyczonego przez *Leśny Kwiat*, *Getúlia Dornellesa Vargasa* i niewielką eskadrę solówek oraz promów i frachtowców Zewnętrznych, około stu milionów kilometrów od Saturna. Nie było odpowiedzi ani na wiadomość skierowaną do Sady Selene, ani na wszelkie inne komunikaty dla Duchów.

Pete Bakaleinikoff oraz Junko i Junpei Asaiowie obudzili chmurowy teleskop, który przez cały czas drzemał na orbicie wokół tylnego punktu trojańskiego Saturna, i skierowali go na kordon. W całym Paryżu ludzie pochyliли się nad tabletami albo pozakładali speksy i wpatrzyli się w widok przekazywany na żywo z pola bitwy. Macy i członkowie nowych miejskich władz oglądali to w memoprzestrzeni na najwyższym piętrze budynku RTM. Jeden z techników wyświetlił holograficzny zegar odliczający sekundy do pierwszego kontaktu z wrogiem. Gdy zszedł do ostatniej minuty, wszyscy w

wielkiej sali zamilkli. Całe miasto ucichło.

Brazylijskie statki były rozciągnięte w linii mającej sto tysięcy kilometrów, idącej równoległe do przewidywanego kursu Duchów. Wypełniły ten sektor przestrzeni chmurami pocisków kinetycznych, platform z laserami, bezzałogowcami, minami atomowymi i elektromagnetycznymi. Cztery statki Duchów wyłączały i włączały miotacze materii w losowych odstępach, zmieniając deltę  $v$  tak, by nie dało się precyzyjnie przewidzieć ich trajektorii. Sunęły jeden za drugim po mocno zakrzywionym łuku, z prędkością prawie 3 tysięcy kilometrów na sekundę, niemal 0,1% prędkości światła. Mimo że ów łuk miał ponad 10 tysięcy kilometrów długości, przeszedł przez brazylijski kordon w niecałe 36 sekund, przebijając się przez chmurę pocisków, laserów rentgenowskich, bomb konwencjonalnych i wodorowych, których strzępiaste kwiaty wciąż rozszerzały się i blade, gdy statki Duchów się oddalały.

Zewnętrzne warstwy lodowych pancerzy pierwszego i drugiego statku, najbliższych linii kordonu, zaczęły pękać na wielkie odłamki. Mimo to, pancerze pozostałych, choć podziurawione kraterami od licznych pocisków kinetycznych, trzymały się. Na powtórzonym i powiększonym fragmencie ogólnego widoku widać było trio solówek atakujących przelatujący statek Duchów - strzelały laserami rentgenowskimi w dyszę miotacza materii; inne nagranie pokazywało rój bezzałogowców uderzających w *Getúlia Dornellesa Vargasa* - cały dziób wielkiego statku zapłonął eksplozjami, a z wyrw w kadłubie trysnęły fontanny odłamków; trzecie wideo - pocisk kinetyczny przebijający *Leśny Kwiat* od kilku po rufę i wylatujący pomiędzy dyszami napędu termojądrowego potężną kulą ognia, podczas gdy rozbity kadłub eksplodował iskrzącymi się odłamkami.

Próby wywołania przez radio kogokolwiek z brazylijskich statków spełzły na niczym. Wokół ich rozbitych wraków panicznie hamowały ocalałe solówki, usiłując wytracić deltę  $v$ , żeby móc zawrócić i wrócić do układu Saturna. Flotylla Duchów szła dalej, od Tytana, a potem Saturna dzieliło ją niecałe dziewięć godzin.

Pierwsza runda bitwy o układ Saturna dobiegła końca. Zaraz zacznie się druga. Statki Wspólnoty Pacyficznej przyspieszyły na zewnątrz układu, przygotowując się do ostatecznego ataku. Holowniki i galary, uzbrojone po partyzancku i sterowane zdalnie, wisiały na synchronicznych orbitach nad miastami zamieszkanymi księżyców, a wszędzie wokół miast trwały prace nad przygotowaniem naziemnego uzbrojenia. Na ostatnim piętrze budynku RTM w Paryżu zespoły od strategii opracowywały reakcje na wszelkie możliwe scenariusze. Nie było zgody, co planują zrobić Duchy. Wciąż wydawało się, że okrążą Tytana i przelecą na wskroś przez układ, ale w przelocie mogły ostrzelać instalacje RTM i miasta Zewnętrznych wszelką możliwą bronią kinetyczną albo wypuścić drony i bezzałogowce zdolne do

wyhamowania w atmosferze Saturna i wejścia na najróżniejsze orbity pomiędzy pierścieniami i księżycami - żeby prowadziły atak, mimo że flotyła Duchów dawno się oddaliła.

Ludzie cały czas zasypywali Macy pytaniami. Na większość nie była w stanie odpowiedzieć - i tak nie mogła się nadziwić, że odpowiada chociaż na niektóre. Tymczasem przesłała Newtonowi wideo ze statkami Duchów przebijającymi się przez kordon Euclidesa Peixoto, a pomiędzy rozmowami przekazywała mu także informacje o toczących się dyskusjach i spekulacjach. Odpowiedział, że jego satelity obserwacyjne zauważyły wybuchy bomb wodorowych oraz że Wolni Zewnętrzni urządzili debatę i przytłaczającą większością głosów zdecydowali o uznaniu nowych władz Paryża i wejściu w dialog z RTM.

*Jak dla mnie, to za późno i za mało. Ale na więcej nas nie stać. Nawet gdybyśmy mieli dość paliwa, dotarcie do was zajęłoby nam dziewięć tygodni.*

*Bądź w kontakcie - odpisała Macy. - A jeśli to pójdzie nie tak, bądźcie gotowi na przyjęcie masy uchodźców.*

Stwierdziła, że jest głodna, pochłonęła woreczek jogurtu z pierwiastków CHON, delikatnie zalatującego spaloną gumą. Holozegar został przestawiony i odliczał teraz czas do kontaktu flotyli Duchów z Tytanem - za niecałą godzinę. W zatłoczonym pomieszczeniu zaczęły wybuchać kłótnie. Brazylijska ambasador i Abbie Jones stały przed memoprzestrzenią, rozmawiając z Tommym Tabagee i innymi członkami rady bezpieczeństwa z Japeta. Raphael, przedstawiciel Sri Hong-Owen, rozmawiało o czymś z Pete'em Bakaleinikoffem. Obaj zaczęli przeciskać się przez tłum ku Macy.

- Ono chce, żebym wycelował teleskop chmurowy w pierścienie - powiedział Pete. - Twierdzi, że coś się tam wydarzy i wszyscy powinniśmy to widzieć.

- Teraz-zaraz-natychmiast albo przegapicie - niecierpliwiło się neutko. Jego niepokojąco piękna, androginiczna twarz była nieprzenikniona. - I proszę, Macy, nie pytaj, co się tam stanie. O wiele łatwiej to pokazać niż tłumaczyć.

Neutko przybyło na Dione na ochotnika, żeby pomagać w ewakuacji. Macy już wtedy zastanawiała się nad jego motywacją, a teraz poczuła silny niepokój. Jak rozwijający się w trzewiach zimny wąż.

Odezwała się do Pete'a:

- Długo potrwa przestawienie tych teleskopów?

Starszy człowiek przesunął dłonią po piegowatej łysinie.

- No nie, niedługo. Ale stracimy pierwszorzędny widok na flotyllę Duchów.

- W tej chwili to, co się wydarzy na pierścieniach, jest o wiele ważniejsze - upierało się Raphael. - Są oczywiście inne teleskopy, ale wasz jest najlepszy, bo jest powyżej płaszczyzny pierścieni.

- Chyba nie zaszkodzi, żeby szybko tam zerknąć - powiedziała Macy.
- Właśnie tak myślałem - odparł. - Ale ty tu rzadzisz.

Parsknęła nerwowo śmiechem.

- A już tam.

- Oczywiście, że tak - powtórzył Pete, założył speksy i zaczął przecinać i gładzić powietrze dłońmi.

Wielka memoprzestrzeń pośrodku sali pociemniała, a potem wyświetliła kajmakowy glob Saturna opasany oświetloną Słońcem płaszczyzną pierścieni: szerokim łukiem wyrzeźbionym w misterne rowki i pasma o różnej jasności i kolorze, beżowe, śmietankowe i szare, poprzecinane cienkimi, czarnymi przerwami i szerokim, smolistym pasem Przerwy Cassiniego.

Raphael zaśmiało się, podeszło ze zmysłowym wdziękiem do memoprzestrzeni i wskazało skupisko małych światełek tuż przy Przerwie Keelera, na zewnętrznej krawędzi Pierścienia A. Pięć, dziesięć, dwadzieścia świetlnych punktów, wyraźnie przesuwających się na zewnątrz.

- Statki! - zawołało parę osób, a reszta powiedziała, że to niemożliwe, że jest ich za dużo i przyśpieszają za szybko jak na statki.

- Cokolwiek to jest, idzie na przechwycenie Duchów - stwierdził Pete.

Otworzył okno ze schematem wewnętrznej części układu Saturna i wykreślił odchodzący od niego łuk, stykający się z kursem flotyli Duchów tuż przed jej spotkaniem z Tytanem.

Wszyscy w sali wpatrywali się teraz w memoprzestrzeń. Raphael odwróciło się, żeby na nich spojrzeć, uśmiechnięte od ucha do ucha, uradowane, z dłońmi uniesionymi jak do błogosławieństwa.

- Oto dar od Sri Hong-Owen - powiedziało. - Postanowiła poświęcić te nasiona w imię większego dobra.

- Jakie nasiona? To karłowate księżycy z napędem - zdziwiła się jakaś kobieta. - Daje się zauważyć zmiany w śladach składowych pierścienia.

Macy zapytała Pete'a, o co jej chodzi. Pete wytłumaczył, że w wąskim pasie w Pierścieniu A krąży wiele tysięcy drobnych, nieregularnych ciał, od trzydziestu do stu metrów średnicy. Są pozostałościami małego księżycy, rozbitego przez asteroidę czy kometę. Ich pola grawitacyjne powodują w pierścieniu charakterystyczne zaburzenia, przypominające kilwatery mnóstwa motorówek.

Raphael przeczekalo grad pytań, po czym znów uniosło ręce i powiedziało, że ludzie Sri Hong-Owen nie zdążyli jeszcze przetworzyć na nasiona wszystkich miniksiężyców z Pierścienia A, ale znaczną część tak.

- Jeśli pierwsza fala nie przebiję się przez obronę Duchów, mamy ich aż nadto, żeby spróbować jeszcze raz.

Ludzie znów zasypali neutko pytaniami, Raphael powiedziało jednak, że zaraz wszystko będzie jasne. A na razie powinni zabrać się z powrotem do pracy.

- Jeszcze nie znamy zamiarów Duchów, więc powinniśmy się przygotować na każdą ewentualność.
- Nie wiem, czy cię bić, czy całować - powiedziała Macy neutku.
- Sri prosiła, żeby tego nie ujawniać, jeśli to nie będzie konieczne - odparło Raphael.
- A ty zawsze spełniasz kaprysy swojej pani.
- Czasem wydają się dziwne czy niestosowne, ale to nigdy nie są tylko kaprysy.

Pete Bakaleinikoff wyświetlił rozmazany materiał wideo, przedstawiający startujący z pierścienia jeden z miniksiężyców. Nieregularny, dziobaty okruch lodu w kształcie ziemniaka, owinięty spiralnie pasem fullerenowego kompozytu, z jakąś osłoną czy pokrywą na jednym końcu i gronem miotaczy materii na drugim. Podziałka dawała mu około osiemdziesięciu metrów wzdłuż i około czterdziestu w poprzek. Obok zaczęły przewijać się robione przez różnych ludzi wyliczenia. Nasiono przyspieszało z ponad 20 g i do momentu kontaktu z Tytanem miało zużyć na to znaczną część masy, ale i tak, przecinając się z flotyllą Duchów, ważyłoby jakieś 60 tysięcy ton i poruszało się względem niej z prędkością ponad 25 kilometrów na sekundę.

- Jedno takie spokojnie wystarczy, żeby przebić się przez ich pancierz - stwierdziła jakaś kobieta.
- Ale zanim ich trafi, mogą zorganizować odwet - dodała inna. - Nie można wykluczyć jakiegoś samobójczego spazmu.
- Przecież i tak się go spodziewaliśmy - odparła pierwsza.

Wszyscy wrócili do wyliczeń parametrów zderzenia i opracowywanych scenariuszy obrony. Macy zaś przypatrywała się przebudowanemu miniksiężycowi. Zastanawiała się, co jest pod tą pokrywą na końcu. Bardzo przypominała akrosom zwieńczający ludzki plemnik. Nasionie. Pojemnik z nowym życiem i wszystkim, czego potrzebuje na początek.

Zapytała Pete'a, z czego są te napędzane księżyce.

- Głównie z brudnego lodu.
- Jakież substancje organiczne?
- Trochę na pewno - Pete spojrział na nią, mrużąc oczy. - Myślisz, że obudowa i szkielet są utkane z fullerenów? I obsada miotacza materii?
- Między innymi - odparła Macy, myśląc o przytulnym małym habitacie orbitującym wokół Nephela.

Minęło dwadzieścia minut. Trzydzieści. Ktoś podpiął się do kamery drona znajdującego się prawie dokładnie z tyłu gromadki miniksiężyców: okruchów cienia spowitych potężnym obłokiem mgły materii z napędu. Teraz zza Saturna wychynał pomarańczowy krąg Tytana: w ciągu dwóch minut statki Duchów uruchomiły silniki termojądrowe i miotacze materii. Ewidentnie zauważyły miniksiężyce i zorientowały się, że przecinają się z nimi kursami tuż przed spotkaniem z Tytanem. Kursów już nie mogły



zmienić, ale mogły próbować zwiększyć prędkość, żeby przejść przez punkt przecięcia przed miniksiężycami.

Trzydzieści sekund później miniksiężyc trafił w pierwszy statek Duchów. Łód rozbłysł, zmieniając się w rozszerzający się pierścień rozżarzonego, jaśniejszego od Słońca gazu, na który poszła połowa masy opancerzonego statku. Rozjarzył się jeszcze jaśniej, gdy puściło pole skupiacza plazmy w reaktorze, po czym nowa gwiazda pociemniała i zaczęła się zapadać, jednocześnie okrążając Tytana i kierując się w środek Saturna. Potem rozbłysł drugi statek i trzeci. Macy i reszta ludzi patrzyli w milczeniu, ponuro, jak czwarty ze statków leci dalej nienaruszony. Wszedł po głębokiej cięciwie w mętną atmosferę Tytana i jego lodowy pancerz, mocno naruszony podczas przejścia przez linię kordonu, rozpadł się. Odłamki zakreśliły rozżarzoną plazmą jaskrawe parabole na tle tytanowego smogu i trafiły w północną półkulę księżyca, tworząc ciąg nowych, świeżych kraterów; inne wyszły z atmosfery mniej lub bardziej nienaruszone, jak rozbita kometa koziołkująca ku Saturnowi, w ślad za stygnącymi plazmowymi kulami - jedynymi pozostałościami po innych trzech statkach.

Napięcie wreszcie puściło i wszyscy obserwatorzy padli sobie w ramiona. Macy objęła Pete'a Bakaleinikoffa, nieznajomi obejmowali ją. A potem stanęła przed Raphaelem. Neutko przyciągnęło ją do siebie i powiedziało na ucho:

- Musisz mi pomóc. Pomożesz?
- Pewnie.
- To świetnie. Muszę wrócić do domu - oznajmiło Raphael. - Bardzo bym chciało, żebyś mnie zabrała.
- Teraz?
- Teraz. Proszę. Jeśli nie wylecimy szybko, przegapimy resztę atrakcji.

\*\*\*

Macy poświęciła chwilę na rozmowę z Abbie Jones. Powiedziała jej, że musi jechać, zapytała, czy chce odwiedzić syna i wnuki na Nephele, zobaczyć, co tam zbudowali, i dowiedzieć się, co planują. Abbie odpowiedziała, że przyleci jak najszybciej, ale ma jeszcze masę roboty wokół Saturna.

- Trzeba powołać w mieście regularne władze. Naprawić połączenia z innymi miastami. - Zaczęła odliczać na palcach. Siedziała na fotelu-worku, z tabletem na kolanach, z oczyma szklistymi ze zmęczenia, ale skupiona i zdeterminowana. - Doprowadzić wszystkie statki do porządku. Podpisać pokój z ludźmi z Camelotu i ze wszystkimi innymi, którzy próbowali się uratować, ogłaszając neutralność...

Macy, usadowiona po turecku przed nią, dodała parę własnych kwestii.

- Dogadać się z Duchami. Dopilnować, żeby Europejczycy i Pacyfiko-

wie przestrzegali warunków.

- Przekonać ich, żeby wracali do domu - stwierdziła Abbie. - I znaleźć jakiś sposób na podjęcie negocjacji z Brazylijczykami w układzie Jowisza. Ludzie z Kallisto, Ganimedesa i Europy też zasługują na wolność. Tyle czasu planowaliśmy i dyskutowaliśmy, co zrobić, kiedy nadejdzie ten dzień. Wreszcie nadszedł i teraz trzeba zrobić wszystko naraz. Uważaj na siebie, Macy. Leć bezpiecznie do domu i pilnuj, żeby mój syn znowu nie wyprawił się na jakąś szaloną misję. Niech będzie na miejscu, kiedy przyjadę was odwiedzić.

Było po północy, ale nikt w mieście nie spał. Ludzie siedzieli w kawiarniach, w parkach, spacerowali alejami małymi i większymi grupkami. Śmiali się, śpiewali, idąc ręka w rękę. W którymś z parków rozsiedli się bębniarze, a ludzie skakali i tańczyli wokół nich, jak zwariowany balet.

Na czarnym niebie ponad płaskimi dachami starych bloków mieszkalnych zaczęły eksplodować fajerwerki, a Macy i Raphael jechali trójkołowcem do dzielnicy przemysłowej. Do portu kosmicznego zabrali się rolligonem, który kursował do miasta z zapasami broni i amunicji. Macy przeleciała z Japeta na Dione *Słoniem*, który już czekał gotowy i zatankowany, z kapsułą desantową w ładowni. Macy przypięła się do leżanki przeciążeniowej w sterówce, puściła procedurę diagnostyczną i zapytała Raphaela, dokąd chce lecieć.

- Na orbitę Saturna, wysokość mniej więcej sto siedemdziesiąt tysięcy kilometrów.

- Czyli pod krawędź Pierścienia F?

- Trochę za krawędź. I dobrze byłoby, żebyś odchyliła tę orbitę o jakieś dziesięć stopni od równika.

- A może powiedziałałobyś dlaczego, co?

- Powiem tylko, że coś się tam wydarzy. Coś wspaniałego.

Macy jakiś czas odpytywała pokładową AI, a potem wystartowała *Słoniem* w swój pierwszy prawdziwy samodzielny lot, wyskakując z płytkiej studni grawitacyjnej Dione i przyspieszając w głąb układu, ku Tetydzie; kiedy *Słoń* okrąży mały lodowy księżyc, będzie mieć prawidłową prędkość i wektor, by wejść na orbitę nad pierścieniami, z proponowanym przez Raphaela nachyleniem.

Była mocno podenerwowana. AI wyliczyła i poustawiała według jej wymagań wszystkie parametry lotu. Zdawała sobie jednak sprawę, że ma za mało doświadczenia, żeby określić najlepsze wyjście z sytuacji, jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego. Zatem kiedy po krótkim impulsie wprowadzającym *Słonia* na orbitę zapaliły się wszystkie kontrolki modułu łączności, na moment wpadła w panikę. Jezus Maria. Wyglądało na to, że chce z nią rozmawiać cały układ jednocześnie. Macy przekazała tonę wiadomości Raphaelowi i zapytała neutko, czy chce na nie odpowiadać.

- Odpowiedź już jest - powiedziało. - Popatrz ponad pierścienie.

Szeroki łuk pierścieni opadał poza orbitę *Słonia*, zakręcając za skrytą w cieniu powierzchnię planety. Wzdłuż linii tego cienia zapaliły się maleńkie gwiazdeczki, chmura czy rój rozpiętych na krzywej światełek. Macy sprawdziła namiary i wycelowała w jedną z nich spektrometr *Słonia*. Nie było wątpliwości: to miniksiężyce napędzane miotaczami materii, właśnie wychodzące z płaszczyzny pierścieni. Lecące od Saturna w stronę Słońca.

- Nasiona - powiedziała.

- Dokładnie.

- A ten ładunek na nich, to części do budowy habitatów-bąbli, prawda? Sami też taki sobie zbudowaliśmy. Znaleźliśmy projekt w Bibliotece Publicznej.

- My też, chociaż dość znacznie go zmieniliśmy - odpowiedziało Raphael. - Kiedy te miniksiężyce dotrą na docelowe orbity, roboty budowlane wykorzystają resztę masy, żeby zbudować habitaty-bąble. A w tych habitatach inne roboty założą ogrody, z materii organicznej i bibliotek DNA. Tysiąc ogrodów, każdy inny, wszystkie na orbicie tuż poniżej linii mrozu, na skraju pasa asteroid.

- I dla kogo one są?

- Dla każdego, kto zechce w nich zamieszkać. Macy, Sri to wielka uczona. Fakt, wyalienowana przez swój geniusz, ale największa guru genetyczna w historii. Większa nawet niż Avernus. A to jest jej ostatni dar dla ludzkości. Dobrze. Teraz pora zawieźć mnie do domu. Na Janusa. Czeka nas tam jeszcze sporo pracy.

Macy po raz kolejny poradziła się AI nawigacyjnej. W końcu silnik *Słonia* odpalił i holownik skręcił w głąb układu, w stronę Janusa. Powiedziała Raphaelowi, że jest w stanie osiągnąć prędkość orbitalną Janusa, ale ponieważ ich obecna orbita jest pod kątem, będzie musiała parę razy okrążyć Saturna, żeby wejść we właściwą płaszczyznę.

Raphael, zapinając skafander próżniowy, powiedziało, że nie trzeba.

- Kapsuła zawiezie mnie na miejsce. Wybacz, Macy, Sri obecnie niechętnie widzi gości. Może kiedy indziej. Na razie nie. Ale czy mogłobyś mieć do ciebie jeszcze jedną prośbę? Ostatnią.

- Proś, o co zechcesz. Wydaje się, że wszyscy są ci winni górę karmy jak księżyc. Wolałabym moją jak najszybciej zmniejszyć do jakichś rozsądnych rozmiarów.

- Gdybyś kiedyś spotkała Avernus, powiedz jej, że zapraszamy ją, kiedy tylko zechce. Sri uważa, że będzie z nią miała wiele tematów do rozmów.

- Jeśli ją spotkam, to przekażę. Ale wątpię, żeby coś z tego wynikło.

- Macy, uratowałaś jej życie. Wysłucha cię.

- A ja myślałam, że zaprosiłaś mnie na wycieczkę, bo mnie lubisz, a nie

dlatego, że kogoś znam.

- Macy, jesteś liczącą się osobą. Masz wpływy. Może nie jesteś tak potężna, jak Sri czy Avernus, ale jesteś wielką postacią. Za to cię szanuję. I kto wie, któregoś dnia może poznamy się na tyle dobrze, że uznamy się za przyjaciół.

Raphael przepompowało się przez śluzę i gładko okrążyło kadłub, docierając do wjazdu ładowni. Parę minut później kapsuła desantowa pyknęła gazem i odplynęła od statku, a gdy była od niego o paręset metrów, uruchomiła chemiczny silnik i zniknęła za holownikiem, wytracając prędkość. Janus powiększył się ze świetlistego punkcika do nierównej bryły, w połowie skrytej w cieniu; potem *Stoń* schował się za nim, idąc pod małym kątem pod płaszczyznę pierścieni. Macy zerknęła przez teleskop na kapsułę zbliżającą się do małego księżyca. Sunęła w stronę siatki rozpiętej pomiędzy dwoma wysokimi na setki metrów smukłymi wspornikami. Wpadła w siatkę, siatka owinęła się wokół niej, a słupki odchyliły się ku powierzchni.

Macy po raz kolejny poradziła się AI nawigacyjnej. Będzie musiała okrążyć Tytana, potem wrócić i oblecieć Saturna w ramach asysty, żeby osiągnąć prędkość ucieczki. Do impulsu, który wprowadzi ją na kurs w stronę Tytana, pozostało dwadzieścia minut. Wykorzystała ten czas, żeby wysłać wiadomość Newtonowi i bliźniętom. Powiedziała im, że wraca do domu.

# CZEŚĆ VI

Lot w gwiazdy, czyli konwergencja

# ROZDZIAŁ 1

Był to najważniejszy pogrzeb w całej historii Paryża na Dione. W rozległym parku na wschodnim skraju nowego biomu, ożywionego zaledwie rok temu, na Wielkim Trawniku stłoczyła się ponad połowa mieszkańców Paryża oraz liczni goście z osad całej Dione i miast z innych księżyców Saturna. Rozkładali się na piknik, rozmawiali, tańczyli w małych grupkach do muzyki granej na żywo, zasiadali w kręgach na medytacje, organizowali zaimprovizowane mecze piłki, bawili się z dziećmi w berka albo latali małymi jedno-lub dwuosobowymi sterowczykami, unoszącymi się jak ławice tropikalnych rybek w jasnym powietrzu pod powłoką namiotu. Pośrodku tego wielkiego zgromadzenia przedstawiciele miast i osad ze wszystkich zamieszkanego księżyców Jowisza, Saturna i Urana oraz z raf nowych, bąblowych habitatów, spotykali się i gawędzili na zadaszonym podeście, gdzie stały mury, z ambasadorami Wielkiej Brazylii, Unii Europejskiej, Wspólnoty Pacyficznej i paru mniejszych ziemskich państw oraz z naukowcami, zielonymi świętymi, guru genetycznymi i dawnymi współpracownikami albo przyjaciółmi zmarłej. Budziła taki szacunek, że wszyscy przybyli osobiście albo wysłali żywego przedstawiciela, zamiast poprzestać na awatarze. Pojawiła się nawet dwójka wychudzonych Duchów, które rozmawiały tylko ze sobą, w jakimś prywatnym języku migowym.

Avernus, urodzona jako Barbara Reiner w San Diego w Kalifornii, mieście dawno temu zniszczonym przez globalne powodzie i teraz równie mitycznym jak Atlantyda czy Oz, zmarła w wieku dwustu dwudziestu dwóch lat. Wszyscy powtarzali, że śmierć córki złamała jej serce. Odmówiła odnawiania kuracji na długowieczność i pracowała w ośrodku badawczym podarowanym jej przez lud Wielkiej Brazylii, póki po krótkiej chorobie nie zmarła we śnie. Choć urodziła się na Ziemi i spędziła tam swoje ostatnie lata, przez większość życia mieszkała w Układzie Zewnętrzny i po krótkiej dyskusji jej ciało przewieziono do Paryża na Dione, gdzie przed Cichą Wojną wślawiła się orędowniem na rzecz pokoju.

Ubrana w zabytkowy biały kitel, z ręcznie wyrzeźbionymi pisakami, skalpelami i suwakiem logarytmicznym w kieszeni na piersi, z twarzą nieruchomą, spokojną i beznamietną, leżała na prostej płycie na koziołkach, zasypanych kwiatami przez ludzi, którzy przyszli złożyć jej hołd. Pogrzeb był oddaniem czci jej życiu. Każdy mógł podejść do porządkowych i

poprosić o głos, wejść na ustawioną przed marami mównicę, aby powspominać zmarłą, podziękować jej za pracę, za drobną uprzejmość, albo odczytać parę wersów wiersza czy prozy. Najlepsza śpiewaczka fado ze Wschodu Edenu odśpiewała długi lament. Kwartet smyczkowy z Tęczowego Mostu na Kallisto odegrał *Adagio* Barbera. Wystąpił blaszany robot, puszczający parę ze stawów i w wyrafinowanej pantomimie przedstawił sadzenie kwiatu i podlewanie go konewką wypełnioną suchym lodem - było to przedstawienie jednego z paryskich mikroteatrów. I choć Avernus uważała, że wszechświat powstał przez przypadkowy zbieg fizycznych praw i właściwości, na swój sposób oddali jej hołd księża, rabini, imamowie i mnisi. Odśpiewali modlitwy, zakręcili młynkami modlitewnymi, spalili fałszywe banknoty, zapalili świeczki i kadzidła.

Pod koniec dnia na mównicę wszedł Alder Topaz Hong-Owen. Zawirowały drony, żeby go sfilmować, przez cały tłum przeszedł pomruk. Mówił na swój zwykły, bezpośredni i prosty sposób. Oświadczył wielkiemu zgromadzeniu w parku i wszystkim widzom w innych miastach i na innych światach, że Avernus ryzykowała życie dla pokoju, i to nie raz, lecz dwa razy - najpierw w Paryżu, przed Cichą Wojną, a potem, kiedy wróciła na Ziemię i przystała do podziemnego ruchu oporu, któremu w końcu udało się obalić władzę wielkich rodzin. Nie tylko pomogła zdobyć wolność mieszkańcom Wielkiej Brazylii, ale i obdarowała ich czymś, co pozwoliło im zasiedlić dzikie tereny, dotąd dla nich zakazane. Nadal muszą skromnie korzystać z zasobów Ziemi i mieszkać głównie w samowystarczalnych miastach; i te miasta już nie są więzieniami. Wolno im będzie udawać się na młodzieńcze „roczne” wędrówki po zrehabilitowanych terenach, jak również tych jeszcze niezrehabilitowanych, podróżować od oazy do oazy po sieci ciągnącej się przez całą Wielką Brazylię od 30. równoleżnika na północy po Ziemię Ognistą na południu. A fundamentem każdej z tych oaz jest stworzona przez Avernus nowa odmiana drzewa ludowego. Rośnie w tundrze i na sawannie, na pustyni i w wysokich górach, radzi sobie tam, gdzie dotąd nic nie było w stanie przetrwać, dając pokarm, wodę, schronienie i ubranie. Avernus żyje nie tylko w naszej pamięci - oświadczył. Żyje także w swoim dziele. We wszystkich zwierzętach i roślinach, których dotknęła i które stworzyła, we wszystkich swoich biomach i ogrodach. Wszędzie tam żyje.

Po przemówieniu Alder miał prywatne spotkanie razem z Raphaelem, przedstawicielem wysłanym przez jego matkę. Rozmawiał z pięćdziesiątką innych ludzi. Niektórych kojarzył z czasu, gdy odwiedzał układ Jowisza z matką, 23 lata temu. Burton Delancey, którą wtedy sobie zjednał i która zabrała go na wycieczkę przez skaliste krajobrazy Kallisto do jednego z tajemnych ogrodów Avernus, była teraz prominentnym kallistańskim senatorem. Sędziwy guru genetyczny Tymon Simonov z Minosa na Europie. Macy Minnot, której Alder nigdy wcześniej nie spotkał, ale wiele o niej

słyszał, jej mąż Newton Jones i ich najmłodszy syn.

Niedawno przenieśli się na Tytana, gdzie Macy projektowała habitaty-ogrody i pomagała przy projekcie planoformingu\*.

\* Planoforming - autorowi zapewne chodzi o tworzenie ogólnoplanetarnego ekosystemu; zwykle w literaturze termin „planoform” oznacza jednak napęd nadprzestrzenny (przyp. tłum.).

Wielkie żyrandole biomu pociemniały, imitując zmierzch. Pod wysokim dachem namiotu rozkwitły fajerwerki. W powietrzu zatańczyli skrzydlaci ludzie z wyhodowanymi chromatoforami, pulsującymi na skórze świetlistymi wzorami jak u kalmarów podczas godów. Na koniec żalobnicy unieśli ciało z mar, pół setki mężczyzn i kobiet w białych przepaskach biodrowych wybiło powolny, basowy rytm na zawieszonych u pasa bębnach, a cały wielki kondukt wyszedł z biomu i udał się tunelem kolejowym do zaciemnionego miasta, idąc alejami obstawionymi ludźmi ze świecami w dłoniach - dziesięcioma tysiącami migocących płomyków, podświetlających wszelkie możliwe ludzkie twarze. Na koniec ciało Avernus trafiło do resomatora, tłum rozszedł się i nad miastem zapadła cisza.

\*\*\*

Alderowi przypadło zadanie zawiezienia do Wielkiej Brazylii części prochów Avernus - miały zostać rozsypane wokół sadzonki drzewa ludowego na Eixo Monumental w Brasili. Najpierw jednak musiał załatwić parę rodzinnych spraw.

Jego młodszy brat, Berry Malachit, przez ostatnie dziesięć lat zaszywał się w apartamencie hotelowym w Camelocie na Mimasie, zbudowanym, by przyjmować VIP-ów w czasach RTM. Rachunki spłacały kredyt i karma jego matki; on sam nie pracował i dawno zerwał kontakty z przyjaciółmi i współpracownikami; nigdy nie odpowiedział na wiadomości, które Alder wysyłał mu regularnie na każde urodziny, święto Gai i Boże Narodzenie. Chciał mu jakoś pomóc, ale według Casha Bakera, który dotarł do Camelotu przed nim, najpierw będzie musiał sobie poradzić z kobietą, która twierdzi, że jest jego ślubną partnerką.

Hotel mieścił się w wykopanej odkrywkowo komorze pod usianą kratami równiną, poza samym miastem. Jego biom stanowiły falujące, trawiaste wzgórza, przetykane rzadkimi zagajnikami i pełne stadek mamutów, zebra i żubrów. Wydawało się, że ciągną się w nieskończoność pod wirtualnym niebem, błękitnym, ziemskim. Gdy jechali wózkiem po ścieżce z czerwonej ziemi, do apartamentu Berry'ego, Cash powiedział Alderowi, że podczas okupacji gościom było wolno na te zwierzęta polować.

- Wszystko, co ustrzelili, od razu oprawiali i dawali na grilla. Są też miejsca do wędkowania na tej rzeczce, która się tu wije. Oczywiście, Zewnętrzni, teraz tu rządzący, kontrolują populację implantami



antykonceptyjnymi. Kiedy pomyślę, jak to wyglądało po wojnie, co tu robiliśmy... naprawdę musieliśmy wyglądać na barbarzyńców.

Wózek toczył się spacerowym tempem po ścieżce, okrążył szerokim kręgiem wielką kępę bambusów oraz żółto kwitnących mimoz i dotarł pod apartament Berry'ego, kopułę porośniętą obficie trawą, przetykaną małymi, okrągłymi okienkami jak królicze nory. Przed okrągłymi drzwiami u podstawy, z twarzą ponuro ściągniętą, z rękoma splecionymi na plastikowej kamizelce zasnurowanej na małych piersiach, stała partnerka Berry'ego, Xbo Xbaine.

Wydawała się całkiem uprzejma, zaprosiła Aldera i Casha na leżaki w cieniu parasolowatego drzewa, poczęstowała herbatą i sushi, po czym powiedziała, że Berry nie czuje się dziś najlepiej.

- A on wie, że tu jestem? - zapytał Alder.

- Mogę być szczerą? Pomyślałam, że to nie najlepszy pomysł, mu o tym mówić. Ma zły okres, a jego złe okresy ostatnio są bardzo złe. Sam wstrząs, że cię zobaczył, może spowodować u niego fugę dysocjacyjną. Albo i coś gorszego. Wróćcie jutro albo pojutrze, może poczuje się trochę lepiej. Oczywiście niczego nie mogę obiecać, ale postaram się z nim chociaż porozmawiać, przekonać... Jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć, wszystko jedno czego... Może to bezczelność z mojej strony, ale uważam się teraz za członka rodziny. Tak przynajmniej myślę. A ludzie w rodzinie nie powinni mieć przed sobą tajemnic, prawda?

Alder od razu przejrzał tę niezdarną próbę gry na zwłokę. Jednak, nawet jeśli ta kobieta opiekowała się Berryem tylko dla ewentualnych korzyści, i tak czuł, że jest jej coś winien. Czuł też odrobinę niechętnego szacunku, że tak go broni. Zatem nie skorzystał z masy materiałów, które Cash zgromadził o jej przeszłości, nie spróbował jej zastraszyć i zmusić do posłuszeństwa; nie powiedział, że jej ślub z Berryem był oszustwem, że świadkami byli przekupieni przez nią ludzie; nie powiedział, że wie o jej drobnych przekrętach, że handluje luksusowymi rzeczami zamówionymi do pokoju, zamieniając je na kredyty. Zamiast tego opowiedział jej o złych i dobrych dniach Berry'ego, ze współczuciem wysłuchał litanii skarg i zapytał, czy czegoś z Berryem potrzebują.

- Kredytów - powiedziała Xbo Xbaine, patrząc mu śmiało w oczy, aż się zdziwił. - Nie wszystko da się dostać przez room service. Mając trochę kredytów i kudosów, mogłabym dużo lepiej zaopiekować się twoim bratem.

Alder obiecał, że zobaczy, co da się zrobić, i dodał, że może Berry nie czuje się najlepiej, ale i tak powinien się z nim zobaczyć.

- Wasza matka cię wysłała, prawda? - stwierdziła Xbo. - Myślisz, że nie wiem o co tu chodzi? Pewnie, że wiem.

- Chcę z nim porozmawiać, bo to mój brat - powiedział Alder.

- Przyszedł tu jeden z jej wytworów - dodała Xbo i uśmiechnęła się, wi-

dząc, że go zaskoczyła. - Nie powiedziała ci o tym? Typowe. Parę dni po tym, jak ogłosili, że pogrzeb Avernus będzie w Paryżu. Założę się, że pomyślała wtedy, że przylecisz. Ten jej wytwór powiedział, że będziesz ją odwiedzać i że ona chce, żeby Berry polecał z tobą. Rodzinne spotkanie. No to ci powiem, co mu wtedy powiedziałam. Berry kiedyś już próbował się z nią zobaczyć. Zanim go poznałam. Dwanaście, trzynaście lat temu. Wynajął holownik, żeby polecieć na Janusa, a kiedy tam wylądował, ona nie chciała się z nim widzieć. Wtedy naprawdę zaczął pić i ćpać. Na poważnie. Wiesz? Żeby się znieczulić. Kiedy go poznałam, był w złym stanie. O wiele gorszym niż teraz. Ale nie ma siły go nie kochać, bo pod tym wszystkim jest taki miły i bezbronny...

- Wiem o tym - mruknął Alder.

- Ona go strasznie zraniła. Nie miała prawa. To właśnie powiedziałam temu jej wytworowi, zanim go wygoniłam. A teraz wyście przyleźli z tym samym jeszcze raz.

- To prawda, że matka chce nas obu zobaczyć. Ale i tak bym tu do niego przyjechał - stwierdził Alder.

Po chwili Xbo Xbaine westchnęła i wzruszyła ramionami.

- No, chyba cię nie powstrzymam. Ale kiedy zaczniesz mu gadać o matce i się zdenerwuje, nie mów, że cię nie ostrzegłam. A twój kumpel lepiej niech zostanie tutaj.

Wprowadziła Aldera okrągłymi drzwiami do trawiastej kopuły, do ogromnego pomieszczenia z podłogą i ścianami z półżywej murawy, urządzonego meblami ręcznie wykonanymi z drewna i stali.

- Na początku wydało mi się takie super - powiedziała. - Taki luksus. Że nic więcej nie trzeba. Tędy. Jest w basenie.

Zakręconą pochylnią zeszedli do podziemia, całego w białych kafelkach i ostrym świetle, z okrągłym basenem z wodą pokrytym powłoką niebieskich plastikowych piłeczek, po których tam i z powrotem przechodziły powolne fale. Dokładnie pośrodku unosiło się i opadało coś wielkiego i różowego. Potwornie otyły człowiek, pływający na plecach, nagi poza speksami i dotykowymi rękawiczkami, których palce podrygiwały i postukiwały w gigantyczny brzuch.

- Pobudka - powiedziała głośno Xbo. - Czas wrócić do rzeczywistości, Berry. Przyjaciół przyjechał cię odwiedzić.

- Jestem w Dolinie Dziesięciu Tysięcy Kwiatów - odparł Berry.

Tuż przy jego głowie unosił się mały dron, dźwigający banieczkę z gęstym białym płynem. Kiedy Berry uniósł głowę, dron zanurkował i wetknął mu słomkę w opuchnięte usta. Mężczyzna siorbnął z niej głośno i powiedział:

- Tym razem dojdę do zamku Bestii.

- Berry, to dawny przyjaciel - powiedziała Xbo Xbaine. - Przyjaciół

rodziny.

- Powiedz mu, że za minutę - odparł Berry.

W tym momencie Alder rozpoznał brata - ten znajomy jęk, pełen złości i frustracji.

- Uwielbia te sagi. Przeważnie tak leży i żyje w którejś z nich. I napić też się lubi. Głównie bananowe margarity. Parę litrów dziennie. Inne rzeczy też bierze. Robione na zamówienie psychotropu. Żeby je kupić, sprzedają rzeczy z room service'u.

- Wiem.

- Nie mam wyjścia, on tego potrzebuje, a w menu ich nie ma. No i medyczne nanomaszynki też muszę kupować. Żeby raz na miesiąc przepłukać mu krew i wyczyścić wątrobę. Lubi lody i kanapki z masłem orzechowym. Głównie tym się żywi, ja mu podrzucam różne suplementy w tych margarytach. Siedzi w sagach, pilnuje, żeby nie trzeźwieć, jedyne jeszcze co lubi, to się pieprzyć. Ledwo daje radę, chociaż trzeba się trochę postarać. I tak wygląda nasze życie. Myślisz, że bym w tym tkwiła, gdybym go nie kochała? - Wbiła w Aldera ciemne, gniewne spojrzenie, czekając, aż się jej sprzeciwi. - Mogę być szczerą? Pani profesor Sri Hong-Owen jest bardzo mądra. Uratowała układ Saturna, wymyśliła te bąble-habitaty. Plotki mówią, że na tym Janusie zrobiła z siebie coś radykalnie postludzkiego. Ale matką za dobrą to nie była. Przynajmniej nie dla Berry'ego.

Alder poczuł, że powinien jej bronić.

- Ale na swój sposób go kocha.

- Widzisz w jakim jest stanie. Dalej myślisz, że powinien do niej polecieć?

- Uważasz, że musisz go chronić, Xbo. Rozumiem to. I doceniam wszystko, co dla niego zrobiłaś. Naprawdę. Niestety, w tym wypadku musi sam podjąć decyzję.

- Wiem, że cię nie powstrzymam przed zabranie go. Ale proszę, zrób to tylko jeśli naprawdę będzie chciał.

- O niczym innym nie ma mowy.

- No dobrze - powiedziała Xbo. - To zaczekajcie na zewnątrz, spróbuję go wywabić z basenu.

Cash Baker czekał pod parasolowcem, machinalnie skubiąc winogrona z pnącza owiniętego wokół smukłego pnia. Alder powiedział mu, co widział i dodał:

- Chyba trzeba dać sobie spokój z zabieraniem go do matki. Albo w ogóle gdziekolwiek.

- A co z tą kobietą?

- Ona się nim opiekuje, na swój sposób.

- Ona jest wampirem. - Cash przegryzł winogrono profilowanymi plastikowymi listwami, które wstawili mu zamiast zębów, kiedy kroili go do

pilotowania solówek. - Kiedyś, dawno temu, uczyli mnie, że Zewnętrzni zmieniają siebie i swoje dzieci w potwory, bo uważają się za lepszych od zwykłych ludzi. Okazuje się, że wcale się za bardzo od nas nie różnią. Może są trochę bystrzejsi, może trochę uprzejmiejsi, ale to im nie przeszkadza pieprzyć sobie życia, i innym ludziom, dokładnie tak samo jak na Ziemi, po staremu, prawda?

- To nie przez życie z Xbo Berry się taki zrobił. Jeśli można kogoś winić, to moją matkę.

- Ale ty wyrosłeś na człowieka.

- Miałem pewne przewagi, których on nie miał. I nie chodzi o modyfikacje, które ona mi zrobiła. Kiedy przyleciała tu z Berrym, ja zostałem na Ziemi, szefowałem temu ośrodkowi na Antarktydzie. Dlatego mogłem uciec z jej cienia. Mogłem się nauczyć, na co mnie stać, kim naprawdę jestem... A Berry nie miał na to szans. Picie, narkotyki, to pewnie na początku był bunt przeciwko jej władzy. Udał się nawet. Ale go zniszczył. Musiał się zniszczyć, żeby się od niej uwolnić.

Pomiędzy dwójką przyjaciół zapadła cisza. Alder spróbował paru winogron. Były chłodne i pyszne, każde eksplodowało na języku innym smakiem. Po chwili z drzwi z boku trawiastej kopuły wygramolił się Berry, różowy, ogromny i nagi. Piętrowe fałdy tłuszczu zwisały mu do kolan; nogi miał tak opuchnięte, że mógł tylko drobić małymi kroczkami, idąc za maszyną unoszącą banieczkę z margaritą.

- Człowieku - powiedział Cash. - Mówiłeś, że jest gruby, ale nie myślałem, że aż tak.

- Ja też nie - odparł Alder. - Chyba był w większości pod wodą.

Berry'emu udało się zrobić sześć kroków, po czym padł bez sił na trawę i przetoczył się na plecy. Tłuszcz zafalował pod skórą ścierającymi się falami.

Dron obniżył lot i wetknął mu słomkę do ust. Xbo Xbaine klękła obok i zaczęła wcierać mu w nogi pachnący kokosem krem.

- Jak chce, to potrafi się ruszyć - powiedziała Alderowi. - Ale go to boli, nawet w mikrograwitacji, więc przeważnie leży na plecach. A ponieważ żyrandole dają trochę ultrafioletu, dla roślin, to muszę go tym smarować, żeby nie miał oparzeń. Jeśli chcesz z nim pogadać, to teraz. Zaraz zażyczy sobie środków, a po nich już nie będzie za bardzo kontaktu.

- Pomogę - powiedział Alder.

Ukląkł obok Xbo, nabrał kremu i zaczął wcierać go w fałdy na szyi Berry'ego, ponad ramionami. Berry zamruczał basowo, ze zwierzęcym zadowoleniem.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał Alder.

- Kolega Xbo, tak? Chcesz coś z room service'u? To jej powiedz. Pozwalają jej podpisywać się za mnie.

- Nic nie chcę - odparł Alder i zapytał Berry'ego, czy pamięta dawne

czasy na Ziemi.

- Nie bardzo.

Opowiedział o stacji badawczej, fiordzie i górach, zapytał Berry'ego, czy coś z tego pamięta.

- Zamek Bestii jest w górach.

- Między bukami też się lubiłeś bawić. Ale najbardziej lubiłeś zabawy w basenie, z bratem. Pamiętasz?

- Zawsze z Alderem wygrywałem.

- Tak. O tak. Jesteś urodzonym pływakiem. Jak delfin.

- Alder był bystry i ludzie go lubili. Ale pływać za cholerę nie umiał - powiedział Berry i zachichotał.

- A myślałeś kiedyś, żeby wrócić na Ziemię? - zapytał Alder, nie zwracając uwagi na ostre spojrzenie Xbo.

- Nie chciałbym.

- Do niczego cię nie namawiam. Ale czy myślałeś o tym?

- Jesteśmy tutaj szczęśliwi, z Xbo. - Berry z wysiłkiem uniósł głowę, zmrużył oczy i przyjrzał się Alderowi. - Ja cię znam.

- Znasz mnie? To kim jestem?

- Już tu kiedyś byłeś. Matka cię przysłała. Ty mnie tu ulokowałeś...

- Trochę mu się myli - powiedziała Xbo.

Alder stwierdził:

- Tobie jest tu dobrze.

- Xbo i mnie. Pewnie. Po co przyszedłeś? Xbo? Xbo? Po co on tu przyszedł?

Próbował wstać, podparł się łokciami, oddychając ciężko, z przekrwioną twarzą. Xbo Xbaine uspokajała go, gładziła po czole i policzkach, powtarzała, że nic się nie dzieje, nikt im nie zabierze, że mogą tu zostać, jak długo chcą. Po dłuższej chwili Berry rozluźnił się i położył z powrotem. Dron wetknął mu słomkę, zaczął siorbać swoją margaritę.

- Powinniście już iść - powiedziała Alderowi. - On nie może się tak denerwować.

- Muszę mu zadać jedno pytanie.

- On nigdzie nie pojedzie.

- Wiem. Ale i tak muszę zapytać.

Alder powiedział Berry'emu, że jedzie odwiedzić Sri.

- Chcesz ze mną pojechać, Berry? Zajmie to ze dwa dni, nie dłużej. Jak chcesz, to Xbo może pojechać z tobą. I potem odstawię cię tutaj.

- Nie zbliżaj się do mojej matki. Jest niebezpieczna.

- A wiesz, co ona tam robi, na Janusie? - zapytał Alder. - Coś ci mówiła o swoich planach?

Sam oczywiście też próbował dowiedzieć się czegoś o jej pracach, ale agenci nie byli w stanie przebić się przez zaslonę dymną plotek i mitów,

Raphael zaś wyminął jego pytania zgrabnym unikiem, mówiąc mu, że nie-  
dlugo sam zobaczy.

- To złe miejsce - powiedział Berry. - Pełno tam potworów.
- Naprawdę? Jakich potworów?
- Nie chcę o nich myśleć. Lubię margarity. Gładko wchodzi - odparł Berry. - I oślep też lubię. Pomaga na złe myśli.

Alder spróbował jeszcze raz, ale nic sensownego już z brata nie wydobyl. Miał mózg sfajczony przez alkohol i psychotropy. Większość bramek zakleszczona w pozycji otwartej lub zamkniętej, całe połączenie martwe i wypalone. Jak prymitywny robot, był w stanie wykonywać rutynowe czynności, ale miał problem z czymkolwiek, co wykracza poza nie. Kiedy znowu się zdenerwował, Xbo Xbaine przykleiła mu nad uchem plasterki i powiedziała, że pora trochę się zdrzemnąć.

- Śpij dobrze i nie śnij, skarbie.
- Czyli koniec pytań...
- Koniec pytań - powiedziała Xbo, patrząc znacząco na Aldera.
- Ta kobieta coś wie - stwierdził Cash, gdy razem z Alderem jechali po trawie ku hotelowej recepcji.

- Wiem - odparł Alder. - Ale mi nie powie.  
- Tacy goście jak ona mają swoją cenę. Zapłać, a będzie gadać. Powie nawet coś podobnego do prawdy. Jak chcesz, to mogę wrócić wieczorem i zagadać z nią w cztery oczy.

- Nie będzie gadać. Bo jedyna jej przewaga nade mną to informacje, których mi nie dała. I dlatego, że chce chronić Berry'ego.

- Swojego kochanego chlebodawcę, masz na myśli.  
- Jedno jest więzieniem drugiego - zauważył Alder. - Berry we własnej głowie, z tymi myślami, a Xbo w apartamencie z nim. Może kiedyś, na początku, go nie kochała, ale teraz myślę, że tak. Nie może się z nim rozstać. Nie może odejść. Nie dlatego, że chce luksusów, ale dlatego, że go kocha. Szkoda mi jej. Luksusy ma, to fakt, i pełen room service, ale to i tak jest więzienie.

- To co zamierzasz zrobić? Zostaje jeszcze Plan B?
- Plan B?
- Pewnie. Zawsze jest plan B. Wziąć brata za dupę, porwać, zawieźć na Księżyc, wsadzić na odwyk i ogólnie go oczyścić. Jedno słowo i ja to zaraz zorganizuję.

- Gdybym myślał, że będzie wtedy szczęśliwy, zrobiłbym to. Ale nie wydaje mi się.

- No to co zrobisz?
- Pogadam z matką.

Wynajęty holownik przeciął pierścienie po wielkiej cięciwie, idąc w głąb układu Saturna, znad Mimasas na Janusa, jakieś sześćdziesiąt stopni łuku

wokół opuchniętego Saturna. Cash Baker niespecjalnie zwracał uwagę na wspaniały widok, rozmawiał bowiem z pilotem o szlakach handlowych między różnymi księżycami. Alder był wdzięczny, że przyjaciel sam postanowił z nim polecieć. Zwłaszcza, że nie wiedział, co tam zastanie; przed wylotem z Camelotu odbył jeszcze jedną frustrującą rozmowę z Raphaelem.

- Ona chce, żebyś zobaczył jej dom, nie mając żadnych uprzedzeń - powiedziało mu neutko. - Może to duma, może to próżność, możesz to sobie nazwać jak chcesz, ale tak jest.

Holownik przeciął Przerwę Cassiniego i skręcił nad Pierścień A. Janus, tuż za brzegiem pierścieni, powiększył się z isierki, przez koralik, do bladej bryłki. Pilot holownika zagadał z AI kontroli lotów, z nonszalancją dopasował się do prędkości orbitalnej i zaczął krążyć wokół księżyca, obiegając go co czterdzieści minut, na wysokości niecałych stu kilometrów. Góra podziobana kraterami, w których kryły się czarne przecinki cienia, teren pomiędzy nimi poprzeczony srebrzystymi lub czarnymi organizmami próżniowymi. Z krawędzi jednego z największych kraterów sterczały dwa ogromne, podobne do pejczy pylony, z rozpiętą między nimi siatką. Niedaleko nich świeciła zielenią wielka kopuła - fenotypowa dżungla Avernus.

Gdzieś na dnie tego krateru znajdowało się wejście do podziemnego królestwa Sri.

Pilot holownika wskazał wielki krąg szybów i otworów tuż pod zewnętrzną ścianą krateru, gdzie roboty budowlane wgryzały się głęboko w księżycowy regolit, po czym zauważył trzydzieści kilometrów po sterburcie obronnego bezzałogowca i pokazał Alderowi i Cashowi ziarniste zdjęcie śmiercionośnej maszyny - talerz radaru i antena mikrofalowa na jednym końcu, na drugim bańka potężnego silnika.

- Dobrze by było, żebyście za długo tam nie siedzieli - powiedział. - Te sprzęty trochę mi działają na nerwy.

- Posiedzimy tyle, ile będzie trzeba - odparł Cash. - A ty dostajesz kasę za każdą sekundę.

Alder i Cash zahermetyzowali skafandry, kolejno przepompowali się przez maleńką służę i wgramolili się na odrzutowy skuterek wiszący na przymocowanej do kadłuba szynie. Cash prowadził w milczeniu, wściekle skupiony na zadaniu, które niegdyś przychodziło mu tak łatwo jak oddychanie. Szerokim łukiem ominął jeden z szybów, wyrzucający odłamki, otoczony wąską, jasną elipsą świeżego wodnego lodu.

Usiedli na lądowisku, które od zielonej kopuły dżungli fenotypowej dzieliły dwa kilometry drogi wokół krawędzi krateru. Nikt na nich nie czekał - ekipa Sri mieszkała teraz i pracowała na Epimeteuszu, księżycu krążącym z Janusem po wspólnej orbicie - ale Raphael zostawiło mu szczegółowe wskazówki. Ruszyli szeroką drogą, wijącą się przez gęsty las czarnych

szpikulców ku dnie krateru.

Alder od wielu lat nie miał na sobie skafandra, a w szczątkowej grawitacji Janusa czuł się niezdarny i nieważny; choć delikatnie świecąca nawierzchnia drogi była pokryta jakimś nanotechnologicznym klejem łapiącym podeszwy butów, człapał po niej ostrożnie jak stary, obolały człowiek po lodzie. Po paru minutach Cash złapał go za ramię i pokierował. Przeszli pomiędzy smolistymi cieniami rzucanymi przez górujące po obu stronach szpikulce, wyszli na dno krateru, oświetlone słabym blaskiem Słońca, minęli małe srebrzyste kopułki i trójkątne namioty pełne dżunglowej zieleni, białą kostkę, która według Casha była reaktorem termojądrowym, coś, co wyglądało na chemiczną rafinerię, pełne zbiorników i rur, z których część żarzyła się w podczerwieni. Dotarli do okrągłego szybu o wylocie ciemnym jak noc.

Na platformie uniesionej poza jego krawędź czekały dwie postacie dziecięcego wzrostu, w pomarańczowych skafandrach.

- Masz pojęcie, kto to może być? - zapytał Cash.
- Nie mam.
- Nie musisz tam iść sam.
- Gdybym uważał, że coś mi tu grozi, to w ogóle bym nie przyleciał.
- E tam, przyleciałbyś.
- A mnie się nie wydaje. Zresztą, jestem ci wdzięczny jak nie wiem, że cię tu mam.
- Ja tu jestem turystą i tyle. Podziwiam widoki.
- Jak wrócę, wszystko ci opowiem.
- Mam nadzieję, że wrócisz. Przypomnij jej o mnie. Powiedz, że mimo wszystko zawsze będę jej wdzięczny, że mnie skroiała do pilotowania solówek.

Dwie małe postacie w pomarańczowych skafandrach nie zareagowały, gdy Alder przywitał je na wspólnym paśmie. Twarze zasłaniały im złote szybki hełmów, nie poruszyły się, gdy wszedł na platformę, która natychmiast zaczęła zjeżdżać po szynie, opadając o co najmniej kilometr i przechodząc przez dziesiątki przegród złożonych ze sztywnych lamelek, które wyginały się, rozpadały na części, a potem zamykały z powrotem. Zapewne tworzyły coś w rodzaju śluzy: gdy tylko minął ostatnią z nich, skończył się szyb i platforma zaczęła opadać na podkowiaste tarasy porośnięte gęstym lasem, oświetlonym ostrym blaskiem latających lamp słonecznych.

Zwolniła, sunąc gładko po szynie osadzonej w skalnej ścianie z ciemnego kalcytu, kończącej się łąką wysokich, czerwonych traw na najwyższym z tarasów. Eskorta Aldera zeskoczyła z niej i puściła się wielkimi skokami, jak para pasikoników, znikając w leśnej gęstwinie. Skafander poinformował go, że atmosfera to standardowa, bogata w tlen mieszanka, jak w większości habitatów w Układzie Zewnętrznym. Gdy rozszczelnił hełm, strzeliło mu w



uszach przez nieznaczną różnicę ciśnienia. Gorące, wilgotne powietrze pachniało ziemią i roślinnością. Powiesił hełm na pasie i ruszył przez sięgającą do ramion trawę.

Nie bał się. Owszem, był podenerwowany. Ciekawy, co też matka tam w dole stworzyła. Ale się nie bał.

Eskorta zniknęła bez śladu, zaraz jednak odkrył wstęgę czarnego żwiru prowadzącą w dół pomiędzy paprociami i poduchami mchów, między karłatkami i drzewiastymi paprociami. Wszedł pomiędzy zarośla, zobaczył białe pędraki jak odcięte palce wwiercające się w złoża żywej próchnicy, węża o bladej skórze i niebieskich, ludzkich oczach chowającego się w kępie paproci oraz gromadkę małych, nagich wyraków spoglądających nań z korony palmy. Ścieżka zakończyła się mszystym trawnikiem pomiędzy palmami, na skraju stromego urwiska, na dnie którego znajdował się kolejny pas lasu.

Alder osłonił oczy ręką i spojrzął w dół komory. Na tarasach nie dostrzegł ani śladu dróg czy budynków, podobnie w gęstym lesie porastającym dno komory, ciągnącym się trzy czy cztery kilometry i skrytym w wodnej mgłę. Nic się tam nie poruszało oprócz stad ptaków, zataczających leniwe kręgi pomiędzy słonecznymi gwiazdami latających lamp. Zanurkowały ku niemu, pokrzykując melodyjnie. Bardziej przypominały zresztą nietoperze niż ptaki - miały skórzaste skrzydła szerokie jak jego ramiona, ludzkie dłonie zamiast stóp i pomarszczone człekokształtne twarzyczki, które odwracały się ku niemu, gdy z suchym szelestem skrzydeł nurkowały za krawędź trawnika.

Coś zamigotało w przejrzystym powietrzu, szybując powoli ku niemu. Nagi człowiek - albo nie, to był awatar, połyskujący jasnym plastikiem, balansujący na platformie wypukłej jak skorupa żółwia, z dmuchawą na każdym rogu. Gdy się zbliżył, dostrzegł, że za szybką hełmu wyświetla się twarz jego matki, dokładnie taka, jak ostatniego dnia, kiedy ją widział, ponad dwadzieścia lat temu. Zanim przerzucono go z Brasilii, by zaczął długą, potajemną podróż do ośrodka badawczego na Antarktydzie, zanim ona ukradła statek i zabrała Berry'ego do układu Saturna.

Platforma łagodnie zatrzymała się na skraju trawnika, awatar lekko i swobodnie zstąpił na trawę przed Alderem, który stał z gołą głową w pancerzu skafandra, jak staroświecki rycerz u kresu wyprawy. Z gąszczy paproci po obu stronach wyszły nagie dzieci, tak blade i chude, że wydawały się przezroczyste, jak jaskiniowe rybki. Głowy miały małe i klinowate, zwężające się tuż za fałdami skóry w miejscu oczu. Uszy sterczały im jak nietoperzom; ich dłonie miały tylko trzy palce, rozstawione szeroko jak szczypce krabów.

- Witamy w naszym domu - powiedział awatar. Mówił głosem Sri, choć unosząca się za szybką twarz nie poruszała ustami. - Co o nim sądzisz? Czyż

nie jest piękny?

- Sądzę, że twój gust stał się melodramatyczny. Nie spodziewałem się tego.

- Świetnie wyglądasz. Jesteś starszy, oczywiście, ale dalej jesteś moim ślicznym chłopcem. Nie przywiozłeś Berry'ego.

- Prosiłem, żeby przyjechał ze mną. Ale nie chciał.

- Trzeba było go zabrać. Zaopiekowałybyśmy się nim.

- Nie wątpię - odparł Alder. - Ale on ma własne życie. Własny sposób na przetrwanie. Na ucieczkę. I ma już kogoś, kto się nim opiekuje.

- Tę kobietę.

- Zaślubioną partnerkę. To zdaje się jedyna osoba, której na nim naprawdę zależy.

- Uważasz, że byłem złą matką.

- Uważam, że oboje go zawiedliśmy.

- Robiłam, co mogłam, ale w końcu dotarło do mnie, że nic, co zrobię, co powiem, nie pomoże mu. Więc zostawiłam go samemu sobie. Bolało mnie. Dalej mnie boli, kiedy patrzę, jaki jest nieszczęśliwy, jak bardzo szkodzi samemu sobie.

- Raz tu przyjechał, dawno temu. Odprawiłaś go.

- Bo się... zmieniałam. Już skończyłam. Jestem gotowa, żeby się nim zaopiekować, ale nie będę go zmuszać do niczego wbrew jego woli. Nie ściągnę go tutaj, jeśli tego nie chce.

- Ja też czuję się winny. To mój brat. Powinienem dawno temu go odwiedzić, ale nie zrobiłem tego. A teraz już przepadło.

- Jak myślisz, jest szczęśliwy?

- Jest, jaki jest.

- Alder, śledziłam twoją karierę z wielkim zainteresowaniem. I nie bez dumy. Być może jesteś zły i obrażony, że nie odpowiadałam na twoje wiadomości. Po pierwsze, chodziło o bezpieczeństwo. A po drugie...

- Byłaś zajęta. Rozumiem. Rozumiem cię lepiej niż ci się wydaje.

- Właśnie, byłam zajęta. Ciągłe jest za dużo pracy i za mało czasu. A poza tym zmieniałam się. Zmieniałyśmy się. Zmieniałyśmy się i rosłyśmy. Jesteśmy teraz kładem. Jedno ciało, jeden cel.

- Widzę.

- Widzisz? Ale czy rozumiesz?

- Rozumiem dość dobrze, co zrobiłaś. Ale nie rozumiem dlaczego.

- Przejdź się ze mną - zaproponowała Sri.

- Las już widziałem. I to, co w nim mieszka.

- Ale pozwól mi, tak czy owak - powiedziała Sri.

Alder ruszył bardzo ostrożnie i trochę niezdarnie obok zwinnego awatara, w zielony cień pod drzewami. Za nimi szły blade, ślepe dzieci i stadko przeskakujących z drzewa na drzewo lemurów. Pomiędzy splątanymi

korzeniami powietrznymi czaiły się stwory przypominające odcięte ludzkie dłonie w kościanych pancierzach. Na dnie głębokiej, przejrzystej sadzawki pulsowały i drżały sieci białych rur, niczym uczezione czarnego piasku wyprute z ciała tętnice. W ukośnym snopie światła zawirował rój motyli wielkości dłoni, ze skrzydłami porośniętymi futrem delikatnych czarnych włosków.

Sri wyjaśniła, że przedwczesny eksperyment z nieśmiertelnością poszedł trochę nie tak. Całe ciało poprzerastały jej żyjące własnym życiem nowotwory, więc konsylium systemów eksperckich opartych na jej własnej pamięci i umiejętnościach położyło ją do hibernatora na czas szukania środka zaradczego. Mimo że owe guzy były już opanowane, była więźniem wielu zbiorników. Ale to jej nie przeszkadzało. Sklonowała sobie rodzinę siostró-córek i użyła własnego genomu jako szablonu do stworzenia dziesiątek gatunków zwierząt, inżynierią i wymuszoną ewolucją. Powstał kład niezwykle różnorodnych fenotypów, posiadających w stu procentach ten sam genom i wypełniających wszelkie nisze samoregulującego się ekosystemu biomu. Kiedy utrzymanie biomu przejęły jej siostró-córki, Sri zajęła się własnym przeobrażaniem.

Pozmieniała i polepszała zaprojektowane przez Avernus organizmy próżniowe, chłone światło i zamieniające je w energię elektryczną. W miarę ich rozprzestrzeniania się po powierzchni Janusa, nowe ciało Sri także się rozrastało. W tej wielkiej masie tu i ówdzie poukrywane były kopie jej pierwotnego ciała, wszystkie współdzielące te same bodźce sensoryczne i te same myśli. Były jak najbardziej do siebie upodobnione, jak żywe awatary gotowe do wyprawy badawczej we wszechświat.

- Niedługo zostawimy ten mały księżyc, zostawimy Układ Słoneczny i ruszymy na Fomalhauta - stwierdziła Sri. - Zajmie to tysiąc lat, ale jesteśmy w stanie przetrwać i dziesięć razy dłuższą podróż. Fomalhaut ma pierścień z pyłu i protoplanetarnego materiału, dwa razy większy niż cały nasz Układ. Miliony komet, planetoid i asteroid. Są i planety, ale planety nas nie interesują. Zaludnimy cały pyłowy pierścień kopiami naszego kładu, a nie które z nich polecą ku innym układom, gdzie nie wytworzyły się planety. Jesteśmy pierwszym prawdziwym postczłowiekiem. Nowym gatunkiem. Zewnętrzni stanowili pierwszy krok, jak ryba płucodyszna na brzegu kosmosu. My poszliśmy dużo dalej i jeszcze dalej zajdziemy. Z punktu widzenia jednostki ewolucja jest okrutna. Aby przetrwała rasa, jednostki giną. Ginie większość gatunków. Jedynie najbardziej udane geny przeżywają dłuższy czas. Ale mój kład rozdzielił się na tysiące, miliony odmian, każda inna, choć z jednego ciała, jednego genomu. Daj nam czas, a wypełni my całą galaktykę. I nigdy nie umrzemy.

Alder parsknął śmiechem i powiedział matce, że ambicji to jej nie można odmówić.

- Więc nie zszokowało cię to, co tu zobaczyłeś - odparła Sri. Jej pozbawiona wieku twarz unosiła się spokojnie i nieruchomo za szybką awatara, niczym medyczny okaz w słoju. - Cieszę się. Bardzo się cieszę. Twoja aprobata wiele dla nas znaczy.

Alder przypomniał sobie, co powiedział mu Cash w świecie na górze.

- Jestem twoim synem. Dzięki tobie jestem, jaki jestem. Skroiłaś mi różne talenty i modyfikacje, żebyś pomógł ci osiągnąć to, czego zapragniesz. Przez jakiś czas pracowaliśmy razem, a przynajmniej mnie się tak wydawało. Nie żałowałem nawet, że zostawiłaś mnie na Ziemi, bo zrobiłaś mnie szefem ośrodka badawczego na Antarktydzie. Ale przez te powojenne lata, kiedy zaczęłaś milczeć, zniemawidziłem cię. Zacząłem robą pogardzać: znalazłaś sobie coś nowego, a mnie porzuciłaś. Bo dotarło do mnie, że dla ciebie liczy się tylko twoja praca. No cóż, miałem własną pracę, a z czasem także własną rodzinę. Już nie miałaś nade mną władzy i moja nienawiść wygasała. Ale nigdy o tobie nie zapominałem. Wysyłałem ci wieści o mojej rodzinie. Zbierałem plotki o twoich pracach, tu na Janusie, próbowałem odsiać z nich ziarno prawdy. A teraz, kiedy znam tę prawdę, wiem, czego dokonałaś, jestem tym zdumiony, to prawda. Ale nie aprobuję tego. Zawsze miałaś słaby kontakt z innymi ludźmi. Nawet ze mną. A teraz stałaś się prawdziwym monstrem. Osiągnęłaś coś niesamowitego, to prawda. Ale jest to zarazem smutne i rozpaczliwe, bo wygląda, jakbyś zrezygnowała z kontaktu z innymi ludźmi. Stałaś się jednoosobowym ludem.

- Ty masz teraz własną rodzinę. A ja mam swoją i ona ma mnie.

- Ale wiesz, jak dotrzecie na Fomalhauta, możecie tam już zastać innych ludzi. I co wtedy zrobicie?

Sri zaśmiała się. Blade dzieci wokół nich także się zaśmiały, jak melodyjne, ale mrozące krew w żyłach dzwoneczki.

- Masz kłapki na oczach - stwierdziła Sri. - My już jesteśmy dużo dalej.

- Zobaczymy - odparł Alder.

Spacerowali i rozmawiali. Opowiedział jej o swojej rodzinie, o swojej pracy na Ziemi. Powiedział o pogrzebie Avernus, o ludziach, których poznał na Dione i Mimasie. Sri zwierzyła mu się, że liczyła, że sędziwa guru genetyczna przed śmiercią wróci do układu Saturna. Miałyby sobie tyle do powiedzenia.

- Ale nie było mi to pisane. - Westchnęła. - Zresztą, stwierdziłam, że to już nieważne. Już wiem, że jestem jej równa. Co najmniej równa. A pójdziemy jeszcze dalej, dokonamy takich rzeczy...

- Avernus ma swoje miejsce w historii, a ty masz swoje.

Nie był w stanie jej powiedzieć, że nie jest równa Avernus i nigdy jej nie dorówna. To byłoby zbyt okrutne. I nie miało sensu.

Nigdy nie przyzna się do swoich błędów, bo jest zbyt dumna, zbyt próżna. Ego wielkości planety. Zawsze tak było. Przeżyje tysiąc lat, a i tak

się nie zmieni. Nigdy nie będzie rozumieć ludzi. Tak jak Berry, wycofała się ze świata we własne fantazje. Ale Berry ma chociaż Xbo Xbaine. A ona ma tylko własne klony.

Na koniec wspięli się krętą ścieżką na łąkę, pod skalną ścianę, gdzie czekała platforma.

- Cieszymy się, że przyjechałeś - powiedziała Sri. - Zmieniliśmy się nie do poznania i dalej będziemy się zmieniać. Ale nigdy o tobie nie zapomnimy.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze was odwiedzę - odparł Alder. - Ale żegnać się nie chcę. Będziemy mogli rozmawiać, ty i ja, kiedy tylko chcemy.

Wiedział, że nie będą, i wiedział, że ona o tym wie.

Pożegnali się mimo to, a awatar stał nieruchomo i milcząco wśród tłumu dziwnych dzieci, gdy Alder wchodził na platformę, która uniosła się ku wylotowi szybu. Jedno ciało, jeden kład, jedna rodzina. Zmaleli, zniknęli. Platforma przeszła przez strop komory i lamella hermetycznej przegrody. Uniosła się ku czarnemu niebu u wylotu szybu, gdzie czekał jego przyjaciel.

## ROZDZIAŁ 2

Dwanaście lat po śmierci Avernus Macy Minnot nadal mieszkała na Tytanie i cały czas brała udział w planoformingu. Większość czasu poświęcała teraz na plany ożywienia Gorących Jezior tego księżycy. Zajmowały szereg świeżych kraterów na południe od górzystego chaosu Xanadu. Powstały od uderzeń odłamków lodowych z pancerza statku Duchów, który rozpadł się w górnych warstwach atmosfery Tytana podczas kryzysu roku 31. Stopiony wskutek uderzeń lód zalał dna kraterów wodą amoniakalną. Teraz siatki grzejników zasilanych reaktorami jądrowymi nie pozwalały im zamarznąć, a ekoinżynierowie i guru genetyczni zasiewali w nich rozmaite metanogenne bakterie i sinice - pierwszy etap budowy prostego ekosystemu składającego się z planktonu, morskoczynu oraz paru gatunków kryla, małży i krabów.

Gdy przyjechał po nią Newt, Macy pracowała z ekipą od cykli pokarmowych w stacji badawczej nad największym z jezior, Windermere Lacus. Jeden z asystentów podwiózł ją w górę stromego stoku, ponad ciągnącym się w dole jeziorem pokrytym odłamkami lodu i kłębami pary nad otwartą wodą, na lądowisko, gdzie stała aerokapsuła-prom Newta, pomalowana na róż będący znakiem rozpoznawczym jego firmy transportowej, niczym storczyk wrzucony do piwnicy na węgiel. Mimo łańcucha termojądrowych lamp na orbicie równikowej i nieustannego wstrzykiwania wysoko do atmosfery środków pochłaniających ultrafiolet, żeby zapobiec powstawaniu tioli, głównego składnika tytanowego smogu, na powierzchni Tytana wciąż było stosunkowo ciemno. Ale już było widać na niebie Słońce, maleńki rubinek we mgle, widać było Saturna, przekrzywiony półksiężyc ponad ruchliwymi kłębami mgły.

Macy i jej asystent doglądali robota, który przeładowywał palety z zaizolowanymi paczkami z rolligonu do ładowni wahadłowca - wszelkie możliwe próbki dla jej współpracowników z Uniwersytetu w Atenie oraz laboratoriów dziesiątek ośrodków badawczych i instytutów na Ziemi. Kiedy wszystkie zostały załadowane, Macy wsiadła do kabiny, a Newt wystartował pionowo w górę, przebijając niebo Tytana i spotykając się ze stacją przeładunkową, gdzie razem z ładunkiem przesiedli się do *Słonia*. Jechali na VI Konferencję *Wielkiego skoku poza Układ*, która miała się odbyć za osiem tygodni w Atenie na Księżycu, ale wybrali się okrężną drogą, zahaczającą o spadającą w stronę Marsa kometę.

Byli partnerami od ponad trzydziestu lat. Ostre krawędzie związku już dawno temu przyjemnie się wygładziły, mieli teraz wspólny, skrótowy język, wspólne nawyki i zwyczaje, pozwalające miło spędzać czas w podróży. Macy była w kontakcie z ośrodkiem naukowym nad Gorącymi Jeziorami i zespołem zarządzającym krajobraz w nowym mieście Coleridge; Newt walczył z problemami i rutynową pracą zarządcza we własnej firmie transportowej, składającej się z niewielkiej flotylii statków kursujących między Saturnem, Jowiszem i Marsem w ciągle zmiennym trójkącie, a okazjonalnie zajmujących się specjalnymi przewozami i ładunkami. Byli więc sprawiedliwie zajęci, gdy *Słoń* opadał w głąb Układu, wznosząc się pod małym kątem nad płaszczyznę ekliptyki, przecinając orbitę Jowisza i pas asteroid, aż któregoś dnia Newt wyświetlił w memoprzestrzeni obraz celu podróży - słabiutką gwiazdeczkę tuż obok maleńkiego czerwonego krążka Marsa.

Trzy dni później przejął kontrolę nad systemami nawigacyjnymi oraz napędowymi *Slonia* i ostatnie dziesięć tysięcy kilometrów przeleciał ręcznie i na oko. Słońce zasłoniła obrotowa przesłona, krąg słabego niebieskiego światła izolujący przed promieniowaniem cieplnym znajdujące się w środku jądro komety, nabierające masy i objętości. Ziarenko, pestka, kamień, gład, mała góra. *Słoń* przesybował nad jej dziobatą powierzchnią ku statkowi, parkującemu pięćdziesiąt kilometrów przed nią, odcinającemu się ostro od morskiego blasku przesłony.

Kometa należała do efemerycznej jowiszowej rodziny; była brudną śnieżką ważącą jakieś 32 miliardy ton, z powierzchnią pokrytą warstwami lodowych płatków i węglowodorowego pyłu, kruchego jak popiół z papierosa. Wnętrze było luźnym aglomeratem drobnych skałek z karłowatych planet, wodnego lodu, z wtrąceniami z zestalonych gazów. Gdy spadała w stronę Słońca, jej orbitę zmieniano w starannie wybranych punktach, przez podgrzewanie, powodujące erupcje gazów i pyłów; za 83 dni miała spotkać się z Marsem i rozpaść nad jego powierzchnią, znacznie przyczyniając się do zwiększenia ciśnienia w jego atmosferze, obecnie wynoszącego 32 hPa na „poziomie morza”.

Firma Newta zdobyła kontrakt na jej dowieszenie, a najmłodszy syn Macy i Newta, Darwin, dowodził zespołem mikrozarządzającym kursem komety, równoważąc zmiany delty  $v$  wywoływane nieregularnym wydzielaniem gazów, w miarę jak impuls energii cieplnej podgrzewający powierzchnię komety przedostawał się do jej środka, powodując wybuchową sublimację złóż dwutlenku węgla i metanu. Taka erupcja trwała, gdy do statku Darwina podchodził *Słoń* - fontanna tryskała po przysłonecznej stronie, rozpraszając się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. Darwin zajęty był właśnie korygowaniem wytworzonego przez nią nieznacznego momentu obrotowego, więc nie spotkali się z nim i resztą ekipy aż do kola-

cji, około sześciu godzin później.

Macy nie widziała syna od ponad roku. Był to drobny, ale i przyjemny szok - znów sobie przypomnieć, jak jest podobny do swojego ojca. Błady, smukły młody człowiek z rozczochną czarną czupryną, jasnoniebieskimi oczyma i szybkim, krzywym uśmiechem, dwudziestotrzyletni, a więc prawie w tym samym wieku, co Newt, kiedy pomagał Macy uciec ze Wschodu Edenu. I tak jak Newt lata temu, Darwin usiłował uciec z cienia reputacji rodziców i zasłużyć sobie na własne miejsce w świecie. W przeszłości odbył z nimi parę dramatycznych kłótni, teraz jednak cieszył się na ich wizytę; spędzili miło czas na plotkach o jego rodzeństwie, snuciu planów o wykorzystaniu komet jako źródła surowca dla oceanicznego habitatu wokół skalistej asteroidy. Zaganianie i rozkładanie dziesiątków komet niezbędnych, by zgromadzić odpowiednią ilość wody, wiązało się z wieloma skomplikowanymi i wrednymi problemami, Darwin sądził jednak, że przy odpowiednim wsparciu da się to osiągnąć w ciągu jednego dziesięciolecia.

- Mamy dość karmy, żeby sfinansować pierwsze badania - powiedział Newt Macy wieczorem, na pokładzie *Słonia*. - Możemy trochę popchnąć, zobaczyć, co z tego wyjdzie.

- I jak myślisz, jak on się wtedy poczuje?

- Powinien chyba być wdzięczny. To będzie jego biznes - ja w żadnym razie nie chcę się mieszać w tę biurokratyczną dżunglę, którą ten projekt niechybnie obrośnie. Ale zasiać ziarno moglibyśmy mu pomóc.

Newt tak miał: czasem nie sięgał wzrokiem poza bieżący problem. Macy powiedziała cierpliwie:

- O co innego mi chodzi. Pomyśl, jak ty byś zareagował w jego wieku. Co byś pomyślał, gdyby rodzice wciskali się na siłę w twoje plany?

- Kurna, ja wtedy nie miałem żadnych planów.

- A wdzięczny byłeś, jak cię Abbie enty raz wyciągała z kłopotów?

Parsknął śmiechem.

- Tu mnie masz. No, ale ja chcę coś wymyślić, żeby mu pomóc. Ty nie? Poza tym, to masa nowych możliwości dla firmy. Koszty początkowe są wielkie, ale potencjał jeszcze większy.

- Pewnie, że chcę pomóc. Ale nie chcę za niego zarządzać jego życiem.

Newt zastanowił się i oznajmił:

- To inaczej. Niech dzieciak zakłada własną firmę. Wtedy my będziemy podwykonawcami. Damy karmę, ale to on ma nad wszystkim panować. Od niego będzie zależało, czy to się uda. Może coś wyjdzie, może nie. Bystry chłopak z niego. Myślę, że da radę, o ile się nie znudzi i nie zajmie się nagle czymś innym.

Spędzili z Darwinem i jego ekipą dwa dni. Macy rozmawiała z egzobiologiem, który zabrał się, żeby pobrać próbki z jądra komety, o najnow-



szych teoriach panspermii\*. Na razie nie udało mu się znaleźć jakichkolwiek tropów biologicznej aktywności, ale jego katalog cząstek organicznych występujących w kometach, głęboko zamrożonych od czasu powstania Układu Słonecznego, wzbogacił potężne zasoby danych o warunkach panujących w pierwotnym dysku planetarnym. Razem z Newtem przegadali z Darwinem jego plany budowy oceanicznego habitatu, starając się ze wszystkich sił wesprzeć go, nie krytykując i nie wtrącając się w jego sprawy. Powtarzali sobie, że jeśli poniesie klęskę, nie będzie to nic takiego: jest młody, a Układ Słoneczny aż kipi od możliwości. Na koniec pożegnali się z Darwinem i jego ekipą; *Słoń* odpalił silnik i okrążył Marsa pętlą asysty, która wrzuciła go z powrotem w płaszczyznę ekliptyki, ku siostrzanym światom Ziemi i Księżyca.

\* Panspermia - hipoteza, że życie rozsiewa się po kosmosie w formie podróżujących na planetoidach, kometach lub innych ciałach niebieskich przetrwalników bakterii czy innych odpornych na niekorzystne warunki form życia (przyp. tłum.).

Macy nie była na konferencji *Wielkiego skoku poza Układ* od osiemnastu lat - przestała być na bieżąco z badaniami egzoplanet, ponieważ w całości pochłonęła ją praca nad Tytanem. Z pozoru niewiele się zmieniło. Ta sama intensywność dyskusji, kolejno o wszystkim, od tworzenia map egzoplanet po świętego Graala podróży nadświatlnych; ta sama dynamika towarzyska, z młodymi delegatami starającymi się wyrobić sobie nazwisko i starymi wygami broniącymi swojej reputacji. Było nawet parę Duchów, trzymających się jak zwykle we własnym towarzystwie. Większość uważała je za osoby, które przestały się liczyć, pariasów, którzy w końcu musieli się pogodzić z innymi społeczeństwami Układu, ale wciąż borykali się z długim i bolesnym procesem integracji.

Macy знаła ponad połowę delegatów, starych znajomych, trochę bardziej siwych i powolnych niż ostatnim razem, ale poza tym niezmienionych. Paru twarzy brakowało, a przede wszystkim, Pete'a Bakaleinikoffa, który zabrał się w podróż na Pholusie, planetoidzie centaurowej, wyposażonej w miotacze materii i lecącej teraz ku delcie Pawia - podróż ta miała potrwać ponad tysiąc lat. Junko i Junpei Asaiowie cały czas badali orbitującą wokół delty Pawia planetę typu ziemskiego, Tierre. Z pomocą ultraszerokiej chmury teleskopowej rozciągniętej pomiędzy orbitami Saturna i Urana osiągnęli rozdzielczość poniżej kilometra i omawiali te wyniki z Pete'em i resztą ekipy lecącej na Pholusie - potencjalne miejsca do lądowania, miejsca na zbudowanie miast, modele klimatyczne, mapy roślinności i wiele, wiele innych.

Jedna różnica, ale bardzo duża. Podczas pierwszej konferencji Macy wszystko było teoretyczne. Teraz trwała adaptacja na pokoleniowe statki międzygwiazdne kilku kolejnych planetoid, a Sri Hong-Owen ze swoim kładem leciała na Fomalhauta bryłą skalną wyciętą z janusowego regolitu,

od momentu zejścia z orbity okołosaturnowej, osiem lat temu, cały czas równomiernie przyspieszającą. Była teraz głęboko w strefie komet, jakieś 73 biliony kilometrów od Słońca.

Na koniec konferencji, uraczeni wszelkimi możliwymi zaproszeniami do najrozmaitszych projektów badawczych. Newt z Macy opuścili Księżyc i opadli ku Ziemi stosowaną od niepamiętnych czasów trajektorią swobodnego powrotu - była to leniwa, trzydniowa wycieczka, podczas której planeta matka rosła i rosła przed nimi, aż w końcu weszli na orbitę zaledwie pięćset kilometrów ponad równikiem. Macy pokazywała co ciekawsze góry, rzeki i miasta; Newt powiedział jej, że pamięta, że przed wyjazdem to przegadali, ale gdyby zmieniła zdanie, na wszelki wypadek zabrał parę egzozkieletów - jeżeli chce, mogą zlecieć na dół promem. Przypatrywał jej się uważnie, gdy się zastanawiała.

- Nie - odparła w końcu. - Mamy inne miejsca do odwiedzenia. I musimy zdążyć do Hanny, zanim urodzi. Może innym razem.

- Jest tak blisko, że na piechotę byśmy zdążyli. A ja chciałbym zobaczyć, skąd ty pochodzisz.

- Skąd wszyscy pochodzimy.

- Ja nie. Ja się urodziłem na Tytanu.

- Nie będzie tam niczego, czego nie ma gdzie indziej. No i do tego miazdzące ciśnienie, niesamowicie zatłoczone miasta, gryzące owady, choroby...

- I deszcz, i wiatr, i wszystkie inne rzeczy, za którymi tęsknisz.

- Już mi przeszła ta tęsknota. Lećmy dalej.

Na chwilę zadokowali do stacji na orbicie geostacjonarnej, zdali ładunek, a potem polecili do jednej z raf bąblowych habitatów, które wyrosły ze zbiegłych miniksiężyców zmodyfikowanych i puszczonych w przestrzeń przez Sri Hong-Owen i jej zespół. Wędrowały po orbicie na wewnętrznym skraju pasa planetoid. Cienki, przerywany pierścień okalających Słońce ogrodów.

Przybrana córka Macy i Newta, Hannah, mieszkała w największym z nich, Pan-Ku, nazwanym na część rzeźbiącego świat demiurga z chińskiej mitologii, ze swoim partnerem Xanderem Elliottem i bliźniętami, Abbie i Kitem, pierwszymi wnukami Macy i Newta. Abbie i Kit mieli teraz siedem lat, a Hannah była ponownie w ciąży, i tym razem podwójnej. Zamierzała donosić ją naturalnie, jak Macy Darwina; termin porodu był za trzy tygodnie - właśnie dlatego Macy i Newt wybrali się do niej z wizytą.

Pan-Ku miał dwadzieścia kilometrów średnicy i był pokryty gruzłową powłoką z wypełnionych wodą bąbli, które chroniły go przed słonecznym i kosmicznym promieniowaniem; poza tym jednak niewiele różnił się od habitatu Wolnych Zewnętrznych na Nephela. Dom Hanny i Xandra stanowił przykryty namiotem ogród na jego wewnętrznej powierzchni. Rozciągał się

z niego widok na rozległą powietrzną przestrzeń, w której przypięte do promieniście rozchodzących się rozpórek platformy z farmami i lasami oddalały się aż do jądra zawierającego podtrzymującą życie infrastrukturę, otoczonego luźnym gronem lamp słonecznych.

Xander był pilotem i razem z Newtem znikali na wiele godzin, żeby robić przegląd parkujących w hangarach statków, cały czas zatopieni w dyskusjach dotyczących mikroskopijnych optymalizacji kursów pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi planetami, czy ostatnich ulepszeń silników termojądrowych. Hannah za to, w przeciwieństwie do swoich braci - Darwina z jego kometami, Hana z aktualnym zapałem do rozwijania i ulepszania ogrodów stworzonych przez Avernus w atmosferze Saturna - była praktyczna i rozsądna. Urządziła tu dom dla partnera i dzieci, brała udział w pracach przy utrzymywaniu ekosystemów w osłaniających Pan-Ku wodnych bąblach, będących wariacją na temat łańcuchów pokarmowych z mórz polarnych - fitoplankton-krył-ryby. Była zadowolona z życia i nie widziała powodu do radykalnych zmian.

Któregoś dnia, gdy Xander i Newt grzebali w czymś w hangarze, Macy i Hannah zabrały bliźnięta na jedną z leśnych wysp. Zorganizowanie wyprawy pochłonęło cały ranek. Było już dobrze po południu, gdy w końcu się wybrały - pojechały kolejką zębatą znajdującą się w środku jednej z wydrążonych rozpórek na małą stacyjkę na wyspie.

Wyspa była mniej więcej kilometrową płytą z fullerenowego kompozytu, z łagodną rzeźbą terenu, ozdobioną trawnikami i ścieżkami z półtywej murawy, pokrytą siecią lin bezpieczeństwa, wplecionych we wrzosa, zagajniki pękających sosen i dębów. Abbie i Kit popędzili przed Hanną i Macy, przerzucając się z liny na linę z isticie baletową gracją, znikając za kępami drzew i wracając po paru minutach. Wołali coś do matki i babki, chcieli im pokazać idealne miejsce na piknik, które właśnie znaleźli. I faktycznie było piękne: osłonięta polanka z miękkiej murawy, pełna polnych kwiatów, z trzech stron okolona grubym pasem lasu, z czwartej z widokiem na powietrzny ocean i liniowe archipelagi innych zielonych wysepek ciągnących się aż do pływających słonecznych lamp pośrodku habitatu, niczym ćwiczenie z perspektywy na lekcji plastyki.

Hannah zaraz usiadła, wzdychając z ulgą: była ociążała jak słoń morski, jak sama mówiła, ze względu na ciężę musiała spędzać pół dnia w wirówce i nękały ją bóle krzyża. Razem z Macy rozłożyły koc na piknik i przmusiły dzieciaki, by choć na chwilę przypięły się do uwięzi i spokojnie zjadły. Cały czas klóciły się, że już chcą latać. „Dopiero za godzinę”, stwierdziła stanowczo Hannah, „bo znowu się wam zrobi niedobrze”.

Przyłączyli się do nich Jack i Christof, koledzy Hanny z zespołu od ekosystemu, oraz ich syn Cho, bardzo poważny dwulatek. Abbie skakała nad Cho, karmiła go przysmakami i poila czekoladowym mlekiem, Kit zaś bie-

gał tam i z powrotem, zbierając owady do swojego wiwarium. Macy i Hannah rozmawiały z Jackiem i Christofem o toczących się projektach planoformingu na Tytanie i Marsie oraz o księżycowej konferencji. Jack i Christof zajmowali się hobbystycznie hodowlą winogron i robili z nich wino. Poczęstowali Macy woreczkiem z najnowszej produkcji. Był to różowy zinfandel.

Kit wrócił, chcąc pokazać Macy znaną kolonię pajaków lejkowców. Podniosła się i wspięła po linie pomiędzy drzewa.

Obserwował ją krytycznie i powiedział, że byłoby jej łatwiej, gdyby się nie upierała przy chodzeniu.

- Bezcelny maluch. Robiłam to, jak ciebie jeszcze nie było na świecie.

Pajaki płotły z pajęczyny trąbkowate lejki poukrywane między splątanymi korzeniami roślin. Kit pokazał jej, że nici, z których zostały uplecione, są lepkie przy pocieraniu w jedną stronę i gładkie - w drugą. Chrząszcze i inne owady mogą wejść, ale nie mogą wyjść.

- Bardzo sprytnie - powiedziała Macy. - Ktoś je wymyślił czy pochodzą z jakiegoś zakątka Ziemi?

Kit wzruszył ramionami z udawaną obojętnością. Był zażenowany, że nie wie.

- Jak wrócimy do domu, to sprawdzimy - powiedziała Macy.

- Ja bym chciał wszczepkę z dostępem do sieci - stwierdził Kit - ale Hannah mówi, że jestem za mały.

- To dlatego, że najpierw trzeba się nauczyć zapamiętywać rzeczy. To ćwiczy mózg.

Macy trzymała się liny obiema rękami, obracała się i patrzyła na płaczącą gałąź i liści. Po winie trochę kręciło jej się w głowie. Jeśli się puści, polecą nad drzewa, w niebo. Zapytała:

- A co się dzieje z suchymi liśćmi? Na Ziemi spadają na dół. Tutaj by po prostu odlatywały. Całe niebo powinno być ich pełne, prawda?

- Mamy takie małe drony, zbierają wszystkie śmieci - wyjaśnił Kit. - Latają stadami, jak ptaki. Jak któregoś złapiesz, zaczyna piszczeć, coraz głośniej i głośniej. Bo czuje się samotny.

Porozmawiali o różnych typach robotów dogląających habitatu, o glebie, która tak naprawdę nie była glebą, tylko misterną plecionką z półżywych hiperwłókien. Macy powiedziała Kitowi, że powinien odwiedzić Coleridge i zobaczyć, jak rośliny rosną w prawdziwej glebie, po czym wspięli się na górę do reszty, a Hannah pomogła dzieciakom założyć sprzęt do fruwania - kaski ochronne, ostrogi do lądowania, żebrowane skrzydła z monomolekularnej folii, szersze niż rozpiętość ramion i przypięte także do kostek. I zaraz bliźniaki pobiegły i wgramoliły się, jak uziemione nietoperze, po rozciągniętej wzdłuż krawędzi wyspy siatce, odbiły się i zamachały skrzydłami, żeby nabrać szybkości. Pogoniły jedno za drugim ku następnej

wyspie, czerwona Abbie i żółty Kit, pierwszy i szybszy. Opadli za krawędź wyspy i zniknęli.

Serce Macy zabiło odrobinę mocniej, kiedy straciła ich z oczu. Zapytała Hanny, czy się nie boi, że coś sobie zrobią.

- Nie bardzo - odparła Hannah. - Te skrzydła nie są zbyt wydajne, więc szybciej niż dwadzieścia na godzinę się nie polecą. Kit zaraz na początku złamał sobie nadgarstek, bo zaczął się popisywać, ale teraz lata lepiej niż Xander. Chce to wszystko dokładnie przetrenować, przeciwżyć w różnym ciężeniu, różnych środowiskach. Jeśli poważnie do tego podejdziesz, będzie się musiał sporo najeździć.

- Tak jak jego dziadek i wujkowie - powiedziała Macy.

- I jak babcia.

Macy parsknęła śmiechem i przyznała jej rację.

Porozmawiały o kobiecie, z którą mieszka Han, głęboko w wodnej strefie atmosfery Saturna, o planach Darwina na rozwój kometarnego interesu. Zaraz znów pojawiły się bliźniaki, żółta i czerwona plamka wysoko na bezkresnym niebie. Kit gonił Abbie, łopocąc miarowo, zanurkowali i znów zniknęli z pola widzenia, chowając się za wyspą. Bardziej przypomina to pływanie niż latanie, pomyślała Macy. W nieważkości wystarczyło raz machnąć skrzydłami, żeby nabrać szybkości, a przestając, wcale się nie spadało - opór powietrza spowalniał cię do zera, jak rybę, która zawisa nad rafą koralową.

Zadzwoił Newt, powiedział, że zbiera się wyprawa na asteroidę, która ma ich minąć o zaledwie 90 tysięcy kilometrów.

- Jest cała zarośnięta organizmami próżniowymi. Kolejny ogród Avernus. Podobno niezwykła i bardzo piękna. Wylatują za dwa dni i trzeba im to przeliczyć. Powiedziałem, że będziesz zainteresowana. Co ty na to?

- Leć sam. Ja innym razem.

- Na pewno?

- Na pewno. Chodź no tutaj i przyłącz się. Jest wino, kupa jedzenia, a dzieciaki ganiają się po niebie.

Macy wystarczał odpoczynek. Przypięta do ciepłego, pochylego trawnika, z córką u jednego boku, zarumienioną od burz hormonalnych zaawansowanej ciąży, a u drugiego miała dwóch mężczyzn i wyrosniętego dwulatka bujającego się radośnie w uprzęży, z zaschniętym na brodzie jogurtem.

- Nie chciałaś jechać na Ziemię - powiedziała Hannah.

- O, to słyszałaś?

- Wiedziałam, że Newt chciał ci zrobić niespodziankę.

- Któregoś dnia wszyscy polecimy.

- Ja nie. Mamy tu wiele do zrobienia. Poza tym musiałabym ćwiczyć jak durna, a już i tak mam potąd wirówki. Jak dla mnie, grawitacja jest dla

frajerów - stwierdziła Hannah, osłaniając oczy i patrząc w górę.

Macy tak samo ocieniła oczy i dostrzegła Kita i Abbie fruujących wysoko nad nimi. Czerwone i żółte skrzydła poruszały się leniwymi, szerokimi zamachami, w kontrolowanym opadaniu. Teraz oboje zawrócili i zaczęli nabierać szybkości, łopocąc szybko i miarowo; zaśmiewając się i krzycząc, śmignęli nisko nad matką i babcią i znów wzbili się nad korony drzew, żeby powtórzyć wszystko jeszcze raz.

Jakże pięknie fruwali!

## ROZDZIAŁ 3

Dziewczyny z Grupy nr 1 budzą się codziennie o 6.00 i wypływają z kapsuł sypialnych jak ławica zwinnych małych syrenek falujących w natlenionym płynnym fluorowęglowodorze, wypełniającym korytarze, pomieszczenia socjalne i robocze ich statku, jako ośrodek o wiele lepiej niż powietrze przystosowany do trwałego mikrociażenia. Mają niecałe pięćset dni, lecz są już całkiem dorosłe. Wokół talii noszą pasy z narzędziami, poza tym są nagie. Ich muskularne, beczkowate klatki piersiowe przepompowują fluorowęglowodory przez mocno ukrwione płucoskrzela; ręce mają długie, z dodatkową parą stawów; nogi zrosnięte i zakończone wachlarzowa tyimi, żebrowanymi płetwami. Twarze mają okrągłe, z małymi ryjkowatymi ustami, płaskimi nosami i dużymi czarnymi oczami. Każda ma na prawym policzku tatuaż z ostrych punktów i linii w kształcie gwiazdozbioru Węża Wodnego.

Jest ich dwadzieścia jeden. Dwie z pierwotnych dwudziestu czterech zginęły w wypadku podczas pracy na zewnątrz, trzecią, poważnie ranną, trzeba było poddać eutanazji.

Pobierają z dozownika woreczki i jedzą pośpiesznie, ssąc słonawy kleik bogaty w witaminy i aminokwasy, a puste woreczki niedbale porzucają - są one półżywe i kierując się prostym chemicznym śladem, płyną do dozownika niczym płaskie meduzy, podczas gdy dziewczyny jedna za drugą wypływają krótkim tunelem do komory ze sprzętem. Dwa ekrany już się palą, wyświetlają twarze pokładowych duchów opiekuńczych - konstruktów AI opartych na osobowościach dwójki herosów-wojowników z przeszłości, Sady Selene i Phoenixa Lyle'a. Przekazują dziewczynom informacje o postępie prac poszczególnych grup i przydzielają zadania na dziś; potem rozświetla się wielki ekran po drugiej stronie kulistego pomieszczenia, a one synchronicznymi machnięciami płetw odwracają się ku obliczu swego dobrotliwego i ukochanego przywódcy, Leviego.

Nieraz podczas pracy wdają się w zapamiętałe dyskusje, czy Levi jest konstruktem AI, jak ich mentorzy, czy też jest czymś więcej. Prawdziwą AI, albo nawet obrazem prawdziwej osoby, żyjącym gdzieś wewnątrz statku. Nie prawdziwym Levim, oczywiście, ale może klonem? Chciałyby wierzyć, że jest z nimi ciałem, nie tylko umysłem. Marzą, że kiedy ukończą swoją pracę, wolno im będzie się z nim spotkać w nagrodę.

Tego dnia, jak co drugi dzień, Levi opowiada o wielkim przedsięwzięciu, w które są zaangażowane. Dzień za dniem czynią drobne kroki ku urzeczywistnieniu proroctw z wiadomości, które odebrał od przyszłego siebie. Wielkie koło czasu nieubłagane kręci się, odmierzając czas do końca, do chwalebego uniesienia.

I tak dalej, i tak dalej.

Dziewczyny już wiele razy słyszały najrozmaitsze warianty tej opowieści. Mimo to i dziś, jak co dzień, chłoną słowa całym sercem i umysłem. Mowa Leviego przenosi się drganiem przez fluorowęglowodory, porusza ich skórą i napiętymi błonami bębenkowymi w uszach, rozwabia krew i szpik kostny.

Wreszcie twarz Leviego gaśnie i znika z wielkiego ekranu. Dziewczyny odczepiają pasy z narzędziami, pomagają sobie nawzajem ubrać się w skafandry, zapinają pasy z powrotem, trójkami przepompowują się przez służę i odpływają od statku nad powierzchnię swojego maleńkiego światła.

To mocno zmaltretowana karłowata planetka: jądro z lodu wodnego i krzemionki zamrożone na granit i pokryte grubymi warstwami prostych węglowodorów, usiane ogromną liczbą kraterów. Samotna skamielina z czasów, gdy w pierwotnym dysku planetarnym unosiły się całe roje takich protoświatów, zamrożona, unosząca się w nawiedzanej przez komety czerni daleko za orbitą Neptuna. Bardzo się zmieniła, odkąd dwieście pięćdziesiąt dni temu dotarł na nią statek Duchów. Roboty budowlane wykopały równoległe do osi obrotu potężne otwory, ekipy montują w nich teraz trzy gigantyczne silniki rakietowe, każdy z własnym termojądrowym generatorem. Inne roboty wydobywają lód wodny i formują go w granulki, które staną się pędnikiem silników-miotaczy materii, tkają z surowców pozyskanych ze smolistej regolitu fullereny, wytwarzają drut diamentowy i inne egzotyczne materiały, wkopując się coraz głębiej w zamrożone jądro planetki.

Jest jeszcze masa pracy. Dziewczyny z Grupy nr 1 luzują swoje, siostry z Grupy nr 3 i z radością w sercach rozpoczynają dwunastogodzinną zmianę. Kiedy praca dobiegnie końca, gruzłowata planetka zamieni się w opływową kropkę opakowaną w diamentową siatkę, osłoniętą parasolową tarczą z fullereny i aerożelu, skrywającą w komorach w samym sercu fabrykatory, biblioteki informacji genetycznej oraz całą społeczność AI.

Dziewczyny z ekipy budowlanej przeżyją akurat tyle, żeby ukończyć tę pracę i dopilnować uruchomienia silników planetki na początku długiej, długiej podróży.

One do gwiazd nie dotrą. Ale ich bracia i siostry tak.



## PODZIĘKOWANIA

Fragmety tej powieści opierają się na mocno zmienionych bohaterach lub sytuacjach, które pojawiły się w następujących opowiadaniach: *The Gardens of Saturn* („Interzone”, 1998); *The Passenger* („Asimov's Science Fiction”, 2002), *The Assassination of Faustino Malarte* („Asimov's Science Fiction”, 2002), *Dead Men Walking* („Asimov's Science Fiction”, 2006).

Wyrazy ogromnej wdzięczności dla astronautów, naukowców, inżynierów i ekip naziemnych programu Apollo, Pioneera II, Voyagerów 1 i 2, Galileo i Cassiniego-Huygensa za zdjęcia, mapy, wyniki badań i relacje z pierwszej ręki, które były natchnieniem i stały się częścią *Cichej wojny i Ogródów Słońca*.

# SPIS TREŚCI

CZEŚĆ I. Straty wojenne

CZEŚĆ II. Ławica wśród nocy

CZEŚĆ III. Zmiana warty

CZEŚĆ IV. Bunt, bunt

CZEŚĆ V. Dzwony wolności

CZEŚĆ VI. Lot w gwiazdy, czyli konwergencja